

9117

II

9117<sub>2</sub>

Młowski

W  
ROMIE  
KÓW



9117

II

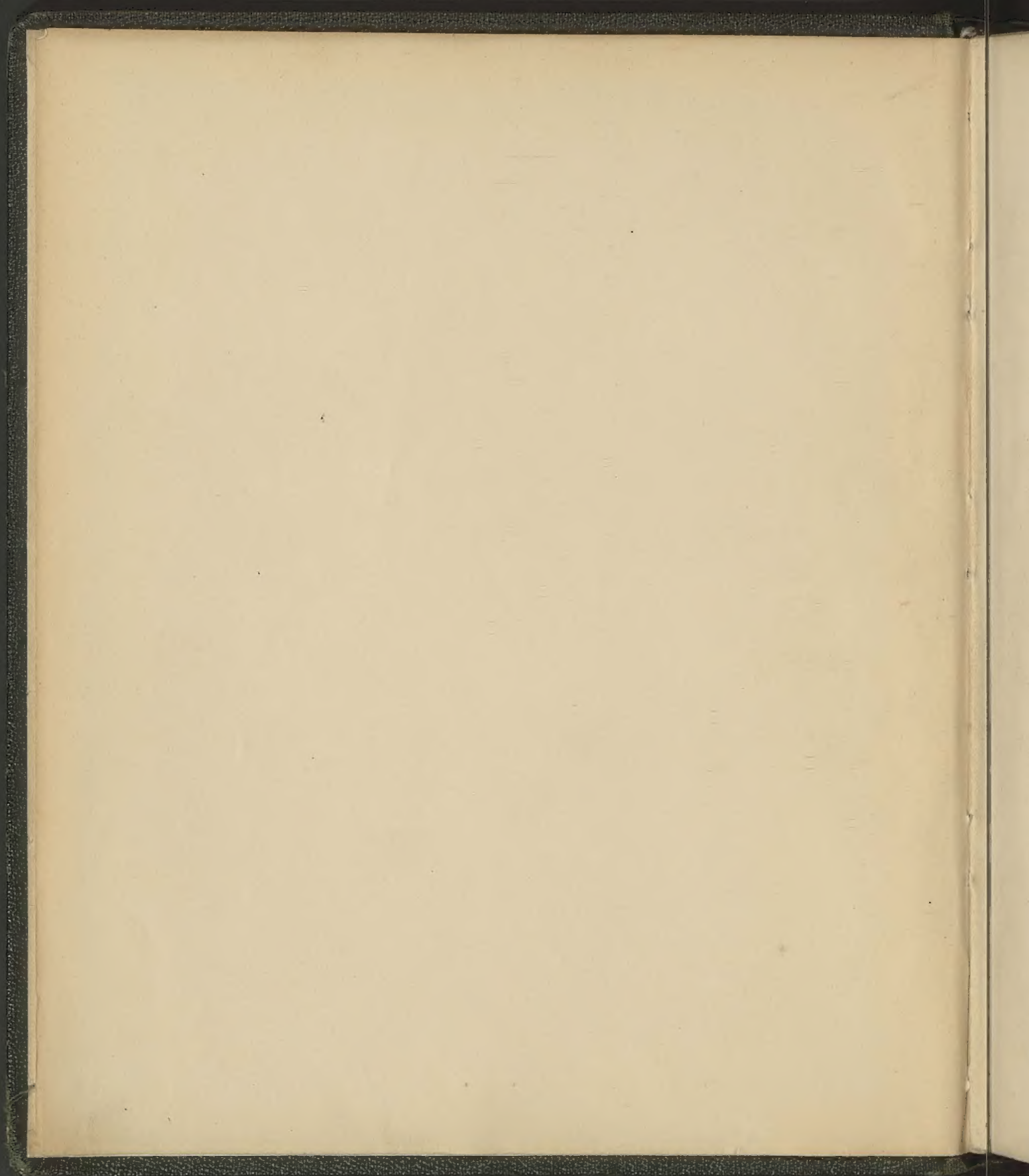
77/51

+2

9117 t. 2

II







MARJAN OSTROWSKI  
Sędzia Sądu Najwyższego w Warszawie.

# NA PRZEŁOMIE WIEKÓW

TOM *II*.

ZAPISKI Z LAT 1871—1928 NA TLE ÓWCZESNEJ  
DOBY DZIEJOWEJ MIAST BOCHNI, CZORTKOWA,  
GRUDZIĄDZA, HALICZA, JAROSŁAWIA,  
KOŁOMYI, KOPYCZYNIEC, LWOWA, POZNANIA,  
SAMBORA, STANISŁAWOWA I SOŁOTWINY

RĘKOPIS AUTORA.



WYKŁADY

WYKŁADY  
Z  
HISTORII  
POLSKI  
W  
XIX WIEKU



*Treść tomu drugiego :*

<u>VII</u>	Lwów . . . . .	str.	7.
<u>VIII</u>	Sambor . . . . .	"	31.
<u>IX</u>	Sołotwina . . . . .	"	79.
<u>X</u>	Halicz . . . . .	"	217
<u>XI</u>	Kołomyja . . . . .	"	321.







Lwów

Krótkie wspomnienia studenta praw.

Love

My dear mother



# Lwów

1892 - 1897.

Lwów był stolicą całej południowo -  
wschodniej potaci Polski a zarazem naszą dumą,  
i uświetnieniem, chlubą i macierzą grodów naszych.  
Ukochane miasto, niezdobyty bastjon narodowy, szan-  
niec kultury Łacińskiej na wschodzie, był Lwów za  
moich czasów środowiskiem myśli narodowej na ca-  
łą Polskę, był przystanią, w której każdy polak czuł  
się w sobie w domu i oddychał pełną pierśią życia  
narodowego, był miastem, w którym heroizm polski  
nigdy się nie zatamował. Nasza ulubiona stolica prze-  
trwała wszystkie srogie burze dziejowe a swoim rzad-  
ko w dziejach spotykanym hartem i metrem dowiodła  
przed całym światem, że jest rdzennie polskim miastem.

i da Bóg na zawsze takim pozostanie.

W okresie, kiedy po maturze 1892 r. miałem pójść do Lwowa na Uniwersytet, stąd Lwów na wyprawie wyzynie kultury narodowej. Osiedlenie się we Lwowie było marzeniem młodych i starych, bogatych i biednych, każdy sobie obiecywał, że po zamieszkaniu we Lwowie popłynie mu życie miłym a wygodnym torem — i tak też było istotnie. Lwów, najpiękniejsze bezsprzecznie miasto w Polsce, miał w sobie siłą atrakcyjną, na każdym miejscu znać było wysoki poziom kultury, cechował go powab i harmonia struktury, a to co najbardziej do polskiej duszy przemawiało, to było niezrównanie silne poczucie narodowe i przystosowania wprost zacność i serdeczność Lwowian.

Do tejto macierzy miast naszych, doogniska oświaty i jasnego znozia ducha narodowego jechałem i ja, ciężąc się szczerze w serce, że wnet będę lwowianinem i stanę się niejako jednym z atomów tej naszej ulubionej polskiej opoki. Gdy pod koniec sierpnia 1892 stanąłem na granicy lwowskiej, radości mojej nie było końca, nie tylko że rozkosznie odosłatem zwan. cenie z siebie mozołów gimnazjalnych, ale mniemam się szczęśliwym, że w pięknym Lwowie na stałe pozostanę, całą duszę mię przylgnąłem do tego miasta, miał się do mnie usunąć, coraz to nowe w tem mieście odnawiało się piękno, zdawało mi się, że w Koto siebie



samo tylko szczęście i radość, pragnąłem wtedy zobaczyć, aby mię los z tem miastem zespolił po Ko-  
mieć dni moich. Tak, bo Lwów pociągał wszystkich  
ka sobie czarowną siłą, a ktoś mógł silniej ten czar  
odczuć, jak nie syn podolskiej ziemi, dla którego Lwów  
był metropolią i skarbnicą duchową.

Wśród tychto nastrojów przeszedłem ze szkoły  
provincialnych do wozeskiej stolarskiej, z miast  
i miasteczek galicyjskich do dużego a pięknego mia-  
sta. Nie będę opisywał, jak wówczas Lwów wyglądał,  
na czeł polegało jego ujmujące piękno, jacy w nim  
wtedy ludzie żyli i jakimi drogami szło życie społecz-  
ne, bo to jest widoczne z bardzo licznych pierwszo-  
rzędnych źródeł, które znakomite rzeczy światło na  
całą tę epokę — ale ze wspomnień moich ze Lw-  
wa ograniczę się z konieczności tylko do bardzo  
krótkiego opisu moich przeżyć osobistych, które  
nie mogą mieć wartości ogólnej, a skreśliłem je jed-  
ynie dla ciągłości opowiadania.

\*

Zdawało mi się pierwotnie, że zdanie matry jest  
jakby rozzerwaniem skorupki poczwarczej, szarej, zimnej,  
nieruchomej, aby z niej barwnym motylem wzlecieć  
w tomie światła, kwiecia i wiosny. Ale tak nie tylko  
zdawało, bo życie niósło co innego. Nie dla wszystkich

droga po maturze kwiecieniem się stała. Żu temu potrzeba było mieć silną podstawę materialną i być zapewniony. Tymczasem ojciec mój majątkowo na ów czas podupadł a pomoc jego dla mnie ograniczyć się musiała do skromnych oraz ofiarnych z jego strony wysiłków, bo wtedy sam mi wiele, a nawet wcale miał mało. Potrzeba więc było oglądać się za pracę dla siebie i zarobić na własne utrzymanie. Ale mi tak to było łatwe, bo Lwów, gdzie przyszło mi prawnie studiować, posiadał mnóstwo takich jak ja poszukujących, podobnie jak i lekarzy nie dorównywali popytowi, a nie było dla akademików zgłębić żadnych burz, czy domów, czy innych podobnych pomocniczych instytucji. Jakiś efekt był ten, że materialnie dobrze sytuowani plutokraci zapewniali szerelnie sale wykładowe z innych zaś studentów tylko ta część niernaczna, która stać było na możność utrzymania. Do tej części niestety ja nie mogłem należeć.

Matka byłaby szczęśliwa, gdybym był prawnikiem na teologię, ceniła bardzo ten stan, jednak ja nie poczuwałem się na siłach, bo w naszej archidiecezji lwowskiej księża Tacińscy mieli ciężkie obowiązki jeżdżenia, wstawała w zimie po licznych a daleko odległych gminach do chorujących i na pogrzeby, co wielce przepłacało życiem, ja zaś jako niezbyt dobrego zdrowia, nie mogłem się podjąć tego zawodu. Od dawna więc obmyślałem oddać się po maturze studjum prawniczenemu.

Ściągnął się mój zechy ojciec jak mógł, wydobył 70 zł. austr., byłoby jak sądzę wszystko, co miał, dał mi na



wet swoje odświętne ubranie, choć trochę na mnie za wolne, ale przynajmniej całe — i tak wyposażonego wyprawił ze Łtacza do Lwowa. Późtem nie w drogę tuszając, że mam dość pieniędzy na początek, a przy znajomościach mojego starszego brata Szyderego, wprowadzi me Lwowie nieobecnego, jednak przez jego koleżów i przyjaciół zdołam jakoś zdołać być miejscu i sposób do życia.

Mieszkała podówczas we Lwowie siostra mojego ojca Marcela, zamężna za Janem Klimowiczem. Mieszkaliśmy mieli w rynku nr. 3. na mezaninie. Najustro mieli liczne dzieci, materialnie średnio się im powodziło, wszyscy zaś byli ludźmi niezmiernie dobrymi i licznymi familjancami familjanci, zjeżdżający do Lwowa mieli u Klimowiczów przystan gościnny. Korzystałem i ja z tej przystani i najpierw zjechałem do nich. Po kilku dniach odwiedziłem ukończonego prawnika Michała Brokowskiego, stani-stawowiainina i obaj najęliśmy się za 5 zł. aust. miesięcznie pokójki maty, od podwórza przy ul. Kochanowskiego nr. 4. Tam obaj zamieszkaliśmy, on miał dyktywan-nika i adwokata Aleksandra Rogalskiego i z tego się całkiem utrzymywał, ja zaś na razie dostatek lekcji u ucznia IV kl. gimn. Rozwadowskiego za 10 zł. mies. — Potem znalazłem sobie drugą lekcję u kupca Segena, którego rozumiem języka polskiego (bo umiał tylko po niemiecku) i od niego dostatek 5 zł., razem więc 15 zł., co nie mogło starczyć na utrzymanie, więc dokładałem ze zapasowego funduszu ojca. Był to wrzesień 1892.

Na początku października 1892 zapisał się na Uniwersytet, otrzymanem kartą legitymacyjną i statem się civis academicus. Uniwersytet mieścił się w starym gmachu obok kościoła św. Mikołaja. Był to dawne Kolegium jezuickie i stanowiło duży, dwupiętrowy, czworoboczny budynek kwadratowego wyglądu, z licznymi a obrzernymi salami. Tego roku rektorem Uniwersytetu był ks. Marceł Palivoda, a naszym dziekanem prawniczym słynny uczonek, profesor Balzer. Na pierwszym roku wykładał prawo rzymskie profesor Pietał i profesor Szachowski. Pietał był znaną powzięciwą ze Lwowa osobistością, zwróciła się później był posełem ze Lwowa do parlamentu i ministrem. Wysoki, o spiczastym nosie, na głowie bujna, drutowata włosy jasne a artysty, młode miał krótko strzyżoną, szpakowatą, chodził szybko pokazując krokami, była też energia, rozsądek, stanowczość, jednego słowa nigdy na darmo nie mówił, przy egzaminach niezmiernie surowy, był prawdziwym postrachem prawników. Wykładał dobitnie, dobitnie, poprostu Topatą, kładł do głowy. Pamiętam jak dziś, kiedy pierwszego dnia zaczętego roku szkolnego stanął na katedrze w XIV sali, gdzie odbywały się wykłady prawa I roku, rozpoczął lekcję od słów: Na samym wstępie nauk prawniczych spotykacie się panowie z obowiązkami i radą ścisłej nauki prawa rzymskiego. Dalej mówił, dlaczego nauka prawa rzymskiego jest tak ważna i dlaczego od tego przedmiotu zaczyna się naukę prawa. W tym właśnie roku zmarła Pietałowi ukochana żona, chodził



w zieleń, a codziennie w godzinach popołudniowych z ulicy  
 Garncarskiej szedł przez Kamienną, Pawską, Piekarską na  
 cmentarz tykaczowski na jej grób (w głębi cmentarza po pra-  
 wej stronie od gł. wejścia), przy grobie zawsze ustanie' taneczka,  
 na który zjadł wiat i dumał nad przyszłością. Dzieci nie miał,  
 ale przybrał cudze dziecko, Rochet je i chował jak własne, za-  
 mowił nawet bytato panienka lat około dwunastu. Miał  
 własny dom piętrowy przy ul. Garncarskiej, a obok niego  
 piękny ogród kwietny, który pielęgnował ze zamiętowa-  
 niem, trawie i porze ciepłej w nim przesiadywał. Po Moch-  
 nackim był w r. 1893 wybranym prezydentem miasta Lwo-  
 wa prostą lecz nie kwalifikowaną większością, dlatego  
 przyszedł do drugiego wyboru, z którego nie wyszedł ani lis-  
 tak ani jego kontrkandydat lekarz Czyżewicz, ale pre-  
 zydentem obrano kompromisowo adwokata Metachowskie-  
 go.

Drugim profesorem prawa rzymskiego był Stanisław  
 Grachowski, niezmiernie oryginalny człowiek. Pochodził  
 z Warszawy i z powodu ruchu, poprowadzającego powsta-  
 nie w r. 1863 musiał uchodzić do Francji, miał bo-  
 wiem w Warszawie na Starym Mieście gorącą mowę pu-  
 bliczną przeciw Roskom. We Francji po klęsce w r.  
 1870 podczas wzajemnego zwalczania się partji w sa-  
 mym Paryżu, omal życia nie stracił — ostatecznie  
 losy zagnęły go do Lwowa, gdzie został notariuszem  
 Uniwersytetu i habilitował się na docenta prawa rzym-  
 skiego. Następnie był nadzwyczajnym, potem zwyczajnym

profesorem tego przedmiotu. Niski, z dużą głową, o szlachetnych rysach, łysy, był człowiekiem wielkiej wiedzy i ogromnej inteligencji. Z wyglądu istny Sokrates. Wykład jego był przeplatany barwnymi obrazami z życia. Wśród młodzieży był bardzo popularny. Kmart się słone i pamięć o nim u czoł i potomnych została.

Trzecim profesorem prawa rzymskiego był hr. Leon Piński, przesiedywał jednak przerwani w Wiedniu, postępując do parlamentu, a następnie był namiestnikiem Galicji.

Same prawo niemieckie wykładł profesor Janowicz, ormianin, co zresztą widoczne było z jego oblicza, był adwokat lwowski. Był to przedmiot zupełnie zjedny, pozostał z germanizacyjnym osadzi, toteż Janowicz sam mało do niego przynajmował nazi, ale wydał swój wykład drutkiem jako podręcznik, Kiedy student go sobie kupował, uczył się z niego i szedł z tem do egzaminu. Nieraz u siebie, wstawał u dwie godziny dwojgich, Kiedy Janowiczowi nie bardzo się chciało opowiadać o germanizacji zakrył, a nam jeszcze mniej tego słuchać, posyłał więc do sali wykładowej, by popatrzyć, czy zebrało się dość słuchaczy. Gdy jednak tylko który pokazał się na progu, niedzieliśmy co to oznacza i woteli: niema nas, niema! Kiedy wprzódz unykat ze sali i tego dnia wykładu nie było. Który ztadał relację, że z powodu zawieszony studentów niema — profesor odchodził tego dnia do domu.

Prawo Roscielnę wykładł prof. Abraham. To, co we wspomnieniach o gimnazjum Stanisławowiec napisatem o Majchorniozu — to samo mogę napisać o Abrahamie. Wykładł i pytał, pytał i wykładł u popiechna — a czyż to u takiej mierze, jak gdyby mi istniało zadanie inne nadto dla słuchaczy studjum



Lwow, 31/3 925.

Wielce Szanowny Panie  
Preremie!

Z najmilszą, chociaż sturę wypaśnię-  
niami w sprawie przestrogi Kopyczy-  
nec i Sototwiny. Niestety nie wiele  
udało mi się zebrać - chyba jedynie  
szeregóły zestawione w Stowotku geo-  
graficznym, które przesyłam w odpisie,  
z opisaniem ustępów odnoszących się  
do teraźniejszych stosunków tych mia-  
stecek. Poleciłem szukać też dokumen-  
tów średnio-wiecznych - niestety nie  
znalazły się, są tylko krótkie wzmianki  
w aktach sądowych o Kopyczyńskich  
i Kopyczyńskich <sup>wydzierżawiających m. p. w sądzie</sup>. Prosiłbym P. Preremę za-  
lecić na nich, może je dodatkowo na-  
desłać. W lustracjach z 16 w. wymienione  
są oczywiście także obie miejscowości,  
ale podane są tylko daty dobywania ilości  
Pawów, ludności i jej świadczeń - nie wiem,  
czy do P. Preremę polecić. Lustracje  
wydane są w Pawińskiego Źródłach dzie-  
jowych, w druku „Polska 16 wieku”, w do-

mie: Ruś.

Terli P. Peres jeszcze jakich wypadków  
potrzebuje, prosi Pask. zwrócić się do  
mnie, najchętniej będę starym uami, o  
to to będzie możliwe.

Szereż nieczytem się z tej sposobie  
ści zerkania się z moim urokiem da  
wnej, które mi przypomnia. Dawniej  
się lepsze czasy i odgrywa dawne, zawrę  
sta mnie tyle miłe i dobre werty. Prosi  
przyjacieli wyrazi prawdziwego szacunku  
i poważenia

powołny stęga

G. Balcer.



prawa, tylko jego. Zamieścił datami, cytowaniami wydań itp.

Profesor Balzer wyprzedził dawne prawo polskie. Był, twarz podobna do Szajnoch, wstążki czarne jak heban na bok noszone, miał prawa nogę u biodrze wywróconą, stąd idąc, kuleł dotkliwie. Słabością jego umysłu był ozdoba Uniwersytetu lwowskiego jako estymator pełen niedzi, niezmordowanej pracy, mistrz drony badań dziejów ojszytych. Cieszył się szczerym a powszechnym szacunkiem, był zaś sam miaromierem skromny. Szczególnie wstał u niego w swoim czasie zastępcą polskiej strony u progu o Morzku Oko z Wezrami. Kiedy u trzydziści lat po ukończeniu Uniwersytetu wrócił do tego profesora z prośbą o pełne daty historyczne, z całą gotowością mi ich udzielił z jego starożytnym list, jako rzecz pamiętkowa, tu dotychczas.

Gdy zaczęto chodzić na Uniwersytet lwowski, był jednym z profesorów teologii ks. Józef Bilczewski. Był blondyn, młody, twarz okrągła ramiona, zawsze nosił czarny miękki kapelusz o szerokich krawędziach. Jako właściciel własnego domu, z którego idąc do Uniwersytetu, chodził zawsze w pobliżu świątyni. Ten młodziutki podówczas profesor, kilkanaście lat później został arcybiskupem lwowskim we Lwowie, ku czemu wiele się przyczynił powstanie mianu profesora Pinieński, następnie namiestnik Galicji, który u tym świętobliwym kapłanie poznał człowieka wielkiej miary.

Innym profesorem teologii był ks. Walega, również młody, twarz jak książka u pełni, nieco opła poznaczona, rosy, o silnej budowie, jako profesor dogmatyki był surowy.

wym, podobnie jak Piętak na prawach. Tento profesor Watego  
był później biskupem w Tarnowie.

Początkowo chodziłem codziennie na wykłady, bo lekcje  
prywatne nie stały temu na przeszkodzie. W sali wykładowej  
można było młodzieź podzielić na 3 rodzaje: Żydzi zalegali  
pierwsze ławy, każdy z nich przychodził z papierami; notował  
stos profesorowi, uczył się gorliwie (były wersje, że nora, że nieprzód  
tego, co profesor ma wykladać), pytali się wzajemnie i pochtaniali  
naukę. Drugą kategorię tworzyła katolicka młodzież bogata,  
pięknie ubrana, chodząca na wykłady dla parady i dla zabicia  
czasu. Była to warstwa zamknięta w sobie, stroniąca od plebejów,  
nosząca się wysoko. Wreszcie trzecia kategoria, to przełotne pta-  
ki, młodzież uboga, ten i ów pojął się na kilka tygodni  
lub najwyżej na miesiąc na wykłady, słuchał z zainteresowa-  
niem słów profesora, starał się, nawet podnycić, bo czegoś  
mi znal, wyjmuwał tam notatki z kieszmi, co notował oło-  
weczkiem, jakby chciał koniecznie ~~to~~ utrwalić w notatce  
słowa profesora, z których się musi potem zdatować sprawę przy  
ciężkim egzaminie. Ale było tylko powrasy tego biednego  
młodzieńca, zasoby materialne wyczerpały się rychło, musiał  
wracać do domu z pożyczonemi w Bibliotece słuchawów prawa  
skryptami i uczyć się ze suchych zapisków. Za skłamanie się  
do tej trzeciej kategorii. Pieniądze od ojca otrzymane były  
na młodożem, początkiem więc bardzo gorliwie starałem  
się w jakiejś pożytecznej zajęcie. Schodziłem pół  
dnia po rozmaitych kancelariach adwokackich a pro nie  
wszędzie adwokat zobaczywszy mnie, sądził, że to klient,



zbliział się ku mnie elastycznym krokiem i z przyjaznym uśmiechem pytał, czem może służyć, lecz gdym go prosił o danie mi miejsca w jego kancelarji, zrobił twarz surową, uśmiech nagle zmiknął, odpowiedź była krótka i ośchła, odwracał się odemnie i szedł do dalszego zajęcia przy swoim stole. Nazmierzatem takich gorzkich odpowiedzi całe tuziny. Gdy z powodu bezowocnych poszukiwań byłem mocno zgnębiony, otworzyłem pewnego razu swój kuferek i porządkowałem mój mały majątek i dokumenty. Czesły przegląd tych drobiazgów czynił mi przyjemność, bo zdarło mi się, że przeciw jeszcze mi jestem tak pozbawiony wyrostku. Pranie w najkrytyczniejszym czasie, gdy gotówka ~~prze~~ niemal już była wyczerpana, przy takim przeglądzie mego mienia, znalazłem w jakiejś notatce banknot pięcioguldenowy tamże złożony a zupełnie zapomniany. Bardzo się tem cieszyłem. Istny cud boży, weszła mi więc otucha do piersi. Jakiż stał się niebawem drugi cud. Dostał w Magistracie lwowskim zajęcie kancelaryjne student filozofii Teodor Kaspercki, dawniej student w Stanisławowie, późniejszy proboszcz w Kasperowcach a ponieć zalewożyckim. Kaspercki odjechał na wieś na guvernerkę, ale mi chcąc tracić miejsca w Magistracie, dał tam na zastępce mego Nikołaja Horodyskiego, prawnika. Gdy jednak i ten odjechał ze Lwowa, wstąpiłem na jego miejsce, przeorałem i ekspedycje magistrackie i pobierałem 30 zł. austr. na imię Kasperckiego. Byłoby sume jak na ówczesne stosunki wcale pokrzepa, nawet zaradkość godna, ale tu potrzeba było za mią pisać od rana do późnego wieczora (z przerwą objadową). Choć więc pennij stanętem

na nogach, jednak o możliwości chodzenia na wykłady uniwersyteckie mowy być nie mogło. Lekcję u Rozmaitości straciłem. W Magistracie wtedy był prezydentem Mocknański, wiceprezydentem Marchwicki, tzw. pierwszym delegatem (tj. jakby drugim wiceprezydentem) Michalski, późniejszy prezydent miasta po Małachowskim.

—\* LWÓW: (Tragedja jakich mało.) Są tragedje, które przekraczają najbujniejsze fantazje pisarzy. We Lwowie, znany jest dobrze, chudy, wysoki, nędznie ubrany, kolporter i żona jego sparaliżowana, na wózku sprzedająca gazety. Jest to Miko Małachowski, syn sławnego przed wojną i wielce zasłużonego byłego prezydenta miasta Lwowa, i żona jego, była chórzystka teatru Rozmaitości. Człowiek inteligentny, z maturą gimnazjalną, tuła się dziś po ulicach, ciągnąc wózek ukochanej, lecz sparaliżowanej żony.

Nawiasowo tylko dodam tu krótką notatkę dziennikarską z r. 1926, zawierającą wzmiankę o tragedji, jaką przeżywał syn prezydenta Małachowskiego w tym samym mieście, w którym ojciec jego był adwokatem i pierwszym dyrektorem.

Usadowiłem się więc u rektora lwowskiego na trzecim piętrze od strony domu Sobieskich i wśród dużego szeregu pracowników pracowałem przy stoliku. Był to tzw. ekspedyt, gdzie przepisywano się i czytowało wszystkie referaty. Kierownikiem tego ekspedytu był stary ciotnik Jabrowski, postać oryginalna, odwieczny magistratnik, przestraszony biurokrata, silnie nas popierał, gromił, pomrukiwał po kątach, spoglądał wyniośle po wszystkich ~~katkach~~ ~~katkach~~ stolach i był po-



strachem pisarskiej rzeszy. Gdy tylko jakieś nieznaczące podskrobanie zaszły na arkcie, zwracał, krzyżąc z niemiecka: oho - panie X., nichts draussen! nichts draussen! piesz pan jezore raz! Na mnie nie był taskan, ciągle mówiąc „co to panie dzieje - hm, ten tego, coto jakiś zastępca zastępcy djętarjusza! - to jezore za czasów mojego urzędowania nigdy się nie zdarzało.” - Ale ja niedziatłem cicho, pisałem „karakki” magistrackie z moziłnie najniższą starannością, znowitem wszystkie uwagi dubrowskiego, każde nichts draussen zaraz skwapliwie przepisywałem, składając wież na referenta, że niewyrażnie napisał referat. Tak nadszedł lipiec 1893, z jednej strony zola u okna dubrowskiego byłten jako jurysta i jako „zastępca zastępcy”, z drugiej strony jakiś radny miejski poczał przechodzić do biura dubrowskiego, zamykały się drzwi od biur dalszych i coś obaj tajemniczo szeptali, co uważać należało, że chodzi o wkręcenie Rogoś do Magistratu, a wreszcie mi wielki był sens siedzieć w Łwowie, gorzko pracować na to, by pieniądze przejechać a mi módr nawet na godzinę wymknąć się na wykłady. Zaraz po ukonńczeniu roku uniwersyteckiego podziękowatem dubrowskiemu za pracę, pozbieratem na Uniwersytecie podpisy, a nakupiwszy za mozołnie sprzedany grosz książek i skryptów prawniczych, pojechałem do domu rodziców do Łatucha nad Zbruczem. Tak ukonńczyłem pierwszy rok prawa o herbacie przerażenie, nie zasnawszy Łwowa inaczej, jak chyba u jakąś niedzię. Czem się wreszcie zasnęły wszystkie prace zarobkowej. Byłto

marnie przepędę rok w życiu człowieka, ale stanowił równieży szczebel do roku następnego, ważniejszego.

Po powrocie do domu począłem gorliwie się uczyć prawie do egzaminu, który się zdarzało po drugim roku studiów. Ale ta nauka daleko mi była niezmiernie miła, że po ogromnie długiej rozłące przebyłem niemal rok cały razem z rodzicami, bo właśnie, gdy po szóstym roku życia opuściłem dom rodziców, idąc do szkół, teraz dopiero znów doń wróciłem. Ojciec się bardzo cieszył, że w rodzicielskim gronie. Sześć cały schodził mi na nauce, wieczorem wracał ojciec do domu, czytaliśmy wspólnie gazety, kwarty, radzieli, wspominali dawne czasy, roili na przyszłość. I tak mijał czas szybko, nadeszła wiosna 1894, znów mój zacny ojciec zebrał pokasną sumę 118 guilderów, wręczył mi ją i wyprawił do Lwowa, abym jeszcze przy końcu roku szkolnego pojawił się na Uniwersytecie, dokończył przygotowanie do egzaminu i zasiadł do zdawania.

Bawił wtedy w Lwowie mój starszy brat Jerzy, który odbywał jednoroczną służbę wojskową przy 30 pułku piechoty, a że Roszary jego były przy ulicy Łamarstynowskiej, mieszkał z niedzielną Roszar z Kulega Rybickim przy ulicy Pamięńkiej 12. Ja przybyłem do nich jako trzeci i zamieszkałszy razem, mając ładny pokój frontowy i schludną kuchnię. Odtąd chodziłem pilnie na wykłady, dowiadywałem się ożretnie o wymaganiach przy egzaminie i uczyłem się z całego sił. Następnie, mniadono mi dzień 12 majem przyjechały rozdzieliłszy się z Rybickim, wyprowadziłszy się z ul. Pamięńkiej na ul. Ormiańską, gdzie zamieszkał z



dwójkę z bratem pokój z oknami na al. Skarbowska (na-  
 przeciw Seminarjum nauk. zeni.) — i tych kilka miesięcy, które  
 spędziliśmy razem w braterskiej zgodzie i wzajemnej pomocy,  
 pozostało mi na zawsze w miłej pamięci. I znów wzięto  
 się do pracy całą siłą, bo egzamin z dwóch lat pracy był bardzo  
 ciężki i mnóstwo graminów przy mnie promotnie padało.  
 Pamiętam gdy raz już szarówka rozświetliła się na oknie, zaro-  
 tał ktoś na mnie z przeciwnej strony al. Skarbowskiej. Był to  
 Hubert Cinde, dawny cenzor burzy stanisławskiej, naówczas  
 urzędnik powiatowy w Łwowie. Zwróciwszy się do mnie: co tak study-  
 jesz marjański, nie bój się będzie dobrze, będą Cię tatua-  
 pytać! A oto niemiarem przypało to pytanie! Zgłosiłem  
 się na pierwszy okres zdawania, tj. przed ferjami, bo moż-  
 na było zdawać także po ferjach. Na tablicy uniwersyteckiej  
 ogłoszono porządek zdawania pierwszego egzaminu pro-  
 winnego, gdzie widniało także moje nazwisko. I znów za-  
 biło mi serce radością i niepokój spotęgował się u naszy  
 — porwaliśmy do domu, robiąc co iko u mojej mocy było,  
 by osiągnąć pomyślny rezultat. Wreszcie nadszedł dzień  
 mego egzaminu: środa 25 lipca ~~1894~~ 1894, a więc ten sam  
 dzień i tygodnia, i jakim zdawaniem maturę. W poprzedni  
 wtorek wieczorem odszedł mój brat z oddziałem wojskowym  
 na całą dobę na wartę do składów intendantury na Janow-  
 skiem przedmieściu, noc przed egzaminem spędziłem więc  
 sam. Rano w środę gdy mi obudził, zdawało mi się, że wszyst-  
 kie nauki tworzą u mego głowie ogromny chaos, porządek więc

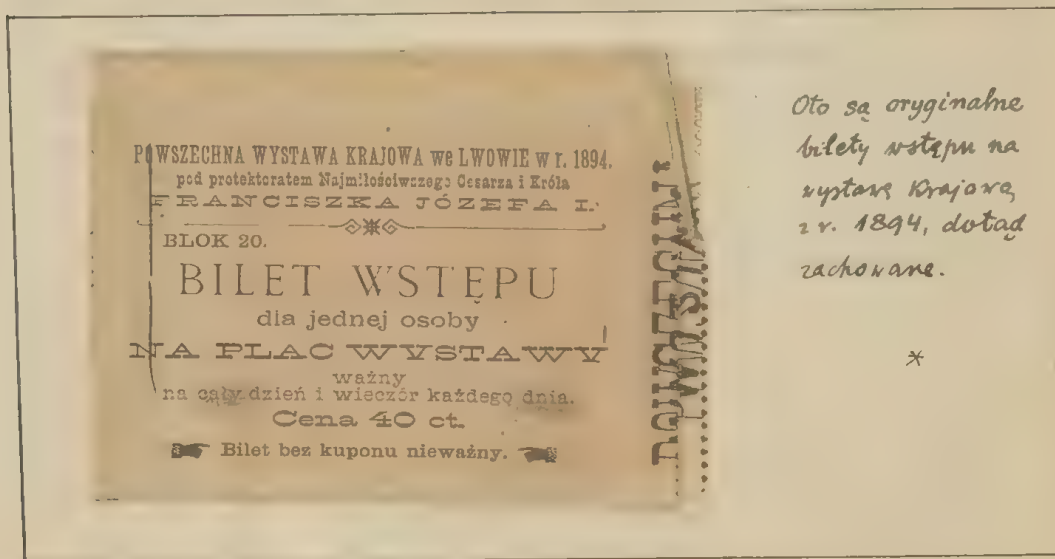
co wamiejsze pospiesznie przeglądać, tak i jni brakło mi czasu do  
 przygotowania sobie świadania, choć brat na odchodne wszystko mi  
 przygotował. Skonczyło się na tem, że wypitem dwa surowe jaja  
 i z tem odszedłem. Po przybyciu na Uniwersytet odnalazłem za-  
 raz swoich towarzyszy niedoli, którzy razem ze mną mieli  
 zdać egzamin i ożekiwaliśmy z biciem serca na Komisję. Na  
 zawsze pytań <sup>egzaminatorów</sup> o skład bardzo wiele zaleriato. Wreszcie  
 zjawili się Komisja, przewodniczący Piętaś wskazał nam miej-  
 sca przy drugim, podobnym do bilardowego stołu i poszedł się  
 egzamin. Na trzech nas zdających, ja byłem trzeci z rzędu.  
 Prawa rzymskiego pytał Piniński, a jak sam był estowie-  
 niem bardzo rozumnym, tak też rozumnie pytał. Kościel-  
 nego prawa pytał Abraham, wymagając gruntownie, wreszcie  
 niemieckiego prawa pytał Janowicz scale względnie, duszo sam  
 mówiąc. Przedmiotem egzaminu były te właśnie trzy prawa.  
 Po jakich trzech godzinach egzaminu odeszła Komisja na rada-  
 de, po niedługiej pauzie pojawił się Piętaś u sali, oddał nam  
 nasze indeksy, a u Karidyn świadectwo i rzekł: Komisja uznała  
 wszystkich trzech egzaminowanych za zdeterminowanych. Powiew  
 szczęścia przeszedł przez głowę, liczeni Koledzy znani i nie-  
 znani, stuchający egzaminu poczęli się ciskać i gratulować,  
 gratulował także i wózny przy drzwiach, że co pozostał mi  
 srebrny gulden w ręce, bo mięt bez takiego guldena gratula-  
 cyjnego u Rieszonce Rannizelski nie wybierał się do egzaminu.  
 Szczęśliwy, lekki, wolny od natłoczonych u głowie instytucji  
 prawniczych opuściłem gmach uniwersytecki i zderzyło mi się,



że wszyscy ludzie są weseli i usmiechnięci i że moje szczę-  
 ście dzień każdy przechodzę w miłość. Wszakże miałem po-  
 łowę praw za sobą. Pierwszą myśl była, podzielić się szczęśli-  
 ścią wiadomością z bratem. Konnym tramwajem dojechałem do  
 kościoła św. Anny a stamtąd poszedłem ku szpitalowi wojskowy,  
 bo na Janowieńskim tramwaju nie było. Na bramie przy budce  
 stał żołnierz srogie z najeżonym bagnietem, broniąc mie-  
 nię wojkowego. Po krótkiej rozmowie wpuszczał mnie na dzie-  
 dziniec, zastany wielką ilością budynków koszarowych ze  
 składami. Już z daleka zobaczyłem w powietrzu domek  
 niewielki, stanowiący strażnicę, a przed nim na prostej tawie  
 ce pod oknem siedział mój brat i czytał jakąś książeczkę  
 o ceglastej okładce ze znanej powszechnie biblioteki. Recla-  
 ma. Usiadłem na mój widok, bo już samo moje przybycie  
 świadczyło o dobrym wyniku. Usiedliśmy razem na owej ławie  
 wojkowej, opomiedziatem ma przebieg egzaminu i po jakiej  
 pół godzinie, pełen myśli oświecony odszedłem do domu.  
 Ciężkie kamienie spadły z moich pierś. Na pamiątkę tego  
 szczęśliwego wyniku kupił mi brat całą dzieła Schillera,  
 które posiadam dotąd. Gdy byłem uczniem gimnazjalnym, mó-  
 wiło się zawsze, że matura jest najcięższym egzaminem państwo-  
 wym. Jednakże i istocie tak nie było. Każdy egzamin praw-  
 niczy przewyższał kilkakrotnie swoim ciężarem i zakressem  
 maturę. Przy tym pierwszym egzaminie padali prawie już  
 zdzieleni pod korą, czasami całemi serjami. Toteż kiedy na II  
 roku sala wykładowa żadną miarą nie mogła pomieścić

stuchaczów, na III roku tylko rozszpita garstka zasiadła do słuchania wykładów, może czwarta, może piąta część z poprzedniego roku.

W tymto roku 1894 urządzono we Lwowie słynną wystawę krajową na wzgórzach parku Stryńskiego (Kilińskiego). Cały Lwów rozstrzemiwał ciągle od nowozeridziących gości, rzędy stryjokie roito się o natłoku ludzkiego. Ja nie po egzaminie kilkakrotnie wystawę odwiedzałem. Największą atrakcją była wspaniała fontana, która wyrzucała jednocześnie kilkanaście strug wody w górę a wieczorem oświetlana była różnobarwnym światłem elektrycznym. Cysterna betonowa z postaciami alegorycznymi miała dużą wartość artystyczną. Wtedyto powstata na placu wystawowym słynna panorama nactawicka, dzieło malarza lwowskiego Jana Styki.





Trzeci rok prawa spędziłem przeważnie w domu w Ła-  
tucz, bo podjęciemi dla wszystkich przedmiotów były bari-  
dzo dobre i dokładne, można się było zarówno wygodnie u-  
czyć w domu, jak i w Lwowie. Na czwartym roku wrócić  
pranie cały VIII semestr niedziatę w Lwowie, mieszkając u  
mego szanownego stryjecznego brata Erasma (ul. Batorego 24),  
chodząc codziennie na wykłady i niemal cały dzień prze-  
niadając w Uniwersytecie. Wtedy dopiero po raz pierwszy  
pozwolono drugiej egzaminu prawniczy (także sądowy) zda-  
wać przed Jęzajem, z czego korzystając ogłosiłem się u prze-  
wodniczącego tej Komisji prezydenta Sądu Bancho, prosząc  
o daleki termin, by móc jeszcze słabe miejsce ponad-  
rabiać. „O to mi, Kaidy prosi” — odrzekł Bancho — dalsze dni  
lipca są już obsadzone, mogę dać 16. lipca 1896. Zgodziłem  
się na to i gdy nadziedzi dzień wyznaczony, znów zawiadom  
do egzaminu z duszą, na ramieniu, ale tym razem jeszcze  
szczęśliwiej mi poszło niż przy egzaminie poprzednim. Pytań  
w tej serii profesorowie Jell, Balesito i prokurator Sere-  
downski. Nie był jeszcze rok uniwersytecki ukończony, jeszcze  
Koledzy moi chodzili na wykłady, ja zaś już szczęśliwie wyu-  
żałem się z egzaminu a temsamem pranie ze skutkiem studia  
prawnicze ukończyłem, bo trzeci egzamin był mi prawniczy, lecz  
administracyjny.

Znów powróciłem do Łatucza, dobrze odpocząłem, a po-  
niżej z dwoma egzaminami można już było wstąpić do stie-  
by państwowej, przeto odjechałem do Lwowa, aby rozpatrzyć się

i coś o sobie postanowić. Zjechałem znów we Lwowie do brata  
 Erasma, gdzie tak on, jak i jego żona Hermína starali mi  
 zawsze serdeczną opieką. Ponieważ Erasmus był urzędnikiem  
 Wydziału Krajowego (tj. władzy wykonawczej Sejmu Galicyjskiego),  
 dlatego na jego poradę postanowiłem także ją wtępić do Wydzia-  
 łu. Ale trudno było tam się dostać. Marszałkiem Sejmu i prze-  
 łożonym Wydziału był wtedy hr. Stanisław Badeni, od niego za-  
 leżało wszystko. Znalazłem jednak i do niego drogę. Oto jed-  
 nym z członków Wydziału Krajowego był dr. Gloszard, posel  
 na Sejm z powiatu bocheńskiego. Odniosłem się piśmem do mego  
 dyrektora gimnazjum Łutkiewicza <sup>w Bochni</sup> o pomoc. Ten mi odpisał  
 (a byłoby ostatnie w życiu jego odezwanie się do mnie) że Gloszar-  
 da nie zna, ale zna go dobrze Trybulec, dawny burmistrz ~~bocheński~~  
 bocheński i ten pisze do Gloszarda list za mną. Tymczasem lepsze  
 wiadomości otworzy się dla mnie przy władzach skarbowych. Zrobitem po-  
 danie, poszedłem do ówczesnego prezydenta Korytowskiego i wysta-  
 tem pragnę do władz skarbowych. Do Gloszarda jednak udało się  
 i podziękowałem za względy, bo tymczasem on już wyjechał mi przy-  
 jęcie u Badeniego, z którego jednak nie skorzystałem. Gloszard  
 był miłym typem. Staruszek o białej brodzie, zawsze chodził  
 w polskiej czapce ze swoim nieodstępnym różowym piero-  
 jamnikiem. U niego w biurze siedział on pisał na biurku  
 i dawno kłosa robił, gdy się kto obcy do biura pokazał.

Dnia 19. stycznia 1897 rozpoczęłem moje pierwsze  
 w życiu urzędowanie przy Administracji podatków we Lwowie  
 przy Placu Cłowym. Na zebraniu tego był radca Nawrocki,





Оgólny widok Lwowa.

30854 Z fot: D. Mazura, Lwów. Nakładem S. W. Niemojowskiego we Lwowie.

całowiek wysoch, rosty, barczysty, niezumierne ruchliwy. Brakło mu urzędniczości, więc nie szły mu maza i nie przyszedł mi tak-  
niejsza robota, a to opodatkowanie ciekawczy, handlowców i jeszcze  
jakies' inne działy pracowników najniższej sorty. Siedział-  
tem razem w jednym biurze z inspektorem Kaniembrodzkiem  
i ten mi pouczył o całym urzędowaniu. Ledwie się zaważtem  
rozglądać w przepisach podatkowych, aż tu ogłoszono, że także  
Sąd przyjmują pracowników z dwoma egzaminami, trzeci zaś  
można zdać do Bzeicim niemieckiej. Zapaliłem się do myśli prze-  
miany skarbowości na sąd i po grantowej naradzie z drożd-  
mireckim, który tymczasem już był asystentem <sup>Sadowym</sup>, postanowiłem  
przejsć do Sądu. Napisałem więc podanie w drodze sturibowej  
i wniosłem przez ręce Wawrzakowicza. Odtąd zagroził się on  
na mnie trochę, nie dawał mi nic do roboty, nie mówił  
nic do mnie, gdy przyszedł do biura, na mnie mi patrzył.  
Odetchnałem, gdy dnia 15 marca 1897 przysłało uwolnienie moje.  
Tegoż dnia zgłosiłem się u prezydenta Sądu Baacha przy  
Placu Trybunałskim i zostałem przydzielony na praktykę do Sądu  
powiatowego Sekeja I we Lwowie (przy ul. Grodeckiej, przed Rosdo-  
tem św. Anny).

Gdy się usadowiłem w Sądzie byłem stokrót zadowolony  
z tej przemiany. Inni ludzie, inna atmosfera, inny ton, inna  
praca, wogóle byłem wprost szczęśliwy. Niebawem otrzymałem adja-  
ntum 41. guldenerów austr. miesięcznie, zamienkater z moim Ro-  
legą Golonką z Nowakowskich przy ul. Ciohej, zdatem trzech egza-  
min prawniczych i pracowałem w sądownictwie bardzo chętnie.



Tymczasem brat mój Serydory został profesorem gimnazjum w Samborze i ożenił się. Mając w pamięci tyloletnie jego oddanie dla mnie, miłość braterską i pomoc szczerą w każdej potrzebie, postanowiłem przejechać się ze Lwowa do sadu w Samborze a temsamem zamieszkać z bratem w jednym mieszkaniu i nadal ze spoliczyć się z jego bratnią duszą.

Pod jesień 1897 udałem się do prezydenta sądu apelacyjnego Excelencji Tchórznickiego z prośbą o przeniesienie. Tchórznicki był niekiedy administratorem, ale z niekrytą wyniosłością odmawiał się do podrzędnych i otaczał się <sup>tak</sup> reduciowiczym nimbem. Żaden monarcha nie patrzył z górnych wyżyn na prostego szeregowca, jak Tchórznicki spoglądał na asystenta. Kiedy wyraziłem prośbę o przeniesienie do Sambora, zebrał mnie z góry, że tam gdzie Karidego przeznacza, tam ma pracować, a nie przekierować w innych miejscach, karał mi odejść i dalej pracować tam, gdzie jestem. Zinnem mi się wydało zachowanie prezydenta, bo wstał mi inni wypraszał się przed odejściem ze Lwowa na prowincję, że dopiero pierwszy prośbą o takie odejście i nie spodziewał się odmowy. Zważywszy więc i pomysłów audjencji, poruciłem nadal do Serleji I i niedzielną na miejscu. Z jednego dnia niespodzianie otrzymałem pismo o przeniesieniu do Sambora i o asygnowaniu 5 zł. salariusza na koszt, z których po przybyciu na miejsce

miatem się wyliczyć.

Opuściłem tedy Lwów, aby don' nigdy już nie powró-  
cił na stałe. Drogie, szerokie polskie miasto, które przez  
pracę u Magistracie lwowskim poznałem doskonale, znając  
każdą uliczkę, każdy dom niemal i mnóstwo ludzi —  
Lwów stał się dla mnie woltą, tylko pamiętką i miłym  
wspomnieniem lat młodych, choć dopiero początkowo  
ciężko przebytych.

Wyjeżdżając ze stolicy naszej z lekkim sercem,  
mię zdając sobie wtedy sprawy z tego, co tracę, a w póź-  
niejszych latach nieraz tej dobrozornej rozstanki żałowałem.

\*

\*

\*



Sambor

*Wspomnienia kandydata sędziowskiego.*

32.



# Sambor

. Lata 1897 do 1899.

Mając w pamięci przepiękny obraz podolskiego pobra-  
zia dniestrowego, byłem zadowolony, że jadę do Sambora, poto-  
żonego nad Dniestrem. Sądziłem, że znów zobaczę na dnie-  
strowych brzegach malownicze stromy skalne, zawrotne jary,  
przepasiste wertychy, pośród których posuwa się spokojna,  
szeroka rzeka w całym swoim wiekowym majestacie. Mia-  
łem nadzieję, że odnowię ponownie te moje dziecięce cza-  
rowne wrażenia, jakie wyryte miałem w duszy z czasów  
pobytu w okolicach Okopów s. Trójcy, że usłyszę z nad-  
brzeżnych pól tęskną dawkę, płynącą z biegiem na-  
szej rodzimej rzeki: hen na przestronne, romantyczne  
Podole na stromem Żwanica, Uszycy, Mohilewa, Jampola.  
Mając się mi nie po głowie, że możliwe powroci jeszcze  
echo i odbłyśk tych mroźnych lat przeżyć, jakie  
przeżyłem w zaraniu życia na tonie słownych okolic  
naddniestrzańskich na Podolu! Jedłem do Sambora pra-  
wie że rozmarzony, choć tajemnie tłoczyła się do piersi

przemocą jakas' złości nieznosna, ci opaszoram mury Lwowa, kto nie, czy nie na zawsze.

W rzeczywistości jednak Sniestr płynie zdaleka od Sambora, a brzegi jego nie mają wcale tego wrota, jak podolskie jary, niema u nich ni powabn, ni czar, a zamiast tęsnej dumki podolskiej, słyszy się pod Samborem swary kłótniowych i piemiących mieszkańców miśdalewskich Kulczy, którzy do historii przejść winni, jako najszlachetniejsza nasza na całym nadniestrzu (a bodaj czy i nie w całej Polsce).

\*

Inaczej opisałby wspomnienia ze Sambora rodowity samborzanin, lub ktoś, kto dłużej u niego przebywał lata, a inaczej narysował to ja, który mieszkałem u Sambora jedynie 16 miesięcy, ztądżem, że spionę te moje spotrzeżenia dopiero w 26 lat po opuszczeniu tego miasta. Muszę cytelniel mieć dla mnie wiele wyrozumiałości, ztądżem, że i tak silnie się napisać uszytko to, co mi u pamięci pozostało.

Początkowo, gdy jeszcze u moim umyśle tkwił obraz Lwowa, wydał mi się, Sambor mały, mały, zapadły, przygnięty, ale z wiekiem czasem, po zapoznaniu się z ludźmi i po zryciu się z nimi, polubiłem to miasto, stało mi się ono miłe, swojskie, familijne, tak iż ~~zając się~~ po wyjeździe z niego, sięgatem nieraz myślami do moich czasów samborskich, chętnie bym był znowu do Sambora powrócić, bo u mnie ztoreż. Sambor miał



ludzi bardzo cacych, prawych i przyjacielskich, z którymi pojęcie było serdeczne. Lgnęli samborzanie do duszy jakby rodzina najbliższa i iść było rozory z nimi się żegnać.

\*

Pozostał mi dotąd w pamięci mój przyjazd do Sambora. Był to pogodny, jasny dzień jesienny 1897 r., gdy pociąg osobowy od strony Irohobycza dojeżdżał do Sambora. Spojrzawszy z ciekawością przez okno i zobaczyłem z oddeku pierwszy raz w życiu Sambor, potężny malowniczo na wzgórzu. Ukrył w sobie średniowiecznego grodu, wieże Kościoła i ratusza pięknie się wyróżniały na widnokręgu. Procz brata nie znałem tam ani jednego człowieka, jechałem na niebezpieczne losy, wyruszony z pięknej stolicy, z pośród gwarnej gromady kolegów białoruch i z pośród dwu licznego kółka znajomych i przyjaciół. Jechałem, aby wsiadnąć w prowincję i stanąć w szarym szeregu pracowników sądowych. Wnet pociąg zatrzymał się na niewielkim lecz schludnym dworcu a z kilkunastu minut później wiozł mnie znowu dorożkarz do hotelu Polańcowicza przy ulicy Przemyskiej. Nie wiele ten hotel różnił się od sławnych "domów jezdnych" w Kopyczyńcach. Poskładawszy w pokojach gościnnych sławnych podróżnic, wyszedłem popatrzeć na Sambor. Puls życia miejskiego koncentrował się w rynku, który się wcale harmonijnie przedstawiał. Pośród rynku stał szary ratusz z kształtną wieżą z zegarem

wykonanym w otosii reka regarnistra samborskiego Żybor-  
skiego. Z rynku rozbiegało się dziewięć ulic w różnych kie-  
runkach. Tylko w rynku i w jego najbliższym sąsiedztwie  
były kamienice piętrowe, dalsze ulice miały parterowe  
domy z ogródkami i sadami. Rynek i principalne ulice  
miały chodniki z płyt kamiennych, dalsze ulice były  
tylko szutrowane. Całe miasto nosiło na sobie cechy sta-  
rości i archaizmu. Niedaleko dworca Kolejowego ciągnął  
się niewielki park miejski, miał wycięte i szutrem wysy-  
pane aleje i nieco tarasów do spacerów. Był on miłym  
miejszem wytchnienia, ale dostęp doń był niemożliwy, bo  
ulicą Lwowską, która stanowiła dojście do Kolei, a prochy  
~~szutrowe~~<sup>chodzące</sup> ~~przechodziły~~ <sup>przechodziły</sup> się ciągle po całej ulicy i siegały aż do  
końca parku.

Przez pełną część miasta przepływała młynówka, od-  
gatemiona sztucznie od Dniestru i skierowana do dużego  
młyna Jarosławickiego na Bliskim. Woda spadająca z kół obro-  
towych młynówskich szumiła na całej przedmieszcze, jakby w-  
dopad jaski, a ponieważ w pobliżu mieszkaniem, miastem go  
pełne uszy w dzień i w noc.

Tego dnia oglądałem Sambor tylko pobieżnie, a dopiero  
nastajęca rano więcej go poznałem, szukając dla siebie pokoju.  
Ktoś kusił Bernardynów resztą w dół na Bliskim i  
zatrzymałem się obok kilku kamieniczek niedaleko młyna  
Jarosławickiego. Tu mnie postąpiła jakaś kobieta skromnie ubra-  
na i reputata, czy mnie szukała pokoju. Zdziwione, że tak

odgadła moje intencje i wnet wynajęła mi najładny, stonowany pokój za 5 guldenv. amst. miesięcznie. Była to wdowa Blichora, miała dwóch synów i jedną córkę, pracowita, rachliwa, uczciwa i dobra, oddana trosce o dzieci. Mając dość natłoczone, przy pomocy brata kupiliśny w składzie mebli skromne urządzenie i statem się wdała mieszkaniem samoborkim. Gdy pierwszą noc spałem w moim pokoju, wybuchł długi pożar na Blichu obok szpitala, całe miasto ranoło na miejsce pożogi, szkieł, krzyk, łtożenie, tuła pod niebiosami bita a straciłszy pracę gorazdkowo. Była to kilkanaście domów ze moim pomieszkaniem, nie popatrzyłem z daleka na to nieszczęście ludzkie i odszedłem na spoczynek.

Była mi jednak w pokoju głucho, nie kupiłem sobie skromny regał ścienny o ozarnych, okrągłych ramach, z regami i wdał sam nie byłem wśród ścian, bo zdarło mi się, że z tego mechanizmu regalowego, odzyskało mi jakieś życie.

\*

Nakoniec był burmistrzem miasta Sambora adwokat Bendorzynowski. Gentle Rathenau, natione Polonus, starszy orłowiek, bezdzietny, miły w obejściu, rozsądny w mowie, wygodny w życiu. Proiz adwokatury i burmistrzostwa, miał jeszcze jedno bardzo ważne stanowisko. Oto w okręgu samborskim (z nieznanymi mi stronami) żył pewien magnet. Ono miał córkę nieprawego pochodzenia, której matką była jego siołcznica.



Magnat umierając, zapisał cały swój majątek swej córce. Dla niej właśnie opiekunem a zarazem zarządcą tej miljonowej fortuny był ten sam adwokat Bndzynowski. Klucznica ta wysłała samego za emerytowanego rotmistrza, on stał się więc ojcem swej córce i gorąco zabiegał kogo tego, aby go zrobiono opiekunem i co za tem idzie oddano mu zarząd obywatelskiego majątku. Ojcem ten miał za doradcę byłego adwokata lwowskiego Jaśkowskiego, zgłosił się raz w sądzie obwodowym i oznajmił, co następuje. Powiedział, że to nie magnat, ale on sam jest ojcem swej bogatej panienci, a zataił to dotąd, bo miał wzgląd na swój stopień wojskowy. Obecnie jednak nie może już dłużej zadržać gruntu własnemu sercu, sumieniu mu nie daje spokoju, wyjawia więc wobec sądu, że jest ojcem dziecka, chce je przysposobić jako swoje a w następstwie żąda oddania mu i dziecka (które było w Zakładzie wychowawczym we Lwowie) i zarządku jej majątku. Sąd nie przychylił się do prośb rotmistrza i podał, kiedy był byłym assekutantem sądowym w Samborze, sprawa ta była głośna i zajmowała wiele posiedzeń sądowych. Bndzynowski oboje gorliwie zajęli się paniencą, kształcili we Lwowie, na świąta i na ferie brali ją do siebie do domu, w lecie wywozili do Kapieli, wogóle troszczyli się o nią, jak o własne dziecko. A z tem wszakże miał Bndzynowski bodaj więcej zajęcia niż z burmistrzostwem i advokaturą razem.

\*

Proboszczem łacińskim był ks. Jörnwald, starsze, który mało ze swego domu się wyruszał, bo był domatorem. Proboszczem unickim był ks. Szczawin'ski, rusin na polskiej kulturze wzrosty, zacny człowiek i szanowany. Najbardziej zaś charakterystyczny

stypowa postać, a ksiądz był ks. Rabciej, katecheta szkół powszechnych, a polskiej podmiejskiej rodziny pochodzący. Przeszedł na obrządek grecki, został ruskim księdzem i z czasem stał się zaryartym wrogiem wszystkiego, co polskie. Z biegiem czasu został po Siczawinskim ruskim proboszczem w Samborze, był demagogiem, zrywcą polonii, z którego wyszedł mi przyjaznym. Rodzony jego brat był urzędnikiem policji samborskiej i został zawsze szczerym polakiem.

\*

Starostą był Kiesznowski, ciotkiem starostom młody, noszący się, jak ireszta, w zyczeniu obojętnym było, wyniosłe, był jednak ciotkiem rozsądnym i dobrym administratorem. Dyrektorem okręgu skarbowego był hr. Sziedluszycki, blondynek, niepokorny, ojciec kilku córek, prowadził dom cichy, o wysokiej kulturze, powszechnie szanowany. Dyrektorem gimnazjum był Tomaszewski, bardzo racjonalny, czynny, o szerokim horyzoncie umysłowym. Później był dyrektorem gimnazjum Franciszka Józefa we Lwowie i posłem do parlamentu, zmarł we Lwowie około r. 1910. Pamiętne było jego ubieganie się o przenieśnięcie ze Sambora do Lwowa. Gimnazjum Franciszka Józefa uchodziło za wzorowe, wybierano więc na dyrektorów ludzi bardzo dzielnych. Gdy zawałowata posada, udał się Tomaszewski do Lwowa do namiestnika, przedstawiając ustnie swoją prośbę. Nie wiem, kto wtedy był namiestnikiem (możliwe hr. Potocki), lecz wiem, że odpowiedział Tomaszewskiemu krótko: o tem może być nie może. Tomaszewski nie dał

za przegrana, a pomnaż, że za czasów akademickich był guwer-  
nerem w domu hr. Zamojskich w Zakopanem, po onj odmowie namiest-  
nika wsiadł we Lwowie na pociąg i wprost pojechał do Łamajskich,  
przedstawiając rzecz całą. Łamajscy mieli ogromne wpływy w Króju. Wła-  
ściwie Tomaszewski nie zgłaszał się do namiestnika, ale w kilka dni  
po odwieżynach Tomaszewskiego w Zakopanem, namiestnik lioznym  
kandydatom na dyrekturę odpowiedział krótko: nie ma mowy  
o innym kandydacie, to miejsce należy Tomaszewski ze Łam-  
bora. Tak więc fortuna uśmiechnęła się nagle w nieprzejędanego  
stanowiska namiestnika na najbardziej przychylne. Tym ra-  
zem względy padły na ostatnie niepowodzenie palet, który  
zadanie swoje spełnił szlubię. Odszedł do Lwowa jwi po op-  
szczeniu przeżyciu Łambora.

Wśród lioznych nanoczyści miało samborskie gimnazjum  
kilka godnych pamięci osób. Profesor Paszkiewicz, starszy, osto-  
niek ze siwą brodą, znany był z tego, że bardzo się bał śmierci.  
Widzianem go kilka razy na pogrzebach, stawał twi wobec otwar-  
tego grobu i kiedy trumna doń spuszczano na nieozny spowij-  
nek, ~~Paszk~~ przykopywał na samą krzyżówkę grobu i pa-  
trzył do wnętrza, jakby chciał sprawdzić, czy istotnie jest się  
czegoś bac w grobie. Cofał się wnet ze zgnębionym wzrokiem. Pro-  
fesor Skryński ~~zamiast~~ gentle Rutenus, natione Polonus, ostoniel  
dobrej tuszy, twarz gębna ze siniejącym wosem, często po Łamboru  
chodził na grzechadzkę powolnym krokiem z profesorską powagą.  
Był dwa razy żonaty, od pierwszej żony miał trzech starszych sy-  
nów, od drugiej miał jednego, neteroxas około 5<sup>tych</sup> letniego



synka, którego Kochał niezmiernie i całe lato nie widział się  
 Krynickiego na spacerze inaczej, jak tylko z tym synkiem. Pro-  
 fessorem przyrody był Łaszkiewicz, ruski gorącego temperamen-  
 tu, całe życie myślał nad powiększeniem majątku, żył więc  
 skromnie, miał swoją realność i ciągle w niej pracował. Polo-  
 miłą był profesor Soltys. Bardzo surowy, stał młodzi baka-  
 nię go i na jego bezwzględności sarkata. 'Średniego wzrostu, trze-  
 golony, wazy i dół opadające, trochę przysedkwały, chodził  
 z rozmachem, mając mignę zaradczą (jakby chciał powiedzieć:  
 co mi zrobisz)'. We wrześniu 1898 poszedł Soltys do Kościoła  
 garnego popatrzeć na brzy grób, a gdy powracał, na schodach scho-  
 dowych kościoła padł martwy. Złoty apopleksja. Pogrzeb miał  
 okazały, studenci nieśli trumny na cmentarz przy ulicy Brzohodziekiej,  
 jednak był on jui jedynym z otatnich tamże chowanych, bo kn-  
 piona i oparkamiona grant od strony Biskupie na nowy cmentarz.  
 Gdy jednak na tem nowem miejscu poszto groby Kopci, pokazało  
 się, że grant ma wiele wody podskórnej. Padł strach na Samborzan,  
 że po śmierci marza nie tylko w ciemnym ale i w mokrym  
 leżać grobie, więc pod rozmaitymi pozorami starano się zna-  
 leść powód spoczynania jeroze na starym cmentarzu, gdzie w gro-  
 bie choć było zimno, ale przynajmniej sucho. Z dalszych profeso-  
 rów wymienię dwóch, którzy mi u Stanisławie mogli, a byli to  
 Szczępaniński i Mirtynski. Szczępaniński, niedoszły zięć profesora  
 Giedorkego, ożenił się w Samborze z córką porażonego Kupca Bu-  
 kietynskiego, Mirtynski zaś, był gospodarz bursy Stanisławskiej,  
 mieszkał w domku przy ul. Brzohodziekiej przy placu na cmentarzu.

Nieraz się z nimi widywałem i rozpoznawałem Stanisławowi wra-  
sy. Młodym profesorem filologii w samborskiem gimnazjum był brat  
mój Derzycy. Wyderzył mnie podówczas oryginalny wypadek. Był  
on świąt po ślubie i idąc raz ze szkoły do domu zagubił obrączkę  
ślubną. Sopięro po przybyciu do domu ~~zagnął~~ spostrzegł zagubę i  
był tem niemiło dotknięty, a aby młodej żony nie zasmucać,  
zataił to przed nią mówiąc, że obrączkę schował, by się nie  
niszczyła. Mnie o tem w tajemnicy wyznał, opowiedział to także  
profesorom. Pociągnął go wówczas profesor Szczępaniński, że i ja sam  
to samo się zdarzyło, gdy po ślubie nadersta parka z naczyniem,  
on je wybierał i gdzieś w ścianie parkankowem obrączkę zagubił.  
Pomimo krzykliwego poszukiwania, niemieliśmy żadnego z osobna  
rozkiełbanego, obrączka nie zatraciła. Miał więc i brat swoją ob-  
rączkę nie zatraconą. Może i trzą do ostry mieniące potem  
zaprowadził go proboszcz Ks. Sornwald do siebie. Nie mógł się domyśleć  
o co chodzi, lecz gdy przypłynął na probostwo, zagadnął go proboszcz,  
czy nie zagubił obrączki. Odrzekł trzeczaco o okazy, ma przez  
proboszcza wnieść za swoją. Pokazano mi, że brat zagubił obrączkę  
na ul. Zielonej, szła jakas stwiera, znalazła ją i zabrała do siebie.  
Przy opowiedzi wypadała znalezienie, przeto Ks. S. jej obrączkę przy-  
niósł i po dacie na niej wyrytej poznał, że to musi być wła-  
snością brata. Tak oryginalnie odzyskał zagubę i odteż strzegł  
jej staranniej.

Później gimnazjum było w Samborze seminarjum nau-  
czycielockie męskie, którego dyrektorem był Keresjarto, brat  
dyrektora gimnazjum staniawskiego i dość do niego podobny.

W temto Seminarjum był profesorem Kratochvila, poprzednio nauczyciel seminarjum w Stanisławowie. Bardzo przystojny i miły człowiek, przez młodzież Kochany, uchlany, pracujący społecznie z poświęceniem, został potem po latach następcą ~~tego~~ H. Rejzartę, a prócz osobistych przysług dopomógł mu do uzyskania miejsca dyrektora następująca sposobność. Kratochvila był zadowolonym myśliwym i cieszył się przyjaźnią licznych zwolenników Tomaszewskiego kłosa. W okolicach Łąki pod Samborem miał jakiś magnat polski obszerne łowisko przetrzemię, na którym mnożyły się liczne stada dzikich kaoszek. Ten to magnat urządził raz polowanie i zaprosił na nie któregoś z arcyknieziów austriackich, specjalnego amatora polowania na kaczki. Zaprosił na nie także i Kratochvila i jemu oddał całe przeprowadzenie i urządzenie polowania. Kratochvila przeprowadził je doskonale a umiejętnie, arcyknieź był z przebiegłymi łowami niezmiernie zadowolony, przez Rolacji specjalnie za to Kratochvila dziękował, wyrażając, że Kratochvila jako człowiek ~~miły~~ miły i dobrze ułożony wielce się arcyknieziowi podobał.

W roku lub w dwa lata po tem polowaniu zawiązało się miejsce dyrektora seminarjum samborskiego. Kratochvila starał się o nie, ale miał także Kontrandydatów. Gdy zachodziło niebezpieczeństwo odmowy, udał się do owego magnata, ten odniósł się z prośbą do arcykniezięcia, który bardzo dobrze przypomniał sobie miłego profesora, poparł go w śladę centralnych i Kratochvila został dyrektorem. I znów tak samo jak o Tomaszewskim, można powiedzieć o Kratochville, wybór padł na godnego Randydata, bo tak



mlodości jak i spoleczeństwo przychylnie przyjęło dokonane nominację.

Odbiegłem nieco od szkicu ogólnego, ale piszę co mi jeszcze z tych odległych lat w pamięci pozostało. Nieco więcej pamiętam o instytucji, w której pracowałem, tj. o sądzie. Nad młynówką na dole, obok młyna Tarnowskić, duża przestrzeń zajmował niegdyś jakiś klasztor piętnoś z Kosciotem. Klasztor dawno zmieniono a pozostały obszerne, jednopiętrowy budynek i Koscioł przemieniono na sąd, dobudowując kilka powozowych budynków ~~zadzi~~ i wozownię. Była to wszystko stara, niewygodna, ciemna, ciarna a zinną rudera, nie nadająca się wcale na urząd, ale przetrwała przez długie lata stawiła ona na sąd obwodowy. Podczas kiedy rektoratem się do sądu samborskiego jako auskultant, był prezydentem sądu Adolf Sahaneć (dawniejszy prokurator samborski), wyróżniał wielkimi zdolnościami, morce jakich mało było w kraju, średniej pracowitości, szlachetny w dziciństwie, rozważny w życiu, trafny w sądzie i sadzeniu, wyrozumiały w stawkach, ludzki w obcowaniu. Płoszy, przystojny, brunet, lubiał życie szeroko, cenił piękno i szedł z postępem wiedzy. Miał troje dzieci, córka wydana za rotmistrza Ławadzkiego i synów: starszego poźniejszego wiceprezesa sądu w Kotoniu i Leszku, późniejszego adwokata w zachodniej Małopolsce. Prezydent Sahaneć miał własną filozofię życia, która zamykała się w maksymie wykorzystania krótkiego życia jak najintensywniej i umiejętnego ujęcia całej reszty tego, co górne, wzniosłe,

a mite. Niezmiernie pogoda dacha towarzyszyła mu przez wżyt-  
kie dni jego żywota, a szczęście wszechstronne było tra-  
tyn jego nadzatem. Nawet śmierć miał szczęśliwą, bo gdy dożył  
lat około 40, a był na emeryturze we dwonie, wstał pewnego ran-  
ka z łóżka, aby się ubierać, ale poczuł, że słabnie, co wzajemny  
żonnie, schylił się naprzód, wyciągając ręce przed siebie tak, iż nie-  
mów dotknął podłogi, oparł się o nie i dacha wyzionął.

Właśnie gdy byłem asystentem w Jamborze rozstała się  
zmiana w osobie prezydenta. Ponieważ dotychczasowe miejsce pre-  
zydenta w VI klasie sędziowskiej zwinięto a utworzono wyższe w V kla-  
sie, przeto Sahanul w VI klasie przeniósł się do Sanoka a do  
Sambora przyszedł Ambroży Janowski jako kofrat i prezydent  
sądu. Był to rasin, człowiek starszy o siwej głowie i takiej brodzie,  
pauzualny, zapracowany, wpatrzony w akta, ścisły w twarz, nie-  
co micierpliny, ogromnie drobiazgowy i sumienny. Obok kof-  
rata mianowano wiceprezydenta Chylińskiego (którego brat był  
należnym redaktorem potężnego podwórca Krakowskiego dzien-  
nika Konserwatywnego „Czas”). Chyliński był w obejściu sztywny,  
w porzeczaniu utarwnym wyniosły, zapracowany do upadłego, osto-  
niepotrzebnie micierplinowy, mało miał miarę w sędziów.  
Nadto miał sąd długi szereg starszych i młodszych sędziów. Naj-  
starszym z nich był nadradca Stotwiński, poseł na Sejm  
z miasta Sambora. Starszek miły, szlachetny, zdolny, o mło-  
dzieńczej świeżości umysłu, taktowny i niezmiernie porządkowy.  
Godzien był porań i największe godności sądowe, jednak z blasku  
przyzwoity robiono mu przesadny zarzut o przesadną drobiazgowość.

Oto, gdy był jeszcze naczelnikiem sądu w jakimś miasteczku, ktoś, odsiadający karę w aresacie prosił go o pozwolenie wyjścia na pół dnia, celem uczestniczenia w pogrzebie matki. Karę według prawa nie wolno było przerywać, jednakże Stotwinski w tej dobroci pozwolił więźniowi na przerwę. Doszło to do wiadomości władz i tak mu to wzięto za złe, że całe następnego życia już miał zagrożone do utrzymania naczelnego stanowiska. Nie przeszkodziło mu jednak w szacunku, jaki sobie przyszedłnie zjednał. Przeszedłszy na emeryturę w r. 1898 był dyrektorem miejskiej Kasy oszczędności i zmarł otoczony opieką, jako człowiek bez skazy.

Z radców najstarszym był Karol Hanik, jak go tał się, pracowity nad ludzką miarę, bolejący, że nie może wszystkiego wypracować, niezmiernie samierany, ciągle niedziat na aktami, ~~for~~ pierwszy do Sądu przechodził, statut wychodził. Wyglądał chudo, a przecież był długi i przeżył swoich rówieśników. W tej przeznaczonej sumiennosci unikał nawet wszelkich pozorów stronności i zakazał domownikom, aby nigdy niczego od nikogo nie przyjmowali, choćby to pochodziło od osoby zaprzyjaźnionej. Gdy był dawniej naczelnikiem sądu w Buczaczu, był jego niedalekim sąsiadem starszy oficyant sądowy. Pewnego razu Karol oficyant w domu zabił tawnego węża i utartym wyrojem sąsiadzkim trochę kiszek i kiełbas postawił znajomym a między nimi także Hanikom. Żona zając surowy zakaz meża, napisała do niego do sądu Kartkę, czy przystane rzeczy przyjąć. Hanik w łopiecku myśliwie



odczytał kartkę, zamiast czytać książki i kiełbasy, przeczytał książki i kiełbasy. Odpisał: pierwsze czytać, drugie nie. Żona niec książki czytała, kiełbasy wróciła. Gdy Hanił powrócił na obiad i zjadł smacznie książki, czytał znow, ~~sed je wróciła~~ gdzie je Kupiła. Zdrzoniona żona powróciła na kartkę, i on sam przecież pozwolił jej czytać od oficjanta. Zmartwiony Hanił chodził kilka dni jak stręcha. Był to człowiek o nieskalanej uczciwości i wzorowej bezstronności.

Oryginalnym sędzią był radca Jakubowski. Kcale starszy, barczysty, dobrze zbudowany a jeszcze lepiej odżywiony, lat około 60, zaradczącej miny, cięty w stonę, stanowczy w czynach, luzem chodzący Kanaler, zainicjowany we wszystkie domowe, niezależny i wolnomysłny, jako sędzia Karany był potracem wszystkich, którzy wskazywali na jego przed sądem starali, bo był bezwzględny i surowy. Nr. 1899 przeszedł na emeryturę, wyjechał ze Sambora do Lwowa, ożenił się i tamże życia dokonał niedługo po opuszczeniu stolicy ~~domowej~~ sądowej.

Zgoda innym typem był radca Lwistocki. Poprzednio nazywał się Heck, a choć wielu członków rodziny nosiło to nazwisko, on je spolszczył. Grobiarzowy i przyskrzy, zamgował siebie i zamgował innych, był dobrym grannikiem a nie cierpiał zdania odmiennego. Przeszedł do Sambora z Przemyśla i po dwóch latach tamże powrócił. Na Róich życia był prezydentem sądu w Łhoczowie, nigdzie jednak nie zjednał sobie sympatji.

Z pomiędzy innych wyróżnił się radca Leon Roszkiewicz, natenczas około 60 lat liczący. Syn rurskiego księdza z pod Stanisławowa, ożenił się z bar. Hanną, córką wiceprezidenta apelacji lwowskiej, z czego narodził się dumny, czasami nawet przesadnie. Choć był rusinem, dom prowadził polski. Miał trzy córki, z których średnią Zofia była najpiękniejszą, panienką w Samborze a zarazem damą i szeregownym nrochamiem swego ojca. Mając stypendjum rodzinne Kłanynych, ukończyła gimnazjum (co wtedy należało do bardzo rzadkich wypadków) a następnie poświęciła się studjom medycyny we Lwowie. Zawiązał się romans studencki między nią a studentem medycyny Germanem, synem znanego radcy szkolnego. Takie były dzieje tego romansu, nie wiem, ale to pamiętam, że oboje zarochami postanowili wspólnie zginąć. Pojechali na Morze Adriatyckie i z okrętu oboje wskoczyli do Adriatyku, gdzie w toniach morskich wspólną śmierć znaleźli. Fala wyrzuciła na brzeg ~~mał~~ martwe zwłoki drojga nieszczęśliwych istot. To podcięło życie radcy Roszkiewicza, niebawem po stracie nrochanej córki i on życie zakończył.

Był jeszcze cały szereg innych radców w sądzie okręgowym, tych jednak albo sobie nie przypominam, albo nie znamiennego o nich napisać nie umiem. Imiona ich: Janowski niezmiennie zapracowany, Józef Kohman klnący głośno na wszystkich, Graf potulny a pobożny, Giziowski zdolny, energiczny, wolwomysłny, poset do parlamentu, Włodzimierz Korziński, młody

a dla wszystkich miły i popularny, dopiero z Tarnopola przy-  
był. Radca Madejski odszedł wtedy na emeryturę, czterem po-  
siedziennicę, godny, o wysokiej kulturze, miły i uprzejmy, roz-  
winął swą działalność w Towarzystwie Muzycznym, którego był pre-  
zesem. W domu miał niezmierznię, bo od długich lat żona jego była  
spacalizowana. Miał dom wstępu przy ul. Tatarskiej, a dzisiaj wzro-  
dem. Wszystkie dzieci Madejskich były miłe, dobre i kochające  
swoje Koto rodzinne. Ale śmierć niespodziewana kontę je bezwzględ-  
nie. Umart chłopaczek, student gimnazjalny, wzorowe dziecko, i kil-  
ka lat potem umart syn drugi, żył jako radca sądowy, poma-  
li niebawem oboje Madejscy, dris' nie wiem, czy jeszcze kto został  
z nich żywy.

Śledczy byli zdolny sędzia dr. Roman Czajkow-  
ski i starszy catornik Hajdowicz. Ten ostatni miał narobił na  
głone, także w kaszaki. W stechem, ciemnem, niezmownie daz-  
nem binnie przesiadywał Hajdowicz długo przez godziny urzędowe,  
zameczając siebie i ludzi, pisał bowiem niekończące długie proto-  
koly, tak, że potem bardzo męczącą było rzecz, odczytywać je  
godzinami przy zatwierdzeniu oświadczenia sprawy u prokuratury. A  
dodam, że przydzielano mu sprawy proste i jasne, nie wy-  
magające zbyt długiego czasu.

Znamienną postacią w sądzie był dyrektor kancelarii tj.  
najstarszy sekretarz Łopuszański. Kosti, nalezny w ciele, o  
długich włosach, o ptorej głowie, lat około 60, schodził cała  
w przycinę w grono sędziowskie, a nie żył ze sekretarzami, stad  
ci go nie lubili. Bardzo zdolny, wyrabiał ładniejsze elaboraty



sędziowskie. Lubił, aby go za jego pracę chwalono i sam się  
 doń chwalił. Cenił bardzo towarzysztwo męskie reszty, a kiedy  
 jeszcze Sakenek był prokuratorem, byli w przyjaźni i niemal  
 codziennie do późnej nocy się bawili. Opowiadał mi, jak doszedł  
 do własnego domu przy ul. Krakowej. Oto oszczędziwszy jakiegoś  
 kapitalik, który był jego całym dorobkiem, postanowił posta-  
 wić wszystko na jedną szalę. Poszedł do Wiednia, celem  
 gry na giełdzie zbożowej. Około dwa tygodnie chodził jak  
 w gorączce, bo jego losy rozgrywały się. Fortuna jednak mu się  
 uśmiechnęła. Otrzymał z Wiednia coraz pomysłniejszą wiadomo-  
 ści. Ze zmartwionym oddechem oczekiwał codziennie telegramu.  
 Gdy uwiad, że kapitał jego dostatecznie nabrzmiał, przerwał  
 obrot na giełdzie i kazał sobie przysłać pieniądze, za które na-  
 stępnie postanowił piękny dom murowany. Gdy to grałto po mie-  
 ście, żydzi cisnęli się do Łopuszańskiego jak do cudotwórcy, ma-  
 jąc go za wielkiego znawcę stosunków giełdowych i zasięgali  
 jego rady, na którą on, jako przygodny tylko rzecznik  
 nie potrafił odpowiedzieć. Żona jego była dyrektorką szkoły  
 wydziałowej żeńskiej, bardzo poważna kobieta, a mieli trzy córki,  
 wszystkie przystojne panny i jednego syna Antoniego, średnich  
 zdolności. Nieraz bawiąc się z nami aukultantami mawiał  
 Łopuszański: moi kochani, ja stary, niezadługo skończę życie,  
 do was młodych przyszedł należyć, pamiętajcie o moim chłop-  
 ku Antoniu! Panny na tę niejednokrotną prośbę, później przy  
 jakiejś sposobności w Łotomysiu popieraniem ożbiście jakas  
 sprawę sędziego Antoniego Łopuszańskiego, przez pamięć na jego ojca.

Zakończ ten pobieżny przegląd osób z dawnego sądu obwodowego w Łamborze wzmianką o postaci, której żadną miarą, pominąć nie podobna. Był nim wójt prezydjalny Ujwary. Godny odblask wójtowskiego Protaszeja, z tą odmianą, że Ujwary wywodził swój ród z macedońskiej wiojczyzny. Chłop niezbyt rośły, ale silnie obudowany, twarz szorstką, nos nieco zdradzał enawistkę alkoholi, wazy rudoszere zwisały jak dwie miotyły, rezon wystawionego podoficera od dragonów, siedział Ujwary w swoim pokoiku przeznaczonym dla wójtowskiego prezydjalnego i nikt nie mógł z prezydentem sądu mówić, nie zgłotawszy się wprzód do niego. Ubierał się w swój ulubiony mandur wójtowski z dziennej, ałotami guzikami, pierś ozdobił szeregiem medali i Krzyżem Zasługi, tak iż wydekt się na cennatrz, jakoby janki dygnitarz, od którego w sądzie wiele zależało. Gdy przychodzili bojki z gór ze sądzaleniem do prezydenta w jankiej sprawie, wstawał się w myśli, czy właśnie Ujwary, ozdoby w takiej stopności i ozdobiony dekoracjami honorowymi nie jest sam wójt prezydentem, do którego tyle mil drogi wydeptali. Ujwary kazał prostaczkom, by mu oprowadziły, janki mają ciele na sąd, ci rozgadywali się daleko i szeroko, stojąc przed Ujwarym, rozsiadłym na starym fotelu. Gdy już opowieść dobiegła końca, a najchętniej chodziło o niezadowolenie z jankiej wyroki, który chyba zacząć należało środkiem prawnym a ustne ciele do prezydenta były bezcelowe, wtedy Ujwary wstawał z krzesła, wyprostowywał się mocno, twarz jego nabierała fioletowego zabarwienia i wlat do bojeków:

dość tego! to wy odwracacie się przysię do mnie skarżyć na mego sędziego, czy wy niecie co to znaczy i co robicie, mieć was Bóg zachowa co będzie, jak ja się naganięram! Tu zaczął szukać kartki i pytać kwerulantów o nazwiska, czem bojki przestraszeni odwracali się, i uchodzili coby z sądu, bojąc się, sięgnięcia mielaski „prezydenta”. Zwracano uwagę Ujwarskiego, że może mieć z tego powodu kłopoty, lecz on uspokajał, iż gdyby nie było Konferencji, miałby prezydent zbyt wiele pracy ze stuchaniem rzeków bez sensu, on więc także sąziolenia przebiega, a gdy zbada, że rzecz jest godna rozpatrzenia prezydenta, dopiero wtedy dopuszcza interesowanych przed oblicze przetożonego, inaczey sam je natatrnia odmownie, bo przeciez prezydent nie będzie stuchał bojeków, by po prawomocnym wyroku obniżyć im Rarz ze Rradziez, lub aby prezydent sam pojechał w góry i popatrzył, że sąziad wkoził się w tary, bo sędzia był na miejscu z geometrą, mierzyli, stuchali sąziadków i pomiędzy, że granica jest dobra, a prezydent ma ze Sambore pojechać i pomiędzy, że jest dobra — i takich spraw wiele innych.

\*

Zamieszkaraczy na skraj Blichu, porzedtem <sup>do</sup> sądu celem objęcia urzędowania. Zgłotitem się do prezydenta Sahanke i zostatem przydzielony do sądu powiatowego. Można było budynek tego sądu powiatowego fotografować i postać do parlamentu, jako szczególne widowisko. Oto na górze niedaleko parafialnego kościoła w Sambore był niegdys przed laty



wielu jakis klasztor duży, ponury. W tymto wygastym klasztorze mieściła się Dyrekcja Skarbowa. Tuż pod murem klasztornym była przybudówka a w niej ongiś pomieszczone były stajnie klasztorne. Oboż to właśnie stajnie, nie nadające się nawet na skład tytoniu, zamieniono na sąd powiatowy. Nędzna rudera parterowa, niska, ciemna, ze ścianami wewnętrznymi z desek pobielanych, z urządzeniem mniej niż szynkownem, była przybytkiem wymiaru sprawiedliwości. Wtedy było przekraczać próg w tej spelunce. Ale było właśnie ostatni rok pomieszczenia tam sądu, gdyż od nowego roku 1899 przeniesiono go do nowej kamienicy Medlingera przy ulicy Lwowskiej. Naczelnikiem sądu powiatowego w Samborze był wtedy radca Hlayder Dionizy. Miał żonę rusinkę, sam był polakiem, stąd dom jego był mieszany polsko-ruski. Drugim radcą w tym sądzie był Józef Kulczycki, rusin, kulawy na nogę, zdolny prawnik, godny członkiem, Kancelar, długoletni poprzednik sędziego w Bndzanowie na Głodni. Był skromnie, a lubił w lecie co niedzieli jeździć na wycieczkę. Zajeżdżała drabiniasta furka gospodarza z przedmiedcia Porodowej, stawała przed kamienicą na stamamin ul. Zielonej, gdzie Kulczycki mieszkał, zabierał na wóz awokaltantów, ile się tylko dało pomieścić wśród drabin i jechało się gdzieś w okolice. Raz i z bratem udział w takiej wycieczce do Harego Sambora i Spasa, a był to wyprawa niezmiernie wesoła, uchocha, śmiechowa, sam zaś

zaczny Kulczycki był rozczepiony, widząc u Koto siebie rozbanio-  
ną młodzież. Umierał nagle, ścietowany przez wszystkich, jako  
człowiek bez skazy.

Trzecim sędzią był Benjamin Schwarz, mój szwagier ma-  
ry, sprytny i tak oryginalny, że na długie lata pozostawił  
po sobie pamięć iartobliwą. Niewielki, cery oliwkowej, da-  
ciuch oocz, czynił wrażenie hiszpana. Lubił bardzo pod-  
kreślać swoje zdolności i cenić głośno swoją pracę. Właśnie  
od 1. stycznia 1898 weszła u życie nowa procedura cywilna i  
nowa ~~ordynacja~~ ordynacja egzekucyjna, a Schwarz miał oddział  
egzekucyjny. W rozmowie często przemawiał: „wiesz pan, ja widzę,  
że nigdzie się nie robi egzekucyjnego tak dobrze, jak u Sam-  
borze”. Na długie lata potem, gdy się iartobliwie chciało powi-  
dzieć, że się coś robi dobrze, portarzato się te samochwalone  
słowa Schwarza. Palit permanentnie grał jak palec papier-  
osy, które niemal nigdy nie wychodziły mu z ust.  
Mieszkał u parterowego domu realności z ogrodem, gdzieś  
u okolicy gimnazjum. Opowiadał, że przed moim przyby-  
ciem do Sambora wydarzył się następujący wypadek.

Był figlarz auskaltant Kulczycki (imiennik radcy), który  
lubił mieć przygody iyciowe, miał ich też wiele. Wtór-  
ten auskaltant pewnej letniej nocy przeskoczył przez  
parkan ogrodu Schwarza i skradł się pod okno jarkiej-  
nadobnej bogdaneki. Gdy u nocy Schwarz stwierdził, że  
jarkis' mniemany złoczyńca zakradł się do ogrodu, nara-  
bił wiele krzyku: złodziej, złodziej, policja, łapajcie,

dawajcie karabin itp. wreszcie pochwycił swoją szablę stojącą w Kacie, wyskoczył w biegu przez okno do ogrodu i kłamał, cając klingą o ~~o~~ pochwę, wolał głosu: poczekaj stodozię, zaraz cię zastrzelę - ale niebezpieczny ciotnik tymczasem umknął. Przestraszony Schwarz, dumny <sup>łatwego</sup> tryumfu pozedł wreszcie spać, a rano przybywszy do biura male bohaterstwo usposobiony opowiadał wszystkim szeroko, jakto w nocy stworzył jakiegoś niebezpiecznego zbrodniarza i jak się bardzo i mężnie postawił, niemal z narażeniem własnego życia, bo nieustraszony z szablą w ręku wyskoczył do ogrodu i rad byłby się zetknąć z napastnikiem, ale tamten uszedł w bojażni przed jego silną ręką. Nieco później przybył do biura Kulczycki i z humorem opowiadał, jak go tajemny chciał Schwarz zastrzelić z szabli. Gruchnęło to po sądzie i Schwarz najpierw był tem skonfundowany, następnie z tego sam się śmiał. W kilka lat później Schwarz został radcą sądowym w Borzyszynie, pozem przeniósł się do Przemyśla, który był jego rodzinnym miastem i tam ordonansy, życia ~~dokonał~~.

Sędziym sądzią w sądzie powiatowym był Karol Reiner, ciotnik starszy, powolny i wygodny, ale godny. Innym sędzią był sędzia Bazyle Kiełanowski, rusin, stał się zdolności, krzykliwy, narzekający, sam ~~leżał~~ leżał się brzemieniem swoich obowiązków, stał krzyżem i krzyżem na wszystkich: na strony procesów, na adwokatów, na auskultanta, na kancelistów i ciągle był podniecony. Kiedy



raz Kiełanowski prowadził rozprawy, przyszedł Kancelista z jakąś ważną sprawą o zapytanie, jak ma postąpić. Zdało się, że Kiełanowski nie wiedział, co ma ma powiedzieć, więc wrzasnął z czterech sił: „ja teraz muszę odprawić, rozumiesz pan, odprawić muszę” – na co Kancelista wycofał się ze sali. Poszło to „Karo po sądzie i odtąd, gdy się chciało powiedzieć, że Kiełanowski dziś prowadzi rozprawy, mówito się: dziś Bazio muszę odprawić. Po przejściu na emeryturę był Kiełanowski adwokatem, miał ruską klientelę i powodziło mu się wcale dobrze.

Karnym sędzią w powiatowym sądzie był Pożniak, psobozny, Bógu ducha winny, młodych zdolności, zasypywany tysiącami drobnych spraw karnych i pracą umęczony. – Mnie przydzielono do sądziego Reinera, który dopiero co przyszedł był ze Skolego i sam zaczął rozglądać się w swich agendach w nowym sądzie. Tymczasem nabrałto auskultanta w prokuratorji. Prezydent przyrządził prokuratorowi, że ma przydzielić auskultanta, którego on sobie sam wybierze. Chociaż to był dopiero początek mojej pracy w Samborze, prokurator za poradą mojego kolegi auskultanta Potockiego wybrał mnie, otrzymalem przeznaczenie na piśmie, masiałem odejść do czynności przy prokuratorji, co potem miało wpływ na bieg dalszego mego życia.

Prokuratorja Państwa była pomieszczona w dobudowanej obok wchodu do sądu obwodowego Kamienicy, a to na pierwszym piętrze, gdzie w parterze mieściła się tablica (hipoteka). Prokuratorem był Roman Stebelster, rusin, po polsku dom pro-

wedzą, a zresztą ścisły wrzemuł austriacki. Niewysokiego wzrostu, otyły, chód miał nieco kaczkowaty, ciarost płowy, siniejący, oczy małe, ruchliwe i przenikliwe, surowy wyraz twarzy, ogromnie wysoko ceniący swoje stanowisko a nawet nieco przejęty pompa, surowy, bezwzględny, niezbyt, dokonaty prawnik. Zastępcą prokuratora było dwóch, a to Karol Koerber, syn byłego viceprezidenta operacji lwowskiej, choć około czterdziestu lat liczący, jednak prawie całkiem siwy, wysoki, przystojny mężczyzna, dobry, koleżeński, skromny. Koerberowie pochodzili z niemieckiej rodziny, jednak nie spolszczyli, ale przecież Koerber czytał jeszcze niemiecką gazetę „Neue Freie Presse” z Wiednia, i gdy ta gazeta zajmowała nieprzychylnie stanowisko względem ówczesnego polskiego prezesa ministrów Karłowicza Badeniego, Koerber przejął tę jej tonem i był zadowolony, gdy gabinet Badeniego upadł. Koerber był ciętym i miał jednego synka, a gdy był jeszcze bezżennym, był i ogromny przyjaciel z ówczesnym prokuratorem Sahenstem i w zespole z Łopuszańskim tworzyli trójkę. Sahenst był nawet z Koerberem i Łopuszańskim na ty, ale gdy został prezydentem, sami go już tylko panem prezydentem tytułowali i dawa czytelnik nie rozwinęła. Drugim zastępcą prokuratora był Wincenty Kromliński, więcej od Koerbera bystry i rzutki, ale o ile Koerber był niezmiernie spokojny, o tyle Kromliński był gorzej. Powi.

Starym oficjalem (sekretarzem) prokuratury był Szuler, wybitny radnik z nielimitowanych narach, zdolności bardzo

stałych i nigdyby z wachmistrza nie został przesunięciem, gdyby  
nie prośby jego ~~przełożonych~~ żony, który najgorzej przetożem nie  
mógł odmówić nasilenia ale może takowanego certyfikatu wze-  
dmniejszego, jaki z reguły dostać mogli tylko inteligentni wach-  
mistrze po 12 latach nienagannej służby. Izrael nie wspólnego  
z inteligencją nie miał a jednak szczęśliwy ~~dot~~ los wyniósł  
go na urządnika, ale też następnie pot kłopotliwy z czcą mu  
ścisłą, nim zdolał rozczuć się w komplikowanym urzędo-  
waniu. Stebelnskiego bał się jak ognia i nieraz słuchał od niego  
go słów niezadowolenia. W granicach rzeczy jednak obowiązki na  
niego włożone były zbyt ciężkie, zmagał się z niemi szczerze  
i po moim sądzie odjeżdżał zmarł na chorobę umysłową.

W prokuratorji pod bardzo doskonałym kierowni-  
ctwem byłem prawie rok i z czasem wyrabiałem oskarżenia  
na różni ze zastępcami, toteż Stebelnski był z tego wielce  
zadowolony, a kiedy odchodziłem z prokuratorji napowrót  
do sądu, wytarł mi łaskę śniadectwo, że potem dopomo-  
gło mi ono, iż sam zostałem najpierw zastępcą prokuratora  
a potem prokuratorem.

Stebelnski został przeniesiony do Przemyśla, gdzie  
był prokuratorem i kofratem, dotrwał aż do powstania Pol-  
ski, jednak z nieznanych przyczyn do polskiej służby nie  
wstąpił, otrzymał jakąś małą emeryturę i zmarł wśród  
niedostatku. ~~Körber~~ Koerber został radcą sądownym w Sta-  
mistawonie, był przeważnie sędzią karnym, gdzie też doś-  
zedł. Natomiast Bronliński został radcą re-



Łowię, długo w służbie pozostat i przeszedł w r. 1924 na emeryturę.

Caly zastęp auskultantów tj. Kandydatów na sędziów tworzył jakby jedną rodzinę. Razem się trzymaliśmy zawsze, razem schodzili<sup>sie</sup> z karierni, razem wspierali w urzędzie. I coraz, po starszeństwie, składali auskultanci egzamin sędziowski, opuszczali nasze grono i jako sędziowie odchodzili na mete sądy po miasteczkach, a natomiast nasze grono powiększyło się młodymi Kandydatami. Byli w Samborze równocześnie <sup>(ze mną)</sup> auskultantami: Joniokt Stanisław, nasz senior, dziwak, o wiele od nas starszy, wszystkiego się bojący, stąd długie lata nie zdawał egzaminu. Tyłko ten jeden auskultant był na osobności. Jacek Potocki, syn dyrektora szkoły ze Ławidówki, bardzo serdeczny kolega, blondyn o dużym, płowym wąsie i rumianej twarzy. Był przyjacielski, merytoryczny, zdolny do poświęceń. Lubił dobrane towarzystwo, wędkę, zabawę, żyć — i dać żyć (jak prawiło niemieckie przysłowie), tak iż niejeden jego gość Łaczona z magnackiem nazwiskiem. Po zdaniu egzaminu był sędzią w Horodence, Olesku, Czortkowie, Budzanowie i Podkaniemiu. Żyliśmy obaj bardzo blisko, niemal jak bracia, bo to był człowiek o niezmiernie dobrym sercu i zaciętym charakterze. Laurenty Łachradnik, syn ruskiego księdza z Kupnowic koło Rudki, pierwotnie był oficerem piechoty, potem nawrócił się do zawodu sędziowskiego.

Zawsze wesoty, rozbariony, dowcipny, samoziny — choć młody, jednak gwałtownie siwiał. Po powstaniu Polaków przeniósł się do Poznańskiego, gdzie najpierw był w Środzie a potem był prezesem sądu powiatowego w Poznaniu. — Auskultant Szczepanowski, wyglądał zawsze natroskany, ożenił się z wdową, był sędzią w Florodence i Boleszowcach, zmarł wreszcie. — Władysław Schmidt, młody, wyglądał jak student, głowę miał tak dużą, iż trudno mu było kupić w Jamborze kapelusze. Tyłko on i prezydent Sahanek mieli w Jamborze tak duże głowy. Mieszkał z matką, wdową po inżynierze bardzo skromnie. Ojciec jego wkrótce jakichś niepowodzeń w przedsiębiorstwie życie sobie odebrał. Byłto zacny kolega i dobry, o subtelnej duszy. Stęgie lata przebył w Turcji jako nauczelnik sądu powiatowego. — Auskultant Jan Porembalski pochodził ze szlachty samockiej, bardzo młodo się ożenił i już jako auskultant miał dwoje dzieci: Zofię i Jaceusza. Grzeczny, serdeczna dusza, głowę miał całkiem czerni jak młody chłopczyk, ~~at~~ a był z nas wszystkich najlepszym mówcą. Ostatecznie był radcą sądowym w Przemyśle. — Tytus Flobler pochodził z niemieckich Kolonistów i miał w sobie wiele z charakteru niemieckiego. Na pół zimny, dość zamknięty w sobie, z dozą egoizmu, dbał wiele o własne powodzenie, doprowadził też do stopnia sędziego apelacyjnego we Lwowie. Auskultant Józef Gailhofer z przedmieścia samborskiego, również niemieckiego pochodzenia, z jasną czupryną i dziesięć jaskrawo czerwienionym nosem. Zdolny i pracowity, w osobistym obchodzie uszczypliwy. — Auskultant Stanisław Chmielewski

mieszkał przy swej licznej rodzinie przy ul. Lielonej. Wykształcony, zdolny, kolejarz i lubiany. Ożenił się z ~~żoną~~ wdową z ~~któregoś~~ z miasteczek, gdzie był sędzią (możliwie z Kozłowej), ostatecznie został wiceprezesem sądu okręgowego w Katowicach, gdzie też około r. 1924 zmarł.

Swoją bracią Bydgoszczycy, synowie niezyskającego już radcy sądowego w Samborze. Hlarszy Hlaminian był bardzo młody, zdolności, niemal niezdolny do służby, radcy wypraszał się od przydzielania go sobie. Był sędzią ciągle przenoszonym (Tysmienica, Sniatyn, Bolechów, Tłuste). Był odosobniony i w miarę wieku zdziwaczat. Młodszy brat Jacek, rozumny, zdolny, bardzo dobry kolega, długie lata był radcą sądowym w Przemyslu. — Konrad Hęgrowski z Rozdolu, serdeczny towarzysz w każdej doli, zawsze namiętniejszy, a wtedy poważniejszy, nakładywał na niego, na kształt chiński, okosie, w dalzym ciągu swej pracy zawodowej okazał się bardzo dobrym sędzią, był naczelnikiem sądu w Mikotajowie, a ostatecznie prezesem sądu okręgowego w Katowicach. Konstanty Reizes Ojczak, jedyny mojegożyciowy wyznawca wśród nas, przeszedł następnie do adwokatury.

Adwokatów wówczas było w Samborze około dwunastu. Sziś nie pamiętam ich wszystkich, ale to wiem, że adwokatura stała wówczas wysoko. Wspominam też o adwokacie Podrynowskim. Drugim był adwokat Steinerman, wyznawca mojegożyciowego, wyniosły, o wpamiętany portanie, miał doskonałą wymowę i nienaganny polszczyźnie. Żona jego



miata niemniej daborową, postawę a była pierwszą elegantką w Samborze. Oboje byli ludźmi miłymi i szanowanymi. Steuerman był po Badzynowskim długie lata burmistrzem miasta Sambora. Z innych pamiętam adwokata Aleksandrowicza, był żonaty, bezdzietny, także wysm. muj. o zacięciu literackim, głośny obrońca w sprawach karnych, o wyrokij inteligencji, niestrudzony reżyser teatrów amatorskich. Ferracki polak, młody adwokat, dobry prawnik, dopiero się wybijał. Adwokat Witz, wysm. muj. cięty jak osa, rentki, przedsiębiorczy, osobście niezbyt miły.

Notariuszów było dwóch: Kasparek, celnik starszy, cichy, domator i Schneider, młodszy, ubarzony dziatwą, bardzo pracowity i zapobiegliwy, umarł niestety zbyt wcześnie.

Lekarzem sądowym był dr. Markiewicz, wysm. muj. bezzienny, kolejarzki, po polsku myślący, uczony i dobry lekarz. Poświatowym lekarzem był dr. Skalski, innym lekarzem ~~był~~ wcale wziętym był dr. Biegelmejer, zięć radcy Stasińskiego. Miał dom na powrótka nbiy Ikańskiej. Było jeszcze kilku lekarzy wojskowych i cywilnych, dziś mi pamiętam jednak ich nazwisk.

Z pobytu w sądzie samborskim pamiętam dwa znamienniejsze epizody. Był to w r. 1898, w którym obchodzono jubileusz 40 letniego panowania cesarza Franciszka Józefa. Przy tej sposobności cesarz darował Ragę wszystkim zasłużonym za obronę majestatu. Prezydent Janowski chciał oświadczyć cesarstwu sam ogłosić odnośnym niżsiom uroczyscie. Przed solennym nabożeństwem zgromadziwszy się w drzwiach sądu, wiele

złoconych mundurów pokazato się w gronie, wreszcie wprowadzono trzech nieźniów prostaczków, a to jednego meksykańskiego i dwóch Kobiety, osiadających Karę, aby im odczytać akt Tarkę. Zarowanie Karę było dla nich niespodzianką. Gdy nieźniowie weszli do sali, w pierwszą chwili zamieszko. Koła ich obecność tak daleko grona wysokiach urzędników, stanęli nie pod ścianą, zestraszeni o swój los. Niebawem pojawił się prezydent Janowski, wystrojony w bogaty mander urzędowy, od którego biły bogato złoczone ozdoby i zamiast powiedzieć im po prostu i prostym, że cesarz z powodu jubileuszu daruje im Karę, po<sup>wał</sup> kilka arkuszy odczytać różne reskrypty z detami i liczbami, z czego nieźniowie niczego nie rozumieli. Dopiero, gdy im na końcu powiedział krótko a dobitnie, że cesarz ich uwalnia, nieźniowie wypatrzyli się na prezydenta ze zdumieniem, a biorąc go za samego cesarza, upadli na kolana i poczęli głośno a w prostych słowach dziękować za Tarkę.

Drugim pamiętnym epizodem było wykonanie śmierci na osobie Nikoty Kozaka, zasądzonego na tę Karę za zamordowanie zandarma. Kozak był młodym dwudziestoletnim parobkiem niejakim, niepokojnym, awanturnikiem, złodziejem i nierobą. Jakiś czas z nim miała do czynienia zandarmenja. Jednego razu w Kierownicy we złości Kozak niekiedy za parę, wziął worek z reze i poszedł na wieś do Kradzieży. Sobrat się goził do Karmika, nakradł kur

i wracał ze zdobyczą do domu. Tymczasem patrolujący tej nocy po wsi żandarm, zmęczony strażą usiadł pod karawą na ławie, oparł się o ścianę i twardo usnął w niedobrej postawie. Tamtędy właśnie przechodził Kozak, a sądząc, że to ten sam żandarm, który mu niedawno dał się we znaki, zapatał chęć zemsty, wyjął siekiersę z pasa, zamachnął się, cięt ostrzem żandarma w głowę, żandarm runął na ziemię, a Kozak schowawszy siekiersę za pas, odszedł spokojnie do domu. Nad ranem odkryto zbrodnię, ale sprawy nie wypłynęło. W kilka dni po pogrążeniu Kozak przyszedł do tajemnicy do zbrodni przed swoim mieszkaniem. Ten będąc członkiem wroczym, zarychał się w swym sumieniu, co ma z tą straszną tajemnicą uczynić. Po długim namyśle rzecz całą wyjaśnił. Kozak nieznajomy przyznał się przed sądem do winy, ~~na~~ został na śmierć skazany. We więzieniu zachowywał się jak ostatni opryszek, niedząc z innymi więźniami o jednej celi bił ich i znęcał się nad nimi. Wreszcie mu powiedzieli, aby już prędzej zawisnął na szubienicy. Wreszcie i ten dzień nadszedł. Zjechał z Wiednia Rat Seelinger z dwoma pomocnikami, Razem zrobić stęp, wbić z góry graby groździ <sup>(poczek)</sup> i stęp wkopano w ziemię na dziedzinie więzienia. Następnym rankiem wyprowadzono Kozaka, odczytano wyrok, skazaniec stanął pod stępem, Rat zaś na schodkach, pomocnicy podnieśli skazaniec do góry, Rat czołyst sznur na szyję i zadzierzgnął go na groździn, pomocnicy opuszcili skazaniec, ciągnąc go nawet ku ziemi, skazaniec posiniat, Rat zerwał mu głowę — wyrok wykonano. Nie okazał skruchy ni żalu do Ronka. Je przy



egzekucji nie byłem, byli natomiast Ruledzy Potocki i Flober i o przebiegu nam opowiadali.

\*

Na rok 1898 przypadła setna rocznica urodzin Adama Mickiewicza. Polonja Samborska ~~zob.~~ obchodziła ją dnia 22. maja 1898 nadzwyczaj uroczystości i wśród podniosłego nastroju. Głównym punktem obchodu był wieczór dany w przystrojonej odsłoniętej sali gimnastycznej gimnazjalnej. Widzów była taka ogromna mnogość, że ta najobszerniejsza w mieście sala nie mogła wszystkich pomieścić. Wstępne słowo miał <sup>mój</sup> brat Szymon, obszerny odczyt o postawie Mickiewicza wygłosił hr. Siedaszewski dyrektor okręgu skarbowego w Samborze, nadto wykonano obszerny program wokalny i muzyczny, wreszcie odegraliśmy Ręk z Pana Tadeusza. Tę i mój bratem udział, odgrywając rolę Prusaka. Wszyscy byliśmy w strojach polkich i rzecz wypadła bardzo dobitnie. Zarównież obraz zrych osób: Zarównyż Zor z Pana Tadeusza. Ten obraz zdjęto dnia następnego fotograficznie na podwórzu gimnazjalnem i tu go dotaczam. Dyrektor gimnazjum Tomaszewski był także całego obchodu a dzielnie mu pomagał profesor seminarjum Kratochyla. Wypada osobna broszurka z opisem tego obchodu, jednego z najrozsławniejszych, jakie Sambor urządza. Na pamiątkę ~~tego~~ obchodu rozdano na rynku samborskim (od strony ul. Tkackiej) dach młody. Ręką wroga

i burza wojenna zmiotła go jednak doszczętnie.

Rejstrant samborski pomierzony w ratuszu Jan. gwałt wtedy sprząść. Szczególnie policja była zorganizowana niemiernie karne, a na czele jej stał słynny inspektor Eitner. Ono i żelaznych karbach strzymywał personal policyjny, dla którego nas' był brzemieniem. Joteż atoczyć wszystkie typy omijał Sambor z daleka, domowili nas' nie mieć pola do popisu wcale czynności policyjnej, a jeżeli któregoś z nich udało się nawet coś ukraść, zaniw tak zdołał umieść wpaść po drodze w ręce policyjanta. Czasami okradziony jeszcze nie spostrzegł braku ukradzionych rzeczy a już mu je policja do domu odstawiała. Z czasem jednak Eitner orkuszony został o angażowanie się nał atoczyć, który był proces karnej na cały kraj, lecz wówczas już nie był w Samborze i nie miał jakby być komie rozprawy sądowej.

\*

Podobnie wychodził w Samborze tygodnik „Gazeta Samborska”, jedyną razę była przeznaczona dla powiatu niż dla miasta. Były w niej także wiadomości miejscowe, ale słabe. Wydał ją Stanisław Stefanowski, urzędnik Wydziału powiatowego, emerytowany porucznik obrony Krajowej. Był on żonaty z mającą wdowę, która przez posiadłość w okolicy Sambora miała także dom w mieście „na wyspie” obok Ładu.

Stefanowski, lat około 40 laty był osobistością bardzo popularną, znał go każde dziecko samborskie, był to człowiek o złotym sercu, zdolna artystyczna dusza, w obchodach, nie z



ZARĘCZYN Y ZOSI,  
ŻYWY OBRAZ NA WIECZORKU MICKIEWICZOWSKIM W SAMBORZE  
dnia 22go maja 1898 r.



czworkach, przedstawieniach niezrównana siła. Pod koniec życia popadł w melancholię, znikł z domu, żona rozpaczała dłużej go go poszukiwała, aż znalazła zajętego sypaniem szeniców pod Lwowem. Zabrała go do domu, gdzie umarł około r. 1916.

\*

Właściwym Samborem był tylko ośrodek miasta, dalsze jego rozgałęzienie to były gminy podlegające do miasta przydzielone. Życie umysłowe i towarzyskie grupowało się około Karsyna, Towarzystwa muzycznego, Sokata, Oszeteln' ludowej i Oguzska. Było kilkanaście jednostek w mieście dzielnych, o wysokiej kulturze, a te dodatkowo wplatały się na społeczeństwo miejscowe. Rosjanie przenieśli się nie ostatecznie do miasta, starorossyjskie grupy nie około Towarzystwa im. Karskowskiego a ukraińców sformował w Samborze Ps. Rabiej. Dopiero w latach 1918/19 podczas ruchów ukraińskich dochodzili ze Sambora wieści, że dumni rusini, przedtem niemal polacy, powstali się, tak nieprzyjemnymi ukraińcami, ~~ale~~ iż zaczęli się zjadliwie nawet nad tymi polakami, z którymi przedtem żyli w przyjaźni. Dany spokój, miły, zgodny Sambor przemienił się w piekło, w którym nie było już ani śladu polski. Ale nie trwało to długo, w r. 1919 przeszedł Sambor znowu w rękę polską i duch narodowy dzwignął się szybko na należną mu wyższość.

Główny i jedyny ruch był rękodzielnictwo i rynek. Tu było jeszcze dość sklepów katolickich, a to Bułkowskiego handel zielarstwa, Żelazowa handel korzenny i lokal śniadaniowy, dwie cukiernie, księgarnia Haisiga, sklep bławatny Milera.

Nr 37.

Sambor dnia 16. września 1906.

Rok VI.

# GAZETA SAMBORSKA

wychodzi w każdą niedzielę.

Prenumerata z dostawą do domu albo z przesyłką pocztową:

miesięcznie . . . 1 kor. — h. || półrocznie . . . 5 kor. — h.  
kwartalnie . . . 2 „ 50 „ || całorocznie . . 10 „ — „

Numer pojedynczy 20 h.

Prenumerować można w Administracji w Samborze Blich l. 1.  
i we wszystkich Urzędach pocztowych.

ADRES  
REDAKCYI  
w SAMBORZE Blich L. 1.

## CENA OGŁOSZEŃ:

Zwyczajne ogłoszenia za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce 10 hal. — Drobne ogłoszenia po 3 hal. od wyrazu. Komunikaty prywatne umieszczone po zapiskach kronikarskich i w rubryce Nadesłane za jeden wiersz petitowy 20 h. Za artykuły odnośnie Redakcyja nie odpowiada. Rękopisów nie zwraca się.

Wydawnictwem kieruje Komitet redakcyjny. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Stanisław Stefanowski.

Pojedyncze numery: „Gazety Samborskiej“ nabywać można w Administracji, tudzież we wszystkich agencjach sprzedaży dzienników, w księgarni p. Haisiga i w głównej trafice p. Raaba w Samborze.

## Przed pomnikiem Kościuszki w Samborze.

*I wyrósł pomnik pośród murów grodu  
Dla bohatera-wodza z pod Racławic.—  
Tej wielkiej chwili poświęceń narodu,  
Olsniewających razów kos błyskawic,  
Gdy krwawe znaki w sztandarów tachmanie  
Młoty zwycięstwo, przez wodza w sukmanie.*

## Przed odsłonięciem pomnika Kościuszki.

*Pamięć wielkich w ojczyźnie ludzi  
Dźwiga się naród, krzepi się duch.*

Od czasu, jak w tej części Polski wolno nam swobodniej oddychać i swobodniej się poruszać, często zwracamy się myślą zbiorową, duszą zbiorową i rozumem zbiorowym we własną przeszłość dziejową, z niej wydobywamy rocznice wielkich zdarzeń historycznych i je uroczystie święcimy dla serc i dusz naszych i sił naszych pokrzepienia. Ale nie można tego nie spostrzedz, że najczęściej, bo corocznie, obchodzimy pamiątkę Kon-

stwowem demokratycznym — niestety tylko w obrębie szlachty. Inne warstwy społeczne: lud i mieszczaństwo stały poza uprzywilejowanym narodem szlacheckim — bez praw i, co było tego skutkiem, bez poczucia obowiązków obywatelskich. To było słabością Polski, bo, zamiast milionów obywateli — obrońców, obywateli — pracowników, miała ich w szlacheckim zaledwie kilkadziesiąt tysięcy.

Kościuszkę pierwszy wskazuje, gdzie drzemie olbrzymia narodu siła, wskazuje lud od pług i warsztatu, jako podstawę, na której powinna się oprzeć i musi budować Ojczyznę.

Żeśmy, jego woli dotąd z miłością nie spełnili, nie jego wina; ale jego zasługa, żeśmy pracą przez niego wskazaną rozpoczęli.





Tadeusz Błotnicki.

Twórca odsłonić się mającego w Samborze na placu 3. maja dziś, 16. września 1906. pomnika naszego nieśmiertelnego Wodza Kościuszki — Tadeusz Błotnicki, urodził się w r. 1858. we Lwowie, gdzie ojciec jego Edward, znany publicysta i rysownik poważne w mieście zajmował stanowisko.

Mistrz nasz Błotnicki ukończył szkołę realną we Lwowie a czując powołanie i nieprzepartą chęć poświęcenia się sztuce plastycznej a zwłaszcza rzeźbie, udał się w r. 1876. do Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie przez dwa lata za dyrekcji Jana Matejki, a pod kierunkiem profesora Marcellego Guyskiego pozostawał, znaczne w umiłowaniem przez siebie modelowaniu czyniąc postępy. W r. 1878. wyjechał do Wiednia. Tam pod okiem sławnego wówczas mistrza dłuta Zumbuscha kształcił się przez lat kilka. Za figurę swą „Samson“ otrzymał stypendjum rządowe a za drugą „Świtezian-

grobowcu jego w Krakowie; medaljon Lenartowicza z terrakoty, w Muzeum Narodowym w Krakowie, biust Ignacego Paderewskiego (obecnie na wystawie w Londynie); biust św. Ignacego Lojoli, w bronzie; biust architektury Książarskiego, na gmachu Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie; biust Michała Bałuckiego na pomniku w Krakowie; biust Franciszka Smolki, w marmurze dla sali Rady miasta Lwowa.

## Z Rady miejskiej.

*Ciąg dalszy posiedzenia z dnia 29. sierpnia 1906.*

Burmistrz p. dr. Steuermann przedstawił następnie Radzie referat w sprawie wniesionych ofert na instalację światła elektrycznego.

W myśl rozpisane konkursu stanęło do licytowania 8 firm a mianowicie: 1) Allgemeine Electricität Gesellschaften Union in Wien na 178.001. kor., 2) Křižik w Pradze, na 183.360. kor., 3) Sokolnicki i Wiśniewski we Lwowie na 184.924. 4) Bartelmus i Donat na 185.820 kor., 5) Kraft u. Licht Aulage Austalt, Braun na 186.000. 6) Vereingte Electricität Gesellschaften na 187.493. 7) Siemens i Schukert na 199.673. Ósma wpłynęła po konkursie i tej nie wzięto pod rozwagę. Oferty badano szczegółowo przez znawców: p. Schleyena i Hauswalda ze Lwowa, tudzież dyrektora elektrowni w Czerniowcach Willenswebera a wynik tych badań był taki, że wszyscy trzej znawcy oświadczyli się za firmą A. E. G. Union, która dorównując innym precyzją i dobrocią wykonania, podała najniższą cenę, w myśl czego Magistrat i Wydział oświadczyli się za tą firmą.

Według projektu p. Schleyena — jako siła motora służyć miały dwie lokomobile, każda o sile 100 koni. W międzyczasie jednak wyłoniło się wśród członków Rady miejskiej zdanie, że chociaż lokomobile są o wiele tańsze, to jednak maszyny stałe, stojące lub leżące, jako trwalsze o wiele byłyby praktyczniejsze. Magistrat wziął więc tę sprawę pod rozwagę i odniósł się z prośbą o wyrażenie opinii do znawców, którzy oświadczyli się stanowczo za wprowadzeniem lokomobil. Mimo to Wydział Rady przychodzi na posiedzenie Rady z wnioskiem na wprowadzenie maszyn stałych. — Sprawa ta wywołała niezmiernie żywą dyskusję, w której zabierali głos niemal wszyscy radni. Powstał zamęt i chaos, stawiano najrozmaitsze wnioski, które bardzo często wzajemnie się zwalczały. Z przemówień niektórych p. p. radnych, wnosić było można, iż biernie się ostatecznie

pimy, że tak P. T. Publiczność miejscowa, jak i P. T. Ziemianie z okolicy otoczą starania Komitetu budowy pomnika jakoteż i Kółka dramatycznego jak największą życzliwością.

Komitet pań tutejszych wystosował na prośbę Komitetu budowy pomnika Kościuszki w Samborze następującą odezwę: „W programie obchodu niedzielnego, t. j. odsłonięcia pomnika T. Kościuszki jest: „Hołd Polek“. Najlepszym wyrazem uczczenia w tej chwili pamięci ukochanego bohatera z pod Racławic będzie obsypanie pomnika Jego, kwiatami. Wzywamy Was Polki do najliczniejszego udziału w tej manifestacji. W wiązanki kwiatów o cenach bardzo umiarkowanych można się zaopatrzyć w niedzielę, dnia 16. bm. od godz. 8. rano, u Wp. Radeckiego, ogrodnika miejskiego a od 9. do 11. przed południem — w pawilonie Wp. Horwatha, na rynku obok cukerni. Zebranie Polek biorących udział w tej uroczystości, na placu straży pożarnej przy ul. Jagiellońskiej punktualnie o godz. 11. Spodziewamy się liczego udziału bez różnicy wyznań i stanów.“

Komitet.

Wiceprezesem Tow. Kółek rolniczych wybrany został w miejsce dra Steczkowskiego, który godność tę złożył, prof. Józef Mikułowski-Pomorski z Dublan. Na członków założycieli Tow. Kółek rolniczych z wkładką jednorazową 200 koron zapisali się w ostatnim czasie: Księżna Marya Lubomirska z Międzyńca, dr. Aleksander Tchórznicki, Jan Goetz-Okocimski, Zbigniew Horodyski i Zdzisław hr. Tarnowski, który zamiast zwykłej wkładki złożył 1000 koron. Wkładki członków założycieli tworzą fundusz żelazny Towarzystwa Kółek rolniczych. W r. 1907. jako jubileuszowym przystąpił Zarząd główny celem uświetnienia dwódziestopięciolecia istnienia Tow. do budowy własnego domu we Lwowie.

Mianowania i przeniesienia. Minister oświaty zamianował rzeczywistym nauczycielem w tut. gimnazjum: Wawrzyńca Magierę dot. zastępcę nauczyciela z III. gimnazjum w Krakowie. Minister sprawiedliwości przeniósł adjunkta sądowego Tytusa Hoblera z Podhajec do Komarna, a Jana Dziczka z Turki do Rawy ruskiej, nadał posadę adjunkta sądowego Teofilowi Karaczowskiemu w Turce i zamianował auskultanta sądowego Jerzego Mokrzyckiego z Sambora adjunktem sądowym w Glinianach.

Do tut. gimnazjum im. Arc. Elżbiety. przyjęła Dyrekcja na rok 1906/7. 862. uczniów, która to cyfra dość wymownie świadczy o koniecznej potrzebie postarania się o drugie gimnazjum w Samborze, zwłaszcza, że już w bieżącym roku na pomieszczenie 8 klas



skiego, drugi sklep Korzenno-sniadaniowy, miesznanego mi Kupca, a może jeszcze i inne, obok zaś rynku na ulicy Tkackiej była główna restauracja Wierzyka, w której panował oryginalny wystrój, że kelner w okienka do kuchni, zamaniając odwołując potrawę, wyśpiewał charakter i nazwę górska, dla którego danie było przeznaczone, np. dla pana radcy Kulczyńskiego Kottlet i mizerja, dla pana Komisarza N.W. rośół z makaraniem! Codziennie w rynku, w tarasach w godzinach popołudniowych i wieczornych wrzasto życie, tłoczyło się wiele ludzi na spacerze, a to strojne damy, młodzie i starzy, wojskowi i cywili – wszyscy ze swoim tym gwarze, znajomii się witali, nieznanym się podziwiali, jedni rzekali wytykaniem, inni pogawędzili, jeszcze inni złośliwie wzrokiem strzelali w prawo i lewo – jednym słowem cały Sambor ułożył na rynek i gdy natłok się wzniósł, rozciągał się tłum ludzi aż na ulicy Tkackiej. Szczepólnie barany i gromy był rynek w dwie świąteczne po nabożeństwie, bo przez codzienną publikę ciągnęli tedy z przedmiotów stożkami i piżmowych białych sukmanach i stożkami w jaskrawych chustkach. W dwie targowe zastany był rynek samborski tysiącem wzorów stożkami. Fotograf-artysta Droidziewicz zdjął w r. 1898 bardzo ładnie widok rynku w czarni targu i dla celów pamiątki Korzech fotografis tę ta sceneriam.

\*

Niedługo nie mieszkam w Samborze. Wnet nadzedł czas mojego ostatniego w życiu egzaminu tj. zawodowego sędziowskiego, który składało się z kadzi apelacyjnym w Lwowie. Uczyłem się dłużej przez

ośm miesięcy, ponieważ jednak potrzeba było rano i popołudniu  
 chodzić do sądu, przeto noczyłem się w nocy od Gnieznowa do 2 rzy  
 po północy. Kiedy już czułem się na siłach, wniosłem w marcu  
 1899 podanie, prosząc o termin na knieciach, gdyż jeszcze to  
 i ono chciałem ponownie przerobić. Tymczasem nadziedzi termin  
 bardzo wczesny, bo do pisemnego egzaminu na dzień 20 i 21  
 marca 1899, do ustnego na dzień 23 marca 1899. Prezydent  
 Janowski bezwzględnie mię zwolnił od biura, noczyłem się  
 i domu o wczesnego rana do 2 w nocy i wyjechałem z wyko-  
 rzniętymi siłami, by odpowiedzieć wymaganiom egzaminowym. Byłem prze-  
 tem dobrej myśli, bo koderzy cywilny, Rary i handlowy umiałem  
 niemal na pamięć, i innych ustawach czułem się pewny, spakowałem  
 więc w niedzielną i tych czasach frańsk i jedną kotłową wzięty, ze  
 książkami do drugiej kotłowej, wsiadłem na dryndę (dorozik) sambo-  
 rską i odjechałem na dworzec, miał przez ~~Sambor~~ Strzyż udatem się  
 do Lwowa, bo jeszcze wówczas kolei na Rudki mi było. Tu zajecha-  
 łem czwór do moich gościnnych braterstwa Grawmów Ostrowskich  
 przy ul. Brzeskiej Barskiej nr. 3. i wzięłem książkę prawniczą.  
 Nadziedzi wreszcie dzień egzaminu pisemnego. Udatem się do ape-  
 lacji i met zaprowadzono nas, tj. mni i assistantów Boko-  
 niewicza i Rubczyńskiego do biura nawięzłego w parterze i roz-  
 dawczy temat, pozostawiono nas pod strażą jednego wóźnego, jakis  
 zaś przednił od czam do czam przychodził na kontrolę. Pierwszego  
 dnia było do rozważania zadanie cywilne (actio negatoria), drugie-  
 go Karne wcale łatwe, cywilne jednak było wielce rozmatwane. Sami-  
 tam, że kiedy medytatem nad jego rozważaniem, przemnił się Placen





halickim nieopodal apelacji ogromnie hojny Kondukt puzzebony, zdarzając na Cmentarz Tyrakowski. Chowano Teichmana przy dźwiękach wspomnianej muzyki. Grata właśnie marsz putoży Belko-vena. Teichman, znana w Łwowie osobistość, był przewodniczącym związków restauratorów, jednak z niernaukich mi przyczyn życie sobie odebrał. Po oddaniu aktów i opracowanego tematu, narazem ciwów ~~zgrupowaliśmy się~~ poszedłem do apelacji, by się donieść o składzie Komisji. Powiedziano mi, że przewodniczącym będzie wiceprezydent apelacji dyplerski zaś pytać będą, nadradcy Kuzma i Hauser. Protokółający przy egzaminach auskaltanci znali z wrulionów pytania, szybko przez pierwszych egzaminatorów dowiedzieli, utartym więc wyrazem udaremniłem się do biura auskaltanckiego, by zapiski przeglądać. Tu zastatłem jedynie auskaltanta Kopyscian'skiego, rusina, który mi uchył ~~szorstki~~ szorstki i niegrzeczny sposób ofuknął, że my z prowincji przyjeżdżamy, obok "i jeszcze chcemy jakichś ustatnień". Jak długo byłem wśród Kolegów w sądzie, nikt mi tak niegrzecznie i wprost nieprzychylnie nie przyjął, jak ten właśnie Kolega zawdany. Ale byłto rozpięczony powodzeniem młodzieniec, sióstrzeniec Kardynała i metropolity ruskiego Sembratowicza, mieszkał z nim w pałacu na wzgórzu św. Jura, stąd jego ruska wyprawa stała się z rewerencją była dla niego. Dawał za przegrane poszedłem do domu i jeszcze starsze miejsce z książek dorabiałem. Narazem wystrwoiłem sobie frań, powiedziałem braterstwu, że idę na prezydentowi przedstawić, nie chcąc bowiem nadradzać, że idę do wstępnego egzaminu. Po przybyciu do apelacji spotkałem

siz z Bohosiemorem, obaj bowiem tego samego dnia zdawali się, ale przed innemi Komisjami. Zdradził mi on, że niektórych przedmiotów całkiem nie robił, inne tylko pobieżnie. Tak np. ustawy hipotecznej wogóle nie czytał. Bardzo się zdumiałem, że ma odwagę z tem iść do egzaminu, ale met powrócił nas do osobnych sal przed Komisję — i zobaczymy, jak nam losy poszczęściły.

Gdy wszedłem salę posiedzeń i naprzeciw Komisji zasiadłem mijając, Kluzma stary, szef kancelaryi radcy apelacyjnej, po omówieniu piśmennego tematu począł mnie pytać. Mówiono mi stoprotwie przedtem, że kto umie Kodeks cywilny, ten prawa cywilnego mi powiniem się obawiać. Umiałem go bez zarzutu, był tem nie śmiały. Tymczasem Kluzma z długiej parteczeki począł mnie zasypywać pytaniami z najrozmaitszych ustaw i ustawek ubocznych, prowadząc na manewrze, w których i ja i on gubiliśmy się, a które mi stwierdzał, wale niedzi, Pandymata, bo ~~to~~ zastanowienie tych praw wyjątkowych było niezmiernie rzadkie a potrzeba było chyba 40 lat w sądzie stawić, nimby się do jego zastanowienia kiedyś przyszło, albo może i nigdy. Zmagatem się więc ciężko z łosem i walczylem z dłaactwem mego egzaminatora, o którym sądziłem, że go chyba szatan opętał. Z Kodeksu miałem tylko jedno pytanie o posaga, na które odpowiedziałem dostojnie z Kodeksu. A dał mi Kluzma na samym końcu, zamyszkając dręczącą parteczkę. Po tym dłaactwem pytaniem Kluzmy pytał mnie Klauzer prawie równego, a pytał tak, jak ciotwiek rozumny pytać powinien, odpowiedzi moje były bez

zarzut, bo pracując dłuższy czas w Prokuratorji, miałem sposobność także praktycznie zapoznać się dokładnie z tym działem. Gdy Klausser skończył pytać, zadał mi jeszcze przewodniczący Dylerowski kilka pytań z prawa Konkursowego i hipotecznego, na które odpowiedziałem. Ta Tatra, wreszcie na samym końcu, jakby na finał capitał mni: jał się po niemiecku nazwać raptularz. Czytatem raz jeden instrukcję ~~na~~ dla Kancelarji w języku polskim i to może na drugiego = stu zdających jeden ją przeciętnie czytał, mi miała ona nie rozpł = nego ze znajomością prawa — ale aby ją odczytać w dniu języcznych, nikomu to nawet na myśl przyjąć nie mogło. Nie wiedziatem tego, zaparkowała w sali cisza, Dylerowski zrobił jakby tryumfując minę, Kandydat odpierający, mi czytał instrukcję dla pomocników po niemiecku, jakkolwiek po niemiecku w Galicji nikt mi nie przeszedł. Głucha cisza przerwał Kurza, mówiąc kilkakrotnie: Amtskalender, Amtskalender... Na tem podchwytliwym pytaniu skończył się mój egzamin. Wyszedłem ze sali, odchyła się narada, po jej skończeniu Dylerowski mi oznajmił, że egzamin zdałem z postępem dobrym. Równocześnie ze sąsiadującej sali wyszedł Bohoriewicz i śmiejąc się w kątka powiedział, że zdał z postępem bardzo dobrym. Pognaliśmy szybko schodami na dół, ja zorientowany tym całym egzaminem, Bohoriewicz znał, jak gdyby się obawiał, by go <sup>(nie)</sup> zawtórował ponownie do sprawdzenia, czy zastawiał istotnie na stopień, jał mi tak Tatru przyznać.

Ktoś nam zwrócił uwagę, że można poprosić naszego przyzwoitego Rybickiego, a powie, gdzie ma kto iść po egzaminie. Poszliśmy do niego i dowiedzieliśmy się, że Bohoriewicz



poprowadzony do Rozniatowa, ja zaś do Sototwiny. Z apelacji  
poszedłem do fotografa na ul. Grodecką, który na prośbę  
miał robić fotografie (jaś obecnie u miejscowości Kapielowych  
fotografem ogrodnika), dla sportu na fotografowanie, a choć te  
zdjęcia miały wielką wartość, ale przynajmniej były tanie.  
U braterstwa miało sprowadzono się z cieniem przyjeżdż, gdy nie  
wiedział, że już po egzaminie i że go zdaniem, zrobili wielkie  
oceny, przezem poczęły się gratulacje serdeczne, braterskie, rodzinne.

Poprowadzony wolną drogą wyprzedem poprowadziłem do mi-  
sta. Ochłoneczy i irytacji na moich egzaminatorach, odzo-  
tem rozkosznie swobodną drogą. Sądziłem, że ~~ja~~ <sup>egzamin</sup> zdam o wiele  
lepiej, do tego uprzedziły mi różne dane, jednak faktem  
okazało się inaczej. Nie przypomniałem sobie, jaś poprzedni  
przez apelacji lwowskiej surory Scheak miał: nie mia-  
ł znać stopień przy egzaminie, ja sam (Scheak) zdaniem  
go z cenzurą tylko dobrą, a zotatem prezydentem apelacji.  
Mogłem więc i ja tym ~~stopniem~~ stopniem nie zadowolę, bo prze-  
ciwi mi chciałem zotad prezesem apelacji. Na upamiętnie-  
nie tego przeto nowego w mem życiu dnia Kupiton dnia  
drobnotli: obrazek Matki Douliej Orestochomskiej u pluszonych  
ramkach, który odtąd aż do dnia dzisiejszego patrzy ze ścis-  
ny nad tożkiem codziennie na moją drogę, nadto Kupiton  
pierscionek złoty i razem na nim wyryć raz raz datę  
egzaminu, aby przez całe następne życie cieszyć się, iż tego dnia  
uniemytem studia i odtąd wolny i wyzwolony byłem od mę-  
czących egzaminów, nieprzemierzanych wyników, trapiących obaw.

A z życia nic mi poszkodzić nie mogło, że nie wiedziałem tego dnia, jak się nazywa raptularz po niemiecku, tak jakby nie mogło szkodzić najlepszemu lekarzowi i samiemu spec. niemi obowiązkowi lekarskich to, że np. przy egzaminie na lekarza nie wiedział, jak się po niemiecku nazywa ściereka, którą stawią codziennie rano podłogę na Kurdywanu w szpitalu.

Swobodny na duchu powróciłem do Sambora i zajęchem do mego pokoju w Blochowej. Miał jej córce, grającej pięknie na fortepianie Kupiton kilka kwiatów mat, które ona potem codziennie grata, gdy tylko byłem w domu. Ale wtedy jui nie bardzo pilnowałem mego samotnego pokoju. Otoczony zwykle rzęsą auskultacyjną opowiadałem po sto razy o przebiegu egzaminu, o pytaniach, o odpowiedziach, o dziwnych egzaminatorach itd. Przydzielono mi do sądu powołanego do niego sędziego Benjamina Jekwarza i bardzo dobrze mi się wtedy powodziło, byłem wolny, wesół, rozczepiony, jak równie wówczas po maturze. Jedną tylko miałem niedogodność, że przepisywania mogłem nie do godziny drugiej w nocy, nie mogłem aż do tej późnej pory zasnąć, śniadaniem więc książkę miałem i czytałem wiele.

Niebawem mianowano mnie na sędziego, względnie, jak się wtedy nazywało na adjunkta do Sototwiny zostało ogłoszone w dzienniku urzędowym. Początem się przygotowywać do wyjazdu, a przebieg takiej pielgrzymki na „czarną promienność“ utarty jui był wyrazem. To przedewszystkiem potrzeba się było zaopatrzyć w odzież. Krawiec Ringel porobił



ubrania, inny kapiec dał na kredyt osobny stos bielizny i obowią, wszystko na raty, bo kto miał egzamin strażny, ten miał otwarty szeroki kredyt u miemie. Przewornie każda niechęć ciał korzystać, zachowaniem więc umiarkowanie.

Stosownie do wieloletniej tradycji urządzono mi z strony Kolejów ankultantów pożegnanie u salek Towarzystwa muzycznego i Ryndu. Próż ~~pełn~~ Kolejów prapili na nie sędziom i adwokat, a wzięm do młodzieży sędziowskiej.

W kilka dni później, a było Równie Kwietnia 1899, pożegnanie u sędzie wszystkich, uściskiem braterstwa, wytransportowaniem rzeczy na dworzec, wsiadłem do pociągu i wnet lokomotywa Kolejowa drgnęła pociąg ku wschodowi. Jechałem nim na rozpoczęcie zarodu sędziowskiego wśród lud, na małe miasteczko, śladami tyłu, tyłu moich poprzedników. Jechałem na wschód, a wśród był dla mnie zawsze sędziom i przedm, jechałem wesoty, zadowolony, że zepatem u dasy.

Mijały miasta i miasteczka: Brokoczek, Struj, Bolechów, Solina, Łatusz, Stanisławów, pociąg mknął poprzek zboczy Karpackiej i coraz, coraz byłem bliżej mej nieariby, której dotąd nigdy nie widziałem, a tylko z geografii wiedziałem, że miasteczko Soloturina istnieje u górach nad rzeką Bystrycą. Zasnutej porannek, wzięm liśmy się do końcowej stacji Kolejowej u Nadwórnie. Z okien wagonu widać było lesiste góry i urwiska skalne. Wygodna podróż Kolejowa Konwerta się. Potrzeba było wypadać



i dalej około 14 kilometrów jechać do Jototringi Kolumbą drogą.

Odtąd poczał się nowy okres mojej wędrówki życiowej, o której opowiem obszerniej w następnym rozdziale. Co przeżyłem dotąd, było tylko przygotowaniem do zarobku, obecni ze studenta i prestyżanta stałem się człowiekiem samodzielnym, sędzią. Czegom się dotąd uczyłem, było tylko teorią — teraz miałem myśl i stawać się czynem. Był to stanowiący i ważny przełom w życiu.

Po Sanborze zostało miłe wspomnienie, w jego murach spędziłem w gwarnem, serdecznem gronie nie długi wprawdzie, ale szeregisty okres życia. Odtąd mi nie było więcej z tem miastem nie tak było, a jedynie rozprowadzałem w nim o jego następnym rozwoju i postępie. —

\*

# Sołotwina.

Wspomnienia sędziego sołotwińskiego.

1821



# Łotwina

Lata 1899 - 1902.

Kiedy jeszcze byłem studentem w Stanisławowie, wyszedłszy nieraz poza miasto, lub dojeżdżając do koleją, widziałem na południu hen w oddali na krańcach horyzontu wieniec gór Karpackich, zastany si-  
rawą pomroka, lub stoconych metalicznym odbles-  
kiem zachodzącego słońca. Wówczas na myśl mi przy-  
chodziły barwne opisy Karpat, poloniny, szatały, wo-  
bowne życie wśród gór zdala od zgiełku i zaduchu wiel-  
komiejskiego, bo w chłopięcej wyobraźni góry były cza-  
rem i basmą, marzeniem i tęsknicą. Urodziło się w do-  
rzy pragnienie, aby tam do tych szczytów odległych kie-  
dyś dotrzeć, nasycić pierś ich nieskałanym eterem,  
poczuć się wolnym i zetknąć z tą naturą barwną,  
bujną porwijącą wyobraźnię młodzieńczą. Tak, to

były sny studenta, który wyrwał się z dusznej sali szkolnej, z ciemnego rygoru i z załków duszego miasta, wychodził na wolne podmiejskie przestrzenie, łapał brzęczące muszki, barwne owady i jaskrawe motyle, aby się temi zdobyczami wykazać przed profesorem przyrody, ale myśli rwały się z te dalekie, nieznanne przestrzenie, do tych gór czarownych, które śmiało strzelały ku niebu i od nich ~~ku~~ spoglądały na stanisławowską nizinę, szeroką, stopową, monotonna.

A oto po latach czterech sny te ziszczały się. Wjeżdżałem z te starych gór, aby w nich trvale zamieszkać, żyć się z niemi, korzystać z ich skarbnicy. Czułem z tego powodu radość szczerą i zadowolenie, że moje mianowanie padło na miasteczko górskie.

\*

Był to dzień 28 kwietnia 1899, jasny, ciepły, słoneczny, wiosenny. Woznica rydwanu na placu za dworcem Kolejowym w Nadwórnie zakrzętała się koło koczka, wyjął drwonki na rzemienie i zawiesił je na szyi jednego z koni, silniejszym sznurkiem umocował przy koczku wiadro do pojenia, włożył „opatkę” pod nogi siadł na swoim wyposzkiem miejscu, spojrzął na mnie czy niedź, wygodnie, machnął ciężkim biczem i cała drynda ruszyła naprzód przy rytmicznym akompaniamencie wrzaskliwych drwonków fiakierskich. Wjechaliśmy do miasta Nadwórny które robiło miłe wrażenie, wnet jednak z gościńca skręciliśmy z załki na lewo i niebawem

znalezliśmy się na Bystrzycy. Sądziłem, że mój woznica chce na drogę konie pocić w rzece, jednak tak nie było, gdyż on biedne swe przystawione fiakierskie oskapy w sam środek rzeki, mnie zaś poradził, bym nogi stawił na przedniej ławeczce, bo „czasami woda niejedny państwo pod nogi chlusnie”. Uczyniłem zgodnie z poradą doświadczonego Charona i dorożka pojechała po odłokach górskich wstępem przedzierać się przez wartki prąd przezroczystej rzeki, chyląc się coraz to w prawo, to w lewo i groząc przymasować Kapielą. Odetchnąłem dopiero, gdyśmy wybrnęli na przeciwny brzeg i wjechali na drożynę polną, wiedzącą ku wiosce Kołotków. Na prawo miałem spadziście, samotnie usadowione góry, jakby jakie gigantyczne zamki bajkowe. Są to piękne góry karawizowskie, nadające czołochę całej okolicy, niejako zwisające wstęp do Karpat. Gdyśmy wjeżdżali w coraz bardziej pagórkowaty teren i konie po uciążliwej przeprawie przez rzekę zasnęły tylko po górze postępowaty, wysiadłem z dorożki i siedłem śmiejąc obok drogi. Wiosna całym młodzieńcem łechcieniem wzięta przyrodą, widać to było z rozrzuconych paczek liści, ze wierzgotu ptasząt, z śnieżności flory, z brzęku owadów. Ten nastrój wyczerpy i mnie się ndzielał, a zadowolenie, że wnet się stanę statym mieszkańcem tych gór malowniczych, namreło mi na myśl wiersz Pola:

W góry, w góry miły bracie,  
Tam swoboda czeka na cie!



Usiadłem znów na dorożkę i jechałem starożytnie z niej do samego miejsca przeznaczenia. Chciałem nawiązać rozmowę z moim wóźnicą, ale ten skąpy był w słowach, tylko na moje pytanie, czy Solotwina jest taka jak Nadwórna, odpowiedział, że trochę mniejsza. Wjechaliśmy na gościniec i wnet znaleźliśmy się w Motokowie. Wioska to nie wielka, schludna, ma gustowną cerkiewkę drewnianą, obok probostwo unickie, na uboczu dworek Metkowskich, za nią pola orne, taksi i łąki gaj brzozy, a dalej nieś Markowa, większa niż Motoków, zasobniejsza, kilka domów zachowało jeszcze charakter miejski, bo Markowa dawniej była miasteczkiem. I znów wjechaliśmy do szeroko rozlanej górskiej rzeczki Maniawki, wcale płytkiej. Na drugiej brzozi dotarliśmy się na inny gościniec i znaleźliśmy się na wzgórzu, poczem mój wóźnica oznajmił, że za tą górą jest już Solotwina. Jakkolwiek miobawem okazało się miasteczko. Pierwszy żydowski dom, jaki się pojawił po lewej ręce miał dach zapadnięty do wnętrza budynku, tak że robiono to w czasie opuszczenia. Dalej jednak szła szereg schludnych domków bądź unickich bądź włościańskich, wreszcie wjechaliśmy w środek miasteczka, gdzie się gęsto ciągnęły jeden obok drugiego domy żydowskie. Przed takim jednym obszernym domem stał mój przewodnik, zstąpił z koza i oznajmił, że to jest hotel, do którego „całe państwo reżysza”. Rzuciłem okiem na ten dom, była to zwykła oberża. Wszedłem do dużej, długiej sieni, gdzie wnet na moje spotkanie wyszła wyroka, lat około 48 licząca,

siwiejąca żydówka, ubrana skromnie, w chateczce na górze i zapytana o izyzenie. Była to właścicielka tej oberzy, słynna na całą okolicę wdowa Rojza Szafer. Na owe czasy oberza Szaferowej była centralą zjazdów, rozrynek, zebrani, spotykan, noclegów, posilków, jednym słowem, kto tylko pomyślał o dale w Sototwinie, tego myśl sięgała do tej oberzy Szaferowej. Sama Rojza była kobietą pracowitą, zapobiegliwą, przez styczeń i inteligencją o formach umiarkowanych, a zresztą nie sprawdziłem nigdy, by goście wyrzykiwała.

Jak znalazłem się na gruncie sototwinińskim pod gościnnym dachem miejscowej oberzy. Po posiłku porzedłem spać, bo wczna podróż ze Sambora wiele mnie zmęczyła. Około godziny czwartej popołudniu, kiedy jeszcze leżałem w łóżku, zapukał ktoś do drzwi i wnet w moim pokoju zjawił się młody człowiek o delikatnej strukturze, szatyn, z wypukłymi oczyma i dużymi binoklami na nosie, ubrany w bluzę urzędową, na kurtkiewkę z trzema rozetkami, przy boku z balansującą szablą, rozbarwioną, dwiema mianami, przedstawił się że jest moim kolegą i że się dr. Roman Kowszewicz. Zachęcał mnie, bym się jak najprędzej zbierał i szedł do „Kasyna”. Opowiedział mi, że byłem istotnie straszony, nadto koniecznie wtedy czytać Siemkiewicza „Quo vadis” i nie spieszto mi się wychodzić. Gdy mnie Kowszewicz pojechał, wszedł znów do pokoju drugi kolega Jan Smolski, który był przeniesiony do Kocirki, a ja na jego miejsce przychodząc do Sototwiny. Smolski był dobrej

tuszy, ~~do~~ twarz duża, ovalna, oczy małe, ciągle się mickerplinił, jakby czas mi miał, prosił, bym się, jak najprędzej w sprawie zgłosił, bo od tego jest zależny jego odjazd. Dopiero później mi oznajmiono, a gdym zawiadomiał niecierpliwie, powiedziano mi, że kolacja jest tylko w „kasynie”. Nie było innej rady, potrzebna było iść do owego Kasyna. Oberża Szaferowej, jak wspominałem, było duży dom czworoboczny, wzniesiony strona, zwrócony ku drodze. Środkiem przedłuża się długi, a szeroki korytarz, po lewej stronie (niec od Markowej) były pokoje hotelowe, po prawej (od strony Zarzeczka) najpierw duży pokój szynkowny dla mieszkan, potem sala kuchnia, pokój mieszkalny Rojzy i jej rodziny, wreszcie duża sala, to było „Kasyno”, czyli po prostu mój pokój restauracyjny dla lepszych gości.

Było już po ósmej wieczorem, kiedy wszedłem do Kasyna. W suficie wisiała duża lampa naftowa, w sali było 5 do 6 stołów mniejszych i większych, dym z papierosów w zgęszczonej postaci napędzał jasnym blaskiem całą salę, a pomieszczenie z drożdżową wonią piwa, tworzył zaduch oryginalny, od którego każdy doznawał zawrotu głowy. Sala była szalenie ludźmi napelniona, wszystkie stoły poobstawiane, gwar taki, jaki jest ~~\*\*\*~~ w planie przed przyjściem profesora, zwrócić po stołach pomieszczone talerze, szklanki z piwem, różne kieliszki, herbata, pieczywo, gazety, butelki zydowskie, śledzie, karty, czapki rządowe — stowem rozmawiali mi do opisaniam, humory różne, dowcipy jakby o żagłochy przyciążone, swoboda nieloka, gwar, wybuchy śmiechu, sprzeczki o szeregach, żarty bez granic. Wszedłszy w ten tłum rozgarzony,



odnalarłem mojego dawniejszego koleżę zawodowego Kowsze-  
wicza, niebawem poznatem wszystkich, a wkrótce nie znanem  
nikogo, bo ani nie wiedziałem kim kto jest, ani nie dostyżatem  
nazwisk. Odrożniałem tylko starych od młodych, cywilnych  
od dachowanych. Ledwie zaczął mi Kowszewicz opowiadać o sa-  
dzie, przybliżył się do nas jakiś mierzynka miły, dobrej  
tury, dobrotliwie uśmiechnięty, w bluzie urzędowej z jedną  
rozetą, w dość podnieconym humorze i zaczął opowiadać, że  
teraz właśnie powrócił z Romirji, gdzie przeprowadzał egzeku-  
cję i ta, mimo spodziewanych trudności wypadła doskonale.  
Był to Kancelista sądu Ferdynand Kessler. Co Kilkę zdani od-  
delał się do przyległego stołu, gdzie miał swoją butelkę i  
powracał coraz w lepszym humorze. Język coraz bardziej mu  
debniał, oczy przybierały coraz pożeńszy wyraz, począł już  
po raz drugi i trzeci to samo opowiadać, wreszcie narotymano  
na niego z Kilkę stron: „Ferdzin, Ferdzin, nie gadaj tak da-  
zo, idź już spać, boś Romirję strudzony, idź spać, bo potem  
do domu nie trafisz”. Kessler odcinać się im już nie mógł,  
a gdy język całkiem odmieriał ~~z~~ postuszeństwa, usiadł na  
swojem miejscu, pomrukując coś ciągle, jakby sam ze sobą dy-  
skutował. Ledwie on odszedł, przypieł się do mnie ksiądz raski  
Jadysz Lewicki z Łamiany, zwany powszechnie Kaniońskim i  
także rozczulony traktamentem, opowiadał mi długo, długo o  
swej żonie, o jej chorobie raka, o jej cierpieniach okropnych o zgo-  
nie, o pogrzebie w kościele, — mówił i mówił, piął, trzy-  
ościerał, znów się porwał „na frasunek” i dalej bez końca opo-  
wiedział, rad że ma cierpliwego słuchacza, dla którego jeszcze los

88

tej biednej Kobiety nie był znany. A tymczasem z potwórną gwałtownością i hatarną wyróżniał się głos jeden, śpiewając ciągle aż do zmierzchnia jedno: to samo.

Oj pieszon ja do diwczyny

Czeresz peretasy,

Wdaryw mene jakis' duren' } bis.  
Pieszos' ze cztery razy!

A ty durnin, ta czocho bjesz,  
Czomu ne pytasz,

A ty durnin, czocho stoisz, } bis.  
Czomu ne wtikajesz

Tym śpiewakiem był mój poprzednik w władzie sędzie Smółski. Z nuty i treści piosenki niekiedy była martwota, apatia, brak duchowego skupienia.

Tymczasem zapadła coraz późniejsza noc, powoli porzuciła się sala upróżniać, pozostata może trochę więcej niż połowa z poprzednich biesiadników, przy stole pod oknem czerwórka jakas' grata z karty z tak szaloną wprawą, że karty latały jakby w ręku sztukmistrza. Z podziwem z boku spoglądatem, do jakiej doskonałości w niezrównanej grze doprowadzili tę sztukę. A wszyscy Rich banit jakis' rosty, Tadeusz męczyłona, lat około 40, o długim czarnym wąsie, zważył się szlachcicem regierstkim. Wyjmował coraz z karnizelki tubkę metalową, naciął na palce palce, smarował nią wąsy, podkręcał je miżem kuszak jarki i wolał: „patrz Sękowski, tak podkręca wąsy szlachcic regierstki i napurza się partą ze samego Szegedyń! Tobie - o Tobie nigdy tak wąsy nie staną, bo i od cześci, od tej kuleszy, która ot wczoraj na

nich zaschła". Buchnęło śmiechem kilku sąsiadów, a szlachcic  
regierski wasy języcze wyżej podkreślił. Sękowski kurczow-  
no chwycił się ręką za was jeden i drugi, jakby chciał spraw-  
dzić, czy istotnie niema na nich jakiego defektu, a przekonaw-  
szy się, że są w porządku, zawołał do szlachcica regierskiego: "ot  
nie kłam, bo ci się z nosa dymi, Kupiłeś ~~pienię~~ partę do zg-  
boń u Dokera u Sototnime i to penne na Kredyt i chcesz  
mnie cnić wazy! Polski szlachcic nosi wasy tak jak rosną,  
bo tak Sobieski nosił — i gra u Karty poszła dalej raz'mie,  
aż stół zabębnił. Na to dictum Sękowskiego zrobił szlachcic  
regierski zdziwioną minę i zrekonstruował: "No — no, popatrzcie  
na kogo się Sękowski powołuje, mi'mniej, mi'niej, ino na sa-  
meo Sobieskiego! Niby to tak chyba rozumieć potrzeba Sobie-  
ski Jan Król i Sękowski Jan przekrosiej — to jedno. Musiał nat-  
tym dowcipem u Starum przynajmniej przez tydzień myśleć!" B-  
czen poczał szlachcic regierski zachęcać Sękowskiego, by sobie  
wasy napisać jego partę, wtykał mu ją do ręki ale Sękow-  
ski nie stukał jui dalej przygadynar, bo tury se ferbla  
sromotnie przegrał i zadowolnie patrzył, jak inni garnęli  
pieniądze ze stołu.

Szlachcic regierski przypłacił się następnie do aptekarza  
Głodolego razemli coś dobrothnie do siebie jako stary zna-  
jomy mówić, to usuniekali się, to rekanni giestykulowali i  
zdarato się, że rozptylają się u milej pogawdce. Wtem  
aptekarz podczerniemł i reagując na jakiś nieostrożne  
wyrażenie szlachcica wolał: "O panie ~~Pompaj~~ Pompajn,  
pilnij pan swojej regierskiej papryki, wawa panu ode-



mnie, ja nie jestem wcale giftmischer jak mnie pan raczył nazwać, jestem aptekarzem z wykształceniem i dyplomem, u mnie wszystko we wzorowym ładzie, proszę, przyjdź pan do mnie do apteki, a każdy stoje to istne kryształ! Mnie tyle obchodzi pańskie regimierkie szlachectwo, co psa piąta noga! — I znów kaskady śmiechu, domowy, wykrzykniki, rojno i gwaras jak w ulu.

„No pogódźcie się — wstał jakiś głos z ze stołu — wszak od dawna żyjemy z Hegrami w zgodzie: Madziar, poleć dwa bratanki, do dzierozyny i do szklanki!”

„Hoho — mylił się pan granatowie, reagował szlachcic regimierski, madziar do dzierozyny nie znosi żadnego braterstwa, ale jako naród rycerski głosi:

Madziar, solak — dwa bratanki,

Jak do szabli, tak do szklanki!”

I znów zabrzmiły głosy, także i owarle, a wród krzyka i zgietka jakiś młody sztoniek ze spiczastą brodką zaczął na ten temat więcej mówić, powozem wyciągając przed siebie ręce, jak gdyby chciał błogosławić, zawtął: Crescite et multiplicamini! A taciński proboszcz Sadlejski, kręcąc w bibułce grubego jak palec papierosa, zawtął się do owego błogosławiącego i rzekł dobrótliwie: „Ho-ho, panie Gologórski, wolne żarty, nie wiele widać mądrości na dogmatyki w szkole, wszak niesz, że religia powiada: ne misceantur sacra cum profanis! Nie w porę wybaw się z tem błogosławieństwem.”

I z dalszym ciągnę było gwaras, szumnie, rojno. Tytko Kessleroni wozu mają zaszy, twardo przybrata Rolor granatowy,

niedział cięsko na stolek, nie brat udręta w dyskusji i sporach  
ale sam sobie nucił półgłosem

funda, funda, funda,  
tota risibunda!

hej Kolenda, Kolenda!

"Czemur pan teraz po wielkiejnocy Kolenduje, wszak to nieaktualny temat — odzwrot się miękkiem głosem urzędnik Kopalni przy Michel ze sławami — nie teraz czas na Kolendy, niech pan raczej spiera coś bardziej zastosowanego do obecnej chwili!" I Kessler zawsze usmiechnięty i dobrodlny zaśpiewał mi piosenkę często w tych czasach powtarzaną, z której pamiętam tylko dwa pierwsze wiersze:

"Pani Kobrynowa dobrze zrobiła,

że Opuchlakowi, łeb rozwalila.

Odnosiło się to do dokonanego przed kilkunastu laty morderstwa na osobie znanego powszechnie we Lwowie przedsiębiorcy pogrzebowego Opuchlaka, przez jego Kochankę Kobrynową.

A gdy tylko cokolwiek potrącało tematem o Lwów, zaraz zabierał chętnie głos aptekarz Hlodoly i szeroko opowiadał o stosunkach lwowskich, które znał dobrze, gdyż przez kilkanaście lat pracował we Lwowie w zawodzie aptekarskim w głównej, znanej aptece Mikolasza. "Niemniej zabrakło nas młodych ~~starych~~ żyjących jeszcze wówczas Mikolasz — prawnik Hlodoly — i powiada do nas: "..... nie mógł jednak do końca swej lwowskiej opowieści bo nagle krzyknął zła-  
<sup>lekomy</sup>chciej: "Ach dla Boga, ten szwajcar chce się sam mordować" i pobiegł do bocznego stolika, przy którym siedział chunderlawy,

spokojny człowieczek, z matym czarnym wąsikiem i krząc  
nożykiem przywiązana z domną kielbasą, jedł ją z chlebem  
a popijał herbatą, którą mu Rajza podawała. „Coś pan robi,  
czy panu życie miennie — wolał cię wytorować, Sękowski — czy  
pan mi wie, że spożywanie kielbasy ze skórka, to rzecz śmier-  
telna, skórka lepiej do ściany jelit człowieka i zegnaj  
się człowiecze z tym światem”! Owym tak bardzo zagrozo-  
nym człowiekiem był inżynier Rady powiatowej Bosch, z Bo-  
horodczan, bawiący w Jototwinie na jakiejś czynności urzę-  
dowej. Bosch się rozśmiał twierdząc, że całe życie tak je i  
jeszcze mu nigdy nic nie przylepta, śmiali się i inni,  
ale Sękowski obstawał przy swoim i snuł smutną przy-  
ślochę dla Boscha. Niektórzy podniecali Sękowskiego, by po-  
prostu odebrał kielbasę Boschowi i sam ją umiejętnie  
zjadł, bo inaczej człowiek ten marnie zginie, a szkoda, bo  
złota dusza. Inni doradzali, by Sękowski założył sklep  
z kielbasami bez skórki itd. itd. Ktoś zawołał: „ot jest  
lekarz pan doktor Sella, niech rozstrzygnie, czy takie spo-  
życie kielbasy jest śmiertelne!” Lekarz uśmiechnął się  
figlarnie, a nie chcąc zbijać Sękowskiego, rzekł dyplomatycz-  
nie: „moi panowie! zawsze stary praktyk idzie przed  
młodym teoretykiem!” Pokręcił Sękowski, śmiał się  
wzruszył, gwarnie było i swobodnie, a sędzia Kłowszewicz  
pożądał mieć cały traktat o przewodzie pokarmowym, o tra-  
wieniu, o przeznaczeniu pojedynczych organów brzusznych,  
ale tych naukowych wykładów miłośnik nie słuchał, prosił doktora  
Sellera, który często do wywodów sędziego swoje fachowe uwagi  
czynił.



Koto drzwi wchodowych stał u kapelara na głowie zgruba wirnioną laską u ręce miejscowy proboszcz rurski ks. Michał Głowacki, patrzył z uśmiechem u Koto i na cały ten rozgwar narokundował: „a to nimci bresznt!” i skinesy głowę na kogoś za dalszym stołem jeszcze siedzącego zawołał: frater, chodź! Zbliżył się zaraz i taciński proboszcz, złożył pozostałym generalnie dobrej nocy i ohaj proboszczowi nie powołnym krokiem wyszedłszy z „Kasyna”, zniknęli u szerokiej ciemnej śieni staroswieckiej oberży.

A tensam proboszcz z Kanią, który przed godziną płakał nad stratą żony, siedział przy Kwadratowym stole, u najlepszym humorze grzał u Karty fębla i wleciał na odchodne do rurskiego proboszcza „a aważaj Mychaniń, ahyś tam gdzie pociemka głowę nie rozwałił, masiałbym zadarmo parantas odprawić.” Ale Mychaniś tj. ks. Głowacki był już u potłoni dobrze sobie od lat kilkundziesięciu kanany śieni oberży i nie słyszał rat „Kaniowidzię”.

Przy tym Karcianym stoliku najgłośniejszemu było, drgał tam silniej nerw życia niż na sali. Kilku partnerów grało, inni „Kibicowali” tj. przyglądali się grze i komentowali szczęście lub nieszczęście graczy, zresztą często dołatywały niarozryte wykrzykniki: viso, blind, besser, oko, nie idę, majzel... Kojza piva, albo Kojza herbaty z rumem, der Mensch strebt immer nach Ruhm, inni opierali się od Kibiców wlepić Kibitzen, ruhig sitzen! — zresztą słuchać było tylko tętno uderzeń pięści o stół przy rzucaniu Karty, tudzież okrzyki podziwa, nagany, pochwały,

zdziwienia i oburzenia. Rojra zmęczona ustąpiła, dogadując kazidemu. Podobał się ~~zbyt~~ Krzyknał ktoś nagle, pokazuje palcem pod stół: „o-o, popatrzcie, sekowski pcha wygrane pieniądze do cholery”. Złaczono dworka, wiek podziwiał ku sekowskiemu, który podniecony grą, odgryzał się: „krim by cię zabił, do jarej ja cholery pieniądze chowam, ot ukasita mi, zydowska poła i nogi, trochę się pokrobalem a jwi Krzyżu na całe gardło pieniądze chowa, pieniądze chowa – popatrz lepiej, przegryzam dziś fatalnie, to nie mój dzień, na nowin Riezica nigdy szczęścia nie mam. Chyba do cholery pieniądze chowam, ale nie do cholery!” Histocie sekowski nie przegrywał i rzeczywiście lubiał wygrane pieniądze chować po wszystkich Kreszeniach i Kieszonkach, bo przyjemność mu sprawiało, że po powrocie do domu, z którą Riezica palce włożył, wszędzie znalazł pieniądze. Ale stawki były niskie, nikt się tą grą nie zajmował i nikt nie wzbogacił.

Przy stoliku koto pięć siedziało grono osób z takim gestym dymie z papierosów. Jeden z grających zaśpiewał fałszywym barytonem znany wiersz:

Żył sobie dziad i baba,  
Bardzo stary wboje,  
Ona Raszlaca staba,  
On skurozony ze dwu...

Po odśpiewaniu dwu zwrotek, dalej jwi tyżto deklamował do Riezica przy liczących wykrzyknikach i wrzaskach wpeł braciadników. Gdy wkonczył, odezwiał się jego sąsiad „My solacy

macie same smutne poezje i smutne piosni, my Rusini  
nie bierzemy rzezy tak tragicznie, mamy takze piosnke o  
drogich starych ludziach, ale ta jest o wiele weselsza, tak  
w melodji jak i w tresci." Przytem ryknal do miotle:

A tatunio lulku kuryt,  
A mamamia pise dre,  
A tatunio do mamani,  
A mamamia he - he - he!

Zapanowal nastroj wesoly, Sekorski ustyszczajacy skoczna  
nute, puszczal dloniami bicie po kolanach, nogami tapac  
do taktu i spienac, zapominajacy o ferblu, az przywołal  
go do porzadku paroch Halikowski z Porohów: "Sekor-  
ski, przypominaja ci sie dawne lata, zachciana ci sie jakie-  
gos he - he - he! Oho, przypadlo na warsze, zostaw to  
młodszym, pilnuj lepiej kart. Moja - idziesz, czy nie idziesz?"  
I znów gra poszła swoim torem, przy stolekach tworzyły się  
rozne głośniejsze lub słabsze, duża wisząca lampa tung-  
ta w obłokach dymu i oparach pira.

Nuda powiała po sali, tu i ówdzie ktoś tyto-  
min zaciągał, inny ziewał przeciągle, z pod okna dło-  
ciał wybuch sprężarki przy kartach w innym kącie ktoś  
pełnał donicę słuski, a młody w okragłej, rumianej tra-  
rzy urzędnik podatkowy powołł spienac ordynarną piosnke,  
którą Karida zwrotka Ronczyła się, niewinnym dźwiękiem.

tylko przepióreczka,  
latata, biegata, koto zgródeczka!

Rozja śmiertelnie zmęczona, potykata się już na nogach.



Czas był najwyższy ruszyć z miejsca, więc wyszedłem z „Kasyna” do pokoju gościnnego oberży. W głowie mi się męciło od wrażeń, gwaru, różnorodności. Pierwszy raz z zyciem widziałem ten barwny Kalejdoskop prowincjonalny, to wytłumienie po pracy ludzi różnych zawodów i stanów, losem rzuconych na ten odległy zakątek, odsunięty od świata, zapadły w górach, zapomniany i zesnuwany. Jedni żyli wspomnieniami i z labościami opowiadał czoasy, Kiedy jeszcze jako młodzieńcy w innym obracali się świecie i do przedniejszej nadejść klasy społecznej, inni wyglądali duma, z którymby się mogli stać wyrwać na świat szerszy — a byli i tacy, którzy przynależeli się do tej miejscowej szerszy, nie pragnęli z niej iść nigdzie, radzi się znaleźć sposób do życia i być jakitaki, a to codzienne wieczorne zebranie w Kasynie Szafarowej, było dla nich rozrywką, wytchnieniem, operą i ubarwieniem szarego dnia, ale też i wyjątkiem duchowym.

Byłem więc po premierze wieczorną, odtrącając się zyciem na prowincji i chwilach wolnych od pracy. Gdy mi się udało na nocleg, stypendium jakiś czas jeszcze przysługujący gwar z „Kasyna”. I po rozprawie ział mi się odjazd za Samborem i za miłym towarzystwem, jakie tam zostawiłem, dzisiejsze bożem wydało mi się obce, mało zrozumiałe, wątpliwe, czy nie z miem Kiedy zyciem. Ale mi mogłoby wszystko być z centrali Kraju, z Komisarzami maneliśmy się rozprawy po najdalejzych zakątkach Kraju, tego wyjazd nasz zarząd. A warto poznać także „czarną prowincję”, zwłaszcza to za-

padła daleko za górami i lasami. Tak na jeden wieczór, poznatem wiele, ale to był tylko porzątek. Te barwne obrazy życia prowincjonalnego portarzaty się potem często i jeszcze bardziej wyraziście. Żędnem by było wypróbować je szczególnie odzwierciedlić, ten utomkowy szkic niech starczy dla ujęcia ich cech i charakteru.

Nazajtraz poszedłem oglądać miasto i rozpytywać się za mieszkaniem. Miasteczko było małe, wcale miłe, rzeka Bystrzyca o czołach górskich cechach dodawała mu uroku, a góry porzynały się niemal za ostatnim domem miasta. Same czerechy miasta opisyż później, wpiersz zajmę się osobami, jakie w tym czasie były w Solotwinie i stoworkami, jakie się za moich czasów wytworzyły. Na razie wróciłem do rajazdu Szafarowej i za partym oddechem kończyłem pospiesznie czołach Quo vadis.

\*

Smia 30 kwietnia 1899 udełem się do sądu, aby się zgłosić do służby. Sad znajdował się przy ulicy, wiodącej do Kryszki, a mieścił się w budynku jednopiętrowym, którym były rozlokowane w parterze, na piętrze zaś mieszkał na czołach sąd.

Sad solotwinski nie długi miał historię. Po podziałach Polski i przepięciu Solotwin w r. 1772 pod władztwem austriackie, mi było w Solotwinie władzy sądowniczej, lecz wykonował ją justycjarz, mający siedzibę w Boksrodorach. O ile mogłem odnaleźć od najdawniejszych lat był takim justycjarzem Józef Wójnarowicz w czasie conajmniej 1829-1832. (Rzecz oryginalna, że później, bo w r. 1878 był administratorem

parafii łacińskiej w Sobotnicy<sup>98</sup> ks. Józef Woynarowicz, a więc tegoż samego imienia i nazwiska, możliwe Bexmy poprzedniego sędziego). Pomieniał ze zmian polskich Sobotnica stanowiła starostwo niegrodowe i w rękę starosty spowierzano wszelką władzę, niezawodnie przepisał maniat władza sądownia niegrodowego starosty na justycjarza. Kiedy się to jednak stało, odnaleniu zwołaniem. Po Woynarowicza dalsi justycjarze ustanowieni byli z siedzibą w Sobotnicy, a byli nim i latami 1833-36 Stupczakowski, 1837-44 Józef Kohn, 1845-46 Jan Blatt, 1847-48 Edward Keiser, 1849 Antoni Knisch, 1850-54 Maksymilian Türman, 1855 Feliks Madajewski. Od r. 1856 wprowadzono w Sobotnicę Urząd powiatowy (Bezirksamt), na czele którego stał „Bezirksvorsteher”, nazywany przez ludność tradycyjnie starostą. Pierwszym z nich był Michał Horwath, i w tym pierwszym przeprowadzonym urzędzie pracowali Aleksander Rischka jako adiunkt do sprawowania funkcji sędziowskich, nadto dalszymi urzędnikami byli: aktuarzy Michał Mohilowski i Michał Frydlewski, tudzież kancelista Jan Klipnowski i Jan Konarski. Nadto osobno był w Sobotnicy czynny Urząd podatkowy (Steueramt). W tym więc Urzędzie powiatowym stępczona była władza administracyjna ze sądowniczą i trwała to do r. 1856 aż do r. 1869. Dopiero od tego roku rozdzielono administrację od sądownictwa. Starostwo łacińskie wcielono do powiatu radomskiego, a sąd w Sobotnicy został władzą samodzielną. Pierwszy skład osobowy tego sądu był następujący: Sędzia powiatowy i nadzelnik sądu Alfred Linxbauer (do r. 1876).



adjunkt (sędzia) Władysław Łucki, a od r. 1873 w miejsce mego Adolf  
 Sichower, wreszcie kancelistami byli Leopold Cityński od powrotu  
 ku sam, zaś od r. 1873 przybył Filip Bryndziej. Początkowo język  
 niemiecki był językiem urzędowym, od r. 1870 urzędowa-  
 no po polsku. O Linzbanerze nie wiele się dowiedzieć mo-  
 głem, bo odległe to czasy, to tylko jest pewne, że coś go ta-  
 czało z Kotołymi, możliwe przyszedł do Sobotnicy z Kotołymi.  
 Był synem radcy szkolnego (Schulrath), wielkiego na owe cza-  
 sy dygnitarza, bo tylko taki jeden był na całą Galicję. Linz-  
 baner prawdopodobnie zmarł w r. 1876 w Sobotnicy. Po nim  
 został w r. 1877 naczelnikiem sądu Ignacy Karpiński. Zdol-  
 ny i pilny sędzia, syn ruskiego księdza, jednak słabowity  
 tak on, jak i jego żona. Zmarł w Sobotnicy i tu na cmentarzu  
 nad Bystrycą pochowany. Po Karpińskim został naczelnikiem  
 sądu Bielkowski, polak, początkowo bezzienny, zdolny ener-  
 giczny i pracowity, jednak na zdrowiu również nie tegi  
 (tabetyk). Klimat sobotnicki nie był mu stwarz. Po dłu-  
 giej kazełarni przeszedł go, powiem że przeniesiono do So-  
 kala, jednak w jaski rok lub dwa potem wyjechał do Za-  
 kopanego na Kurację, wyszedł raz w góry i przepadł bez  
 wieści. Po Bielkowskim został naczelnikiem sądu Ferdynand  
 Tomek, pochodzący ze znanej a czczonej czeskiej rodziny,  
 boiem stryj jego Wacław Władysław Tomek, historyk czeski,  
 profesor Uniwersytetu w Pradze, był jednym z współzawo-  
 dówli dachy narodowego w Czechach, w powstaniu zstęg dla  
 narodu pochowany w Panteonie na Wyszehradzie wraz  
~~z~~ z Palackim i Rygiere. Sędzia Tomek był rodem

z Jaworowa, do gimnazjum <sup>100</sup> chodził w Samborze, Uniwersytet Kowieński w Lwowie, asystentem był w Samborze, a po  
zdaniu celującą egzaminu sędziowskiego pracował w sądach  
w Samborze, Buczacz <sup>z córka</sup> a od r. 1875 do 1890 <sup>był</sup> sędzią w Kato-  
rze, tu ożenił się z Wincentą Michalewską, nadradcą skarbo-  
wego i właścicielem dóbr Turystowa, potem w r. 1890 został  
mianowany naczelnikiem sądu w Sotutynie. Gdy się tu opo-  
wadził, dotarł starani o sprawienie urzędu dla sądu, bo to  
które jeszcze było, pochodziło z czasu przed r. 1848, kiedy soto-  
tynski klucz był własnością państwa. Współpracownikami Tom-  
ka byli adiunkt Wesolowski, rusin, i asystent Mieczychow-  
ski, polak. Gdy Mieczychowski odszedł jako adiunkt do Ober-  
tyna, mianowano tu adiunktem Szymona Czmotę. Był to orga-  
nizmat, jakich mało się spotykało. Czmota ułomny po udarze  
mózgowym, dlatego pomijany, wręcz obdarzony nim Sotutyn.  
Sędzią wielce marny, drażliwy i ślodziły, był niemal niewyżer-  
ny. Żył skrajnie miary, mieszkał w domu nad Rystrycą  
a odznaczał się niemi rozwiniętym apetytem. Ciągłe jadt i  
jadt. Cy w domu, cy w biurze, nawet przy rozprawach,  
ustanowił jadt (rzeczgłównie kapuś z mięsem), tak iż dziwić  
się należy, jak organizm to odolat przetrwać. Miał ojca  
rurkii. Rydzan nad Zbraczem, a gdy ten umarł przywiózł  
Czmota spore daskatón i wtedy jadt poproszo, ale już delikatniej.  
szere rzeczy, sprowadzane w 5ciokilowych paczkach z Triestu.  
Tak było aż się daskatý wyczerpały. Dopiero około r. 1898  
przeznaczono go do Porzezan. Wówczas nie było jeszcze sędziów  
samodzielných, naczelnik odpowiadał za ogólną pracę

wszystkich, toteż miał Tomek ciężkie obowiązki. Do tego przy-  
 szły trudności inne. Oto w tymto czasie rozpoczął się ruch  
 Kopalniany w okolicy Sotutwiniskim, poczęto bowiem wydoby-  
 wać węgiel i naftę. Chodziło o wpisy do ksiąg gruntowych,  
 różni ludzie o potrzebnych uprawnieniach starali się o zapisanie  
 ich praw, ale Tomek nie zawsze mógł temu zadość uczynić.  
 Toteż różnym potentatom naftowym stał się niemię-  
 godnym i niestety wśród wielu dżennych przyprości prze-  
 mieniamy został do Janoka, gdzie znaleźli się ludzie, którzy  
 chętnie podchycili jakąś drobnostkę, aby go w jakimś nielicz-  
 ny przedstawic. Był Tomek w Sotutwiniskim na czelnym sądu za-  
 pobiegliwym, sędzią sumiennym, nieumiejętnie ludzkiem,  
 mądrym, wyrozumiałym i pozostał po sobie bardzo dob-  
 rą pamięć na długie lata. Dnia 12. lutego 1896 obdarzyła  
 go rada gminy miasta Sotutwinisk obywatelstwem honorowym.  
 (Na ten przedmiot byli obecni radni miejscy: Idem  
 Stodzieński notariusz, ks. Michał Głowacki proboszcz r. g., Jó-  
 zef Kłodzki aptekarz, Grzegorz Laszkiewicz, Leizer Wein-  
 ranch, Wolf Seeman, Rachmiel Jäger, Leib Locker, Berl  
 Krawiec, Jan Sebnicki, Józef Mikulak, Wasył Hohol,  
 Mikołaj Panewnik, Józef Kłodzki, Zmytro Kupczak,  
 Mikołaj Petryszyn, Wasył Kupczak, Abisch Kern, Szan-  
 lim Pecker, Jakób Daniel Juran, Aron Kornberg i Ojciec  
 Purpur. Pisarzem gminnym był Ludwik Szluha). W Sanoku  
 został Tomek met radcą, poruczone mu sądownictwo cywilne,  
 które prowadził chłabnie, poczem po przejściu na emeryturę  
 prowadził adwokaturę w Cieszkowicach, a będąc już w sędziwym



wieka przebywał w majątku nej zony w Jankowej od Bobowa (kuto Stróż). W liście z 15 kwietnia 1925 sam Tomek tak skreślił wspomnienia ze Solotwiny. „Pobył mój w Solotwinie — z jego stron — należy do najpiękniejszych dni mojego życia. Jako przyjaciele pięknej przyrody i dobrych ludzi, zajmowało mi wszystko, co tylko z pięknem ma wspólnego. Jako znawca stosunków na Rusi interesowało mi wszystko i śmiało, że mi mam talenta pisarskiego, bo z doświadczenia mojego długiego życia, mógłbym pozostawić mi jedną cenną wzmiankę o naszych pięknych górach i społeczesnych ludziach.”

Wiele szczegółów z tych zapisków, jemu właśnie zarzucanych, był bowiem oddany do końca życia doskonałą pamięcią. Zmarł ten zacny sędzia solotwiniński 24 kwietnia 1927 w Jankowej, po kilkuletnim cierpieniu pęcherzowym. Liczył lat 81, pochowany na cmentarzu w Bobowej.

Po Ferdynandzie Tomku został naczelnikiem Sądu Franciszek Kohnan i gdy przybył do Solotwiny, właśnie on urzędował. Człowiek więcej niż średniego wzrostu, twarz czerwona pociągła, włosy i głowa dobrze siwiejące, na nosie binokle w złotej oprawie, był żonaty i miał dwójkę dzieci. Przeko mówił, wiele kłat, był jednym z wygasających typów prowincjonalnych naczelników, autokrata, puryty, dla niższych bezrządny, zresztą w służbie ścisły i stanowczy. Pochodził ze Sambora, z niemieckiej rodziny, tam ojciec jego w latach 1852-56 był urzędnikiem skarbowym. Gdy cesarz austriacki Franciszek Józef zmarł w Galicji w Samborze, urodził się ten m. in. urzędnik bliź-

nieta, a to dwaj synowie. Urządzamy tam, szpital ni do cesarza na audjencyj i prynci go na uroczystego. Cesarz na to zezwolił i przez zastępcę był ojcem chrzestnym. Statego właśnie jeden syn miał na imię Franciszek, drugi Józef, zgodnie z imionami cesarza. Byli też obaj bliźniacy do siebie podobni jak jedna kropla wody do drugiej. Obaj poszli na prawa, obaj byli szlachetni, obaj jednakowo mieli namiętności, nawet charakter pisma ich był sobie podobny. Ale mi żłbi ze sobą ścisłej. Właśnie kiedy odchodziłem ze Sambora, był tam radca Józef Kohnman i kiedy ni z nim ciągnąłem, a kiedy ni odchodził do Sotutiny i zstąpił ni z ni go bratem Franciszkiem, opowiadał Józef o ich wzajemnym stosunku, z czego wynikało, że nie żyją na pokojowej stopie, bo ich żony nie mogą się wzajemnie zgodzić. Gdy znowu przyjechałem do Sotutiny, Franciszek radząc, że Józef nie mię naprzedzi, poradził znowu zgodzić na swojego brata. Byłem w tam wszystkim biernym świadkiem, bo i cóż mię mógł obchodzić antagonizm dwóch bliźniaczych braci. Złożyłem przysięgę staroborę a Kohnman wzniósł oficjale Kobzeja, by ze mną pojechał do miasta i wynalazł mi pokój mieszkalny. Jaki mna przeto różne wskazówki. Kobzej, odwiedził sotutynianin wyraził ni ze swego padania dobrze, miał miastem dwaj pokój, jarmy, w środku miasta, w murowanym domu starego Kupca Fajbisa Taubmana (plan p. 27.).

Sąd w Sotutynie prynci nadzorca miast wtedy jeszcze trzech innych sędziów (zwanych adjunktami), ponadto był szereg urzędników pomocniczych: oficjali, kancelistów, pisarzy, notaryj.

Najstarszym sędzią (adjunktem) był Włodzimierz Sienkiewicz, rusin, syn ruskiego księdza z Czerniary koło Moskwy.

104  
Bezimienny, rosty meksykańska, nad niego styły i nad niego postmiały,  
i twarzy dużej, pełnej, gwałtownej i dużym ramie. Piękny typ sto-  
mianiski. Chód miał ciężki, opierał się silnie na grubej łasce.  
Nikt go u dozwolenie nie przesłuchał, był u tem niewyrozumiany, humor  
nigdy u życia go nie opuszczał, śpiewał, bał się, lubiał to-  
warzystwo, u domu miał go między nie zastat, u sądzie był średnio  
pilny, dopiero gdy się zrobił szator u biurze, zabierał się z hartem  
do pracy, wtedy palił papierosy jeden za drugim i pracował bez  
pauzy. Że mną, razem był u Sotatynie przez rok, ziti'sny u przy-  
jazni, potem przeniośł się do sądu u Krakowcu, a ostatecznie  
zamienił się z tatarską posadą ze sędzią Paklarskim z Krakow-  
ca. Pamiętam, jak pod koniec wiosny 1900 urządzili'sny u Rasy-  
nie (wówczas u domu Matwieja pomieszczeniem) pożegnanie  
Siemienowa, jak posypały się przemówienia osób iżelnych,  
a miał ich wśród nas bardzo wiele, jak powszechnie ze nim  
związano, pamiętam jak nagleżetł zajechał wózek naszego  
generalnego i popularnego wóźnicy Kupczaka zwanego Poosta-  
rem przed pomieszkaniem tego Kolegi u domu Pfefferowej (u wy-  
chodzie od strony Markowej, plan h. 28) i jak objechał. Mienie Siem-  
ienowa było bardzo małe, on sam o niem mówił, że ma tylko  
parawol i Kalosze, u istocie jednak było nieco więcej, na wózek  
wymieniono kilka tobołków podręcznych, zaś z tyłu niedrewnie umies-  
cił Kupczak i oznajmował przynusował duże, rozłożyste, wspomni-  
te rogi jelenie, które Siemienow u Sotatynie parawolił. Nieba-  
wem potwierdził wózek ku Zarzeczu, pojechał Siemienow dalej  
na wódrówkę zyciora, pozostawiając za sobą Sotatinę, która  
— jak się później pokaze — stała się najszczęśliwszą, działo



a jęś zgin, bo dalej nie stał po roziach. W Krakowie wzięt się, żył  
 ze żoną bardzo szczęśliwie, jednak przeszedł wnet pryto. Jednego  
 dnia pod wieczór poszli oboje na przechadzkę, a po powrocie i po  
 kolacji żona potożyła się do snu, on zaś poszedł do drugiego  
 pokroju dokończyć malowanie jakiegoś obrazka. Gdy następnie wró-  
 cił do żony, ta już nie żyła. Zmarła na serce. Ta strata był  
 Sienkiewicz niezmiernie zmartwiony, czasu z rozrzewnieniem  
 o zmarłej opowiadał. Został następnie na celownikiem sądu w Ja-  
 błońce pod Kutomyską, zamieszkał w najętym domu i dom  
 pokójach i prowadził życie odosobnione, smując coraz bardziej.  
 Z biegiem czasu zapragnął jednak wskrzesić znów swoje  
 ognisko domowe. Był wtedy w Jabłońce emerytowany księ-  
 czy rzadowy niepanieńskiego mi nazwiska, mający dwie mło-  
 de córki. Sienkiewicz rozochał się w starszej nimie znowo-  
 nej różnicy wieku bo był od niej dwa razy starszy. Rozgo-  
 rzał i jęś sercem ogień młodzieńczej miłości, sam się ogrymł,  
 rzucił odmiotniat, ośmiadzał się o jej rękę, został przy-  
 jęty, stał się częstym narzeczonym, ślub jednak nie od-  
 słowił, bo przypłył ten budował tymczasem dom dla nowo-  
 rżeńców. Sienkiewicz często wyjeżdżał z narzeczoną na niedzie-  
 le do sąsiedniej Kutomyski, gdzie ona miała krewnych, chodzi-  
 li pod reze wśród tłamu spacerując, miemili się być szere-  
 śliwym i układać plany na przyszłe życie matczyste.  
 Sienkiewicz nie mógł jednego dnia bez ukochanej wyżyć. Wśród  
 tych okoliczności pierwszego dnia zainicjował i całym Jabło-  
 nym (r. 1911) państwaście z domem ze swoim krewnym, prar-  
 mikiem. Wikt nie wiedział gdzie się podziata i kłódy nista.

Stronkami rodzice zaczęli porządkować, porzuty narzeczonej i był miat u sercu i wstyd na obliczu, kiedy bowiem z pół oka patrzył jaką młoda ma stary narzeczonej, ~~staremu~~ ~~nie~~ niektóre młoda narzeczonej. Wreszcie nadeszła do rodziców wiadomość z Przemyśla, że córka jest tam w Krynicy. Sienkiewicz napisał do niej list, pisząc tylko, aby się mogła z nim rozmówić, przyzem nie będzie się wcale mieszał do jej przyszłego losu. List ten dotarł do rąk na jej imię dworca w Przemyśle. Sienkiewicz pytał ją o szczegóły jej niefortunny i takiego właśnie sposobu przemiany, naco odrzekła, że uległa tylko woli rodziców, jego nigdy nie kochała i nie chciała z nim się iść zamieszkać, nie chciała się na ten krok zgodzić, by raz na zawsze mieć przeświadczenie. Po powrocie do Jabłonowa długi czas Sienkiewicz żył samotnie, mało się z domu wychylając, czuł się stłamszonym i zubożonym. Czasami tylko zaglądał do swego młodzieńczego łóżka. Ostała mu jednak myśl oryginalna w głowie. Oto było dziecinne młodość, siostra dawniejszej narzeczonej — przeciw młoda się z nią ożenić. Gdy to oznajmił w domu, dziewczęta dwa i pół raza młodsze od Sienkiewicza, przyklasknęło z radością, wszak z osobliwej, na którą nikt jeszcze nie zwracał uwagi, może mieć stać się radczynią i pierwszą osobą w Jabłonowie. Ja ani się opierała, ani nie niechętnie z Jabłonowa, smutkiem pogodziła się z nią matką i Sienkiewiczem rozporządzać nową ich, szczęśliwszą i jaśniejszą. Jeżeli co mu mądrzejsze, to są, bo jako przetożony był niezmiernie żarony, wchodził w coraz to nowy konflikt z podobać mu, tuż i były czyste śluby i nie miał u sądu miu. Ale smut na-

deszła wojna światowa 1914., jak ja Siemieniow przeżył, nie wiem, gdy jednak następnie w r. 1918 rozgorzała w Kraju Krowa zamierza ukraińska, Siemieniow stał się ~~znowy~~ jawnym wrogiem Polaków, wyszedł się na czoło miejscowej ukraińskiej organizacji, niszczył Polaków i prześladował ich na Radym. Kroku. Oczyszczył to człowiek, który się z Polakami żył, ci go mieli za brata i darzyli go sercem. Jakiś on Krzywdy doznał od Polaków, lub jakiś Krzywdy doznał. Kuculi jak-  
 tomowej, tego z pewnością ani Siemieniow ani nikt inny nie wiedział i nie wie. Ale istniejąca rewolta nie upadła, było to tylko odradzenie pominięcia Austrii względem Polaków. Ukraińcy nie mieli nic, by rządzić Krajem, a jeno co najmniej mogli się utrzymać tak dłużej, jak starczyły wydane im przez Au-  
 stryjskie zapasy. Niebawem okazały się w Jęstonowie standardy pol-  
 skie, Siemieniow w obawie przed odpowiedzialnością uszedł z resztkami wojennych władz ukraińskich na wschód poza Zbruc. Ciężkie to było jego życie na tatarsce, tam ciężkie był zamknięcie prześladowanie polaków, które miał na mi-  
 niemiu. Gdy jednak potoczył, że naród polski przebaczył swo-  
 im nieprzyjaciółom, wrócił Siemieniow ze żoną do Kraju, nie otrzymał jednak z powrotem urzędu, oniedługo przy swoim bracie, młodym Krzysiu ze żoną Kłosem Kłosińską, a stamany na duchu, zmęczony traktatem, nekany wprątami senniem, zmarł około r. 1920. Przegrał Kampanję życia. Jak żył i takie miał Rolej lom jeden z licznych rodzin siemieniowskich.

Drugim sędzią był dr. Roman Kowczewicz, ro-  
 mianin ruski, lwowiak, był urzędnikiem powiatowym, ~~był~~



stad dom jego rodziców prowadzony był po polsku, wyrosł więc ten  
seksa w polskiej atmosferze. Gimnazjum ukończył bardzo młodo,  
i jako młodziutki prawnik chodził na Uniwersytet we Lwowie.

Któż wówczas nie znał we Lwowie akademika Korszenowa? Był to  
osobistość popularna w całej stolicy. Ciężniutki jak papatek,  
o słonecznej czuprynie do góry wystraszanej, trawa miała młodziśca  
z porównującym się zanikiem, przeszedłm się ~~na~~ binokle na  
nonie, ogromny po kostki sięgający płaszcz z peleryną ciemno  
zielonego Kolona, olbrzymi cylinder na głowie — tak wyglądał  
prawnik Korszenow. Ciągłe siedł drobnym z rybką Krowiem,  
jakiś biegając zakomunikować Komuś coś ważnego, mówił  
nadzwyczaj głębszo Rikla językami odrazu, gęstymiśłowat przy-  
tem wiele, wszędzie zabierał głos, a cytator umiał tyle, iż  
zdekelto się <sup>że</sup> przewyższał wszystkich dzieła całego miasta. Jakiego był  
poglądu politycznego i społecznego, trudno było odgadnąć, bo wte-  
cinie był wszystkich poglądów. Pamiętam, że za młok uniwersytec-  
kich czasów, Rikla młodziśców rozkochał w niemieckich  
bunlach, postanowito założyć we Lwowie Towarzystwo akademickie  
na wzór niemieckich barszenzastów. Zwołali zgromadzenie na ja-  
kis' wieczór do jednej ze sal uniwersyteckich, gdzie zebrali się  
także liczni przeciwnicy, aby Komitet organizacyjny przegłosować.  
Na ciekawość porzedtem i ja. Otożi pamiętam, że głównymi propa-  
gatorami nowej myśli germanofilij byli akademicy Hofmokeł,  
Slavik i Korszenow, wielki nadto Riklanow z własnym Kout.  
Przełożono ich z krzesem, jednakże wielkie grono zator-  
zyło przeciw nowemu towarzystwu „Leopolis”, chodzili z malenką

czepczka na czubku głowy a barwa jasna, w poprzek ramienia. Był to dla polskiej młodzieży obca, nieraz nie troszko przedmiot znaczący i świeżości. Wiedli życie „burzowe”, nocne, rozbrzmiewające, głośne. Z nich to właśnie wyłonił się sędzia sotałwinów. Kowalewicz. Młodzieńcy, zaprawieni do barw, garniturów, odznak, skoro otrzymali stopień adiunkta, porzucił całą garderobę, przędzę, z gwiazdami, szablami, etocynymi sznurkami i lubował się, w tym miarowym. W życiu był skrupulatny, co raz to zmieniał mieszkanie, lubił gwarne towarzystwo, które było dla niego echem obojga akademickiego, przesiadywał do późna w nocy przy herbacie i piwie, nie nadzwyczaj jednak alkoholem, ani nie grał w karty, chętnie wchodził się w rozmowę o swoich przeżyciach, barwnie je opisując, był wielce oświeconym, umiał mówić kilka językami europejskimi, miał wiele wiadomości z różnych dziedzin, która jego była jakby encyklopedia, korespondent Polesianin, uczony, dobry, miły, o formach świątecznych, ale przytem zawsze dziecienny. Obejrzawszy Siemieniowem bardzo się miłował i miłowała. W sądzie prowadził dział Karay, a choć był dobrym prawnikiem, brak mu jednak było systematyzmów i poglądów na całość. Stąd miewał się zaległości, a gdy raz przyszedł na listy wiceprezydent Fangor ze Stanisławowa, zastał wydanych przez Kowalewicza, ale na piśmie nie wypracował wyroków 200. Stąd powołany został do odpowiedzialności, bardzo się tem martwił, napisał swoje sprawozdanie, przyniósł je raz do mnie do domu, abym je odczytał i słysząc mnie rada, przetoż miał do tego być pobudzony, nawlekając,

ze pracy nadmiernej i z dodatku ma przykroci. Burza nad  
 Kłosszeniem jasno' wzniata się, a tymczasem wstrząsły nim in-  
 ne elementy. Żył na owe czasy w pobliskiej Staruni człowiek  
 właściciel ziemski, szlachcic Jan Sękowski. Miał dwie córki ru-  
 siarki, bo ich matka, a żona Sękowskiego była rusinką. Przy ja-  
 kiejs' sposobności poznał Kłosszenio młodszą z nich i zentad-  
 neho nim rozuci miłoci. Na wieczorku w naszym kanyuni (w do-  
 mu Matusiaka), Kłosszenio nie odstępował na krok panny Sękowskiej,  
 tańczył z nią wiele i pokazywał bukiet wiozł. Wziął się do pracy,  
 panna objechała do Staruni, a Kłosszenio, dawniej rozbankiony  
 burz, rozgadany doktryner, wolnomyślny i swobodny dotąd  
 w Kazdym celu poczał przerywać jakąś zupełną przemianę, w mo-  
 nie starał się czułym, ułanym, miękkim, w życiu szukał nowych  
 podstaw i nowych idei, dążył, by być jak dziecko prowadzić za rę-  
 ką, byleby szedł gdzieś i jasno' nieznanie ma dotąd promienie  
 światłne. Stugie wieczory spędzał u mnie i na ten temat rozmawiał  
 i dopiero wtedy poczałem tego koleżę naprawdę lubić. Był podob-  
 ny do proboszcza naszego u Kryzce Koto Sototniy, naszego księdza  
 Głodyńskiego, dawnego przyjaciela domu Sękowskich, bo niezgdy już  
 ojciec tego księdza był proboszczem u Staruni. Otoż Kłosszenio  
 pod wpływem wstrząsów duchowych udał się, pierwszy między do  
 Kryzki, poszedł do tamtejszej cerkiewki niejskiej, ukłakił przed  
 konfesonatem, wyznał się przed ks. Głodyńskim i poje-  
 nat się z Bogiem. Odtąd częściej do Kryzki dochodził, stał się  
 pobożnym, wykonywał praktyki religijne a zarazem wszedł  
 w stosunek przyjaźni z ks. Głodyńskim, który matoś był star-  
 szym wiekiem od tego szkiego. „Nie pan — opowiadał mi nieraz



Kowszeń — nigdzie nie miałem bliższym Stwórzy, jak w tej  
 niżej skromnej cerkiewce, wśród prostawców i młodzi-  
 ęców niekiedy szerszej, jak wśród młotów tego prostoduszego,  
 porządku nie przed Panem nad paną. Kaptana, oświeczonego na kon-  
 cernie, nie pragnącemu niczego innego, jak tylko Łaski od  
 Stwórzy i dobrego słowa od bliznich." Wśród tej duchowej prze-  
 miany został Kowszeń przeniesiony ze Łatutiny do Mo-  
 cisk, a przez pośrednictwo Ks. Hordynskiego doszedł do skat-  
 ka jego chrześcijaństwa i państwa Sekowskiego, publicysty-  
 cy we Lwowie i metropolitalnej cerkwi w Żurach przez archybiskupa  
 mianowanego Andrzeja Szepetyńskiego. Od czasu wyjazdu tego sędzie-  
 go ze Łatutiny nie zetknąłem się z nim więcej. Raz tylko, gdy  
 przez Kłacz jechał do Staromiejowa ze żoną, a ja byłem na  
 dworcu, zamieniłem kilka słów ze sobą, zdalej się po raz  
 ostatni w życiu. Wtem o nim, nie później stał się wielce religij-  
 nym, cieszył się względami archybiskupa Szepetyńskiego i zdalej się  
 wdawał jego poparcia dostał się do Lwowa do sądu Krajowego  
 Karnego. Tu studiował prawo Kanoniczne (podobno był nawet  
 na studiach w Rzymie), marzył o Katedrze uniwersyteckiej z fi-  
 zykiem wykładowym ruskim, której jednak nie osiągnął.  
 W czasie wojny światowej 1914-18 czynny był przy sądzie woj-  
 skowym w Sarajewie i Bośni, po powstaniu Polski był ~~prze-~~  
 radcą sądowym w sądzie powiatowym sekcja II we Lwowie.  
 Z pierwotnego zwolennika rusofilskiego Rieraka, przemie-  
 nił się w ukraińca, a gdy nieprzyjazne państwowości polskiej  
 rzymsko utworzyły we Lwowie tajny uniwersytet ukraiński,  
 należał do grona nauczycieli tego uniwersytetu, dopóki

112.

przełożona wtedy tego m. nie zabroniła. Przeszedł przed osiem lat przepisanych na emeryturę i otworzył Kancelaryję adwokacką w Bohorodczanach.

Giedy objąłem urządowanie w Sototrinie było nas ośmiu sędziów: Kohnan, Siemkiewicz, Korszewicz i ja. Na powołanie jako sędzią pomocniczym dostatek 77 niezaczynanych jeszcze dochodzeń Karnych do arobiecia (to był spadek po Smolnickim i Korszewiczem) i część działu spadkowego. Wiedło mi się bardzo dobrze, urządowanie było cnotne, mogłem wiele poświęcić popołudniowego czasu na zniechęcanie najbliższych okolic Sototrinu. Wnet nastąpiła zmiana w składzie sędziów, przyszedli nowi ludzie i nowe uytworzyły się stosunki.

W maju 1899 radca Kohnan odszedł do Stanisławowa a w jego miejsce przybył na naczelnika sądu Karol Smolnicki, polak, przemyslański, żonaty, bezdzietny. Był średniego wzrostu, silnej budowy ciała, brzoś o matym wanie, przybył z Grzymatowa, gdzie dotąd był sędzią. Był dobrym chęcią i mi do pracy zawodowej i społecznej. Jakże niebawem postanowił dotrzeć staran do zreformowania arego „Kasyne” w rezerwie Szafarowej. Jego staranion zardzięczyć materij, że zajął się towarzystwem Kasyne, wynajęto codziennie noworobn. dorany dom Katarianka (plan p. 5), spremito urządzenie i uyt. prowadzito się z publicznej oberzy. W sądzie był gorliwym w służbie, brat w obronę malackich, pomagał im w wyznaczeniu stusznym prax i stał na straży godności stanu sędziowskiego. W życiu był optymistą, gościnny i przyjacielski, wrażliwy na piękno natury, chętnie robił wycieczki w góry.

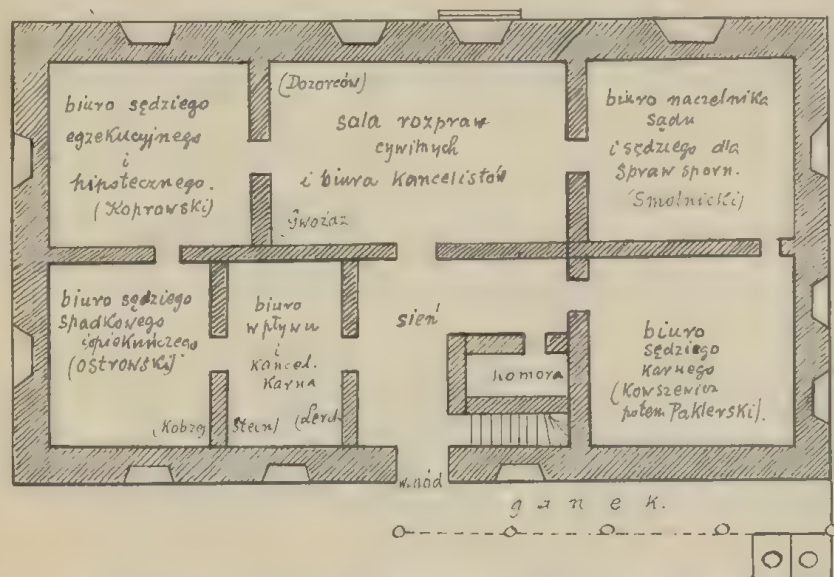
Kilka razy i ja z nim przebyłem także wyprawy. Raz w lecie 1899  
 z Frójką Smolnicki, Kowzenior i ja zrobiliśmy pierzo także wyiecz-  
 Rę do wodospadu w Mamiarowie. Wodospad ten w źródle rzeki Me-  
 niarki przedstawia się wielce uroczo, woda spada z wysokości 15 do  
 18 metrów, rozbija się o głazy i atomy, stąd jest jakby w niecz-  
 mych oparach. Smolnicki zrobił nam niepodzięk, bo na miej-  
 scu znalazł się chłopak z koszem, z którego posłitek pokrzepił  
 nas malarzycie. Robiliśmy snów z inną Frójką wyieczkę do Wo-  
 rochty a to Smolnicki, Chmieleński (o którym wspominałem w dzie-  
 le sanbarskim) i ja i wtedy zapuściliśmy się w bór podczas ule-  
 ny deszczowej i ciemniejszej drogi, omal życia mi potradeli-  
 my. Z podróży bardzo licznych pomniejszych wyieczek, pamię-  
 tam jedno smutne zdarzenie, które się jednak wesoło ocaro-  
 nyło. W piękny letni dzień poszliśmy <sup>(ze Smolnickim)</sup> drogą polną ku Krog-  
 ce i smet znaleźliśmy się nad brzegiem Bystrzycy. Mi mówię-  
 my się oprzeć podnie Kapich, przeto na przestronnym Ra-  
 mieniu, jeden od drugiego o jakie 30 kroków, rozebraliśmy się,  
 wykapaliśmy się w leżącej rzece, pozem ja przedzieliłem rebra-  
 tem, Smolnicki był już na ukonieczaniu, lecz powstał czepliwi-  
 ko. To niekto szukać. Przybliżyłem się do niego i domiedziłem się, że  
 zagubił obrączkę złotą i drugi pierścień. Przyglądaliśmy do zie-  
 mi zaczęliśmy gorliwie szukać, przetrząsając niemal każdy  
 kamyczek, zakreślaliśmy coraz szersze kręgi, jednak wszel-  
 kie wysiłki były daremne. Pierścienie przypadły raz na  
 raz, Smolnicki sądził, że je zgubił w wodzie. Niemiłe tem  
 doświadczenie wracaliśmy do domu. Niedarmo nasza Bystrzyca na-



Żywa nie stota — przetrwał Smolnicki dłuższe milozenie — porzucił stota do stota. "I znowu zblisiny w milozeniu, kiedy bowiem myślał, jakiego jeszcze poruszenia były możliwe, aby znowu odnaleźć. Aż w końcu drogi do domu Smolnicki niegnął do Kieszem, wyjął portmonetkę z drobnymi pieniądźmi, otworzył ją i zaraz tymi dwoma dwoma stotkami pierścienie. Wrocił zblisiny do miasta w doskonałych uprzedzeniach. Zresztą mi lubiał Smolnicki Kasynowego zięćka i tego bardzo swobodnego tonu, jaki tam często panował. Słot się nie domatorem i zadowolował się niewielkim kotem bliższych przyjaciół. Żona jego była córką lekarza ze starego Sambora, brunetka, smutny portany, artystyczna dusza, grała pięknie na fortepianie i nadatnie malowała krajobrazy. Nadto była kobietą dobrego serca, czuła na ludzką niedolę, szlachetna w obejściu, pogodna na duchę. Do Kieszem latami został Smolnicki mianowany radcą, był w dototnieniu aż do wybuchu wojny światowej 1914 roku, ta porażona Smolnickich całego dorobku życiowego, stracił całą swoje urządzenie domowe, pozem został przemieniony do Przeczian, dokąd niemieli swoje przywieźć pranie, że w jednym Kufce. Z poddaniem się losowi zaczęli Smolniccy w Przeczianach nowy okres życia, jak tyż i inni Polacy, których burza ~~złoty~~ dziejowa porażona wszystkich, przez życie i cześć.

Gazetę nr. 1900 lub na początku r. 1901 powrócił do dototniny sędzią Juliusz Katusiniak, delegowany czasowo do czynności w sekretaryacie Jędry Najwyższego ze Wiednia, a zastępc.

## Plan parteru budynku sądowego w Sototwinie.



wany w Sototwinie przez sędziego Kowszewicza. Katarzimiache-  
go przypomniałem sobie jeszcze ze Lwowa. Właśnie byłem as-  
sultantem w Sekcji I, gdy raz do naszego biura przyszedł as-  
sultant Katarzimiachiński egzaminowany i wzywający miano-  
wani do Sototwinie. Młodzieńcze przystojny, bransz a me-  
tym wariatem, ubrany wytwornie, miły i jedynący sobie  
Kazdego, informował nas z aktami o jakiejś sprawie spadkowej.  
Po nominacji ożenił się z panną Kamila Czarniecka, córką  
wyszego sędziego, osiedli w Sototwinie, tam przyszedł na  
świat ich pierwsze dziecko, dziewczynka Jadwiga, lew w Rikka-  
nasie dmi potem, zaledwie po chrzcie dziecka odjechał Ka-  
tzwimiachiński do Wiednia i tam bał się do czasu, o jakim wy-  
żej wspominałem, a nie pranie przez dwa lata. Oboje Ka-

Turiniacy byli bardzo szczepkiem i wzorowem matreństwem. Jako sędzią był Katuriniacki jednym z najdzielniejszych i najzdolniejszych w całej apelacji lwowskiej, był prawdziwą ozdobą sądu rotatnickiego, a zresztą i Kazięgo ianego, w którym również pracował. Jako Kolega idealny, uczynny, pomocny, Kaziędemu zawsze chętnie stawił się cenną radą. Żona Katuriniackiego, osoba typem ormiańskiego była kobieta, niezmiernie dobrotliwa, mówiła o takich ludziach, że są bez złota, nie wdziałem jej nigdy, by się o co rozgniewała, pogoda duszy nie opuszczała jej nigdy. Katuriniacy byli ściśle ze Smolniczami i niemal codziennie się odwiedzali. Wyrazem raczej rodnego był nierówny humor Katuriniackiego. Pomniadając, że miarę inteligencji człowieka jest wartością jego dowcipu. Obojętne Katuriniacki był i towarzyszył nierówny a dowcip jego był tak delikatny jak jedno włosko jedwabiu. Razem stał się krótko, gdyż Katuriniacki został mianowany zastępcą prokuratora do Przemyśla, gdzie wtedy był prokuratorem Roman Stebelski, niegdyś austriacki przy sądzie rotatnickim. Po kilku latach przeniósł się Katuriniacki do Lwowa jako zastępcą nadprokuratora, potem został przejętym prokuratorem w Jarosławiu (lecz urzędu tego faktycznie nie pełnił) wreszcie prokuratorem we Lwowie, co oznaczało nadzwyczajne wywyższenie i uznanie jego znakomitych zdolności. Ale we Lwowie przyszło mu przeżyć najcięższe niecierpienie, jakiego doznał w życiu. Tam zmarła na ciekawą jego najcięższą żonę, co ten do głębi mu wstrząsnął, Katuriniacki nie mógł





Grupa sędziów i urzędników sądowych  
zdjęta w ogrodzie sądowym  
podczas lata : 1899.

w dolnym szeregu siedzą sędziowie, w górnym stoją urzędnicy,

a to:

oficjal Stein	oficjal Kobzej	oficjal	Kance- lista Kassler	Kance- lista Łapka	Kance- lista Hirsch
sędzia Sienkiewicz	sędzia Ostrowski	naczelnik Smolnicki	sędzia Kowarszewicz	lekarz wakacyjny Turteltaub	

(fotografował urzędnik podatkowy Malcharek).

nigdy przeboleć tej ciężkiej straty. Po powstaniu Polonii przeniósł się w r. 1919 ze Lwowa do Poznania jako prezes senatu sądu apelacyjnego, gdzie swymi zdolnościami oddał się wnikliwym polskiemu nieocenionej wartości. Nieraz w Poznaniu wspominaliśmy o tej samotniczo, niepowrotne, a miłe w pamięci pozostaje, bo z naszą młodzieżą związane.

Tak powiłaż czasem, Siemkiewicz pamięć się o miejsce z innymi sędzią z Krakowa, a był nim Wacław Paklerowski, lwowianin, syn urzędnika Wydziału Krajowego. Blondyn o pięknych, jasnych włosach, bujny włos na głowie do góry wzniesiony, mały wąsik który ozdobił twarz o delikatnej cerze. Był żonaty z panną Klimkową, niewieścianką i namiętną. Matrimonium to miedzy innymi powstało z czystej, idealnej miłości, nie znającej granic poświęcenia. Żona ~~z~~ Paklerowskiego była osobą o drobnej strukturze, on dbał niezmierznie o jej zdrowie i to go skłoniło ~~do~~ do opuszczenia Krakowa o morza. Tej okolicy a rozdzienia się na proporcji Siemkiewicza prawnym miejscu striborego na samotniczo, którą ma Siemkiewicz barwnie a powściągliwie opisał. Zaraz jednak po przyjeździe tutaj doznał pierwszego rozczarowania, którego powodem było mieszkanie. Wynajął je nieopodal stacji na „Pietajówce” w nowozbudowanym domu, ale met ze śnieżną gliną obklejonych ścian porzucił to i oświecił żółcią wyrażać, bo glina była zmieszana z piaskiem, a do niej <sup>natręsty się</sup> ~~ta i woda i piasek~~ ~~nie~~ ziarna. Nadto stało mrowie odbywało ciągle marsze po podłodze i sprzętach. Ale z samotniczo nie było doborowych mieszkań, przeniósł się więc coraz na inne,

tak iż czterokrotnie się zmieniał. Zapadała niekiedy na zdrowiu żona, chorowały często dzieci, którzy miał troje a z nich zmarli chłopczyk średni, ten rospawy rodziców. Najstarsza, ładna córka miała od wrodzenia bladą i stanią biodrowym nogi i mimo usiłowań lekarzów i zabiegów ojca nie można było żadnej zmiany wady naprawić. W sądzie miał Paplerski oddać parny, który prowadził dobrze i rozsądnie, życie jednak miał ciężkie z powodu zwrótu o zdrowie rodziny. Był jask najlepszym kole-



Wacław Paplerski  
sędzia w Sokołowie  
(r. 1900 - 1903).

gą, człowiekiem prawnym, o dużym intelekcie, szlachetnym, mocnym rozumem, ale - mieszczyskim. Lekarz Soller, który z wianawia godną bezinteresownością, leczył jego rodzinę, był bardzo czystym gościem w domu tego sędziego. Ze mną żył Paplerski w ścisłej przyjaźni, często do mnie przychodził do domu na probo-stwo, opowiadał o swoich kłopotach i jak by na trochę ~~do~~kiej było, że się z Rimś



nieniu choćby w nowie podzielił. O dobroci tego sądu ~~niechaj~~ niechaj śniadcy fest następujący. Zaraz po mojem przeniesie-  
niu ze Jotatiny do Haliwa, z powodu trudów drogi i z po-  
wodu tak niełutnego pomieszkania, że się wolało po śniadach la-  
ta, zachorowałem i gorzko mi było, bo nie znalazłem wobec  
czterech ludzi bez opieki i pomocy. Gdy się o tem Paklowski  
dowiedział, znalazł jakiegoś szewca, który trochę umiał  
na kuchni gotować, wsiał na wóz, zabrat go ze sobą i  
mnie przeszedł mi kłopoty mi trudn, przyjechał z nim  
ze Jotatiny do Haliwa celem ratowania mnie. Z jaskrawie  
rozrzuśnięciem powitałem mego przyjaciela i jak cenilem jego  
pomoczenie. Ale już wówczas podziwiałem się i unormowałem  
tryb życia, nie tylko szerzej zaczętem koleżeńską podziwiałem  
tem że jego serce i oddanie. Paklowski przemieścił się następnie  
w r. 1903 ze Jotatiny do Nadwórny i zotawiał się ze sobą  
i korespondencji, około nowego roku 1906 w przejeździe posta-  
pił do mnie do Haliwa i nocował, przyczem nagadał mi się  
do syta. Ale niestety, niestety - było to już ostatnia nasza roz-  
mowa w życiu. W marcu 1906 otrzymałem telegram od pani  
Paklowskiej, że mąż zmarł. Złapałem nad tą stratą serdecz-  
nego, racnego kolegi. Pojechałem do Nadwórny na jego smutny  
pogrzeb, przybyli także i inni radziliśmy ze Jotatiny. Przed  
pogrzebem Paklowskiego wydarzyło się miemile zdarzenie. Oto  
był w Nadwórnie sędzia Kozak, chorujący często, miał bo-  
wiem jedno płuco całkiem zniszczone, a drugie zagrożone.  
Mieszkał przy tej samej ulicy, jak Paklowski. Otóż wóznica  
karewiana pogrzebowego otrzymał wskazówki udania się przed

dom sądziego przy odnośnej ulicy, a ponieważ styzał, że Kozak często chorował, zajęł się przed jego pomieszkami. Łdzi-  
niowy sędzia wyszedł i sprostował pomyłkę woźnicy. „Za-  
wczasieś ni tu zatrzymał, po mnie przyjedziesz tro-  
chę później – rzekł sędzia Kozak – teraz jedź o kilka domów  
dalej”. Około dwa lata później zajął się ten sam Karawan tak-  
że po Kozaka. Pasklerski umarł na tyfus a w miesiąc  
po jego śmierci przepisał na niego córeczka. Na pamięć  
o moim przyjacielu, jedźcie w roku 1906 kilka razy  
na jego grób i odwiedźcie pozostałą rodzinę.

Sędzią, który za moich czasów przybył  
do Solotwiny był Antoni Koprowski. Pierwotnie powin-  
cił się zawodowi adwokacie, później jednak prze-  
miał się do sądownictwa, był asystentem w Samborze  
(kilka lat przedemną), sędzią w Łotym Potoku i Ottynii,  
wreszcie starszym sędzią w Solotwinie. Bezzienny, rusin,  
wzrostu niewielkiego, szatyn, był sędzią zdolnym, bardzo  
pracowitym, dbałym o ład, cechował go jednak jakiś  
gorączkowy niecierpliwość, stąd często wybuchał przy ja-  
kiejś kolnierzy oprzyj stronie. Często przesiadywał w Kasy-  
nie, lubił gwarne towarzystwo, chętnie chodził na wy-  
cieczki a ze szczególną przyjemnością i z hamorem opo-  
wadał o swym jednorocznej służbie wojskowej przy in-  
tendanturze w Niedzin. W życiu towarzyskim stosował za-  
sadę: albo pij, albo się ze mną bij! A więc z kim był  
zarzyły, zdolny był do poświęceń dla niego, ale Kogo nie in-  
biat, z namiętnością go zwalczał. Po moim ~~z~~ odjeździe ze

122

Solotwiny ożenił się z drugą panną Serkowską, był radcą sądowym w Jamborze, zaś ze czasów polskich sędzią sądu okręgowego w Stanisławowie a po przejściu na emeryturę prowadził adwokaturę w Solotwinie.

Po odejściu Katusimackiego przybył na jego miejsce młodziutki sędzia Gamota, lwowianin, żonaty z panną Jan Kiewiczówną, także lwowianką. Bliżej mnie niestety powiedzieć nie mogę, bo zbyt krótko razem byliśmy. Pamiętam tylko, że grał pięknie na fortepianie, a kiedy na kilka tygodni przed moim odjazdem ze Solotwiny kupił amerykańskie fisharmonijon, raz zobaczenie i Kolegów Koprowskiego i Paslowskiego urządził nam przejmującą grę na tym instrumencie prawdziwą biesiadę.

Tacy byli ze moich czasów tj. w latach 1899-1902 sędziowie w Solotwinie. Byli to ludzie stojący na wysokości swego zadania, o charakterze czystym, dużej pracowitości i odpowiedzialności poczuciu obowiązku.

Ponadto miał sąd solotwiniński cały następny urządników pomocniczych. Wspomniatem już o Kanceliście Ferdynandzie Kasslerze. Przedtem był on oficerem, z nieznanym przyczyn (możliwie z powodu długów) ustąpił z wojska, ożenił się, miał córeczkę, którą bardzo kochał, ożenił się z inteligentną, miłą, honorową, jednak niestety od czasu do czasu zaglądał do fleszeczki, a mając stałą pracę, wykończył po tamtem zagładę. W język i nogi odmariały postawienia. Właściwie bliżej znać, nie mógł o nim wydać dobitnego sądu, bo Kassler trzeźwy a Kassler po kilku kieliszkach, to dzień cały różne osoby.



Były naczelnik sądu Sototwinińskiego Ferdynand Tomek opisał mi oryginalne rajskie i niemile powrocie, ~~to~~ w jaskie go Kessler uprzedził. O to do zajazdu Ropy - przez Tomek - przyjechał raz ze Stanisławowa adwokat pułno niecny, ~~to~~ a był w Sototwini nie po raz pierwszy. Oszustem to go towarzyszył, ~~to~~ nęgi mi znat, przedstawions ni narzajem a pijany Ferdzo Kessler przedstawił się jako Ferdynand Tomek, naczelnik sądu. Siedział więc adwokat w towarzysztwie rzekomego naczelnika. W kilka dni później spotkał adwokat penna, znajomą Tomkowi panie i opowiedział jej, że był w Sototwini, ale jeszcze coś podobnego mi zdarzyło ma się widzieć, jak to, cęgi był naczelnym świadkiem: naczelnik sądu calany siedział w rajdzie. Na to ona pani wróciła przez adwokata, że to niemożliwe, bo przecież zna Tomka i nie, że nie używa alkoholu. Na teki to niesmaczne pomysły upadł Kessler po pijanemu. W roku 1900 przeniesions go przyrzadowo w star spowryka, przesiedlił się do Stanisławowa, pracował tam w Kancelarii notarialnej najpierw Zdrassila, potem Słusznińskiego, podobno tam życia dokonał.

Oficjal Jerzy Kobzej, rodowity mieszczanin soto-  
twiniński, rusin, żonaty z naczyniczką polką. Bardzo pra-  
cowity i zany ratownik, miał syna i córki, syna wychował  
w ruskim obrządku, do jaskiego sam należał, córki w Taci-  
niskim, bo żona była polką. Gdy prowadził w sądzie oddział  
wpierniczy i spadkowy, Kobzej pełnił wtedy przy mnie  
obowiązek sekretarza, będąc wzorem sumiennego pracownika.  
Umarł przedwczoraj po chorobie odjeżdżając ze Sototwini.

Oficjal Stein, również zionaty, dość w nim zostało niemieckiej natury, choćby był spolszczony, o średniej gołębkości w srebro, miał porównany sekretariat Karu. Namierzenie lubiał polować na ptactwo i mijadną noc przeleżał w Syble na Łaz wreszcie, nim jakiego cietrzewia upolował. Został przeniesiony do Lwowa. Mieszkał na Betejówce.

Kancelista Michał Łapka, rusin, bezżenny, silnie otyły, zdolny i szybki pracownik, prowadził hipotekę. Był widzianym gościem Kasyna, lecz nuniarkowanym w zabawie. Znany był z kartu Kapielowego, kapeł ni często i do bardzo późnej jesiemi a czynto, aby zapobiedz tyćin. Spiercił tenorem. Przedtem był w sądzie delatyrńskim, ze Solotwiny odszedł do Szowca, potem do Lwowa. (Mieszkał w rynku plan p. 47.)

Oficjal Gwoździ przybył do Solotwiny w r. 1900 był szorstkim w obejściu, dokładał niższemu personalowi, nieaktowny i niechlibiany.

Kancelista Szymon Dozorców był najoryginalniejszą postacią wśród urzędników. Jestto ten sam Dozorców, o którym jako nauczyciela wspomniatem w rozdziale o Buchni. Nie mając widoków na awans i rezygnując dla braku egzaminu nauczycielskiego, objął Dozorców posadę Kancelisty sądowego, skromną i nie odpowiadającą jego wykształcenia, ale chwył się tego w skrajnej konieczności w nadziei wyrznięcia z czarem lepszego stopnia. Dozorców miał wtedy lat około 54, głowę miał dobrze przyprószoną szronem, a jego czarna, spiczasta broda silnie przeplótł srebrne nici. Rodzina została w Jarostawie, do Solotwiny przybył sam i tu przedewszystkiem poszedł do

cieniu przy ulicy monasterańskiej, zaprzynięt ostrzymać się  
 od napojów alkoholowych, wyjechał młoda izdełka w białej  
 ulowce na przedmieszcziu monasterańskim (plan n. 34.,  
 obok oficjela Kobzeja, który mieszkał w domu wstawnym  
 plan n. 35) w pierwszej mieszczanin, żył bardzo skromnie  
 a główną cześć poborów poświęcał rodzinie do Jarostawia.  
 Czent się matym i zwykle smutny chodził i zamysłony.  
 Często, bawił się w domu, bawił na spacerach żalili  
 się dozorców na swój los, narzekali że porzucił szkołę, a  
 pamiętam jak mówił: „jaka te progi catorat, gdybym  
 wrócił jeszcze do gimnazjum.” Pocięzaten go i podtrzy-  
 mywatem na dachu, że z biegiem czasu nastąpi polepsze-  
 nie bytn i potoczy się z rodziną. Szczególnie dorażali  
 mu oficjela Gwoździ, czyniąc antagonizm do ordonera w  
 wyższym intelekcie. Lubieli jednak dozorców wzniesły  
 sędziowie i traktowali wyrobimajaw. Gdy w r. 1901 przy-  
 jeżdżał do nas prezydent Sahaneł ze Stanisławowa na  
 instrukcję sądu, przystąpił do biurka dozorców i zapytał:  
 gdzie się pan prowadzi, panie profesorze?, na co od-  
 rzekł dozorców: ha - mam lat 54 i jestem dopiero naj-  
 młodszym Kancelistą! Podał mu Sahaneł rękę i pocię-  
 nął, że tak daleko mi będzie. Lecz niestety - los urządził  
 zgoła inaczej. Niebawem dozorców został przeniesiony na  
 stałą proste, ~~został przeniesiony~~ do Jarostawia, gdzie na-  
 czelnikiem sądu był jego kolega szkolny Jurekochleb, lecz  
 na nowym miejscu służbowym mógł w dwa lub trzy miesiące  
 po odjeździe ze Stanisławowa zmarł na chorobę serca, wynurzoną



126  
nawrotem do dawnego nałogu.

Z wśród licznego personelu pisarskiego i obywatelskiego sądzię sędziów, przetrwało mi tylko kilku i pamięć. Na czoło wysunął się Jan Czarnecki, starszy o miłą głowę i tężyznę brodzie, czerstwy na obliczu, ciemny, wzroczony, prawy, o formach poprawnych, pochodzący z dobrej rodziny, a nie wiem jakiego rodzaju życia rozpłynął się na tak skromną rolę pisarza sądowego. Miał jeszcze zasady życiowe, że i on nie był ale miał mi anet przejąć tego członka. Wytrzymał długie lata w sądzie i cieszę się, że w drodze Tanzi przetrwał mu mały datel emerytalny, bo pisarz podwójnie mi miał prawo do emerytury. Czarnecki uczył gry na fortepianie, grał na organach, a w Równi, gdy się opóźniła posada tam czarnego funkcjonariusza gubernatorowi przez sądną powiatową i sędziów, wystąpił się Smolnicki, że ja nadano Czarneckiemu. Miałem to być pięć, ale dla samotnego emeryta i to było dobre. Gdy kupił fisharmonium, Czarnecki uczył mnie gry 3 godziny tygodniowo, ze co mi piątem 6 zł. miesięcznie. Miał ładny dom własny, niedaleko rynku (plan p. 37.) w okolicy drugiej cerkwi. Po moim wyjeździe ze Łotwy przysłał mi Czarnecki razie nowo wydane iżenie do Hłobza, Kłotomys i Czortkowie aż do wybuchu wojny światowej 1914. Wiem, że był jeszcze w lipcu 1916, w czasie ranej ofensywy Brusilowa chciał emigrować ze Łotwy, ale mu odradzono, przetrwał na miejscu, gdzie też niebawem potem zmarł.

Pisarz Lerch, garbaty, był urzędnikiem satynary.

nego, miał przystojne cięło, karkoro dąsaki i energiczne  
 tęskniony. Pił na umór ka rozparzy naj'ionny, która kda-  
 wata się bezskatecznie do sądu, by nie meżoni, lez jej  
 dawał jeso pensję, bo mał przepija. Okie Rabiety za-  
 rabiety szyciem, gady inauzej juginetyby, rzetodn. Ser-  
 nego poranka przyszedł Lerch do stwity podrapany  
 na twarzy. Jedzia Koprowski, rzdsionny zapytał, co  
 to znaczy, na co Lerch odrzekł ciatow'nie: „o! widzi  
 pan sedzia, tak miż moji Kochana tęskione opo-  
 rzadziła!” Ceta wdzina mieszkała u domu Czernec-  
 kiego. Lerch niebawem po moim wyjeździe ze Łotwy  
 umarł.

Pisarz Bernat, przyszedł z grzymatorem ze nazel-  
 nikiem Gmulinem. Młody chłopak, inteligentny, rożnny,  
 pracowity, był jedynakiem caww'nego mieszczanina  
 grzymatowskiego. Gdy był ten następca prewaratora u Kto-  
 nuy, zgłosił się pierwszy dwik a mnie Bernat, przebie-  
 sowy ta ze Łotwy. Narzekł jednaki na stwity sądore  
 u Kotonuy, bo ówczesny nazelnik sądu Kotonuyjskiego Wi-  
 lecki, nie należał do ludzi wyrozumiałych. Bernat czuł  
 się chorym na serce i często wżelał się na to cierpienie.  
 Ożenił się z jakąś młodzieńką, pamiencą, a następnie  
 powrócił do grzymatora, nie wien, czy do sądu, czy też  
 na gospodarstwo ojczyste.

Ze stwity sądorej także tylko kilka postaci  
 zachowało się w pamięci. Wiem, że wzdym a zarazem kłocz-

nikiem był Saluk. Rusin, około 50 lat życia, żonaty, miał średnią rodzinę z bardzo wiele obowiązków w rodzinie i mieście, stąd dość był zahamowany i każdy do niego miał jakiś pretekst. Saluk był winien, że ot wena nie, Saluk winien że pięć niedość grzeje, że wiatr porządek edyktu, że ściana, że strony robią zbyt wielkie karmider na dziedzińcu sąsiednim itd. itd — o to wszystko stał stróżem Gwóźdź ciągle Saluka. Saluk pochodził z Khmora i gdy tam zaważona była wina, przemieścił się do rodzinnego miasta.

Drugim winy, który mi pozostawiał w pamięci, to był Eljasz Fiscus. Niski, tęp, z ciemnymi włosami, o pływającym wątku, żonaty, wyznania muzułmańskiego, był wystawionym podoficerem. Setnik służby przetrwał po wojnie. Gdzieś około r. 1901 powrócił dochodzić służby, że ~~Fiscus~~ Fiscus cierpi na napady mityczne, które tak się objawiały, że gdy szedł ulicą lub drogą, a spotkał kogoś z młodzieżą, nieśmiało, obejmował ich i całował. Nieraz to na razie ahytnio nie drżało, wszak znane jest rzecze, że goręta przyroda wymaga powłok myśli i potęgę młodości, rzecze, całowane kobiety nie były o to gniewne. Byłby Fiscus może jeszcze dłużej ci całował, gdyby nie wypadek następujący. Oto poszedł on do gminy Markowy i tam wykonał pewne akty czerkasyjskie zupełnie bezprawnie, tak że sędzia czerkasyjski Kopylowski nie tylko je niechciał ale także wygłosił przeciw Fiscusowi i zamknął go w areszcie. Niebawem jednak pokazała się u niego choroba mityczna, rozdzina wyprawiła go do tegoż do Stanistawowa, gdzie Fiscus zmarł.



Przed mojem jechaniem przybyciem do Solotwiny był jed-  
nym z wojnych sądowych Dobrzyński, jednak usunęto go  
ze służby ze względu na niedokładność. Był on żonatym i miał  
dorosłą córkę. Miano jednak następnie rzucić na jego dłu-  
goletnią służbę, na jego wielkie podjęty i rodzinę, przyjęto go  
do sądu o charakterze postawca tj. w niższym stopniu, bez  
praw do emerytury. Chodził więc Dobrzyński po wsiach i roz-  
nosił wieści. Był to znany postać w Solotwinie. Li-  
czył lat ponad 60, włosy i broda rudawo ~~sz~~ sine, energia  
w ruchach, śmiały wzrok w mowie, bystry i żarliwy, nie  
gardził żartem, byłby mocny, miał się ponad po-  
ziom miarzan i kolegów narodowych, bo był lwowianinem  
dziećkiem, moc śmiała rzucał, nie z jednego pieca  
chleb jadł. „Ho-ho, Tarkany pamięć — pamięć Dobrzyński  
— jak do Lwowa w roku XX miał cesarz przyjechać, robili-  
my bramę na Grodzień. Kto wtedy najlepsze festony poro-  
bił? Dobrzyński! Kto najprzód je na drabinię nadźwignął?  
Dobrzyński! Kto je najprzód na maszynie związał? nie  
kto inny jak ten oto Dobrzyński — a tu mi w Tarkiej So-  
lotwinie lada pisarzyczek w oczy dmie, że nie potrafię  
na nos wyprowadzić jakiegokolwiek hacuta!” W gruncie rzeczy  
był Dobrzyński lubiany jako miły gaduła i wzorowy po-  
stawiec. Szczególnie dobrze czuł się Dobrzyński w mie-  
ście, specjalnością jego był śpiew kościelny, toteż  
śpiewał na chórze i wielbił Pana jak nikt inny najlepiej.  
Żaden pogrzeb Tarkin nie odbył się bez Dobrzyńskiego.  
Wyprowadził „castrum doloris” wzornie, a gdy przy wyprowadze-

nin wstok z Kościółta respiration donosił hymn: In para-  
disum deducant te angeli," odpowiadały mu echem stare, od-  
wieczne dechy, szumiące wokół Kościółta a starszy brat Kościel-  
ny Starzyk nieraz mu zakładał tej umiętności rzeczy do-  
chodnych. Nie potrzebuję dodawać, że na stypie pogrzebowej do-  
brzyńsk: pierwszy miał głos i nie dał się zbyt długo pro-  
sić o przyzwanie poezysty. Około r. 1901 zaniemógł  
dobrzyński i met rycie zakochał. Był na jego pogrzebie,  
żona i córka gorzko opłakiwały stratę, ks. proboszcz Sadlej-  
ski odprawił pogrzeb, ale był to pierwszy od kilkun lat po-  
grzeb smutny, bez dzwona, mało wypadły przedmioty, wza-  
wzajemnie inaczej być nie mogło, skoro sam śpiewak leżał  
w trumnie. Pochowano Dobrzyńskiego nieopodal bramy cmenta-  
ryzka nad Bystrycą po lewej stronie, a grób jego był tak  
niezwykłe płytki, że trumna była metra mniej od po-  
żożni ziemi. W kilka tygodni po pogrzebie wzniesła sensacja  
po Sototwinie. Oto przyjechała jakaś zamańska kobieta, prze-  
kupka ze dworu po spadku i pensji wdowa do Sototwiny,  
wykazując się, że jest żoną Dobrzyńskiego, a nie Kobieta, z którą  
on tak długo lata był w najlepszej zgodzie i od której miał  
córke. Naturalnie nadarmo się trudziła, bo Dobrzyński żadnego  
majątku nie posiadał, a z powodu straty charakteru wódnego,  
nie miała wdowa prawa do pensji. Rodzinie pościana nic jej  
nie należało.

Obok wtedy sądowej był w Sototwinie notariusz. Za  
mojej bytności w Sototwinie był dłuższy czas notariuszem  
Adam Studziński, polak, lat około 48 liczący, żonaty z cór-

Ka Konsula rosyjskiego Eberharda w Broduch. Słodziński lubił gwarne towarzystwo, siedział codziennie w Kasywie, sam opowiadał nami dawne dzieje i słuchał chętnie opowiadań innych, lubił napić się nieczerem kilka szklanecek piwa, a biurowe notariatu wiele wyprzedał na swoim zastępcę Goto-  
 górowskim, wobec sądu zastępował strony sam. Pani Słodzińska była miłą kobietą, nauczyła się bardzo dobrze po polsku, była prężnie domatorka i prosiła w niedziele na mszy, rzadko się ją poza domem widywało. Słodziński miał jednego syna Adama, przyszłego, jak matka młodzińca, który gimnazjum przebył w Jemnie i Chyrowie. Nim został notariuszem był Słodziński adwokatem sądownym w Broduch i Krakowie. Za swoich czasów przenosił się z notariatu w Łotwie na notariat w Bursztynie, stamtąd do Łosowa, wreszcie stamtąd do Stanisławowa. In doborze ma się miedlo, lecz majątek stracił wskutek następujących rzeczy. W Stanisławowie wybrał go prezesem rady nadzorczej jednej z miejscowych instytucji bankowych, Słodziński otrzymał w niej swą gotówkę, będącą dobrokiem jego życia, tymczasem instytucja ta zbankrutowała, Słodziński stracił cały majątek, a nadto miał jeszcze dochodzenia sądowe o wypadek bankructwa. Zmarłszy i żona umarła z życzoty. Syn jedynak po matce poszedł na technikę, jednak nie zdał egzaminów, porzucił więc studia, wstąpił do służby kolejowej jako urzędnik ruchu w Krakowie, gdzie był kasjerem na dworcu, wdowa zaś po notariuszu zamieszkała w Warszawie w Krakowie, popadła jednak w wielki niedostatek.



W kancelarji notarialnej Hłudzim'wlięps u Sołotwinie był kandydatem Roman Gutożórski, który zaraz po ukończeniu praw do tej kancelarji na praktykę wstąpił. Bezzienny, śniad. czył wiele mej oświadczeń rodzinie, bo rodzice wesełnie pomarli, słowny, pracowity, poprzestający na matem, dżurzet Gutożórski niemal cały czas kancelarji notarialnej na swich barkach. Razem ze Hłudzim'wliem odjechał Gutożórski do Bursztyna, potem do Złoczowa, stąd sam został notariuszem u Mikulicach. Raz odwiedził mnie u Czortkowie, wyglądał jakby patryjerska jark, bo zapuścił potężną brodę po pas. Jako notariusz rozwinął pracę u Rierumku humanitarnym i zyskał sobie dużą popularność. Następnie przeniósł się do Tarnopola, tam jednak niedługo umarł, umarł bowiem niemal nagle na choroby serca.

Piszę o notariuszach wspomnę jeszcze o jednym notariuszu u Sołotwinie, który jednak już nie był notariuszem.

Czersto nie widywało u ten miście wysoka potać estonika do lat 60 dochodzącego, z brodą mocno rozejacą, u starym długim płaszczu z peleryną po pas, chodził pomatu, jarky schorzał, wzrok miał smutny, wyraz oblicza przynębiony i zrezygnowany. Mieszkał u jarkiej izdebce rydowniej zapomniany i zabożaty. Nazwał się Janicki, był niegdys notariuszem (możliwie u Kulikowie), był wtedy na szeroką skalę, wesoła, szeroka, towarzyska — lecz za naruszenie funduszu ~~z~~ depozytowych postował stanowisko, popadł u niedostatek, a gdy notariusz Hłudzim'wli strzymał notariat u Sołotwinie i dowiedział się przez Rogoś o Janickim, porzucił go.

cym rejecia, przyjął go do niej kancelarji i dał pracę. Zamieszkał tam jakiś czas, lecz następnie się rozpił, miejsce to stracił, odtąd żył u rodziny, zachowując marny grosz jako pisarz poręczny. Nicodem do Konicia życia swoim przy sobie fotografis przesłanym Kobiety, wpatrywał się u niej, a zaręczając pokazywał mówiąc: dla tej Kobiety cierpię do dziś. Była to znana u całym Krasie pios. Konic Aurelja 1<sup>o</sup> Miesowicza 2<sup>o</sup> Weiglowa. Umielił ją z całej duszy u dniach młodości i niedoli, u latach młodości i u starczym wieku. Około r. 1901/2. opuszczony przez wrogi Rych, zachorował ciężko, zjadł go u choroby Karmili, wrzucił śmierci, pochowany naszym składowym funduszem. Miał ten człowiek złamane i gorzkie życie.

Po notariuszu Studzinskiem wyszedł u Sotatynie notaryat Józef Friedman, z Tarnopola, wyznał mój szereg, żonaty, ojciec trojga dzieci. Osobnie miły, u Konferowaniu z ludem ogromnie przystępny, u urzędzie swoim sumienny. Gościł zarost zupełnie, co u innych przesad było jeszcze ogromną rzadkością, bo tylko Knieza tam się goili, niema więc chłopa, który ze wsi brzo go za Knieza i jako takiego po chrześcijańsku pozdrawiali. Na samym początku jego urzędowania zamieszkał Friedman u tym domu, u którym po przednim mieszkali notariusze Studzinski. Gdy raz drzwi domu były zamknięte i Friedman pukał, by mu je otwarto, jakas Kobieta, biorąc go za Knieza rzekła po rusku: jego mi nie pukać na darmo, tu jui notaryusz nie mieszka, jui nie wyprowadził! Zaraz u pierwszym roku jego urzędu.

134  
ramia (1901) pojechaliśmy na wyieczek do Skita mamińskiego  
w gronie trzech osób, a to oboje Friedmanowie i ja. Zabrali ze  
sobą mory Koszyce i konie, lecz gdyśmy przyjechali  
na kręci tam pod klasztorem, nawinął się chłop, ana-  
my Friedmanowi i on go poprosił, by mu się postarał o kras-  
ne mleko, którego Friedman zapragnął. Niebawem chłop przy-  
niósł spory garnek mleka jak kredo gęstego, Friedman  
~~zjadł~~ miał w ciemiń jodeł i smacznie zjadł niemal całą  
zawartość garuszka, my zaś z panią Friedmanową Koszy-  
staliśmy tylko ze zapasów Koszyce. Raszyliśmy w głąb Ski-  
tu, który dla Friedmanów był dotąd nieznanym, oprowadzając  
ich wszędzie i wyjaśniając, o ile umiałem cośkolwiek o rui-  
nach klasztoru powiedzieć, poczem zadowoleni powróciliśmy do  
Łototiny. W jakiś tydzień potem Friedman zachorował na ty-  
fus. Przypisywał to temu mleku, bo u Mamiani istotnie  
wtedy tyfus panował. Przechorował się ciężko, komplikacje  
miał dokłliwe (wrzody) i na całą dalszą życie choroba ta  
na nim piętno wywarła. Gdybym i ja był jadł to mleko,  
do czego mnie Friedman z grzecznością zachęcał, byłbym nie-  
zawodnie dziś spoczywał na smutnym cmentarzyku sołu-  
twińskim obok szumiacej Bystrzycy. Po moim odjeździe ze  
Łototiny zbadał sobie Friedman dom Koło sądu (plan p. 24),  
dzieci jego przyjęły chrzest, on długie lata na niewiejszym po-  
został, bo się do Łototiny przywiązał.

Adwokat Łototyna nie miała żadnego, dojeżdżał  
jednak ze Stanisławowa, a wtedy strona, która go przywitała  
sądziła, że jui temsamem ma się wygrać proces. Często jednak



to zarodziło, chłopak w swym prostym rozumie nie mógł pojąć, że i adwokata miał i przegrat, stąd budziło się w jego podejrzliwym umyśle przypuszczenie, że to pewnie przeciwnik procesowy ~~po~~ podkupił tego adwokata i ten umyślnie zle sprawę pokierował.

Jedynym lekarzem w Jototwinie był dr. Józef Seller, wyznania niemieckiego, liczący wtedy lat około 30. Pochodził ze Lwowa, medycynę kończył we Wiedniu, ożenił się z córką radcy sądnego Sokala w Stanisławowie i osiadł w Jototwinie. Środkowy czołowiek o małej a miłej twarzy, w okularach o ciemnej oprawie, ciemny, rozumny, zawsze czynny i niezanny. Był lekarzem dobrym, diagnozę stawiał trafną, interesował się biegiem i postępem wiedzy lekarskiej, czytując wychodzące natenczas czasopisma fachowe. Bezdziałny, cały rok raz czy dwukrotnie i żył skromnie, że to na ferie wyjeżdżał najchętniej do Karlsbadu. W r. 1902 i ja z nim pojechałem w taką podróż wakacyjną. Ze Jototwiny przez Krasów, Wrocław udaliśmy się do Berlina, stamtąd przez Drezno do Karlsbadu, stąd po trzech tygodniach leczenia do Wiednia, wreszcie po odwiedzeniu tego miasta do domu. W drodze był mi Seller przewodnikiem, mógł jak się stało a widzieć wiele, okazał się wtedy człowiekiem bardzo praktycznym a wysoce ~~du~~ kulturalnym. Muzyka była istotą jego życia, a był jej doskonałym znawcą i wielbicielem. W Jototwinie, przy pomocy tejś. cią kupił dom (plan n. 42), w którym poprzednio mieszkał Katusiński, jednakże z żoną się rozwiódł a ożenił się ponownie z Robertą Młodszą. W roku 1913 wybrano dr. Sellera

136

burmistrzem miasta Sototwiny, pozem zabrat ni on gotline  
do pracy nad uporządkowaniem miasta. Pisał mi o tem on  
sam: „czego u Krtkii cznie dokonatem, przechodzi ludzkę  
fantazję. Potanowitem zamienić Sototwiny na zachodnio  
europejskie miasto. Wszystkie ulice wybrukowano lub wy-  
szutrowano, pranie wszędzie poprasianem asfaltowem chodni-  
ki, dziesięć tysięcy lamp takowych oświetlało co noc miasto,  
całkowitem budynki propinacji i rynku i  
chciatem budować dwupiętrowy ratusz, jednak wybuchła  
wojna światowa i umiarszyła rozpoczęte dzieło. Już  
30 sierpnia 1914 musiałem ostatecznym powagiem przez Ko-  
rös mözö odjechać do Wiednia. Podczas tej wojny Sototwiny  
na legła u gruz, a gdy dr. Sellaer powrócił z wojny na  
złyszczona, nie miał już ani pieniędzy ani wytrwałości do  
odbudowy, odjechał więc, osiadł we Wiedniu (V. Wiedner-  
Kauptstrasse 106.), gdzie ma się ~~to~~ jako lekarzowi bardzo  
dobrze prowadziło.

\*

Bodaj czy mi najznamienitszymi postaciami  
u ówczesnej Sototwiny byli ówaj Kataliccy proboszczowie,  
tj. Taciński ks. Sadlejski i inni ks. Głowacki, ozna-  
czani zwykle ogólnym wyrazem fratres.

Parafia Tacińska u Sototwiny była bardzo ubożna,  
na, gdy się Riedy upróżniła, pranie że nie było na nią  
Kandydator. Za polskie przedwzrostowe czasy nie było je-  
szcze tak ciężko, bo proboszcz Taciński pobierał pensję i dziesięć

137

cine. Według protokołu lastacji dóbr państwowch z r. 1664  
płaceno proboszczowi rocznie 400 zł. pol. (przedrobnior) ~~4000~~  
~~nie~~, a dzieńgociny ras miał w trzech latach Kop. 126, co rozi-  
nato się warteści 256 zł. czyli na rok 85 zł. Kościelny pobie-  
rat 29 zł. 10 gr. rocznie. Po wzmianek Palnki. działo się pro-  
boszczowi łacińskiemu gorzej. Miał do użytku dom z ogrodem  
i kilka morgów ziemi. Jura stolac pranie mi nie mioty,  
stad przeniesienie było na probostwie. Parafia łacińska w Joto-  
linie niegda co najmniej roku 1666. Jak było poprzed-  
nio, nie wiem, gdzie się maria Jotofina nalerieć albo do  
parafii w Nadwórnie, albo w Bohorodczanach. Wypytawsza  
na miejscu o dawnych proboszczach Jotofin'skich, ale ciemier-  
chło to czas, uboższ parafii, i odległość od miasta nie re-  
czyła ta dachownych, szli tylko ci na tutejsze probostwo,  
którzy na bardzo małym poprzestawali, a chcieli spo-  
kojnego dokonąć zymta, albowiem ten proboszczowie, kti-  
rzy probostwo tutejsze amarił za szorobol do innego in-  
tratniejszego. Nie zdolatem nie odnaleźć ani sprawdzić  
imion proboszczów Jotofin'skich od poczetu istnienia  
tej parafii, a tem mniej określić Rolei ich życia. Dopiero  
od r. 1814 dają się ustalić pracownicy duchowni przy tutej-  
szym Kościele.

Otoż w r. 1814 był proboszczem ks. Józef Wron-  
czewski, w. 1758 ord. 1781, a pełnił tę obowiązki duszpa-  
sterskie długie lata i musiał być kapłanem szanownym, skoro  
poruczono mu godność dziekana. Na starsze lata, od r. 1832  
miał wikarego w osobie ks. Ryszarda Gniazdowskiego (w. 1805



ord. 1831). Zdaje się, że Ks. proboszcz Wronieński umarł w r. 1833  
a więc w 75 tym roku życia, bo w r. 1834 widnieje jako administrator  
Ks. Ignacy Ignatowski (ur. 1798. ord. 1825). W roku 1836 zo-  
stał proboszczem solotwinińskim Ks. Jan Kolpaj (ur. 1804. ord.  
1828), a po nim od r. 1844 był proboszczem Ks. Ignacy  
Jaksch (ur. 1803 ord. 1832). Kolejną rzeczą tych proboszczów  
nie są nam znane. W r. 1849 administratorem parafii był  
dominikanin O. Sylwester Gruszecki (ur. 1821 ord. 1847).  
W r. 1852 proboszczem był Ks. Feliks Tomaszewski; ur. 1807  
ord. 1833, a gdy się przeniósł na probostwo do Liorkowic, zo-  
stał w r. 1853 proboszczem w Solotwinie Ks. Hipolit Win-  
nicki (ur. 1807 ord. 1830). Wiemy o nim, że od roku 1834  
był wikarym w Kopyrzyńcach, potem także w innych miejscach  
nowosolotwinińskich, aż wreszcie osiadł jako proboszcz w Solotwinie.  
Tęto właśnie Ks. Winnicki jest najdawniejszym z proboszczów,  
o którym przechowały się niektóre szczegóły z jego życia.  
Był synem umiarkowanego Kiedza, ale wyróżniony w obrządkiem  
~~umiarowanym~~ Tacińskim. Bardzo oryginalny człowiek, filozof  
życiowy, miłośnik gór. Miał tal młot, parafę, nie miał  
w niej prócz miedzi, żadnych prawie ozdób, toteż  
brat plecak na ramiona, góralskie krzypce na nogi  
a kij w ręce i wędrował po Karpatach, idąc od proboszcza  
do proboszcza, hen aż na Węgry. W miedziach znów się zja-  
wiał w Solotwinie, aby odprawić przepisane nabożeństwo. Sożył  
późnego wieku, cieszył się szacunkiem z powodu swego  
szlachetnego charakteru, przy końcu zaś życia, Kiedy już  
nie mógł odbywać pierzych podróży, przesiedlony do domu,

rozmyślał o emigracji rzeczą ziemskich, oraz pustkę Ko-  
to siebie i narzekat na celibat. Umarł około r. 1877 u So-  
totrimie, pochowany na tamtejszym cmentarzu, ale żaden  
napis nie wskazywał miejsca jego wiecznego spoczynku. Po  
śmierci Ks. Winnickiego był u r. 1878 administratorem  
parafii sototrimskiej Ks. Józef Wojnarowicz (ur. 1848  
ord. 1875) poprzednio wikary u Kutzmannin i Floroden-  
ce, poczem otrzymał probostwo sototrimskie Ks. Michał  
Dydek (ur. 1827 ord. 1855), dawniejszy Kapłan (ekspozyt)  
u Kłodziszcz. Był to miłośnik rosyjskiej, silnie obudowany,  
o grubych rysach, dobroduszej twarzy, gospodarstwo  
prowadził mu Konińszcecka. Z czasem zarobek się, zagospo-  
darował, miał konie, konie i dużo drobin. Cierpiał na  
astmę, toteż jeździł często do Lubienica, aby oddechać lesnem  
powietrzem. Gdy nawalił sędzi Białkowski był kanakrem,  
jechał u niego. Z nawalnięciem Tomkrem także tańczył go za-  
rywając. Opowiadał Ks. Dydek, jakże z Białkowskim dawali  
koncerty i jedzenie. Tak na obiad jadał u dwójki indyka  
albo prosi pieczony itp. a polecało się to nimieniem & lub  
miodem, toteż na starość przysła astmę. Leczył go dr.  
Jenőstein, lekarz przy rządzie dóbr sototrimskich (póź-  
niej poświęcił lekarz, na emeryturze u Krakowie zamiesz-  
kały). Lekarz ten codziennie chorego odwiedzał. Po pewnym  
czasie sprędził u pacjenta bardzo zły stan, Dydek wepy-  
tał lekarza, czy może zjeść kawałek pieroga ze serem  
i smietaną, które bardzo lubiał, na co lekarz odrzekł,  
że może, jeżeli ma na to szczególny apetyt. Zdrinił się

Sydek z tak Tatrego pozwolenia i wyroku „to miar: tak ze  
mna ile?” Uspokajit go lekarz z obowiazkami, lecz przypm-  
szat, ze to jess ostatni wjazd. I rzeczywiscie, Ks. Sydek  
~~zjadł~~ zjadł swój przysmak, po obiedzie zmarł i jemu się  
nie obudzit. Miał więc śmierć lekka. <sup>(zmarł)</sup> ~~Był to~~ dnia 9 grud-  
nia 1891. Był to kapłan racny, powszechnie lubiany, dobry  
Kaznodzieja, człowiek śmiały i uczynny. Dodam, że gdy  
zmarł, a ubogi Kościół miał tylko kilka ornatów, nie  
chciał ten starszy brat starzyk dać ornata do ubrania  
cnotek według rytuału. Dopiero, gdy ruski proboszcz Ks.  
Głowacki zagroził, że w razie dalszego sprzeciwu da or-  
nat grecki z cerweni, starzyk ustąpił i dał rzeczywiscie  
najstarszy ornata do grobu.

Do śmierci Ks. Sydeka był administratorem  
parafii Taciłódziej i Sotatrini Ks. Sotat Sadlejski, prze-  
or Dominikański z Buhoroderan, po czym w r. 1893  
został proboszczem nieszczęśliwy Ks. Jan Banach, (w.  
w r. 1850 ord. 1881.), dawniej był wikaryj z Stobódce, a  
następnie administrator parafii Chomierkowie. Radca To-  
mek, który go osobiście znał, pisze o nim, że to był czo-  
wiecz z gruntu dobry, uprzejmy, jako towarzysz wesół i do-  
wcipny, że stałby jednak, aby się opart porządkom kanon-  
mitemu prawa. Zadowolny ten człowiek popadł w coraz większy  
mętlik, raz ośmiel tego człowiekiem nie przepłacił, bo pociąg, ki-  
siem, (w listopadzie), w noc upadł do rowu z wózem i tylko  
przypadkiem przechodzący tamtędy zarządca dóbr Grögler,



ustypsał stabe jęki, zbliżył się do tego miejsca, poznał proboszcza, a że Gröpler był silny jak atleta, wziął go na barki, zaniósł do domu, przywitał lekarza i ledwie ks. Banacha uratowali. Konnytorz bezwzględnie odmówił tego proboszcza ze Sototiny, a to przybył ksiądz ze ~~Sototiny~~ Dwora, zabrat go i następnie umierowus go w Zakładzie wodoleczniczym we Lwowie (Kirielski) celem leczenia. Ks. Banach od szerepu miesięcy nie wpisywał do metryk ani urodzonych ani umarłych, notował to na karteczkach i chował do szafki. Starosta bohorodczaninśki Michel potem zartabliwie mówił: Szczęście, że u ks. Banacha nie zamiatali poręby, w ten sposób strzymali się karteczek i można było wrzucić metryki. Ustąpiła mu metoda, przytupia, wszechstronna na proboszcznie kobieta, znana w Sototynie pod imieniem „bosa Hanka”. Podlecrons go i był jeszcze księdzem (wikarym w Trembocku).

Gdy ks. Banach zrezygnował z probostwa w r. 1897, przyszedł jako administrator do Sototiny ks. Tomasz Głosey (ur. 1848 od. 1874) poprzednio wikary w Petlińcach, Chociwierzu i Nadwórnie, nie długo jednak trwał wakan, bo w r. 1898 został proboszczem ks. Franciszek Donat Sadlejski (ur. 1840 od. 1866), którego ja w Sototynie zastatem i zostałem. Średniego wzrostu, brunet, włosa gęste, ciemne, mimo wieku nie ~~siwiejące~~ siwiejące, twarz dobitnie, uśmiechnięta, marszczona i ascetyczna, uboga szybko obrany, mówił powoli, z namysłem, krótkimi zdaniami, gestykulując przytem wskazującym palcem prawej ręki, resztą pełen spokoju i równowagi.

142

Przebieg dziejów jego życia. przeszedł na podstawie jego własnego opowiadania był następujący. Pochodził z Lubelszczyzny, ze skromnej rodziny, gdzie do szkoły chodził, nie wiem, doń nie wstąpił do nowicjatu O. Dominikański, lecz gdy wybuchło polskie powstanie w r. 1863, opadł z Rilką Kolegami nowicjatu dominikańskiego i zaciągnął się w szeregi powstańców. Walczył pod generałem Jeziorańskim, biorąc udział w Rilkich potyczkach. Opowiadał sam, jak raz postanowił go w zimie w noc na czatach w samotnym lesie, podczas kiedy konne oddziały Moskali wzięły się po okolicy i zachodziło niebezpieczeństwo napadu na kryjówek powstańców w lesie. Zapadł mroźny i duszy, lecz mroźniacze strach przejmował niemały, bo do takiej wyrzekającej samotności nie był przyzwyczajony. Najmniejsze poruszenie gałęzi, lub opadnięcie śniegu z drzewa lub iany szelest przejmował go mroźniem od stóp do głów. Chwytał karczos strzelbę, oglądał się na wszystkie strony i tak przylgnąwszy do jakiegoś dużego drzewa przetrwał w naterzeniu do rana, pamiętając potem całą noc tę jedną noc, którą ma nie, rokiem wydale. Z oddziałem swoim czuwał zwrócił uwagę postąpił a po upadku powstania przedostał się do Galicji i wstąpił ponownie do zakonu dominikańskiego. Został przedtem rannym miał różne rany w Kraj, a był przeorem w Botorodczanach, Wielkich Duszach, i Żółtym Potoku. Przyjaciel jego, profesor seminarjum nauczycielskiego w Samborze Stanisław Głogowski także mi o ks. Sadlejskim podał wiadomości. Ostatnie jego stanowisko w klasztorze było w Żółtym Potoku. Będąc w Potoku Żółtym, zajął się oświatą swoich parafian a w wolnych chwilach od ob-

więzkoń duchownych, zajmował się bardzo gorliwie polepsze-  
 niem klasztornej gospodarki rolnej, które bardzo pod-  
 padło wolentek nieumiejętnego zarządu jego poprzedników.  
 Pewnego razu przybył do Żółtego Potoku prowincjał Ab. Do-  
 minikanów Ks. Konarski, a widząc wzorowo prowadzone  
 w małym zakreśnię gospodarstwo rolne, zaczął namawiać  
 Ks. Sadlejskiego, by zechciał objąć godność przeora w Żół-  
 tku, gdzie Dominikanie mieli duży majątek, a to lasy,  
 pola, stawy, ale wszystko straszliwie zaniedbane z braku  
 fachowego kierownictwa. Do tego Konarski należały: folwark  
 Grabutki (znaczna ilość pola i lasy), folwark Góra folwark  
 Zwartów i folwark Lipina (stawy i pole). Jan byłtem świątkiem  
 — pisał profesor Głogowski — jak niedźwie króży podnoszone,  
 gdyż nie były wstanie o własnych siłach podnieść się z grodu.  
 Konie również niedźwie i zamata ilość na tyle folwarków. Wziął  
 się po swojemu Ks. Sadlejski do wytrwałej pracy i w przeciągu  
 trzech lat podniósł rentowność folwarków znacznie. Również  
 przyczynił się do uregulowania stornów nanoszących  
 i szkolnych. Po pełnym czasie otrzymał Dominikanie wiad-  
 mość, że będzie w klasztorze zaprowadzona ta. obserwacja tj. ob-  
 strzeżenie regaty sakrowej a przytem wspólne dochody wszyst-  
 kich Dominikanów z wszystkich państw. Ta była nierówna mia-  
 ra, bo Dominikanie tylko w Polsce posiadali znaczne mająt-  
 ki, jak w Żółtku, we Lwowie i innych miejscowościach, darowane  
 im przez samowolców, Sobieskich, Żółkiewską, Potockich i tyle  
 innych magnatów polnych. Zechciał więc generał Ab. Dominika-  
 nowi Thier ze swoim otworem do Lwowa, Żółtki itp



by „zbadac” gospodarstwo i naturalnie zabrać co się da do wspólnej Kasy. Wtedy patrystycznie usposobieni zakonnicy sprzeciwili się temu i wystąpili ze zakonu, między tymi także Ks. Sadlejski, ztęszcza że był do czego dotknięty nietaktem postępowaniem generała i tych, którzy z nim przyjechali gdy jawnie okazywali niesfuw do osoby Ks. Sadlejskiego przypuszczając, że ma iść ciągnąć wielkie osobiste korzysci z majątku, a nie wglądali bynajmniej w te ogromne powołkowe wkłady na podniesienie gospodarstwa tj. na sprawienie czego i martwego inwentarza. Ks. Sadlejski właśnie dla siebie najmniej potrzebował. Wszystkie osobiste konwenty żółkiewskiego, uprzed utrzymania pobierał perne, samę na odzież, bieliznę, habity itd. a praeor miał podwójną sumę, który Ks. Sadlejski nie pobierał i żądał mieć, że ma jeszcze czas, najpierw bowiem musi podnieść stan gospodarczy na folwarkach. Zrażony postępowaniem Thiera wystąpił ze zgromadzenia Dominikanów, znalazł się jednak z przykrej potrzebą, toteż dalsi jego przyjaciele i znajomi dopomagali mu, jak kto mógł. Przeważnie byli to Ks. Jan Róba Kowalskiego, proboszcza w Żubcu (powiat buczacki), byłego kapelana wprukowskiego, ruckiego księdza, ztego wielkiego przyjaciela. Tyle napisał mi o Ks. Sadlejskim profesor Głogowski. Sądził, że po strzeżeniu habitu zakonnego wrócił Ks. Sadlejski prosił do archybiskupa browarskiego o pozwolenie mu duszpasterstwa parafialnego, a ponieważ właśnie podówczas ps Ks. Banacha stała ~~opracowana~~ opóźniona parafia wotatnińska, Pandydator na nią nie było. więc poruczono ją Ks. exprocorowi Sadlejskiemu, ostatnio kapelanowi SS. Niepokalanek w Nizimionie.

Tak znalazł się Ks. Sadlejski w Łototwinie. Mając bogate doświadczenie gospodarze, poczał ze swoich skromnych poborów zagospodarować się w Łototwinie. Potatał jakotako chleby, kupił parę sztuk bydła, konie, wóz, sprowadził do gospodarki swego Kuzyna Skibickiego ze żoną i dziećmi i chodząc sam chętnie w pole, prowadził gospodarstwo rolne, by morder jakotako wyżyć. Był też nader skromnie, zadowolony z matem, był człowiekiem cichym, bardzo zgodnym, wyrozumiałym, liczył się ze stosunkami, by mi Kuzyn nie dotknąć. Widzieliśmy go się z lecie zwykle idącego w pole koło sadu Ks. Kryzacy w białym, płóciennym, po Kolana sięgającym surducie i w odnóżnym stromkowym czarno-rudym kapeluszu. A chodząc powoli, jakby mu nagniotki doległy, opierając się na prostej, zakutkawanej lase. Był w szczerpłej przyjaźni z raskim miejscowym proboszczem Ks. Głowackim, razem do Kasyna przechodzili i razem wychodzili, wspierali się wzajemnie, a nawet Ks. Głowacki jakiś czas parę morgów swego gruntu bezpłatnie biedniejszemu memu taczniakiemu Koledze do użytku odstąpił. Lubiał Ks. Sadlejski zasiadać do amiarowanej gry w karty, wtedy wyjmował z kieszeni w spoden' ogromną, skórzaną, porządnie już wytartą portmonetkę (sarkierkę), w której nosił sarkierowe monety. Złazno ją w Kasynie powszechnie Krokodylem, bo gdy się otwierało jej drzwi zielarne zamknięcie, wyglądało to tak, jakby się otwierało parças jarkiego potwora. To też, gdy Ksiądz sarkierkę z kieszeni wyjmował, wotano: oho, już wyjmuje Krokodyla, lubi gdy proboszcz grać nie chciał, mówiono: nie może grać, bo Krokodyla w domu zapomniał! Mieszkając z nim razem pod jednym dachem, znatem dobrze

tryb jego życia. Prawie cały porządek dzień był czynny przy gospodarce, czyto w ogrodzie, czy w sadzie lub na polu, nieorowen szedł do Kasyne i przesiadywał na pogarszce do późna. W niedzielę oddawał się swoim czynnościom duchowym. Po jutram wracał na probostwo, brat homilje i badi w pokroju, badi w lecie w sadzie pod drzewem czytał Kazanie na odwołanie, niedzielę, które niebawem miał wygłosić w Kościele. Jazie mi dotąd stoi żywo przed oczyma takie przygotowanie K. proboszcza Jadłojoliego do Kazania. Brat pod pachę Rocyk bronzowy i jaska i szedł do sadu pod ciemistą jabłonią. Gdy wychodząc z pomieszczenia był już w siemi, powracat jeszcze do Kuchni i wspominał domowników: a nie przeszkadzajcie mi, bo idę czytać Kazanie! gdy znalazł się pod ową jabłonią, podsiedział na łamie Roc, siedał na nim a głowę opierał na jasku o gruby pień drzewa, poczem głósno czytał: na niedzielę VI po Zielonych Świątkach, czyta Księgę ewangelij świętą, zapisaną u m. Marka w rozdziale 8. Czego czasem, gdy Koto Jerusa zgromadziła się, mnoga rzecz, a nie miała co jeść ..... tu przerwał, bo z poza stajni wybiegła zanieps. Rojona stęga Marynka, wtając: „juzi snom niema czerwonego Rozęta, mówitam jui dawno, aby go zabić bo ciągle leci do chadzyc Kur, może Kniade widzieli, gdzie pobiegi, sama nie wiem, czy do Sobla, czy do Kuczerowej.” Odłożył Kniade na chwilę homilje i łagodnie odpierł: mówitem nam jui raz na rarsze, nie przeszkadzajcie mi, gdy czytam Kazanie, czego chcesz odemnie, bym pilnował Rozęta, to twoja rzecz, nie moja, szukaj gdzie chcesz, aby był z powrotem! Marynka



znikło i głębi sadu, a proboszcz spokojnie czytał dalej półgłosem: ... polecił tedy rzeczy, by usiadła na ziemi i biorąc siedm chlebow... zaczął się proboszcz i książce i ani spostrzeż, jak przed nim stanął starszy brat Kościelny Starzyk, z pokorną miną, a rozkładając ręce tłumaczył: „nie do utrzymania książce proboszcza, nie do utrzymania, tyle już sztachetów brak i parkanie Koło Kościółta, że świni i Kozę z całego miasta harcają popod sam Kościół, a z tego taki szmatek,“ — tu nachylił się Starzyk ku siedzącemu na ziemi proboszczowi i przyświszczonym głosem konczył — „nikt już nie może kłębnać bezpiecznie pod Kościółtem. No, a jaksie my dziś pojedziemy z proceją naokoło Kościółta?“ „Koniem nam już raz na ranoze, — rzecze proboszcz — dajcie mi chwile wtedy spokoju, gdy czytam Kazanie! Cóż pan chce, abym rzucił homilię i szedł sztachety Tatać, od czegoż pan jest starszym bratem; potrzeba jutro pójść do pana dyrektora Gröglera, niech da parsz tat, a wtedy niech pan wzięmie syna i razem parkan ponaprawiajcie!“ Nie bardzo zadowolony Starzyk odrzucił, a proboszcz czytał znova: mnie także trochę rybek, te również potrzebować i polecił rozdać... tak czytał dłużej na głos dalej, wtem z pora drzew nadbiegł Kuchciak, czarno-rudy pies gospodarzy Brzyko, i któregoś ogonie nie mieściły się bodjarki z kilkun lat, a zobaczywszy swego pana, prosto walił ku niemu. Proboszcz zaczął książkę machać i odpędzać psa, jednakże Brzyko nie wiele sobie z tego robił, machał z radości ogonem jak maczuga i leżał na skrawku koca Koło nogi proboszcza. Proboszcz czytał dalej.

148  
Kazanie, a pies leżąc u jego stóp, coraz kłamał szeptami, tapiając  
muchy, które rojnie go obsiadły. Trwało to jakiś chwile,  
wtem z tyłu sadu od strony Betejówki dał się słyszeć głośny  
głaskot kugła, pędzącego ku budynkom probostwa, a za  
nim Marynka, klęąc co się zowie, miotając gradami ziemi,  
które coraz rozpryskały się po gateriach drzew. Gdy była koto  
owej Karndzijskiej jabłonki, zawołata: ~~nie~~ „a wie ksiądz  
proboszcz, gdzie był ten nieśmiały kugut?”. Szyje mi  
niety spokój, widziś, że czem innym jestem zajęty, mówiętem  
przecież wyraźnie, nie przeszkadzajcie mi, gdy czytam Ka-  
zanie, idź, idź do kuchni i zabierz Pryśka, bo mi tu  
pachel natrzęci.” Zawołata psa i pobiegła dalej, a pro-  
boszcz znów czytał homilję do końca, potem zabrał  
Kocyk i jeniek i przemyślając jeszcze catoro Kazania  
skierował swe powolne kroki ku probostwu. Po kilkumasta  
minutach widział, jak statecznie szedł przez ulicę z pro-  
bostwa do Kościoła, a po jakiej pół godzinie wyprzedził  
potocznie Kazanie o cadosnem nakaznieniu czerotyngier-  
nej rzeczy, jak gdyby się dóni przez cały tydzień przegoto-  
wywał.

Do mojego przeniesienia ze Jolotwinu do Kalbora, pisał  
jeszcze raz do mnie ks. Sadlejski u następującej sprawie. Oto  
gdyś u r. 1903 lub 1904 na uroczystem nabożeństwie u rocznicę  
3 Maja był u Kościele dyrektor Towarzystwa naftowego Klaußman,  
evangelik, poczem postać ks. Sadlejskiemu list, u którym pi-  
sał, że bardzo mu się nabożeństwo i przemowa podobały, przy-  
czem dołączył do listu jakiś sumę pieniężną bez podania

przeznaczenia. Był kiedś we wsi, czy pieniądze te da-  
ne ~~na~~ były dla niego, czy na Kociot. Przysłał mi więc list  
Kaufmana i radził się, mnie po przyjacielsku, co ma uczynić.  
Z pisma wynikało, że Kaufman chciał proboszcza odda-  
wać, natomiast że powszechnie było znane jego abdykacja. Jak  
też ma odpisać i z tej decyzji pewnie był zadowolony. Pod  
starość zaczął ks. Sadlejski rapadać na zdrowiu, wtedy dodano  
mu wikarego ad personam ks. Jana Porzyckiego, sekularyzowanego  
bazylijanina. W r. 1909 umarł ten zacny proboszcz wskutek  
sklerozy i spoczął na cmentarzu nad Bystrycą obok mojej sro-  
ich poprzedników.

Już pod moją nieobecność został w r. 1910 proboszczem  
solotwinińskim ks. Józef Jarek (ur. 1869 ord. 1896) a gdy ten w r.  
1924 przeszedł się na probostwo w Korosciatynie, został admini-  
stratorem parafii solotwinińskiej ks. Władysław Dubeniewski (ur.  
1894, ord. 1919).

Unickim, czyli ruskim proboszczem był w Solotwinie ks.  
Michał Głowacki, syn również ruskiego proboszcza z Mamiary,  
(dawnie już zmarłego). Do gimnazjum chodził w Stanisławowie, na  
teologię we Lwowie. Opowiadał, że ojciec jego był biednym wiejskim  
proboszczem, toteż kiedy potrzeba było syna posłać do Lwowa  
na teologię, nie miał go zaco wyprawić, posłał więc do ~~niego~~  
miejscowego Karczmarsza, wypłacił jakiejś nieznaczącej sumy  
i tak wpędził odpowiednie wydatki. Właśnie, gdy ks. Głowacki  
teologię ukończył, miał miejscowy ruski proboszcz w Solotwi-  
nie wielkie kłopoty i zatargi tak z parafianami, jak i z wła-  
dzą duchowną, był bowiem członkiem niekiedy niepokojnym



i popadł w suspenzję a sacris. Młodego ks. Głowackiego, dopiero co wziętego zamianowano administratorem ruskiej parafii w Sotatynie. W tym charakterze przeżył kilka lat, a bytło jego prawdziwa droga krzyżowa, bo znosił najdotkliwsze wyprawy ze strony awanturniczego proboszcza i jego rodziny. Mieszkał wtedy, ks. Głowacki ze żoną i dziećmi i choć w niej chacie i materialnie miał się bardzo niepomysłnie. Dopiero śmierć proboszcza rozjaśniła horyzont. Choć o probostwo sotatynskie ubiegali się starsi księża, to jednak otrzymał je ks. Głowacki i nagrodę za cierpienia, jakie w poprzednim dachu znosił kilka lat. Z tryumfem wprowadził się na probostwo i odtąd czuł się bardzo szczęśliwym i zadowolonym do końca życia. Ks. Głowacki był średniego wzrostu, szatyn świsną, przyproszony, twarz miał czerwona, jaskry odmrozone, stary, suchy, stał dradziły był, gdy kto w liwym nieprem gromie mówił coś cizy do drugiego, powiem wój się rozesiłali, sadził wtedy ks. Głowacki, że to śmieję się z niego, choć wrypić nie było. Mówię, lubiał głaszać się ręką po głowiej twarzy. Zwykle był usmiechnięty, pogodny na duchu, ugrzeczniony i bardzo lubiał wspominać swe wspomnienia z dawniejszych lat. Historję powszechną znał bardzo dobrze i cęte cęte ją studiował. Do Kasyńa chodził jedynie dla towarzysztwa, bo w Party nigdy nie grywał. Gdy się Roma jak dawać udat, Kon. Kludowet zwykle „and gut, and gut“. Intelligencji zwykle w przystępie humoru nasypać: nimci. Był on chodząca Kromka Sotatyny od dawnych, dawnych lat,

wszak pochodząc z Mawary tj. niemal z przedmies-  
 ciał solotwiskiego znat dołtadnie tatęze stonach.  
 Ponieważ zaś wieścił on wiele z opowiadania swego ojca,  
 proboszcza mawarskiego, przeto wiadomym jest, że  
 odtrawiał dzieci solotwiskie prawie przez przeciąg  
 stulecia. Wiele receptów tych zapisków, zaopracowań  
 z jego opowieści. Jako proboszcz był dla parafian przy-  
 stepnym i wyrozumiałym, bardzo dbał o swój autorytet,  
 jako człowiek dobry, czuły, był także miłośnikiem, zresz-  
 tą żył w wielkim spokoju, żona zapracowana prowa-  
 dziła całe gospodarstwo, on przeważnie czytał historję.  
 Dzieci miał troję, dwie córki i najmłodszego syna Mi-  
 koleja, którego niezmiernie kochał. Najmilszym jego te-  
 matem, było opowiadanie o tem dziecku. Nieraz u Kasymie  
 ciartoraw : pisał jest nasz, pochodzący od starzego Berto-  
 sza Głotackiego, bo jakże jako rusin mógłby mieć polskie  
 nazwisko. Na to Ks. Głotacki podnosi wskazując palec  
 do góry i odpierał: „hu-hu, panie dobrodziejsi, tak nie jest,  
 ja się staćcinie nazywam Głotacki, ino że tak mi się  
 Polacy przetrwali, to mięk i tak będzie”, potem swoim zwy-  
 czajem ze zadowolaniem pogłaskał się dłonią z dwóch stron  
 po karku. Ale było rusin bez ciemnej szowinizmu, choć  
 do tej narodowości przynależał. W niem nigdy jakiś os-  
 trowski z niego nie wybruszył, u naszym nasie przeżył swego  
 tacińskiego brata Sadlejskiego.

Źródła dziejowe nie zawierają prętyj wiadomości  
 o czem zeznają Sototini. Ponad wszelką jednak wątpli-  
 wość przyjąć można, że miejscowa solanka zniechęcała tu  
 ludność i była przyczyną niedużej liczby mieszkańców, co widać  
 z nazwy samej. Sototina, o sobie ma genezę wy-  
 mierzającą. Czy jeszcze przed Słowianami mieszkali tu ludzie,  
 choć jest możliwe, jednak że pewne porzucić tego nie można,  
 a szczególności zaś brak wykopalisk omentarnych. Sądzę, że So-  
 totina powstała za czasów rzymskich, kiedy dwupłetwy śmieci  
 przez Słowian, a powstała jako stacja solna, skąd wyro-  
 biony produkt solny przewożono rzekami na miziny. Zarazem  
 za czasów panowania ruskich cała część kraju od Tyśmienicy  
 do Karpit pokryta była lasami, które zwano borami  
 tyśmienickimi. Wtedy miało być rzadko mieszkańców lu-  
 dzie w niewielkich skupiskach, cała zaś ta część kraju była  
 własnością księcia halickiego, który wyprawił się tu w lecie  
 na łow. Gdy zaś przeszedł pod władztwo polskie, stały się te  
 okolice własnością państwa, która dzierżawiono. Sototina  
 była starostwem mieśnowym. Dzierżawę się, ziemiami, czuła  
 jednak przechodziła dzierżawę na dziedziców. Była więc Soto-  
 tina w dzierżawie Poturkich, <sup>potem</sup> około lat 1661-65 dzierżawiła  
 ją Katarzyna z Ostroga Myśkowicka, starostka tyśmienicka,  
 a z dzierżawców szczególnym dobrodziejem był starosta Paweł  
 Benec, który zbudował w r. 1740 obecny drewniany kościół  
 sototiniński. Był żonaty z Marią Paleolog, a miał córkę



Magdalena, zamężna za Rafałem Skarbkiem. W r. 1735 usta-  
 ła Benwe za pozwoleniem Królewskiem starostwa soto-  
 łotwiskiego temui siecwis Skarbkowi; sam zaś został Kasz-  
 tolanem warszawskim i zmarł w r. 1755. Skarbek prze-  
 stał na dzierżanie bardzo długo, prawdopodobnie do  
 roku 1772, po nim objął dzierżawę Antoni Teresa Skarb-  
 kowa i miała ją aż do śmierci tj. do roku 1779. Gdy  
 zmarła przeszła Solotwina z przedmieściem Ławeczem i wsiami  
 Monasterczany, Rakoniec, Krzyniec, Jabłonna, Bogoródka, Po-  
 rohy i Krzeszka jako dawne starostwo na własność państwa  
 austriackiego. Ostatnim dzierżawcą był Krzysztof Kłusiński Puzyra  
 dawniejszy starosta upitw. (do r. 1785). W r. 1785 państwo solotwiskie  
 ze wsiami austriackimi powiększono, a to po śmierci hr. Kosakowskiej  
 1789 r. dołączono z dawnego połickiego starostwa wsie: Ma-  
 niały, Markony, Babore i Motułów. Skit. Klemens. Kupił rząd  
 od prawodawcy bułowińskiego funduszu i dołączył dwie tereny  
 1773 do dóbr maniańskich. Wreszcie przydzielono do dóbr soto-  
 łotwiskich oddzielone z dóbr bohorodczaninich (sprzedanych hr.  
 Hadionowi) siedm wsi, a to Rosółna, Banię, Chmielówkę,  
 Kormacz, Szwiniały, Hlibokę i Chlebówkę. Wtedy to dobra  
 państwowe solotwiskie składały się z jednego miasteczka,  
 jednego przedmieścia i 20 wsi. We wsku XVII otrzymano  
 miasto solotwina nazwą Krasnopol, o czem świadczą dawne  
 pieczęcie gromadzka z napisem: Sigillum Civitatis Crasno-  
 polienis S. R. M. nazwa ta jednak nie utrzymała się. Zacho-  
 wane dotąd w archiwum głównem dawnych aktów w Warszawie  
 protokoły lustracji solotwiny z czesów przedwzbiornych śiad-

czą o jej dalszym rozkwiacie. Mieszczanie obierali sobie co roku rójta, a choć na to przynależni królewscy nie mieli, to działo się to, jak pisał protokół austrijski „z woli niegdysz starnej pamięci J. Jana Potockiego, Wojewody bractarskiego, dzierżawcy Jotatnickiego”. Na-  
 (mieszczanie)  
 wet samierzeki awonć do Króla prośbę o nadanie prawa magde-  
 barskiego. Około roku 1765 postanowiono w Jotatinie nowy ra-  
 tusz drewniany i dochował się zachował, iż zapłacono za drzew,  
 na cieślów, gonty, gwóźdź, żelazo, okna, piece, drzwi razem  
 1315 złpł. 10gr. (przedwziewionych). Za cwałt męps pokużył w Jotatinie  
 nie nie tylko śladu nie było z ratusza, ale nikt nie wiedział,  
 że był kiedyś ratusz i gdzie był. domyslić się chyba można, że był  
 wśrodku rynku. Pod rządem austriackim marzieta Jotatyna,  
 nikt o nią nie dbał, mierzono to, co za cwałt polnych powstało,  
 wczelnij sobi zamknięto w r. 1788, a miejsce dalszych mierzoz-  
 reszki kramarze i ydzy, eksploatował Jotatyn, kto chciał, a nikt  
 nie myślał o jej rozwoju.

Po przegranej pruskiej wojnie w r. 1866. znalazł się  
 rząd austriacki ze wielkimi kłopotami finansowymi, marzył więc do-  
 bra państwo pociągnąć sprzedawać. Wczytnie na pierwszy  
 plan szła Galicja. „gdyby nam obywatela — pisł mi radca Jo-  
 mek — byli się nie zrujnowali na powstaniu z r. 1863, byłiby  
 wówczas mogli mieć ogromny obszar polskiej ziemi, lecz nie-  
 stety nie mieli jui funduszy”. Sprzedawano za bezcen, byłoby  
 przedko dojść do pieniędzy. Postanowiono sprzedać także klasztor Jot-  
 atnicki. O kupno to pertraktował wówczas także aneghiorz  
 austr. Albrecht i jego pełnomocnik hr. Popp oglądał domy so-  
 Jotatnickie, lecz pertraktacje się rozbiły o sumę 100.000 zł. austr.

stoły pełnomocnik nie chciał dysputować. Jotowa Jototini'skie  
 Kapit bank niemiecki; ~~a~~ ~~ten~~ w r. 1868, a ten przyszedł je z du-  
 szym zyskiem Janowi i Teodorowi Liebigeni z Reichenbergu.  
 Od tego czasu przyszedła się nowa era dla Jototiny i oświe-  
 nych wielek, stała się także miastem, bo w 30 lat po prze-  
 dary Jototiny w ręce niemieckie tu przyszedł i ogłębienie  
 z zalem, jakie przebiegała ziemia dawniej do Prus.  
 pospolitej polskiej należąca. Jototina stała się areną  
 zarobkową, ciągnięto z niej jak największe zyski a nie da-  
 wało jej zgoda niczego, ani za jeden gros ~~nie~~ miastu nie  
~~dało~~ przysporzono czegośkolwiek. Nabywcy ze swoich czasów  
 nasytali do Jototiny swoich przedsiębiorców niemieckich i oświe-  
 cyliście jak cytryny dochody z nabytych tam dóbr, w lud-  
 ności nie mieli sympatji, rzadko się tu pokazywali, chyba  
 na polowania. Wczynie mego pobytu w Jototinie był za-  
 rządcą dóbr Liebiegoworlich Grögler, Niemiec, jakotako po pol-  
 sku mówiący. Mieszkał obok tej probostwa (plan p. 18), miał  
 dwie córki, które dawał na naukę do Osermioniec i te już  
 polskim językiem wcale dobrze władały. Grögler typowy, pulchny,  
 zaokrąglony Niemiec, o rzędy opierstef brodzie, był ostro-  
 niem dobrym i jak umiał, tagodził zachcianki swoich pra-  
 codawców z interesami miejscowej ludności. Drugim z Role-  
 gduwów był kontrolor Anderka, także Niemiec, zamiesz-  
 kał w Koto cmentarza, był oficer austriacki, członek  
 sprężyny i spiskowej, zaotany myśliwy, znany był z tego,  
 że trzymał mnogą ilość psów. Starszym urzędnikiem był  
 Krča, Czech, wiecznie o fajkę w zębach chodzący, ogromnie



156  
niemity, okazy, samolub i arogant. Najmłodszym urzędnikiem  
zarządu był Czermak, czwórki Niemiec, bezienny jaszcz, o  
okrągłej, czerwonej jak pomidor twarzy, ciemne szerszelny i zadoro-  
lony. Lechia Koprowski nazywał go często jako znany do po-  
miarów grantowych. Na pograniczu gmin Żatunki i Rakowca  
była ładna leśniczówka, a u niej mieszkał leśniczy Szupik,  
z pochodzenia Czech, lecz żonaty z Polką i prawie całkiem spolszczo-  
ny, miał dwie córki, obie polki. Jedynym wreszcie polakiem  
u zarządzie dóbr liebigowskich był ów „szlachcic węgierski”  
Pompain, leśniczy u Porohach. Miał wtedy lat około 45, ładnej  
postawy, ciemne prosto nie trzymający, ciemne włosy, nos ciemny  
słabo zakrzywiony, był beziennym, ciemnotłoczonym i ciemnym, nie-  
miał młodym i jawnym, ciemni sam siebie szlachcicem węgierskim  
i na ten temat sypał dowcipy i anegdoty. Raz pytałem go, skąd  
wziął owe doświadczenie węgierskie, na co on mi wyjaśnił, że raz  
gdzieś czytał wzmiankę o jakimś węgierskim szlachcicu Bom-  
bajnie i wtedy pomyślał sobie, że można puścić u siebie ciemni,  
że i on, że względem na podobieństwo nazwiska jest szlachcicem  
węgierskim, jakim wreszcie nie był. Lubianu Pompajna powie-  
dzieć a wóda wódczan u Porohach miał mić szeroki. Ale u za-  
rządzie dóbr, był jako polak ledwie cierpiącym, marny miał  
posade, potrzebny był jednak koniecznie, bo jako mówiący po polsku  
bez zarzutu, nieraz wytyczany był ze zarządu do władz, przed-  
stawem tylko po polsku można było nie pretensje wywodzić.

\*

Z władz państwowych, przez sądn, był u Jotatniami  
Urząd podatkowy. Miescił się u partera jednej jednopiętrowej

Kamienicy w rynku (od strony zachodniej), będącej własnością  
Kupca Gertnera (plan p. 26). Poberą tego urzędu i jego kierow-  
nictwem był Świdorski, Kanaler, silnej budowy ciała i wielkiej  
pracowności, zresztą materiał surowy. Drugim urzędnikiem  
był Kontrolor Kramer, żonaty, ojciec kilku drobnych a prze-  
czynnych dzieci, był to rodzina skromna, lubiana i szanowana.  
Kramerowi własnym kosztem wytykowali wewnątrz kościoła  
parafialny w Siołtwinie. Po ukończeniu prac i po usunię-  
ciu zarostu była uroczysta msza na intencję poboż-  
nych oparodawców, a ks. proboszcz Sadlejski z Parafii  
im. dziesięć. Ale nie bardzo ma się prze msza udała, to  
widac' ~~nie~~ mówił całkiem nieprzygotowany i nie przemy-  
ślał tego naprzód pot. znana Krasnodzińska jabłonna.  
Salaryjni urzędnicy byli adiunkci (asystenci) Stankie-  
wicz, Jacek Malcharek, Marian Marciński i wtedy  
prastykant Kasperski.

Pocztą było w domu przy gościnicy, wiodącej do Mar-  
koci (plan p. 1.). Pocztmistrzem był Stanisław Kalita, Kanaler,  
mężczyzna więcej niż średniego wzrostu, o głowej głowie, twardo-  
pełna, gotowa, o krzakowym nosie jasnym. Cierpiet ciężko  
całe życie na reumatyzm i to w tak wysokim stopniu, że  
radhy się był życia pozbawić, byleby nie cierpieć więcej. Był  
to człowiek niezmiernie dobrego, charakteru jak kryształ  
czysty, otoczony powszechną sympatją i szacunkiem.  
Liczył podówczas lat około 48-50. Latniel życie spokojne  
i zadowolone. Za czasów pobytu sędziego Krasnodzińskiego  
w Siołtwinie, żył z nim w przyjaźni. Wieczorem chodził

do Kasyne Graferovej, piť <sup>158</sup>jeďnak tyľko herbatę, poradzit  
rozmoř unimarkovanę, se starými znajomými, nie grať  
a party, nie vďasat si v katašľive dysputy, byť razes, tyľko  
viernym vidzem, a tak pryzvyozait si do tego lokala,  
re gdy zarižato si gwandziwe Kasyne, przemioľa si do  
~~z~~ inego domu, Kalita, choć naróvni z cety inteligency  
dvi si zapiat, jednak po davnemu žďazat codziennje do  
lokala graferovej na niecornaę herbatę, chyba re bezitot.  
ny remetyzm pryzkat go u domu. Chciano go komisar.  
nie zrobic burmistrzem, ale — jak mi tam mōvrit — nie  
chciat žadnę miare, na to si zvdziť. „Vidzi pan — pravil  
Kalita, azis' jak idę ulicę, Raziď povi, o, porzedi porat.  
mistrz, porzady cťoniek, ale niechym tyľko pryzjāt  
przēd burmistrza, zaraz na drugi dzień cisauni ludzie cho-  
renby mōvili: o, porzedi stodziej, dlatecs tak jst cile u gmi-  
nie, bo Kradnę, a najmēcej ozymisćie sam burmistrz! Jaka  
jest logika stanu.“ Slyžatom u Rivkanasie lat po moim  
odjezdzie ze foľatiny, ze Kalita umart i spozat obok svo-  
ich starych znajomych, z ktorými na žycia tyńicę niezo-  
vōr przegadzait. Obok Kality byť na pozvie ekspedytor  
Lasko. Mōdy cťoniek, lat okolo 22, Raxaler, zlyt si  
z prvymistrzem Kalitę, razem mieszkali i razem prac-  
ovali, Lasko svoję nezciwduę dorōvnyvat reformi,  
niť go nie vidziat poza domem, ale nieozceřľivý ten  
cťoniek doľkniť byť gvařľicę, ktorę podcinate to mlode  
žycie. Jerzove na mōid cťasōv umart cicho (1901), jak cichý  
byť jeho žyrot, a Kalita vlastnym Rostem go pochovat.



Popularna osoba był historyk Rajewski. Choć inteligent, nie przewyższał zwykłego człowieka, jednak był miły i ugrzeczniony, stąd powszechnie lubiany. W łecie i krótkim surducie, w zimie chodził w kurtce z historyczną dwiżką, torba historyka przez plecy a z kalbassową linką na ręce (głównie pieszczoty), nikt z niego nie miał, ani ułiczników, ani wrotych, doskonale i znano go. Księżka dzieciła. Miał córkę dorosłą, ładną dziewczynę i gdy ojciec przeszedł z życia, brata na siebie stwórzono, torba ojca i pełnita za niego stwórzono. Poradzono raz Księżce, że poparzenie poparzenia usunąć bole reumatyczne. Złoty Księżka Księżka Rajewskiemu na zbieranie sporych poparzeń a zaspasany cierpieniem rozbrajał się do naga i Księżka bić się po całym ciele. Rajewski słysząc wykonał sumienie, smagał powstrzymanie dotkliwie, tak iż ten przedstawiał okropny obraz jakby poparzonego. Ale i ten zabieg nie usunął reumatycznych cierpień. Dziś wszyscy z danej powroty wstąpił w śpiącem nieczynnym wolni od cierpień i zabiegów.

Codziennie po powrocie jechano ze Józefowem do Borkowicz. Od lat dłużej jechał po niego, Dymtro Kupczak, zwany dlatego „Pocztar” (bo Kupczaków było w Józefowie dużo, dla odróżnienia mieli swoje przydomki). Kupczak był gospodarzem („na siwie”), miał ładne konie i wózek do wyjazdu, był człowiekiem bardzo miłym i rozumnym, toteż stale go brano do jazdy do Stanisławowa lub nadzwyczaj. Umiał w czasie wojny niemieckiej 1914/18 na emigracji w Czechach.

Aptekarzem w Łototwinie był za młodych czasów Józef Hłodoby, lat około 60, polak, pochodził z Brzwan, praktykę aptekarską odbywał u Mikołasza w Lwowie i z pewnością z tego był dumny, studiował farmaceutyczne Księżytki także w Lwowie, następnie po ożenieniu się wyjechał do Łototwinie jako pierwszy aptekarz, gdyż dotąd apteki nie było tu. Był to znana w mieście postać. Ożenienie okazało się, wysoki, wcale utyły, włos jasny, srebrzący, broda spiczasta, krótko strzyżona, nos orli, nieźle za tymi dniami w aptece, a wieczorem odchodził do Kasy na rozrywkę. Gdy siedział, robił drobne a szybkie kroki, jasne nogi nie mogły utrzymać zbyt wielkiego ciężaru ciała. W Kasy systematycznie miał na przeciwległej stronie wielkiego stołu i pił wino porobi a statecznie, znając często na papierku metym otworzeniem przesłania, że ich wypit, aby sumienie czego zapisać. W Kasy nie grał, rozmawiał tylko ze starszymi panami do późna, najchętniej o dawnych czasach, o swojej młodości, o przeżyciach w Łototwinie i o dalszych miejscowych miłośnikach. Z młodości swojej opowiadał ciekawy epizod, jako powrócił z tamtego świata. Wtedy był studentem w Brzwanach i Rapał nie w tamtejszym stanie, utonął. Mówił, że pierwotnie dążyła go woda, krztusił się i czuł, że go dławili, niebawem jednak uczucie to ustało, woda wchodziła swobodnie do przetyku, i czuł miał bardzo wody i było rzadko, przyszedł do domu i dalej jemu nie pamięta, co się stało. W jakiś czas dopiero, otworzywszy oczy widział, że jest na łodzi.

i dwoje ludzi forszownie go odrzasa. Wtedy dopiero opusz-  
tomniał. Rubricz nadto opowiadać, jakże miał ciwkie pierw-  
sze exazy nim uruchomił aptekę w Soloturnie, jak lekarze  
się zmięcali, a był czas, że żadnego nie było, wtedy ma-  
niał nie tylko być aptekarzem, ale i doradcą zdrowotnym.  
Był głodolą czworonożem męskim i szanowanym i przez  
Rada Radęję pełnił obowiązki burmistrza. Miał pięć  
córek. Najstarsza była za przewodnikiem Molejowym Tóme-  
nem, bardzo przyzwoita osoba, chociaż ja ojciec całą d-  
rzę, i opowiadał o niej ze stęsknieniem. Kiedy już opm-  
tom Soloturnę, uczestem u drewniakach, że nieszczęśli-  
wa ta kobieta, wzięta nieostrożnie ze szalonego spi-  
nytusem doznała oparzeń i męczeńsko umarła. Nieba-  
wem i sam Głodolę umarł, dzieci apteki rydom sprze-  
dały, dom zaś Głodolych został podczas wojny świątowej  
dorzecznie do ziemi zburzony. Tak znikło bez śladu  
dawnie oświecone szczytne rodu.

Nadto Soloturna miała posterunek Landar-  
merji i oddział Strazy skarbowej o strachu mizycznego typu.  
Landarmerja mieszkała w najzwyklejszym domu obok orga-  
nistówki, straż skarbową na Równi ulicy Ku Józefce,  
ostatni dom na lewo, niemal naprzeciw domostwa Ron-  
trólwa Anderka.



Jak powyższe wspominałem, życie towarzyskie koncentrowało się nieozorem u oberży Szafarowej. Głuchozbli się tam księża, sędziowie, urzędnicy, nauczyciele, leśnicy, i inni ludzie, którzy nie do inteligencji miejskiej, a nadto prawie zawsze samotni ktoś z poza miasta, czyto ksiądz z wioski okolicznych, czy urzędnik u podwórz, czy przedsiębiorca naftowy — wrzucił jęk do przystanku i zapisał się do jednej oberży. Był to jednak sam męski. Żeni, kobiety strzegły ogniska domowego, odniedzwajając się z rzadka wzajemnie. Ale u pokroju Kasynowym u Szafarowej był respekt nie zawsze odpowiedni, bo bądź co bądź był to lokal publiczny, dla każdego przystępnym dostępnym. Jotter poczęto myśleć o tem, aby założyć inne ognisko, poza tym lokalem, gdzieby inteligencja miejscowa była sama ze sobą, a byłoby głównie myśl naukową i nauk. Głównie. Odhylał się przedtem organizacyjnemu u sali do mu gminnego, decydując się od razu, czy to ma być czytelnia dla najszerszych warstw, czy Kasyno dla inteligencji, było który z nich i z ową koncepcją, ostatecznie przemogło zdanie na Kasynem. Kłasnio wówczas postanowił był mieszkanin Matariak dom parterowy, drewniany obok sali z portalem (plan p. 5) a więc u wrotka miasta, nowe Kasyno cały ten dom najęto, sprowadził urządził i przelał się nowe życie towarzyskie. Matariak nadto prowadził obok Kasyna restaurację dla cowników. Sprowadził się do nowego lokalu jasno już

jesień 1899r. było nam tam swójko, miko, familijnie. Tymczasem w ulicy sądowej stał wspomniany dom drewniany leśniczy Szupik, o trzech pokojach, obszernej kuchni i wygodnych łazienkach gospodarczych (plan p. 22). Przepiękny miko na piękny nowy dom. Gdy zaś rzecz. To nam być w Matuniaku za ciasto i Matuniak sam czuł się zmęczony niedzielną po nocach dla obstręgi gości, postanowiliśmy opuścić dom Matuniaka a nająć w frunika. W r. 1900 przenieśliśmy Kasyno do nowej siedziby. Było nam tu bardzo wygodnie, przestronnie, pokoje były duże, jasne, słoneczne, a to w parterze, a to w poddaszu dwa. Restaurację objął Sototink, specjalnie sprowadzony z tym celu i to on kusił, a żona jego doskonale prowadziła kuchnię. Niestety, ta pracowita kobieta umarła w r. 1902 na tyfus. Przez dzień nie wiele osób siedziało w Kasynie, wszyscy byli przy pracy. Ozmiał się lokal w porze obiadowej a dopiero później było niemożliwe. Niemal zawsze pierwszy nadzorzał aptekarz Hlodok, siadł na przekątnej stołu i zerknął na swoje codzienne piwo. Nieco po nim przychodził notariusz Stodsiński, potem obaj bratres Sadlejński i Głotowski, wreszcie wysypywali się z biur siedzący, w rzędach, Randolet notariusz Głotowski, nauczyciel miejscowy Gucfa, zjędzieli się ze sąsiedztwa ruscy Kriśia, nępciarze, leśnicy, właściciele Jeksonski ze Starum, co sami przychodzili powstawał Kelita i robili się, głośno, gwaro, weselo, a Sototink ledwie mógł w po-



cie czoła nastawici gościom z obowiązkami. Ale i kobiety zaczęły się domagać swoich praw, czyż miały być skazane na zmarnowanie w domu? Pod wpływem licznych głosów urzędnicy zmyśliли raz wieczorki z taniecami, wprowadziliśmy muzykę z Tyśmienicy i wieczorki udeżyli doskonale. Był raz koncert muzyczno-wokalny ze śpiewkami miejscowymi, raz jakieś parę przejeżdżna dala z Kasynie wieczór monologowy. Prowadziliśmy przy Kasynie także bibliotekę a liczyliśmy się ściśle z gospodarką finansową, aby młoda wyjszła na swoje. Celem pomnożenia dochodów Kasyna, na wiosnę 1902 podczas kiedy sędzia Koprowski był prokuratorem a ja sekretarzem, wprowadziliśmy wój pięć skrzyń wody alkalicznej z Giesshüblu. Starzy nie nadawali do Kłodzkiej Kłodzkiej, tymczasem właśnie nadciągnął silny mroz, postawiliśmy chłopaka wozem, przyniósł nam one starzy, lecz kiedy rozpakowaliśmy, wiele flaszek było całkiem popękanych, inne mocno uszkodzone. Prawie czwarta część flaszek była zmieszana, co dla uniknięcia wymówek, wzięliśmy na własny rachunek, a dopiero rozsprzedali resztę jakotako pokryta ceną, tak iż ten pomysł wzbogacenia Kasyna nie dopięt.

Bardzo ciekawym gościem Kasyna był cesarski starosta ziemski Jan Sekorski z Fausty na Staruni. Był to naprawdę oryginalna postać. Cieszył się naówczas około 55 lat życia, mniej niż średniego wzrostu, ale bardzo i silnie chudowaty, typy, twarz ogórzona od słońca cała była brązowa, głowa o szaro-rudej wani, był żonaty z ruską, miał syna Eugenjusza i dwie córki, na



porząd w religii i narodowości za ojcem, córki za matką.  
 Jerkowski miał niewielki folwark u samej Staruszy i prowadził  
 dom skromnie miał dochody z gruntu, ale gdy u tej wiosce  
 powstało porozumienie nafty, Jerkowski pośrednicząc dorobił  
 się niezgorzda majątku, postanowił murowany dom,  
 składał pozag dla córek, wyjechał do szkół rolniczych,  
 dokupił inwentarz, ładną brzozę, konie wyjeżdżne, wo-  
 ziki urósł na obywatela. Bardzo lubiał grono starych  
 znajomych z Kasyna solotwinińskiego, przyjeżdżał Miłka raz  
 w tygodniu, grzeczni, grzeczni w Kasynie, napisał się nieco, po  
 nadach nielubnych rad był bardzo, że wychodzi u gron, we-  
 solwie, żarty — bo żartowano z niego wiele, żartował i on  
 z innymi. Szczególnie nieprzebranym był u tym Miłka  
 sędzia Siemienisz. Jerkowski nigdy nie ożenił się jego żartami  
 dotknięty. Raz proboszcz Sadlejski skłonił go u Kasynie, że  
 dał na Kościele zamarka, potrzebnych składkę przedzić i  
 dać dać cynkowi. Na to odzwrać się jowił Siemienisz:  
 „E! Księżu proboszczu, gdzie ksiądz to przeprowadzi, co  
 za skąpych ksiądz ma parafian — ot tak Jerkowski, boże  
 jankich matko, do Kościoła rzadko chodzi, a jank przyszedł,  
 to nie tylko pięć mi da, ale jeszcze trzeba dobrze pa-  
 trzyć, aby czegoś nie wziął”. Rozesmiali się wszyscy, śmiał  
 się i Jerkowski, że mu trzy z oczu pocierły. Szczególnie był  
 Jerkowski ze siebieadowolony, gdy zarobił co na nauce.  
 Siadał wtedy za stołem u Kasynie, był u sto tym kamorze,  
 pił Miłka wódek, rajował co Solotwiniński dawał, pił piwo  
 po piwie, był morny, śpiący, wesoły, skłonny do cato-

wania wszystkich, wracać się do starszych i z rozrzewnie-  
niem wstęć, że tyle, tyle lat z nimi przeszył, chociaż tak  
z nimi przetrwać wielki ciężar, to znów wracać się do  
młodszych, wyciągać ku nim ręce ze słowami, że patrzy  
na nich z rozkoszą, bo mu się metode lata przypominają,  
ze stworzonymi rzekłby iatonat. A z gwałtownością nie delikat-  
ny tenor Kancelisty sądowego Łapki z antą ludowej dumy:

Kozak konia napomni,  
dziwka wodu brata,  
A jak Kozak naspinaw  
dziwka raptała!

Ne płać dziwko, moja lubo,  
Ne płać ne żuryma ci!

Łokowski pochłonywał tęskną nutę, śpiewał sam jęł chłonać,  
tęż cięły mu się do oczu, bit się z rozpory po tej stronie  
i wstęć boleśnie sam do siebie: „Se Korin, Se Korin! gdzie się  
podziwiał, trochę metode lata” — powtarzał to miłkanadzie razy,  
stędy był czuły, wylany, zapominat o troskach dnia samojnego,  
opowiadał o swojej metodzie, boleł nad tem, że to metode,  
barznie życie tak szybko uszło, jęł szybko nchodził loty, myśl  
lub sen. Łokowski był powszechnie lubianym i należał do wie-  
la ciat antonomicznych. Jakże były dalsze koleje jego życia, nie  
wiem, bo po opuszczeniu fototekiny więcej nigdy się z nim nie  
spotkałem. Stęszatem tylko, że żyje (rok 1925), mieszka w sta-  
rumi, lew jęł mi egzypiatym stercem.

\*

Wśród tych ludzi i tych stworzeń poczętem pro-  
wadzić samodzielną życie w fototekinie. Zamieszkałem  
w obszernym pokroju domu Tajbisha Tarbmana, starego żęda

z długą siwą brodą (miał h. 27), rozłożystem mowię skromne  
 sprzęty nadeszły ze Jambora ~~i pobierając~~ i pobierając przez  
 pierwszych sześć miesięcy po 108 zł., urzędzitem ni tak,  
 aby na wszystko wystarczyło. Po pół roku bratem jui 130 zł.  
 miesięcznie, zitem całkiem wygodnie, sprawnie jatro, ubra-  
 nia, dopomogiem opoń do Kupna domu w Germanówce,  
 sprowadzitem kilka czarnopism, które wycałypiatem od des-  
 ki do deski, a nie lubiąc szajetki Kasynowej, siedziałem  
 przeważnie w domu, bo do kasyna chodziałem tylko na śnia-  
 dania i objady, a Rolacje przynosił mi do domu mój  
 niezrównany sturzący Jęko Kostyk. Byłby mój opis ówczes-  
 nej Jotatiny niezupełny, gdybym pominał z nim tego  
 wtajemniczonego Jęka, nieodstępne go stęgi pranie wszystkich Kaza-  
 lowich. Miał lat około 50, mniej mi średniego wzrostu,  
 brunet, dość niskiej budowy ciała, twarz ogolona a poora-  
 na brzośkami niedoli, o wyrazie smutku, rezygnacji i  
 ubóstwa duchowego. Ubiór jego stanowiły pojedyncze przed-  
 mioty darowizny, o których z pijetyzmem wspominał,  
 co od Rogo pochodzi i przy jakiej sposobności to dostał. ~~W~~  
 W ziemi zaciągał na siebie Rozinek bez naliczanego wierz-  
 chu, ale ze obżerem na niego, dlatego zaciągał się wch, bio-  
 rac poty aż pod pachy a na głowę naciągał odniezoną czar-  
 ną szalik z naszykanego szlachyńskiego baranka, w którym  
 wiele miejsc dawno już wypadło. Na grzbiecie szpagacie  
 nosił pół tuzina różnorodnych kłozów, które mi otwie-  
 rał mieszkanek swoich „panów”. Mówił cicho, tylko po  
 rasku, nieśmiało, a wyraz twarzy jego zdawał się bla-



galnie Radeego przeproszać za to, że on, Ilko, taki mały, po-  
 korny, nic nie znaczący, chodzi jeszcze po bożym świecie.  
 Gdy szedł ulicą, rozglądał się na wszystkie strony, czy nie  
 idzie kto, komu klamać nie należy, a klamać nie wstydz-  
 kum i prawo i w lewo. Yanko strząsy był nierówny, płu-  
 tnalny, zapobiegliwy i gorliwy w skrajnej mierze. Uczciwo-  
 jego była prowadzić bibliję. Raz, kiedy w sądzie mi-  
 tem rozprawy i sala była natłoczona ludźmi, ranżytem,  
 że ktoś się gromadnie przez tłum przedciera, torując sobie  
 torcikami przejście. Z podziwem spostrzegłem, że to Ilko.  
 Zamierzało mu to w pierwszej chwili, coś mi błysnęło i gło-  
 nie, że nim jeszcze nie przeszedł się stado, lecz wnet się rzecz  
 wyjaśniła, Ilko trzymał w silnie zacisniętej pięści swój  
 egzaminowy pierścioneł pamiątkowy, który z zapamiętaniem  
 w domu przy myciu się. Z wyrazem troski na obliczu zło-  
 żył go Ilko przed sobą na stole i podziwiany przez strony  
 procenjąc się, zmięknął w ich tłumie. Proś mnie obywat-  
 nat Ilko sędziego Świdawskiego Siemieniowa, Pandzłata  
 notaryusza Gotożorobkiego i urzędników podatkowych Świ-  
 downskiego, Maloharka i Marksiowa, a potem Andrzeja sędzi-  
 go Koprowskiego, biorąc u Radeego po 32t. mieszkanie.  
 Co do Maloharka, będącego w ciągłych kłopotach pieniężnych,  
 to jeszcze Ilko liczył, że mu już jest dłużej za usługi i  
 cieszył się, iż na następnego przewziesię dostanie naraz.  
 Ale i ze samotnym odjeżdżaniem, a Ilko ciągle tylko liczył  
 i cieszył się, lecz niczego u Maloharka nie dostawał.  
 Proś mnie Ilko mierząc o protekcję, aby mógł także

obstęgować adjunkta ze szabelką, co oznaczło nadzieję Kowarszewicza, lecz mimo mego wtajemniczenia, nie chciał go on przyjąć, gustując wytwórnie w iedynie obłudze. Postawiony był Ilko i oddany służbie w sposób legendarny. Chodzącem często na dalekie spacery i gdy raz silnie miś proch przypadł, karatem Ilkon rano dobrze ubranie wycofać, a ponieważ także skarpetki były zaproszone, zleciłem mu na dworze je z prochu wytrzeć. Ilko spełnił moje życzenie według wskazań, ale tuż od tego dnia aż do końca mego służby, a lecie i w zimie codziennie na dworze skarpetki trzepał i to nie tylko moje, ale wszystkich a jego tylko ustęgiwał. Cały mój majątek losował Ilko w srebrnych guldach austrijskich (aby mójre banknoty nie pujały), wrzucił je i to. boł rzucił i w mnie w pokroju pod rządy w Racię wkręcił, nie chcąc odradzić mego wojowniczego żonę, ile ma. Ilekto raz Ilko w prostocie ducha zapraszał miś, bym w razie zapotrzebowania rozrywał z jego skarbu, najpierw obracalem to w żart, później jednak surowo mu wzbroniłem tych propozycji. Miał też Ilko ciekawą mielada, wobec który legendarne Pani Jankowska i kathy inż. marata. Oto gdy ze młodych lat był on na służbie w Gernardowie na Podolu, poznata go tam czeszka Antonina, zapragnęła jego reki, zawiozła do Krynicy do ślubu i Ilko stał się zionatym. Otyłe Robiecinie, o mrokiej, rozlanej, rzarotkiej twarzy, językiem metla jak kotarotem, przewrotna, stanklina, napastliwa, stara - aż także żonę, wśród wieńca dzieci wybrał sobie potulny Ilko. Dzieci

mi mieli, a Jiko był posazynym kawalerem w swoim czasie, bo miał dom w tamy jako drugiej cerkwi ruskiej (plan p. 38) Nieraz Jiko, paląc w murze w piecu, siedział na podłodze, a podkładając polana do ognia rozrzeczał się: „Byłbym ja dzisiaj wielkim gazdą – mógłbym przycisnąć głosem – może takim jak Bohostaniec, albo jak Kupczak-Katadrak, ale mnie wesełnie ojciec odumart i rozpytał wszystko w nim. Bo ojciec mój był noszonym na krzyżce, a był diakiem w Baberze, dobrze ma się działo, ładnie go ranowali, spierał z psatierki w cerkwi na równi jak ksiądz, a chleba my mieli tyle, że można było cały dzień jeść i jeszcze dać drugiemu, ale jak ojciec poszedł do grobu, tam ja się wota do dnia dzisiejszego, nikt mi o mnie nie dba.” Tu Jiko westchnął i nieruchomo wpatrywał się w przesierającą cy przez drzewicki pieca rękę ognia. I takich wynurzeń było wiele, wiele, a zawsze owiane tęsknotą i smutkiem. Szczęśliwie Jiko nie przypuścił do śmierci, lecz wyprężyła go choroba Antonina. Jiko zachorował na tyfus i przez półtora miesiąca był na krągłym grobie. Potrzeba się było oglądać za innymi starzącym.

Naradzano mi wziąć niedźwiedź chłopaka Andrijka, który mieszkał niedaleko domu Matyniaka (plan p. 43). Przyjąłem go, lecz po jaskach 14 dniach oddałem, bo mię okradł. W kilka dni po oddaniu, raz wczesnym wieczorem spoglądając z mego mieszkania na probostwie i zasztytem ogniu. Palita się chata, w której mieszkał ten chłopak, razem z kilkoma niestrannymi, mającymi



licznych Konkarentów. Zdeje ni, że ci przez nieostrożność  
 z papierosami, pożar wznieśli. Był to jedyny pożar, ja-  
 ki w dziale Solotvini. Zbiegowało ogromne, wrzysy  
 jęczeń nad niezliczonym dotkniętym kłeską, ale stali nie-  
 ruchomo, spoglądając tęskno w stronę, z której nadzieja  
 miała siłarka gminna. A tymczasem stojąca strze-  
 cha gorzała wspierając i tana była w górze, ośmieszając  
 nigdy zresztą, nieośmieszane miasto. Siłarka wciąż nie  
 nadchodziła, bo jeszcze konie<sup>nie</sup> były przyprowadzone.  
 Po jaśminowaniu wrzecie nadeszły i ze strażnicy pożarnej  
 w rynku (plan p. 45) ruszył cały tren retnarski, naprzód,  
 zajęchali na ogród obok gorzącej chaty, kierownik ochotni-  
 czej strażnicy pozakładał ręce, stanął potem w rytmie ręce,  
 skierował uwagę na gorzącemu domowi i dał hasło do  
 pompowania. Ceterum silnych chłopów pocięto potężnie  
 pompować, to jedno to drugie ramie pompy było kilkanaś-  
 nie razy w dół i w górę, ale woda ciekła, miarą nie  
 chciała z ręką tryskać. Kilkaś ludzi z podziwem patrzyło,  
 że mimo formy, woda nie chce lecieć na ogień. Pompującym  
 upadły ręce, strażnik oddał rękę w niezawodne ręce poligian-  
 ta Sapizarka, a sam przypadł do pompy, oglądał, przysia-  
 dał, wyłaził na wieżę — ale, nic z tego, woda nie chcia-  
 ła lecieć. Ktoś poprosił pompy, gruchnęło w tłumie, a to  
 skandali, gdzie burmistrz, co to za porządki — wtarg-  
 nięto, wzburzenie było powszechne, zgorzienie i sarkanie  
 na wrzysło, co gminne. Aż stojący obok mnie proboszcz ks.  
 Gadlejski przystąpił do pompy, sięgnął ręką, zrobił obrót

jakas muszyna plamka, a silna struga wody lunęła nad-  
gasajace jui kroknie ptonacego dachu. Poprostu otrós do  
nieia byl dotąd zamieszty. Po tłumie gruchnał szmer zado-  
wolenia i podziw dla zadowolonej probowca. Tymczasem obok  
rozegrata się zajmujaca scena ludowego nierzemia. Na miesz-  
kanicow sąsiedniego domu (plan p. 44) padła rozrzucona trzoga,  
by ogień nie przeniół się na ich budynek. Przeleknieni do-  
mownicy otoczyli swą stoma przytą chetą, przystawiali u Ko-  
newkach wodę i obrazy religijne pokynosili, składając na  
strzechę. Zaszczepion krótką jakas między nimi naradę,  
pozem młoda Robieta, o ile zrozumieć mogłem synowa  
własciciela domu, zrzuciła z siebie całą odzież i zupełnie  
naga, z szybkością sarany puscila się w pogon' dworska  
zagrozonego domu, az ciemna zadadniala. Obręta dwa  
razy i chciata jui braci na siebie bieliznę, gdy u ten jakis  
znanca krzyknął, że musi trzeci raz biegnąć, bo dwa za-  
mato, więc zbiegnieta Robieta pognata jeszcze i trzeci raz,  
az dopiero potem pozwolono jej jej ubrać. Co prawda, dom  
ich zostal uratowany. Tak to ze moich czarów gani to się  
pożar u lototrzynie i tak zapobiegato dalszemu rozszerzaniu  
niszczącej pożogi.

Do portner przyjątem Robietę, z przedumiescia Betypów-  
ki, która, puszczanie zwanu Barabusyczką. Byłato interes-  
ujaca Robieta. Włascicieli nazywata się Anna ~~Thurpiel~~ Thurpiel,  
zamecina, lat około 42, matka jednej dorosłej córki, któ-  
ry była piękną osobą, lecz niedostatek i ciężkie życie  
ledwie ślady jej młodych pozostawily. Miala męża lenia, pijaka,

awanturnika i marnotrawcę, gorzkie z nim miała przejęcia,  
 aże wreszcie porzucił róg, porzedł u świąt, pił, walet się  
 pod symbolami Tarana i prowadził życie gorzkie. Tyłko  
 co rok, lub co lat kilka zaglądał do Sotatiny, przychodził  
 do żony, chwycił co lepszy sprzęt lub odzież, wynosił do  
 miasta, sprzedawał, i pił na umór. Narzynało go powrót,  
 nie Barabus, stał do żony przyległ ~~marzycielski~~ przeznika  
 Barabuszerka, a biedna ta, pracownica, uciekała i zapobiegła  
 na Roberta prawiła ciągle Boga, aby jej ciężej było niżdy  
 jaci do Sotatiny nie powrócił. Postąpiła mi więc Anna,  
 pracownica której robota u rektora gorzka, niestrudzona,  
 rzetelna, cicha. Gdy Ilko wyzdrowiał, nie odprawił jej,  
 bo miał być pozbawić jej tego drobnego dochodu, jaki  
 odemnie miała, ale aby i nieraz Ilko nie zrobić Krzy-  
 dy, wymyślił dla niego specjalną służbę, że ma co roboty  
 przychodzić, nagrząć wodę i zrobić Kąpiel w wannie. Robił  
 więc to Ilko rzetelnie i bał się, przytem opowiadaniem.  
 Mierzył grzecznie zimną wodę z gorącą i mył sobie wy-  
 madał słowo: „ja myślę - koniecznie - że sędzia jest  
 tak niezony, że jakby chciał, to mógłby mszę odprawić.”  
 Zapamiętał go, nadszedł tej wiadomości zaniepokojony. „A, to ja raz  
 słyszałem, jak pan ~~nie~~ mówił z księdzem takim językiem,  
 że tego nie rozumiem, ale wku zaraz pomyślał, że to  
 tak, jak ksiądz przy mszy mówi”. Te i tego rodzaju my-  
 śli wypowiadał Ilko ciągle i był zadowolony, że ktoś cierpli-  
 wy go słucha, bo u domu Antonina nie chciał z nim dy-  
 skutować, ale Róża drzeła rehać, wodę nosiła, okna myła itp.



Zapyta ktoś słusznie, dlaczego we wspomnieniach  
piszę o służących, przecie te osoby, nie odgrywały żadnej  
roli w historii miasta i nie wyróżniały się niczem od ty-  
siąca innych sług, pocóż więc nad nimi się rozwódzić, pisać  
o ich naryczkach, losach, stęsknieniach. Cóż się zobowią-  
załym usprawiedliwić z możliwością takiego, racjonalnego  
w zasadzie zarzutu. Rzecztem mamy promyk światła na te  
osoby dlatego, aby wskazać, jak dawno, że ówczesne przedroz-  
biorczych mówią stał miśszerański, później podupadł,  
zdrobniał, abiedniał i poprostu mój się zamieniał. Sam się  
si miśszerański, który na retarza solotwiniński radził,  
antonowiczem się radził, wyjął z półroczu kilku obierali i  
w r. 1663 postanowił podać prośbę do Króla Jerzego o  
nadanie miasta Solotwini alias Kresnowol przez magde-  
burzkiego, a miśszerański osobni i zamozini, żyjący dostat-  
nie przy dobrach państwowch i przy solotwinińskiej wazeleni  
roli, po wzbiorech Poloni, po zamknięciu wazeleni w r. 1788,  
po sprzedaży dóbr solotwinińskich Niemcom, podupadł i prze-  
mienił się w tłum zabójczy. Mili tylko wspomnienia daw-  
nych dobrych czasów, lecz z abstrakcją już się dźwignąć nie  
było w stanie. Takimi jak mowi służący, była znaczna prze-  
waga miśszerań solotwinińskich, którzy wpuśczeni ze mną  
żyli. Stąd też mieć niekogo mi dżini, że podziętem w mowach  
wspomnieniach specjalną wzmiankę.

\*

Mieszkałem tylko rok jeden u Taubmana, poorem  
gdy proboszcz Łaciński odnowił planację, przeniosłem się na

175.

probostwo, zajmując tam dni abikacji od strony zarządu  
leobizowskiego. Pamiętam, kiedy najści ludzie przyszli ze-  
brać rzezy i porcji Tañhamana, Jiko zatrzymał ich  
w nim, zamieniał drzwi mego pokoju na uloz i jad  
długo rzucił się na podłogę koto rasy. Ze zdziwieniem  
patrzyłem, co z tego będzie, bo met zagadka się wyjaśniła,  
niegnał ręką pod rasy i wytrzymał z pod niej łobot szmat  
ze srebrnymi guldunami, poczem wszystko upakował za pa-  
ruchy i wyglądał, jakby ma garb z boku wyrost, dopiero  
potem mogło się przemienieniu odhyci bez przeszkód.

\*

Jak długo było lato, chodziłem codziennie na  
spacery, rozkoszując się piękną okolicą. Ulubionem miej-  
scem Krótych przechadzeł była dolina w paruni górnicim  
Lubienica. Przypominała do pierwszego stopnia doliny Kocio-  
lika pod Ładopanem. Już nad Lubienicą od zachodu  
wznosiła się najwyższa okoliczna góra Korzemińska,  
z której przez rzekę widać było w oddali Stamtanów,  
odróżnić się nawet dawne, najmniej budynki, murek  
nie wieża ratuszowa i biała blacha malowany białany  
dach ormanickiego Kocioła. Poza tę górę, z dalszym jej o-  
gązaniem na stronie Koczki, z szarym leci zastaw-  
my z Paklernem długi parów napetniony śniegiem, widoc-  
nie nigdy nie tającym.

Co niedaleko robiliem dalsze piesze wyścarki, a to do  
Mawian (czyste), na góry Krzymieć, nad Rystręką na Koczce,  
itp. gdzieścem przez Markow, Motłoch do Kwozda itp.

176.  
Gdy jednak przypała jesień i zima, rozrywka ta odpadła.  
Ważylem się długo, co porządzić z wolnym czasem, ku do Ka-  
ryna chodzącem bardzo rzadko. Miałem różnorodne plany.  
Ponieważ w gimnazjum przez pięć lat korzystałem z wykładów,  
chciałem z Wiednia sprowadzić wzory i powziąć je, rysunko-  
wości Kredlowej. Tęży znowu był plan sprowadzić francuskie  
książki i nauczyć się języka francuskiego, bo go podówczas w na-  
szym szkole nie uczono. Wreszcie plan trzeci przepro-  
wadzić dokładniejsze studjum prawa. Przeniósł ta ostatnia  
kombinacja. Sprowadziłem system prawa Kraintza, dokomple-  
towałem tomę wykładu prawa Tilla i oddałem je studjum prawa  
cywilnego. Trwało to z jaski półtora roku.

Mile miasteczko Solotwina mniejsze było od sąsied-  
niej Nadwórny i skromniejsze we wyglądzie, ale też zdrowsze,  
bo w Nadwórnie rozprzyszczyła się epidemia cholery, która  
Solotwina ogromnie traciła na tem, że nie miała Rolei.  
Okolo r. 1884 nadorano linję Rolejową ze Stanisławowa do  
Węgier, po drodze na tej przestrzeni było pięć miasteczek,  
a to: Lyncz, Bohorodczany, Solotwina, Nadwórna i Selać, a  
sam rozem dyskontował, aby te przydrożne miasteczka posta-  
czone były ze żniatem Rolej, jednak niestety, na niepo-  
wietowanej szkodzie trzy pierwsze miasteczka zostawiono  
na ubożu, dopiero dwa ostatnie otrzymały Rolej. Opowia-  
dał mi stary Kapić solotwiniński Wiesner, (w rymu zaniósł-  
ka, Kłap. 29.), w czasie utworzenia Rolej był burmistrzem,  
że zing tego ponora Liebigowie, przez swą zupełną bezczyn-  
ność dopuścili do tej grandziej gospodarczej zbrodni.



Niemniej w Bohorodczanach niczego nie ~~zrobiono~~ zrobiono, a nawet  
 pierwszym wplywowym ośrodkom miejscom na rękę było, by  
 koleją przez Bohorodczany nie iść. Wiener ratował sytuację  
 jeszcze w ostatniej chwili, pojechał błagać Rumujską wytwórczą  
 trasę, ta jednak była już w ślepotynie a sama sprawa  
 była już przesądzoną i przeprawą. Ostatecznie Jolotrina  
 ze swoim ogromnym bogactwem lasowem, z Kopalniami  
 węgla i ropy, z tartakami i handlem była przodată na  
 obok bez kolei, która poszła przez kilka pustych wsi jak  
 Tyśmieniczany, Tarnowie i na przystanku Stanisławów -  
 Włodowa stała się linją martwą. Rzekomo względy milita-  
 rne narzucały wyznaczenie linii takiej, jak ją na wspo-  
 mianym przystanku wytyczono, ale później wojna świątowa  
 w latach 1914 i następnych wywarła śladowe pojmowanie rzeczy,  
 bo właśnie Jolotrina i Motulskoi stały się ważnym ośrod-  
 kiem terenu wojennego i brak kolei uderzał walące od-  
 działy od centrów strategicznych.

\*

Rzucamy teraz okiem na wygląd ówczesnego mia-  
 stečka Jolotrinu. Otóż ze swoich ośrodków centrum tego mia-  
 stečka stanowił czworoboczny rynek, brukowany odtokami  
 gorskimi, naokoło stały same cygorskie domy, przetrznięte  
 z drzewa, gontem kryte, kilka domów było murowanych, a je-  
 den jedyny piętrowy (od strony zachodniej, gdzie, jak wspomnia-  
 tem mieszkał w Urzęd podatkowy. Plan p. 26.). Także na śród-

ku rynku było kilka domów izydowskich i remiz z przy-  
 borami straży pożarnej. <sup>(plan p. 45)</sup> Łototina miała kilkadziesiąt sklep-  
 ów, to: krawcownię, bławatnie, cielną, siodłarnię, był na-  
 wet kramiec wód mineralnych Wieselman. Kupcy byli wystaw-  
 nie ciężsi, prośbą jednego sklepu katechizacja w rogu rynku  
 ku Łazareciu. Był to skład wędlin. Zajmujący był widok te-  
 go rynku podczas dni jarmarcznych, jaskół było kilka  
 w rogu. Kilkaśno wozów zajęło całą przestrzeń, mnóstwo  
 ludzi tłoczyło się na wszystkie strony, kupowali, sprze-  
 dawali, targowali się, nawoływali, witali, a wreszcie zaprasza-  
 li do rynku. Lubiałem przejść wtedy przez rynek, a wtedy-  
 nie przecinać przez tłum i obserwować to podniecenie, jakie  
 malowało się na twarzach przybyszów. Dla wielu chłopców z go-  
 ściskich ustroju była Łototina jakby Paryżem, oglądali wszystko  
 ciekawie, podziwiali różne wystawy sklepowe, wstydzieli się  
 i jeść katarzaki, kupowali łosy ciągnięte przez papugi, a śpien  
 zebrał, opiewających dzięci si. Wawary, bydła mied testem,  
 liryczna, śpiwną opowieść, wodną podziw i wzruszenia.  
 Warto było także przejść się rynkiem poźnym wieczorem po ta-  
 kim dniu jarmarczonym. Główna część wozów już odjechała, pozos-  
 tały tylko niedobitki. Tu rozprószona góralka parkowała  
 na wóz mego zapomnianego meza, wpięć ma narkę po-  
 mierzane z wyrzniękami, tam ciągnęły dzieci jaskółce staro-  
 go chłopca ze rynku do domu, gdzieś indziej już całowali  
 się chłopcy po kilkanaście razy, a ledwie się trzymając na nogach  
 zrzucił sobie języczek długi, długi lata przyjdzie na targi

do Solotwiny, nadziei jej, traktować i mieć jej, kawałek". Na-  
razie po targu Kikanaćkiej partji zgłaszano jej do sądu  
do oglądania lekarzów z powodu pomocy, bo nie wszyscy  
rozstawali się ze sobą, wśród zjelenia, kawałek".

Z rynku rozbiegały się ostre, główne ulice i  
kilkie pomniejszych. Główna Solotwiny była ulica ku Kici-  
towi, sądom i Kłoczcu. W pierwszej części była ta ulica  
szeroka, a dalej nieco węższa, aż wreszcie szła w pola  
jako droga polna. Idąc z niej miało się od rynku ku Kici-  
towi. Po lewej ręce były narówny marmurowe budynki, drewniane, to  
były kramy miejskie (okolo 8), najmniejszą je drobnym  
handlarzom, to też były jaski (plan p. 9). Dalej leżał dom  
zjadawczy (plan p. 10) schładnie strzymany, to niedziela zian-  
darmierji. Obok tego mały, niski, biedny domek (plan p. 11)  
to mieszkanie organisty, którym za moich czasów był  
Szczepanik, człowiek iznuty, okarcony licznymi dziećmi,  
nie gardzący pozostawieniem. Obok organistów był placik,  
a na źródła tego Kłoczcu. Było to miejsce darmego, wygastego  
cementarza, wódoz którego stał między drewnianymi Kici-  
tami, podobnie przez pożar zniszczony. Kiedy ten Kici-  
tami powstał, nikt nie wie, to jednak wydaje się być pewnem, że  
istniał co najmniej w r. 1666. Dalej na lewo widzieliśmy czo-  
wobocane, oparlione miejsce zarośnięte naokoło wspania-  
lennymi drzewami, które były ozdobą całego miasta. Ogromne te,  
wzroszone drzewa mogły mieć okolo 300 lat. Mieszkańcy na pro-  
bnie naprzeciw wstępowania się podczas jeneracyjnych nieporo-  
w i porzuci ich Konarów i majestatyczną gwarą z wickurą, roz-  
-



miatem wtedy, jak echo tej mowy przyrody, mogło u starożytności  
stać tajemniczą iść, podobnie mistycznych Reptanów do urod-  
zenia ze szumu drzew. Piękne, roste, dorodne i Kochane ol-  
brzymy stanowiły zastępek dla Kościoła, który okalały. Było tak-  
że kilka deków młodożytych, liczących około 50 lat. Jan Kociński  
pod wrażeniem ich. Kłypa był drewniany, o wieży na froncie,  
u której gnieździły się stada Kasek. Kłypa był gontem, mocz-  
nadpłyn i Ks. Sadlejński bardzo pragnął podnieść go ~~gontem~~  
blecha, ale trudno było o fundusze. Wtem nagle nagle, miał  
trzy ofiarce, młotem Kramersoni swoim Kościołem i Kościo-  
łem potym Kramersoni. Postanowił go w r. 1740 inżynier Kramerson i  
starosta Solotwiniński Paweł Benoe, przytem także powołał do-  
tę proboszcza. Co było poprzednio na tem miejscu, gdzie  
Benoe podobnie Kościół, nie wiadomo, prawdopodobnie jednak  
było probostwo okolone dekami, bo u Kłypa rzadko deki, są o wiele  
starsze niż obecny Kościół, nie mający jeszcze lat 200. Obok  
Kościoła stała drewniana, niewielka dzwonnica, której powsta-  
nie znam z opowiadania. Samy Kościół nie miał dzwonów.  
Aż oto był u Solotwinińskich proboszczem radecki Kłypa, który  
mucha nie porzucił ze swymi parafianami, a go zbył Kłypa-  
ni i zauważył do cerkwi, chodzili na nebożenieństwo niedzi-  
ne do Kościoła. Ponieważ dzwonów nie było i nieregularnie  
uczestniczyli, dlatego złożyli się i Kupili dla Kościoła te dzo-  
ny, które tak ich, jak i potomnych swych dzwoniących  
głosów na wspólną modlitwę.

Dalej ze Kościołem był budynek swęty, parochialny (plan  
p. 13), a u nim od strony Kościoła mieszkał Kierownik Gacpa,



Od czasu do czasu przysuwali się przez  
 Sototwinę różni szlakowicze, objazysasi  
 i okpiwiali. Aby mi prosić o jakiegokolwiek  
 opiarovali swe usługi za małą cenę.  
 Jakis Niemiec w r. 1901 zgłosił się  
 do sądu i za skromny datok robił  
 takie oto bilety wizytowe. Chcąc odczy-  
 tać nazwisko, potrzeba przesunąć  
 biletu utwórć prostopadłe do krenicy.

\*

R 2  
res  
nity  
cle  
apt  
  
Lh  
wi  
m  
12M  
je  
p  
R  
in  
ta  
da  
by  
ni  
12  
cry  
na  
na  
cu  
47  
m  
i  
a



a że naterozes był jeszcze bezziennym, najmował frontony porokaj  
kandydatów notarialnemu Gotojórkiemu. Szkoła musiała trze-  
sity nanczejelowie, to prowa Gucy były jeszcze dnie nanczy-  
cielki, z których z jedną on się wzięł, drugą zaś była córka  
aptekarza Hodołego.

Że szkoła, był budynek mieszkaninowski (plan n. 14).  
Zbudowany go nowo z drewna, gontem pokryto i oddano na  
wzrost w r. 1900. Miał kilka obywateli ubiędzy, a z nich  
prowa mieszkaninowski mieścił się także klasy szkolne, to  
szkoła stała się już na miejscu. Pamiętam jak w r. 1900  
jedną z izb tego budynku oddano quina na parę dni  
przejazdnej grupie aktorów i dawano kilka sztuk, a to Ma-  
ry, Swarzenko, Królów przedmieszcza i niepaństwo mi-  
inne. Chodziłszy na to cudeśnienie, by poprzez tych świątę  
tarystów, którzy aż do Solotwin dotarli. Na sali była swo-  
da, bo tylko wielozna garstka inteligencji zajęta kresła,  
byliśmy nie ~~nieobecni~~ <sup>nie</sup> Krepowani. Na przedstawie-  
niu Małki, niedzieli i drugich rzadzi Serowki wyjął z Kie-  
rzonki kamizelki drobne pieniądże i porwał je głosno li-  
czyć na dłoni: 17, 18... 23 itd., naco xaria Siemieniuk gło-  
sno go strofował: „Serowki schowaj pieniądże i niedo' cicho, to  
naci ma kady carar się doniedzieć, żeś pierwszy raz w ży-  
ciu w teatrze”. Serowki reagował równie głośno, że już był  
w teatrze a nie jest to nic z tego pieniądże porachować, przecie  
mnie niedzieć, ile ma przy sobie. Zrobiła się mała konteracja  
i na sali i na  $\frac{1}{2}$  scenie, aktorzy nieco przerwali akcję,  
ale met gra poszła normalnie dalej. Podczas przerwy opo-

wiedzieli, że Głowacki, jako chodząca kronika Sototwiny, jako  
kiedyś dawniej przybyła jakas trupa teatralna do rajaru  
graferowej, rozgłoszono „premjers“, publika ni, rebrata, pod  
ciem czekania podniosła ni, Kurtyna, poczęto grać sztukę,  
lecz po kilku scenach jakiś młody artysta ani rusz ni mógł  
językiem obracać, bo go sotoctwianie niektórzy ubóstwiali.  
Zapadła Kurtyna a z za Kulis dał słyszeć głos dyrektora „ty  
darmu jides“ i trząsk bicia. Naturalnie przedstawienie odro-  
tano.

W tymto budynku gminnym funkcjonowała rada gmin-  
na na czele z burmistrzem. Wtedy stał się burmistrz Kłodzki  
wzrygnął ze swego urzędu a stale pełnił te funkcje zastępcy  
mieszkanin Wasył Droboszycki (mieszkał nieopodal rynku  
od strony Ławeczki (plan p. 46)). Miał lat około 40, brunet,  
z matym czarnym wąsikiem, ubrany zwykłe w gonice a Krąjo-  
wego czarnego, welnianego płaszcza, we wyrobkach butach z wyrobie-  
ni obcasami, starannie czyszczone, okadził drobnym  
a przedkim kroczkiem, jak gdyby nogi miał spętane. Mówił  
tylko po rusku, krótkimi, wykręcanymi zdaniem, a gdy się do  
niego mówiło, zderzał się przede wszystkim staro pschtaniac  
i w myśli przetwarzać, jakby sam w siebie wmaniał: bery Petre  
na rozum. Personal urzędu gminnego był młody, zaledwie  
kilka osób, <sup>było</sup> dżis mi nie pamiętnych, ale utknął mi w pamięci  
a policjant gminny Sapizak. Był on młoda jak, osobisto-  
cią w Sototwini. Ubrany czarno w uniform, ciemny wyrobki,  
barozęty, z matym wąsem lecz silnie granatowym nosem i  
obrzętem obliczem. Miał często pragnienie a jemu chwile

napelniały mu duszę, gdy je zasporokuit. Grozoglunie był  
 rozczulonym, gdy nadzedł jarmark lub gdy przeprowadzono  
 kontumacyę na psy. Podobał jarmarku, rzucił Gapiżak po rynek-  
 Rach i kontrolował czy niema nadużyć i czy rzędzi nie rozpi-  
 jeje narodu. Wtedy Rządy ryneków potrafił stwócić bezpie-  
 czeństwa publicznego silną i mocną i butką ze sładziem. Nim  
 Gapiżak obchodził półkę ryneków, dalej jwi nie mógł ani języ-  
 kiem obracać, ani na nogach się utrzymać. Siadł w otwartym  
 kontrolowanym przez siebie rynku, ogarniał go stółki sen  
 i budził się dopiero następnego poranka, jwi po targu. Niemniej  
 wazną funkcją Gapiżaka było przeprowadzenie kontumacyi na  
 psy, gdy w okolicy pojawiła się wściekłość. Był nakaz ze  
 Starostwa zabijac wrystwie volus bieżące psy. Gapiżak brał  
 magistrackę strzelbę na plecy i wychodził na rynek, rozglę-  
 dając się za jakim nieszkodliwym pieskiem, czyli rannym wtedy  
 porażo dziać. Wreszcie gdzieś na skrocie ulicy pokazał się  
 jakiś cędniały psina, szukając po śmieciach odpadków  
 z pomoy i koci, które go miały wyratować od głodowej śmier-  
 ci. Wtedy Gapiżak xmierzał się, strzelał a biedne zwierzę  
 wśród cięższego jeżenia i mać życie oddawało. Na odgłos  
 strzału zbiegali się niecy ludzie, a widząc co się dzieje, ten i ów oba-  
 wiał się o swę pieśka. Brał więc Gapiżaka do najbliższego rynku,  
 tłumaczył mu jak jego pies wygląda, prosił o protekcję i wzglę-  
 dy i traktował arakiem. Przyznadł się do nich drugi i trzeci  
 a Gapiżak ndobrachany, <sup>po kilku takich arakach</sup> ~~do~~ ledwie się na nogach trzymając rzucił  
 dalej na polowanie, ale wtedy o celności mowy być nie mogło,



dawet tylko Koncert dla gawiedzi, urągającej z jego uchybień! Pod wieczór, rozrząc nogami powracę do 'mruka gminnego'. Jak trzeć to że dwa tygodnie minęły i Kortański odwrócił, a Gapiński przez ten czas pit na smor a strzelet w prawo i w lewo i do cudów zaliczyć można, że ani było potrzelenia ludzi.

Salej i tej ulicy naprzeciw byłota rynekowego stół dwuży budynek zarządu dóbr liebigowskich (plan p. 15). Dom stary, obokowy, o długim szeregu okien, z ogromnym dachem, jasny, mniżej Kapturem. Dom ten, jak i inne obok niego na tym gruncie potrośnie pochodzić miały jeszcze z czasów polskich gwiedziowców.

Wróćmy jednak znowu do rynku a stąd idźmy znowu tą samą ulicą na zachód tj. ku sądom, abyśmy poznali, jakie domostwa były po pierwszej ręce. Stół to dom rynekarski Sobla (plan p. 16.) gdzie mieszkali w zachodniej połowie drugiej wojny podatkowi Malcharek i Markiewicz. Salej było probostwo łacińskie (plan p. 17.). Na froncie był duży dom murewany, białe, kryty, biało bielony. Przed około 20 laty opustoszało probostwo, gdyż spalił się dach na nim a jako ślad tego porażały się z pod bielidła ścian gdzieś gdzieś czarne ramię, pochodzące z wody spływającej ongiś przez rękawicznik poziarn. W tym domu frontowym od strony rynku mieszkał proboszcz, od strony zarządu dóbr mieszkał ja. Przed domem probostwa był ogródek kwiatowy mocno zamieciony od ulicy otaczający drewniane, żelazne, chylące się niemal ku niebiosom. Salej był piękny dom zarządcy dóbr liebigowskich (plan p. 18), miał ganek z krytą, wielką werandą, a na jego

frontowej ścianie od zewnętrznej odniedź wspaniałe rzeźbiarstwo. Za tym domem tamata się ulica i pierwszy dalszy dom na prawo, to była apteka a zarazem mieszkanie aptekarza Hwolskiego (plan p. 19.). Nieduży domek, raz ze starannymi wybielonymi, przed nim były ogródki kwiatowe i niskie sztachetki z furtką. Apteka mieściła się w ówczesnym parsoży, tuż naprzeciw furtki, resztę metrażu w leczniczych miał aptekarz w sąsiednim pokoju. Dalej na prawo w tej ulicy były domy towarzyszące naftowego, które się zwalo: Karpaczkę towarzyszącą naftowe, dawniej Mac Garvey i Spółka (plan p. 20.). Dyrektorem tegoż był Jerzy Kaufman, na pół angielski, na pół niemiecki, blondyn, wysoki, o jednym szklanym oku, rodem z Melbourne w Australji, dwukrotnie żonaty, ojciec dwójki dzieci, umysł bystry, zapobiegliwy, prosty. Nie kupował niczego w kraju, do najmniejszego gwóźdź, papier, pióra, wszystko sprowadzał z Anglii.

Dalej na prawo był maly dom z werandą ozdobną, własności Andrzeja z Jabłonki, w nim mieszkał sędzia Kłopotowski i pobożna wdowka Swidowska (plan p. 21.).

Za tym domem był stary dom leśniczego Szupnika (plan p. 22) w którym mieściło się ze swoich czasów Kasyno. Dom ten, nowy, obszerny, budowany silnie i z dobrego materiału. - Ze Kasynem były domki mieszkalne, których właściciele w swoim czasie znacznie się procesowali (plan 22a), dalej była poprzeczna uliczka na przedm. Betajówka, a za nią z dużym domem, słone krótkim (plan p. 23) mieszkał szeregier

ks. Głowackiego malarz cerkiewny Köfer, cała ta rodzina to ludzie  
 sporofini, wozcini, Bogu ducha winni. Za nim stał dom ma-  
 rowany notariusz Friedman (plan p. 24), a dalej był ostatni  
 dom starej panny Zaorskiej (lub Zahorskiej), która mieszkała  
 z matką wdową (plan p. 24 a.). Za tym domem był drugi ogród a  
 za nim rta na prawo wieczne błotniste niskość na ementalu  
 miejscu nieopodal Bystrzycy potocznej. Na samym końcu tej  
 ulicy były zabudowania zarządu dóbr liebigowskich, i tam mie-  
 szkał kontrolor Anderka. W odległości od Anderki, po prawej  
 stronie nad rzeką, był plac mowus chrestami i drobna, ni-  
 kłina, porosty, a na nim sprichnięte szczątki dawnego tartaku,  
 który to istniał do roku minigiecy 1860.

Po lewej ręce głównej ulicy ku Kryworze, niemal naprze-  
 ciw Kasyna a Szupika były budynki sądowe, wtemni Liebigow.  
 Sąd i mieszkanie naczelnika sądu mieściły się w piętrowym głównym  
 domu (25a.) obok stał parterowy dom mieszczący więzienie, miesz-  
 kanie nadzorca więzienia (wzły, Galus), urząd hipoteczny (25b)  
 dalej stajnia była stajnia (25c) i drewnia (25d). Na ogrodzie są-  
 domu zaczęto w r. 1902 budować osobny dom dla naczelnika  
 sądu (25e) jednakże gdy odjeżdżałem, nie był jeszcze ukoń-  
 czony. Za sądem w kierunku ku Kryworze były oborne ławy  
 liebigowskie na końcu zaś tej ulicy było domostwo starszego brata  
 Kwieśdnego Staryka, a z nim razem mieszkał syn, prowa-  
 dzący proceder osadzania rogów jelenich a czasami na depu-  
 nej podstawie. Ostatni dom na lewo zajęty był przez straż-  
 nikarstwo.



Do skórczenia ulicy otwierata się śliczna dwicz Łaka, zestana barwnem, bujnym, rozkosznym kwieciskiem. Pośród niej stało około sześć do osiem dwurzędów drzew, zdej się niewzr, a na nich rokrocznie gnieździły się bociany, liczące w tych miejscach przebywające. Wyprowadzi się miasto ku wspomnianej Łace można było dalej iść w trójceim kierunku, albo, albo w prawo Lubienca, ~~albo~~ albo prosto drożyną polną ku wsi Kłocz, albo wreszcie nad kręte brzozi wartkiej, czystej, malowniczej Bystrzycy. Ile razy tedy za miasto wyszedłem, zawsze w tych okolicach odkrywałem nowe piękno, wiosna tu trwała dłużej, niż w reszcie a technicznie mówiąc przetrwało dłużej. Po odjeździe ze Łototiny nieraz tęskniłem za pięknem tych stron i w duszy je odzwierciedlałem.

Chcąc dalej poznać ówczesne miasto Łototiny, mamny znów powrócić do jego ośrodka tj. do rynku. Z rynku rejdźmy na ulicę ku Markowej. Zaraz na rogu rynku i ulicy, po lewej ręce był duży dom Janmana (plan p. 24), a w którym pierwotnie przez rok mieszkałem, zaś po prawej ręce były Kramy miejskie (plan p. 9), następnie dom Janana (pp. 8), słynny ogród Szaferowij (pp. 7) a nad samym potokiem po prawej ręce mieszkał notaryusz Gładziński (pp. 6), po lewej zaś lekarz dr. Selter (~~pp. 46~~), zanim nie kupił własnego domu (pp. ~~46~~ 42). Za potokiem szła droga w górę, po jednej i drugiej stronie były domy i domki bądź żydowskie bądź chrześcijańskie, między niemi na lewo (idąc ku Markowej) nowo zbudowany tadny dom szkoły fundacji br. Kirscha (pp. 4), w której kierownikiem był młody nauzydel Margales. Po prawej ręce duży dom z ganeczkiem na słupkach (pp. 1) to poczta

i mieszkańcy powstaniowca Kalitę. Dalej były jeszcze domy, i ~~też~~ tedy szło się do Markowej i Maniary.

Następna ulica z rynekem ku Monasterzanom miała od strony rynku do cerkwi prawie same żydowskie domy, między innymi po prawej stronie była szynkownia, niejako minjatura oberży braferowej dla chłopów, dalej szło rurskie probostwo (pp. 31.) i cerkiew parafialna (pp. 32.). Za osadą polską były trzy cerkwie rurskie tj. ta właśnie pod wezwaniem Narodzenia N.M.P., drewniana z r. 1775 z metrykami z r. 1698, druga u pobliżu pod wezwaniem św. Mikołaja z metrykami z r. 1711, wreszcie cerkiew Wspanięcia N.M.B. z metrykami z r. 1707, ale ta cerkiew już nie istnieje. Dawniej w czasach przedrozbiorowych proboszczami byli mieszczanie solutińscy, lecz wszyscy biednych. Po rozbiórce Polski rząd austriacki postanowił, że ma być tylko jeden proboszcz rurski, a będzie nim ten, który dwóch innych przeżyje. Przeżył wszystkich proboszcz przy cerkwi obok ulicy monasterzanowskiej i z r. 1799 jest on proboszczem ogólnym i jedynym.

Tuż za cerkwia był maly domek (pp. 33), miał okna na poprzek pozabijane deskami (groch nieptacenia podetkn), zaniatbany, na strzesze rosty burzany i mech puszczły. To był domek słynnej piekarniarki procesowej Konkolmiarskiej. Wdowa ta mieszkała w niej, drewniana, na pół obciążana, wyhodzona, obiedniata i niepomierne gadatliwa uproszona, wstęta przez wszystkie dzieci, które u niej poszły, bo nie mogły z nią mieszkać pod jednym dachem. Stała była ona mieszczyszczem, plagą i przedmiotem licznych oskarżeń urzędowych. Z tejto solutińskiej rodziny Konkolmiarskich pochodził znany lekarz stamiatanowski dr. Konkolmiarski.

W dalszym ciągu tej ulicy schodziło się na lewo i małą uliczkę na rzekę miejską, przy której mieszkał we własnym domu oficer sądu Kłobacz (pp. 35), a naprzeciw<sup>mieszkał</sup> mieszkan-ki exprofesor i Rancelista Dozorców (pp. 34). Na końcu tej ulicy za matym parowem była drewniana rzeka miejska.

Z rynku w Kacie potwornie-wschodniej była mała uliczka a przy niej stała duża cerkiew drewniana (pp. 36), w której co kilka niedziel naprzemiennie odprawiał nabożeństwo ks. Głowacki. Za cerkwią był ładny dom Czarnieckiego (pp. 37).

Głównie niezaczęta arterja była ulica idąca z rynku na Łaziszcze. Wzdłuż niej po obu stronach stały same żydowskie domy, których dachy potać po prawej stronie zgórzała na wiosnę 1899 r. W bocznej uliczce na lewo była ładna realność wiceburmistrza Wasyla Drohobyczkiego (pp. 46). Samiej było się tą główną ulicą z rynku aż do mostu po równym terenie. Dopiero powyżej w lecie 1901 przerzuciła jedną ramię rzeki Bystrzycy bliżej miasta (w miejscu oznaczone na planie liście 40), wskutek czego poniat zbudował mały most na odnodze (następnie wycheł), (jak plan p. 41). Pamiłtne to była powódź, choć zdarzały się także jessore niekore i latach poprzednich. Byłto lato, aturze demore spowodowały wzbrami potopów, wskutek czego Bystrzyca wylała. Z godziny na godzinę słyszano się, że woda już zalała tę lub ową część, że ci a ci już z domów ponclekeli do wyżej położonych domostw, nieporoito to Karidego i szerzyło popłoch. Odnosni do siebie sądzitem, że do mojej siedziby na probostwie chyba woda nigdy nie dojdzie. A przecie stało się inaczej. Oto



jednego poranka postyszałem ruch na probostwie, wyszedłem z domu i zobaczyłem, że przez ogród księży od strony Bete-jorki przedarta się już woda aż na podwórce pomiędzy gospodarze ludyni probostwa. Jeszcze jeden dzień, a już byśmy ją mieli wśród mieszkalnych. Ale na szczęście był to już najwyższy stan wody, potem zaczęła się cofać. Chciałem mieć szerszy wódek na werbrana rzekę, wyszedłem na górę poza miasto od strony Markowej i zobaczyłem ogromne rozlanie się rzeki po całej dolinie, fale były gliniastego koloru i unosiły dużo belek, drzew wyrwanych z Ronarami, Tat itp., rozrytko sunęło ze szumem, ogromna siła, wśród spienionych, wypracowanych się fal. A wśród mrocznej ciszy prosto szum rzeki słychać było charakterystyczny hukot toczonego po dwóch rzekach głazów, zupełnie podobny do zbliżającego się potężnego ciężarowego. Wtedy właśnie główny prąd rzeki zatkął przepaść pod mostem czarcebrin, galesianin i unoszonego drzewa, wskazał czegoś fela rzeczona wyrobiła sobie nowe torowisko tuż pod domy przedmiejskie (plan p. 40).

Toby był krótki opis środkiem Jototunmy tak, jak się widziałem w latach 1899 - 1902.

Zrobimy teraz krótki przegląd ludności.

\*

W tych czasach żyli w Jototunmie ludzie wszelkich stanów i zawodów ogólnie i wśród swoich warunków. W dzień powszednie miało być cicho, niemal pusto, ludzie bowiem oddani byli pracy w polu, w domu, w warsztacie lub w sądzie. Dopiero w niedzielę rojno było i gwaro. Na rynku

stato dużo ludzi gwarząc, dopóki ich dźwięk nie wzeszał  
na nabożeństwo, które Kościół i cerkwi ród był wzmożo-  
ny, popołudniu po niesporach znowu tłumy ludzi schro-  
dziły się na rynek, starsi mówili spokojniej, młodszy bar-  
dziej głośno, wszakże rynek to było otwarte kasyno i  
plac zabaw tutejszy arena konkarów młodszych miesz-  
kańców. A pośród tych tłumów wyróżniały się, dziesięć  
włosów i żółtemi włosami jasne charakterami na gło-  
wach. Barwa ta była « Jolotwina tradycja » nierzadka i  
trwała młoda.

Mieszkańcy w system tego słowa oznaczenia w Jolot-  
wini nie było, prócz kilku czołowych rodzin. Przeważał  
typ pośredni, mieszanina mieszkańców - chłopów, i to  
niezbyt chłopów już niż mieszkańców. Oni stanowili rdzeń  
ludności miejscowej. Polaków było w mieście niewiele, może  
jakiś 200 osób, reszta stanowili rusini i żydzi. Zgoda nara-  
dowa była nadzwyczajna godna z jej ośrodkiem i podstawa  
była ~~podstawą~~ zgodliwie pojęcie otm probosz-  
ców. Rolnictwo i myślistwo były podstawowym i przeważ-  
nym zatrudnieniem mieszkańców. Żydzi trudnili się hand-  
lem z wielką z nich wzbogaciło się na lichwie, ale ostatecznie  
to dało im, powiedzcie, że owo wzbogacenie się nie było rzad-  
kiem i nadmierne i ludzie nie pokorzeni się zbyt głęboko. Rze-  
mięto stato miśko. Było kilku rzemieślników, stolarz, introliga-  
tor, krawiec koniarz żyd czarny „bezpejsyk” z miesz-  
kańcami przypadających w stronę, z ostateczną pejsyk miśki prze-  
szły do jarmarki. Fryzjer żyd mieszkał w rynku, o nim

opowiadał mi sędzia Korszennior, że widział jak po ostrzyżeniu  
jarkiepo' eleganta mierzochan'skiego, przed ostatecznem maza-  
niem skrapiał mu stopy wodą sodową, rozpryskaną ze dys-  
na wprost na stopy. Haczyk na oprawione rogi jeleni miał  
wielki popyt a popularny Mikaluk na Łarzewcu był labranym  
Koralem i słusarzem. Na Łarzewcu była fabryka Karbena, rzadko  
kiedy w ruchu, ale zato niemiłe mionijąca cały rok.

\*

Ze moich czasów był oryginalny ortonik w Łotawinie.  
Gdy się było nlicz lub wynieść, mierz gdzieś z pomiędzy ży-  
domskich domów i stajen wychodził wysoki chłop, obdarty,  
zaniedbany, z wzrokiem na pół dzikim i nawołując po  
rurku klarosze w dźwięk: hej służba, zaprzęgać konie! A ka-  
rety to stoczną ~~wypręga~~ wyciągnąć, pan jedzie na spacer!  
Jutro będzie to altazore! I znów zanikał w jarkiej rozpie.  
Jeszcze znów razem witał: otwierajcie bramy, nielmożny  
pan jedzie! Holacy gotować na 25 gości! itp. Był z nowo-  
mą żydom wódą i z robienia drzewa. Spisał po stajniach,  
był jak Łazarz, czynił wariem ortonika parzatego, był  
jednak mizerem. To był chłop pochodzący z Gorohów, Petro  
Werkalec, varjet mierzodling, mierzczesna istota. Miał  
wrojenia, że jest magnatem, ma służbę i konie, ubiór  
i dworzan, a jego pałacami są owe żydomskie stodoły, po któ-  
rych się tatal. Pewnego wieczora rozboleły miś rękę, miko-  
koto mnie nie było, wyprzedem z mierzczania i robaczem  
Werkalec. Postatem go do apteki po lek, zalecając by przedk-  
wacał. Pamiętam, jak Werkalec dał sasa, zupełnie jak



górski jelen' opłoszony. Wnet był z lekarstwem w domu, za co go wynagrodzilem. Odtąd, ile razy Werkalac rubaży mię idącego, stawał na brzegu rzeki, resztę rzeźby kapłana Rapelusa brał pod pachę, chwytając jedną ręką za ławę, jadł to czynił celnik, którego cały ból, chcąc mi przypomnieć swoje przyśtagę w czasie cierpienia, drugą ręką wygiął po dach, a otrzymawszy go, szedł wprost do najbliższego rzynku. Raz w zimie podczas większego mrozu, zamarał ten urojony magnet w jarku stajni rydowniczej, a w. Gto-racki podnosił go statecznie a bezpiecznie.

\*

W Sadzie miatem dzieł Spatkow-owianowicz, bardzo lubiałem te agendy, bo odpowiadały mojemu sposobowi. Stąd też znałem cały powiat.

Do sadu należało 18 gmin tabularnych, na co było nas pięćdziesiąt. Po krótkim wspomnieniu, co o tych gminach zapamiętałem.

1. Solotwina ze Zarzeczem, podmiejska gmina o ludności jednolitej a miastem, a miało też tworzyła jedną gminę tabularną. Zarzeze miało jednak własny zarząd gminny. Z pol-nich przedwojennych ówczesnych ówczesnych, Zarzecza.

2. Świnin z Kopalinami ropy i ropy ziemnego.

3. Starunia, dwie gminy. Tam rozpoczęto eksploatację ropy ziemnego na wielką skalę i przytem około roku 1910 przy bieżni jednego szybku znaleziono wspaniałe opary archeologicznych dóbr ziemnych, a to nosowica wóchatego ze spoiw i ciek-tem, rości i skórę z mamuta. Ziemzeta te potopiły się w bagnie

194.

napływem a pochodziły z czas cieplejszego klimatu w Matampul-  
se. Skóra tych zwierząt porosta była łuszczyką sierści, doskonale  
zachowaną, kości były całe a nosowice wydobyte z ziemi i w spe-  
cjalnym baraku rozłożone na stole, wysuszone na pierwsze  
sprężenie atąd zwierza spiętego. Odnosiła Kopalnia wosku  
była własnością pp. Dominikanów w Prokhorowianach, dzierża-  
wioną przez firmę niemiecką. Kierownikiem technicznym  
tej Kopalni był inżynier Kiełanowski, a dyrektorem admini-  
stracyjnym szef Jurana, Kapłan świątynińskiego, znany to po-  
wiedzieli Jakób Kriegl. Ospaniałe uszy przedpotopowej  
fauny ubiegali się Anglicy, ale uprzedził ich Sziedaszycki i  
za same 10.000 Koron austr. Kapłan od Kriegla wykopał znow  
rzęta i umieścił je w znanej Muzeum Sziedaszyckich, a na-  
grody zaś wystawił się dla Kriegla o tytuł "radcy cesarskiego".  
Kriegl mieszkał w świątyni przy drodze manasteryjskiej  
tutaj naprzeciw ruskiego probostwa. Z okazji tego tytułu po-  
wstała krótka w świątyni anegdota, jak zapewniano prawdziwa.  
Jakiś ranniejscowy interesant przyszedł do domu Kriegla i za-  
pytał potężniejszego: "czy jest pan radca cesarski w domu?"  
Świątyni odpowiedział, że nie ma. "A pan radczyni cesarska  
jest". Na to drugi świątyni odrzekł: "nie ma to cała rodzina  
cesarska poszła na spacer". Ponieważ miejscowi chłopcy objawia-  
li zamiary rozcinać okazy skóry tych zwierząt na cho-  
daki, stawiono przy baraku straż i żendarmów dniem i  
nocą pilnowali ich czołgi aż do czasu wywiezienia do Lwowa.  
Harmnia miała cerkiew i parafię niemiecką, w tym czasie po śmierci  
ks. Hordyńskiego wybrano miejsce probostwa, a administrac-

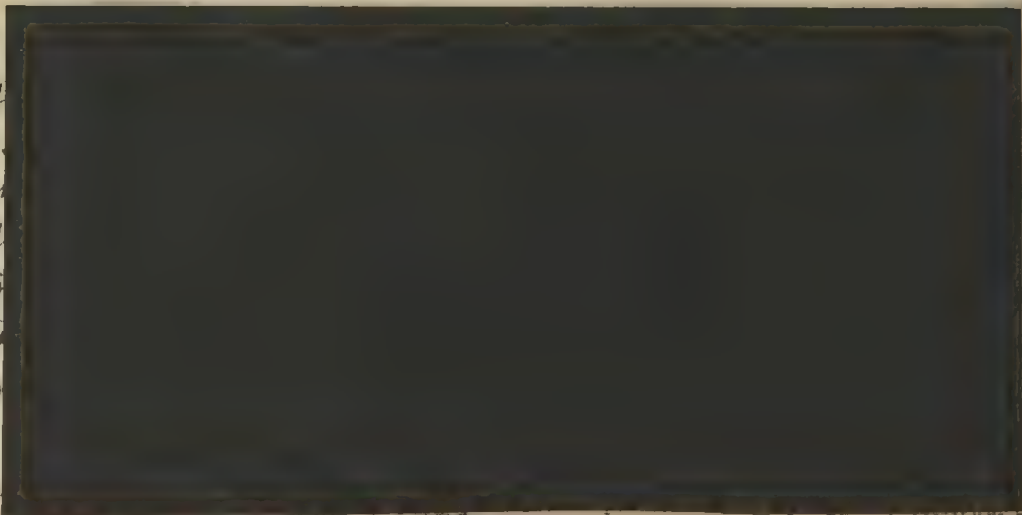
## Wawie awantury strajkowe w Dźwiniaczu

napad uzbrojonych robotników na kopalnię. — Zacięta walka z policją. — Zabici i ranni. 4 grudnia 1926 roku.

Warszawy telefonuje nasz korespondent (A.): | w powiecie bohorodczańskim w województwie Stanisławowskim, przyszło do krwawego starcia policji z tłumem strajkujących robotni-



na  
re  
sac  
cjal  
spoj  
był  
wio  
ty  
stra



### podpisany.

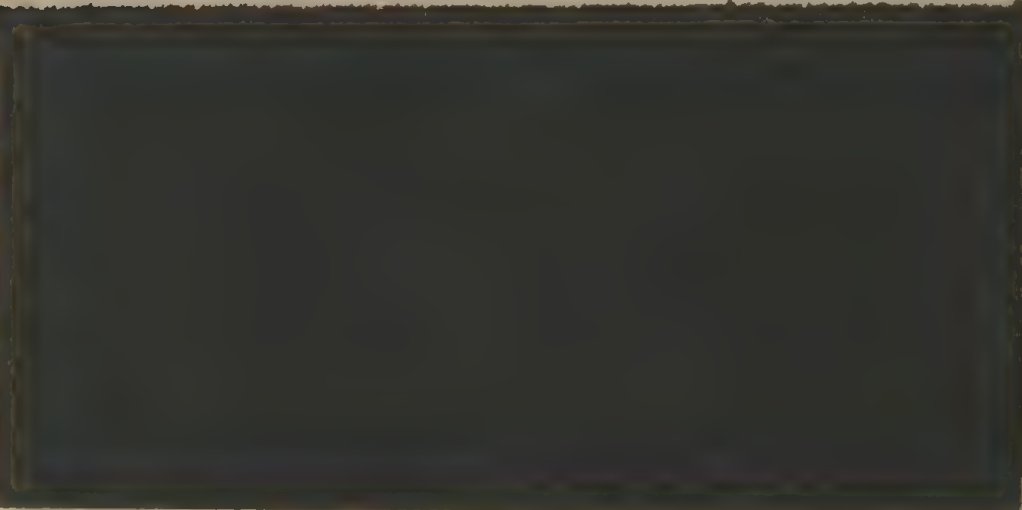
W Gdyni (PAT): Polska i Litwa i Litwa  
Kryzys obradowały tutaj, nad zwol-  
nieniem więźniów politycznych na Litwie i w Pol-  
sce i zakończyły swoje prace podpisaniem paktu,  
według którego nastąpiło zwolnienie według  
listy imiennej 23 więźniów z każdej strony. Listy  
nie obejmują oskarżonych o zdradę stanu i szpie-  
gostwo.

likierem. Po wypiciu jednego kieliszka młoda  
żonka zaspała tak głęboko, że nie wstała  
z łóżka, dlatego. Gdy odzyskała przytomność  
zobaczyła brak męża i woreczka z całym posagiem.  
Kabat żegluję rzekomo w kierunku Argentyny.

### Wachmistrz gdańskiej policji złodziei

Z Gdańska telefonuje (B.): Od dłuższego czasu  
w konsumie spożywczym policji obserwuje się  
to systematycznie kradzieże. Na polistawie dłuż-

pyt  
Sh  
jest  
ces  
bi  
da  
m  
Ha  
Ks.



w tamtejszych kopalni wosku. Kopalnia, której  
towarzystwo wiodło działalność, w  
ostatnim czasie stał się robotników w tej kopalni.  
Robotnicy, którzy zażądali  
tychki plac. Wobec tego z przestępstw od czasu  
go czasu. dnia 19 b. m. dyrekcja kopalni wy-  
siła zawiadomienie, że nie mogą przyjąć żądań  
otnicznych, zwalnia wszystkich z pracy. Dyrekcja  
owiadziła kilkunastu robotników z Borysławia  
kopalni. Wobec tego w tej kopalni  
ostatnie wzburzenie.

przyniła do dyrekcji delegacja  
mających z żądaniem wstrzymania pracy w kopalni  
robotników borysławskich. Dyrekcja  
wobec tego, aby siłą zagwoździć szyb,  
przemógł do krwi jednego z pracujących ro-  
botników. Wzywana policja aresztowała głównego  
twcę awantury, robotnika Wielucha, i odstawiła  
do sądu powiatowego w Solotwinie. Równocześnie  
oddział, złożony z kilkunastu policjantów, objął  
nad kopalnią.

sąd powiatowy w Solotwinie wypuścił niebawem  
robotników. Przybywszy do Dzwiniacza,  
robotnicy stanęli na czele wzburzonych robotników  
przebiegli z nimi do kopalni. Gdy wysłana do dyrek-  
cji delegacja wróciła z niczem, tłum

uzbrojonych w pałki, łomy żelazne  
kamienie, uderzył na policjantów.

Komendant oddziału policji  
biła bronią zmusił do cofnięcia się części  
robotników. Druga część jednak, zasi-  
napływającą ze wsi pomocą, zmusiła policję  
poleczki. Pod gradem kamieni, uderzeniami łom-  
ów i kijów, oddział policjantów schro-  
sił do zabudowań kopalnianych. Tłum osaczył  
i przypuścił do szturmu. Wylamawszy  
boczne i okna, wdarł się do wnętrza.

Wzięła się zajądła, okrutna i krwawa  
walka.

Wobec tego 5 policjantów zostało rannych. Wobec tego  
komendant oddziału wydał rozkaz użycia broni pal-  
niczej. Zginęli: Karabinowicz, Wasyl Dreboła i  
Dyżurak. Ciężko ranni zostali robotnicy: Wa-  
Stefaniszyn, Stefan Pasieczny, Jur Głodan, Piotr  
umanin, Dymitr Feniak i trzech nieznanymi z na-  
zka robotnicy. Z policjantów są ciężko ranni:  
komendant Tomasz Sirko, przodownicy: Paweł Raj-  
Krupiński, Chemic i Zubrzycki. Ponadto  
4 robotników i 1 robotnicę. W sumie 20 osób ciężko rannych.  
Wobec tego, robotnicy, którzy nie chcą wiec,  
na dykcji po-  
śmierć swych towarzyszy.  
Przybył silny oddział policyjny.

na  
 re  
 rac  
 cjal  
 mo  
 by  
 wio  
 ty  
 stre  
 n  
 m  
 soc  
 list  
 nie  
 go  
 lark  
 pyta  
 Stur  
 jest  
 cesa  
 hi  
 dar  
 mwa  
 Har  
 Ks.

będzie pierwszą w Polsce sensacyjną prenie  
**Bojeczna wystawa**

**Wystawa druku**



W ubiegłym tygodniu otwarto w krai  
 Krakowskich z ostatnich trzech lat. Na otw  
 żek, drukarzy, znawców sztuki i  
 otwarcia wystawy; na pierwszym planie stał  
 Muzeum Techn.-Przemysłowego, p. Wilt

**WILK MORSKI**

**Dr L. FILIMOWSKI**  
ginekolog-akuszer

**Przemysł powrót**



**Księga Adresowa Polsk**



Noo minęła w spokoju. M. Dąwina-rcza zostały  
złożone jedynie w celu, nie przeszkadza p  
M. Dąwina-rcza sprawy sąsiedztwa nie wy  
tężył na niego w wywiadach i komisji śled  
czej. Wobec tego, uspokajające relacje.

nast  
sce.  
sach  
cjalu  
moje  
była  
wiona  
ty. K  
strac

ni  
ni  
sco 1  
w  
listy  
nie  
gostw

pyta  
Stu  
jest  
cesar  
bi  
dar  
mwa  
Harn  
Ks. J



Wydawnictwo T-wa Reklam  
Międzynarodowej, Sp. z o. o.

Jen. repr. RUDOLF MOSSE, Warszawa, ul. Marszałkowska L. 124  
to mur, o który oprócz się musi: każde przedsięwzięcie  
Do nabycia w księgarniach i u wydawcy. Przedstaw  
R. Kirschówna, Kraków, Zabłotkiewicza 16. Tel. 72

tozem był ks. Alimurka.

4. Żuraki ładna wieś, przecięta Bystrzycą na dwie części. Ludność jej była wcale zamieszana a pokłady przystojne. Stądże lata był rzytem Karpowicz-Brakowicki, po nim, po baraskich walkach wybranych ambitym ołtarz Jurko Matlak, nierny obraz Władysława Łodzia z obrazem portretów królów polskich Matejki. W tej wsi było dwie polanki i od nich była zwada, że na proboszcza ruskiego przypadał młodzieniaszek ks. Androchowiec, który to z kolei pojechał barzyć, a było pierwszy ksiądz ruski, na którego narzekali łacińscy proboszcz ze Sołotwiny ks. Sadlejński. W Żurakach wznieśli Rosjanie łaciński, a bliżej rzucali tej budowy zawarte są w opisie ks. dzieje Smolnickiego, w ciągu dalszym tego opowiadania.

5. Rosulna, duża, ładna, bogata wioska, dawniej miała hutę szklaną. Proboszczem ruskim był ks. Krzeczowski; onany na całą okolice znał dogmatyki katolickiej i prawa kościelnego, stąd w różnych wątpliwościach proboszczowie udawali się do niego o poradę naukową. W Rosulni była powrta, a gdy po wojnie niemieckiej Sołotwinie niemal zupełnie była zburzona, przez jakiś czas urzędował sąd sołotwiniński w Rosulnie.

6. Kozmierz, nieduża wioska, przynależna do malowiczego pasma górskiego. Proboszczem ruskim był celebś ks. Stratyński, człowiek starszy, zagrożony utratą wzroku.

7. Rakoniec, gmina podmiejska, niegdyś przedmieście Łoszcza. Proboszczem ruskim był ks. Bilinkiewicz.

8. Trzynieć miał ludność ubogą, ale bardzo uciążliwą.



196

Obok Krzywa wznowiły się dwie góry o kształcie kopców, jak  
dwie bliźniacze siostrzyce, widne zdale, niegdy przedhodnia,  
odcięte od reszty Karpat Bystrzyca, jak dwie siostry, oddalono-  
ne od matki.

9. Bogronka, bardzo uboga gmina, o niewysokim  
niemal tyfusie gódownym.

10. Jablunka, ładna podgórska wioska. Proboszczem jej  
był ks. Rędnicki, twardy rusin, ordoniat za murów czerwińskich  
tędy życie jego było atamanem.

11. Porohy, duża, bogata wieś, powstała podobno  
z osiedlenia jeńców tatarskich. Miała tartak parowy, drugi tar-  
tak wodny, pocztę i parafię ruską. Proboszczem jej był ks.  
Kaliński, człowiek starszy, miły i uprzejmy. Porohy zasno-  
wione są u góry Karpat, zdale od szczytów i miast, stąd wy-  
chodzą stamtąd typy górnego fotografowania. Pamiętam jak  
raz prowadziliśmy dochodzenie Karne o złodziejstwo jeleni,  
przyszedł chłop stary, lat przeszło 60, Wierkałec, pierwszy  
złodziej na całej tej polacie Karpat. Iżwaz ogorzata i  
ziemiasta, brwi jak dwa skrzydła ptasie, oczy z błękitem  
mieszkanca stepów, Rossała niezapinana pod szyję, tak  
iż całe spierzone razem stały w pierwszym Kosmate a  
szerokie były otwarte, pas duży skórzany, sandały na  
nogach - zdanato mi się, że mam przed sobą stoniarza.  
Na czarną szatnię narodów. A takich Wierkałców  
były u górach setki. Wśród Karpackich gór porohowskich  
najwyższą była Sywula, pokryta do połowy śniegiem, pami-  
nata nad całą okolicą.

12. Hryczka, uboga gmina, ludność w pracy rozew-  
niata, pola były gliniaste i moczarowate a podsielone na tak  
drobne cząsteczki, że jsi nie można było tego na mapie ka-  
tastralnej uściszczyć. Proboszczem był młody ks. Kłodyski;  
człowiek cichy i porządnie lubiany.

13. Maniawa nad rzeką Maniarką. Pasma gór  
tuż obok tej gminy zwano się Skittem, a w nim były ruiny  
dawnego ruskiego prawosławnego klasztoru, skazanego na po-  
żarcie 19<sup>go</sup> wieku. Ruiny zachowały się dość dobrze, rze-  
gólnie brama wjazdowa, która była ~~szersza~~ narazem  
dzwonnica. Na jej zewnętrznej stronie jeszcze były widne  
dwa malowane obrazy świętych a na wewnętrznej napis cyry-  
licą: świąt Kościoła postawiona... rok jednak z tymczasem  
wypadł. Dalej stały nagie, mniej lub więcej zamieszane  
mury z szeregiem kamienia z trzech budowl. Za klasztor  
był bardzo piękny las a ścieżka na to wiodła do  
źródła, które według podania leczyło choroby. Ruiny klasztoru  
i cały Skitt były przedmiotem licznych odwiedzin turystycz-  
nych. Najedną wiadomością przepisaną w tym przepisanym  
zapisem Karpaczem. W roku 1900 był u nas na lustracji sądu  
prezydent Sahanek ze Stanisławowa. Po godzinach urzędo-  
wych pojechaliśmy z nim do Maniawy i tam na polanie  
pomiędzy górami, w ciemnym świerku i w kryptalicznym  
poietrze opuszczaliśmy. Sahanek bardzo był zadowolony,  
rozgledał się, chwalił to miłe miejsce, mówił że zawsze  
lubi tę górę, niedaleko i jej okolice, że tu go stawać ożywia  
i sił dodaje. Szczęśliwie ułanił wtedy Sahanek nasz kolega

Korszenice, opowiadając o swoim poborze do wojska, jąd chciał  
 koniecznie w armii austriackiej służyć, ale komenda żadną  
 miarą nie chciała go wciągnąć na żołtne do służby. Salza  
 wycieczka w Mamiarę przetrwała do odpowiedni na Mamiarę  
 w głębi gór. I byłoby najpiękniejsze miejsce w okolicy do-  
 tchnięcia. Gdy się tam przybyło, nie chciało się wracać. Był  
 nawet w Mamiarę przemawiał, wtedy chłop, brunet, przysię-  
 ny w młot i obciążenie, Wazyl, onany przewodni pod mianem  
 Kaprala, bo on damie swoich Krajanoń dostąpił się przy woj-  
 nę tego stopnia, wynosząc się temsamem ponad poziom reszty  
 kucyków. Proboszczem w Mamiarę był ks. Jacek Lewicki,  
 rezerwowym Oficer, żonaty z siostrą ks. Karola z Biskupa.  
 Żona jednak odumarta go, Lewicki podchorążym nie na emen-  
 tatem niejednym, ale na dziedzińcu cerkiewnym tuż przed  
 cerkwią po lewej stronie, zastraszając szlachetkami miejsce  
 także dla siebie. Przewidywalni jednak tu nie spoczęli.  
 Lewicki był estowierem popielinym i czasem burzliwym,  
 to onów umiemiał się, był miśskim jąd work, ozutym,  
 dobitliwym, skłonny do wylania, a na to jako strona  
 dodatnia cechowała go rzetelna gościnność, z czego też słynął  
 na całą okolicę. Był mistrzem gry w karty i lubiał szę-  
 rokę zabawę, toteż był częstym a głośnym gościem w Ka-  
 nynie żołnierskiej, a nie rzadko się zdarzało, że dopie-  
 ro nuno ze służbiny do ~~domu~~ domu powracał. Miał  
 dwóch synów. Kiedy starszego zenił, pojechał z nim do  
 domu narzeczonej na umówiony dzień ślubu. Lewicki za-  
 rządził o przyszłego koscia wypłatę umówionego posagu,



199

a gdy oś mierzemy nie mógł wszystkiego naraz wyptać,  
 Lecieli zrytowany zabrat syna i odjechał do Maniawy,  
 pozostawiając narzeczoną i jej rodzinę wraz z wszelkimi  
~~gości~~ gośćmi w jask najprzekrętszym kafeterianin. Przed  
 wojną należała Maniawa do bardzo spokojnych gmin, po  
 wojnie świątowej wymógł się duch wojennych rozruchów, a i  
 Maniawa nie pozostała w tyle, jask oto rozstrzygnię następująca  
 notatka dziennikarska z roku 1927

## Zbuntowani chłopci ukraińscy

spalili posterunek policji i zabudowania parafjalne.

Lwów, 16 listopada.

We wsi Maniawa koło Nadwórny w województwie stanisławowskim wybuchł zatarg między amejszą ludnością ukraińską a posterunkiem policji. Kilku agitatorów zdołało do tego stopnia podburzyć mieszkańców, że na dany znak podpalił budynek, w którym mieścił się posterunek.

W podpalonym budynku znajdował się komendant posterunku Machnowski i jeden posterunkowy.

W ostatniej chwili udało im się wymknąć z płonącego domu i dotrzeć do oddalonej o 7 kilometrów Sołotwiny.

Natychmiast wszczęto alarm i zawiadomiono policję wojewódzką i szefa bezpieczeństwa w Stanisławowie.

W ciągu krótkiego czasu komenda policji zmobilizowała samochody, którymi do wsi Maniawa przywieziono 50 policjantów i kilku oficerów policji.

W chwili, gdy ekspedycja wjeżdżała do wsi, płonęły już także zabudowania parafjalne, na które przerzucił się ogień z posterunku policji. Policja zaprowadziła porządek i aresztowała głównych podpalaczy i awanturników.

14 Markowa, dąża Ładna wioska tuż pod Sołotwiną, nad rzeczką, Maniarką. U wchodu do Markowej od strony Sołotwiny był cmentarz, a gdy się nieco dalej stanęło na gościńcu na wyginie obok cmentarza, widac było jasny obłok w kierunku północnym na krańcach horyzontu. To widniały tutejsze lampy na kolejowym dworcu w Hamistawie. Nadto nadumienie, że według podania miał stypny watazka gościń. Dobosz, granicząc z tą okolicą, zakopać

jakieś skarby wśród drzew po drugiej stronie gościńca naprzeciw tego cmentarza. Za czasów przedrozbiorowych należała Markowa do starostwa kaliczkiego, była miasteczkiem i miała warzelnię soli. Pod koniec XVIII stulecia spadła jednak do rządu rsi.

15. Babce, uboga wieś pomieszczona w parowie górskim. Proboszczen rucim i Baborem, do którego należała także Markowa był ks. Mogilnicki, starszy już człowiek, lubiący opowiadać dawne dzieje. Jako oryginalny fajtłak podał, że ten proboszcz 12 morgów gruntu parafialnego wydzielając chłopom ze Ronek, czerecheni rocznie. Pochodziło to stąd, że ta przestrzeń gruntu zastana była samymi skatami i wielkimi miedostepniami. A że nie było tylko ten jeden chłop posiadał kory, które jeszcze i na tych miedostepach znalazły sobie miejsce do skabania, więc wypędzał je tam w lecie i ze to darował proboszczowi Ronek, czerecheni. Obaj byli zadowoleni.

16. Motoków, ładna schludna miścisłka gmina przy gościńcu nadwornianym. Maty majęteur miał tu pan Matkowski. Proboszczen był ks. Sadowski, miał dość liczną rodzinę, dzieci swoich do szkół ludowych nie posyłał, ale wszystkie w domu sam uczył, stąd przez kilkanaście lat miał w domu własną szkołę. Motoków zwany był za czasów przedrozbiorowych Motokowa, a także Stobódka, był w r. 1658 miasteczkiem i miał w r. 1661. sześćdziesięciu wolnych mieszkańców. Były to warzelnie soli. W sto lat później Motoków był już tylko wsią. Podczas wojny świątecznej stał się Motoków głównym, odznaczony był tu legiony polskie

z bohaterstkich walkach z Rosjanami, dlatego też przy grobie  
Nieznanego Żołnierza na Placu Jankin w Warszawie prócz innych  
pół chwały wymienił także: Mototkóń 29. października  
1914. Odnosząc do nabycia Mototkowa przez Matkowski  
napisał mi radca Jomek co następuje: „Gdy przybyłem do So-  
tutiny (1896) — pisał on w swoich dopiskach — właścicielem  
Mototkowa była firma żydowska ze Lwowa, która miała w są-  
siednim Hłozdzie fabrykę parkietów. Zaradcą był mie-  
jaki Chajes. Mototkóń sprzedał pani Pienichowskiej i Mo-  
totkowie zarządcą Żybliskiewicz, bratanek dwuletniego pre-  
zydenta miasta Krakowa, a później marszałka krajowego. Po-  
tem kupił Mototkóń Matkowski. Hazy Matkowski był ordo-  
niem pojedynczym, rusinem, wzbogaconym na nauce u Bo-  
rystasów. Portat 18 letnią córkę do Konstantinowskiej  
ze Lwowa celem wykształcenia. Miała konstantynów i rękę bar-  
dzo wiele. Hazy Matkowski jednak się nie spieszył, bo czytał  
somo siedzi na ziemi, gdy tymczasem starał się o rękę bar-  
kowie. Jednakże wyjechał istotnie za mąż za sędziego Klaisera,  
poźniejszego prezydenta sądu w Krakowie.”

14. Bitków, zapadła quina z ludnością stworzoną  
przez brzydką chorobę, namierzoną tu przez wojnę austriacką  
kie podczas letnich ćwiczeń. W Bitkowie były kopalnie ropy  
z pierwszorzędnej benzyny. Quina uboga, górska, ludność  
wcale driska, skłonna do pijanstwa, podobno pochodziła  
z osiedlenia janców rosyjskich. Ruskim protoprezem był Ks.  
Korol, pochodzący z rodziny, która w tym czasie była czynną  
a ruchliwą nadszła w życiu politycznym ruskim.



18 Manasterczany podmiejska gmina, dość ra-  
mowa. Najtem u niej niemal dożywotnim był Oleksa Kri-  
cak, ciotka rozumny a energiczny. Miał silny autorytet  
w gminie. Proboszczem ruskim był ks. Procyk, miły i sprzyj-  
ny czołowiek. Śpiewał pięknym tenorem.

\*

Było mi u żołatwini bardzo dobrze a tylko to je-  
no dostrzegano, że miejscowość ta odcięta była niemal od reszty  
świata wskazał braku kolei. Dlatego porządek się starać o prze-  
mienienie bliżej ~~świata~~ arterji Romm-Racyńskiego, aby mieć  
dogodniejsze połączenie z Europą. W lecie 1902 pojechałem na  
wakacje z lekarzem żołatwinińskim dr. Sellerem do Karlsbadu. Me-  
nie pojechałszy wprost. Najpierw udaliśmy się przez Oderberg,  
Wrocław do Berlina i tu zabawieliśmy 3 dni, mieszkając u Cen-  
tral-Hotela przy Friedrichstrasse. Seller znał już Berlin, przy  
jego pomocy i wskazówkach umieliśmy wszystko, co można  
było u tym krótkim przeciągu czasu zobaczyć. Stamtąd  
udaliśmy się do Karlsbadu, gdzie bawiliśmy na łeczniku 3 ty-  
godnie. Następnie pojechaliśmy na dwa dni do Wiednia, a do-  
pieru stamtąd powróciliśmy do Żołatwiny. Wyzerpniętem się był  
z pieniędzy, grubotnie i mariałem się ograniczyć w dalszych  
wydatkach. Gdy niebawem po powrocie pierwszego dnia we wrześniu  
1902 siedziałem żołatwinińskim rynektem. Ks. Zarzecki ze wsi  
Koprowskim, zobaczywszy zdala naszego najmłodszego Kolesz-  
skiego Gamotę. Miał u siebie jakiś ~~złoty~~ papier i dał nam

znaki, byśmy się zatrzymali. Gdyśmy się z nim pożegnali, okazał nam list od mego szwagra Jankewicza ze Lwowa, który mi donosił, że jestem zaproponowany na przeniesienie do Halicza.

Sam w pierwszej chwili mi niedziwnie, czy mam się cieszyć, czy smucić. Wkrótce dostałem list ten był aniektumem, mego niedalekiego rozstania się ze Sobotką na zawsze.

Począłem się przygotowywać do wyjazdu, nakładając przedewszystkiem pracę, by mojemu następcy nie zostawić żadnych niedogodności. Niebawem przeniesienie zostało wyodrębnione w dziesięć dni urzędowym. Pojechałem najpierw do Halicza w celach wyszukania mieszkania. Odpuściłem tam znajomego ze Lwowa sędziego Niemcewskiego, wybrałem



Marian Ostrowski

sędziego spadkowego i opiekunicy  
w Sobotce w latach 1899-1902.

mieszkanie, byłem też wielce niezadowolony, ale przynajmniej było gdzie ~~na~~ na razie rzeczy ustoić. Zastępca, jakże są starymi i tamtejszym sądzi, a nie były rzeczą, owszem nawet wiele do izowania pozostawiały. Powróciłem do Sobotki mieszkać

zadowolony, ale za późno o tem było przemyśleć. Trzeba było przede kroczyć naprzód. Początem się żegnać z mojem niemiś-  
scann spacerowem, wszędzie jeszcze raz poprzedem, jakbym  
chciał ich obraz wyryć głęboko u duszy, żegnaniem się i z ludź-  
mi dobrymi, żegnaniem na pożegnanie ich dłonie przyjazne,  
na jakims' koncercie u Rzymie zaprasz mi i zaprasz  
znana pieśń: Góralu, czy ci nie żal opuszczać strony rodzinnej!  
a u istocie był mi szczerze żal opuszczać Solutinę, jej malownicze  
wzrosty, rozkoszne góry, kręte ścieżki spacerowe i żegnać na  
zawsze uczciwych i dobrych ludzi. Żegnaniem ja, ale dość było  
i takich, którzy ze mną się żegnali i niemiś szczerze pożegnali na-  
szego rozstania.

Nadszedł dzień odjazdu. W dzień poprzedni wynalazł  
mi eksportniarz Wiesner furg na rzeczy, zapakował je ich pakado-  
waniem i te odesłał naprzód Rotorę drogą wprost do Hla-  
dowa, ja zaś pojechałem następną Rotorą. Zająłem wozem  
samkiem w dzień październikowy 1902 przed probostwo nieocenio-  
ny Kupczak ze swoim srebrnym wózkiem, smut znalazł się  
moje walizki na koźle i ruszyliśmy w drogę. Ranołem jeszcze raz  
orkiem na białe mury probostwa i na okna mego pomieszkania  
i na podziórki drewniane otomiety deban, co mi jakby szepotało  
natarczywie: pożegnaj na zawsze te miejsca troich rozczulonych dni  
młodych, ja <sup>ich</sup> nigdy, nigdy nie zobaczysz, nie wróci Krase prze-  
żytych chwil, nie wróci nigdy. Bo wioma życia jest tylko jedna.  
Żal mi ścisnąć serce, wózek ruszył z miejsca i poturkotał po  
kamienistym bruku rytmu solotnickiego. Zanurzył się w sam  
jeden okres mego życia. Wrócić u głąb kraju jakby z wycieczki



górskiej, pełen wspomnień miłych, przejęty przemianą przy-  
rody, nasycony jej ozarem i tożnieniem wiosnianem. Tak,  
wszakże całe życie nasze jest tylko epizodem i młodością.

Jechaliśmy przez Manasterzany, Żurawki, Bw-  
horodoranow. I potrzeba było przejechaćowych siedm  
rzek i siedm gór (coprawda ~~małych~~ niewielkich), nim się  
pod Bwchorodoranow dojechaliśmy do gościńca. Ale i ile do Sołot-  
winu jechaliśmy z uśmiechem i radością, o tyle po czterech  
niemal latach wracaliśmy z niej w usposobieniu posępnem,  
bo mi się żał było prawdziwej a szorstkiej. I jał przy wjeź-  
dzie w tę stronę wiosna była w rozkwicie i krasi, o tyle teraz  
dmuchał ze mną chłodny jesienny wiatr podgórski, starając  
się po czarnych, nagich konarach drzew i miotając pożół-  
kłym listwami. A drzewa niestrzone rozkosały się, krzyswiec-  
kie i płaska Kozłowa i w srebrnym ozupie sporta  
Syrula patrzyły ciągle na mnie ze wyciekających stano-  
wisk, jakby z wyrzutem, że nie porzucił ich Krasa i ko-  
wał dla czarnego, niemitego Kupa lokomotywy. Im da-  
lej jechaliśmy, tem góry solotwinińskie stawały się mniejsze  
i niższe, aż w końcu się wreszcie z linją horyzontu, Gdyś  
wjechał na płaszczystą staniastanowską, widać było zoda-  
dali równą pokrytą tą samą siną pomroka, jał  
ze czasów studenckich i równą wyrzuta się z moich  
pierwszej tęsknoty do nich, jał ongiś przed laty. Pojeżdżając  
je na zawrę. Dziś mogę się tylko otwierać w duszy,  
a czasem darszyć pamięcią tych ludzi, którzy razem ze  
mną w przyjaźni i zarytoci wśród tych włości górskich

przeżył kilka lat swobodnych, spokojnych, niezapomnianych. Bo w Sototwinie wszystkim nam było dobrze i swobodnie jak w rodzinie.

### Dodatki do wspomnień o Sototwinie.

W roku 1925, a więc w 23 lat po moim odjeździe ze Sototwiny, pytałem sędziego Smolnickiego, jak się nastąpiło w tamtym miejscu życie. Sędziemu autograf jego listu z daty Brzeziny 4. lipca 1925 a zarazem przepisuję tu poniżej zajęmący dopisek tego sędziego o Sototwinie z czasu od roku 1902 do 1922.

Oto, co pisał sędzia Karol Smolnicki:

Życie towarzyskie i społeczne w Sototwinie biegło nadal tym samym trybem, jak poprzednio zostało opisane. Koncentrowało się w Kasywie z wszystkimi dotychczasowymi zgrupowaniami. Wkrótce jednak, gdy zespół inteligencji polskiej nieco się powiększył, zaczęło w gronie porażniejszych, nie gustujących w banalnych rozrywkach Kasyńskich myśleć o skromnej bodaj działalności społecznej, oświatowej i narodowej. Zapetrzaniwa te zdrowe i szlachetne zamiary niebawem w czyn wprowadzone. Powstało do życia Towarzystwo Szkoły Ludowej, utworzono Czytelnia Ludową, w domu Taubmana, a niej schodził się wieczorami mieszkanie i rzemieślnicy, czytali dzienniki i książki, gwarzyli przyjaźnie i zabawiali się

statecznie. W czasie wizytacji kanonicznej odwiedził ks. Arcybiskup Biłozerski cytelnię, był z niej bardzo zadowolony i zachęcał obecnych tam członków do pilnego odwieczania jej i korzystania z pracy oświatowej i kulturalnej szpitala. Gdy rezultat zabiegów Towarzystwa Sokoła Ludowej i Cytelni okazał się nader pomyślny i dla sprawy narodowej doniosłego znaczenia, wyrażając widocznie wpływ dobroczynny, podjęto dalsze starania dla założenia „Sokoła”. Myśl podjęta z entuzjazmem a krótkim czasie przyczyniła się, nawet był tak wielki, że w niedługim stosunkowo czasie zebrano ze szlachek fundusz na budowę domu sokołowego. Zarząd dóbr Liebiga, pod wpływem opinii publicznej odstąpił na ten cel jeden morgi terki przy drodze do Kryszki, naprzeciw drogi prowadzącej do cmentarza i Bystrzycy, w pobliżu domu Staryka i tam zbudowano okazały dom drewniany, obszerny, na fundamentach murowych, o kilku wygodnych ubikacjach i przestronną, wysoką salą, z dwoma pokojami na piątce. Sokoł i cytelnia Towarzystwa Sokoła Ludowej miały tam bardzo wygodne pomieszczenie, a także Kasyna tam się przeniosło i od tego czasu zachowanie członków Kasyna było jasno porządkowskie i kulturalniejsze. W tym czasie rozwinęły się bardzo wydawnie Kopalnie ropy w Białym i wosku ziemnego w Starum. Liczne gromady inżynierów Kopalniowych, ziemniarzy i stęgarów odwiedzało Sototring, przyjeżdżali także do Kasyna, w którym mogli się pościć i rozzerzeć, jakoteż do cytelni i Sokoła. Życie towarzyskie rozwinęło się i niegdyś już statecznie w Sototringu. Często



urządzano porażne zabawy towarzyskie, odczyty, koncerty itp. Rozbudzone życie intelektualne szukało dalszego, szerszego pola działania.

W niedziele od Świątyni pociągów graminach: Staruni i Łurakach mieszkali od dawna osiedli tam włościanie polacy, rzymko-katolickiej religii, chłodewlowi szlachcy, ukrywający w głębi skrypi miotk prowadzić dyplomaty nadania szlachectwa. Nazwiska ich miotk, wzięto polskie brzmienie, jak Drohomyreccy, Łaczkowski, Kornij, Smolnicy, Symonowscy, Janyrkowscy, Wyszyńscy itp. a liczenie około 400 dusz. Oprócz zewnętrznej przynależności do parafii łacińskiej i innych dyplomów studzi nazwisk, wzięto inne, co polskie było dla nich obce, mowy ruskiej wzięto ze wszystkich słownictwach wzięto, a kościoła świątyni wzięto ich rzadko i to tylko niektórych a przeprowadzili a niekiedy zarysując ruskie tak dalece, że brali nawet udział w zebraaniach „Siozy”, niecach i zebraaniach ukraińskich, należących do bractw cerkiewnych i piewnych i innych godności, które im chętnie powierzano a celach ruszenia. Otrzy a zorganizowanych i ruchliwych Towarzystwach Sioły ludowej i Sioły postawiono zabrac się do intensywniej pracy nad odnowieniem narodem tych polskich, lecz zupełnie rozszerzonych włościan. W debatach nad planem działania przypadało się do przekonania, że należy działać w dom Kierowników: 1) zaspasajania potrzeb religijnych i obrzędów łacińskich i 2) zwrócenia uwagi, namowienia i języka polskim, zachęty i zwrócenia się polskiej inteligencji. Obydwie te podjęto równocześnie. Otwarto a dom

Wincentego Jaryżkowskiego (odziedziczonym po zmarłym  
 cesińskim właścicielu dóbr Wesselym) filjszytelni, przy par-  
 tej nadzwyczaj sposobności przybył do Starum i Żurak  
 delegaci Szkoły Ludowej i Szkota, dla tem skrótszniejszego po-  
 parcia pracy sprowadzono ze Stanisławowa prelegentów z ob-  
 razami iniektynymi z dziejów wyczystych, urządzo-  
 no odowity a także przyzwite zabawy niejednolite, nie rzecze-  
 dzono trudów i wydatków dla nauczania dzieci polowliki,  
 bardzo czersta wyjeżdżali do Starum i Żurak panie w celu  
 nadsiedzenia nauki dzieciom polowliki (Smolnicka i Zofia  
 Kłodowska najczęściej).

Równocześnie rozpoczęto zapowiadane gorących  
 odowu zbiorek składek na budowę kościoła dla ludności polowliki  
 w Starum i Żurak. Zapewnił inteligencji w tej pracy był rzeczywist-  
 nie spontaniczny. Cieszący się właściciel Starum Litwinski, radca dy-  
 rekcji skarbowej w Stanisławowie odstąpił pod budowę kościoła  
 karatel gruntu, leżącego na samem pograniczu obydwoch  
 woi Starum i Żurak, gdzie granice tych gmin rekrutują się  
 od strony Monasterowa w pobliżu starego folwarku i do-  
 mu Jaryżkowskiego, w którym mieszkał on byłym. Wymie-  
 sta płaszczyzna, dominująca nad okolicą, z której wpa-  
 niaty widok rozciągał się na góry, doliny i rzeki solotwini-  
 nie, była wymarzonem miejscem dla budowy kościoła. W miarę  
 nptym składek przygotowywano materjały budowlane.  
 Włócianie starum'scy i żuracki porwali przykładem  
 nych inteligentnych przodków, wstąpiłi na miejsce  
 święci Kamień z Kamieniotoma W. Dominikań. Następnie

zwiększone kapno z gotówi stamtądowej. W czasie tych  
przygotowań zmarł ks. Sadlejski, a następcą po nim został  
ks. Jarek. W cegielni bohrodorawskiej wykonano specjalną  
cegłę. W braku funduszy praca została porwana i nieustannie.  
Od czasu porzucenia zamiaru do zupełnego ukończenia budowy  
upłynęło lat sześć. Na rozkaz stamtądowej wykonał mury,  
cieśla solatniński ukończył szkielet dachu, które cynkowane  
blachą, pokrył blachą stamtądową, a ołtarz wykonano  
w pracowni stolarzkiej w Stamtądzie. Na budowę bardzo do-  
tąd mało i wspaniale wyglądająca, wydano w gotówce tylko  
12.000 Krown. Każdy z rzemieślników i stolarzy przyrzekł się włas-  
ną pracę ochotnie do dzieła. W lecie 1914 była już budowa w za-  
pełni ukończona, zaplanowaliśmy uroczyste poświęcenie  
domu tegoż na dzień 8 września 1914, na którą to uro-  
czystość zapowiedział przyjazd ks. Arcybiskupa Biłgorajskiego.  
Niestety (a stąd dla nas rozdzielenie) wybuchła wojna i za-  
mierzona uroczystość się nie odbyła. W styczniu 1922,  
gdy ze spalonego przez moskali domu w Solatynie z reszt-  
kami mienia przenieśliśmy się do Żurak i zamieszkali w do-  
mku Jankowskiego, odbyła się skromna, choć a rozrzewnia-  
jąca poświęcenie Kościoła i pierwsza msza św. w nim odprawiona  
przez ks. Sorysa, przytanego ze Lwowa na zastępstwo wierzcho-  
wego przez rosyjskiego proboszcza ks. Jarka. Gościł ten u br-  
rzy wojennej ocalał i jał osobicie sprawnym, odnie-  
sając tamte strony w r. 1922 pozostał niepokrzywdzony, oprócz  
nieznacznych uszkodzeń i domniemy wspaniale na swej  
wysokiej, otoczony zielenią śniegów i modrzewi, które



sam jeszcze zasadzitem.

Szlachetna praca, przedsięwzięta i z prawdziwym  
cepatem dokonana przez rozumną grupę solotwinińskiej in-  
teligencji, wydana wspaniałe owoce, włościanstwo polskie  
w Staruni i Żurakach uświadomiło się narodowi, zawiązało  
braterskie stosunki z mieszczaństwem, skłubiło się swoim  
potem i czystością, powróciło się w duchu polskości, szczy-  
cać się nową narodowością.

Gdy w roku 1922 odwiedzałem Solotwinę, Starunię  
i Żuraki, spotrzełem z przerażeniem pełen upadek tego  
ducha. Mieszczaństwo solotwinińskie zniszczone wojną, zni-  
szona ruina miasta, włościanstwo opuszczone przez  
inteligencję, złożone ze samych pranie rusinów, nie  
doznające z nikąd pomocy i opieki, upada na duchu  
a ten wzmógł cepat, jaki u nich panował przed wojną,  
zmił lub ostatek. Czy jeszcze kiedy obudzony zostanie —  
Bogu wiadomo. Pożane ciarło nieświadomości narodowej  
wkorzenito się przeciw głęboko w serca i umysłach  
włościan i dlatego spodziewać się można, że przy zmia-  
nie obecnych stosunków i przyjaźniejszych dla ludności  
polskiej konjunkturach, wstanie przy zmiłaniu oso-  
bowego składu solotwinińskiego sądu, dawna tradycja pol-  
skości u umysłów polskich włościan w Staruni i Żurakach  
odżyje.

Tyle mi napisał sędzia Smolnicki.

W czasie wojny światowej 1914-1918 Solotwina pranie  
całkiem zniszczona, piękne domostwa poszły w gruz

zamarto szczególne życie mieszkańców tego miasta. Tęsam sędzią Smolnicki, jako naoczny świadek tych zryś powojennych, tak mi je w liście z 19. maja 1925 pokrótce opisał:

"W lecie 1922 odniedraniem dwukrotnie Łotatrinę, aby wziąć udział w poświęceniu kościoła w Żurkach, którego budowa była celem moich starań i zabiegów. Wracenie odniostem przykre: oprócz wszystkich świątyni, plebanii i kilku zaledwie domów, cała miejscina i budynki dworskie w gruzach, mieszkańcy siedzą w spleconych naprzedce budach, z dachów znajomych, zaledwie kilka osób tam pozostało."

\*

Chcąc jak najwięcej zaniegnąć wiadomości o Łotatrinie i njać je w pisane słowo, odnalazłem ks. Józefa Jarka, mój dawnego koleż szkolnego a byłego proboszcza łotatrinieńskiego i na moje pytanie, tak mi swoje wspomnienia z czasów pobytu w Łotatrinie pokrótce spisał:

"Pochowaciele p. Senysów ad Tarnopol  
12. XII. 1925"

"Nielmożemy Panie Prezesie a stać się Kochany Kolego!  
"Że list serdecznie dziękuję, sprawił mi prawdziwą radość. Odpowiadam w krótkości. W Łotatrinie byłem proboszczem 17 lat. Po swoim tam przybyciu odrestaurowałem kościół zupełnie zewnętrznie i wewnętrznie, tak że kto mi znał dawniej tego kościoła, myślał teraz, że to kościół marmurowy i tak też pisał o tem w drzewnikach, z drewnianego kościoła zrobił kościół marmurowy". Malowidło było i jest wspaniałe, mimo

burz wojennych. Probostwo również odrestaurowałem (pięce Kapłanów, kanalizacja), budynki gospodarze nowe. Te ostatnie posiadłość los całej Sokołnicy, zostały spalone przez moskali.

Z miasteczka nie pozostał Kamień na Kamieniu, ocalały tylko cudem Kościół i probostwo, a części uszkodzone. Ja na pierwszy ogień w r. 1914 w listopadzie, a to dnia 21<sup>go</sup> zostatem porwany przez sotnię Rosaków i postawiony przed sąd polowy rosyjski 22. listopada w Nadwórnie, gdzie dla mnie postanowiono szubienicę między domami żydowskimi. Zaświadczeniem Storauni: powieście mnie na rynku, publicznie a nie między budami żydowskimi, aby cały świat wiedział, jacy wy tutaj jesteście!" To moji ostatni a stanowcze słowa otrzymano generała rosyjskiego i skazat mnie na Lyberg i Fr. Kuchla. Liczącym w 20 Kryminatach, a w czasie rewolucji rosyjskiej, po wygłoszeniu trzech mów piorunujących na zebraniach kilku tysięcy Polaków, ukamienowanym, a potem ucieczką z Rosji i dostaniem się do Warszawy, gdzie w latach 22. Nadwórna, przyjechałem nie przed Moskalanami aż do ich kompletnej porażki. Zdradzili mnie rusini za pomoc udzieloną duchom i materialnie legionistom. Odnosiłem znowu Kościół i probostwo. Parafia moja miała do 5000 dusz. W r. 1924 poprowadziłem w wikariego, którego umieszczałem w wreszcie w Bitkowie z 3600 dusz, a sam podałem się na Rosochowaciec. W r. 1923 dnia 18. lutego miałem pogrzeb w Bitkowie a 19. lutego byłam w województwie w Stanisławowie w sprawie zamianowania Komisarza miasta. Przeszłoby mi się, dotknęła mnie grypa straszna, w czasie której 7. marca, wśród 40 stopni gorączki, udeśliłem się do umię-



rającego Kastorego a trzeciego dnia pochoratem go mimo sprzeciwu całej inteligencji. Odtąd powietrze satanistyczne było za ostre dla mnie. Kaszel dobijał mnie. Skutkiem grypy sztuka lekarska jeszcze mnie mnie leczyła. Wkrótce różnych doświadczeń i prób udało mi się sprecyzować mixturę, która istotnie dodatkowo działała na moją chorobę, która mnie do rozpacz doprowadzała. Pracy mam bardzo dużo, o pomoc trudno z braku Kaptanów. Może później podam jej na inne beneficium z stronach Stanistawowa.

W roku 1919 w lutym, znów abrodniarze domowi postawili mnie przed sądem swoim polowym z powodu nieposłuszeństwa swej młodzieży do wojny ukraińskiej. Pośredziatem im słowa prądy: Polska jest, była i będzie, a Wilson mi obiecał Ukrainę! Rubozak był przesłuchującym, zeznał mi. Pośredziatem im, będąc gotowym na śmierć: gdy nasze wojna polska tu przyjdzie, wszystkich was (sędziów), powieszę za mur. Sreższe wszystkich braty. Po 2 miesiącach quiescens wyrok, gdy pod Lwowem w niektóre soboty rasini dostali pranie. Opuściłem nieziemie i cudem się uratowałem. Ukierkający ukraińcy mieli zamordować mnie, sędzię Paszkowskiego, Gucę i Teuchmana nanczyli. W nowy 20 czerwca 1919 zorganizowatem młodzież, ustroił w Karabiny a 21. czerwca 1919 odebraliśmy na rynku dwa anta ukraińcom. Tyle Rotor przechodził tem. —

Łsiad Ładłajski zmarł wkrótce starości. Z inteligencji danieli nie ma śladu. Ks. Głowacki zmarł nagle, Ks. Rudnicki Nestor z Jabłonki zmarł w r. 1924. Ks. Leciński

# PARAGRAF 19.

## Zdżiczenie ruskiego księdza.

Z powodu artykułu pod powyższem tytułem, ogłoszonego w Nr. 45 z dnia 18 lutego br. naszego pisma, nadsyła nam ks. Iwan Romanowski, gr. kat. proboszcz w Denysowie, na podstawie przepisu § 19 ustawy prasowej następujące sprostowanie:

Nieprawdą jest, bym bił lub pobli polskie dzieci za regularne uczęszczanie na naukę religii obrządku rzymsko-kat. w szkole powszechnej w Denysowie, a tembardziej, bym to zrobił dnia 11 lutego 1926 kiedy nie byłem wogóle dnia tego w szkole powszechnej w Denysowie, a chociaż byłbym obecny, to nie mogłem pobli dzieci szkolnych obrządku rzym. kat., uczęszczających do szkoły powszechnej w Denysowie, gdyż dzieci szkolne tejże szkoły obrządku rzym. kat. od dnia 15 lis pad. 1925 nie są nigdy obecne na nauce religii obrządku gr. kat. Nieprawdą jest, że bym kiedykolwiek w swoim życiu pobli jakie dzieci szkolne i to do szkoły. Nieprawdą jest, jakoby kiedykolwiek i specjalnie dnia 11 lutego 1926 r. w szkole przybył do mojej nauki religii przybył do szkoły powszechnej w Denysowie ks. kanonik Jarek z Łosowa, który był witany przez polską młodzież szkolną wśród głośnego płaczu i by wtedy dowiedział się o całym zaistnieniu, i by po

Sodałek  
do nrużyc  
b sotołmni  
skiego pma  
boscza. -

óre  
a.  
i il  
zw  
lo i  
adek

roja  
sprz  
byto  
szta  
dosu  
isto  
rozp  
trac  
inn

star  
oxer  
im  
cat  
Poz  
pols  
dres  
gdy  
Opu  
in'cy  
fs  
cowa  
bral  
tem

gji

Rudnicki Nestor z Jablonki zmarł w r. 1924. , ks. Leniński

WIERSZYM.

## Refleksje po wyborze Hartglasa

Codzień z uciechą czytaliśmy w

[„Chwili“

O tem, że w żydach duch jest niespo-

[koiny —

Im trzeba klótni: z Polską się klócili,

A w końcu z sobą sami wiedli wojny.

Teraz zwijają swe bojowe żagle,

Bo najciemniejsza z Ruchli dziś i z Sur

[wie:

Wojna ta skończyć musiała się nagle,

Gdyż żyd żydowi nigdy lba nie urwie.

Janek.

## Wiadomości bieżące.

Lwów, 6 marca 1926.

### TEATR WIELKI.

Sobota 6 bm o godz. 4 popoł. „Zakłete trzewiczki“. Przedstawienie dla młodzieży szkolnej. — O godz. 7.30 wiecz. „Janek“ — „Verbun: Nobile“.

Niedziela 7 bm. o godz. 12 w południe Misterjum Narodowe, urządzone staraniem Tow. Mogil P. B. — O godz. 3 popoł. „Carmen“ ceny niższe popołudniowe. — O godz. 7.30 wiecz. „Kredowe Koło“.

Poniedziałek 8 bm. „Nietoperz“.

### TEATR NOWOŚCI

Sobota 6 bm. o godz. 3.30 popoł. „Gdybym chciała“.. Ceny niższe popoł. —

7.30 wiecz. „Pan Naczelnik“.



uspokojeni są ciżmami, przyszedł młody chłopiec Mikołaj Krecigłowa do ks. Jareka i pokazał mu sińce za uszami i dodał „mój tato Polak i ja jestem Polak“ i by ks. Jarek uspokoił dziecko, pokazał na swoim ciele jeszcze dość widoczne znaki obicia kolbami przez hajdamaków w więzieniu stanisławowskim w 1919 r. i zachęcił ją do wyznania w wierze ojców. Nieprawdą jest, jakoby pobił do sińców ucznia szkoły powszechnej w Denysowie Mikołaja Krecigłową i by tenże uczeń Mikołaj Krecigłowa był obrządku rzymskiego i Polakiem. — Prawdą natomiast jest, że całe zajście opisane w Nr. 46 dziennika „Słowo Polskie“ z 18 lutego 1920 pod tytułem „Zdziczenie ruskiego księdza“, jest w całości nieprawdziwe. Także prawdą jest, że wspomniany wyżej uczeń szkoły powszechnej w Denysowie pow. Tarnopol Mikołaj Krecigłowa jest obrządku grecko-katolickiego, narodowości ukraińskiej i jest wpisany w metrykach chrztu i ślubów gr. kat. parafii w Denysowie. (—) Ks. Jan Romanowski, gr. kat. proboszcz w Denysowie.

Uwierzając z nakazu ustawy powołane sprostowanie nadmieniamy, że przeciw ks. Romanowskiemu toczy się śledztwo dyscyplinarne i karne i w oświeśleniu dotychczasowych wyników śledztwa nie mamy powodu cofać niczego z naszej poprzedniej wiadomości. Sprostowanie ks. Romanowskiego nie jest zgodne z prawdą.

awne  
nizacji  
Or m.  
legan-  
rancu-

iii  
olici-  
Szy-

awza-  
li wiel  
znaj-  
ekach,  
ka do  
stępo-  
i mie-  
z fun-  
tami-

rozno-  
rowa-  
ubisty-  
inten-  
ranów

óres-  
ia. —  
Flor-  
zdno-  
lo In-  
adek

gi d  
Rud

— „Czarne Róże“ efektowna operetka Joetzego, ukáže się po raz pierwszy w c.

« Jallerhofie . Radca Smolnicki, mój przyjaciel jest w Brze-  
 żanach przy sądzie okręgowym . Juronicki kierownik  
 Kopalni w Dziwniaku zmarł w r. 1918. Gröglar zmarł  
 w r. 1917, Szupikowicz w r. 1918. - Golotwina zupełnie upadła.  
 Usunęłam się trochę od świata. Później chętnie będę strzyła  
 dalsze informacje.

Wito mi przytem przestał Kochanemu Kłodzie etc....

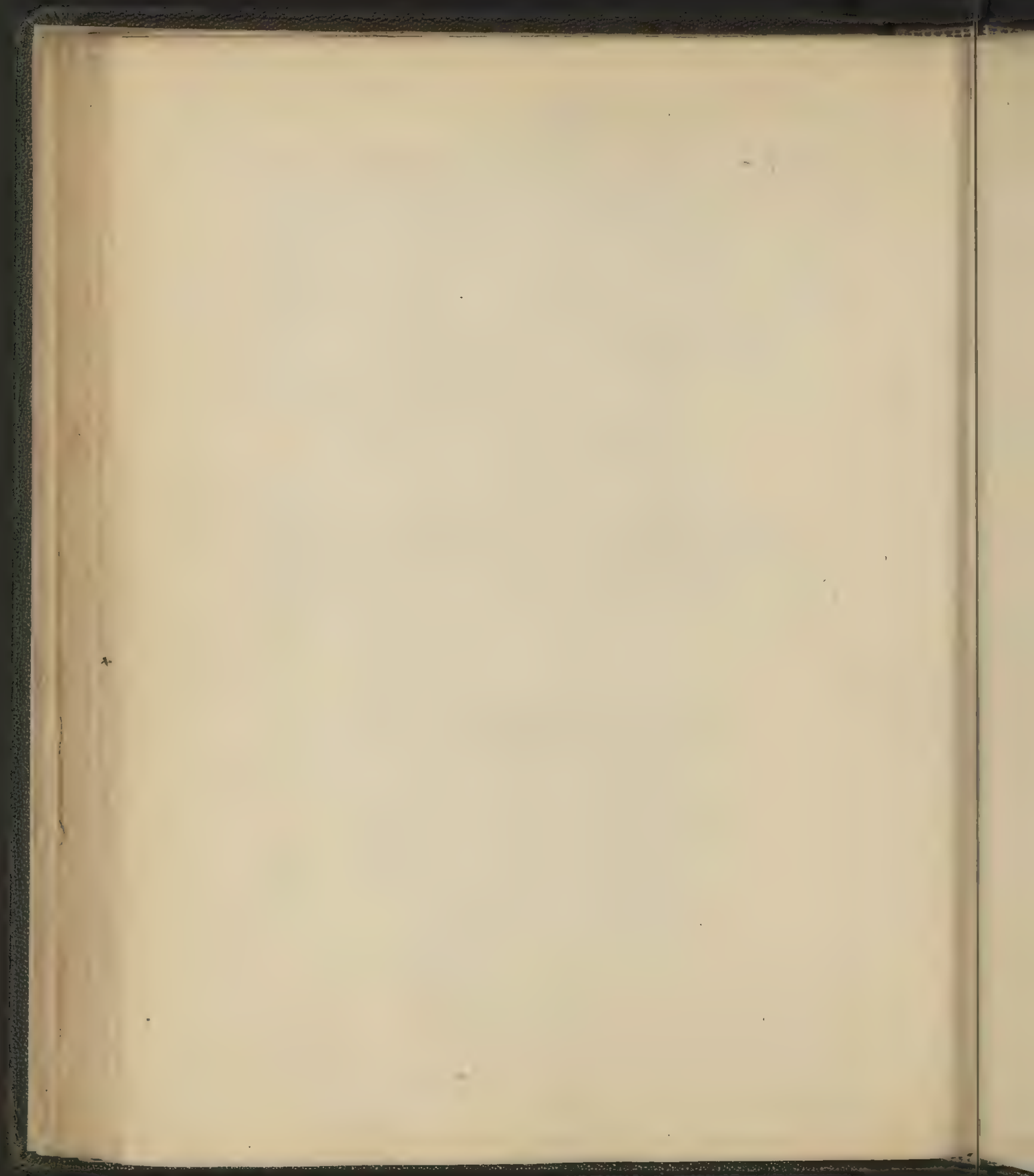
K. J. Jarek. "

---

Takie były dni szczucia i dni smutku miesz-  
 kańców młodej Golotwiny, tak wyglądał jej rok i następny  
 stepny upadek.

---



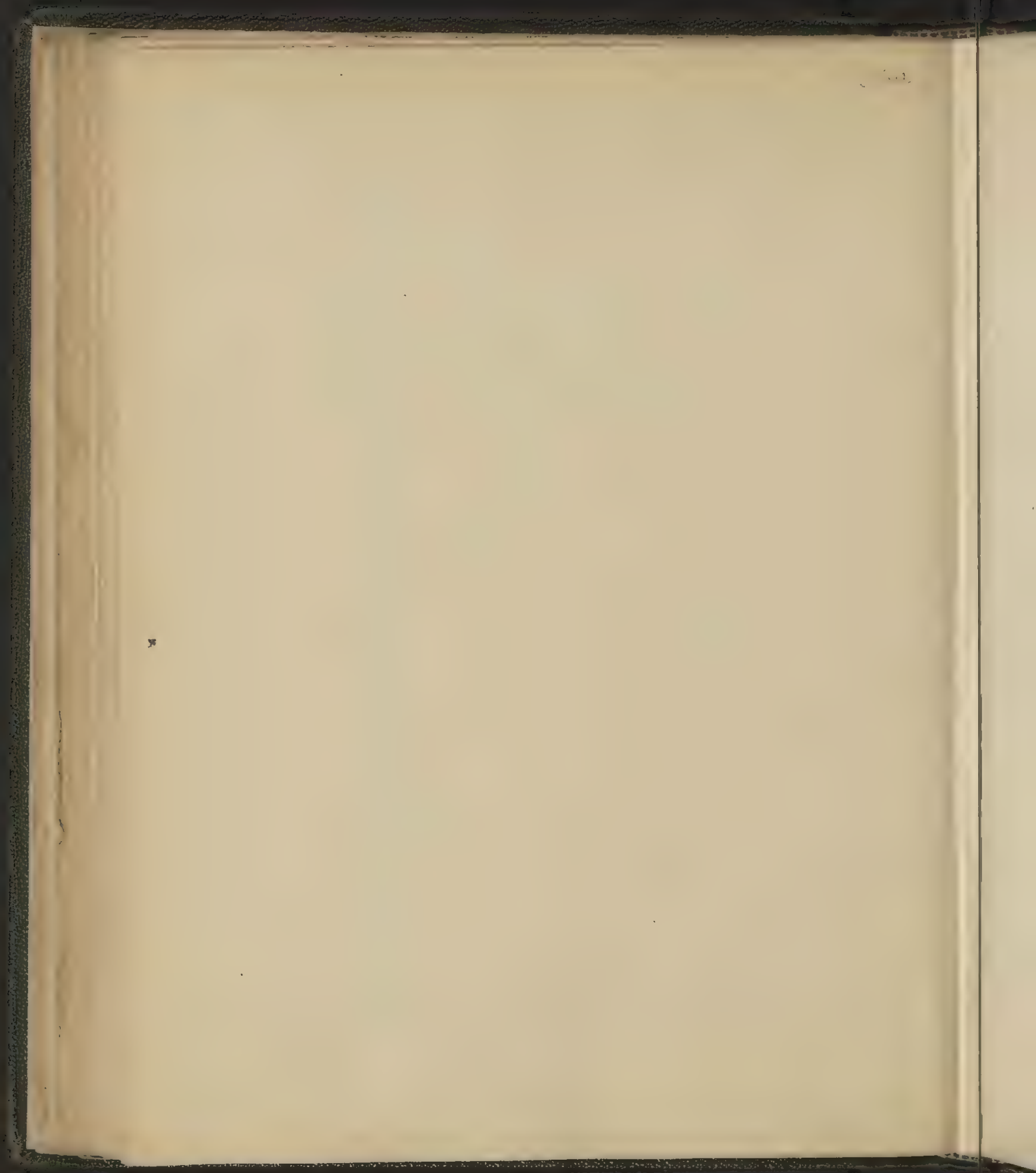


Odręczny szkic śródmieścia miasta  
*Solotwiny*

*z pamięci sporządzony w 23 lat po wyjeździe z tego miasta (zatem bez ścisłości  
geometrycznej.).*

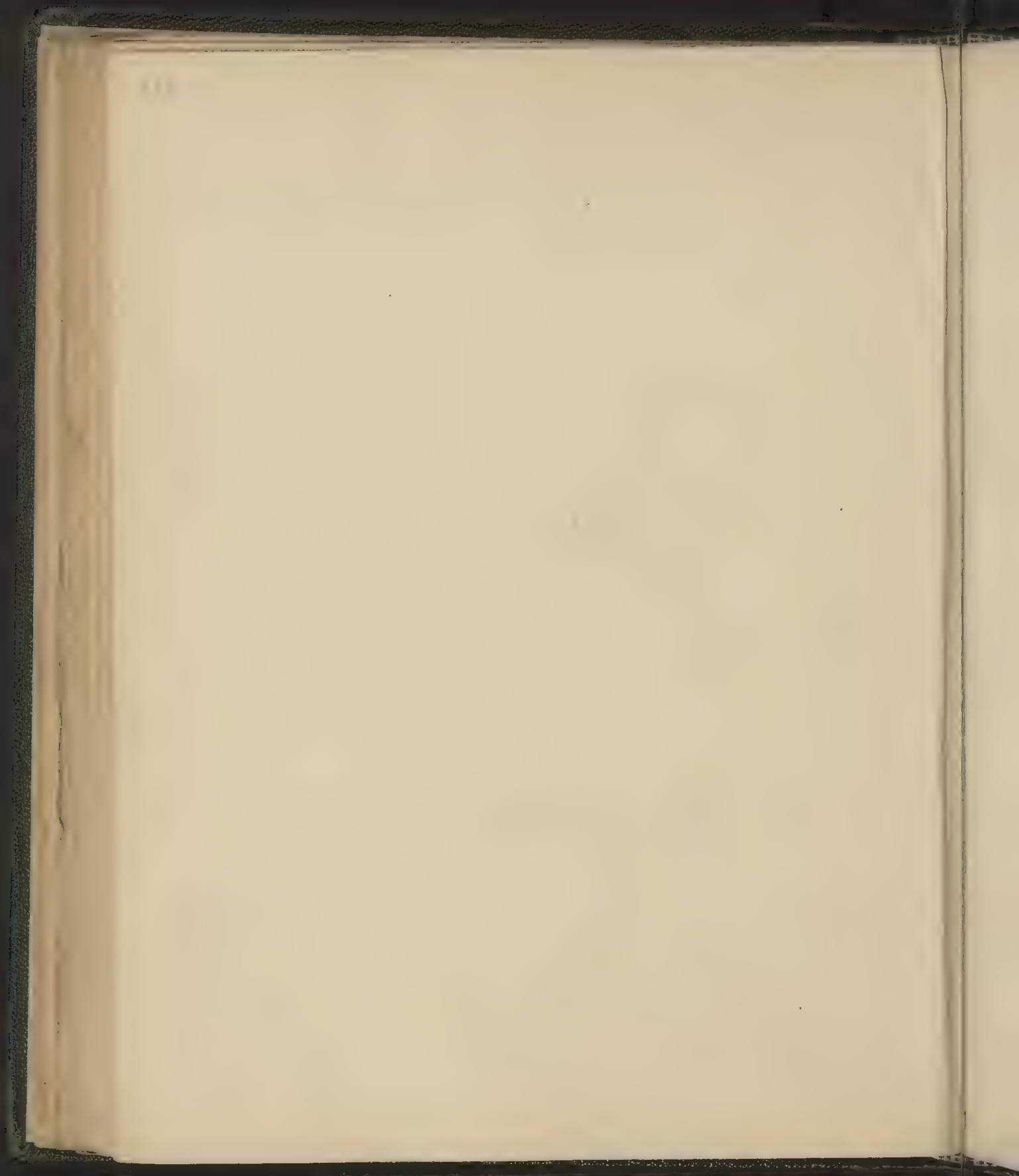






Halicz

Wspomnienia sędziego halickiego.





## Halicz.

Lata 1902 - 1906.

Postąpmy na wzgórze 'Sv. Stanisława' pod Hahorem i rozejrzyjmy się w krąg a spostrzemy, że mamy przed sobą obszerną kotlinę, w którą wciśniętą się wąskie pasma wyżyn. Kotlinę przecinają cztery rzeki: Zniestr, Lipa, Łukiew i Łomnica (czyli Czara), przy nich przestronne łąki i pola uprawne, w odłach czerwieją gęste bory. Teren, który widzimy, nawet się znieskonnie na osiedle ludzką. Łama przyroda broniła człowieka przed zewnętrzny nieprzyjacielem, karmiła go z żyznych pól, dostarczała paszy stadom a spływ tych rzek tworzył doskonałe arterie komunikacyjne. Toteż śmiało rzec możemy, że miejsce, na którym dziś się rozsiada Halicz i okoliczne wioski, musiało niezawodnie być od niepamiętnych czasów jaskry wymarzoną osiedla ludzka, możliwe nawet jeszcze człowieka pierwotnego, po-

tem innych mieszanym narodów, ~~uprzedzi~~ ~~zwanych~~ ~~bar-~~  
~~barzyńcami~~, ale raczej zdaje się mających rodzimą kulturę  
na pewnej wyżynie, wreszcie ceterum penie musiał być Ha-  
lioz Kupiecką stacją Greków, co widoczne jest z nazwy tej  
miejscowości, pochodzącej od greckiego słowa ἅλς tj. sól, bo  
Haliz nierozodnie był stacją solną (hals), transportowa-  
ną z okolic dzisiejszego Katusza i Bolechowa. Stąd. szły  
dalej transporty ołowiem w dół do Czarnemu Morzu.  
Wskazki wzmianki u Herodota o Halizonach, dalej o wal-  
kach Gotów z Gepidami koło miasta Galtis, mają wiele  
cech prapodobieństwa, że odnoszą się do Halicza, bo  
zresztą nie możemy wskazać innego miejsca, do którego  
miałyby się odnosić. Sama ziemia kryje tam ogromne  
skarby archeologii, a prócz dotychczas dokonanych wykopa-  
lišk, rzekłbym, nikt jeszcze dotąd nie szedł sobie trudn  
kopania ziemi halickiej głębiej, niż na długość lemieszu  
pluga rolniczego. Ziemia na każdym niemal kroku  
kryje cenne ślady odwiecznych ludów od tysięcy lat tu  
osiadłych. Samo tak bardzo obrotne wprost ~~tu~~ ~~Halici~~  
stare jest porwane różnemi fosami, nasypami, za-  
stane zagadkowemu jamami i wklęsłościami (w sadzie  
klasztornym) i zdaje się wskazywać na jakieś grodzisko  
bardzo dawne a wielokrotnie odnawiane. Czasy ruskie  
są wobec zamierzonej przeszłości ze starożytnych wieków  
czemś nowem i bliższem.

O ile chodzi o oznaczenie, gdzie było pierwotne

siedlisko ludzkie, to wskazywałoby, że najstarszą osiedla  
 mogło być obronne wzgórze 'Św. Stanisława'. Gdzie jednak  
 był Halicz grecki a potem Halicz ruski, mięt nie ma  
 niestety pewnego. Różni historycy różnie rzecz rozpatru-  
 ją, ale na ten absolutnie polegać nie można. Są to jedy-  
 ne przypuszczenia i domysły. Tak mi zartobliwie na miej-  
 sch opowiadano, sprawa miała się tak, że różni histo-  
 rycy przyjeżdżali do Halicza, 'zoglądali teren i  
 w przeciągu 24 godzin decydowali się oznaczyć, gdzie był  
 dawny Halicz położony. A faktycznie tak być miało, że  
 gdy historyk rajechat do ruskiego proboszcza w Haliczu,  
 ten go przekonał starożytną cerkwią i wzgórzem zam-  
 kowym, że stary Halicz nie mógł być nigdzie indziej,  
 jak tylko na tem miejscu, gdzie jest Halicz dzisiejszy.  
 Gdy inny historyk rajechat do Łaturski pod Haliczem,  
 znów tamtejszy ks. proboszcz Laurecki, zawołany  
 rannca tej ziemi przekonał go naocznie na podstawie  
 licznych wykopalisk, śladów baszt, fundamentów świą-  
 tyni itp., że stary Halicz był na polach rutenien-  
 skich. Gdy wreszcie jeszcze inny historyk rajechat na  
 Kryłos do ks. Hłoszowskiego, ten mu wskazał na stare, po-  
 razina cerkiew z kamienia ciosowego (niegdyś metropo-  
 litalna) i olbrzymiewały obrotne, jako na niewątpli-  
 we szczątki dawnego Halicza. Tak więc powstała roz-  
 bieżność orientacji i niejednolitość w sądach historyków,  
 bo każde miejsce wiele o dawnych dziejach mówiło. Po-  
 starzani raz jeszcze: potrzeba kopać, w Haliczu historia



tkwi w głębi ziemi. Mnie się zdaje, że najstarsze niedłisko ludzkie było na dzisiejszym wzgórzu st. Stawiana, zaś w okolicy dzisiejszego mostu na Świeście był od zamierzonej czołowej przejazd przez tę rzekę, obok zaś tego przejazdu, gdzie dziś stara murowana cerkiew ruska była świątynią gdzie dziś Rozumiona na szczęśliwą przeprawę lub błądzą o szczęśliwą podróż. Później, oczywiście często na stoniarach ziemach dotrzanym, na miejscu świątyni pogrzebów postawiono świątynię chrześcijańską, a obok niej powstała grupa domów. Ruski gród Hahor i zamek książęcy był na górze dzisiejszego Krynów, a miasto o licznych zabudowaniach bojarskich, cerkwiach, klasztorach i budowlach obronnych ciągnęło się na przestrzeni dzisiejszego Podgrodzia, Czwartek i pół zachodniej od Łukowa do Łomnicy. Miasto często palone (wzrost bardzo nie wykopaliśkade), niszczone i burzone przez nieprzyjaciół i wojny domowe, zniszczone swe położenie, stał wykopaliśka na dużej przestrzeni.

Za czasów polskich od XIV wieku miasto i zamek były w dzisiejszym miejscu, Jagiello i Jagiellonowie wstąpił je wspólną opieką i pietysmem a miasto prośbą górnych samków miasto silny wiat obronny w dolnej części. Dziś wszystko w kompletnym ruinie, ślady dawnej świątyni przeszłości gruntownie zatarła i zniszczone, zamek barbarzyńsko rozebrany, kamienie zaś staczano z góry po zboczu aż na rynek, gdzie stały za fundamenty pod domy żydowskie. Za moich czasów tylko legendy krążyły

po między ludem, że kiedyś Halicz był miastem świątym,  
 wielkim, handlowym, że mieścił w swych murach świątynię,  
 księżąt i przednich Kaptanów, że miał ramki i świątynię  
 wspianą — dziś tylko tu i ówdzie sterczy złocone mu-  
 ru jakiejś ruiny, tylko set rozkopany znaczy miejsce  
 dawnych walk na śmierć i życie, stare cerkwie wrosły  
 w ziemię, a pod tananami falistego żyzna biega jakiejś  
 fundamenty dawnych budowli, na wzgórzach i jannickach  
 ślady jakichś świątyni, zresztą gdzieś rydłem tkwiesz,  
 spotkasz jakiejś groby zagadkowe, kamienie ciemne, od-  
 tamki metalowe. Ale ktoś na to zwraca tam uwagę,  
 rzecz to zwykła, pług przez nie przechodzi spokojnie,  
 ktoś razłunie, że tyle w tej glebie wapienia, zbrojności  
 wół i jak jego praojcie tak i on sieje twardą garścią  
 jęczmienia lub kreskę. Tak, wszak o życie mu chodzi,  
 nie o zbiory muzealne.

Do tego to Halicza, odwiecznego cmentarzyska  
 ludzkiego, pobożniaka prastarych legendarnych ludów, sto-  
 licy Rusi halickiej, cennego niegdysiejszego klejnotu w Koronie  
 polskiej, drogiego nam szanś obywatelskiej kultury i mę-  
 ry, obecnie podupadłej, niewielkiej miejsciny, zdarzył  
 moje Proki, aby tam pełnić urząd sędziego. Nie pierwszym  
 tam miastem był sędzią i nie ostatnim, w pochodzie ludz-  
 kości i w szeregu długich wieków, całe zastępy sędziów wy-  
 mierzały tu sprawiedliwość w różnych czasach i dla różnych  
 ludów, przyszedł kolej na mnie, czyniłem o to toż samo,  
 a po mnie czynili to inni, po nich nastąpią jeszcze

224  
inni — i tak będzie po koncu nierów. Tylko postacie  
ludzkie się zmieniają, ludzkość zawsze była, jest i  
zawsze będzie, czy to pod nazwą Scytów, Hunów, Gotów,  
Stomian, Rusinów, Polaków, lub jeszcze innych narodów.

\*

W dzień październikowy 1902 dojeżdżam Ko-  
leją do Halicza od strony Stanisławowa. Z pociągu wysy-  
pają się na stacji halickiej gromadka ludzi różnych sta-  
nów i wyznań i przez dworzec podążają do miasta. Wnet  
stacja Kolejowy umieszcil moje walizy na nędznej dorozce,  
na którą i ja wsiałem, a wówczas rydwan wóznica poprosił  
zapraszać licznych przybytych koleją, aby siadali przy  
mnie do dorozki, a gdym zaproponował, odrzucił się wóznica  
twierdząc, że to przecież miłomnie mieć mnie za szkodliwego, a be-  
dzie i taniej i przyjemniej. Jakiś izraelczyk w męskich  
bucikach, bez jednego obcasa, obarczona tobołami chciała  
koniecznie siadać przy mnie, ale gdym ją zobaczył, jeszcze  
silniej sprzeciwiłem się spótku. Ostatecznie przy widocznej  
niechęci wóznicy ruszyłem do miasta bez towarzysza. Led-  
wie ujechaliśmy jakie 80 metrów, stanęła nierzeczyśna dorozka  
ktoś oberz Leonowicza, zwaną Hamarnią, gdyż do miasta  
płacono się myto. Słuchaliśmy potem powoli dalej. Ona mojej no-  
wej siedzibie przedowej, a kto niekiedy niemiłosiernie  
ce kazdy obrotom pociągu a skrzydło błotnego ochraniacza,  
co czyniło wrzawę, jak gdyby kto na drugim kamieniu



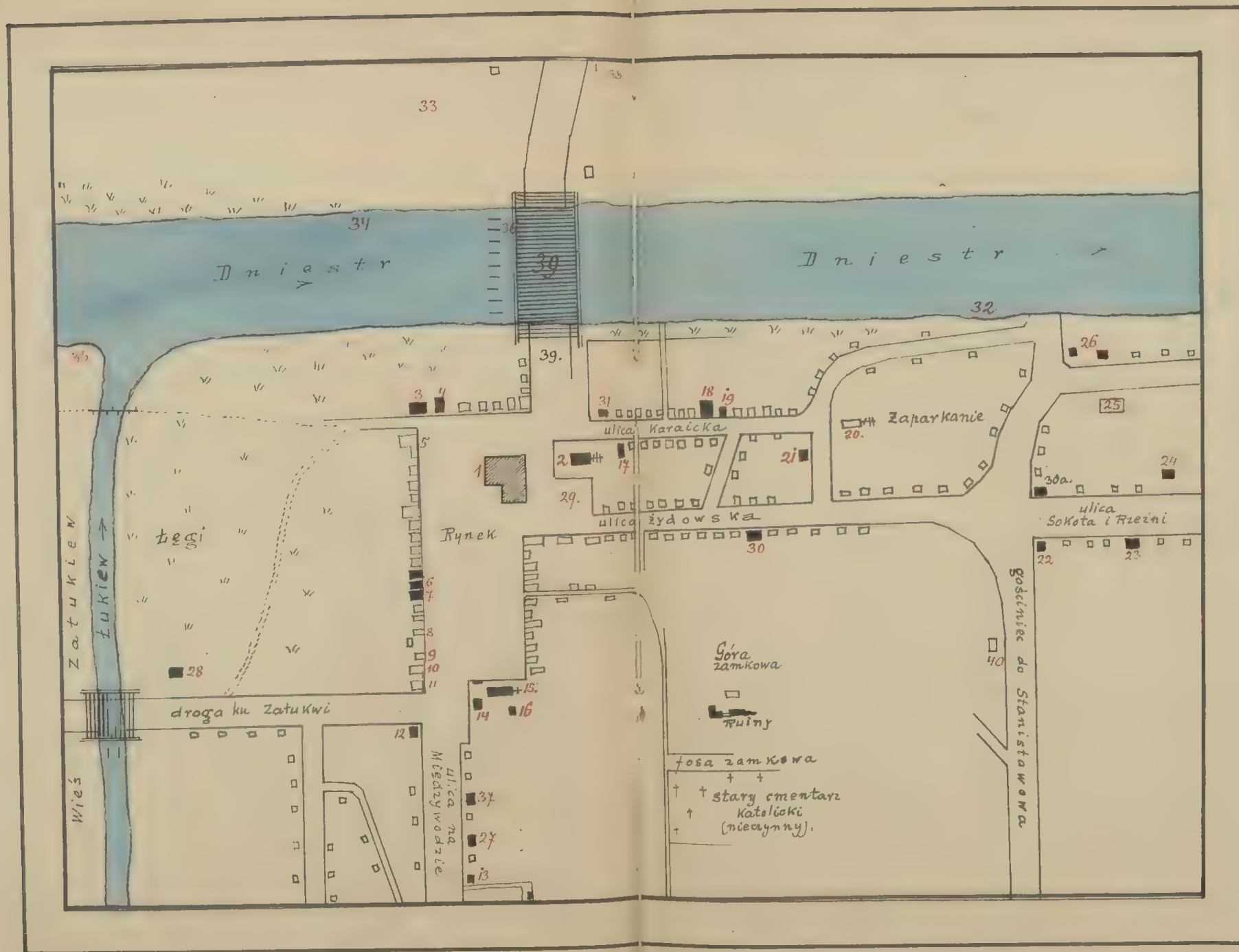
Plan odręczny

śródmieścia

Halicza

sporządzony według stanu z r. 1906.

---



### Objaśnienie planu.

Plan ten został wykonany z pamięci w r. 1928 a więc po 22 latach licząc od wyjazdu z Halicza. Nie posiada więc ścisłości mierniczej.

\*

- oznacza domy o nieokreślonej liczbie
- oznacza domy wymienione we wspomnieniach.

- |                              |                                  |
|------------------------------|----------------------------------|
| 1. ratusz                    | 21. ruskie probostwo             |
| 2. cerkiew starodawna        | 22. Szezygielski                 |
| 3. sąd                       | 23. Sokół                        |
| 4. szkoła żeńska             | 24. Aśtan                        |
| 5. Singer                    | 25. budowa nowego sądu           |
| 6. Hotel Fadenhecht          | 26. Bukowski                     |
| 7. mieszkanie autora         | 27. poczta                       |
| 8. Hirschen (m. dr. Żins)    | 28. szkoła Koszykarska           |
| 9. Janowiczowa               | 29. ogródek miejski              |
| 10. Pantalemon Segin         | 30. bożnica żydowska             |
| 11. adw. Lityński            | 31. adw. Hahn                    |
| 12. not. Sawicki             | 32. topiel żołnierza             |
| 13. emigrant Lesiewicz       | 33. wysadzanie szyn dynamitem    |
| 14. probostwo łacińskie      | 34. wysadzanie dynam. bud. wodn. |
| 15. Kościół                  | 35. wyłtyk łodzi wyścig.         |
| 16. stare prob. łac.         | 36. miejsce wyłotu łodzi         |
| 17. Pańczak                  | 37. apteka                       |
| 18. świątynia karaicka       | 38. Ormezowski                   |
| 19. dom karaicki (moje m)    | 39. most drewniany               |
| 20. cerkiew filjalna (druwa) | 40. szpital.                     |



toczył pite. Grubym batem zachęcał rydwan biedne komi-  
ska do pospiechu, szarpał ogły, cmokał, one zaś ledwie,  
ledwie pomowały się po gościach, aż wreszcie wjechały na  
długi, drewniany most na Dniestrze. Tu widniał wypisa-  
ny zastraszającej jędzy, odpozyły niec sobie wyhodzone,  
rumaki, przestrzegając najsumienniejszą policyjną rozkaz-  
ki. A tymczasem nadeszła fala przyjezdnych, idąc nie-  
szas krótszą drogą, wyprowadziła nas, iś owa rydwan bez  
opasa, obarczona Roszem w jednej, pędem w drugiej rece  
wlokła się w oddech, ciężko oddechając. Jeszcze mach-  
nął rydwan kilka razy swoim historycznym batem,  
mineliśmy most i wjechali na rynek, gdzie zatrzymał  
się przed hotelem Fadenhechtowej. (plan k. 6.). Był to jwi-  
zakrój prawdziwego hotelu, była stuga, która po długich  
wotaniach się odnalazła i zniosta parkunki, gospodyni  
aż izraelfka, miała na głowie modnie maresane swoje  
włose włosy, kamienica stara, jednak czysto utrzyma-  
na, tak iż można tu było liczyć na względnie wygodny po-  
byt.

Ledwie się strzepnął z pyłu mojej podróży ze Łotwi-  
ny, wyprzedem spojrzeć na miasto. Rynek podtwierdzał  
był brackowany, domy naokoło przeważnie parterowe,  
gontem kryte, w kącie rynku w cerkwi stał ratusz z wie-  
żą, a na niej herb miasta Haliwa (pół brzojsz wola).  
Na głównych ulicach były wcale dobre chodniki z piaskow-  
ca, tuż nad miastem wznosiła się góra zamkowa z ruine-  
mi potężnego niegdys zamku. Góra ta najbardziej mi

zainteresowała. Zieczyński zaszedł na jej szczyt, a nie znając  
 jeszcze podwórca jej barwnych dziejów. Pożeci było jakieś  
 starą ręką, która porobiła aleje spacerowe, przesa-  
 dzata drzewka młode tu obok starych a ciemistych, tu  
 i ówdzie znalazło się Tawę do siadania i pamiętno do chro-  
 niemą się przed deszczem. Spoglądając w dal. Bardzo  
 piękny widok z tej góry rozciągał się na trzy strony,  
 obraz był niesmiernie malowniczy, okoliczne światła pod-  
 mijskie widać było wyraźnie, a popod górę wita się duża  
 wstęga spokojnej, prastarej rzeki Śniestr. Na dalszej  
 przestrzeni w krag widać było każdego oświeca, co czym  
 i dokąd rzadza. Pociąg Kolejowy, idący z Halićza ku Równu,  
 można było dno stacji oczyma śledzić, bo dopiero w Bar-  
 szynie na rozbiegu ze stacją zanikał. To było tylko  
 pierwsze zapoznanie się z tą wyżyną. Ileri ją następnie  
 godziną przesiadaniem pod temi ruinami przez cztery  
 lata mego pobytu w Halićzu, Ileri tu niecoron księ-  
 życonych przebytem w radumie nad śnieżną przesła-  
 ścią tych szczątków dawnej chwały i jak ją zarsze bo-  
 latem nad opieszatym a barbarzyńskim zamieszaniem  
 tego państwa i obrotów obronnych.

Nad wieczorem nadjechała bryka z mojem  
 rzeczami, które złożono w nowym pomieszczeniu w  
 stowaku Pańczaka, obok starej cerkwi (plan b. 17). Pań-  
 czak wyszedł mi śród. W tym samym domu, na końcu  
 od podwórca mieszkał policjant miejski z rodziną.  
 Otoż jego żona miała mijs asygnować. Był to pracownik



Dawniej przez Zniestr przewożono się promem a prawo przewozu służyło raskiemu metropolie halickiemu. Dopiero około r. 1850 zbudowano most drewniany, przedstawiony na powyższym obrazku. Łączęcia dokonano z łąki nadbrzeżnej od strony Batiuchowa. Za mostem rysują się niewyraźne kontury cerkwi starodawnego ratusza halickiego. Most ten przetrwał do r. 1910 a ustąpił dopiero nowemu mostowi żelaznemu.



Nowy most żelazny zbudowano w r. 1910 po moim odejściu z Halicza. Widziałem go tylko na obrazku. Podczas wojny światowej częściowo go zniszczono.



kobieta, ale całymi dniami jej nie było w domu, bo chodziła na zarobki, w domu zaś pozostawała córka dorosta, głucho-niema. Ona nie przeważnie czuła postępi, ale jeszcze sto-krotnie gorzej od szatniańskiej Anny, nie mówiąc już o J. K.

Poszedłem do sądu rzetonić się do stolicy. Są mieścić się w obszernej kamienicy w rynku, a potaci od strony rzeki (naprawdę p. 2. nadto na ilustracji str. 295). Właścicielami kamienicy byli żydzi i najmuwali ją na sąd rządowi. Z czasem ze czasu już było w tej kamienicy, tak iż kilka biur przeniesiono do innych sąsiednich domów. Sędziów było pięciu (1 sporny, 1 egzekucyjny, 2 spadkowych i 1 karny). Na czelu sądu stał naoselnik, po nim był jeden sędzia starszy, czarny podobno sekretarzem, wreszcie trzech adiunktów czyli sędziów młodszych.

Nie badatem początków sądu kaskiego. To jednak pamiętam, że pa moich czasów jako o legendarnym niemal naoselniku sądu mówiono o Marcynie Dziannie. Główny proces, chcąc oznaczyć, że dawniej tak a tak było, lub że dawniej sąd w taki lub inny sposób rozpoznat sprawy, mówili: jeszcze nieboszczyk Dzianna granica stał wtedy a wtedy, albo: jeszcze nieboszczyk Dzianna powiedział, że grant pod lasem weźmie Kanka, choć weźmie Michał a Pa-takna nie ma już nic do sądu, bo w posag wzięła Proga z cieplem, dwa Rożuchy i 100 reńskich. Była to znamienna postać w mieście i okolicy. Świąt, roztę, styły wstaniek, w rezonie śmiały, w argumentach trafny, w stosowaniu



Przebiegiem zburzony podczas wojny światowej 1914-18, odnowiony 1925.  
 Nowy most na Dniestrze. Niedawno został otwarty nowy most żelazny na Dniestrze w Haliczu. Fotogr

prawa imperatryny i podług zasad zdrowego rozsądku, był  
 długie lata naczelnikiem sądu halickiego, stąd znaki go wszędy  
 i wszędzie, a do popularności przyczyniło się jego oryginalne  
 nazwisko. Opisując takich zanębiałem szeregiów:

Pochodził z rodziny szlacheckiej z przydomkiem Żura-  
 tyński. Od XVII wieku byli szlacheccy w starostwie w ks. Lubo-  
 mirskich, a mianowicie byli burgrabiami znanego zamku  
 w Rzeszowie. Gdy Lubomirscy zamek Państwa austriackie-  
 mu sprzedali, dali szlachom w nagrodę dom na Str. Za-

promiu i pole na dotkach (należące dawniej do zamku).  
 Marcin Dziama urodził się dnia 11. listopada 1830 z ojc-  
 ca Jana, dzierżawcy młyna wodnego w Drabiniance od Rze-  
 szów. W pamiętnym roku rzezi mazurskiej 1846, poszedł  
 ojciec do młyna i nie wrócił do domu, zagarnięty przez  
 czerech rewoltowanego chłopstwa jako „ciarach” znikł.  
 Rozpaczona rodzina doniedziata się, po kilku tygodniach,  
 że ojciec siedzi w więzieniu w Przemyślu. Maty Marcin nie-  
 chętnie poszedł do ojca, gdzie radca Körber rozwiązał na  
 widzenie się ojca ze synem a nawet chłopca sam zapłacił  
 z powrotem miejsce w budce ~~budce~~ izdomskiej, krzyżującej  
 pomiędzy Przemyślem a Rzeszowem. Do gimnazjum chodził  
 w Rzeszowie w latach 1841-45, potem poszedł na praktykę  
 do apteki Karpin'skiej. Nie długo to jednak trwało, bo  
 powrócił znów do gimnazjum, jednak w Przemyślu, gdzie  
 miał pomoc od swego stryja ks. Wojciecha Dziamy, kanc-  
 lersza rz. k. Kurji biskupiej przemyskiej. Maturę zdał w Prze-  
 myślu 1851, prędo ukończył w Lwowie, potem obrat za-  
 wód sądzowski. Służył w sądownictwie w Brodach i Zło-  
 czowie, a gdy tam pracował przy prokuraturze usunięto go  
 w r. 1863 ze służby ze względu w organizacji powstaniej  
 i ze przyjaźni z Ludwikiem Wolskim i Mieczysławem Ro-  
 manowskim. Był więc Dziama zmuszony przyjąć skrom-  
 ne stanowisko dyurnisty w Magistracji lwowskiej, gdzie  
 był do roku 1866., potem go ponownie przyjęto do służby  
 sądowej. Był następnie w sądach w Łopatynie i Zaleszczy-  
 kach, w końcu został w r. 1869 mianowany na ordynikiem



sada w Haličcu. Ożenił się z Janiną z Horynowiczów z okro-  
liwy Haličca, miał jedynego syna Leszka Aleksandra, póź-  
niejszego profesora gimnazjum w Tarnowie, żona jednak  
wreszcie umarła w r. 1873, mając lat 29, pochowana zo-  
stała na starym cmentarzu, tuż obok fosy kamkowej. Od-  
tąd żył dziadek samotnie. Na nagrobku żony umieścił  
napis:

Ja ziemia ciężarem ciemną,  
Pocieranych ona mi grzebień,  
I lekka była ciemna  
Kto zaczął żyć na świecie.

Jakiś napis widniał niegdyś w kościele klasztornym w Bie-  
czcu na umierzonej potem płycie nagrobkowej Andrzeja  
dziadka, zmarłego w r. 1789 w Bieczu, zotwierza rot pan-  
cernych. Ponieważ przez dług był sędzią dziadek sko-  
gacony z licznymi książkami umiarkowanymi, ~~z~~ dlatego, gdy  
ino lato płytko, dziadek brat tobot aktor, siedział na ró-  
zał i objeżdżał wie o powieziatka do soboty, sądząc  
na miejscu sprawy gruntowe, zanietania gramowne, ~~z~~  
podsiaty spadkowe. A wieczór pajeżdżał na rancie probo-  
stwo, przybył jakiś inny proboszcz ze sąriedstwie, ga-  
redziłi, zagrałi w karty, zjedli kolacyj — i wreszcie był  
radości. W późniejszym już wieku dziadek pozostł się  
chorym, a o młodych lat ciągle cierpił na serce. Leżał  
się, przeszedł w r. 1891 na emeryturę, pojechał do Morszyna  
do wód, tam jednak zmarł, sprowadzony na własne ży-  
czenie do Haličca, nie mógł już być pochowanym na kam-  
kietym cmentarzu jako żony, lecz grób jego znajduje się  
na cmentarzu nowym, przytłoczony dwiema grubymi płytami gro-  
bowymi z czerwonego piaskowca. Dodac' należy, że miejsce, gdzie

złożono nowy cmentarz było deszczem, tracenia. Sam  
dziś walczyło o to, by tam cmentarza nie zakładano, jed-  
nak przemożę inne zdanie. A potem sam tam spoczął obok  
ludzi sobie współczesnych. Pozostał po sobie pamięć bar-  
dzo dobrą, jako gościnny gospodarz i opiekun ludności.

Po nim był nacelnikiem sądu Włodzisław  
Mandyczewski, rusin, bardzo dobry prawnik, niezmiernie  
ścisły w służbie i pracowity pracownik. Gdy się przeniósł do  
Hamiłtanowa, został po nim w roku 1898 nacelnikiem  
Ludwik Eiselt, przeniesiony tu z Grzymatowa. Miał trzy ci-  
otki, wszystkie jasne blondyny. Zagryziony domowymi sprawa-  
mi, w sądzie pospieszny w pracy, byłby naprzód, z wy-  
glądem niepokojącym, zmierzowanym, czynił wrażenie, jakby  
robił wszystko miedzy do kresnego życia. Także przeniósł się  
do Hamiltanowa, a po nim został nacelnikiem sądu prze-  
niesiony w tym samym charakterze z Ilumawy Hiero-  
nim Wierzechowski. Właśnie zastąpił go na urzędzie w Ha-  
miltanowie, kiedy zastąpił się do służby w październiku 1902.  
Gdy otwartem drzwi do biura nacelnika sądu, zastąpił  
tam czterdzielasto lat około 40 letniego, nie wielkiego wzrostu,  
zaokrąglonej tuszy, bruneta o małym nosie na dość  
wydętych wargach, ubranego w krótki surdut a w chyt  
szerokie spodnie na nogi obcisłe, grube, mocne rozkro-  
cone na bok, z poza kłóty wypieraty, miedzy tatarskie ozka  
w obrzuty a zawernięmionych powiekach. Mówił dość  
cichy, powolnie, jakby przygnieciony ciężarem obowiązków  
i jakby się chciał już najprędzej wybrać tego, z kim mówił.



To był Hieronim Wierzechowski herbu Korczak, naczel-  
 nik sądu w Haliczu. Pochodził ze Sokalszczyzny, ciężko  
 i mozolnie przechodził przez gimnazjum, po prawach  
 przeszedł do zawodu sędziowskiego. Adjuntem był w Pon-  
 czach, naczelnikiem sądu w ~~Ponczach~~ <sup>Turnaczu</sup> i w tym samym  
 charakterze przeniósł się do Halicza. Odrzucał ni wiel-  
 ką pobożnością i fantazją w opowiadaniach o swojej  
 działalności tutejszej przygodach w zawodzie sędziowskim.  
 Żył wżyty do proboszcza tacińskiego ks. Turkiewiczem  
 i wikarym ks. Kasińskim i im najczęściej opowiadał o swo-  
 ich przeżyciach, puszczając dosadnie wodze swej bajnej fan-  
 tazji. W śmiechu tych jego opowiadań był Wierzechowski nie-  
 ustraszonym sędzią i tępicielem wrogu, że co kilka razy  
 na jego życie czyniono napaści, zawsze jednak wychodził  
 cało dzięki swej przytomności umysłu i zawsze zamachowiec  
 dostawał karę 6 miesięcy więzienia. Lubił także podno-  
 sić swoją pracowitość zawodową a w pracy innych widzieć nie-  
 robotę i opieszałość. Proboszcz starszy o gotowej dalszy  
 patrzył z podziwem na tego meza opatrzeniowego, tosa-  
 mo młodzieńcki wikary, który ledwie że powstał z ławy szkol-  
 nej. W sądzie prowadził Wierzechowski część dzieł spado-  
 wo-opiekundwów, którego agendy były bardzo łatwe i proste,  
 tak że pisarz Siwecki, choć młody, lecz biegły i bystry,  
 załatwiał znaczną część tych spraw. Zasadniczo był Wier-  
 chowski nieprzyjacielem nspwobionym do innych sędziów, od  
 czasu do czasu jeździł do Stanisławowa do prezydenta sądu  
 Scharfka, aylewał tam iale na swoje przeciążenie, ale znano



powrzedni jego przesady i tym kierunkiem i mi reagowa-  
na to. Zwykle widziato się idącego ze sobą do domu i dłu-  
gin, poniżej kolan sięgającym paltości i czapce lub kapeluszu  
niesuniętym na ozy, spieszącego tak, jak się zwykle śpie-  
szy ktoś spóźniony do odbierającego się pociągu. Zaraz no-  
sit pod pachą grubą plik aktów, czczanych wydruka-  
nym sznurkiem. Nieraz idąc po godzinach przedwioch ze  
sobą, spotykaliśmy Wierszowskię, pędzącego do domu.  
„Gdzie pan tak siarzyć się spieszy — pytaliśmy — i co za  
bibliotekę pan niesie do domu”, na co Wierszowski  
i wyrazem bólu wywnotrzet się: „ot — widziacie panowie, mam  
taki maszt pracy, że dopiero w domu, nocami mogę to  
wyrobić. Mam co innego, macie o wiele lepsze dzieła i da-  
leko mniej. Szczęśliwi jesteście ludzie, tylko ja tu ciągnę  
do upadłego”. Naturalnie wszystko to było niepomierne prze-  
sadzone, a istnieć bowiem miał on najmniej i najtętnie-  
szy dział agent. Ostatecznie jednak dawał się namówić i za-  
miał do domu, szedł z nami przez drogę, najprzód na  
dworzec Kolejowy. Prędko przypominał o swoim przeziarciu,  
zabierał coś i fantazował z alabieniem. Stękałszy tego  
wszystkiego, że w życiu nieraz się stęka bajorem dla dzieci  
miej lat sześciu, choć się jest już czterdzielkiem dwudziatym. Pa-  
miewał dobrze, jak raz, gdyśmy रहे गए overesny most  
drewniany, szam dwiestro nastroit Wierszowskię do  
twórczości i zaczął prawić: „Widzi panowie — fantazował  
nasz nawalny sędzia — ja gdzie psociałem na jakę czynność  
urzędową, wszędzie bała się mnie jak ognia, bo że mna

iertoi nie ma! Raz miatem Komiję w górach, przeprowa-  
 dzitem ją jak należy, rozkaratem ją ma się tam stozyć  
 posiadanie, wjtom nakazatem pilnowanie, by do dalszych  
 sporów nie doszło, sam siadłem na wózek i razę wżnię,  
 jechać do domu. Tymczasem ten, który spór przegrał, posta-  
 nowił na mnie zemścić się i uknuł zamach na moje  
 życie. Oto pomógł gmedko do lasu, którego właśnie miatem  
 wracać i kiedy już mój wózek się zbliżał, rzucił się na ko-  
 przek drogi i leży. Wóźnia przerażony wstrzymał konie  
 i pyta mnie, co ma zrobić. Na to ja dątem wóźnię, kilka  
 kłaków w rękę, wywratem mu łaje i bat z ręk, rzuciłem  
 konie, przejechałem chłopca aż wózek dwa razy silnie ko-  
 łami kopnął o ziemię i tak moja przytomność uwy-  
 stał nadaremnie zamach na moje życie. Chłop za to do-  
 stał sześć miesięcy więzienia. Oto jest jedna z tych opowieści;  
 niemal dośrodkowo powtórzona. Wierchowski był żonaty z Wła-  
 dysławą Partowską, córką dyrektora kancelarii z Łańca, Ro-  
 berta rozumną, dobrą i taktowną, niestety wczesnie umar-  
 łą na cukrzycę. Miał jedynego synka Stasia. Kochał  
 dziecko bardzo, matka ztęszona bezgranicznie, było ono  
 dla niej słońcem i światłem. Po jej śmierci ział miścisłkai  
 serce, ile razy zobaczyłem to dziecko oniercone. Mieszkał  
 najpierw w domu Pantalemona Segina (plan p. 10.) potem  
 przy ulicy Sokola (plan p. 30). Los porzucił Wierchow-  
 skiemu niestety. Został nawet potem do Rady Państwa  
 z Niedziń, a stało się to tak. Był to w roku 1904. ~~Sej~~  
 Sesja Rady Państwa dobiegła końca i pierwsza tydzień kilka



miata miesiąc miata istnieć. Poset z piątej kurji z okręgu obejmującego powiat Stanisławów, Tłumacz, i Buczacz z powodu jakichś niemitych rąk musiał mandat stracić. Rozpisano wybory, ale którzy się zgłaszali na kilka miesięcy na posta? Zgłosił się kandydatem w prawo i lewo, nie było nikogo. Rusini wysunęli dr. Okuniewskiego, adwokata z Horodenki, Polacy jednak nie mogli nikogo znaleźć na posta kandydackiej. Wreszcie ze sfer duchownych wskazano na osobę pobożnego sędziego Wierchowskiego jako kandydata a ze motyw wysunięto, że ten właśnie sędzia petnił się ubiegając o Buczacz, Tłumacz a obecnie w Haliczu, wszedzie go znają, więc łatwo będzie przeprowadzić jego wybór. Stał się Wierchowski stał się kandydatem, pocztą sobie coś wynotowywać z dziełników po karteczkach i obmyślać argumenty do mowy kandydackiej. Przypomniałem sobie, iż mam w domu gotową mowę, a raczej broszurę kandydacką. Oto znany podówczas w Kraju dyrektor szkoły realnej we Lwowie i współwłaściciel Kopalni węgla w okolicy Ławiatowa Litwinski, człowiek o szerokim poglądzie na świat, kandydując przed kilkunastu latami do Rady Państwa ze Lwowa, napisał i rozpowszechnił broszurę o niedomaganiach gospodarstwa Krajowego i o sposobach zaradzenia stemn. Słuchając tej broszury Wierchowskiemu, ucieczył się mi wielce i odtąd już śmiało oczekiwat dnia pojawienia się przed obliczem wyborców. Nadszedł wreszcie dzień wygłoszenia mowy kandydackiej w Stanisławowie. Pojechałem z nim razem. Zebranie wyborców - polekło odbyło się w dużej sali



Rasynowaj u Indyjce niedaleko ruskiej Katedry. Zebrani  
 przerosli ks. Eiselt, emerytowany katecheta szkoły realnej  
 i zaprosił Kandydata do wygłoszenia swego credo politycz-  
 nego. Miał Wierchowski być postem z piątą rangi, a więc  
 z najszerszych Kręgów Indusji, a nawet swą mowę od  
 wyrodn, z jakiej on szlachty pochodzi i jakieś jest herbu.  
 Można sobie przedstawić, jak bardzo to był niezgrabny  
 akord wstępny. Potem u sposób dość nieśmiały wygłosił  
 treści owych parteczek i prosił wyborców o poparcie. Po jego  
 przemówieniu podziękował mu ks. Eiselt i prosił, by zosta-  
 nit wyborców samych na sali, celem narady. Wierchow-  
 ski wyszedł i udał się według naszej umowy na dworzec  
 kolejowy, iż zaś postatem i stachatem Krystyfi. Najpierw za-  
 brał głos adwokat staniawski Boral (mujesowy), mło-  
 dy a rwały się i palnait, że nad tą Kandydaturą można  
 „rece zastanowić”, analizował też iż ciadlinie żądając, by  
 jeszcze u ostatniej chwili Rogos' poraziniepręps wynale-  
 ziono. Odezwały się głosy ze prokuratorem Hiljanem  
 i z innymi, aż zabrakł głos wymowny a silny u argu-  
 mentach adwokat Włodzimierz Furkiewicz i przemówił  
 na temat „miedzy ślepych jedynostki Królem”, że nie czas  
 już u przededniu wyborów xumieniac' Kandydata, niema  
 się co długo namyslać, musi się na te kilka miesięcy  
 wybrać Wierchowskiego postem, bo inaczej powstataby des-  
 orjentacja wyborców, a łatwo się stać może, że wyszedłby  
 u takim razie ruski ~~post~~ Kandydat Okuniewski. Osta-  
 tecznie zdecydowano się popierać Kandydaturę Wierchowskięgo.

Nadszedł dzień wyborów i istotnie wybór padł na tego kandydata. Z tryumfem Wierchoński pojechał do Wiednia, a sędzię przetrwał przegrywać, ciągle jednak to przyjeżdżał, to odjeżdżał, a gdyśmy go pytali czy zabiera coś w parlamencie lub Kule, odpowiadał, że jest postem młodym, nie wolno mu niestety mówić, ale może myśli wyłuszczyć znanemu mowcy postać Głabinińskiego, a ten to w swych wywodach spóźniał się. Ostatecznie Wierchoński ze swego krótkiego poselstwa zdobył dwie rzeczy. Oto w jankiesi reorganizacja we Wiedniu wymusiła za dopłatą mój stary regar Kieszonkowy na nowy, obojętny i z lubością się rozprawiał nad jego zaletami, a drugą zdobył ~~to~~ było wyjednanie swego przeniesienia z Helicy do Lwowa. W ten sposób zakończył swe przedsekanie w Helicy sędzia Wierchoński.

Drugim po maczelniku sędzią był Stanisław Łuczański, ten swym podobno sekretarz sądu, czyli po prostu pośredniarski starszy sędzia. Liczył ~~podobno~~ lat około 35, blondyn, wysoki, kształtny, raczej starannie ubrany. Był synem ruskiego Kojara z Tarnopolskiego, cała zaś młodzież jego była związana z miastem Tarnopolem. Po młodości praw wstąpił do notariatu, następnie jednak, stając się czynnikiem sędziowskim z odznaczeniem, przeniósł się do stolicy w sądownictwie i otrzymał posadę w Helicy. Odznaczył się doskonałym odolnościami, bystrością umysłu i niezmierną pracą. Był sędzią w Rządym celu wzorowym, godnym posiedzieć w sądownictwie beside stanowisko. Wytworny w formie, rozumny w mowie,



rozważiny w czynach, był jednym z najdelszniejszych sędziów  
w naszym okręgu apelacyjnym. Poza zajęciami binowce-  
mi ze samitowaniem grywał na skrzypcach, a nadto chę-  
tnie polował. Pospół z ks. Lanckim ze Łanek, o któ-  
rym osobno obszerniej napiszę, obszedł ze strzelbą niemal  
każdą pięć ziemi wokół Halicza. Był żonatym z He-  
leną Lang, córką profesora szkoły realnej w Tarnopolu,  
oboje byli bardzo szczęśliwym matieniem, gdyż była to  
kobieta niezmiernie dwóroci, rozumna, rozsądna, szcze-  
rze domowi oddana. Lurakowsy mieli trzy córki: Hef-  
nę, Marię i Stanisławę, ze wiek 7-4 lat, showane, urochane,  
stodkie dzieci. Lurakowa była szczerą, jakby z własną,  
a do dzieci tak się przywiązała, że gdy wyjechał z Ha-  
licza na biela lub młot, tęskniła, aby je co rychlej zob-  
aczył. Mieszkał Lurakowsy w domu znanego powrochnie mien-  
szanina Pantalemona Segina, naprzeciw probostwa tacińskiego  
(plan p. 10). Ale nie długo pozostawi Lurakowski na stano-  
wisku sędziowskim. Dzieci podrosły, potrzeba było kosztu-  
wać, płaca sędziowska na to wystarczyć nie mogła, powrócił  
młód Lurakowski znów do notariatu i jako pierwsze miejsce  
otrzymał Rozimiatów, gdzie przy rozstrzygnięciu szych szało-  
mitych rzadłości miał duże powodzenie, następnie zaś  
po starzeństwie przeniósł się do Kotonu.

Trzecim sędzią był Dionizy Niementowski. Liczył wte-  
dy lat około 33. Pochodził z Lichwiniec koło Husiatyna.  
Gimnazjum skończył z odznaczeniem w Tarnopolu, Univer-  
sytet w Lwowie, był auskultantem w Lwowie, gdzie go też



pożnatek, potem został sędzią w Helicem. Miał, drobnych  
 rysów, brunet z ciemną krótką brodą, energiczny, rozumny,  
 interesujący się wszystkim i na wiele dziedzinach się rozumiejący,  
 znat ludzi z połowy Galicji bądź osobiste, bądź z opowiadania,  
 w sędzię odnosił się szybko pracą, stosując przy sadzeniu za-  
 sadę zdrowego rozumu. Stęgię lata prowadził dział karny.  
 Całe życie ciężko cierpiał na bole reumatyczne, niemało na  
 ulicę się stęszano, jak w domu głośno stękał z bólu. Był żona-  
 ty z Marią Romanowską, córką obywatela ziemskiego z Ho-  
 rozanb, a później podhajeckim, a była to kobieta dobra, pra-  
 conila do upadłego, domatorka, dbała o zdrowie mego męża,  
 którego w czasie choroby pielęgnowała z poświęceniem.

Mieli troje dzieci: Stefana, Anny i Marię. Mieszkał na  
 międzywodziu przy stójnej ulicy wiodącej od rynku, w domu  
 Konrada Skrzetowicza, przy placu koło studni. Niemontow-  
 ski lubił polować i między innymi popołudniem szedł ze  
 strzelbą na ramieniu na polek halców. Z Flakisa  
 odszedł z awansem na starszego sędziego do Monasterzysk,  
 stamtąd został radcą sądu w Czortkowie, gdzie z nim prze-  
 żył jeszcze sześć lat, a potem przenióst się do Sambora,  
 gdzie jednak słomany niecierpliwością wojny światowej i  
 własną chorobą zmarł w sierpniu 1924. Spłynęła mi  
 taż wiadomość o jego zgonie, bo żył z nim przy-  
 z nim i żoną. Nieraz w życiu okazał mi się tak oddanym  
 jak rodzony brat. Powrócił do jego osoby jeszcze w rodzickim  
 w Czortkowie. Gdziekolwiek pełnił urząd, była osoba popularna,  
 powszechnie znana i lubiana. (zob. fotogr. str. 243).

Czwartym sędzią był Bohdan Monciebowicz, młody, bez-  
 cenny człowiek, syn ruskiego Księdza z Katakawórki nad Żbrn-  
 czem. Pierwotnie był sędzią w Lutowiskach, skąd przeniół się  
 do Haliacza równocześnie ze mną. Zdolny, pracowity, poważny,  
 odznaczał się Kolerianiskością, chętnie każdemu pomagał, o ile  
 go kto poprosił. Ożenił się z córką profesora seminarjum na-  
 uczycielskiego dr. Jachny z Stanisławowie. Był następnie rad-  
 cą sądowym w Chodorowie i Stanisławowie. Miał najpierw po-  
 tęgę dzieła spadkowego, potem zaś objął po Niewentorskim  
 dzieło Karney.

Piątym sędzią byłem ja, najpierw miałem dzieło spor-  
 ny a potem, gdy to objął Wierchowicki, miałem potęgę  
 dzieła spadkowego.

Gdy więc objąłem w Haliacu w październiku 1902 r. urzę-  
 dowanie, takisto było pięciu sędziów. Agendy były bardzo dob-  
 re, prawo stosowane nie ściśle, po czerpnięciu linii bezstronności, z  
 pełną świadomością odpowiedzialności i wagi urzędu sędziów-  
 skiego. Zespół był bardzo dobry, z wyjątkiem rozdziału, ja-  
 ki stanowił naczelną sędzią Wierchowicki.

Był jeszcze przez krótki czas sędzią przydzielony  
 Ficatonow. Młody, bezcenny człowiek, jedynak w swej oj-  
 czynie, dobry w Chodorowie. Był poprzednio asystentem  
 w Hryjnie, gdzie się Rochat w całym następstwie panien i pań  
 listów miłosnych miał w swoim kraju, zniżone staranie  
 szpagnetem w pojedynkę parkietu. Później też trzyma —  
 reputatem raz też Kuleg —, naco mi odwrót, że nie może te-  
 go zmniejszyć, bo ichi ptości autorka wyjdzie za mąż, a



szarada zwrota, musi je oddać i dlatego obecnie trzyma je w pogotowie. Fiektorin był radawym porożem, okrągłej miodzienniczej twarzy, wzpierzaczony jedynak, niechętny brać się do pracy. Przeważnie poświęcał sobie przez szczerinę, jaką miał w rozstępie przednich zębów. A nie nęcił się, bo był sędzią przydziałowym czarown, bo prawa samodzielnego wyrokowania, pomagał tylko szarom innym. Od nas wędził do północy i innych sądowniów powiatowych, nie pamiętam dokąd, moxiliście do Harej Soli, tam gdy raz szedł na przechadzki gościniec, zrobiło mu się niedobrze, usiadł na stonie słoncowych kamieni i zmarł tam na miejscu na serce. Mógł liczyć lat około 28.

Po odejściu Łucakowskiego przybył na jego miejsce szar Wiktor Szulakiewicz z Podwołoczysk. Żonaty, berdzietny, w twarzy usuniechniętej, w oczach rybich, małym czarnym wąsik, był cotonikiem średnich zdolności, ale dużej pracowitości, o charakterze prawnym, w stosowaniu prawa był ostrożnym i przewzoronym, w obejściu Kolerian'skich trzymał się w rezerwie. Mieszkał w domu starej pocioty (plan p. 26). Potem był szarą w Przemysłu, radcą sądu w Kopyczynicach a wreszcie w Stryju.

W miejsce Wierchowickiego przyszedł na nawelnicę sądu do Halicza Miron Hordynski ze sądu w Jarosławiu. Człowiek młody, pełen życia, zdrowie tryskało mu z niego, czarna czupryna na głowie, czarne małe wąsy i oczy także czarne zdradzały energię, wesołą i tyrały ruchliwie na wszystkie strony. Zdolny prawnik, robił szybko jak maszyna, sadził rozumie, argumentował dosadnie, jednym słowem był doskonała siła. Opisać jego był ruskim Kuznierzem i pocięciem jaworowskim.



9. 5. 29

2. 1929

"Wielce Szanowny i bardzo Kochany  
Panie Lech" - mój kolego!"

Nie poqrzera się Pan niekiedy z to-  
wiarzami tej przyjaźni, bo ona wyraża mi  
tak z pod piera, że o nim się obierat - a daję  
wypow ucinam, jakie mnie wadziociem do Pa-  
na przepetnia! - Poznatem list Paniki z otola-  
ka po piórnice znanem mi tak dobrze z prze-  
życi, dnochciem kilitu.

Lechciecie się miękotym dozwolen paunici  
o mnie - i niech mi Pan wierz - trami kasty  
mi omy na wspomnienie chwale bezporotnie  
milionykh dni rorem spektromykh dngi, kie-  
dyto miodym się byto - i inowej na tricot i  
igie pobyto. - Kto to pisun technice tolka  
stosera zjaskiroscia - przyjac proce rornie  
stosera pochinka.

Kto mnie nie resoto - nie dobre się ongi od oltwi-  
step oram na adroim - a stan ten corok się po-  
garnia bez riodoków na obiecymane mi polepsanie  
- a ino "proci zblizamy się ku jesieni" jak

marcie śp. ks. Ławicki - wszystko uścisnęła ma-  
szoj kancie - i ja zbliżam się do niego kresu  
trapiący na śmierć różnymi troskami, któ-  
re tempo nie jest zbyt przyspieszają.

Przepraszam Hochanosa Pana jako opóźnienie  
bo ślad Pan przychodzi do odległego miasta  
jedeniad - tak jakoś wygodnie mi było nie-  
potrzebnie - proszę wybaczyć.

Od kilku tygodni nie wródził - bardzo  
bardzo w kancelarii przez subdyktora - nie wiem  
kiedy to skończy - nie wiem i nie skończy  
to stan mego zdrowia nie pozwoli mi na in-  
terwencje - a no, naprawdę też w życiu  
długo - nie wiem to zbliża się koniec, nie du-  
żym kawałkiem jeszcze uprzedzić, gdzie  
miałbym jeszcze to i co w życiu do zabawy  
wied. . . ale u nas to też Parki i Stogomski nie  
ogladają.

Kapitał Pan, co mi właściwie brakuje, a  
prócz Stroni i Głównego lekarzy - u nas  
skoro roztwór nerwowy w wyjątkowym stopniu  
o przeciwnościach dla mnie osobiste symp-  
tomach - czemu też daje wyraz, co za  
popłochując.

Wszystko co do mnie -  
Lena i córka Maryla, które w roku realnym

wyjeżdża do Mentony - w tym roku major  
nie wyjeżdża dobrane - nie dlatego, że nie  
mogłoby mu się odjechać.

Wnie różni lekarze do różnych wysyłają, wdro-  
żisk, badań krajowych, badań krajoznawczych  
ja nie mam ochoty nigdzie z ruszyć, wszelka  
inicjatywa i energia u mnie zanikła i nie  
wiem czy jeszcze odzyska.

Lisť Caiuski doť mam [..] [..] / asumpt  
do wosporuicich dnamykh lat i praxij kret.  
lickich - ot smutno i tesno zol'tem, co  
bylo kiedys, mniogo i nie coo i rikoj.

Kieruję na ten urząd w niniejszej tonacji  
wypisanej korespondencji - a odwołując  
Kochanemu Panu raz jeszcze kołaskara  
pamięć - tamże wyrażę prawdziwego szta-  
cunku i szczerego podziwiania

Jermaine Lurkowski

Ed Lang i cër "Nijciori" Komplement.



2. 2. 2.



Fotografia przedstawia  
szarych habacich z r.  
1906.

Siedzą drzej, a to po  
lewej ręce naprzeciw  
niósł nacelnik są-  
du Głordyński, po  
prawej sędzią Szula-  
kiewicz. Stoje zaś od  
strony lewej Kł. pra-  
wej sędziowie: Nie-  
mentowski, Ostrow-  
ski i Monciebowicz.

\*

Zdjęcie dokonane  
na górze kamkowej;  
tłem jest ściana  
ruin baszty kam-  
kowej.

\*

Przy odselejanin z Ker-  
toma fotografia uleg-  
ła uszkodzeniu.

W Heliowu wszyscy uczestnicy pańien zawrócili się odwrócić na nowego  
nacelnika sądu, który bardzo lubiał ich grono, ale różnej mi-  
wytrzymał ponad inne. W towarzystwie był Głordyński niezmiernie  
miły, swobodny, zabawny. Że mna rozpolił się, bardzo, razem

się stawaliśmy, jednakowoż mieliśmy stawić, jednakowo spędza-  
 liśmy czas poza sadem, a wnet Hordynski tak ściśle się ze  
 mną związał, że mi wracał się ze mną nawet na kilka godzin.  
 Ni byto mi do pomysłenia, czego by dla mnie mi zrobić, a  
 ponieważ był to człowiek o szlachetnej duszy i niezmiernie  
 dobrem sercu, staczała nas szczerą przyjaźń. Kiedy on wy-  
 jeżdżał na komisję na proces grantowy na wieś, ja choć danej  
 sprawy mi sądziłem, wyjeżdżałem z nim razem, a ponieważ  
 przypisano mi główne zasady pomiaru grantów, mierzylem  
 pola, ogrody i zapyndy, i czerpnąłem wiele rozkoszy. Zresztą  
 często przychodziło na miejsce do ugody, bo skoro już dwóch  
 sędziów doradzano, aby się tak lub owa pogodzić, strony na  
 to przystawały. Gdyśmy raz z takiej komisji wracali wieczorem  
 z Komarowa, pamiętam jak Hordynski otulał mnie w mój  
 płaszcz mówiąc: panie Maryjanie, chłód wieczorny pociąga, ja  
 się o Pana tak troszczę, jak o dziecko! Istotnie był o mnie  
 niezmiernie troskliwy, a mnie nigdy przez myśl nawet nie  
 przeszło, bym ze swym pałacem zdrowiem miał przeżyć  
 tego człowieka, tryskającego siłą i zapowiadającego staletni  
 wiek. Był Hordynski szczególnie ściśle z domem geometry Hüllera,  
 bo znał się z Jaworowa, był nawet z rodziną inspektora Ko-  
 lejowego Pileskiego, schodzili się często, niemal codziennie  
 na dworcu kolejowym, gdzie w licznej gromie panów i pań  
 byłował humorem, zadowoleniem, doświeceniem. Gdyśm odjeżdżał  
 z Heliwa w r. 1906, żałował ze mną rozstanie, a ja ze nim.  
 Po moim odjeździe wziął się do Książki i jechał jako nawiedzony  
 sędzią poskładać rygorozę prawniczą na Uniwersytecie lwowskim



i został doktorem praw. Jeszcze około roku 1910, raz u prze-  
 jędzie przez Stotomys postąpił do mnie, bawiliśmy razem  
 przez jedno popołudnie, byłem już wtedy żonatym i miałem  
 synka, wspominaliśmy dawne czasy, odjechał u znakomitem  
 adwokacie, ale pożegnałiśmy się na wieki. Wybuchła wojna świat-  
 ła r. 1914, Głordyn'ski zamieszkał we Wiedniu, ~~z~~ był to ora-  
 zy nieperne, rzucano bezmyślnie podejrzenia na wszystkich  
 o rzekome, nielojalne względem Austrii, Głordyn'ski ~~popadł~~  
 był ciągle w wyimaginowanej obawie aresztowania, on czło-  
 wiek tak rozumny popadł u jakas' mniej przesładowca, ja-  
 koby mu miało grozić aresztowanie, o którym zresztą nikt  
 nie myślał. Czat się przyspieszył fizycznie niedobrze, uskarżał  
 się na bole żołądkowe, tak iż się uddat u opieki lekarskiej.  
 Jrodki zaradze nie wiele pomagały, Głordyn'ski poszedł na  
 klinię, orzeczone, że musi się poddać operacji, uspio-  
 go, otwarto jamę brzuszna, lekarze znaleźli, że rak opłatał  
 już wszystkie jelita, o ratunku mojego nie było. Zasztyto ra-  
 nę operacyjną bez wycinania nowotworu, a gdy Głordyn'ski się  
 obudził, powiedział mi na pocieszenie, że operacja do-  
 brze się udała, pobędzie na klinice jeszcze 14 dni, zani-  
 rane się zagoi, pewien pojedzie u góry na rekonwalescencję  
 i będzie dłużej lata zupełnie zdrowy. Rozjesiniła się twarz  
 chorego, wodził swymi oczami, ruchliwie wozyma po  
 suficie i leżąc układał plan wyjazdu. Ale to była gorzka  
 utka. Po kilku dniach znowu zakańczył. Tak przesunął się  
 się przez świat jeden z nawiedzonych sądu kahalickiego. Mieszkał  
 u domu emigranta Lesiewicza (plan p. 13). Zmarł u siebie wiek.

Głód helicki miał także całą szereg urzędników pomocniczych. Najstarszym z nich był Władysław Przepięcki, naczelny sekretarz i skarbnik sądowny. Liczył wówczas lat około 60. Wysoki, nieco już pochylony, głowa na pół siwa, broda u nietadzie rozczochrana, twarz odmieknęta, miły gadata, niezmiernie sumienny i drobiazgowy. Jednocześnie utrzymywał z nim stosunki towarzyskie, gdyż byłto człowiek inteligentny i uprzejmy, a stanowił jakoby zastępcę z danego sądu, kiedyś po raz pierwszy był jedynym sędzią a po Przepięckim jedynym sekretarzem. Był żonaty, miał żonę rozsumną i dobrą. Mieszkał we własnym domu, który sam sobie zbudował u wylotu ulicy Jorkota (plan p. 22.). Miał dwie córki zamężne, jedną ze urzędnikiem podatkowym, drugą ze nauczycielem seminarjum nauczycielskiego w Łodzi. Od jednej z nich miał wniosek około 3 lata bieżący, która Rochał była śliczną młodą. Po moim odjeździe z Helicy, zaraz na Władysława powstał ten mały kłopot z życzeniami imiennymi, na którą zaraz otrzymałem odpowiedź. Ale po kilku latach już ona rychła odpowiedź mi nadchodziła. Po pierwszej zwłoce odpisała mi żona, że mąż zmarł. Żył u Przepięckiego z hr. Bukorskim, o którym później wspomnę.

Drugim urzędnikiem sekretarskim był Jakób Kieniewicz, rusin, mający ~~się~~ niedługo klasę gimnazjalnych, kury, renty, szybko pracował, który na każde pytanie rzucił, nigdy mi nie był dłużny odpowiedzi. Mieszkał u rynku, tuż obok muru kościelnego, był dwa razy żonaty, miał jedną córeczkę. Trzecim którego zapamiętałem, był Janorowicz, starszy człowiek, miał



mloda żona i trzech synów. Cichy, pokorny, średnich zdolności, przesilił się następnie do drohobyca, celem kształcenia dzieci. Januszka była Robiętą energiczną, rezolutną i zapobiegłą, umiała znakomicie prowadzić dom przy małej pomocy swego męża, stała cenioną ją i podziwaną.

Z szeregu ich pisarskich odznaczał się Szinbaniuk ogromną wydatnością, robił za trzech, dzielny, rozumny, ogromnie posłuszny. Drugim takim był Siwicki, syn mieszczanina halickiego, bardzo zdolny, samodzielny i rzetelny. Nauczniak Wierchowski nie mógł się jednego dnia bez niego obejść. Wreszcie pamiętam trzeciego, byłto Karaita Zornohoriz, młody, czarny chłopczyk, przypięty do bezplatnej praktyki na pisarza i mnie przydzielony. Właśnie on mnie robił powiatki, później zaś wybił się na pierwszorzędną siłę.

Adwokatów miał Haliż dwóch. Pierwszy zwał się dr. Jan Lityński, rusin, żonaty z Breiterówną, córka bogatego budowniczego ze Lwowa. Bezdzietny, samotny, żył i optywał z dostatkach ile chciał i jakich chciał, to pani Lityńska była szczerze ukochaną córką swego majątnego ojca. Głęd ciągle ze Lwowa szły kosze do Haliża z najznakomitszymi przysmakami, winami, marynatami, tytoniami itd. itd. Właśnie adwokat Lityński sam miał własny majątek, a i adwokatura dość niósła, więc żył sobie Lityński dostatnio, wygodnie i oświecamenie szczęśliwie. Codziennym gościem u nich był emigrant Lesiewicz. Przy końcu swego pobytu u Haliżan Kupił Lityński dom na rogu ulicy K. Łatynski, naprzeciw



248

Tacińskiego probostwa (plan p. 11.). Kancelaryj miał w rynku  
w domu mieszkanina Graszewicza. Potem przeniósł się  
do Lwowa.

Drugim adwokatem był dr. Hahn, wyznania mojżeszowego,  
zapobiegliwy, pilny, skromny a bardzo pracowity. Nierzadko  
się wracało bardzo późno do domu w nocy, można było w-  
dzieć śniadko w kancelaryi adwokata Hahna. Siedział i wy-  
pracowywał jakiś pilny a terminowy akt na jutro. Gdyśm  
się, kiedyś rozgadał o pracy, Hahn wzdychał ciężko i mówił:  
Gdy siedzę przy obiedzie i mam przed sobą kawałek mięsa,  
tak w duchu myślę - mój Boże, ileż ostonieł masi się natro-  
dzić, naletać, nagadać, napisać, nim wreszcie zarobi na ten  
mały kawałek mięsa! Był żonaty, miał dwóch synów,  
też ich „budrysów”. Mieszkał obok marowanej cerkwi ruskiej.  
(plan p. 31.).

Notariuszem był Michał Sawicki, podchorząży w Buż-  
cza, znamienne postać w mieście. Liczył lat około 65, wy-  
soki, posażnej postury, twarz golona z matym wąsikiem,  
zawsze rumiana jak w młodzieńcza, głowa tyła, nadzw-  
yczaj prosty wzrok, prawie że matowo widział, tak iż na-  
hlić nie mógł rozpoznać ludzi, a gdy szedł ze żoną na  
spacer, ona mu mówiła: idź naprzeciw tej lub ów, stał  
znowy był naprzeciw, jakiś stopień nprzejmności zastanawia-  
o ostonienia się. Elegancki pierwszy klasy, reprezentacyjna  
postawa, sztywna, dumna, napięta na wszystkie guziki.  
Był żonaty, bezdzietny, posiadał piękny dom na drugiej  
rogu ślicy ku Łatarku. (plan p. 12.). Jako prawnik był prawie  
nula,

jako ciotonek Kapryśny, wyniośły i rozumiejący o sobie, lekki i ocenie innych, i obejściu swój, gdy mówił z Kim i ocy, zgrzyliły poze ocy ma, gościany i domu, lubiał przyjemności wielkie i podróże naukowe. To był ów biblijny ciotonek, który widział zdobę i okn blizniego, ale nie widział tram w własnem. Hlepego nie miał i miescie ani jednego ciotonka i zotowego. Był jakiś czas burmistrzem miasta Haliexa, na tem poln wiele dobrego dla miasta nozymi, nadeł miasta jakotako wyglad europejski, uporządkował goz ramkow, pokndował na niej par'lon i po sześćdzet drzewka, jednak to zle zrobil, ze kazal zasypać historyczną studnię na dzień dzisiejszy ramkowym. Gdy prze-mawiał w sprawach publicznych, znać było, że mówi ciotonek doświadczony. Me mira nie miał i mirko.



Pawilon na zamku. (Don merhale am Schlossberg)

Paui Janicka mirze od meza, okraglej tuszy, szybko mówiąca, była osobą troskliwą o swego meza, orzedną, dla ubogich dobroczynną. Zostanitem notariusza Janickiego i Haliexu, po tem przeniośt się do Złoczowa, gdzie przeżył wiele cierpień podczas ruchomości ukraińskiej w r. 1918/19 i zmarł tamże, dożywszy późnych lat.

Geometra rzadowym był Erwin Heller. Blondyn m. dawego odcienia, z okragłą brodą, tarciegi Kolom, typ ściśle niemiecki, choi bardzo dobry polak. Hledziat ciągle nad swymi mapami lub jeździł po poniecie. Ciotonek lubiany, miły

i prawy, opowiadał zwykle różne faccacje badi i tane, badi cadze. Był żonatym, miał trzy córki, wszystkie przystojne, o pokroju artystycznym, byłyto męczycielki, powetki iucione, odziedziczyły zaś to po matce. Nie mógł Heller dopić do porożnienia ze swymi władzami nadzorczymi, więc spensjonował się i osiadł w Haliżu jako geometra prywatny. Przedtem był Hellerem w Jaworonie i tam poznał się z Hordyn'skim, późniejszym naczelnikiem sądu halińskiego, stąd gdy on do Haliża przybył, żył się odrazu z domem Hellerów.

Na miejsce Hellera przybył do Haliża na geometrę Pyrzanowski, młody człowiek, lat około 30, brunet z gestą, czarna okrywną i dużym wosem, charakter, dobroduszny, towarzyski, o niewielkim polowie myśli, przytaczał ze swymi znajomymi a Hordyn'skim nazwał go po prostu „Pyrzan”. Wiadomości, zmarł wreszcie na cukrzycę. Mieszkiał cały czas i miał swój urząd w domu aptekarza Ormeżowskiego, pomiędzy Ryską a mostem.

Urząd podatkowy mieścił się w ratuszu, miał kilku urzędników, którzy ciągle się zmieniaли — jednak iad. nego nazwiska nie zapamiętałem.

Były dwie szkoły powszechne i nieliczna szkoła Roszykarska. Szkoła męska była na pierwszym piętrze w ratuszu, żeńska zaś obok sądu (plan p. 4) i rynku. Ze szkoły męskiej naczelnikiem był panułowicz i ziołko i zaś była Kierowniczką Keronika Staszkiwiczowa który ma być i innym powołanie inspektorem szkolnym, nadto naczelnikami i tej szkoły były panna Mejserska córka znanego geografa z Lwowa,



Józefa Zabłocka bratania głównego Kanonika Kapituły Łacińskiej  
 ścieżkę Łowic i współkandydata na arcybiskupstwo łowickie  
 po Wierzbickim, wreszcie Potocka, córka kierownika  
 szkoły na Łanidobrze i Samborze. O ile kierownictwo Głównego  
 Kierownika była Robiętą <sup>nieco za</sup> sztywną i wyniosłą, o tyle trzy in-  
 ne nauczycielki były skromne, pracowite, rzetelne i wzorowe.

Originalna była historia szkoły Roszykarskiej. „Detaj-  
 my przemysł krajowy! Słuchajcie grek i łacin i innych fantazji,  
 kształcimy młodzież na dzielnych rekrutów i podwładnych  
 się dobrobyt, ~~raz~~ wzrosła się kultura, porządek przed świątami,  
 co musimy i co umiemy!” Takie mniemanie krążyło w  
 po kraju po słynnej książce Józefanowskiego „Nadzieja Galicji”. Pod-  
 jego zdrową myśl także i w Haliżu. W tym miejscu położonym  
 na słynnej orteckiej rzeki, niewielkie nadbrzeżne obszary porośnięte by-  
 ły wielką pierwotną jaskinią, która niestety uległa zaga-  
 granie, aby tam z niej sporządzać wyroby Roszykarskie, a po-  
 tem nam je sprzedawać za drogie pieniądze. My zarobek zostali-  
 śmy ~~z~~ kraju a z szeregów ludności w miejscu Haliżu, pobudowano  
 zgrabny budynek nad Łanką przed mostem (plan p. 28) i zało-  
 żono tam szkołę Roszykarską. Nauczyciel fachowiec nadzielał na-  
 uki, kilkadziesiąt chłopców czekało przy stółkach i rozpo-  
 cięta się nauka. Najpierw uczono rozpoznawać precieki, potem  
 uczono je ścinać, dalej uczono obierać je z kory, sortować, karto-  
 wać itp. Gdy chłopcy wracali do domu i opowiadali to ojcom,  
 ci cieszyli się, że dziećmi ich postępują w nauce. Ponieważ wielu  
 chłopcy opłacać precieki, wyginać je i wyrabiać drobniarki Roszy-  
 karskie. Niebawem już wyplatali Roszyce, najpierw grube

na kartofle, potem lepsze na owoce, potem jeszcze lepsze na zakupy mniejsze, ba, poczęto już wygrabiać walizki koszykowe. Przestała wcale zgrabne i stołowe na verandę, co rozsyłała szkatła sprzedawca na pokrycie swoich wydatków. Ale z tego stadium ostatniego powstała czarna i całym Haliżan, nie z radości — jakby czytelnik sądził — ale z oburzenia. To jest wyrzysk, krzyk głosu Haliżan, to jest nadżycie mi do sierpienia! Nie nam chłopcy pracują na to, aby szkatła ich wyroby sprzedawca a pieniądze sobie brata! Nie zgodziły się na to żadną miarą, ho — ho, niekt nas ze nas rodzic nie będzie, mamy przeciw zdrowy rozum i głowę! Albo nie płacicie chłopcom za roboty, albo odbieramy ich do domu! Właśnie w płaceniach mogą być nie mogło, Haliżanie odebrali chłopcom ze szkatły, choć jeszcze program nam ich nie był wyzerpany, szkatła zaś upadła. Tak była podjęta i przeprowadzona szkatła

## Zarząd miasta Haliżan

odda

### do eksploatacji i przeróbki

na miejscu około 60 morgów wikliny koszykarskiej na bardzo dogodnych warunkach oraz plac pod budowę pracowni tuż pod stacją kolejową. Oferty do 1-go grudnia 1925 roku. 5111

roku 1900 zarowno myśl podniemi przemysłu rodzimego. Za moich czasów stała szkatła pustką a zarowno całej plantacji w Haliżu wygłębiono nad smiercią,

odbierano na miejscu z Rury a biete przeciw wyrozonu koleją do Haliżan.

Stacja kolejowa rozszerzona została od czasu powstania linii kolejowej Haliż - Tarnopol. Słoty pociągi i przewożenie w lewo, a Haliżanie wcale bieżnie i dnie niedzielne i świąteczne

wybiegli na peron kolejowy, by się przejrzeć ruchowi. Za moich  
 czasów był maczelnikiem stacji kolejowej niekiedy już ciotnik  
 Zieliński, postać wyniosła, barokysty, która rwa, chorował na  
 niedomagania nerwowe, chodził na długie spacery linją kolejow-  
 ą, a tyłko bardzo starannej opiece swej drugiej żony przeważ-  
 nie rzyce. Był Sodalis Menjans i chętnie odznaka tej kon-  
 poracji siebie religijnej nieszał w klapy przy podniosłych  
 uroczystościach. Spensjonował się i umarł w Kłotomys okolo  
 r. 1907. Po nim został maczelnikiem stacji Moczydłowski,  
 ciotnik młody, pełen życia i zapadł do pracy, inteligentny  
 i miły. Ledwie się wprowadził na stację halicką i rozdo-  
 kował, pojechał do Wiednia do Ministerstwa Kolejowego  
 podziś Korac' na awans. Gdy ustrojony w mandaryn urzędow-  
 ą ozdobiał w poczekalni prezydjalnej na nową kolej  
 audjencji u ministra, padł nagle trupem. Aby nie prze-  
 razać żony, zatelegrafowano z Wiednia o wypadku do Dyrek-  
 cji Kolejowej do Stanisławowa. Tu awans również, aby nie prze-  
 razać tej nieszczęśliwej Robiety, wysłano dwóch starszych  
 urzędników do Halicza, by ją ogłosić i o tym smut-  
 nym wypadku powiadomili. Gdy ci dwaj wsiadli do pocią-  
 gu w Stanisławowie, aby się udać do Halicza, z ostatniej  
 chwili reszta do tego samego przedziwnego Pani Moczydłowska,  
 radypzana, bo ledwie zdążyła zachwycić pociąg, obawiona  
 różnemi sprawami, Kupionemi w Stanisławowie ze wzglę-  
 du na nowe pomieszkani na dworcu halickim. Dżym-  
 na powzięła ze znanymi już od dawniej urzędnikami roz-  
 masiać, wyrażając zadowolenie, że ma już dostać Halicz, na górze



nej linii Kolejowej, w pobliżu dużego miasta, przyczem roz-  
 sumata ~~sobie~~ plan utworzenia sobie tacya na przyszłość  
 na nowem miejscu stacją. Delegaci mi żużli nie otwo-  
 rzyć i to im niezmiernie przykrem było, że niet maza  
 rozwiać te cioty myśli nieswiadomie uradowanej a i istot-  
 cie tak nieszechstwy Robiety. Zajechat począł na dworze  
 halicki, kami Marszałkowski prosita Koniecznie aby, by  
 po czynności urzędowej na dworze, przyszedł do niej na  
 piątko na herbatkę, przedkła ich przegnała, idąc na górę,  
 by zarządzić co wypadła na przyjęcie gości. Niebawem też  
 przyszedł na herbatkę, ale by przed nią odrzucić jej ciutkie  
 nieszczęście. Zagał namiętnie na jej ustach, bo zagał jej  
 rozczucie na rękę. Przeniesiono Marszałkowskiego na Ront  
 Państwa z Wiednia do Norwega Jęcza i podchorążo i grobowem  
 rodzinnym. Jako szlachta spadkową przeprowadzatem po  
 nim postępowanie spadkowe i oddatem zdrowie wszystkim  
 drobiazgi, jakie wyjęto z martym z Rieszem po jego  
 śmierci, między innymi także minjaturę odrem pa-  
 pierkiego. Nadto opowiada mi nowos o wszystkim,  
 co tu opisałem.

Następnym nadzwyczajem stacji kolejowej w Haliczu  
 był Jarkiewicz, otwierak o silnej budowie i o pulsującym zdro-  
 win. Katerjet dość surowy. Odjędziejac z Halicza zostawitem  
 go na stacji, jednak niebawem potem umarł na zapalenie  
 płuc.

Obok urzędu ruchu były w Haliczu dwie tzn. Sekcje  
 Konserwacji linii Kolejowych, a to jedna dla linii czer-

niowieckiej, druga dla tarnopolskiej. Naczelnikiem jednej był starszy inżynier Pileski, szatyn, o popielatej niedużej brodzie, cstonień wielkiej kultury, czystego charakteru, rozumny, miły, ngrzeczniony. Umotywanem jego w godzinach porastwibowych była hodowla róż. Miał rona z Czyżewiczoń przystojną, rosta, efer. tozną kobietę, nieco ekscentryczną, lubiącą wir życia, liczne gro. no gwarnych biesiadników, oboje byli gościnnymi i serdecznymi ludźmi. Mielł dwu dzieci, córkę Marię, ładną panienkę, mawczytelkę, tkliwą i mczucin, rozbudzoną we wyobraźni. Synem chodził do szkół w Stanisławowie i był dumą swoich rodziców. Pożegnatem tę rodzinę w Hłobczu, następnie przeniósł się Pileski z awansem do Krakowa, gdzie też przedwzrosł i zmarł. W tej sekcji był inżynierem Wölfeld, oieniony z córką, lekarza ze Kolego Mirosłowa, młodzią, miał liczną rodzinę, ciężko walował z losem, nim zdolat sproutać obowiązków rodzinnym.

Kierownikiem drugiej sekcji był starszy inżynier Jerschöpf, jasny blondyn, cstonień skromny, cichy, nie wyrażający się nigdzie. Był żonatym, miał troje dzieci, wszystkie o ślicznych, jasnych jak leś włośach. W późniejszych latach popadł z rozstrój nerwowy i skończył samobójstwo, potoczył się na szynach Kolejoie pod nadchodzący pociąg we Lwowie. W tej sekcji był czynny inżynier Moritz, ogromnie siłisty, siwobłysta, postrach dla podstądnych, żonaty z Barogienicówną z Czortkova, ojciec dwójki dzieci. Trzecim inżynierem w tej sekcji był Niebieszorawski, syn profesora gimnazjalnego ze Stryja, zdolny i bystry, zastąpił się przy budowie „Lokota” w Hłobczu, miał jednak jedną niemłą narzeczłą, nie rzadko o kim mówił

dobrze. Ożenił się z córką geometry Hellera, o którym wspomniatem powyżej. Wszyscy wymienieni tu urzędnicy kolejni mieszkali bądź na dworcu, bądź w domu, obok dworca postawionych budynkach.

Do niedawna przed moim przybyciem do Haliwa była ta postać niecierpalna, tj. niepoł przydatna, a miesiła się na przedmieszcini nad szmistrzem (na Zaparkanin) (plan punkt 26). Powstrzymistrem był Konstanty hr. Bukowski. Znamienna to była postać w naszym mieście. Nie był wysoki, niegdy wzrostu, brunet siwiejący, twarz gębna, rasy rozkłacone w nieladzie strzelaty naprzód, dolną szczękę ciągle poruszał, (jakby nie miał zębów), bardzo niedostępną, stąd ciężko było z nim rozmawiać, on sam zaś mówił ogromnie głośno. Był cónatym i długie lata bezdzietnym, aż dopiero gdy miał lat około 65 urodził się Bukowski chłopak Marjanek, ze swoich czasów około pięć lat chorący. Rodzice miernie się tem dzieckiem cieszyli, chłopaczek zaś rozpierworony, bardzo był ciępy. Bukowski żył w szczególnej przyjaźni z oficyątem sądowym Geczygielorskim i mówili sobie przez ty. Za młodych lat brat Bukowski nadziat w powiatowin narodowem w r. 1863 i jako Komisarz prowiantowy, ściagał daniny w pienięgzech i naturaljach, czasami pod grozą rewolwera. Lubiał ~~sta~~ o tem mówić szeroko i długo i z wielkim pacycieniem. Gdy około roku 1900 utworzono w Haliwie postać tw. ewangelną (czyli rzadową), spensjonowano Bukowskiego, dając mu emeryturę paledni oficyata. Tem czat się Bukowski powierzonowy, proniał o an-



audjencji u cesarza Franciszka Józefa we Wiedniu, wyrzekł ja, ułożył sobie piękną mowę po niemiecku, starszy przed monarchą wypowiedział ją z patosem, ale efekt był marny — Bukowski niemielił gładki, niemielił do tyłu, co mu na to cesarz odpowiedział. Wrócił do Helioza, ale na liczne zapytania znajomych niemielił Bukowski tylko stwierdzić, co on sam powiedział, ale nie wiedział, jakie zdanie o tem miał cesarz. W rezultacie emerytury mu nie podwyższono. Jakiś w przytoczeniu dobrego humoru niemielił przystąpił do zjedzenia z tej całej audjencji. Następna noc przetrwała miesiąc w najczystszej piętrowej domu przy ulicy K. Międzypodzie (plan p. 27.) Naucznikiem jej był m. sin Gorki.

\*

Kościół mury, jednokolumnowy, skromny i uproszczony był ~~z~~ <sup>przy</sup> ~~z~~ rynku. Obok Kościoła było probostwo halickie Tacińskie. Były tam dwa budynki parterowe, jeden starszy bliżej góry zamkowej położony, to dawniejsze probostwo, drugi nowszy, okazałszy, niedaleko ulicy, z oszkloną verandą, to nowe probostwo. Powudował je ks. proboszcz Pawulski. Gdy przybyłem do Halioza utrzymała się jeszcze dobrze pamięć o kilku ostatnich proboszczach Tacińskich. Jako o najdawniejszym pamięć o wspomnianym codziennie proboszczu ks. Pawulskim, który wraz z bratem spoczywał na starym cmentarzu koło parku w Replioze grobowej, z portretami ich obn. Miał liczną rodzinę, o której był dbaty. Ladaż dom z ogrodem na trz. Ławin (ostatni przed rzeźnią) kupił i dał

Pawulskim i Łajackowskim, a ja znam jeszcze ostatniego właściciela, starego Kawalera, emerytowanego radcę rachunkowego Dyrekcji domów i lasów państwowych Państwa Polskiego, który dom ten sprzedał prawniczkowi Astanowi około roku 1900 i od tamtej pory ta przestaje być własnością rodziny probosza. Była to tak sama rodzina Pawulskich, z której pochodził we Lwowie ów polski Pawulski, którego policja ujęła jeden raz w Łodzi i który później chodził w <sup>węgierskiej</sup> ~~polskiej~~ o trzech tysiącach węgach. Do rodziny probosza należeli także Skrzetunowie, o których wspomnę w dalszym ciągu. W Kapliczce cmentarnej odprawiała się corocznie msza żałobna za duszę dawnego probosza halińskiego i jego rodzinę.

Po nim był proboszem ks. Illoss, niemiecki i miał przy sobie sporo rodziny. O nim nikt mi nie umiał powiedzieć, gdzie się był obcym polskiemu społeczeństwu. Umarł około r. 1867, nikt nie postanowił nawet napisać grobowego, gdzie spocyna. Był tylko nagrobek jego żony, prawdopodobnie probosz spoczywał w grobie obok niej. Ten sąsiedni grób to była duża kamienna mogiła, kryjąca nierazownie ceglany grób marmurowy ze żłobkami ramion probosza.

Następnym proboszem był ks. Adolf Strzelecki. Urodził się w 1820 w Petrykowie nad Zmierzewem. Gimnazjum kończył w Brzeżanach i Lwowie, teologię w Lwowie, gdzie też był prefektem tego małego seminarjum, po czym otrzymał probostwo halińskie, a z czasem godności dziekana i honorowego kanonika kapituły metropolitalnej. Przekonań ultra konserwatywnych,

kapłan świąt, powszechnie poważany, obywatel orangiowy, nie pił alkoholu, nie palił tytoniu. Ogromnie oszczędny i wykształcony, mając dostateczne dochody z tłuścies probostwa nie pobierał niczego za funkcje duchowne, sam opłacał wydatki i sam trzymał na utrzymanie kościoła i świątyni. Ale było tylko gęst wiekopaniński, bo w rezultacie był ciągle ~~z długiemi~~ z długami i kłopotami finansowymi. Ks. Strzelecki ~~był~~ <sup>był</sup> do rozprawy i ciągle się wyprzedzał swoim wydatkom. Żył w przyjaźni ze sędzią Sziamą, i gdy ten zmarł w r. 1891, tak to podziękował na proboszcza, że poczuł trwogę przed śmiercią, niechęć się o siebie zaniedbać i dla zahartowania się przestał wypić na tydzień. Rok ciężko chorował, zmarł w czerwcu 1892.

Po nim otrzymał probostwo halickie proboszcz z Nawola ks. Enzinger. Był jednak w Haliczu zaledwie krótki czas, zdeje mi się tylko jeden rok, a pewnego razu pojechał na folwarczek plebański do si. Stanisława, tam nagle zmarł. Oproszono go nim probostwo otrzymał ks. Józef Turkiewicz, dotychczasowy proboszcz w Mołostowcach i właśnie gdy w roku 1902 wyjechał do Halicza, on był proboszczem, jego też na ten stanowisko awansował, wyjeżdżając w r. 1906 z tego miasta. Miał wówczas lat około 60, średniego wzrostu, okrągłej, rumianej twarzy, włosy ciemne, mało siwiejące i w młodym wieku utrzymane, czołowiek o gotębiej duszy i z łutem serca, choć nie wlewał umysłem pod niebiosy, ale zato cechował go skromność, prostota, bogobojność i dobroć. Przeważnie codzienny i dwiej



formie leżał a niegdyś rano na stole w jego pokoju, a po  
 a przebywał przez całe życie w pokoju narodził się o Księcia  
 i ulicy. Raz okazując mi sporą księgę z przejęciem mówił:  
 o - wiesz pan, jeszcze mam tylko ~~tylko~~ tych kilkanaście  
 kartek do codziennego czytania z „pars hiemalis”, potem  
 już przyjdzie część wiosenna. Ta lektura wzmacnia mnie  
 na duchu i krzepi w pracy duszpasterskiej. Rzeczywiście  
 też był Kapłanem gorliwym, nie dość cierpliwie catami go-  
 dzinami w Konfesjonale, chodził często do chorych z po-  
 stugą religijną i nieraz dał talarkę srebrnego lub dwa  
 zostawił, by choremu ulżyć w nieszczęściu. Wiedział tylko  
 sprasiał mu trudności w głoszeniu kazania. Jednym słowem  
 byłto człowiek o smagłej prostej, cichej, skromnej, go-  
 ściu, za dobre słowo dawał był ze siebie Koszule. Był on  
 synem ruskiego Księdza, poszedł jednak na łaciński teologię,  
 natomiast jego rodzony brat był Księdzem ruskim, po ordi-  
 niowaniu został Kanonikiem Kapituły ruskiej w Stanisławowie  
 a potem Kanonikiem i mistrzem w św. Józefie w Lwowie.  
 Przy każdej sposobności, na święta lub na lato przyjeżdżał  
 ks. mistrz do swego brata do Haliża, obaj bracia bowiem  
 lubili się bardzo, zamieszkiwał wtedy na łaciński probostwie,  
 przynoszono szaty liturgiczne z ruskiej cerkwi i co dnia ks. mi-  
 strz odprawiał mszę w Kościele, a do mszy służył mu nie-  
 zwołany w wymowie, nieporoniony w argumentach, nieustra-  
 szony w procesach niestworzonym Pantalemon Segin, za-  
 mieszkany naprzeciw łacińskiego probostwa. Ks. proboszcz Turkie-  
 szew, choć ruskiego pochodzenia, jednak solidaryzował się zawsze

z Polakami, był członkiem miejscowych towarzystw polskich, brał udział w polskich uroczystościach i na cele polskie torzył ile mógł. Wogóle cieszył się ten proboszcz powszechną miłością i szacunkiem. W kilka lat po moim odjeździe umarł on i spoczął na nowym cmentarzu halickim obok swoich dwóch poprzedników.

Obok proboszcza był winnym tacyńskim ks. Leonard Kascin'ski. Młody, około 25 lat liczący, średniego wzrostu, brunet jak krak, przystojny, zdolny, energiczny i gorliwy, był prawdziwą podporą starca proboszcza, jego codziennym doradcą i rzecz można powiedzieć opiekunem. Jako następnego powołał na miejsce, iż poza obowiązkami kościelnymi zajmował się także pracą oświatową i społeczną. Właśnie wtedy rozwinął się działelność „Sokół” halicki, a nim ks. Kascin'ski gromadził młodzież i dzieci, urządzał wieczorki, uczył słowa polskiego, pieśni polskiej i krzepił polskie serce, kształtował w młodej generacji. A nie byłoby rzecz tutaj, bo jak jedni byli pełni mi uznania dla tej pracy, tak inni nieradom awersją do do żadnych twórczych czynów, nie jedną mną w tem trudności robili. W granicy rzeczy pracowali namiętnie według możliwości i starano się i ta jego praca z pewnością nie poszła na marne. Z Halicya przeniesiono ks. Kascin'skiego do Borzejan a stamtąd został proboszczem w Śniatynie.

Organistą był wtedy Jan Kalinowski, żonaty, z rodziną, można powiedzieć halicką. Starszy człowiek, prawnie głuchy, obojętny dlań, choć materialnie miał się wcale dobrze (syna miał proboszczem w Rozniatynie), jednak opuszczał go

namietność przemiana procesów. Nie mógł być bez procesów  
a nawet nimi rodzimych swojej zony przez całą swą życie.

Prócz Kościoła parafialnego miał Halicz jezuit  
klasztor franciszkański z Kocietem. Obok Halicza, na wynio-  
stej górze, panującej na dwóch przetrzeni niższy ~~na~~ nad-  
dnestrzańskiej wznosił się klasztor OO. Franciszkanów z Ko-  
ciotem św. Stanisława. Za murów klasztoru było tam po dwóch  
lub trzech księży. Mieli swój folwarczek i z tego żyli. Gwardja-  
nem był najpierw ks. Matykievicz, wysoki, rosyjski, barokowy, osto-  
nisty, miły i towarzyski, swobodny i obywatelski, dolegający mu jednak  
cierpienia nerwowe, ciągle czuł się niedrogi i rakietowany. Po  
nim był gwardjanem ks. Obolenski, przyjemny, ostry, zawsze  
pogodny na duchu, gdy co opowiadał, miał miłą, jakby coś tajem-  
niczego miał do wyjawienia. Mariali' prawie myśli, że na trzy  
kilometry wokół św. Stanisława nie warto się wcale wybierać za-  
strzelką, bo tam jemu strzelał ks. gwardjan nie tylko rozstrzeli-  
wał, ale nawet żadnego wróbla innego nie zostawił. Oczywiście  
było to ponędnym iartobliwem, a tyle tylko było w tem prawdziwego,  
że ks. Obolenski bardzo często wolne chwile spędzał ze strzelką  
na ramieniu i okolicy klasztoru. Administratorem folwarku  
OO. Franciszkanów był braciuk zakonny Józef Turkievicz, na-  
mieszkaniec i nazwisko tak samo się różni, jak proboszcz Taciński.  
Na murowanej ładnej bramie wjazdowej do klasztoru, od strony  
wewnętrznej, tuż nad takim wjazdowym na przetrzeni około  
dwu metrów szerokości a na 3/4 metra wysokości był wymalowany  
długi ramek kaciński. Gdy się o tem domagałem, porządek  
na św. Stanisław do klasztoru, oglądając obraz, podobat mi



się rysunek, choć w szerepach surowy, ale pochodził z daw-  
 nych czasów i nieistniejące już pamieysko ~~nie~~ przedsta-  
 wiało się wcale imponująco. Postanowiłem to odrysować. Nim  
 się jednak namysliłem, jakby to narysować artystycznie a  
 godnie, czy ołówkiem, czy farbami, czy na matym, czy na mięk-  
 szym formacie, czy dla siebie, czy dać ós obraz opisać i u-  
 mieścić w rękopiśmie kalendarium, nim więc przy moich obo-  
 niarkach sędziowskich mogłem coś postanowić, minęło kil-  
 ka miesięcy. Zobaczywszy raz gwardjana, przypomniałem so-  
 bie przez całą i zepowiadając niedługo przybycie. Gwar-  
 djan bardzo mię zapraszał, ale czuł się nieco zakłopotanym  
 mówiąc, że coś tam "trochę" przy odwołaniu brany obraz ze-  
 maraus. Pośredem zabrał do klasztoru i przekonatem się,  
 że to "trochę", to jest właśnie prawie całkowite zniszczenie  
 malowidła, bo po zatykowaniu znaczniejszej części obrazu,  
 pozostało już tylko co mi, nie było więc już co odrysowywać!

Oglądając się przeto wokół dziedzińca klasztornego, zauwa-  
 żyłem, że na drugiej szklanej verandzie klasztoru siedział na  
 krześle z poręczami i do stołka się grzał rozrybiaty starzec,  
 ledwie dyszący, o twarzy ziemistej, poranej brózdami,  
 wydawał się być napół żywym, napół u letargu, bo ciągle  
 drzemał i budził się, dobitny obraz uchodzący za wielkiem  
 życia a sposób zupełnie naturalny. Był to starszy Francisz-  
 kania, nie pełniący już żadnych funkcji duchownych, bo  
 wreszcie i życie przestało już u nim funkcjonować. Ile razy  
 ktoś zacy druziemu do życia stu lat, zawsze mam przed  
 oczyma obraz tego rozrybiatego starca i przedstawiam sobie,

że owo dożycie tego niemu równa się takiemu sennemu umieraniu, jakie wówczas widziałem na werandzie klasztornej. W kilka miesięcy później doświadczyłem, że starzec rasnął na niekro-

senniej u Haličan były trzy ruskie probostwa: jedno to była Kapelanja na Ładmiestrze, zmieszana po wybudowaniu mostu na Śmiercie, a dom księży kupił mieszczanin Popiel. Druga główna parafia była przy cerkwi św. Mikołaja, a trzecia na Łatukni (która za czasów dawnej Polski była przedmieściem Haliča). Cały szereg nagrobków na cmentarzu haličkim na górze obok ruin zamku świadczy o tem, iż i kiedy byli ruscy proboszczowie. Gdy ja mieszkam u Haličan, mówiło się jeszcze o proboszczu ruskim Lewickim, bracie ówczesnego metropolity unickiego. <sup>Proboszcz (ten)</sup> ~~który~~ należał do rozbiorników zamku haličkiego, bo za zabranego stamtąd materiału kamiennego i cegielni za przychylnem pozwoleniem rządu austriackiego, postanowił budyni sadowy u rynku, drugi dom nad samą Łuknią (obecnie własność mieszczan), dom propinacyjny obok sądu u rynku i kaplicę grobową Lewickich na starym cmentarzu. Po nim był proboszczem ruskim ks. Sabaterior, ultraaustriak, zmarł ze smutkiem, że jego rzeźbione portrety namalowane archidieja odstąpił Popielowi (rodem z Medudy przy Haliču, poszedł nawracać unitów na carowanie. Następca jego był ks. Julian Hopyścian'ski, Temko, Boga ducha winien, chciał iść nawracać na greck. Katolicki obrządek, co oczywiście najmniejszego mu odniosło skutku. Za jego czasów już się rozpoczął ruch ukraiński, którego tu dotąd nikt nigdy nie znał. Za murów czasów był ruskim proboszczem ks. Mikołaj Winnicki. Czołowiek



a siła i siła, syn powszechnie szanowanego proboszcza i Baw.  
 sztywie ks. Winnickiego, a więc poprzedniego proboszcza he-  
 nriego Kopystjańskiego. Blondyn o ściągłej twarzy, powoli  
 a dobitnie mówiący, silnie argumentował, w czynach sta-  
 nowczy i konsekwentny. Należał do tzw. partji staroruskiej,  
 którą oznaczano rusinów nie należących do kierunku  
 ukraińskiego. Pranie wzruszyło miśszanie halicy ruskiego ob-  
 rzędka dziełi jego postać polityczny. Miał troje drobnych  
 dzieci, mieszkał na probostwie obok drewnianej cerkwi, a pro-  
 bostwo to postawione było na dawnym, zburzonym wale, sta-  
 rożytnym śródmieście Halicza. Przy kopaniu studni na obej-  
 ściu probostwa w znacznej głębokości znaleziono tran drzew-  
 ny, zdaje się do starodawnych fortyfikacji należący. Nie stał  
 po ródz ks. Winnicki. Podczas wojny światowej został prze-  
 rządzony austriacki w r. 1914 aresztowany, długo go trzymano  
 w więzieniach niemieckich, dorobiono mu oskarżenie, które  
 sam czytał w pewnych obcych aktach karnych, jakie nadeszły  
 do niego rad do prokuratury państwa w Czerkowie. Żądano  
 dla niego kary śmierci za należenie do partji staroruskiej,  
 w szczególności za rusofilską. Akt oskarżenia pisany był po nie-  
 miecku, odpowiedź miał przed sądem wojskowym austriac-  
 kiem. Jedyni zasłyszeli tymczasem fatalny dla Austrii koniec  
 wojny zapobiegł, że celnika tego nie zamordowano. Bo Austrija  
 wymordowała wówczas kilka tysięcy niewinnych ludzi  
 za rzekome nieprzyjacieńskie usposobienie dla państwa. Proboszcz  
 ruski miał więcej, coar innego, bo kiedy wrócił sam  
 gdzieś został proboszczem.



Tuż obok Haličxa na Łaturski był wówczas ruskim proboszczem ks. Leon Laurecki. Znanienna to była postać i powszechnie szanowana, godna przekazania potomności. Miał lat około 60, rzeźny, ruchliwy, umyślnie bystry, o nie-  
 erównanej pogodzie ducha do końca swich dni. Pochodził ze Janockiego, był żonaty, miał dwóch synów i dwie córki. Człowiek ogromnie światły, encyklopedja umiejętności, niestrudzony badacz przeszłości Haličxa. W domu panu Laurecka zajmowała się prowadzeniem całego gospodarstwa, tak iż ks. Laurecki poza wojennymi czynnościami olbrzymiego starstwu mógł się oddawać studjum historycznemu. Nikt nie umiał tyle powiedzieć o starodawnym Haličcu jak on, nadto oddawał się muzyce, grając na skrzypcach, był niestrudzoną mechanikiem, istnie laboratoryum miał w kancelarji parafialnej i na strachu dźwięgo spicklerza. Były tam tokarnie, liczne skomplikowane przyrządy i materiały. Corożka w lecie urządzał festyn do lasów Łaturskich aż pod granicę Sokoła, tam gościł liczne grono zaprzyjaźnionej inteligencji haličkiej a o zmroku porzucił rakietę, które przedtem niemal przez miesiąc sam umiejętnie sporządzał, mając do tego odpowiednie formy i narzędzia. W poszukiwaniach dawnego Haličxa badał ks. Laurecki pola, wzgórza, lasy, narypy, ruiny po całej przestrzeni pomiędzy Łuknią a Łomnicą aż poza Podgórodzie i Krytos. Chodził ze stalową sondą, badał teren i osiągnął wspaniałe rezultaty. Przed jego domem na ogrodzie było młode muzeum



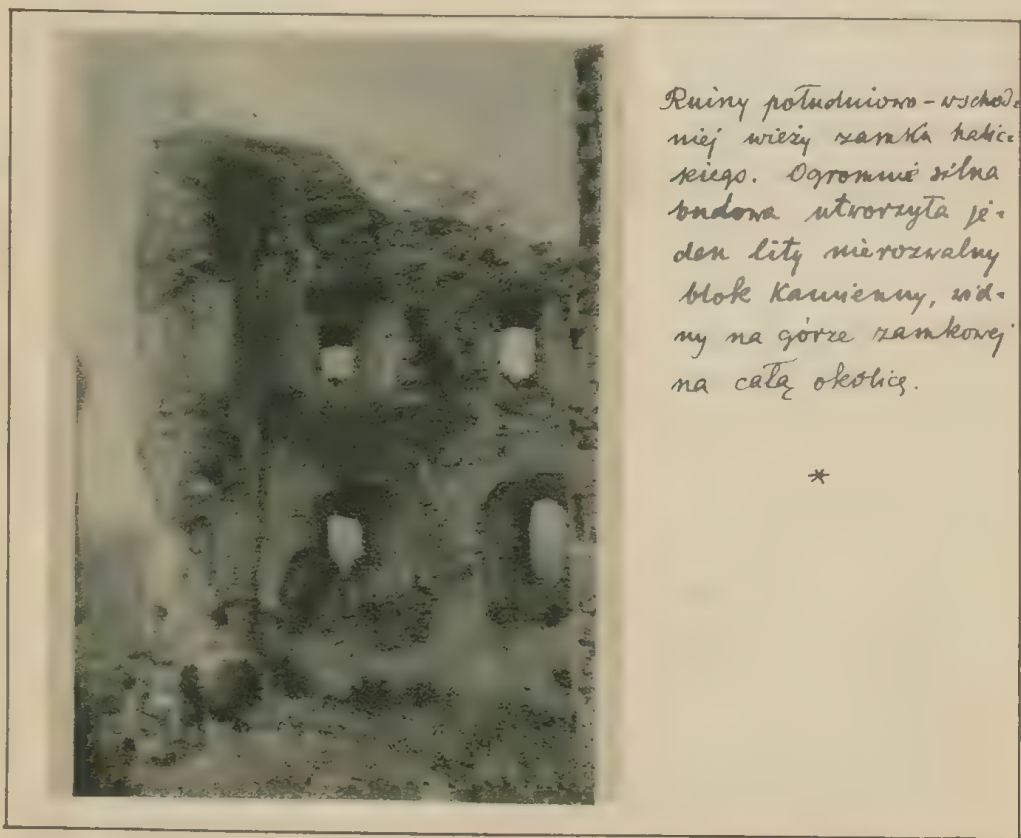
Wschodnia część ruin słynnego zamku halickiego, zbudowanego sumptem Rzeczypospolitej Polskiej. Stan ruin z r. 1904.

różnych resztek sarkofagów, grzymsów, kamieni ciosowych, a o Raidek umiał Ks. Laurecki upowiadając, jakie miał znaczenie i przeznaczenie i o czym świadczy znalezienie go na tem, czy na orem miejscu. Kilka wartościowych rzeczy oddał do Muzeum dycezyjnego we Lwowie. Niestety, nie spisał Ks. Laurecki i zapomnieliśmy o nich w swoich wiadomościach i jego wielkie zdobycze naukowe zesłał z nim razem do grobu. Chodził ze mną kilka razy po polach Łatukwi i pokazywał interesujące szczegóły swoich dociekań: tu przy dzisiejszej drodze z Halicza do św. Stanisława stał na wzgórku iehński klasztor ruski, tam też

znalazł ks. Laurecki mały dzwonek, jak i węża węża rą  
 w cerkwiach przy otwarciu. W innym miejscu okazał mi na  
 krzesła pół zaturkiewskich od strony rzeki Łomicy na wzgórzu  
 zapadłą basztę, jeszcze zaś na innym miejscu na odkrytym  
 od chłopów kwaterze pola pokazał mi odkryte przez siebie  
 fundamenty jakiejś nieznanej cerkwi, pod kamiennymi  
 fundamentami znalazły się ogarki, jakby porost tróci  
 po spaleniu drewnych tramów drewnych. W innym miejscu  
 na otwartym polu w Łaturki, pośród pionierstwa tam  
 była odwieczna, kamienną trawą wycentrowana stud-  
 nia odwieczna. Riedys' wokół niej musiało być domostwo  
 jakiegoś bojara habickiego. Gdzieś indziej pokazał mi ks.  
 Laurecki drugi kwater pole zielonej rowiny, a na jakiejś  
 80 cm. pod powierzchnią tego pola była mozaikowa posadz-  
 ka kamienna w romby, jeden i pół, drugi niebieski naprze-  
 mian. Z wyglądu jej można było wnosić, że byłaby posadzka  
 jakiejś cerkwi. Chłop nie chciał żadną miarą pola tego prze-  
 dać ufając, że pod tą posadzką kryje się jakieś tajemnice  
 skarby. Wreszcie pod górą Krytorską okazał mi przestwór,  
 gdzie były ślady postojni na kibernach legionu rzymskie-  
 go (cesta anasowa CX, co tłumaczył ~~odpowiednio~~ Kibortą dzie-  
 siątą). Wyjaśnił mi ~~temu~~ dalej znalezienie Ropców w la-  
 zach zaturkiewskich i Koto woi Sokota, wreszcie zażytki  
 archeologiczne na Krytosie, który kryje w ziemi wiele  
 skarbów narkowych dotąd nie zbadanych. Ks. Laurecki  
 był ostrą, krągłą dziejów tego skrawka ziemi, która w Ro-  
 chat prawdziwie a szereg. Rozrywkę, jego było polowanie



któremu nie oddawał najmniejszą. Grafy jego wyglądały jakby  
 szbrojennie a u sercu polowami był wielce przywiązany. Naj-  
 częściej lubiał jeździć na łowy ze sędzią Luczakowskim. Pro-  
 bostwo ~~kalickie~~ ~~czarkiewskie~~ było u jego rękach około lat 35.  
 Otarano go cześć i miłością, byłto człowiek jakby wykrejo-  
 ny z ewangelii, o czystej duszy, szlachetnem sercu, głębokim  
 umyśle, Chrystusowej dobroci i rozległej wiedzy. Około roku  
 1910 umarł ten cenny Kapłan wśród następujących okoliczności.  
 W lecie zakupił cegły i kaset je przewozić na stary cmentarz,



Ruiny południowo-wschod-  
 niej wieży zamku kalickie-  
 go. Ogromnie silna  
 budowla utworzyła je-  
 den lity nierozwalny  
 blok kamienny, wid-  
 ny na górze zamkowej  
 na całą okolicę.

\*

po między cerkwią ratucką a gościńcem, mójcie ciertoblinie,  
 że będzie sobie składował chatę. Tymczasem i on z ciotką wyjechał na  
 letnie wypoczynki, a ja się do Truskawca, sam zaś pozostał  
 w domu ze stugą. Pewnego letniego dnia panit w znajomych  
 w Haliżu, powrócił poźnym wieczorem do domu, potoczył  
 się do snu nad ranem, gdy stuga przysłała zabrać ubranie  
 do wyprawy, powiedział ~~mi~~<sup>jej</sup> ks. Laurecki, że ma być niedo-  
 brze, karat jej pomóc po lekarza dr. Linse do rynku w Hali-  
 żu, stuga decyzyjnie wykonała, a gdy z lekarzem wróciła,  
 ks. Laurecki już nie żył. Pojechałem z Kotonymi do Haliża  
 na pogrzeb. Żyłoby jego były już w cerkwi w cyrkowej trumnie.  
 Pogrzeb miał spanyty. Odprawiano go liczne grono  
 przyjaciół i reszta parafian. Z namierzonej cesty wymurowano  
 grób, w którym spoczął na wieki a obok niego w niespełna  
 rok później złożono jego żonę. Tak żył i zmarł nieocenio-  
 ny miłośnik ziemi haliżkiej, przereczony Kapitan, artysta  
 i uciciel i kustosz zabytłych ruinowych ~~zabytków~~ wieków. -

\*

Na moich czasach był w Haliżu mały garnizon  
 austriacki. Na górze za nowym cmentarzem były półm-  
 dowane duże podziemne piwnice a w nich mieściła się  
 znaczna ilość wybuchowych materji. Ołoi oddział około  
 20 żołnierzy strzegł owych składów, nad nimi dźwigny  
 Romendę jeden oficer i jeden rachmistrz. Gdy ja byłem  
 w Haliżu, był nim Kapitan, poźniejszy major Karol  
 Kraus, polak, powrazny człowiek, mieszkał w domu emi-  
 granta Lesiewicza, w temsamem pomieszkaniu, które

później rajęł na celownik Kordyn'ski (plan p. 13.). Kraus żył  
 w ścisłej przyjaźni z adwokatem Lityńskim i był u niego  
 niemal codziennym gościem. Postąpiwszy na majora, ożę-  
 nił się ze swoją dalszą krewną, nauczycielką w Preszowie,  
 wreszcie się spensjonował, był jakiś czas po moim wy-  
 jeździe burmistrzem miasta Halicza, następnie zaś prze-  
 miścił się na stały pobyt do Krakowa. Na wodach halickich  
 odbywały się co lata ćwiczenia wojskowe. Coraz nowi od-  
 działy saperów jeździli do Halicza i przezwani na Dnie-  
 strze dzielili się w pracach na wodzie. Ale też co lata topi-  
 li się żołnierze w Dniestrze lub innych rzekach Koto mia-  
 sta. W lecie 1905 zdarzył się wypadek następujący. Gdy  
 wracając wieczorem z Komisji z Miedzybórzec i wózek zatrzy-  
 mał się przy rozetce niedaleko Głębokowiec, powieścił nam  
 zyd rozetnik, że właśnie przed kilku godzinami utopił się  
 żołnierz. Po przybyciu do miasta dowiedziałem się, że wła-  
 dze wojskowe chcąc zapobiec topieniom się żołnierzy, zaka-  
 zała Kapieli w Dniestrze, a aby zakaz tego miłt nie prze-  
 kroczyl, postanila na warcie żołnierza, który chodzil w dłu-  
 brze Dniestru pod miastem (plan p. 32). Właśnie nadchodził  
 nowy żołnierz, aby złowić męp poprzednika i objąć po nim  
 wartę, co gdy obaczył on, złowić się mający, znikł gdzieś  
 w trzaskach. Nowy żołnierz sądził, że poprzednik ukradł figla  
 i schował się przed nim. gdy <sup>jednak</sup> ~~zaw~~ nawotyrania pozostaly bez  
 skutku, powołł go doświadczyć szukać i wtedy pokazało się, że  
 on żołnierz chciał się okapać, nie chciał jednak schodzić z ka-  
 troli, więc czekał aż przyjdzie następca, a zobaczysz go, skoczył



supoko ze wody, aby wnet wyleść ze rzeki i powrócić do Roszer,  
ale skoczył w głębie i potrafił żyć. Spłynął dopiero po  
kilkun dniach.

W r. 1904 obchodzono uroczystości zakończenia chiń-  
skiej wojny. Był popis sprawności wojska przed genera-  
licją i publicznością. Głównie w białym popołudniu,  
astyratem kilkakrotnie przerwał, jakby ~~to~~  
pioruny w pobliżu bity. Wyprowadził na most i zabawił  
na nim kilka grup oficerów z generałem ze Stanistawowa  
na czele i całą ułehiszoną kadrą. Szeregami spora zabawa  
się płać niekłej. Odbywały się ćwiczenia w wypadkach róż-  
nych obiektów za pomocą wybuchowych materji (ekrazyn).  
Na btoniach nad Dniestrem (plan p. 33) na sztucznym  
nasypie Kolejowym utworzone były szyny, oddział ptoimny  
z trzech stanów podłożył i zepakł miny, potem co-  
rychlej na koniach galopem umykał w odległe miejsce.  
Po jakich pięciu minutach dał się słyszeć straszliwy  
trząsk i huk, dym i kurz buchnął w górę, szyny Kole-  
jowe rozpadły się w drobne kawałki. Potem na Dniestrze  
(w punkcie planu 34) ustanowiona była jakaś struktura wolna  
z licznymi belkami. Kilku żołnierzy podstępowało tódkami, za-  
łożyli miny i znów po niejakiej chwili gruchnął olbrzymi  
huk, belki poszły w strzępy, struga wody na wysokość pię-  
kich trzech pięt trysnęła wspaniale w górę, a niebawem  
woda spłynęła, potamame drewna i kawałki wzrastały  
ryb. Wreszcie nastąpiły wyścigi tódek. Na dany znak  
dwie tódkie po dwóch żołnierzy ruszyły z orolii ujęcia

Łukwi i kierunku ku ówczesnemu drewnianemu mostowi.  
(Miało p. 35). Która tódka przedrejbą przybyła, miała otrzymać  
nagrodę. Już szczęśliwi ~~wyścigowcy~~ dotarli do mostu od  
strony kolei (do punktu 36. planu), ale tódka zaradziła o stare  
pale, ledwie nieznacznie z wody wystierające i jeden uten,  
regier rleciat we fale dniestru. Trzymat się jakiś czas  
prawdosi tódki, będąc po szyję we wodzie, lecz silny prąd  
wody wnet go od niej odwrót, uniósł dalej, uten  
znikł pod wodę, jeszcze po drugiej stronie mostu po-  
kazał się nad powierzchnię rzeki, zaraz jednak krótko  
strzyżona czarna głowa znikła pod wodę i miśmo gor-  
liwych poszukiwań tódkami i przez jakiegoś znakom-  
itego pływaka cywilnego, który się rozbrał i popytał na  
miejscu katastrofy, nie zdążyła ona odzyskać. Ge-  
nerał Karol natychmiast przerwał popiór i dalsza  
część programu odpadła. Wróciłszy do domów z mi-  
mitem uczuciem, żal nam było tego młodego życia,  
które tak niespodzianie zgasło w naszych oczach.  
Uten spłynął dwa dni później koło Jezuipola. Na  
jednej nodze brakło buta, a zwolniona noga była  
pokaleczona ostrogą drugiego, na nodze pozostał  
but. Widac, że gdy spadł do wody, ~~z~~ ciążyły mu  
namoknięte buty, tamowały swobodę ruchów i  
możliwość ratunku, chciał je rzucić, odwrót jednak  
tylko jeden sięgnąć, rzuceniu drugiego przeszk-  
dziła nieprzytomność i śmierć.

Helice naderat się znakomicie na nowo-

cremą trawars, ale naderet ni tak samo i Ltwow, Robio-  
no studja, ewentualne Kosita jednawie miały być tak ko-  
losalne, że Austryja, nawiasem jej ruboziata nie mogła  
im podotac. Słetep rzecz posita wdrzok, a xreszt, każdy  
nowy minister wojny miał nowe pomysły. Skonczyła się  
sprawa na polubowaniu i kraj Halicza około 12-18  
szanców i nasypań ziemnymi.

\*

Lekarzy było za miodu czasów dwóch, obaj wyznania  
miejscowego. Starszy z nich Klemens Lins, lat około 40  
liczący, mieszkał naprzeciw kościoła (plan nr. 8), żonaty,  
ojciec dwojga dzieci, brunet, lekko przysadkawy, pranie-  
tysy, o czarnym wąsie, był estowierkiem rozumnym, ruch-  
liwym, uległym. Był także lekarzem kolejowym, stąd  
bardzo często widziano się go jadącego wózkami poczo-  
gami, nie wytwarzając towarowych, wysiadał zaś w najbliż-  
szej okolicy Halicza do Kogoś chorego ze stolicy Kolejowej.  
Podczas mego pobytu w Haliczu ciężko przechodził się na  
tyfus. Podczas wojny świątowej około roku 1918 umarł przed-  
względnie. Drugim lekarzem był Jakób <sup>Stok</sup> ~~Lins~~, mieszkał  
w domu Janowiczowej naprzeciw tacińskiego probostra  
(plan p. 7.), brunet, smukły, miły estowiek i skromny,  
żona jego była xawotana pianistka. Mieli dwie małe  
córeczki. Obaj wspomniany lekarze, byli w swoim zawodzie  
biegli, powszechnie lubiani i cieszyli się wzięciem.

Był także lekarz weterynarii Wolf Jeller, ~~stare~~  
izraelita, niezmiernie skromny i ~~nie~~ cichy, przy



wszystkich polskich obchodach, wieczorach, przedstawieniach, stale pełnit chętnie obowiązki Rejsera. Mieszkał w podwójnym domu obok mostu, (plan p. 31).

Apteka mieściła się w dużym, murywanym domu parterowym, o otwartej verandzie, opartej na czterech słupach okrągłych, murywanych, białobiałych. ~~Leżał~~ przy ulicy Ku Międzywodziu (plan p. 34). Właścicielem jej był Juliusz Ormexowski. Miał podwójną lat około 48, był isnaty, berdzietny. Ciepłota dość chuderlany, średniego wzrostu, rudawa broda i wąsy były na pół sine. Ładne ubrania, jak najwykwintniej, białe odzież, moda i sztyk, nigdy inaczej nie chodził, jak tylko wyprostowany, jak słońce i to szybko i nie krokami, i zdawało się, że biegnie, lub przynajmniej, że się gdzieś ogromnie spieszy. Ale to było tylko złudzenie, nigdy się on nie spieszył, bo nie miał czego, boiem miał tak wiele wolnego czasu, jak nikt inny w Krakowie. Aptekę wydzierżawiał, sam zaś mowadnie mieszkał zdalek od niej w pięknym domu, niedaleko Kolei (plan p. 38), a bawił się tam pielęgnowaniem książek, czesaniem włosów na dwie potówki i prowadzeniem agencji ubezpieczeniowej „Florjanki”. Jak drobniutko chodził, tak i drobniutko pisał, a jeszcze drobniej mówił. Popularnie nazywano go Julciem, a zdrobnienie to miało podstawę w jego usposobieniu, zachowaniu się i sposobie mówienia, co wszystko razem sprawiło wrażenie, że się ma przed sobą duże, sinujące już dziecko.

246

Przet chętny uariat u polowania, ale tam bywał przedmiotem  
ziarob, bo zupełnie u zdenerwowaniu pociagał oba kurki dn-  
~~le~~ beltocki niemal rarem, a zasadniczo pudłował. La-  
biał też delikatnie zartować ks. Laurecki, ale też lapiet jego  
towarzystwo, bo gdzie się Fulcio pokazał, uśmiechały się  
wszystkie twarze. Na pogrzebie ks. Laureckiego miał także  
i Fulcio jedną z móg, niestety usta zmarłego zwi się na  
tę móg nie mogły uśmiechnąć, ale że dach ks. Laureckie-  
go uśmiechał się szczerze, moieny być pewni. Niemal  
przy schytku nęps życia wystrelit Fulcio kolosalne gup-  
stwo. Oto dzierzanca apteki Hamerman przerobit Fulciá,  
że dom apteczny nie nie wart, bo pod nim biegnie żyta  
wody raskórnej, że domowi grozi zawilgocenie, ruina i  
rozsypanie się, że apteka Riepnko idzie i gdyby nie han-  
del herbata dzierzaney, damoby zbankrutowat, że nie-  
cate to przedsiębiorstwo apteczne nie nie warte i jiszre  
kiedy ~~zapa~~ zapadnie się pod ziemię u bagno raskórne.  
Zreisy takicmi fatalnem uadamy domn aptecznego, posta-  
nowit Fulcio aptekę sprzedać. Kontrakt met doszedł do  
skutku, tensam Hamerman dom i aptekę od Fulciá  
kupit i to na kredyt, a co główna, miał za cenę sprzedaz  
płacić raty kwartalne wtaśnić także, jakże poprzednio  
płacił jako czynsz dzierzaney. Po kilku latach Hamer-  
man był szczęśliwym wtaścicielem ładnej apteki i fra-  
tego domu przy ludnej ulicy. Fulcioni pozostat proce-  
tylko tytat aptekarza. W czasach wojenych (1914-1918) po-  
padli Ormerowscy u ciężkie potożenie materialne,

zmarła najpierw ona, potem on.

\*

Za czasów przedrozbiorowej Polski, w Kałdym rzadzie jeszcze do roku 1767 posiadał Halić ratusz drewniany pośród rynku. Gdy ją mieszkańcy z Halić nie pozostawił nawet tradycja o tym ratuszu, nikt nie wie o nim nie wie, a rynek był pustym targowym placem. Wówczas ratuszem nazywano dawniejszy klasztor oo. Franciszkanów, położony z rynku (plan p. 1.), gdzie mieszkańcy zakonu przed przeniesieniem się na ul. Starostaw. W tym to miejscu porządkującym ratuszem mieszkał się Magistrat miasta Halić. Burmistrzem był za moich czasów Piotr Segin, mieszkanin haliński, rasiński, człowiek okazy, o czerwonej ściągłej twarzy, poważny i rozumny. Jego zastępcą był Onufry Musiakiewicz, również mieszkanin, także człowiek poważny, szybko się orientujący, o doświadczonej pamięci. Sekretarzem Magistratu był dr. Jerzy Osterman, były sędzia, syn dawnego starosty starostawskiego, człowiek bardzo zdolny, energiczny, czynny, jednak liczne przeciwności życia nie dozwoliły mu rozwinąć należycie swoich zdolności. Z innych urzędników Magistratu pamiętam tylko Janowicza i emerytowanego nauczyciela Muszkowskiego, pełniącego funkcję kasjera miejskiego. Policjantów było czterech, a najbardziej znanym z nich był Głazarski, tegi meksykański, o fioletowej twarzy a granatowym nosie, chłop silny a zaradczki, pochopny





Były klasztor po franciszkański przerobiony został  
pradol. około r. 1800 na ratusz halicki. Na dole  
pomieszczono Magistrat, ~~na górze~~ szkołę nowo-  
szkolną, męską zaś na piętrze. Według ustnych  
podań kościół został rozebrany, a stał w tem  
miejscu, gdzie na obrazku są drzewa i skwer.  
Fotografia pochodzi z czasu około r. 1905.

do Krzepieckiego napojn. Me stasie petnit gorlinie. Raz potrzytem  
z okna sądowego na jankiś zbierowisko na rynku. W środku  
zejścia Indzielski widział Haresymonin i jankiś spramiedlini  
dorezina, czynt. O co chodzilo, nie mogetem wyrozumieć to  
tylko widziatem, ze chycit jankiś dwóch drageh na kotnie-  
rze, jednego lewe, drugiego prawa reka i prawoscą zaprowa-  
dzit ich do ratusza.

Ludność miasta Halicza rozpadła się na cztery  
narodowości, równoległe zaś do tego na cztery wyznania.  
Byli to polacy, rusini, żydzi i Karaimi.

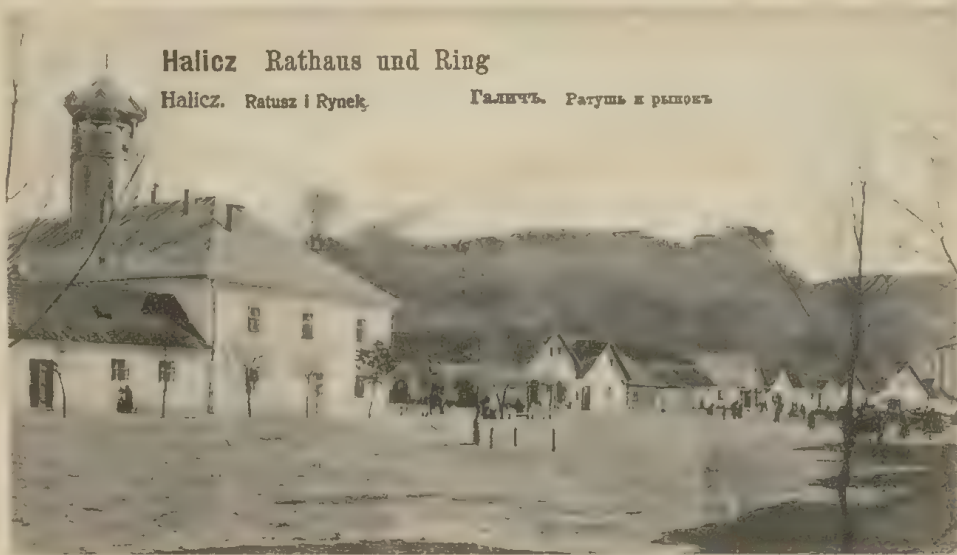
Wortad ludności polskiej wchodziła przede-  
wszystkiem przez szereg inteligencji urzędniczej, nad-  
to mieszczaństwo Żydzie polskie grupowało się przy „Sokole”.  
Właśnie za swoich czasów tworzone „Sokół”  
i zakupione grunty w ulicy za kamieniem (nieopodal rzeki),  
gdzie też postanowiono budynki (plan Halicza num. 23).

Część rynku halickiego ciągnąca się od ratusza do  
kościółka. Za szeregiem parterowych domów żydow-  
skich pośrodku były miedzy ogrody a dalej pišk-  
na góra kamkowa ze szczątkami ruin.

Halicz Rathaus und Ring

Halicz. Ratusz i Rynek

Галичъ. Ратушь и рынокъ



Do gorliwych krzewicieli idei sokolej należał przede wszystkim młody dziedzic Błudnik Marian Jaroszyński, oświecony duchem narodowym, usposobieniem demokratycznym, który nie przychylił się materialnie do wznowienia Błudnicka, a dobitniej mówiąc, on go wystawił. Salej dał gorliwą pracę i swój ostatni grosz pierwszy prezes „Sokola” emigrant Lesiewicz. Był to pamiętna postać w Haliżu. Starzec, wysoki, barczysty, o silnej budowie ciała, pochodził z Litwy, skąd emigrował z powodu nawiązania do ruchu narodowego, żył dłuższy czas we Francji i z nią się związał. Mieszkał w Paryżu i jeszcze ~~nie~~ widział Adama Mickiewicza, ale już ledwie w pamięci mógł słabo odtworzyć jego postać. Tyle tylko pamiętał, że gdy raz był w Chodzieży na herbacie, był tam także Mickiewicz. Pamiętał, że Mickiewicz o wiele uprzejmiej przyjmowano, niż pamiętał jednak, o czym mówiono, ale utknął mu przecież ten szczegół w pamięci, że gdy Mickiewicz już miał odchodzić, widocznie na zakończenie jakichś refleksji politycznych podniósł prawą rękę do czoła, jakby rozstawił palcami po nim czoło szukając i rzekł: a mnie się coś tak zdaje, że my się jeszcze kiedyś z Rosją pogodzimy! Wracając do opowiadania o „Sokole” haliżskim podniósł jeszcze, że kilka członków wydziału „Sokola” metamorficznie się z Lesiewiczem obeszło (na tle rozmów z budową domu sokolego), o czym on uważał, że był prezesem i czuł się do nich przeciwnikiem. Tam Lesiewicz miał ładny domek w Tarny (plan p. 13), zajmował



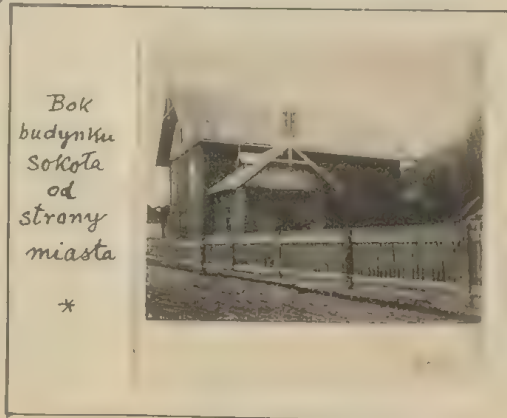
posadę przednika drogowego przy szosie pomiatowej,  
był bezczelny, opowiadał bardzo chętnie swoje wspo-  
mnienia z Litwy i Paryża, a drżył bardzo pożywnego  
niekła, możliwe jakieś 90 lat.

Wreszcie trzecim  
gorliwym propagatorem  
idei sokolej był ówczes-  
ny wikary haliński ks.  
Jędrzej. Ksiądz ten  
był tak małego wzro-  
stu, że ledwie trochę był  
wyższy od ołtarza, a  
ornat obliczony na nowo-



malnego ołtarzika niemal do kostek mu sięgał. Był ci-  
chego nastroju a pracował gorliwie w duchu narodowym.  
Z usposobienia był flegmatykiem, cicho mówił i powoli.  
Z Haliča poszedł na ekspozyta do Lierkowiec. Planu bud-  
owy stworzył i robotami kierował inżynier Koleszów Niebiesz-  
czański. Tak stał się "Sokół"

z drzewa uprzedzie, ale ce-  
lowi odpowiadają, miał  
dawać się ze sceną, kilka  
ubikacji pobocznych, duże  
boisko za budynkiem i  
tarasowaną część góry, po-  
przezcinaną ścieżynami.  
Tam skupiło się życie



polskie. Na scenie dawano przedstawienia amatorskie siłami  
 mieszczaństwa, na niecorokach deklamowano i śpiewano,  
 dziatka szkolna na staraniami Ks. wikarego Kasprzowskiego da-  
 wała „Jesetka”, jednym słowem cokolwiek stało się ostoją życia  
 narodowego, godziwej rozrywki i <sup>był</sup> szermiorem wzniesięty wśród  
 mieszczaństwa. Dość gdy wspomnę, że jednym z zapalonych  
 amatorskich aktorów na scenie był mój przyjaciel Kominiarz  
 Przeszowski, a aktorem amantem był pisarz sądowy Sincoki,  
 mieszczański kaliczki. Niezmierznie gorliwej pracy w „Jokole”  
 oddawały się dwie nauczycielki: Zabłocka i Potocka. Jan  
 widziałem, jak praca ich przed niecorokiem miłośnikow-  
 nim posunęła się do takich granic, że same zamiataty  
 są „Jokole”. Ale w „Jokole” nie było niestety zgody wewnętrz-  
 nej. Na jeden rok, zdaje mi się na 1905 zostatem wybrany  
 do wydziału. Prezesem wtedy był Jaroszyński z Ostrowa, a  
 zastępcą sędzią Szulaskiewicz. Na posiedzeniach wydziału  
 nie można było żadną miarą dojść do zgody. Było kibik, a  
 który nieczwie mówił, do każdego punktu porządku dzien-  
 nego zabierał głos, plethę rzeczy bez sensu, byleby gadać  
 i zwałować Radę zdanie i Radę, myśl, jaką kto podniósł.  
 Wychodziliśmy z tych posiedzeń zirytowani i niezadowoleni  
 — męcząc, chcąc odprężyć atmosferę — wnieśliśmy rezygnację.  
 Jak dalej potem szła praca w wydziale, już nie wiem,  
 bo żadną miarą nie chciałem się zgodzić na dalszy wybór.  
 Tak jednak było tylko w wydziale, bo wśród członków szła  
 praca raznie naprzód i nikt jej nie hamował.



Front budynku „Sokota” halickiego.

Rusini mieli  
swoją inteligencję  
także wśród sfer  
urzędniczych, zresztą  
ta liczba miesz-  
czanów była rasina-  
mi. A stwierdzić  
się godzi, że stan  
mieszczański w Ha-  
liczu był bardzo  
silny, niektórzy  
mieszczanie od-

czarali się duciem zdolno-  
ściami, zresztą cała cechowa.  
Ta ich powaga i jakieś oryginalna  
godność, jakby siadła-  
mość, iż są potomkami, a  
przynajmniej następcami  
słynnych bazarów halickich.

Było wśród nich kilkanaście

jednostek takich, że gdyby mieli studia wyższe i lepsze do-  
świadczenie na szerszym arenie śniatowej, byłoby w stanie cał-  
kiem rozumnie Krajem rządzić. Jak pisał „Sokole”, tak  
rusini grupowali się przy towarzyszeniu zabójczym „Nadzieją”.  
I tam była sala do przedstawień, i tam prowadzono kult  
narodowy ruski, na którego pulnie trzymał rękę proboszcz ruski.

Boisko „Soko-  
ta” i ogród na  
wzgórzu ze  
serpentyną ście-  
żek. Ścieżki te  
widoczne są  
także na gór-  
nym obrazku.

\*





ks. Winnicki.

Rodowity haliczanin dr. Leszek Dziama, syn dawnego sędziego halickiego Marcina Dziamy, tak mi spisał w liście z 3 sierpnia 1925 swoje dawne wspomnienia o mieszczanach halickich:

" Gdybym był dzieckiem — píše dr. Dziama — inni w Haliczu nosili ludzkie stroje, mi dziś; mieszczanie długie na petlicach kaptury granatowej barwy, pasy szare, wstęgi, rapaki czarne z białym, krymskim barankiem. Litwacy i Melinowscy nosili konfederatki. Łasicki gołili się stale, nosząc fryzury (o ile mi było łysi) à la Titus do góry. Herde to było plemię: Gorayskich, Stebnowskich, Toroniów, Studzińskich, Czernych, Litwackich, Litwackich, Litwackich. Czernych Bazyli wyspierniał sobie: ja mój, szlachcic i pan — a ty mój Jwan! przejsz cały reński, bo ja Czernych, bo ja chłop ot dziarski, ojciec konfederat barski! Urzędników miał zarotkami, mieszczan i wójska Głuszków, Sociałów, Kłakowców, Polaczków przeżywał flakami, a gdy dostał raka na ~~lewej~~ twarzy pojechał do Paryża na operację i żył gdzieś do roku 1877 lub 8. Na ich cześci (po lewej stronie na drugim prowadzonym mostem, idąc na dworzec), widzimy dziś cały szereg domów, p. Bazyli miał tam kilkadziesiąt morgów po "hamernis" i aż po ten Byków. Seginów przeżywał wtedy jeszcze węgry. Czernych kwano wysoko szlachta, a o Głuszkowiczach i Bisztygach opowiadano jak jidził wozami po towar daleko. O Potockich

śpiewano pieśni, wyrażające ~~pieśni ruskiej cerkwi~~ Kresydy  
 ruskiej cerkwi wyrządzone. Janowice mieli tradycje  
 kozackie, podobnie jak Sandarscy. 'Cwikhiccy przypali'  
 po roku 1831 i mieli tradycje posiadaczy ziemskich  
 w Królestwie. Masłakowie podobałi się wsi Skrytose (dłacy).  
 Buorzyńscy również mieli być nowymi przybyszami,  
 ale zmiłi. Uhorczaki, typ regieroki, żmiez. Matadhwscy,  
 Wistoccy, Sawiccy, Leszczynscy i Batoni wszyscy prawiłi  
 o tem, jakimi panami byli ich przodkowie, ale o Polsce  
 miłosci, wytresowani przez „Gemischte Polizei = Gerichtshof-  
 ter“ kierowane przez Tchorzwickich, Łozinśkich itp. Gdy  
 po bracie Kr. Strzeleckiego, Józefie Strzeleckim został  
 postrutnistrem Konstanty Ożorja Bukowski, podpisujący  
 się hr. i nazwał któregoś z mieszoran chamem, była  
 o to sroga obrazówka w 1879 lub 1880 roku. Na Łatwem  
 Gręgotowice i Deborscy nie brach się z chłopstwem. Kon-  
 dracy rozeszli się jako ekonomowie po świecie za mej  
 pańszczy.

Tyle dr. Szlama.

Mieszoranie podupadli z powodu nierezerwowego  
 działu gruntów i komicznego stad zubożenia, pozos-  
 tały więc im tylko piękne tradycje w pańszczy. Każdy  
 dzień bierzący miot im tylko coraz większy niedostatek.

Żydzi trudnili się handlem i rzemiosłem, a  
 mieszkali w rynku i przybożnych ulicach. Rynek sam  
 miał jednak za murów czasów jeszcze cetera domy Kar-  
 tolińskie (Kupiec Strzyżanowski, mieszoranie Gruszkiewicz,

dwu innych nazwisk nie pamiętam. Było kilka rodzin inteligencji żydowskiej, które posługiwały się językiem polskim, inne rodziny mówiły żargonem żydowskim. Według informacji dr. Szlamy zasiadające od desna w Hahozn były rodziny: Fadenhechtów, Messingerów, Bleimanów, Kirschenów, Fischów i Gliczerów.

Wreszcie czwarta nacja to byli Karaici, godni studjum i poznania. Nie było ich wiele za moich czasów, może jedyń 130 osób rozrzuconych. Mieszkali przeważnie przy ulicy Karaickiej, tj. tej która się ciągnęła od murowanej cerkwi do drewnianej (na Zaparkaniu). Byli średniego wzrostu, cery ciemnej, brązowi o szerokiej głowie, uosobieniem spokojnego i ustepliwego, żyli tylko ze sobą i dla siebie, zamknęli się w pokrewieństwie, bo wszyscy byli ze sobą skoligaceni, stad wytrwał w nieporządku objaw stopniowej degeneracji przez stopniowe umysłowe i charakterystyczne fizyczne. W stroju nie różnili się w niczem od zwykłych mieszczan. Mówili swoim specjalnym językiem tj. mową karaicką, będącą podobną zbliżoną do tureckiej. Gdy jednak który z kółtów wpadł w feroor, sygnalizował drugiemu ryzywiska po rusku. Styrzatem, że czasem takie powiadziały sobie po rusku mówili. Zajmowali się uprawą roli lub budownictwem drewnem (zwłaszcza mostów). Głównie ani jeden z nich się nie trudnił, bo do handlu nie mieli ani skłonności ani zdolności. Między nimi a żydami panowała miennańść. Mieli swoją, oryginalną, czworoboczną bożnicę przy ul. Karaickiej,



# LECH

RODZINA.

三

Łatkiewicza,

edz. 10-ej zrana, w kościele Św. Krzyża przy wielkim  
SINOWIE. 2336

## Karaimizm w Polsce.

(Wywiad u p. p. hachmana trockiego, p. Szymona Firkowicza.)

Korzystając z niedawnej bytności w Warszawie gło-  
wy Kościoła karańskiego w Polsce, p. o. Hachama  
trickiego, p. Szymona Firkowicza, a mając na uwadze  
małą znajomość wśród ogółu polskiego sprawy karań-  
stwa polskiego, tudzież istnienie licznych przesądów  
i uprzedzeń, a nitych sądów o karańcach (np. identyfi-  
kowanie ich z żydami), zwróciliśmy się do p. Szymona  
Firkowicza z prośbą o udzielenie szeregu informacji,  
zaczynając od podstaw doktryny karańskiej, kończąc  
na współczesnym losie tej niebezpiecznej, lecz społecznie po-  
żytecznej, a państwowo lojalnej grupy obywateli pol-  
skich wyznania karańskiego.

P. Szymon Eirkowicz na pytania nasze odpowiedział uprzejmie co następuje:

— Na czym polega kult religijny karaimski?

„Religia karaimska opiera się wyłącznie na Starym Testamentie. Biblia jest jedyną świętą księgą przyjmowaną przez wszystkich wyznawców karaimizmu, bez żadnych zmian lub zastrzeżeń. Wszystkie późniejsze naddbudy i komentarze, jak Tałmud, Mišna i t. p. są obce i absolutnie nie do przyjęcia dla karaimów. Poniżej

3. la Jana Kazimierza (pochowany na cmentarzu w Tro-  
kach); matematyk Zarach ben Natan i Aron ben Sala-  
mon z Poswola, znakomity teolog, Józef Malinowski —  
teolog XVI w."

— Jakże przetrwały dotychczas skupienia karaïmskie  
u nas?

„Obecnie w Polsce główne skupienia karaïmskie ist-  
nieją w 3 dawnych kolonjach: Troki, Halicz, Łu-  
tów w Wilnie, kolonji powstałej dopiero w w. XIX, w któ-  
rej ześrodkowuje się głównie inteligencja pracująca.

Brak ścisłej statystyki nie pozwala określić liczby ka-  
raïmów w Polsce, lecz podług obliczeń, dokonanych  
w przybliżeniu przez duchowny zarząd karaïmski w Tro-  
kach, w Polsce jest karaïmów około 1500. Ta mała grupa  
narodowa, posiadając w swoim gronie znaczny odse-  
tek ludzi z wyższem wykształceniem, ma własny organ  
czasopismo kwartalne naukowo-literackie: „Myśl ka-  
raïmska", wydawana w Wilnie, umieszczająca obok fa-  
chowych artykułów, wiersze oryginalne w języku ka-  
raïmskim i wiadomości z kroniki skupień karaïmskich  
w kraju i za granicą. Pomimo niewielkiej liczby i wielo-  
krotnego spokrewnienia rodów w ciągu wieków, nie  
widać u ludności karaïmskiej cech degeneracji, ani fi-  
zycznej, ani psychicznej. Karaïmowie troccy przedsta-  
wiają silny typ fizyczny, są naogół rośli i barczysto-  
a zwłaszcza starzy odznaczają się przeważnie zadziwia-  
jącą czerstwością. Wpływa na to prawdopodobnie  
ciężka praca fizyczna na roli przy dość wielkim dobro-  
bycie i stosunkowo wysoki poziom kulturalny i moralny.  
Społeczeństwo karaïmskie posiada wszelkie warstwy  
od osób z wykształceniem uniwersyteckiem, do wy-  
bitników dziennych, lecz, pomimo znacznego zróżniczo-  
wania, panuje w niem duch solidarności, wypływający  
z poczucia odrębności religijnej i językowej. Organi-  
zacja karaïmów jest dotychczas nieskoordynowana  
względem na rozbieżności kodeksów byłych zaborów.

— Czy karaïmowie polscy utrzymują stosunki z ka-  
raïmami innych krajów?

„Karaïmowie polscy nie zaniechali nigdy utrzymy-  
wać stosunków z Krymem, swą kolebką i gniazdem. Nie-  
mimo utrudnień charakteru politycznego, istnieje pomię-  
dzy krymskimi a polskimi karaïmami korespondencja i wy-  
dawnictwa.

Z Turcją, w której również jest wielu karaïmów,  
łączności jeśli nie jest przerwana, to w każdym razie  
znacznie osłabiona. Z Egiptem, gdzie sam Kair ma  
około 700 rodzin karaïmskich, również istnieje korespo-  
dencja karaïmów polskich, którzy dostają czasopi-  
smo (dwutygodnik) karaïmskie, wychodzące po arabsku  
i hebrajsku. Z innymi kolonjami: we Francji, w Am-

za pomocą reformy pierwszorzędnej doniosłości, która niewątpliwie przyczyniła się do stworzenia odmiennego typu psychologicznego, kultury religijnej karaizmu i judaizmu posiadają dużo różnic wielkiej wagi, jak sprawa kalendarza, świąt, obrządków, odprawiania nabożeństwa, spożywania potraw i t. p.

Przywiązanie do religii u karaimų, pobożność i skrupulatność w spełnianiu praktyk religijnych są bardzo wielkie. Religja przyczyniła się w wysokim stopniu do zachowania języka. Chociaż naszym językiem liturgicznym jest przedewszystkiem hebrajski, który w powyższym stopniu zna każdy karaım, to jednak język narodowy karaımski jest używany w nabożeństwie w bardzo rozległym zakresie. Najważniejszą częścią nabożeństwa, czytanie Biblii, odbywa się w języku narodowym karaımskim, jak również kazania i t. p.

— Kiedy i wśród jakich okoliczności przybyli karaımi z Krymu do Polski?

„Niewiadomo napewno. Tradycja łączy ich przybycie na Zachód z wyprawami Witoldowemi. Rok przesiedlenia podawany jest przypuszczalnie 1397, ale ścisłych dowodów na to niema. Zgodnie z podaniem, książę litewski Witold sprowadził z Krymu kilkaset rodzin karaımskich. Znalazłszy się na ziemiach polskich, doznali oni wszelkiej opieki i pomocy ze strony ówczesnych królów polskich. Osadzeni pierwotnie w 4 kolonjach: w Trokach na Wileńszczyźnie, w Haliczu i Lwowie na Rusi Czerwonej i w Łucku na Wołyniu, w czasach późniejszych stworzyli kilkanaście kolonii. Tak w tradycjach, jak i w dokumentach, znajdujemy mnóstwo pojedynczych wiadomości o karaımach, którzy „oręcznie służyli“ (Syrokomla); jednak głównem zajęciem karaımów polskich było rolnictwo i ogrodnictwo, w którym szczególnie celowali karaımowie troccy, tak, że nawet wychodzili w ciągu stuleci osobny gatunek ogórka. (Zob. monografię „O ogórku trockim“, Jana Krzywicko, Wilno, 1926.) To też karaımów, jako rolników nadzielano ziemią i zezwalało im na jej nabywanie. Rząd polski zawsze sprzyjał dążeniom narodowym karaımów. Tak więc znajdujemy oryginalny dokument w języku zbarskiego z r. 1576, zezwalający na otwarcie szkoły karaımskiej w Trokach, która niestety, po 350 latach istnienia, przez rząd odrodzonej Rzeczypospolitej była zamknięta. Pomimo pracy na roli karaımowie polscy wydali z pośród siebie wielu uczonych, wśród których najbardziej znani: Eszclia-rofie, lekarz nadworny kró-



ryce, w Chinach, stosunki też są nawiązane."

— Czy karaimowie w dużym stopniu zachowali odrębność wśród polskiej ludności?

„Karaimowie potrafili zachować dużo własnych tradycji, z których większość jest pochodzenia wschodniego, lecz które trudno opisać w krótkim wywiadzie. Najciekawszym elementem odrębności jest język karaimski, należący do wielkiej grupy języków tureckich (turkotatarskich). Kolonie karaimskie, jako małe wysepki etniczne, językowo zupełnie różne od otoczenia, są najdalej na zachód wysuniętymi placówkami języków tureckich. Język swój przynieśli karaimowie z sobą zgórą przed pięciu wiekami z nad morza Czarnego i zachowali go po dziś dzień prawie bez zmiany. Ze wszystkich znanych języków najbardziej zbliża się do karaimskiego język dawnych Połowców, czyli kumanów, całkiem wymarły, a zachowany tylko w t. zw. kodeksie kumańskim z początku XIV wieku. Nauka polska, w osobach swych uczonych orientalistów, zwróciła uwagę na te ciekawe zjawisko i już mamy początki naukowego badania języka karaimów polskich“.

— Jaki jest stosunek żydów do karaimów?

— Z pośród przedstawicieli judaizmu wieku poświęciło swą pracę historii karaimizmu, lecz żaden z nich nie stanął na naukowej wysokości zadania. Dla przedstawicieli judaizmu był to zbyt drażliwy temat, aby zdołali przedstawić oni sprawę karaimizmu w prawdziwym świetle z całą naukową bezstronnością. Różnice, które dzieliły karaimów i żydów-talmudystów zawsze stały na przeszkodzie w nawiązaniu jakichkolwiek bliższych stosunków pomiędzy karaimami a żydami.

Od pierwszych chwil zamieszkania karaimów na ziemiach polskich, starali się karaimowie o zaznaczenie tej różnicy i uświadomienie co do niej otaczającego społeczeństwa, w czym dopomagała karaimom odrębność nie tylko wyznania, lecz i języka“.

„Współżycie z polskiem, czy innem otoczeniem zawsze i wszędzie lepiej udawało się karaimom niż żydom, w czym niewątpliwie dużą rolę odgrywały głębokie podstawy psychiki i charakteru. Nie mając w dogmatach swej wiary nienawistnej nietolerancji ku innym plemionom, pomimo różnicy wyznania, przyjmowali byli uprzejmie w krajach kędy ich los zaniósł“ — powiada o karaimach sławny poeta Syrokomla w swych „Wycieczkach po Litwie“ (t. I. Wilno, 1857)“.

— Całem gościnnem sercem zapraszamy każdego, interesującego się poważniej sprawą karaimstwa polskiego do Trok, gdzie zresztą już obecnie pracuje nad dziełem swem o karaimach w Polsce jeden z wybitnych polskich historyków — zakończył p. Szymon Firkowicz swe ciekawe opowiadanie.

S. Wojt.

wezwatw mój stat otwarz, Tawki, mieli biblię darowaną,  
 im przez króla Sobieskiego, po jednej stronie był tekst he-  
 brajski, po drugiej łaciński. Mieli nadto kilka cennych  
 darów od Karaitów z Trymnu, między innemi kapę  
 niebieską pluszową, ze złotem naszytą i perłami.  
 Za dawniejszych czasów świątynia ich była bliżej Dniestru  
 położona (na tysiącym karaitku gruntu), a po jej spłó-  
 nięciu, postanowiono przy ulicy nową, dotąd istniejącą.  
 Podobno na miejscu gdzie poprzednia stała świątynia,  
 była ongiś świątynia pogańska. Opowiadali mi, że spro-  
 wadzili ich do Polski. Wielki książę Witold. Cieszyli  
 się zawsze uprzywilejowaniem stanowiskiem, byli bo-  
 wiem ludźmi cichymi i uczonymi. Pożeni obszar gran-  
 tu z strony Piłtyora znieśli dotąd „Karaitki Klat“,  
 stąd wnoszą, że po sprowadzeniu ich do Polski na-  
 dawo im te grunty pod uprawę, a żądali, że sprowa-  
 dzono ich pociąg, by na rzece Dniestrze utrzymywali  
 przepławę promową, stąd osiedlono ich nad samą  
 rzeką. Patriarchą co do wieku był wśród Karaitów  
 haliński z młodszych czasów starzec z długą siwą bro-  
 dą Szymon Kortkowicz. Liczył lat około 80, miesz-  
 kał tuż naprzeciw świątyni Karaitkiej, a ponieważ  
 ja mieszkałem z domem jego zięcia, tuż obok tej świą-  
 tyni, często spotykałem tego miłego staruszka. Chę-  
 nie opowiadał o Karaitach, o dawniejszych czasach halińskich,  
 o łazniach, zdarzeniach, powodziach itp. Onoż dawał  
 klucze od świątyni, każda wieczoła do niego się zwracała

i on jej po stokroć opowiadał o pochodzeniu Karaitów, o świętych, o darach z Krymu, a był dla mnie ze swojej religii i odrębności. Mówił pięknie po polsku i stanowił wyspaniały typ swego jak gołęb starca, pamięta. Jacego dener, dener czasy, oddanego z głębokim pjetyzmem dla przeszłości, był jakby łącznikiem między a nowego pokolenia. On to z innymi budował pierwszy most drewniany w Haliczu w roku 1850. i opowiadał o uroczystym „bijaniu pierwszego pała w rzekę. Zmiał ciekawie niespodzianie. Pewnego poranka powiedział mi moja siostra Liza, że niemal ze łzami w oczach: „już niema Szymcia (tak bowiem zwano popularnie Szymona Morokowicza), wczoraj na rynku spotrzeptem, że przez rynek postępnie jaski Karaitki pęcherz na Łataki, pytam kto umarł, doniedzietań się, że to Szymcio.“

Rabinem Karaitów był ze murich czasów Noachowicz, zamieszkały na Łataki Beda, pranie przez ortę, lata sąsiedzi opiekunów i spadkowym dla miasta Halicza, zwałem pranie wszystkich Karaitów, zastępcza że mieszka. Ratem wśród nich, przy ich Karaitkach, w Karaitach domu. Najgorzej się powadziło dzieńcegiem Karaitom, trudno im było wyjść z domu, bo nie było młodzieży męskiej, dlatego co pewien czas jakaś Karaitka chrzcila się, lecz zawsze poza Haliczem. Pisał mi profesor dr. Szima, że ma wiadomości o pamiętnikach swego zmarłego teścia Czesława Baranowskiego, w których są wspomnienia o życiu w Haliczu w latach 1859-1867, a także o Karaitach.



B. JANUSZ (Lwów).

# Kultura Karaitów polskich.

Pochodzenie Karaitów. — Wyznanie, język i zwyczaje. — Strój. — Świątynie i ich wnętrza. — Cmentarze i nagrobki.

Kraków, 7 lu ego.

Przyszli Karaici na Ruś i Litwę z końcem XIV. w. z tatarskich dziel Krimu, gdzie już z początkiem VIII. w. przywodził z Bizancjum po opuszczeniu swej kolebki babilońsko perskiej. Jako sekciarze żydowski wyłonili się w VIII w. po Chrystusie z potopu istnego najrozmaitszych schyzm mozaistycznych, rozpetanego pod wpływem nowatorstw Mahometa i do dziś niezmiennie trwają przy sztandarze, podniesionym ongi przez Anana. Uznają tylko Pięcioksiąg bez talmudu i stąd ich nazwa spolszczona przez nich samych jeszcze w XVIII. w. na „Bibjarczy”. W praktykach religijnych używają języka hebrajskiego — w życiu codziennem tatarszczyzny, przemieszanej z hebrajszczyzną, turezczyzną i słowiańszczyzną. W parze z temi składnikami językowymi kroczy też ich typ fizyczny: mongolsko-słowiańsko-żydowski, na co złożyło się ich pochodzenie rasowe od żydów, współzycie z Tatarami, Turkami i Słowianami, a następnie odsunięcie się od żydostwa tak gruntownie, iż czasem wytworzyli niemal naród odrębny, za który się zresztą oddawała uważają.

Osiadli u nas w Trokach na Litwie, Łucku na Wołyniu i Haliczu nad Dniestrem, gdzie do dziś dopełnia żywota swego historycznego około 2000 dusz, poczciwych i rzetelnych, ale mało przedsiębiorczych i z gruntu biernych w życiu kulturalnem i społecznem. Nie pragną majątków, poprzestając na dobrobycie o tyle skromnym, byle tylko umożliwić życie dla czci Boga, którego w pokoju chwalić chcą według nauk swego prawodawcy. Wszystko inne dla nich, to „vanitas vanitatum”. Mniej się o siebie troszczą, niż inni, o nich i ślad to nie znajdziesz Karaitów, któryby coś miał głośno do powiedzenia o przeszłości i obyczajach swego ludu. Historję ich piszą inni za nich i to im naizupełniej wystarcza. Z dumą tylko wspominają o swych młodzieńczych, twórczych latach na Wschodzie, których kapitałem żyją już od wieków kilku.

Dzięki tym właściwościom nie można właściwie mówić o kulturze kar., a już najmniej u nas. — O ławoici zeznają, że ich z otoczeniem świadczą szczegóły, zanotowane przez podróżnika niemieckiego z początkiem XIX. w., które, opisując przebieg ich w Haliczu, opowiada, iż ubierali w długie bekiesze niebieskie, na głowie nosili konfederatkę.

Na Litwie starsi pamiętają jeszcze, jak ich dziadkowie chodzili w kontuszach, a w memorjale do Sejmu warszawskiego z końca XVIII. w. sami oświadczają, iż „po polsku chodzą”. Nie można też mówić



Świątynia Karaitów w Haliczu z r. 1830.

«chałacie kar., bo i pod tym względem niczem nie różnili i nie różnią się od swego środowiska.

Pewne cechy swoiste wykazuje u nich tylko to, co łączy się z kultem, a więc strój duchownych, urządzenie świątyni i cmentarza, chociaż w tem znów prawie niczem nie różnią się od współbraci żydowskich, co przypisać należy przede wszystkim wspólnemu językowi obrzędowemu. Świątynie budowali dawniej wyłącznie z drzewa i dopiero od niedawna posiadają i murewane. Stara drewniana „kenasa”, rzekomo z XVII w. zachowała się w Łucku. Jest to dość obszerny budynek czworoboczny ze ścianami z desek pionowych, nakryty mansardowo załamanym dachem gontowym — skromny bardzo od ze-

wnętrz, ponieważ tak nakazywały przepisy dawne, a nągi dla nich było wszelkie wspaniałostwo. Okazalej natomiast przedstawia się **wnętrze z galerją dla niewiast i chórem śpiewackim, ścianami malowanymi i stropem z rozetowymi kasetonami**. Nawprost w ścian, na podwyższeniu pod ścianą wznosi się ołtarz renesansowy z kolumnami i snycerską ozdobą, gdzie chowało się za wieloma zwoje pergaminu. Pośrodku ściany, nad kolumnami i wskazywał na Płótno. Wskazywało, zw. „bima”, które było czarną i białą. Pośrodku jest świątynia w Trokach.

W Haliczu znajdował Karaitów po spaleniu się stare „Karaickie” w 1830 r. na ogół, mury. W Haliczu Karaitów, którzy od czasu starożytności byli z saską ady, opatrzoną czarną i białą, walczyli, i z łobną w polu gwiazdą Dawida na lewo i prawo, w wężu z obramowaniem, podłogą. Wewnątrz, w galerji dla niewiast, obok polowania „bima” pólka i le. koracjnie łobną z wyjątkiem. Płótno, św. Przed wojną osłoniły ściany i Karaitów „makaty” z XVIII w., które położyli Haliczanie z domowych masobów zdobili swą ścianą. Oglądać je można było na arch. wykładła i w 1885 r., w liczbie 15 okazów, wśród których nie brak było rzeczy wartości muzealnej. Prócz nich wystawiano też hafty na **reznikach i boriach**, tudzież piękny gorsecik polowy i reszki lepszych czasów u Karaitów halickich. Zapisano szereg ułomków „narodowy kalendarz kar.”, spisana z roku na rok historia, religijna kronika, oprawna w złote ramy.

Obok świątyni najważniejszym zabudkiem Karaitów była **cmentarz**. We **Lwowie**, skąd usunęli się z końcem XV. w., wskazują tylko miejsce na starożytnym cmentarzu żydowskim, gdzie chować ich miano oni, ale dowodnie nie dało się tego stwierdzić. Do przedstawny zaś jest domy i **Wagilewicz**, iż groby ich znajdowały się na górze **Wronowskich**. — Reszki w postaci trzech nagrobków świadczą o dawnym cmentarzu kar. w **Kukizowie**, gdzie przebywali od 1692—1831 r. Na jednym kamieniu zachował się napis hebrajski, głoszący o śmierci **Abra. Baat**, zmarłego w 1831 r. Niemala też uciepiał w czasie wojny cmentarz w **Haliczu**, którego stare nagrobki podrużgotano i zwłono do Dniestru. **Najstarsze** jego napisy wskazują na sam koniec XVII. w., a jednym z najdawniejszych pomników jest płyta na grobie **Józefa**, przezanego dla wielkiej wiedzy i zasług **Hamaszbiem**, t. j. „szafarzem wiedzy”. Na wzór, jak opiewają inskrypcje podobne, podajemy epitafjum jego. „Niechaj będzie zapisane do ostatniego pokolenia, że tu spoczywa „źródło mądrości”, oplakiwane ze złamanym sercem. Tajemnicami słodkimi są jego zdania i na wieki niechaj pomnik ten służy ogłowi imię jego — **Józefa** z miasta **Oron**”. Część nagrobków zdobną — jak u Żydów — korony, puhary, dwie dłonie, lwy, jelenie, gwiazdy Dawida itp. symbole, sprawiające, że i cmentarze kar. nie czeni nie różnią się od żydowskich.

Jakim jest i włościwość fizyczne tego ludu, takim — jak w ich — jest i jego **działalność kulturalna**: na podłożu ogóln żydowskich cech kompozycyjnych pewnych właściwości do czasu, z którym dobroduszni Karaitów od wieków żyją w najlepszej zgodzie



Fragment cmentarza Karaitów w Haliczu i nagrobkiem Józefa Hamaszbiem. Obok nagrobek ostatniego z rodu Hamaszbiem z genealogją rodu



Choć około roku 1900 Halicz był miasteczkiem, a miał w cztery narodowości, żyły one w zgodzie, zawisły nie było żadnej, każda narodowość rozwijała się swobodnie i pracowała nad sobą. Taka zgoda we współżyciu przetrwała w spadku w nowsze czasy z dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Wszakże znanejsze rody ruskich mieszczan halickich miały swe tradycje sięgające czasów Polski przedrozbiorowej, mieszczaństwo broniło z walczą o wolność narodu, jak o tem świadczą owe niewytniężone i nierozprawnie ptożone piosenki Czernomyrskiego. Znamienny był np. fakt podany mi również przez haliczanina Gziamę o ruskim rodzie Skrzetowiczów, którzy poprowadzili czuh się obywatelami polskimi. Jan Skrzetowicz walczył w powstaniu r. 1830 a jego syn Kupiec Michał w powstaniu r. ~~1860~~ 1863, a byli oni Kuzynami moimego łacińskiego proboszcza Ks. Pawulskiego. Lwi jednak murek, względnie syn Hieronim Skrzetowicz wszedł w ruch ukraiński, a nastroje ukraińskie do narodu polskiego w nadto dobrze były i są dotąd znane. Przed rokiem 1860 Ks. rusey mówili w domu tylko po polsku, bo polski język był towarzyskim dla inteligencji ruskiej. Proboszcz rusey haliccy mieszkał na starym cmentarzu nagrobki polskie, zachowane dotąd, jako widowny znak jedności obywatelskiej obu narodów. Na lata 1900-1906 były już ostatnią fazą tej słodkiej harmonji. Systematycznie prowadzona pruska akcja utarczania narodu polskiego wrogim pierwieciem, zapuszczała korzonki także w Haliczu. Bez dzieje tych przemian idę już poza czas objęty mojem opowiadaniem, nie przysięgam ich w Haliczu, nie mogę więc o nich pisać.



Pod Haličem na Dniestrze stały na kotwicy trzy statki. Jeden był bagier, który pracował nad postępieniem koryta dniestru w okolicy drewnianej cerkwi. Praca trwała niemal całe lato, ale robota ta nie na wiele się przydała, bo na tak dużą rzekę jak Dniestr potrzebne były przynajmniej 4 bagry. To co to ten jeden bagier wypracował przez dzień, woda przez noc zamyłata i trud był daremny. Drugi sgrubny statek był



Bagier na lewym brzegu Dniestru pod Haličem. Widoczną są: roka rzeki, na niej stawy drewna, za rzeką, wkradł miasta (Stary Sad), Tęgi, Łukien i Złatanien.

przeznaczony do przewożenia osób, miał ładny salonik wewnętrzny, ale myśliły się Karidy, żeby sędzić, że można było tym okryciem jeździć. Stał on ustawicznie na kotwicy, dlatego i przez nasinę części pracowała na bagrze, a ci co na statku dla polnowania go pozostali, tonili ryby na Dniestrze, schodząc ciągle i zetargi z dzierżawcami rybołówstwa. Wreszcie trzeci mały statek, nazywający się „Łomica”, był raczej dużą łodzią motorową,

też stat na kotwicy zupełnie bezczynnie, jakby na pokaz. Wszystkie trzy statki były pod zarządem Starostwa w Stanisławowie a w szczególności Urzędu Budowniczego przy starostwie, a radca Pindeloh, na zlecenie tego Urzędu nie posiadał zgody inicjatywy, by uruchomić pług na Świerze i Łomnicy. Mimo to na Świerze był ruch dość ożywiony, wycieczki jednak trwały z drezem, dla którego były dwie niekiedy przystanki, jedna pod górą s. Stanisława, druga poniżej drewnianego mostu, o jakie 300 metrów od niego oddalona, a po lewej stronie rzeki.

Most ze swoich czasów był drewniany (zobacz obrazek str. 227), choć silnie i umiejętnie zbudowany, jednak uległ raz rozbiciu. Oto w roku gdzieś między 1903 lub 1904 na początku zimy spłynęła kora na Świerze. Jezero w przededniu niebezpiecznego nieurowni staliśmy z kolegą, radcą Manciobonierem ~~staliśmy~~ do połna na moście, patrząc na wspaniałe poszukiwanie się stonów lodowych po szerokiej rzece a ogromne brzoła uderzały o pale mostu, który drżał od ciśnień. Nie przypuszczając niczego niebezpiecznego odeszliśmy do domów, gdyśmy się jednak ~~na~~ narażono rano obudzić, już mostu nie było. Oto z góry nadeszły gęste masy lodu, zrobił się zator na Rozłach przed mostem, poorem lód prześadził Rozły, runął na most, obalił go i rozszedł w środkowej części, skutkiem czego most wraz z masami lodu uniesiony został u dołu rzeki. Także Rozły uległy zupełnemu zniszczeniu. Ruch ogromny zrobił się rano (dalej str. 296.)

Tea dotychczasowe obrazy razem złożone odzwierciedlają zachodnią potęgę rynku helickiego (od strony Łuseni) z r. 1904. Niżej umieszczony obrazek umiarkowanie dotyka tych domów drewnianych podzamkowej części rynku, dalej widać płaski rynek ze studnią i szeregi domów zachodniej linii rynkowej. Na pierwszy plan wybija się duża, dwudzielna, piętrowa kamienica o 4 koniach i dwu bramach wjazdowych. W pierwszej z tych kamienic (na lewo od widza) ja mieszkałem na ~~III~~ piętrze i z balkonem miałem widok na cały rynek i na górę zamku. W drugiej kamienicy (na prawo) był hotel Faden = hechtowej. Dalej kamienica piętrowa na prawo, nieco wyższa od poprzednich była wstawiła Kupca Spirmana. Dalej na prawo są 4 piętrowe domy żydowskie, z których pierwszy na lewo (o 5<sup>ciu</sup> oknach na poddaszu) zamieszkiwały moje biedne rodziny żydowskie i co raz stamtąd wyruszały smutne pociągi. Dalej jest na rynku stójka, sto cegieł obok rozpoczęta budowa. To Kupiec Nagel budował kamienicę, upamiętnioną i za mieszpa, n r. 1906.







Powyższy obrazek odzwierciedla północno-zachodnią część rynku katolickiego z r. 1904. Dobrze widać ratusz, a za nim na lewo widać się część brzoźnego budynku sądowego (widać 3 okna na piętrze, właśnie te, gdzie urządował. Na szarym dachu są 2 białe kominy, które postwili do odszkalania budynku na obrzeżu). Od sądu na lewo jest dom parterowy z nadbudówką o 2 oknach nad bramą. To był dom Singerów (po lewej stronie od bramy sklep zielarski, czarna poprzeczna przeska to szklarnia sklepowy — po prawej stronie bramy była propinacja i szynk). Widać ujście Ławki do Świerżu, część Ławki (wśród sadow), dalej zarysy gór i Staniotara.

Na dole w prawym rogu obrazek widać dom o szerokim białym blaszanym dachu z dwoma kwadratowymi oknami na poddaszu, o 4 kominach na białym tle. To budynek tow. Nadzieja gdzie była ostoja życia towarzyskiego ruskich mieszkan katolickich.

na miejscu, wyległy tłumy ludzi, by spojrzeć na rznięcie  
 mie i odcięcie od świata, policja zrehabilitowała rynek mostu  
 i ~~nie~~ nie dopuszczała nikogo a tymczasem zabrano się do  
 robienia drugiej kładki. Trwała ta kładka robota około 10  
 dni, kładka stała, ale mogła mieć już jedynie jedną  
 osobę, bo była wąska, niepełna i fatalnie się kłaskała. Kład-  
 dy wstępując na nią polecał Ancha zreg. Worek mocnym.  
 dopiero gdy kładka przeszła na drugi bok, odstąpił spo-  
 kojnie. Trwała ta kładka kilka miesięcy zanim naprawio-  
 no, a wstąpienie zanim pobudowano cały budynek mostu i kład-  
 ki to nie bez wielkich przeszkód i pracach, bo kiedy po kilku  
 tygodniach mozolnej pracy znaczna część kładki była już wbito  
 w rzekę, spłynęła nowa kładka i pale poprzecinane jakby pita,  
 tak iż trzeba było dawać nowe. Przez cały <sup>czas</sup> pierwszy  
 mostowy ruch kładowy a kolejną odhrył się na Jęzupol.

Okolo r. 1905 zanonisło się na Krowaniu starostwa  
 w Haliczu. Rząd chciał je tu otworzyć, ale nie chciał tego  
 miasta. Celem poinformowania się na miejscu przypłynął  
 do Halicza osobistnie namiestnik Andrzej hr. Potocki. Wy-  
 ruszył cały Halicz na jego spotkanie, a oficjalne powi-  
 tanie odbyło się przed mostem od strony miasta (plan  
 1. 39.). Był Magistrat, sądy, wyznania, wszyscy go witali  
 mile a ruski proboszcz ks. Winicki po krótkim  
 powitaniu dał mu do pocieszenia krzyż złoty, długości  
 około 30 cm. przypominając, że jest to dar jego przodków,  
 bo pochodził z dawnych czasów z rodziny Potockich.  
 Namiestnik wziął z proboszcza krzyż do ręki i z zaintereso-

waniem go oglądał. W kilka lat później ten sam Potocki został zamordowany w Lwowie przez ukraińca Siczynskiego.

Również ze moich czasów budowano kopułę na starożytniej cerkwi murywaniej w Hłubiczn. Byłoby okolo ro. 1904. Najpierw badano fundamenty, czy wytrzymają nadkład kopuły. Otóż na ~~pr~~ przestrzeni 4 metrów kwadra. torych, przy bocznej ścianie od strony ramienia, na cmentarzu, wykopano jamę czworoboczną na okolo 3 do 4 metry głęboką, a tu wykazano, że fundamenty są ugrumowane silnie. Przytem natrafiono na kilka warstw cementarza i dużo kości białe na ziemi z jamy wydobytych. Stwierdzono, że od kilkuset lat poziom gruntu znacznie się podniósł. W przeszło metrowej głębokości natrafiono na posadzkę nawozu Rońskiego, jakby naokoło cerkwi był jakiś tabory, lub obozowisko. Gdy wewnątrz cerkwi zdjęto posadzkę kamienną celem ustalenia rozstawu do budowy kopuły, okazało się, że pod posadzką jest mnóstwo ciał dawnych nagrobków, podchodzących widocznie z cmentarza, okalającego cerkiew, a wrzucono je do cerkwi, by przez to podnieść płaszczyznę posadzki wyżej, stosownie do podniesionego poziomu gruntu naokoło cerkwi. Jedną płytą grobową była cała, zrobiona z białego piaskowca, a tak ściera i nowa, jakby przed rokiem wykonana. Na środku niej wyryty był trójkątny krzyż a naokoło napis ruski, że pamiątka (imię nie pamiętam) Marki. Niez nagrobek ten postawił jedynemu synowi (znow imię nie pamiętam) m. dzis). Rok wskazywał, że on jedynak zmarł



za panowania Władysława Warneńczyka w Polsce. Kopuły  
ktadhi murarze z Siemian lub Łożyska. Po ruszowaniu  
wyprzedtem był z ks. Winickim ai nad sklepienie cerkwi  
i przysładałem się tej budowie.

\*

Byłem sąsiad opiekunowym dla miasta Haliwa  
zworach się więc do mnie kaboranie, abym poradził na liczne  
niedomagania. Oczywiście, co mi mój urząd nakazywał, ale  
czasami strony były natrętne, niepokojące są lada drob.  
nostka. Do takich norażnych spraw opiekunowych materia  
oprawa Singerów. Tuż obok sądn w rynku był dom Singerów  
W moim czasie byli właścicielami tego domu Juda Singer  
i jego żona po potonie. Singerowie mieli kilka córek, lecz  
mni te dorosły, fingerowie umarli. Najstarsza z córek była  
Fradel, lat 18 licząca, ładna dziewczyna, lecz nieco sta-  
rata okoniem ku ojc, a była wcale wymowna. W miejscu  
śmierci matki zapisane zostały jako właścicielki jej niemy.  
dzielonej połowy realności sze matoletnie córki. Juda  
finger, pozostaty wdonieć wicnił się met ponownie, a był to  
cłoniel dumny, zacięty, nieustępliwy i ambitny. Przewadził  
handel towarów żelaznych. W miarę podrastania córek  
dochodziło często do starć pomiędzy miami a macochą. Lin-  
ger stanął po stronie żony i niebawem dom fingerów  
stał się areną niezgody, swarów, wyrzekan i płotni. Obję-  
to się to ciągle o sąd a nieroby o lada drobnotkę lecia-  
ły do sądn. Bez parniostam w niedziels zobaczyłem niekiedy  
obiegwisko Koto sądn. Gdy się zbliżyłem do budynku

sądowego, przekonatem się, że to Singerówny pnie z jakąś  
 boleścią szturmuje o sprawiedliwość. Gdy się znalazłem u br-  
 rze, rozpitane a egzaltowane dziewczęta wyrodziły, że ma-  
 choła data im rano Rane, która czuć było mydłem, a gdy  
 się ojców wiality, ten zgromił starszą córkę stornie, a młod-  
 szą dał klapsa przecząc, być czuć było Rane mydłem, bo  
 takasama on sam piał. Niebawem stosunki u domu Sin-  
 gerów jeszcze bardziej się pogorszyły z powodu miłości pier-  
 wotnej Tradi. Oto przy ulicy Karawkiej mieszkał ubo-  
 gi a uczciwy żydowski Moldaner. Miał około dwudziesto-  
 letniego syna, który był pisarkiem przy przedsiębiorstwie  
 splam drzewa na Dniestrze. Pomiedzy tym pisarkiem a  
 Tradel Singerówną zawiazał się stosunek miłosny. Niosem  
 Holnik na Jacka Lophię zawiazał się Singer na Moldane-  
 ra i żadną miarą nie chciał pozwolić na zawazek mat-  
 rielny. Jadł poszedł za stołem ojca. „Co, taki prosty żyd chce  
 się zenić z moją córką - wotet a Singer - z córką wadnego,  
 oktonka Rahata, najmniejszego Kapca u Kaliczen! On chce się  
 zenić z córką inteligentnego obywatela, niedooczekanie  
 jego, nigdy się na to nie zgodzę, to byłoby wstyd dla całej  
 mojej rodziny, Singer nie byłby więcej SINGEREM”. Wymu-  
 ci rzeczy Singer tylko o tyle różnił się od zwykłego żyda,  
 że dątał jego nie sięgał po Roski, jask n innych żydów,  
 lecz o 20 centymetrów był Krótszy. O to nie matelnictwo  
 szła u domu Singerów walka na noże! „Przedzej życie bym  
 dał - mariał Singer - niżbym miał pozwolić na matelnic-  
 two”.

stwo, póki je żyje, nie wyjdzie Fradel ze Moldanera, prostaka, szajgica, putamawca!" Fradel ciągle ptakata, a Moldaner smutny chodził ponad wodę i sptały zapomniał, schodził się jednakże pokrzyjono po ustroinach kalic. Rich i Przepik pbowate serca. Były na owych czasach rozpowszechnione losy tureckie, które u paradyń miał bank można było mieć na sptały ratalne. Szej piarwi od sptawów Bergman (ionaty i dzieciaty) i Moldaner, narzeczony Fradli i gingerówny kupili sobie na sptały taki jeden los i że szej małutkiej pensyjki co miesiąca odsyłał bankowi ościszone, cenz Kupna. Ale Bergman był jęższe biedniejszy od biednego Moldanera, więc gdy go wieda przy- cista, ~~raz~~ rzekł Moldanerowi posępne storo: ciężko mi sptać i sptać co miesiąca. dzieci podrastają, wydeśli się młozę, zwróć mi to, co wydełem, a los będzie twój wy- taczna utarnością. Moldaner wystarł się o piemiędzy, sptał los i porządku go niepodzielnie. Szej stat się cnd. Przy najbliższem ciągnięciu głoine wygrana 600.000 franków padła na los Moldanera. Nadszedł do Heliera telegram do Moldanera o Banku o niestyhanem rzekę- jcin a z 10 minut całe miasto carlottorato, zydzi z rozognionem ~~raz~~ poliozkaun' poruhybiegali na mi- sto, naraz carwito się o carnych chatatów jid od mronia, ruch, wrzawa, podziw, czerdrosi, natłok, spadało co na Helior, o zem się prorokom nie śmilo. Pierwszym, który pobiegł do Moldanera pogratulować



na rzece, był mi to inny, jak sam Juda Singer ze  
 starszej osoby. Tymczasem Moldaner już oszalały latał  
 w domu od ściany do ściany, chwytał się za głowę i ścisnął  
 je, jakby się obawiał, by nie pękła ze wstrząsu, oraz mu  
 omal z orbit nie wyrwał się, twarz ~~pat~~ patła gorą-  
 ko, przyśzał niedorzeczności, chciał naciąć z domu, to  
 znów wrzał się na twóko, sam mi niedząc, co ze sobą porządzić.  
 Wreszcie za poradą główną, żydowski obywatel mu  
 głowę mokrym ręcznikiem i potocius do twóka w obawie,  
 aby nie został „meszigene”. A w domu Bergmana czar-  
 na rozpacz ortadneta wszystkich, Bergman wrzał wstępy  
 z głowy, przyśzał z ciałem ił jakby wstrząsem w serce  
 ramionu, tamal ręce, targat odzież na sobie, zda-  
 wało się, że zmyślił postrada lub sobie życie odbierze.  
 „Kedra mię czeka dozwonna, a Moldaner będzie za mię  
 los magnatem! Lepiej, abym nie żył, ~~puścić~~ puścić mię,  
 niech skocz w najgłębsze miejsce dniestru!” Sopiero  
 wysiadamy w falcionej aptece broni uspokoił Bergmana,  
 przechorował się kilka dni i stamany powrócił nad  
 brzeg dniestru, aby dalej zapisać sptany.

Tymczasem Singer głośno ze radością swoją  
 szaro-rudą brodę i kogo spotkał, marzył: co to za  
 porządni ludzie ci Moldanerowie, co za familja! a ten  
 młody, to on taki mądry jak rzadko się widzi, to taki  
 tądny chłopak, nie mam własnego syna, ale ja jego  
 Kocham jak syna. Jerich ja jemu dotąd nie chciałem pozwo-  
 lić pisać się, to tylko dlatego, że ja się chciałem przekonać

czy ci młodzi całkiem silnie się rodzą. Tak ja się przekona-  
 nał, że jest tak, to ja jui teraz zgadzam się na matczy-  
 stwo. Po słabie Moldaneroi przenieśli się Sengeroni i Mol-  
 danerone do Stanistawowa, tam urządzili się po magnacku  
 bo na owe czasy suma 600.000 franków, jui nawet po od-  
 ciągnięciu podatku przedstawiała ogromną fortunę. Senger  
 był wszechstronnym doradcą, niedowiadczonego Moldan-  
 era i mnożył a mnożył pieniądze, należąc do plato-  
 kracji stanistawowskiej. Opowiadał mi sędzia Niemcewicz-  
 ski, że gdy raz około roku 1910 był w Stanistawowie, wi-  
 dział rozlepione ogromne plakaty pogrzebowe: Jędrzej Senger  
 zmarł a na plakacie były wymienione wszystkie jego  
 liczne tytuły, gdyż jako członek obrotu, silny ze  
 względu a potężny majątkiem cięcia, dawał się wybie-  
 rać do zarządów różnych instytucji.

To była jedna z wielu spraw opiekuńczych.  
 Mam w pamięci kilka innych ciekawych spraw opie-  
 kuńczych Żmierszanich i Karasickich, ale choć  
 przebieg ich pamiętam, nie zapamiętałem dobrze  
 imion, dlatego mi podobna ich tu podać.

\*

Wreszcie wspomnę nieco o moim własnym  
 życiu podczas pobytu w Haliern. Noto jest ono inte-  
 resujące, ale niedługo snopek światła na życie jed-  
 nego ze rodzi na matem miasteczku.

Pierwszem moim i najgorszem mieszkaniem  
 był domek Pan'czaka (plac p. 17), tuż za cerkwią mu-



rowana pociągony. Interesujący ~~to~~ to był człowiek ten Pań-  
 czar, stowarz. Kiedyś przed laty obnosił na plecach  
 po Kraju płótna i sprzedawał je po wsiach. Gdy zarobił  
 trochę grosza, kupił sobie nożek i kocią i obwoził  
 płótno od wsi do wsi i tak dorabiał się coraz powoli  
 większego mająteczku. Wracił wtedy na Stowarzysze,  
 ożenił się ze Stowarcą i dalej prowadził handel płót-  
 nem, ręcznikami, fartuszkami itp., a zbierając niegor-  
 szą grosz, kupił sobie w Haliżu obok cerkwi dom dłu-  
 gi, obłożony na trzy partie. Jedną taką część domu  
 o dm pokoiach i kuchnię ja zajętą. Pańczar miał  
 wtedy lat około 48, rosty męczyzna, brunet z dużym  
 nosem, nieczmie palił porcelanową fajkę na miedzi-  
 cybuchu. A aby nie ryzykować nie trwał, sprowadził so-  
 bie ze Stowarzyszenia młodego Krajana i nim się wy-  
 rezerwał. Był bardzo cięty, oszczędny, spokojny, dumny  
 na swoje stowarskie pochodzenie, co pewien czas przy-  
 chodziła jakaś gazetka stowarska, którą Pańczar  
 czytał od pierwszego do ostatniego słowa, ona go też z jego  
 stowarskiej krzepiła i utrzymywała. Ale miewał swoje  
 chwile nylomni i to w sposób wielce oryginalny. Oto u je-  
 go trzeźwości i oszczędności następowała czasami fa-  
 talna reakcja. Od czasu do czasu, może ze dwa razy  
 do roku, po samym targu, w Haliżu lub w którymś ze  
 sąsiednich miasteczek, mając torbę i kieszonki napchane  
 zarobionymi pieniędzmi, odbywał Pańczar wieczorem  
 stąps z towarami do domu, sam szedł do szynku, pił



co się wzięło, katesował, podniecał się, apadł w znakiemity humor, fundował wszystkim, kto tylko chciał pić, wreszcie apadłszy w niepokonane podniecenie otwiera skórzaną torbę z drobnymi pieniądźmi, chwycił je garścią i nął niemi po Karocinie tak, że jak się nieje zboże na rohi, przysorem wotat: bierzcie ludzie, bierzcie, ja Rohan wszystkich, mam ja, niech me Raily — znova zagarnął garść monet, znów wrucił w Pragę i wotat: bierzcie ludzie, abyście wiedzieli, że słowak Pańozak z Hah'ca chce, aby wszystkim było dobrze, pijcie za jego zdrowie i Rookajcie go, jak on was Kocha. Wiedziata dobrze jego rona, co to znaczy, że po targu Pańozak z pieniądźmi znikat, nładat na wózek, jechata do miejscowości, gdzie był jarmark, pytata pomiędzy ludźmi o słowaka, wreszcie odnajdowata go w jakimś szynku, z tradem rabierata do domu, przeszukawszy poprzednio dobrze podłogę szynkarzowi, czy niema gdzie jeszcze niepozbieranych rozrzuconych pieniądzy. Wśród dosadnych stoi, ale tylko dla słowaka zrozumiałych, pakowata prawie nieprzytomnego Pańozaka na wóz, pieścią na odchodne pogrozita szynkarzowi, smignęła batem i Rwi ruszat do domu, nioząc innahdy. W domu spał Pańozak ze dwa dni, wstanał skruszony, cichy, mały, znów pracował męczynie jako gospodarstwa, znów szczerzył, czytał dostadnie swoją słowacką gazetkę, sumieunie targi odbierał, tanio Kupował, drogo sprzedawał, dusił grosz do grosza, ari niepodziwianie po jakimś roku, tonat znów gdzieś w szynku, znów pił na umor,

znowu niet piemiędzy i znowu rozpaczona i ona rabierata go  
 do domu. Mówiła jej i Heliern. Choć Paniczak przepadł,  
 jini pojechała i ona szukać go po śniecie. ~~Ata~~ Pomyślenie  
 u Paniczaka, choć miasto to ralets, że było blisko sadu, jed-  
 nak miasto fatalną radę, bo było wilgotne, gdzie dotychczasowy  
 jeden duży pokój był śniecio podzielony na dwa, ściana nowa  
 była cieżkim surowa i wydzielata nierówną wilgoć, zaleszona  
 w porze jesienniej. Z trudów podwórzy i z wilgoci domowej  
 rozchorzał się, dostatem silnej gorączki, derżem spowony  
 jak Łazarz w kompletnem opuszczeniu, bitem i ścianą trich-  
 tarem, ale ze sąsiedniego mieszkania, gdzie mieszkała matka  
 postugaczka, i ona poliganta, nielt nie przychodził, bo starsi  
 poszli do pracy, a gładhomienka córka mójego wotania nie  
 mogła stypać. Tak przelatałem do późnego wieczora, myśla-  
 łem, że zjawi się mnie przez ten ciężki dzień nuda, dopie-  
 ro na kolację postugaczka zrobiła mi herbatę. Wtedy to  
 stał się, gdy się podziwiałem, przypiechał do mnie zecny  
 kolega Paklerowski ze Sotofriny, przywołując strzącają, umie-  
 jącego gotować, ale że jini przedwornatem i zwałatem jakli taki  
 sposób do życia, podziękowatem mu ze dobre serce. Tymora-  
 sem odchodził z Heliern Kandydat notarialny Kasperek  
 i pokój po nim był do najęcia. Był naprzeciw probostwa  
 tacińskiego dom wdowy Janowiczowej (plan p. 9.). Z frontu  
 mieszkał lekarz dr. Stock, w domu podwierzonym zaś  
 mieszkała wdowa Janowiczowa z córką Heleną. Ładny sto-  
 recny pokój zajmował ów Kandydat notarialny, posiadł  
 z nim, oglądnięciem pokój i najętym. Przeprowadziłem się



306

tam, byłem bardzo zadowolony z tej zmiany, matka i córka  
sprzątały mi i dawały śniadanie, reszta były uprzejme  
i asidue. Gdzieś Niemcewicz widząc, że mi tam nie było  
spokojnie z nikim w Haliczu, zabrał mnie do siebie na obiad  
i kolację, było mi nie przyjemnie, młodo, przeto nie z ro-  
dziny Niemcewiczów i ściśle zaprzyjaźnionym. Ale kolega  
ten zachorował w r. 1903, musiał na całe lato pojechać  
do Karlsbadu, podczas kiedy i on z dzieckiem wyjechał  
do tercia do Głogowianki. My pomieszkaliśmy jego na przed-  
mieściu na Miedzywodziu nie pozostawiając jedynie na opatr-  
stwo brzoj, wypraważiliśmy się do Jauszowicy i z rzeźni  
wypraważiliśmy do mieszkania Niemcewiczów, mając  
pieczę nad moim i jego mieniem. Tymczasem córka Jausz-  
owicy Helena wysłała zamiar o mieszkaniu z Robertem  
i po powrocie Niemcewiczów mi moim jej pisać mojego  
pokój w Jauszowicy. Ale ten Robert ta miła od tam ra-  
trute więc bo córka okazała się nieudolną i niedobłą.  
Przechodziła do mnie Jauszowice do biera, płakała, na-  
rękała, dawała porady. Łagodziłem, jak mogłem jej ciesz-  
ki los i ~~gorzka~~ starość. Potrałem nie szukać w Haliczu  
nowego pomieszczenia.

Napomniatem o mieszczczyźnie Bergmanie, który  
nieopatrznie odsprzedał turecki los i postradał majątek.  
Jeszcze na długo przed tą historią, mieszkał Bergman  
w oddzielnym domu przy ul. Karwickiej tuż za świąt-  
nią Karłową (plan p. 19). Miał jednak ciągle ratargi  
z właścicielem domu Karłow, z tartarzem o ogrod - nie



Karaita mu pomieszkanię wyprzedział. Doradziłem się o tem, postatem urzędnika sądowego Szinbarnika, oglądał je, uznał za odpowiednie i dla mnie wynajął. Niebawem sprowadziłem się do tego domku, miałem dwa pokoje i kuchnię, rozłożyłem swoje meble i wyrobione w szkole Roszkarowskiej i Strzhan'cach (a zakupione jeszcze w Łotwie), pokupiłem nieco sprzętów nowych i rozpocząłem nowe gospodarstwo. Było mi to już czwarte moje pomieszkanie w Stawku. Sonek bardzo mi nie podobał, można było też wyjść na ogród nad brzostrzem, a stąd na jedną z tam, tak iż się na łanie stało wśród rzeki, gdzie był mity widok na całą rzekę. Ustąpiła mi Justyna Lisowska, żona Jana, ciężej. Prawdziwa, cierna, rzetelna kobieta, utrzymywała wzorowy porządek, była ogromnie obowiązkowa, czy burza czy zamieć, zawsze punktualnie rano przechodziła z odległego przedmieścia Międzywodzia. Głodziłem więc sobie w domu Karaitę, a po hebrajsku napis wyryty na belce szafy głosił, że Stogostanowy, sto w tym domu zamieszka. Na obiady i kolacje przyjął mnie stary sędzia Łuczarski, który znów miałem gdzie miłe spędzić popołudniowe i wieczorne godziny, a dom Łuczarskich z trzema małymi, resztemi dzieciakami, stał mi się już przystanem, rodziną, i braterkiem ogniskiem.

Tu mieszkam kilka lat. Zdarzały się, że to czwarte pomieszkanie będzie trzecie, bo istotnie miało wszystkie zalety i dogodności. Ale stało się inaczej. Oto Łuczarski został notariuszem i wyprosił się do Rożniatowa, po-

stradatem więc możliwości żywienia się w jego domu, restauracja w mieście była tylko jedna na kolei, więc aby było daleko odległa, trudno byłoby ~~z~~ tam Rilka rary dziennie chodzić, aż oto pojawił się w Haliczu ekskelner Józef Synowicz, zamieszkał w domu Pańcaka i żona jego została prowadzić kuchnię dla Kawalerów. Synowicz wykupił obiad i kolację do mego Karwickiego mieszkania, gdzie też celem stołowania się przychodził nawiedzić sąda Hordyn'ski. Trwało to dłuższy czas, aż szef Niemcewskiego zwrócił mi uwagę na możliwość wygodnego zamieszkania przy rodzinie Astanów. Oto Panet Astan, ormiański, był właścicielem Koziny pod Haliczem. Sprzedał ją i kupił od Pawulskich przy ulicy Sobota (plan p. 24) dom z obszernym ogrodem. Na tymto opowiadaniu postanowił Astan nowy dom murowany a na dalszy cześć kapeczini zatorzył szparagarnię. Oboj Niemcewskiego doradził mi przenieść się do tego nowego domu. Zgodziłem się na to, Astanowi ~~by~~ mię stołować, płaciłem wcale przystępną cenę, znalazłem się wśród ludzi uczciwych i dobrych, czułem się u nich swobodnie, wygodnie i miło, jedno tylko, co mi bardzo dolegało to śnieżność budynku. Wstawałem codziennie rano z łóżka o 7 godzin, dopiero około godziny jedenastej rano przychodziłem do równowagi. Słucham dopiero niedawno, tylko dwa lata na mnie nader niekorzystnie, gdy rano szedłem do biura, Karidy, Stup i Karida latarnia dwojki mi się przed oczyma. Nie czytałem mi to wielce, a mając na względzie rację Astanów, nie chciałem im objąć mego niedomagania, płynącego z wprowadzenia się do catkii nowego budynku. Nie było

innej rady, jak wyprowadzić się. Znalazłem pomieszkanię (już szóste przed) w samym rynku w Kamienicy na pierwszym piętrze, zjawił się Synowicz i Lisowska, zabrali moje rzeczy i pospiesznie ulokowali w nowym pomieszkaniu. Tu odzyskałem, a mając balkon, siadawałem na nim często i oglądałem ruch na rynku (dom ten jest uderzająco na obrazku Haliwa na stronie 294 tych wspomnień). I znów Hordyn'ski przychodził do mnie na objazdy i Kolepcę, Lisowska obstręgiła, Synowiczowa wieść przybyła, było <sup>mi</sup> tam dobrze, jak zwykle kiedy przedtem, było bym się stąd nigdzie już nie ruszył, ale nadszedł czas awanru i inne przepiękne rzeczy, które nadały zupełnie odmienioną kierunek mojemu życiu.

Jak wspominałem, żyłem się tylko z Hordyn'skim, bez wzajemnego obcowania jednego dnia nie przerywałem. Hordyn'ski przez Hetterów poczynił liczne znajomości w sferach wyższych przedmiotów Kolejowych, tak iż codziennie obracał się wśród rodziny Hetterów, Pileskich i Kohnfeldów. Schodził się najczęściej w restauracji Kolejowej, siadając do późnego wieczora i w Ritz lub Ritz-Kanapie osób wiele i gwarne czas spędzał. Czasami schodzili się te rodziny ~~w~~ jeden w domy jednej z nich. Naturalnie, że Hordyn'ski, jako członek młody, wesół, miły, tryskający życiem, a nadzwyczajnie ciekawym nowy z Haliem, był pożądanym gościem, a oczy nadobnej pary tęskniły się do niego wracały. Czasami szedł Hordyn'ski ze mną



310  
do ks. Lanreckiego na Łatunien, gdzie onś ja miałem grander:  
ną, biesiadę literacką. Choc' rodziny Kolejowe były mi znane,  
jednak dotąd w tych Rotach się nie obracałem. Hordyn'skiemu  
brak ~~mi~~ było mnie, gdy siedł na Kolej, mierz miś za-  
jechał, hym z min tam chodził rozzerai się, posłuchać trochę,  
napić się herbaty, a nieczorem, po odejściu ostatniego pospiesz-  
nego pociągu wrócić razem do domu. Wiec poszedłem. Było  
tam gwaro, swobodnie, towarzystwo dobrane, a wszystkich  
przenyszał snoga wytnowoscia starszy inspektor Pilecki,  
Heller bałit opowiadaniami ze kapić ryciowych, wszystkich  
ożgniał Hordyn'ski młodzienczą serwą swego bujnego tem-  
peramentu. Je, coppers, mata w tym respoli miałem rolę.  
Wśród grona tych rodzin znalazła się dziewczeczka o mierzow-  
nanej dobroci, o daszy otwartej, miłym wzroku, kornej  
środy i subtelnem uczuciu. Była to Stefania Żrebowa-  
czówna, lat 20 kilka biorząca, urzędniczka rachm na dworze  
~~Kojenym w Kaliszu~~ Kolejowym w Kaliszu. Gdy ja jej ~~nie~~ nie  
znał osobicie, miałem ją za młoda miśatkę i pomyśla-  
łem sobie, że ktoś musi być mierzow, mając tak miła,  
młoda żong. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że miś los z nią respoli na  
całe życie. Mijały wtedy na wiosnę 1906 dwie prany w białym  
a na niezapomnianym nigdy rozgrawie nieczornym na  
kolei. He razy obecnie przejeżdżam przez Kalisz, zdaje  
mi się, że z perona Kolejowego dochodzą miś odgłosy  
moich przyjaciół, że ~~je~~ jeszcze dalej trwa ta młodziencza,  
wiosnianna biesiada, że ktoś do mnie wota: panie Marjanie,

porzucić ten duszny wóz kolejowy i tę redwaną po śniecie,  
 niedaj krotu nas, wszak twój miejsce wolne, czeka za-  
 sze na ciebie. Ale to tylko tak się zdaje, Pileski, Hor-  
 dyniński, Pyrzanowski już w grobie, — niestety to tylko  
 echo minionych przeszłości, bolesne, niepowrotne, stłdne.  
 Ostronid tylko ma jedną miłość w życiu.

Potem już mi potrzebował miś Hordyniński za-  
 chęcać do wieczornego spaceru na dworze kolejowy. Oko-  
 driliśmy chętnie obaj i przyglądaliśmy do siebie z całkowitą  
 harmonijną duszą. A był on zawsze tak dbatym o mnie,  
 tak uprząst i kłiwym, tak myślał jego siła się, aby mi  
 cześć przyjemność wyrządzić, umysł rozjaśnić, urobić  
 jak najlepsze imię wśród ludzi. Dziś te wspomnienia były  
 mi wręczką z oczu, a myślenie biegło za nim poza  
 grób. Były to nasze szeregowe wieczory i pamięć o nich  
 snuje się ciągle nad miastem Hłaciezem.

W lecie 1906 wyjechał Dniestr i Lomnica, woda  
 dosięgała aż do kolejowego. Kilka dni mi byliśmy  
 na Roki, gdy woda trochę opadła, wojsko tożsawu  
 przewiozło nas od drewnianego mostu na Dniestrze  
 aż do „Hłamaru”, tj. dalej oberwy parady Leowici-  
 cza, położony nieopodal dworca kolejowego. Ucieszyli  
 się nam bardzo nasi przyjaciele, opowiadaliśmy so-  
 bie szeregów, jak powód wygląda z tej i z tamtej  
 strony Dniestru, a potem wróciliśmy do miasta  
 przed nocą, bo wojsko wchodziło do Koszar.

Ale to były już moje ostatnie miesiące pobytu  
 w historycznym grodzie Hlabien. Oprosił mnie Nikka przez  
 subdyktora prokuratury i rozpisano konkurs. Miałem  
 w liście Królowej Karynej od Nikka lat umieszczony dopisek,  
 że mogę ten stopień uzyskać. W gruncie rzeczy rzeczy wolał  
 bym był otrzymać miejsce starszego sędziego przy sądzie  
 okręgowym w Hauristanowie, ale wtedy właśnie nie wolno  
 mi było. Wniośłem wprawdzie podanie o pracę sub-  
 dyktura, ale prawić że mi miało nadać je uzyskać,  
 bo miało około 60 poprzedników. Podanie odesłał i wrócił  
 z Królowej Karynej bardzo korupcyjną, potrzeba jeszcze było oso-  
 biście prosić prezydenta o poparcie. Pojechałem więc do Hauri-  
 stanowa do ówczesnego prezydenta Sahanka, z którym miałem  
 w kancelarii prezydialnej, na wszelki wypadek i przedpokój,  
 narzekając i dając na ten niemiły obywatel prosić za  
 sobą. Wreszcie dopuszczony zostałem do audjencji. Sie-  
 dział miły, starszy człowiek Sahank z biurkiem  
 w dużym, pięknie umeblowanym pokoju, na biurku  
 przed nim ~~stała~~ <sup>leżała</sup> otwarta, śnieżno białokształtna nowa  
 książka do czytania. Przypomniałem mu się, że Gambora  
 i Sototwiny, naco Sahank, przepojony jak zwykłe  
 majestatem, nieco zmanierowany, z rękami arcyka-  
 piana, ale zawsze dobry, z odzieniem Taskarwici odziany,  
 że bardzo dobrze mi pamięta i śmiejąc mi przeciw-  
 temu, bym uzyskał prosić miejsce. Po krótkiej re-  
 mna rozmowie, pożegnał się odpowiednio <sup>do</sup> (zwygodności



i dalej począł czytać otwartą na biurku powieść. Tak dawniej mógł prezydent sprzątać na laurach i rozjaśniać ostatnie lata swego przegrodzenia miłą lekturą najnowszych powieści. W szesnście lat później i ja miałem to samo stanowisko w Grudziądzu, jakiejś Łahenek miał w Stambule. Ale stokrotnie inną ~~jest~~ była moja praca, miałem ciężkie pociąganie dla braku ludzi, musiałem zabiegać, nagładać, wszystkiem się interesować, walczyć z trudnościami od góry do dołu. Jedno i to samo stanowisko po tych latach zmieniło się niestetychaniem.

Niebawem otrzymałem od szefów osób ze dwoma wiadomościami o propozycjach, jakie odeszły do Ministerstwa. Podaje to jako charakterystyczny rys owych czasów. Na dwa wakujące miejsca zaproponowano nas czterech. Ponieważ po starszeństwie ja byłem drugi z Kandydatów, dlatego materiałem się spodziewałem, że oś starszy służbą odemnie Kandydat będzie postanowiony na pierwszym miejscu, ja zaś na drugim, bo reszta kwalifikacji nie różniła się. Ale prawda wówczas w rzeczywistości w rządzie przez apelację lwowskiej Tchórczicki. A niego z biura prezydjalnem pracował młodzieńcki sędzia, który również podał się na Konkurs celem uzyskania miejsca substytutu, przeciw Tchórczickiego o poparcie, naturalnie wywrót je, a wobec tak wszechmocnej woli ~~jest~~ prezesa apelacji, nikt się jej oprzeć nie mógł, tego młodszego odemnie sędziego postanowiono przedemną, mnie zaś na trzecim miejscu, czyli, że wyszedłem poza

nawias awansu. Nie bardzo się tem smartwilem, dziś  
 powiem otwarcie, że prawi byłem zadowolony, cenilem  
 bowiem wyżej swoją niezależną służbę sądową, niż za-  
 leżną od czynników kierowniczych służbę prokuratorską.  
 Machnąłem ręką na wszystko i dalej w biurze zatatniałem  
 sprawy opiekuńcze i spadkowe, ze wlupek chwiłach ze zrze-  
 gólnem upodobaniem chodząc na piękną wyżynę zam-  
 kową, by oglądać w okrag okolicę, a resztę dalej spędza-  
 łem jasne chwile wśród grona znajomych. Z czasem  
 wykształcił się stosunek subtelnej przyjaźni i powinowactwa  
 dusz pomiędzy mną a Stefanją Żrebkiewiczówną, rzekłoby  
 się sobie myślnie wzajemnie i spędzali wspólne nie-  
 czoły w gronie przyjacielskich rodzin. I tak naszym  
 obopólnem szczęściem rozpolity się drogę naszego życia  
 zwiarskiem na dozwolną wędrówkę. Me mi stało się to  
 w "Kaliorn", dla czego opowieść ta należy do następnego  
 rozdziału.

Powróć do przebiegu wypadków, Tęczył się  
 z mojem staraniem o prokuraturę. Odeszły propozycje  
 do Wiednia, ale przecie inaczej rzecz traktowano i Mi-  
 nisterstwie. Skreślono młodsze kandydata, choć go po-  
 piernął Excellency Tchorzwicki, wreszcie rzecz oddano mi  
 to, co mi się po staranności należało.

Pod koniec czerwca 1906 pierwszego wieczora po-  
 wróciłem z powrotem Ks. Laureckiego a jakiej Komisji do  
 domu. Czekała na mnie Lisowska z Rolacją i rzekta,

że postanowie i pocztę czeka na mnie z telegramem. Zaraz  
 dy telegram wskazywał że mnie zawsze niepokój, ode-  
 braniem depeszy, otwarciem i odczytaniem, że poprzednik  
 mój na urzędzie sędziego w Heliozu, dr. Stoniowski, pod-  
 óczas już substytut prokuratorji w Łtoczynie donosił  
 mi o mojem mianowaniu na substytuta w Koto myi,  
 gratulując z tego powodu. Ogarnęło mnie wówczas radości  
 na tę wieść o powołaniu, czułem zadowolenie z uznania  
 i z widoków na lepszą przyszłość. Stomysli stoczyło  
 się przez głowę, radość i obawa mieszały się ze sobą,  
 stałem przed nową kartą mego życia. Rozmyślałem  
 o tem w samotnem pomieszczeniu, wchadło zegara  
 stuknęło miarowo wśród nocnej ciszy, przypomniałem sobie,  
 że z Karida chwila idzie życie na przód, co się raz  
 przeżyto, nie powraca więcej; skończył się mój urząd  
 sędziego w miasteczkach galicyjskich, stanąłem przed  
 problemem nowych dróg życia i nowych stosunków  
 z ludźmi. Gdyś nagle rano szedł do biura,  
 otwarto się na piętrze sądu (w rynku) okno nauczelnika,  
 Hordyński wymachując urzędową "Gazetą Lwowską",  
 w której wydrukowane było moje mianowanie i zdale-  
 kotat: "dzień dobry, panie prokuratorze!" i przeniósł się  
 do biura. Zaczęły się serdeczne gratulacje sędziów  
 i urzędników, cieszyliśmy się wszyscy i wspólnie radością.  
 Od owej chwili, jak mi Hordyński przez okno nazwał  
 prokuratorem, czterdzieści następnych lat urząd ten pi-  
 stotatem. Dopiero w r. 1919, kiedy Hordyński już mi



ciyt, przestatem być prokuratorem i w niepodległej Polsce  
 zostatem sędzią Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, o czem  
 będzie wzmianka we wspomnieniach poznańskich. Otrzy-  
 matem liczne życzenia od znajomych, bo taki był wów-  
 czas zwyczaj, o którym nie pisałem zresztą jako o  
 błahostce ludzkiej, lecz czynię to dlatego, że jedna gratu-  
 lacja była mi także znamienna. Oto od mojego przyjaciela  
 sędziego Michała Grohosniwickiego z Kłotyni otrzyma-  
 tem kartkę tej treści: gratuluję awansu, ale mi żal dro-  
 cze szefa! Ponieważ Grohosniwicki był poprzednio  
 subtytatem prokuratury w Kłotyni, lecz po kilku  
 latach przeszedł z powrotem do sądownictwa, dlatego  
 ta treść kartki mi się zamieściła. Boż mi w jakie  
 stosunki ja tam wejść, skoro tak mi pisze człowiek  
 bardzo dla mnie cenny. Ale fakt był dokonany,  
 potrzeba mi było z nim liczyć. Postatem do Wiednia moją  
 drogą do przerobienia ze sędziowskiej na prokuratorską,  
 zamówilem nowe Rodexy Karne z Wiednia niemieckie,  
 z Krakowa polskie, po nadejściu tych Rodexów wziętem  
 się do forsowej nanki, bo mi pracując w dziele Karnym,  
 dawał mi się prawo Karne w pamięci satać. Tymcza-  
 sem cudowne letnie dnię spędziłem miłą cielenią,  
 świeżością i porabem, ciepłe wieczory lipcowe w Kąkole-  
 wianie ozdobionem technicznie lekkiego chłodu z czterech  
 rzek, schodzących się w nizinie karkowej, były tak roz-  
 korane, że mi potrzeba było wyjeżdżać gdzieś indziej  
 nad brzegi obcych wód, bo się miało miły pobyt w domu.

Lato 1906 było tak piękne i rozkoszne, jakby Haliż chciał się ze mną pożegnać swoją delikatną, łagodną, różową aurą.

Ręchto nadszedł czas odjazdu. Przyniesiony do mnie Synowicz zajął się spakowaniem rzeczy i transportem na Kolej, poranna mieszoranka lisowska i tak, że odjeżdżając z Haliża, obiecywała przegłęchać Kiedys do Kotonuży i popatrzyć, czy mnie tam dobrze. Naturalnie mi się to nigdy, bo ta kobieta zaprawiana mi miała jedną godzinę wolnej, a co dopiero kilka dni!

Znowu najeżdżał dorozkarcz haliński ze swoją dryndą przed moje mieszkanie, znowu stoczył swoje tobotki na koźle i znowu, jak przed czterema latami, znekane Koniiska wiozły mnie na Kolej, abym w drodze

ce życiowej do nowej zawinął przystani. Na dworcu kolejowym w Haliżu zebrała się gromadka znajomych, wszyscy siedzieli i przedmawiali sądowi, serdeczny uścisk pożegnania i to przeszerzenie na wieki, żal za bratnimi duszami, za wężowcem kamieniem, za temi ruinami, które mi tyle razy śpiewały dumę dziejową,

za tą ziemią historyczną, po której znane i nieznane ludy stapały od tak dawna, jak dawna jest ludzkość

ITALIANA

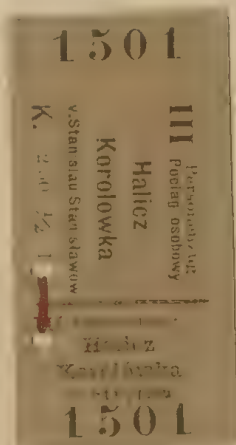


Otwieszny znaczek pocztowy.

w tym kraju. Pociąg ruszył, jeszcze nieme oznaki pożegnania przyjaciół i znajomych, mignęły poprzód okna wagonu budynki kolejowe i domki przedmiejskie i Kaplica na cmentarzu Łalipie, a w oddali rozermia. Te resztki baszty zamkowej coraz znikaty i znikaty, jakby chowały się w cieniu konarów starych drzew wzniesionych zamkowej. Niebawem znikło mi z przed oczu wszystko z Halicza, nie znikło tylko w duszy wspomnienie. A oto zachował się niemy śniadek mego pożegnania z Haliczem — bilet kolejowy z dnia 12 lipca 1906, opiewający na przestrzeń Halicz — Korolówka, bo tak się podówczas sprzedawano bilety do Khotomyj (na jedną stację dalej). Kto nieś patrzy, widzi w nim zryty karton, który się wrzuca do Kosza, do mnie jednak przemiana on w wspomnienie, a nim przeżytem razowy przelot w życiu, dlatego go dotąd zachowałem i niech on starczy na ozdobę tych wspomnień.

\*

W Haliczu zaczął na nowym krześle nowy sędzia i jak ze moich czasów, tak i dalej cisnęli się ludzie do niego po prawo, zapisywać nowe arkusze papieru, tworzyć nowe akta, wreszcie w stosunki miejskie, szukać coraz lepszego mieszkania





w mieście a wytychnięcie na górze zamkowej, ksiądz  
 Laurecki na nowo rozsmuślat przed nim historję  
 tego starożytnego grodu, Synowie go karumi a Li-  
 sovska sumiennie obstrugiwała — i jad sieni regular-  
 nie obraca się naokoło swej osi, tak regularnie toczyło  
 się dalej życie w Haliczu. Zmieniają się tylko ludzie,  
 ale fala społecznych ruchów idzie wciąż miarowo i  
 jednostajnie naprzód. Tak było i tak będzie zawsze,  
 dopóki stanie ludzkiego imienia. —

---

BURS



*W pobliżu Halicza.*

BURSZTYN — Kościół i ul. kolejowa

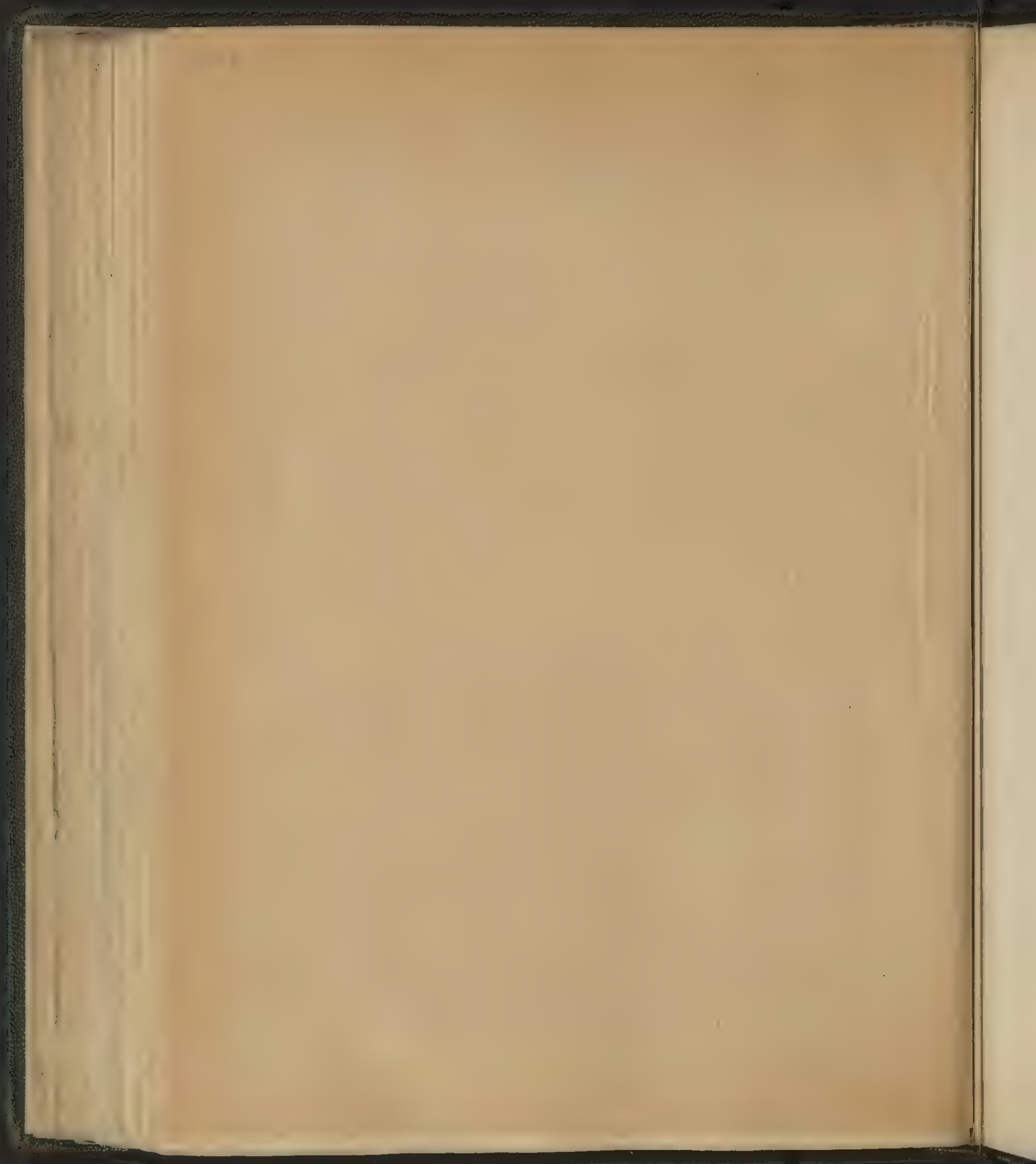
БУРШТИН — Церков і ул. залізнична



Miasto Bursztyn podczas wojny światowej w latach 1914-1918 uległo częściowemu zburzeniu. Obrazek powyższy odzwierciedla Bursztyn z czasów przedwojennych z r. 1911, i daje pogląd o dawnym wyglądzie miasta.

Budynek obok kościoła z oknami po 12 sypł był szkołą powszechną i mieszkaniem dyrektora. Ale szkolne mieszki się w części budynku od strony widza i do szkoły wchodziło się przez drzwi od ulicy. Drugie wejście widoczne na obrazku od strony kościoła prowadziło do mieszkania dyrektora, którym w latach około 1875-1910 był Franciszek Czarnecki, pochodzący z Kopyczynie.





51

Kołomyja

Wspomnienia zastępy prokuratora.

00  
M  
W  
0  
H  
1  
X  
1  
H  
0  
1  
1



## Kotomyja.

Lata 1906 - 1911.

Choć Kotomyja jest bardzo starym miastem, o dziejach jej przeszłych mało wiemy. Co prawda, nie znalazła ona dotąd swego historyka, któryby wyzyskał wszystkie źródła dziejowe. Istniejąca broszurka Wajgla o przeszłości Kotomyi blade tylko rzuciła światło na tę sprawę, choć przecież i to cennie należy jako dobrą rolę i przysługę autora. Już sama nazwa Kotomyi jest cennym zagadkowem, bo nie wiadomo, od czego ta nazwa wywodzi się. Ze wszystkich fantazji najprawdopodobniejsza jest możliwość pochodzenia jej nazwy od Tacińskiego wyrazu colonia. Bóg jeden wie, kiedy i jakich ludzi stopy pierwszy raz wkroczyły na miejsce, gdzie dziś leży Kotomyja i kto założył tu ludzką osadę. Potrzebie miasta zdaje się

wskazywać, że ludzie tu od bardzo dawna zamieszkali, bo mieli od północy iżne przestrzenie pod uprawę roli, od południa bory ciągnęły się aż do Karpat, środkowy zaś punkt nad sławną rzeką Prutem nadebrał się zna-  
komicie na osiedle ludzką. W czasach pokojowych było dość ziemi, by wykarmić ludzi i stada zwierząt domo-  
wych, zaś w czasach burz wojennych nieprzebyte a głębokie bory kryły zbiegłą ludność i jej dobytek przed okra-  
zą ręki wroga. Z prehistorji tych okolic nie wiemy niczego, z czasów Słowian'szychy tak jak nie są nam dochowane, do-  
piero z czasów wstąpienia Rusi i Polski, a więc od wieku  
XIV spotykamy tu i odtąd wzmianki o Kłotomys. Zbie-  
rając rzecz pokrótce, da się powiedzieć, że przestarzałe mia-  
sto Kłotomysa położone było dawniej na innem miejscu,  
bo bliżej Prutu, w okolicy dzisiejszej ulicy Staromiejnkiej,  
nie stało się ważnym punktem handlowym, bo dla braku  
drog handlowych łączących, rzeki stanowiły arterje ko-  
munikacyjne. Nierozdnie więc wtedy z okolic czarnomor-  
skich szły na północny druzgny handlowe i one to i tak  
dogodnym punkcie, w jakim leży Kłotomys, stały się  
jakoś „colonis” ~~star~~ strażniczą nad Prutem i tak mwi-  
linie powstała Kłotomysa. W roku 1627 było miasto  
z powodu pobliża górskiej rzeki narażone na zniszczenia i  
ciągle zniszczenia, w tym to jednak roku rozsądny pan  
Kamieniecki przeniósł je na spokojniejsze miejsce, tj.  
na dalszy wzgórze „przy stani pleban'skim”, tam też  
rozbudowało się piękne nowe miasto zaopatrzone w zamki

obronny - i do dziś na tem miejscu zostaje, choć za zamku  
nie ma pozostałości. Magistrat miasta Kotonuyi miał bogatą  
archiwę, różne źródła historyczne tego grodu i jego prze-  
stych dziejów, ale gdy się ratusz w pierwszej połowie XIX wieku  
spalił, spłonęły także i dokumenty, z wielką szkodą dla  
miasta i dla historii ogółem. Ślad władomości z dziejów Ko-  
tonuyi są tylko atomkowe. Miata ona swój rozkwit, miata  
i czasy kłopotów i ruiny. Rece twórcze budowały w niej zamki,  
domy, kościoły, klasztory, ale rece nieprzyjacielskie paliły  
ten gród Kresowy i często go niszczyły, a w pamiętnym roku  
1589 Turecy wymordowali prawie całą ludność Kotonuyi. Są-  
siadujący a niespokojni gospodarze włoścacy, raz hold w Ko-  
tonuyi składali i na Kolanach słabowali wierność i przy-  
jęcie Rzeczypospolitej, to znów napadali Polakowie i Koto-  
nuyjs, grabili, łupili jej majątek, palili wszystko i ncho-  
dzili do innych wotłdarskich borów. Miata więc Kotonuy.  
Ja z tym rozwojem wiele przeszkód i coraz musiała dzię-  
wać się z popiołów i z ruiną a znojącą pracę dążyć  
do dalszego rozwoju i rozkwitu, z jakim ją widzimy  
w obecnych czasach.

\*

Rozległe miasto Kotonuyja miało za moich  
czasów nieco ponad 40.000 mieszkańców. Choć nie-  
skanalizowane i bez wodociągów, przecież Kotonuyja  
była miastem zdrowym. Wotłka rzeka Prut orzeźwiała



cetą okolic, a od niedalekich gór techną poniew mitej  
sierzni. Koto myja reszta do pieśni ludowej jako stolica  
Głucalszoryny, smetna duma o niej miata glosita  
jako o grodzie nadobnym, a ktolym warto żyć i być i  
na zawsze go wspominać. Grobny taniec ludowy, taneczony  
zapamiętane na śmierci i życie nosi nazwę Koto myjski,  
wszakże odwieczna Koto myja była ośrodkiem pieśni  
i mitu, tanca, zabawy i mitej a gwarnej rozkoszy. Ale  
jest i wzorczyzna gadanina na niekorzyść Koto myji,  
jako o jarkiej pierniastkowej sadybce ludzkiej, o sto  
mil odległej od ostatniego punktu cywilizacji europej-  
skiej. Tak jednak nie było, wszem Koto myjsi cechowało  
wiele stron dodatnich a wcale oryginalnych. Także resz-  
tą Koto myja glosna jest w całej Polsce przez swego poe-  
tę.



Koto myja uczciła pomnikiem swego poe-  
tę Karpińskiego.

a tento Kresowen  
miście wyko-  
set się poeta  
Karpiński.  
Tak Polska dła-  
ga i szeroka,  
codzien' o brasku  
poranym i o  
zmierzchu  
miezornym  
rozbrzmiewa  
jego głęboki  
hymn pochwały

na cześć Wzzechmocnego Słwórey. „Giedy ranne wstają 20-  
rze” śpiewa starzec i śpiewa dziecko – i magnet samoziny  
i prostaczek i siermiędra, a ze strudzonych codziennym  
znojem piersi rnie się ku niebu po zachodzie słońca Roj-  
ca pieśń wieczorna „Wszystkie nasze dzienne sprawy, przyjm  
litośnie Boże sprawy”. Z pokolenia na pokolenie przecho-  
dzą te pieśni pokory, zachwytu i tęsknoty, powstałe w głębi  
duchy skromnego a cichego, lecz sercem i umysłem wzniośle-  
go poety Kotoomyjskiego. Staszucie więc Kotoomyja się nim szczy-  
ci.

Tak poniedziałek, Kotoomyja była miastem wielce  
rozległym, jej utrzymanie kosztowało bardzo wiele, a prze-  
ciw miasto co mogło robić, by zaopatrzyć się w potrzeb-  
ne urządzenia i wygodę. Originalnem następstwem roz-  
ległości Kotoomyi było to, że na odleglejszych ulicach, pło-  
ceni się było po bardzo dobrym kamiennym chodniku,  
przy gazowym oświetleniu, obok chodnika powierzał  
nierzaz i żalował ten piękny zyt. Czyi także sie-  
lankę wzięto się z innem miście galicyjskiem! Brano  
to zaraz za jakąś śmieszność, choć to była miła ory-  
ginalność, bo miasto miało długie ulice i nierzaz na  
dalszem przedmieściu jedno domostwo od drugiego było  
oddzielone obszernem polem. Pamiętam raz w Samborze  
szedłem ulicą Lwowską ku dworcom, a na miejscu było  
szybko jakiśś dwóch ludzi po mierzorastku ubranych  
i coś było rozprawiali. Soleciało mi ich noga, jak jeden  
tłumaczył drugiemu: Kotoomyja to ci „cezyjne miasto.”

Jeżeli wtedy Kotonugi mi znatem, ale gdym się u niej osiedlił, nieraz sobie to przelotne zdanie przypomniałem. Bo było to prawdziwe. Iżto się ulica na przedmieściom, odareto się, że już się miasto Koderzy, tymczasem nieco dalej znów się wytamata jakaś nowa grupa domów, jakby oddzielna osada, mon'czyła się ta, pojanata się nowa — jednym słowem rozległa, ogrodzona, jak staznie pomiędzy nieznanym przeddzien: rzysne miasto.

Ciekaw inną opinię o swym zewnętrzny wyglądzie miałyby Kotonugi, gdyby mi fatalne położenie dworu Koderzego. Postawiono go na nierównym miasto na selegtem polu na tzw. Kosaczonie. Jechano się doń pierwotnie błotną drogą przez pastę pole. Dopiero z biegiem czasu przy tej odłudnej drodze zaczęła biedniejsza ludność kłaść niedobre, tanie domki. Tak powstała tzw. górna Jagelonińska ulica, przedstawiająca optyczny wygląd z szeregiem domów i domków mlecznych bez taktu i składu, górną godnych jarków papadłej, małej miasteczka, ale nie stolicy słuczyszczyny. Głód kto wjeżdża do Kotonugi tą stasnie wjazdową, maleśnią ulicą, odnosi fatalne pierwsze wrażenie, jakby wjeżdżał do jarków obokarnego miasteczka, zacofanej nowi. A do tego wszystkiego ta stasnie ulica z powodu bardzo wczesnego ruchu, nie mając Koderzego braku, lecz będąc



jedynie szatrowane, przedstawiała bądź jedną, długą, łosiąca fałs rzadkiego błota, bądź i dwie pogodnie zamglone była karzawa, prochna. Wszystko to, co uwy-  
glądać kłopotliwie krążyło po ściecie niekorzystnego,  
to należał odnieść do tego nieznośnego, brzydkiego,  
rozciągającego oko wjazdu. Tylko ten, kto był jadąc z dworca  
zamknął oczy, a popatrzył dopiero na rynek, miałby  
o wiele lepsze zdanie. Czerwono-czerwony rynek przedstawiał  
się scale mile, a smarka nieśa retuszowa i jednym  
rogiem rynku, harmonijna struktura fary i drugiem,  
dodatkowy porządek i zakrojenie wielkomiejskie. Na skre-  
rze rynku wśród drzew i zieleni rysował się mile  
wspomniany pomnik z białego piaskowca poety, Har-  
pinińskiego.

Rynek był środkiem ruchu handlowego, a  
dzielił się na dwie części, principalną, tj. tę po której  
stał pomnik Harpinińskiego i mniej wystawną, tj.  
część od strony Korolówki. Na samym środku rynku  
było kilkanaście kamienic, powstałych z biegiem ora-  
zu na miejsc dawnych bud targowych. O wiele lepiej  
by było, gdyby, gdyby, był kamienic, i tak nie pierwszo-  
rzędnej struktury, scale nie było, a na środku rynku  
by stał Kształt retusz. W przeczajnej części było i ry-  
nek sklepy i domy, z katedrą pamiętam handel ko-  
lonjalny Ilmickiego, restauracja Fritza, apteka Sidorow-  
nicza, handel i tkaniny Strickafki (wzmień Zieloniec.

kiego, a inny Romanowicza, dalej aptekę Stencla, drożerję Turrańskiego i księgarnię Żybońskiego. Oryginalne były kramy na Skupnicy miejskiej. Miasto pokundowało przy mniejszej wytwornej części rynku Skupnicę tj. budynek z licznymi matkami Kramikami i wynajmowało je za niską cenę biedniejszym Kupcom, rzemieślnikom, mesarzom i piekarzom. Ale gdy jakiś znaczący Kupiec wskazywał niepowodzenie, marzył się wyprowadzić z lepszej części rynku i zadzwonić, nie jedynie Kramikami na Skupnicy, oznaczano to upadek i miszerek, niemal wyjście poza nianas świata Kupieckiego. Raz około r. 1910 idąc przez te Kramy motykiem mojego dawniejszego Kupca szkłem i porcelaną. Coż pan tu robisz - zapytał ten go! No to ten stary ciotek z nim, którego rozpaczat się jak dziecko, żeł mu Krtań siskat, a ociągając ozy z ter odwrzekt: ot, cegon się dowbit na stare lata, muszę się dziś po tych niedranych kramach tutać, doprowadziła mnie do tego bezwzględna konkurencja chłopska sziada! Nadeszła tymczasem jego żona, również starsza wdówka, a widząc męża tak zgnębionego, pocieszała go, że jeszcze nie jest tak źle, bo właśnie najechli dwa Kramiki sąsiadnie i lokowali tam swój handel, a choć nie jest zbyt wytwornie, przecież nie jest znowu zbyt ubogo. Żeł mi się zrobił tych ludzi, chciałem nanieść z nim znowu interesy kupieckie, zamówiłem więc raz w miesiąc ramy do lustra, które jeszcze i tak mogło być ramy jakis czas stać, bo było potrzebne. Przyszedł do mnie do domu, zabral lustro i wykonał robotę bardzo sumiennie.

Możę najniekiedy oryginalnością Kotonuyi a zarazem  
 jej oszczędnością i nieszczerścią była też lokalka, tj. ko-  
 lej lokalna z Kotonuyi do Peremżyna. Po prostu mówiąc,  
~~z~~ wzięto miasto na Karat, bo aby się zająć na koncesję  
 uzyskać Tiumazons, że ona Kolej lokalna będzie odgry-  
 wać rolę tramwaju, Tawaceps miasto ze zbyt odległym dwor-  
 cem Kolejowym, a nadto będzie się silnie przyczyniać do  
 wzmożenia ruchu handlowego, związek publiczny z okolic  
 podmiejskich do miasta. Wistocie byłoby ironją. Pozw-  
 lono reszpecić miasto zetażeniem tam na ludowych  
 ulicach i rynek, lokomotywa okropnie budząca i  
 wstrząsająca niemi, a nie było wola, by kilka osób nie  
 szło do grobu przez przejechanie. Tylko machorki rydow-  
 nie miały z niej zadowolenie, bo na rynek czepiały się,  
 bądź zderzaków, bądź Tawerud wchodzących przy waga-  
 nach i tam jechali aż do przystanku „Dobrych Krynicy”  
 lub na Wincenoię, zanim je personal Kolejowy groziła  
 i krzykiem nie odpędził.

Prócz handlowego świadomości miasta Koto-  
 nuyi — jak powiedziałem — obszerne przedmieścia, które  
 dążyły się na bliższe i dalsze. Bliższe, to były piękne  
 ulice o domach bądź piętrowych, bądź parterowych, obok  
 których ciągnęły się obszerne ogrody warzywne i zady. Były  
 to mieszkania inteligencji, scale liżnie z tem mieszk-  
 owadziej. Dalsze przedmieścia były niedzielną mieszkan-  
 tworząc tu starą samowinę, zasobny, godność swoją ceniący.



Były to nasiedziatę wody mieszanin kie Piśkoszów, Cielnickich, Janajców, Białostockich i innych. Gospodarstwa ich, to były ładne dworki, opasane sadami i ogrodami a erigowały się na zerowej przestrzeni starego miasta, na rzece Prut.

Pod względem narodowym dzielili się na dwóch Kolumny na polską, ruską i żydowską.

Polecy stanowili najliczniejszy element i nioch znaczną przewagę w inteligencji. Były dwa ogniska, w których rozwinęła się kultura polska, a to Sokół i JSŁ (tj. Towarzystwo Szkoły Ludowej). W Sokole był długoletnim prezesem adwokat Głuchowski. Sokół karmował ducha i ciało, piękny gmach sokoli był ostoją i strażnicą polskości dla wszystkich polskich warstw i stanów, idea sokola jednoczyła wszystkich i zwracała ich serca i umysły ku idei narodowej.

J. G. L., rozsiadane po całym kraju pociągło dla podtrzymania polskiego ducha wśród warstw najniższych, dla krzewienia mowy polskiej, pieśni polskiej, i polskiej książki niezmiernie zasługi. Z Łaszcza we wschodniej Małopolsce zasługi tego Towarzystwa były nie spóźnione i nigdy niezapomniane. To było najwspanialsze dzieło ducha narodowego wśród najszerszych warstw polskich. Tysiące dusz polskich uratowało ono od zruśczenia, pod strzechy niedziałające stała Książka polska,

przy ognisku domowym w najbardziej, nawet chacie kry-  
 tano dzieje polskie, znikają ze ścian tych domków na-  
 mione przez utopistów obrazy rozmaitych Kajzerów,  
 erzhercogów i feldmarszałków, a natomiast ustanawia  
 w ramki: Kucińskiego, Mickiewicza, Sobieskiego. My nie  
 odbiegając od tematu głównego, da się pokrótce powiedzieć,  
 TSL. potrzebowało niekropomne zasługi dla narodu polskiego  
 na tej polaci ziem dawnej Rzeczypospolitej. W łonie tego  
 Towarzystwa pracowali cicho, bez rozgłosu, nie dla chwa-  
 ty i reklamy, lecz dla górnej idei najszlachetniejsze jed-  
 nostki, najsubtelniejsze dusze. Na czele ich stał w Koz-  
 łomiu zasłużony lekarz powiatowy dr. Milewski, gorący  
 patriota, nieustraszony pracownik, skromny, wytrwały, pe-  
 ten poświęcenia. Obok niego był sekretarzem TSL sędzia  
 Jan Kapiściński (bratanek znanego patrioty Kapiściń-  
 skiego, straconego przez Austriaków), pracujący dla idei na-  
 rodowej na tem stanowisku niezmordowanie i z ogromnem  
 poświęceniem. Żużona ich winny być zawsze w niezatartej  
 pamięci a prace stawiane wzór przyszłym pokoleniom.  
 Głodziem w sędzię w jednym biurze z Kapiścińskim  
 i młodziem jak przychodził do niego z różnymi okolic  
 protaczkami, nieraz z Roszem lub z protym workiem,  
 odwołując jedne książki, a zabierając drugie. Groźbami  
 utknił mi w pamięci jeden rosy, łachy chłop, blondyn,  
 lat około 30 laty, ubrany w niewygodną nieśmiałość,  
 w szarą, rozartę a w kuculskie krypcie na nogach.

coż to był za niestrudzony i niepokorny przeswiel  
 polskości, a jakim napetem on wierzł polską księżkę  
 i polskie słowo wśród najszerszych warstw, docierał do Kar-  
 dej chętni polskiej, do każdej rodziny ze zwykłym grubym  
 workiem na plecach, który zawierał kilkadziesiąt księzek  
 polskich. A gdy sobie dziś we wolnej, wydumanej, cudem stało-  
 nej Polsce pomyślę o tym prostym chłopie z kresów, cichym,  
 zastawionym patryjcie, mi sięgającym po rozszarpy i nagrody  
 i mam przed oczyma jego wielkie wartości bezimiennne, a dla  
 idei narodowej tak cenne, to widzę u mnie jednego z tych  
 bierzych, bierzych pracowników, którzy kiedyś na swój sposób  
 i u granicach swych nie kładli fundamenty pod przyszły  
 gmach odrodzenia narodowego. Ale ten ze smutkiem przed-  
 stawiam sobie, że gdyby on dziś u tej swojej siermiędy, u ka-  
 pelusza z istniejącej stany i u góralskich sandałkach, ze swym  
 historycznym workiem na plecach, z którego setki rodzin  
 polskich Karmit polską księżkę, pokazał się, gdzieś na za-  
 chodniej potani Państwa, poza naszymi kresami wschodnie-  
 mi, wystawiony go na posunięciwisko, nazwanym „austrija-  
 kim mongolem” i obrzucony uszczypliwymi docinkami, bo po  
 naszym historycznym zjednoczeniu niemal do dobrego tonu  
 należało wykpiwać Polaków z byłej Galicji.

Towarzystwo dzwignię i podniesienie oświaty narodo-  
 wej stanowiło Towarzystwo Prithatek im. Krasińskiego i Koto-  
 my. Rozkazał jego dotować się o pomieszczenia u domu im.  
 hr. Starzeńskich. Za nich właśnie czasów reszta u izbie wielkiej



ponna fundacja hr. Starzeńskich i znany dom przy ul. Kras-  
szewskiego stał się akropolis polską, a miało się umieszczyć  
polowie towarzysze szlachy - narodowe, tam były zebrania,  
odczyty, narady, ciągle tam było jak w ulu, jedni wyko-  
dzili, drudzy przychodzili, petno było a gdzieś naokoło popo-  
ładniowych ludzi młodych i starych, miejscowych i zamej-  
scowych, miejscowych i niejaski. W duch narodowy w tej  
odległej polskiej placówce był silny, poczuć narodowe  
wzruszenia wywołanie arterjami w najszersze kręgi, idea  
poloka była na wzmożonej wyzynie.

Rusini dzielili się na dwa odcienie, oba rady-  
kalne, wzajemnie między sobą nie tolerujące, ale jedno-  
licie idące przeciw Polakom. Starorusini, zwani także  
rusofilami niechęć węgierską przewodziła i adwokaci Włodzis-  
mierza Dudykiewicza. Był to człowiek rosty, barczysty,  
z powagą brodą czarną, na głowie powiewała biała ow-  
na czapka, niestrudzony mowa, o dużej kulturze,  
namiętny, despotyczny, bezwzględny. Gdy mówił po-  
rusku, wplatał rosyjskie wyrazy. Był ciągle podejrzany  
przez władze austriackie, które mu nie dozwolają i miał  
sekretnie przed otwartym wybuchem wojny światowej  
umknąć z rodziną do Rosji (do Rostowa nad Donem)  
bo inaczej byłby poniósł niezawodną śmierć. Miał dom  
wtedy przy ul. Watojej, był ojcem dwóch córek, starsza  
była zamężna ze malarzem Rosjaninem, młodsza była  
niezamężna. Do tej partji należeli i Kłomny i Władysław

336  
ruskiej drukarni Witons i adwokat Jurczenko, aresztą część  
inteligencji ruskiej i część ukraińszczyzny.

Drugim odcieniem Rusinów byli Ukraińcy, czyli mto-  
dorusini, wyznający ideę odrębności narodowej. Prowadzili  
ich był adwokat Trybowski, organizator Siozy chłopskich, zde-  
cydowany nieprzyjaciel Polaków, kierownik całego ruchu  
agitatorów, którzy szerzyli nienawiść do wszystkich, co polską  
podkopywali niarę, mieli spory mas chłopskich. Trybowski  
majątku nie posiadał, owszem, był u niepomysłowych sto-  
sunach majątkowych, przeniósł następnie kancelaryę ad-  
wokacką z Kotonuży do Peczennizyna, skąd miał statystyczny  
dojazd do pobliskiej Hucalszczyzny. Był wysokiego wzro-  
stu, włosy ciemne blond u niemieckiej ilości na głowie, ale  
zато u nietadzie, broda krótka rozrochrana, twarz  
pełna jaskry obrzęka, na nosie binokle u opłakany sta-  
nie, chodził szybko, mówił uszczyplinie, nieraz z daleka  
si u słowach zapędzał i wchodził u konflikt z sądem.  
Jako poseł zasygnat parlament austriacki interpela-  
cjami o rzeźnionych Krzywdach ~~ukraińskich~~ ukraińskich. Gdy  
wyjrzdział na niedzanie Siozy, a robił to co niedziele i  
sieta, wdzierał na głos dźwię czeple ze swego baranka,  
nazwanego go bonim atamanem Siozy, ta więc oryginalna  
czeple nadawata mu sobie mas jaskiewi odznaczającej  
wyrzecz, jakoby nieleada to była góra, okoro spowazy  
pod tak potężnym Kulpariem. W mowach do mas gromi  
wzrostko, co istniało na świecie, a naj obicypat stuchawom,  
toteż wybrano go u swoim czasie na porta adwaza z Kikien okrozo

Uci, jak zmiana jst fortuna. Około roku 1910 były drugie wybory, pospółstwo mizrac niespetnione obietnice, daz rane hojnie przy poprzednich wyborach nie chciało górować na Fryburskie i dopiero przy silnym nacisku Namiestnicina (pod egidą Stanowisk roztrząsających) i przy drastycznie dokonywanych wrzuceniach, ledwie, ledwie z bardzo ciężką wadą przeszedł Fryburski z jasnego rzedare wkręgu. Nimb jst przed wojną miało (1914) upadać coraz bardziej. Ukraińcy mieli swój niedzięk ze wspaniałym Narodnym domem przy ul. Kościuszki.

Liczni Żydzi w Holonur dzieliłi się na 3 warstwy.

Platobracj stanowią magnaci pieniężni, jaskich było kilkunastu, ci żyli dostatnio, wygodnie, dochody same pschły się im w ręce. Ponieważ wszyscy ci Żydzi, lub prawie wszyscy mówili żargonem, trzymali się po staroszkocku i silnie byli przywiązani do obrzędów religijnych. Warstwa średnią stanowią szewcy inteligencji żydowskiej, ta mówiła wyłącznie po polsku, do niej także należał star kupiecki, i znacznej części (choć nie przeważającej) mówiący w domu po polsku, ale mile lgnący do niemiecczyzny. Wreszcie trzecią warstwę stanowią gminy żydowskie, a to liczni przeważnie, wżni, zarobnicy. A byli pomiędzy nimi i awanturnicy i pijacy, jak zwykle pomiędzy najniższym tłumem, co o tyle było oryginalne, że w innych miastach galicyjskich tego najniższego typu się nie spotykało. Pomiedzy tymi szewcami starym był dyd „Ignac” ze swoim tragarz.



Bit on innych, bili też inni, to bitka, to był jego żywioł. Raz przyszedł on do mnie do biura do Prokuratury i oskarżył kilku swoich przeciwników, także Żydów, o ciężkie pobicie w szynku. „Tak mnie bili i' bili – grzmił Ignac, – że jui nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, po- czątem przez miasto niekłać i dopiero gdy znalazłem się w domu, spostrzegłem, że nie mam kilku reboń, to mi przybijali. Żal mi się zrobiło na rebanie, pojechałem napowrót do szynku, pojechałem szukać i znalazłem je na podłodze”. Tu wyjął z kieszeni kamizelki kilka reboń i pokazał je na dowód, że grzmił mówić. Dochodziła sądowa wyrocznia jednaki, że Ignac miał już najęty, bo to były reby przed kilku latami wybrane, a i to było wzięte, czy to były jego, czy też przyczerpane od kogoś, kto je kiedyś dał wyprać i trzymał na parniskę.

Kotomija miała kilka bożnic i kilka reboń. Nowiejszych i mniejszych. Najwspanialszą uroczystością Żydówką, że wśród czasów był pogrzeb tor. W jednej z bożnic wolentek nieotwinił z ogniem papalicy, ni torę. Zgodnie z rytuałem tor, podokrawus na cmentarzu żydowski. Jakże 4 do 6 tysięcy Żydów wyległo na ulicę, każdy cisnął się jak najbliżej do szosatkoś narky- tych czarnem sukrem, ogromny pochód powstał się powoli ulicą Rudolfa ku potem na miastem, gdzie rozciągał się cmentarz, wiele żydów było zapłakanych a Żydzi szli ze rasmuconemi twarzami.

Kosmopolitycznym punktem zbornym dla inteligencji i wyiskowości było Kasyno, ulokowane w murach Narodnym domu. Zbierali się tam wieczorami wojskowi i cywili w różnyh nacji dla pogawędki i gry w karty.

Władzą miejską był Magistrat, umiarkowany wra-  
tunek. Retusz w rogu rynku postanowiony był na staro-  
dawnym cmentarzu. Przy kopaniu fundamentów (zrtasz-  
ca gdy stawiano dobudowę dla strazy ogniovej), natra-  
fiono na łozne kości ludzkie. Burmistrzem był za mo-  
ich czasów Jan Kleski, z pochodzenia Riedys' czeresiego,  
bexrenny, ramozny, lubiał weselo i zabawne życie (wten-  
ora w trójce z adw. Haczerskim i dyrektorem Kasy orzecz-  
ności Bahickim). Był dobry tusz, owalnych form, jako  
burmistrz był staranny i zapobiegliwy. Zresztą miastem  
trudno było rządzić, dochody walednie i ciężką brzołę po-  
krywały wydatki, a rozległość obszaru, na jakim miasto  
się rozrągało, wymagała ogromnych funduszy już  
choćby na utrzymanie dróg i chodników. Dwór i na owe-  
nie w Magistracie miał nceburmistrz Funkenstein, wy-  
znania mojżeszowego. Za młodych lat był pisarzem ko-  
rętnym, później z ramienia łoznej rydowniczej lud-  
ności został radnym i nceburmistrzem miasta Koto-  
my. Przez długie lata pełnił ten urząd, tak iż się z Ma-  
gistratem zrtst niepodzielnie. Wysoki, smutkiej postawy,  
chudej, czerwonej twarzy, zawsze ubrany w długi, ciemny,  
po Kolanie sięgający surdat, chodził niezmiernie powoli;

340

podpierając się laską, stał ostrożnie, jakby się obawiał  
poślizgnięcia i upadku. W istocie bowiem skleroza znaczne  
postępy w niego czyniła. Żydzi uważali go za swego organ-  
nika w Zarządzie miasta. Zdarzały się wypadki, że np. ja-  
kiegos Żydowi ukarano grzywną, 2 koron ze wylanie  
nieczystości na ulicę. Żyd mię mogąc załatwić tę samą,  
szedł do burmistrza Kleskiego, prosząc o odpiśnięcie i  
darowanie. „Nie mogę tego zrobić, żadną miarą mię  
możę – mówił burmistrz – masz stać na stanowisku  
legalnem, inaczej wkradła by się samowola i bezprawie”.  
Żydowi znów pisał o darowaniu, bo coż go tam obcho-  
dziła teoria burmistrza o samowoli i bezprawie, a  
ostatecznie burmistrz kierowany ludzkością wyjmuwał  
z kieszki jedną koronę, dawał ją Żydowi i mówił:  
„połowa ci daje z własnej kieszki, druga połowa sam-  
dobroć i załatwia, a na drugi raz mię lej pomyj na  
ulicę”. Żydowi brat Koronę, kłamał się, drękował  
i odchodził – ale mię do Rasy pisać, lecz prosto do  
biura wiceburmistrza Junkensteina. „Ratuj mię  
nasz opiekunie, nasz zastępczo, przyjacielu, ja na  
ciebie glosował, za tobą chodził i zjednywał wyborców,  
bo ja wiedziałem, żeś ty naszym ojcem i dobrodziejem.  
Oto na mnie biednego natrzono dwie Korony Rasy,  
skądże mam to załatwić, mam sześcioro dzieci i chorą  
żonę, szklane szkło wody wylała na ulicę, już zaraz Rara!  
Zdejm ze mnie tę Ragę, a ja ci będę na zawsze wdzięczny.  
Junkenstein chciał dać akta, zobaczył że wina pełna, kara



stuszną, trudno ją zmieść — ale z powodu notorze-  
nego ubóstwa uznaje ją za niestosowną i kaze odpisać. Zy-  
dowi znów nie stania, dźwigając i błogosławidło dobre ~~serce~~  
serce viceburmistrza, wychodzi z Magistratu z uśmiechniętą  
twarzą, rozmarzając w duchu, że przecież są dobrzy ludzie  
na świecie! Nie tylko, że dany mi raport, ale jeszcze jedną  
krowę w kierunku do domu przyniósł, jakby z nagrodą  
za to, że potężny cębrzyk pomysł na sam świder ubiegły  
wyłat. Ale Jankestein rósł w popularność wśród mas  
żydowskich, a temsamem zrobił się dwiżownią z godnością  
viceburmistrza.

W drugim rogu rynku, od strony dawnego zamku  
był Kościół parafialny z końca XVIII wieku, już na po-  
trzebny, tak dużego miasta zupełnie za mały. Wnę-  
trze nie przedstawiało nic szczególniejszego. Pro-  
baczorem i dziekanem był wtedy ks. Zygmunt Partowski  
(ur. 1837 ord. 1862). Niewielkiego wzrostu, blondyn,  
przeznaczony wiekiem, otwierał o gotowej drodze, nie-  
zmiernie racny i gościnny kapłan. W życiu publicznem  
nadał się nie brat, dźwignął się tylko probostwa i Kościo-  
ła. Dożył bardzo późnego wieku i otrzymał godność  
protęty. Za młodych lat był ongiś wikarym w Kłopy-  
czynie i podczas gdy ja w latach około 1880 cho-  
dziłem tam do szkoły, stary człowiek jeszcze go pamię-  
tał. Miał dwóch wikarych. Za nich czasu był mi-  
ni ks. Jan Głazar i ks. Kluss. Pierwszy razjany,  
okragły, lat około 40 liczący, zdolny, wymowny, szczery

polak, został następnie około r. 1910 proboszczem  
w Gniatynie (po śmierci ks. Fröchera), tu jednak z nie-  
spokoją wokół osiedlenia się na parafii, nagle życie za-  
kończył. Drugim wikarym był ks. Kluss, nie tegoż zdro-  
wia, ruchliwy i czynny, postanowił przenieść się do Ame-  
ryki. Zamiar mój ukataczeni, był w Ameryce około jeden rok,  
pozem powrócił do Kotonui, jednak już nie na parafię, lecz  
jako katecheta szkół parochialnych.

Gdy tu piszę o duchownych Kotonuijczykach, przycho-  
dzi mi na myśl jeszcze dwoje oryginalni a niestandardni knę-  
zia, jakich widziałem w Kotonui. Oboje do roku ~~1908~~  
1908 lub 1909 musiało być często spotkać na ulicach  
miasta księża ubogiego ubranego zwykle w ciemne powielone,  
dobrze już wyprzerzane naczutkę i stary cylinder. Był Ralera,  
bo nie miał lewej ręki. Chodził szybko, jakby się spieszył lub  
od kogoś uciekał. Palil namietnie papierony. Lat miał około 50,  
brunet, o twarzy chudej, bladej, z rzadką głową. Nigdy go nie  
było widzieć w kościele. Był to ks. Skowronski, otwierał umysłowo  
chorą, pensjonowaną proboszcz z Jakobem na Barosinie. Miał  
jakoś mało pensyjki od rządu, mieszkał przy ro-  
drinie w Kotonui, a żył przeważnie ze wsparcia od  
miejscowego proboszcza ks. Partonowskiego. Co Rikkanadzi  
dusi zaniadał do stołu i piął domieszczenia na orego  
dobrodziejstwa ks. Partonowskiego, zarzucając mu nadwycięcia,  
grabienie podstępnych majątków, rabowanie katechizacji  
premierzy itp. Widać było go kilka razy, jak mijał pod pa-  
czą lewej niołkorej tylko ręki pismo z domieszczeniem

na ks. Pawłowskięgo, wsunęł się cichaczem i skrycie do kancelarji Prokuratorji, kładł pismo orzeczerze na stole, odnucet się i coryzdełj u mykał. Pisma takie odrazu wrucato się do pieca. W r. 1908 lub 1909 umarł ten nierozczesłiny obłąkaniec, a ks. Pawłowski sprawił mu własnym kosztem przyzwoity pogrzeb.

Janęs rodzejn u mystoro chorego księdza spotkałem również w Kotonui. Gazien około r. 1910, gdy niedziatem u urzędzie przy pracy, wzedł do biura wysoki, okaraty duchowny, ubrany w suknie kaptańską z mantylą i z purpurowymi guzikami, na rękad miał purpurowe rękawice, powagi dodawały duże okulary, z twarzy biło dostojenstwo i wysoka godność. Miał wówczas lat nieco nad 50. Pozdrovirszy Boga siadł przy biurku i począł opowiadać, co go do Prokuratorji w Kotonui sprowadza. Oto twierdził on, że podał rządowi projekt nowego opodatkowania spirytusu. Rząd ma stad mnogie miliony dochodu i jemu za to, że wymyślił tak doskonały sposób opodatkowania, dał na własność dobra w górach Kotonujskich i na Bukowinie. Wymienił mi Kosmacz, Akreszory i inne miejscowości. Jednakże rząd zwleka z oddaniem dóbr, a jemu się spieszy, by je już raz odebrał. Powiedziiano mu w Lwowie, iż to jest zależne od Prokuratorji w Kotonui, a więc on tu w tym celu przyjechał, abym raz na razze tę sprawę uregulował. Wyjął przytem cały plik papierów i począł mię przekonywać, że ma zupełną słuszność. Patrzyłem



na to wszystko ze zdziwieniem, ale i z nakłopotaniem.  
 „Proszę patrzeć, co mam za dochody, oto moja księżeczka poborowa” rzekł dygnitarz dochodowy i dał mi do przeglądu księżeczkę płatniczą, z której wyczytałem, że był to ks. Andrzej Majka, emerytowany wikary ze Żółtki. Gdy czytałem ten napis tytułowy księżeczki, machnął ks. Majka ręką i rzekł telecewariaco: „włókniesz głupstwa - wikary, wikary, no Boże drogi, kiedyś i ja byłem wikarym, dziś przecież jestem nuncjuszem papieskim na całą Polskę i jako takiemu należy mi się duża pensja nie detek wikarego”. Zrozumiałem, że mam do czynienia z człowiekiem obłąkanym i nie drażnić go, zbytek, że rzecz obecnie nie aktualna itp. Odszedł mi zbyt zadowolony. Po jankich trzech lub czterech miesiącach później, gdy niedzielnym porą rozprawach karnych, spostrzeżłem, że pomiędzy publicznością w sali rozpraw siedzi „ks. Nuncjusz”. Gdy rozprawy się skończyły, przyszedł do mnie do biera i wiał mi, że moja bezczynność pozbawiła go możliwości odpowiedniego życia. „Miałem takżsamą sprawę w Jaskle - prawnik ks. Nuncjusz - gdym prokuratorowi rzecz opowiedział, zaraz poszedł do telefonu, potoczył się z cesarzem, przedstawił mu moją sprawę i z rozkazu cesarskiego już dobre jankielnie będą wrótce oddane. Tylko tu „Kłopoty” rzecz utyka, a na tych dobrach najniej mi zależy. Miałem w ostatnich czasach powarę szkodę,

— prawił nierozważliwy człowiek — papież postać mi-  
 cęty wagon przemiedzy jako zaległa pensja za kilka lat,  
 ale nierozwiesci chciało, że wagon po drodze przepadł  
 a nie można dojść, gdzie znikł. Włochy mówią, że prze-  
 padł w Austrii, Austrija mówi, że przepadł we Włoszech,  
 jedni składają winę na drugich, a nuncjusz papieski  
 nie ma z czego żyć. — Właśnie wtedy górskie putoły wy-  
 laty, powiedziałem mu, że żaden urzędnik w góry  
 do tego dobrać nie pojedzie, bo jest powód, może życie  
 stracić, nie mogę brać na siebie tej odpowiedzialności.  
 Bardzo niezadowolony i zgnębiony opuścił biuro.  
 Przyjechał jeszcze raz do mnie już w towarzystwie  
 ks. Jäufera, administratora Kościoła w Zablatońu  
 i gwałtowi prosił o oddanie dóbr. Byłem znowu w Kido-  
 poci, co odpowiedzieć temu nierozważliwcom, że nie  
 można mu wydać wim górskich w oddać i powiedzieć.  
 Przeraził się ks. Jäufka przy proboszczu żółkiew-  
 skim i ten go wspomagał. Wolno mi było odprawić  
 codziennie cicha, mszę sobotnią, miał więc nieco do-  
 chodów mszalnych. Zresztą wspierało go duchowienstwo.  
 Umarł w Żółkwi około r. 1916.

Proir Kościoła parafialnego, był w niesieci  
 jeszcze kościół jezuitów. Powstał on około roku 1900  
 przy następującej sposobności. Nowos w r. z ramia-  
 rem znacznego rozszerzenia parafialnego Kościoła,  
 lecz trudno to było uskutecznić, gdyż w tym miejscu  
 Kościół Kościoła na to nie pozwalało. Potrzeba więc było

pomyśleć o budowni innego, nowego Kościoła. Proboszcz Paw. Lorki przeznaczył na tę budowę fundusz, mający pierwotnie służyć na rozszerzenie parafii, resztę miał dać składki. Tymczasem zarządził w Klotomyszy przegłoszony wypadek. Przy wyborach do któregoś z ciał prawodawczych upadł Pandzdel chrześcijański hr. Starzeński, a wyprzedził go. Powstał istny bunt chrześcijan, ruszyli przedmieścia ku centrum miasta, kłóżyli na owych szerokiej przedmieściach Klotomyszkach, chrząstł drąg i ręce i łeciał „bić żydów”. Jako znamienity fakt podnoszę, że także Niemcy z Baginsherga ruszyli przeciw żydom. Zaplanowała trwożą niestępkana, żydzi psuchowali i porzucali domy, stądże skonsygnowały wojewo i policję, z wysiłkiem zaledwie udało się zapobiec pogromowi. Gdy się ta sprawa antyżydowska nieczyła, głoszone, że koniecznem jest działać ku umoralnieniu mas, a najlepiej to mogą zrobić Żydzi. A więc nowy Kościół będzie oddany Żydom. Tak się też stało. Gdy przybyłem do Klotomyszy, już Kościół i Konwent OO. Jezuitów były od kilkunastu lat czynne. Superjorem był wówczas ks. Hrubant. Raz u sali wpraw sądowych, której okna wychodziły na ów Kościół, powiedział mi adwokat Zipser: widzi pan, jakie tam mnóstwo cegieł u tym Kościele, są tam i moje, bo i my żydzi dawaliśmy składki na tę świątynię, aby okazać naszą tolerancję i zbudować przybytek umoralnienia mas, bo już u Klotomyszy dochodziło do niemożliwej nienawiści wyznaniowej.

Opowiadano mi, że na miejscu gdzie obecnie



stor Kościół jezuitki, dawniej stał dom parterowy z du-  
żym ogrodem. Mieszkał w nim emerytowany kapitan  
Białoskórki, bezzenny, znaniecki, zamaryta ro-  
stać, ideolog fizycznego wychowania młodzieży szkol-  
nej. Trzymał w tym domu kilkunastu studentów, pil-  
nował ich i hartował, utrzymując w rygorze wojennym.

Cerkwie w Kotonui były dwie. Cerkiew sto-  
na, murowana, przy ul. Sobieskiego, zbudowana by-  
ła na miejscu dawnego klasztoru dominikańskiego.



Cerkiew  
w  
Kotonui  
z wieżkiem  
na ulicy  
Sobieskie-  
go.  
Przed cer-  
kwią są  
widoczne  
słupy  
obecnej  
kolei  
lokalnej.

\*

Przechowała się tradycja, że podczas napadu Turków, zo-  
stali Dominikanie przez tatarską masyżman'ską znie-  
szani na cmentarz obok Kościoła. Możliwe byłoby

w r. 1589. Dominikanów ulokował tu Zagiello w r. 1412. Szis' z Dominikanów śladu niema.

Druga cerkiewka drewniana, niewielka była na ruskim cmentarzu, obok ruskiego probostwa. Kiedyś dawniej była i na parafialna cerkiew przy dzisiejszej ulicy Głuchowskiej, obok obecnej wikarówki ruskiej. Na tem miejscu stoi tylko wrota domków dawny drewniany krzyż na oznakę, gdzie się kiedyś odbywało służba boża. Przy tejto cerkwi była dzwonnica z harmonijnemi dzwonami, o której pieśń głosi: „gdy nam się nie zadzwonią dzwony u Kłotnycy”. Szis' trawa porosta na miejscu, na którym u nie dzwoniło, echo ich oginęło u przestworu, a tylko u pieśni gminnej trawa pozostała. Bardzo mało kto wie o tem, że tam kiedyś stała cerkiew

Probozorem ruskim za moich czasów był ks. Mikołaj Semienów. Miał wówczas lat około 42. Gratylny, smukły, trawę ściągał i miła, wyraz oblicza odzwierciedlał wesołość, dobroć i inteligencję. Zaraz wytorowy, uprzejmy, taktowny — jednak niezmiernie nieszczerbły. Życie jego było pełnem niedoli i cierpienia o tyle matniejszych ze młodości i młodości. Ono też ragnęło go przedwcześnie do grobu. Pocho- dził z Cieszy pod Tarnobrzem, gimnazjum skończył w r. 1886 u Hauisławowic, teologię na Uniwersytecie lwowskim. Jako ksiądz młody ożenił się z córką ruskiego probostwa u Sopotnie u pow. borszczowskim, powiem był wikarym u Krzyżów obok Sopotnia. W życiu matronalnym był bardzo szczerbły ale niestety, rzeczenie to było zbyt krótkie. On jego roz- paści, żona po przeszło jednorocznej pożyciu zmarła.

Wtedy to Ks. Jemenów przeniósł się do Wiednia na misję przy tamtejszej cerkwi, począł na nowo pracować na Uniwersytecie i otrzymał tam doktorat teologii. Zamierzał zostać profesorem teologii i Kręgi i ~~historji~~ historii Kościoła. Jako pracę habilitacyjną opisał studjum z historii Zakonu Krzyżackiego. Następnie pracował jako wikary przy Katedrze staństanowskiej za czasów biskupa Szeptyckiego. Wtedy to właśnie był tam również wikarym Ks. Chomyszyn, późniejszy następca Szeptyckiego na biskupstwie staństanowskim. Między oboma wikarymi nie było sympatji, a nawet nie wypuszczano, jakiemś drogą, pójść dalej ten rozdział dwóch odrębnych struktur ~~sta~~ duchowych. Ks. dr. Jemenów objął potem posadę Katechety i gimnazjum Kotonujorskie, a gdy niebawem opóźniła się posada proboszcza unickiego w Kotonui, rada miejska zaproponowała go na proboszcza. Został więc Ks. Jemenów proboszczem, sprawował się na probostwie na Nadworniańskim Przedmieściu, pięknie się wszedził, jak na proboszcza Kotonujorskiego przystało i cieszył się powszechnym szacunkiem. Był szczerze Cerkwi oddany, szerzył prawdę miłości Boga i miłości bliźniego, jego wysoka kultura odhijała się echem i podniosłych kazaniach, był przeciwnikiem jałtrzeństwa narodowych, żył w zgodzie z Polakami i duchowieństwem łacińskim, jednym słowem był Kaptanem stojącym na utrzymanie swego powołania. Ale niebawem los zawisł



skierował się górne życie na ciemną drogę. Niektórzy okoliczni proboszczowie nie byli z tego niezadowoleni, że intymne a rozrywane probostwo Kotonujskie znalazło się w rękach człowieka samotnego, nie mającego obowiązku rodzinnych, choć wielu innych, mających żonę, rodzinę i ciężkie obowiązki musiałoby niedługo po odległych miejscach zdać od rękot dla dzieci, ograniczonych na metę pobory parafialne. Zmian niezadowolenia powziął w prawo i w lewo. A znów inni mówili, że byłoby bardzo wskazane a nawet konieczne, aby w Kotonuji, jako siedzibie rzeczywistego rządu ukraińskiego znalazł się na stanowisku raskiego proboszcza ukraińiec zdecydowany, popierający ten ruch wszelkimi sposobami i środkami. Był więc ks. Semenów przedmiotem jawnej uwagi i zaradki, wypowiedzianej najczęściej po różnych gromadkach (tj. odjazdach). W tymto właśnie czasie zasiadł na stolicy biskupiej w Stanisławowie wspomniany już ks. Chomyszyn, wyznaczony na tę godność przez Metropolitę greckokatolickiego. Kotonuję należało właśnie do ukraińskiego biskupstwa w Stanisławowie. Z chwilą intronizacji biskupa Stanisławowskiego los proboszcza Kotonujskiego był przekreślony. Biskup a proboszcz, to były dwa przeciwne bieguny pod względem poglądów na sposób życia z ludźmi i światem. Zmierzyli się niebawem obaj, biskup był oparty o swoje dostojństwo, proboszcz o wysoki poziom kultury. Salsze wypadki wyznaczały, kto zwycięży. Pierwszym zwyciężcą taktyki nowego

biskupa było nadanie na miejsce jednego z wikarych  
 ruskich do Chotomyski znanego na cały kraj i gretow-  
 nego i buzdniwego usposobienia ukraińca ks. Korostila.  
 Między proboszczem a wikarym zaplanowały już najgor-  
 sze stosunki. Wikary stał się butnym i wyrzajającym  
 i doszedł do niestypowanej rzeteli w dziejach katolickiej  
 cerkwi. Oto podczas jakiejś uroczystości świę-  
 tockiej uderzył proboszczę ks. Jemenowa w zakrytą  
 czołę parafianę. Taka gorsząca niesubordynacja win-  
 na była ~~była~~ się spotykać z najcięższą karą na wikarym.  
 Ale wikary miał silne plecy za sobą, nie stało mu się  
 zgrota nic, owszem wręcz przeciwnie, on odniósł na-  
 grody a proboszcz karę. Zapytał czytelniku, czy to ro-  
 gółko jest do pomyslenia, aby tak się stać mogło. Na to  
 oczywiście odpowiedź, że tak absolutnie być nie powinno,  
 ale niestety, tak się stało. Zarządzenie proboszczę pozo-  
 stało bez echa, bo tymczasem naszło coś ważniejszego.  
 Oto pewna kobieta poszła do spowiedzi do ks. Korostila  
 i w trakcie wyznawania grzechów wyjawiała coś intym-  
 nego na proboszczę. Ks. Korostil parat jej po spowiedzi  
 przyjść do siebie i przyznać to wyznać. Kobieta tak  
 uległa, że nawet czego Korostil mógł już obłudnie  
 ponieść, że nie o sprawę nie ze spowiedzi, ale z innego  
 opowiadania. Jakiś na proboszczę było już nastawione.  
 Dziwnym przypadkiem wypadkiem, ks. biskup Chomyński

niebawem po owem wyznaniu tej Robiety zapragnął prze-  
 prowadzić wizytację kanoniczną probostwa Kotonujjickie-  
 go. Na tę wiadomość przygotował się, uroczystie proboszcz  
 Kotonujjicki, wznieśliśmy taką brankę tryumfalną,  
 Koto Jomn Narodnego przy ul. Kłobuckiej, biskup zje-  
 chał uroczystie do cerkwi i odbyte są wizytacje według  
 przepisów rytuału liturgicznego. Ale ks. biskup nie zje-  
 chał do proboszcza, lecz do znajomego swego Kapłana  
 Panasienira. Przywitał i przestuchał owa Robietę  
 i ks. biskup nie mógł nie zasuspendować ks. proboszcza Se-  
 menowa a sacris i z pobieraniem dochodów z probostwa,  
 tak iż proboszcz nagle pozostał bez kawałka chleba.  
 To był pierwszy akt tej tragedji syciwej uniickiego probos-  
 cza Kotonujjickiego. Kdeś się proboszcz parzył w proces  
 administracyjny i ten wypadek na jego korzyść, sprawy  
 mu oddano do rozstrzygnięcia, dochody jednak z jura stłoczyć po-  
 bierał wikary. Proboszcz popadł w niedostatek, pozo-  
 stał ciągnąć długi na życie, wpadł w ręce lichwiarzy, wśród  
 których obficie miał kilku pierwszy lichwiarz Kotonujjicki  
 Edo Rammler. Tymczasem rozpoczął się długi proces Kato-  
 nuczny, proboszcz opierał się na niedorzecznej stałaninie  
 tajemnicy spowiedzi, biskup na grzechy proboszcza. Pro-  
 boszcz przegrał proces w dwóch pierwszych instancjach. Na-  
 wien z czystej inicjatywy oddano rzecz w ręce biskupa  
 uniickiego Czechonickiego w Przemyślu, ten nakazał proboszcza  
 na dobro cerkwi, aby się z biskupem przedmówił i dobrowolnie



rzecz zatagodził. Proboszcz Jemenov odpierł, że gotów  
~~jest~~ jest do najdalejszych ustępstw, że cunie się zgoda nie-  
 winnym, owszem grubo pokrzywdzonym, a gdy zażądał  
 biskupa Czechovicza, jak sobie przedstawia owo pojed-  
 nanie, wystąpił odpowiedź, by zrezygnował z probostwa  
 kotomyskiego a następnie będzie mógł Kompetować o  
 inne. Proboszcz na to odrzekł, że dziś jemu przynaj-  
 mniej na plebanji mieszka, a gdyby to zrobił, co bi-  
 skup proponuje, znalazłby się zupełnie na braku i jed-  
 nej Koczki, to lichniarce o takich warunkach zabrakł.  
 Wtedy dopiero dotarli, może proboszcz jakiegoś „z Taszki”  
 i to niezawodnie taszkę, o jakie nawet niektórzy i dycecy  
 nie chcieli Kompetować. Chciał się zresztą zgodzić na re-  
 zygację pod warunkiem, że zgóry otrzyma zapewnienie  
 otrzymania bądź Kanonji, bądź profesury na Univer-  
 sytecie, bądź odpowiedniego probostwa. Tęps mu jednak  
 przyrzec nie chciało a rokowania ugodowe nie rozbiły.  
 Podczas kiedy biskup Czechovicz rozmariał z ks. Je-  
 menovem, w dalszych poszukiwaniach biskupa przemyskiego  
 oczekiwat rezultatu biskupa Chomyszyn. Tymczasem  
 niósł proboszcz o renizji procesn do najwyższej in-  
 stancji sądu duchownego w Rzymie i miał nadzieję  
 na powodzenie. Ostatnie fundusze, jakie mógł sięgnąć  
 dał na przetrwanie aktów procesn z języka rosyjskiego na ta-  
 cziński. Przetrwać dokonał jedyń z języka rosyjskiego w Prze-  
 mysłu. Proboszcz serwowi grzył, <sup>się</sup> swój ciężkiemi nie-  
 szczęściami, sto myśli mu do głowy przychodziło, jakby

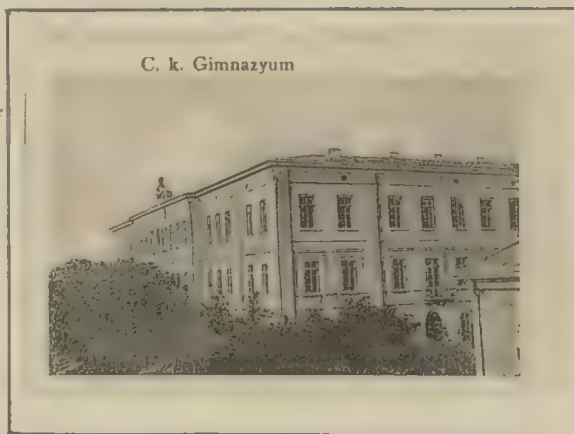
wybrnąć z przykrego położenia nie wypłazał nawet przyjaciela na obrządek łaciński, ale to były tylko refleksje smutnych przeżyć i rozpaczliwych smagań z bólem. Głedziat na probostwie na Nadrówańskich <sup>Przedmieście</sup> ~~Przedmieście~~ osamotniony, odsunięty od cerkwi i duszpasterstwa, pozostawiony sam. Koi do świąt i tylko jednym się pocieszał i w jedno wierzył, że prawda zwycięży. W tym stanie rzeczy opublikował Kotonujski. Co dotąd napisał, nim od samego Semenowa, to co dalej napiszę, nim od ludzi. Oboj zmiżrenny lichoty i brakiem środków do życia przyjął poradę tymczasowego urzędnika w Wydziale Poniatoznym i Kotonujski, zięć i niecierpliwą pensyjki i oszczędzał wyniki procesu w Rygu. Wybuchła wojna światowa w r. 1914, wyemigrował do Wiednia, gdzie żył w ciężkich warunkach, a tymczasem proces w Rygu przebiegał, wiadomości o tem podkopata jego zdrowie, niebawem potem zmarł w Wiedniu, nie powróciwszy niestety na swoje probostwo Kotonujskie. Tak się rozczyna tragedia życia ks. dr. Nikołaja Semenowa. A ks. ~~dr~~ Korotki został proboszczem ruskim w Jezierzanach pod Orlowem, jednak w kilka lat później w młodym wieku tamże zmarł.

Na dwa rozległe przedmieścia Kotonujskie, okolonizowanych przez Niemców były dwa Kościoły. Na Bałginsbergu, niemieckiej Kolonii ewangelickiej był Kościół tegoż wyznania (pobudowany w r. 1874) i probostwo ewangelickie. Niemcy ci odznaczali się nęceństwem, pracowitością,

~~stare~~ i byli doskonałymi sędziami przyszłymi. Na drugim niemieckim przedmieściu na Mariakulcie była parafia katolicka, gdzie Niemcy tamtejsi byli katolikami. Odrzucali jej, awanturniczością i pijactwami.

\*

Głównictwo było w Łotomiu silnie rozwinięte. Były dwa gimnazja męskie, a to polskie pod kierownictwem dyrektora Józefa Skupiewicza, człowieka starszego, poważnego i poważanego, doświadczonego pedagoga, twórcy parku zabaw dla młodzieży, przy Kościeł. Staromiejskiej, niedaleko Prutu. Drugie gimnazjum było ruskie pod dyktando Józefa Niedzielskiego, również poważanego i rozumnego człowieka. Obie gimnazja były w jednym, obszernie rozbudowanym gmachu obok łacińskiego kościoła parafialnego.



C. k. Gimnazjum



Bursa Polska

Polskie i ruskie młodzieży miały bursy bardzo dobrze zorganizowane. Dla młodzieży piękniejszej utrzymywali gimnazjum prywatne SS. Urszulanek w tamtym budynku naprzeciw



kościół jezuicki. W tym samym budynku był Konwikt dla córki wódcin samowolnych. Miejsce drzewzeta nieszczęśliwych do gimnazjum też za dopłatą. Było jeszcze kilka szkół wydziałowych i powszechnych, a cała tzw. Główna szkoła, niedaleko jadu, była jakby jedną wielką, rzymską kolonją orszolną. Ale drzewzeta było także seminarjum nauczycielskie prywatne, mieszczące się w domu nieocenionej fundacji im. hr. Starzyńskich. Były jeszcze trzy szkoły zawodowe, funkcjonujące doskonale. Prym wśród szkół garncarska. Mieściła się w własnym budynku w dolnej części miasta, kierował nią dyrektor Klimaszewski, a jej wyroby nosiły cechy swoistych motywów. Szamary, wazy i misy w tej szkole wyrabiane miały tak piękne kształty i gustowne ornamenty, że niektóre, iż śmiało mogły iść na wystawy nawet zagranicę. Jedną z utrzymywanych fundacji krajowej. Druga szkoła zawodowa była stolarzka, umieszczona przy ul. Dobieskiego, a drugiej kamienicy nad potokiem. Była to szkoła państwowa, dobrze zorganizowana i prowadzona przez fachowego inżyniera i kilku innych nauczycieli. Wydarła rzemieślników pierwszorzędnej miary. Trzecia zawodowa szkoła była szewska, do niej jednak chodziłi uczniowie z zarobkami tylko na naukę popołudniową. Mieściła się w budynku gminnym obok parku.

\*

Z stado państwowych starostwo mieściło się przy ul. Jagiełłowskiej, w starym lecz obszerным domu. Narożnik był Pawlikowski, lensam, o którym wspominałem w rozdziale



Kolomyja  
 Zakład 'SS. Urszulanek przy ul. Kreszowskiej.  
 Za nim widać wśród drzew parterowy dom Fron-  
 czaków (oznaczony na dachu =), w którym mieszka-  
 tem po przyjeździe z Kalicza

o Jarostawin, jako o Komisarzu rządowym tego miasta.  
 Był to już starszy człowiek, wyniosłej postaci, średniej  
 tuszy, o twarzy dwój, owalnej, gładkiej, na głowie tkwiły  
 resztki siwiejących włosów. Stępczy, poważny, rozum-  
 ny, taktowny, o szczerze polskim podłożu duchowym.  
 Zastępcą starosty był rucklin, uprzejmy nadkomisarz  
 Łowicki, szczerzy polak i racna dusza.

Na czele dyrekcji karbowej stał dyrektor Neuman.

którego nie znatem. Synteza skarbowa miała bardzo liczny zastęp różnorodnych przedmiotów.

Wojzka u Kotomyski było dość. Zato parku było wos-  
szary 24. pułk piechoty o jasno szarych wyłogach, szarego  
pułkiem Kotomyskim. Flakty u nim hucali z całej potęgi  
flakalszyszy. Nadto był pułk obrony krajowej u obszer-  
nych Roszarach przy ul. Ban'Kowickiej, wreszcie pułk Kon-  
micy, zalogujący na Kosaczonie, za dworcem Kolejowym.  
W nim około roku 1911 służył młody rotmistrz arcyksięcia  
Karol, późniejszy ostatni cesarz austriacki. Był dopiero  
wzierniony z książniczką Zytą. Mieszkał przy ulicy Ewange-  
lickiej.

\*

Wstąpamy wreszcie do instytucji, u której pracowa-  
łem, tj. do sądu i do prokuratury Państwa. Instytucje te  
mieściły się tuż obok kościoła jerozolimskiego u najcięższej kamie-  
nicy słynnego na owe czasy bogacza Kammlera. Był to  
duży budynek, rozczłonkowany na różne ramiona, nie-  
zgrabny, niekształtny, ale przecież parkowy, mieścił  
jakotako wszystkie biura i sale rozpraw przy dość  
ściśle zastosowanym systemie szeregów miejsc.

Prezydentem sądu był wtedy Władysław Jorodow-  
ski, człowiek nad 60 lat życia, średniego wzrostu,  
okrągłej tury, nie zbyt głośno mówiący, twardo  
pranie rumiana, brzoza, strzyżona, biała broda okolorowa.



Zwykle usmiechnięty, na wzór nawet dobrotliwy, nie lubiał chodzić, choć mu sprawnie trudności, stał po roli, cisze, a najtrudniej mu było chodzić po schodach. Był bezżennym, mieszkał naprzeciw sądu w Kamionicy Mańszołepo, ormiańska, miał przy sobie siostrę, która po notaryuszem i ta prowadziła mu gospodarstwo domowe. Najpierw był Sędzią powiatowym w Prowie, potem tamże radcą apelacyjnym, wreszcie został prezydentem sądu obwodowego w Kutomym. Pełniąc długie lata służby w Prokuraturze, wyadawał praw karne zwyczajowe, był więc doskonałym Kryminalistą. W dziale cywilnym mniej się miał doświadczenie. Z domu prawie się nie wychylał. Raz tylko widziałem go, że szedł na spacer od sądu aż do ul. Jagiellońskiej, stąd zaraz powrócił. Należał wówczas na imieniny cesarowej siostry i manderów do Rosji i w rynku na urzędowe nabożeństwo. Zresztą nieśmiały bądź w domu, bądź w biurze.

Nie mając mi dzieci ni wdziw, mało miał wyrozumienia dla potrzeb ludzi, powołujących obowiązki rodzinne. Należał po niedzieli, że nie miał wyro-



Starostwo w Kutomym.

rozumienia, często mi miał i serca. Pamiętam, jak wtedy  
 Zdan'skiemu zachorowała matka starszka we Lwowie  
 na raka i dwie jej były poliozone. Zdan'ski na niedziele  
 jechał z Kotonymi do Lwowa, by matkę odwiedzić i  
 jeszcze ostatnie słowa z nią rozmówić. W niedziele  
 nie było żadnych czynności w sądzie, ale Zdan'ski jed-  
 nie z uprzejmości urzędowej prosił Sieredownięgo o ur-  
 lop niedzielny, który kilka razy otrzymał. Raz po  
 sesji w sobotę, kiedy Zdan'ski prosił o urlop niedzielny,  
 naco Sieredowni dał do zrozumienia, że nie jest z tych jeś  
 niedzielnych wyjądków radozłony i kwestjonował, czy wy-  
 jądku to są Romecane. Gdyśmy wyszli ze sesji, Zdan'ski  
 był bardzo oburzony i powiedział do mnie, że od tego czasu  
 zawsze jechał do Lwowa na dwie śniadane, jak długi.  
 matka żyje i nie będzie o tem mowa Sieredownię-  
 go. Ten dziwniejsze było zachowanie się prezydenta, że kiedyś  
 był on podstawnym jeś ojca nadprokuratora Zdan'skiego  
 i właśnie on przeznaczył go do wyniesienia Sieredownięgo  
 na wyższe stanowisko. Inny przypadek był jeszcze prze-  
 krejszy. Był pisarzem w sądzie powiatowym niejaki  
 Chęciński, człowiek starszy, porzeknię lubrany, brat wo-  
 arem użyciu i życia narodził a nawet piłył niere.  
 Jemato umarta zamieszka córka w Jłmaczu. Gdy porwał  
 prosić Sieredownięgo o urlop pogrzebowy, nie chciał  
 mu go Sieredowni dać, argumentując: twoje własne pa-  
 tom pojadać, córki jni nie ma, jki nie żyje a pogrzebem

przecier rajmie się ma. Był nie Sereadowski niemal w-  
 obawiony nocy ludzkiej i to mu przez współpracownicy  
 jego rancach. Jako urzędnik był niezmiernie ścisły, ogrom-  
 nie wymagający, bezkompromisy, skrajnie szczepny w oznaczaniu  
 kwalifikacji. Nie cieszył się nie u sądzi sympatją. ~~W~~  
 utrzymywał jednak u sądzi surowy rygor, bo u sądzi przed  
 wojnę siałą było to jeszcze moribund. Jakoś około r. 1910  
 podczas ferji letnich zastąpił Radę z nas rano na biur-  
 ka biulet wizytowy, prezydenta Sereadowskiego. Wówczas to jego  
 pożegnaniem. Spensjonował się, przeniósł się do Lwowa, tam  
 stale ze słabą samowiedzą, chorował ciężko na nogi, wresz-  
 cie licząc około 70 lat, tamże zmarł.

Po nim został prezydentem Gotkowski, poprzednio  
 również radca apelacyjny ze Lwowa. Jako szlachcic miał  
 wielkie względy u prezydenta apelacji Tchorzmińskiego. Got-  
 kowski był ruchliwy, rozgadany, żywy, lubiący gwarne  
 kołko bliskich znajomych, przybył do Kłotumy niejako  
 na sezon, nie miał bowiem zamiaru pozostać tu na stałe,  
 lecz objął to stanowisko, aby się potem przenieść do  
 Sambora. Był ironiczny, bezdrzewny. Jako człowiek, prze-  
 żywał o całej niemieckiej Sereadowskiego, ale jako pracownik  
 był jego antitezą. Nie lubił siedzieć u biurze i nie  
 lubił pisać, opowiadał, że nawet korespondencję  
 ze żoną, nawet oświadczać sekretarzowi Trzebieckiemu,  
 a choć nie wiem, czy to było prawdziwe, ale z pewnością mi  
 wyrażone. Byłto jednak umysł bity, charakter prany,



człowiek dobry. Po jakim pół roku przeszedł istotnie do Sambora.

Po nim został prezydentem Koto-myjskiego sądu rad-  
ce sądu sąpiziego we Wiedniu Lysiak, rusin. Postać  
smutnej, wkrótce jego miasto wywarło retroskany, miał lat  
około 55, ojciec liternej rodziny, z dzieci najstarsze cór-  
ka wydana była za kapitanem, polakiem, inne zaś dzieci  
były jeszcze na utrzymaniu ojca. Jako prawnik był wybit-  
ny, ścisły w striccie i przykładowie pracowity. Czuł się szczy-  
śliwym, że powrócił z Wiednia do kraju, dał dzieci do szkoły  
Koto-myjskich a syna na praktykę do miejscowej Kasy osz-  
czędności. Niebawem i zięć kapitan otrzymał posadę w Koto-  
myju, dość że początki utrzymał mu się jak najlepiej. Ale  
był to rok 1910, wojna z Rosją wisiała już w powietrzu,  
gromadziły się chmury od wschodu i zachodu, weszło na przysię-  
ciół i nieprzyjaciół państwa i stądto porady ze wielką mi-  
tą także rząd austriackiego rusin i sędzię staroruckiego,  
czarni cyrkli rusofilami. Który rusin nie był ukraińcem,  
był uważany za rusofila, a temsamem za nieprzyjaciela  
państwa austriackiego. Lysiak nie był ukraińcem, a nie  
leż ipso stat się odrazu personą ingrate, choć o jawnym  
wrogu nie wspomnieli wobec Państwa nigdy mu się nawet  
nie śniło. Przeto myśleć nad sposobem usunięcia go ze  
strucy — i obmyślano rzecz dość niezgrabnie. Kiedyś ko-  
przednio był Lysiak nadradcą sądownym w Stanisławowie.

Jam pewnie, state groło osób w oznaczony dzień tygodnia  
schodziło się na kolację na ryby w jednej z restauracji. Re-  
staurator czy restauratorka kiedyś miała wspomnieć  
Lysiaroni, że jakiś jego krewny został niestoshnie oska-  
rzony o bankructwo. Lysied znów w rozmowie z radcą  
sądowym Prokuratorzem reputat o tę sprawę, a z konkluzji  
miał być, jako na rzecz blachy. Po latach kilku  
chciano Lysiaraka wysadzić z posady prezydenta, gdzieś  
jakąś drogą odgrzebano ten skrzepół, Excellencyi Tabor-  
micki (niezadowolnie na wskazówkę z góry) uderzył w wiel-  
ki deson, wyolbrzymioną całą rzecz do przesady i da-  
no Lysiaroni do zrozumienia, że powinien ustąpić.

Z ciężkim sercem to zrobił i w mowie pożegnał się z są-  
dzą wyraził swój żal, że go po wyrzuceniu z Wiede-  
nia o po kilku miesiącach po powrocie do kraju po-  
dobianego stanowiska. Aby podjąć obowiązek ro-  
dzinny, powiadził potem w Kotonuyi adwokatów.

Po nim został w r. 1911. prezydentem sądu  
Antoni Wilecki, prokurator ze Złotowa. Człowiek  
sepmnych rozmiarów, dużego rozmachu, śred-  
niej pracowitości, w odniesieniu do sądu abso-  
lutny, w zetknięciu z innymi władzami szorstki.  
Był ziomaty, bezdziejny. Gdy odjeżdżał z Kotonuyi  
w r. 1911, został on na stanowisku prezydenta są-  
du. Potem przeniósł się na takiesame stanowisko  
do Przemyśla, widocznie w pragnieniu większego zaszczytu.

Sąd okręgowy miał także wiceprezidenta. Gdy przybyłem do Kotonuyi w r. 1906 rodzina ta na razie była nieobsadzona. Dopiero około r. 1908 zamianowany został wiceprezydentem radca ze Lwowa dr. Włodzimierz Kozicki. Znatem go doskonale ze Lwowa, gdy tam był radcą. Jurek, serdeczny, miły, Kozicki, jednym słowem Kochany człowiek. Był synem powstańcy, który w walce o wolność Polski życie swoje poświęcił w r. 1863 pod Radziwiłłem. Po uroczystym jego nominacji do Kotonuyi, ucieczyłem się tem szerzej i napisałem mu do Lwowa serdeczny list. Czekając kilka następnych dni i nie dostając odpowiedzi. Trochę mi to zdziwiło, ale wagałaś się nie rozstrząsała. Niebawem przybył Kozicki do Kotonuyi, ale był to zupełnie odmienny i całkiem inny człowiek niż był w Lwowie, przemienił się duchowo nie do poznania. Był żonaty z Gostrowską, córką profesora Politechniki Lwowskiej. Jej siostra była chorążką, żoną inżyniera, znanego socjalisty. Zasady socjalistyczne może nawet nieco w radykalniejszej mierze uchwycił się cały rodzinie, stąd Kozicki przerobił się w typ człowieka zimnego, obojętnego a dawał jego miłą serdeczność, którą go tak znamienicie cechowała, znikła bezpowrotnie. Lato, więc z tamą piękną tradycją rodzinną już Kozicki mógł stawać na czele Polonii Kotonujskiej, stał się dziedzicem tutajszego życia narodowego i przejął do historii tego miasta — jednak, niestety, tak się nie stało. W sądzie był



Kozicki: jedynie z radcą Kozaczkiem, dla innych był obojętnym. Po kilku ~~latach~~ latach pobytu w Kotonugi zostat Kozicki prezydentem sądu w Jarosopolu, a wiceprezydentem zostat w Kotonugi i miejsce niego radca Metella z Brzeżan, rusin, choć pracowity, jednak i sobie samemu, mało ze siebie dający i dla grona sędziów okropny jakby ciagle obcy. Gdy opuszczatem Kotonugę, on zajmował miejsce wiceprezydenta.

Jadły Obwodowy i Powiatowy w Kotonugi miały całą długi szereg nadradców, radców, sędziów, a grzecz- tym o Radym spisał to co wiem, tworzyłyby to spory tom. Nie jest to jednak celem niniejszej pracy - choć z drugiej strony przeciw i tym niestrannym pracownikom należy się wzruszanie. Nie Radym mógł być prezydentem, choć wielu było godnych zasiąść na tem krześle.

Wiceprezencio najstarszym był nadradca Szypajto, rusin, całkiem niekory, powolny, rozważny, niezmiernie sumienny. Z innych sędziów wyszczególnić należy dr. Niktoryna Charkowski, polaka, znakomitego jurystę, chłabę i ozdobę sądu kotonugijskiego, później prezydenta sądu w Janowie, wiceprezydenta sądu Apelacyjnego we Lwowie, prezesa senatu sądu Apelacyjnego w Poznaniu i niezmordowanego a bardzo wybitnego członka i wiceprezesa Komisji Kodyfikacyjnej po powstaniu odrębnej Polski. Z tym sędzią spotkały się jeszcze w rozdziale o Poznaniu. Wybitnym sędzią był radca Nyspianicki.

• Katego wzrostu, brunet, rudding, ogromnie uzdolniony, po  
 • karkowski pierwszy prawnik i sędzię Kotonujskim, póź-  
 • niej radca apelacyjny w Lwowie. Rozważał, radca sądowny, po-  
 • lał, członek sądowny, bystry, biegły i kładym dzieło,  
 • wzorowo pracowity. Karatnicki, ruski-ukrainiec, wybit-  
 • nie zdolny i znakomity prawnik, później prezydent  
 • sądu w Brzeżanach. Radca Stanisław Nowodworski, poeta,  
 • członek o wybitnej inteligencji, o nieskazitelnym charakte-  
 • rze i szlachetnej duszy. Był dwiema żonami. Pierwsza  
 • żona zmarła śmiercią gwałtowną, gwałtownie zajęła się na niej  
 • wdzień wskazał rozbić lampy naftowej. Miał liczne dzieci,  
 • a córki jego były najlepszymi nauczycielkami i liceum Ur-  
 • szulanek. Był i serdecznych stosunkach z radcą, Exerwin-  
 • skim, o którym i dalszym ciągu wspomnę. Nowodworski  
 • był najpierw radcą, potem nadradcą, po spensjonowaniu  
 • się zaś prowadził adwokatów. Ponieważ za młodych lat  
 • był sędzią w Kopyczyńcach, dlatego młodszy na temat  
 • tego miasteczka wiele do opowiadania. Zmarł śmiercią  
 • tragiczną, podczas wojny światowej w r. 1914 lub 1915. O to  
 • gdy Rosja walczyła wojnę Galijs i zajęła Kotonuję, prze-  
 • szedł jakiś żołnierz rosyjski do jego mieszkania i w kuch-  
 • ni domagał się natychmiast jedzenia, względnie rądek Rik-  
 • jaj. Gdy mu odmówiono, żołnierz domagał się tego kulinarnie i  
 • natychmiast. Zignorowany natychmiast wyszedł Nowodworski do  
 • kuchni i krzyknął do żołnierza, że niema obowiązków ży-  
 • wienia rosyjskich żołnierzy i wrócił go do opuszczenia

nieszkania. Żołnierz zareagował na to ~~z~~ groźką strzela-  
nia, na co Nowodworcki krzyknął: *ano spróbuj!* Żołnierz  
podniósł karabin i wystrzelił prosto w głowę Nowodworckie-  
go. Ten padł trupem na miejscu, pozostawiając broń ro-  
dzimą w ciężkiej rozpaczy. Obojście zryliśmy w zarysach  
stojących. Po moim odczuciu on to nadstawił mi naszą  
wspólną fotografię z listem z daty Kotonuyja 7. grudnia  
1911, który tu dotęcam.

Z dalszych sedziów nadumienie należy nadred-  
cz Bernackiego. Blondyn, szczupły, bardzo uzdolniony,  
prawy i raczy człowiek. Za młodych lat jako przyrządowy  
ankietant był rozrywany. Wstępnie człowiek ten ciężko  
chorował, może miał strudzenie, dlatego nie prowadził  
wzprawy, lecz wykonywał obowiązki bez styczności ze  
stronami. Bernacki i Wilecki byli przyjaciółmi od  
dziecięcych lat, jasn długo Wilecki bawił w Kotonuyi,  
razem z ich wzięto oba razem chodzących. ~~W~~  
Pamiętnym radcą był Józef Ozerwin'ski, rasin, osto-  
niek o postaci niemal olbrzymiej, jasn, wśród drzew  
dąb kilkunastoletni gdy się nań patrzyło, odawet się,  
że on dopiero przeżyje wszystkie. Stając koło niego, czu-  
łem się niejako przycięsionym jego ogromem, jakby  
potany, czem tak niski, wąski, męły, wobec tego Pan-  
dydata do ~~z~~ setnych lat. Myślałem jako nieraz, że  
gdy ten człowiek umrze, nie będzie można znaleźć trum-  
ny dla niego. Łysy, z długą brodą, pięknym, pogodnym



obliczem, był cztowikiem bez skazy, chodząca uczciwość i głęboka szczerść. W pracy był mistrzadzojny, a poczynin sprawiedliwości niezmiernie subtelny. Życie domowe miał załute chorobami rodzinnymi. Był a ściśle przyjaźni z radcą Nowodworskim. Rozmawiając często o niesumienności duszy, umówili się, że który z nich przodziej umrze, będzie się starał drugiemu dać znać o swym zagrobowem istnieniu wszelkimi dostępnymi środkami. Usmiechnęli się obaj — mieniedzić komu los wskaze wó informatora a komu informowanego. Niebawem potem wóle te wyjaśnili się. Pierwszy nieura, możliwie w r. 1909 pracował Czerniński do późna a białe, pisząc wyrok cywilny. W trakcie pisania motywów wyroku, mierzdami mógł dokończyć, zrobilo mu się niedobrze. Zszedł z piętra na parter do odźniernejs i przy jego pomocy doszedł do powłokę go szepa mieszkania przy ul. Romanowskiego (na Ramlerówce obok sądu). A kilka godzin później Czerniński już prześtat. Zmarł wskutek wady aorty, licząc lat około 45. Był młodszym bratem Adolfa Czernińskiego, późniejszego ołtgoletniego prezesa Apelacji lwowskiej. Podczas kondaktu pogrzebowego przemawiał obok sądu radca Kozaczuk po polsku a na cmentarzu adwokat Dudykiewicz po rusku podnosząc, że „to był sędzia sprawiedliwy, który wstając rano mwałł się do Boga, aby przez dzień nadchodzący nikomu kłopoty nie zrobił”. Sprawiliśny mu grób

Kolomyja 7 grudnia 1911. m. kosztem.

Lacny i kochany panie  
Prokuratorze!

Pracując z Tobą wspólnie  
w lud. Prokuraturze  
Punkta i w Trybunale  
przeżyłaj, ci, miśka  
pamięny dzień, jako  
grafie, która miśka

iej umarta  
exem. Gdy  
rób Exem.  
arta nę do  
órten potóż  
e rodzic pod  
rac i tem  
iński okazał  
le przezgca.  
cim u pijsz  
gradziaden  
nej Gajiorow  
19 liora  
ione. Oto  
ją pier=  
ziecha i  
nierzech.  
ile brod  
toniek, doś  
m. miał  
inaty, miał  
14 umar.  
wudu ste.

go bezemni przez lekarzy. Odtąd życie tych ludzi  
było etamane, posępne, bez treści. Jedyńm spacerem

obliczem  
i głęboka  
sprawiedli-  
wość,  
i radę  
telności  
umrze,  
zagrobowi  
wszędzie  
informa-  
te wyją-  
nat Oze-  
ny. W tr-  
dokoncz-  
ter do od-  
go niepo-  
ce obok  
stat. Zma-  
rodzonych  
goletnicy  
pogrzebow  
polska i  
podnoszą

razu mwałł się do Oze-  
nika. Przecież nie zrobił? Sprawiliśmy mu grób

li przypominam, że  
porozumiewałem tu swoje  
myśli wyrażałem, że  
niezadowolony z Twojej kate-  
chizy - aby budzić  
ona w Tobie te same  
myśli względem nas  
i jaskini do Oze-  
nie odnosimy.

Ścisłamy szlachetnie



Stou Twój;

P. Mieczysław Bostromski

Głazowski

Stanisław Konarski

Michał Brahmowicz

Szymon

Karol Schmeier

Michał Horowitz

Michał Jelski

Gławorowicz

Włodzisław

go bezcennie przez lekarzy. Odtąd życie tych ludzi  
było tamane, posępne, bez treści. Jedyńm spacerem

in kosztem.

iej umarta

ieciem. Gdy

rob Exermin-

arta nę do

órten potężn-

e radzie pod-

ac i tem

órki orazat

le przeogca.

ein upisany

, gradziaden

nej gąsiorów

19 lioga

ione. Oto

ję pier-

zjecha i

nierzeczy

ile bród

tonier, do

m. miał

inaty, miał

14 umar-

wrodu zto-

obliczem  
i głęboka  
sprawiedli-  
wość, i  
i radcą  
telności  
amrze,  
zagrobowi  
i s'miech  
informa-  
te wyjaśn-  
wał Czes-  
ny. W tr-  
dokoncz-  
ter do od-  
go zresz-  
ce obok s-  
stat. Zma-  
rodzonych  
goletnieg  
pożrebow  
polska i  
podnoszą

razu mwałł się do przodu, aby przez dzień nadawał się  
nikomu przynędy nie zrobić? Sprawił się na grób

li przypomniała, że  
pozostawiał tu swoje  
nysze przysięgi, że  
niawet Twoje state-  
sewe - aby budzić  
ona w Tobie te same  
namiętności wglebił na-  
z jaskini do Pchle-  
nie odnosimy.  
i ciżkami zblacheli

Mon Troje;

S<sup>r</sup> Mieczysław Potkowski

Głazowski Towarzystwo

Stanisław Potkowski

Michał Brahmowicz

Synowizna

Karol Schreier

Nikolaj Horowitz

Michał Jelski

Kawronier

Włodzisław

ym kosztem.

iej umarta

ieciem. Gdy

rob exornia.

arta nę do

órken potwór

e radzie pod

rac i tem

robi okazał

le przecząca.

im upiśnij

gradziadzi

wej gaziorów.

19 uog

ione. Oto

ję pier

zjecha i

nieszczęśli.

ile brzo

stoniek, doś

m, miał

innaty, miał

14 umar

wowdu ote

go bezemni przez lekarzy. Czatad życie tych ludzi  
było atamane, posępne, bez treści. Jedynym spacerem



obliczem  
i głęboka  
sprawiedli-  
wość,  
i mądrość  
telności  
umrze,  
zaprobowa-  
niśmiach  
informa-  
te wyjaśn-  
wał Oze-  
ny. W tr-  
dokonczyc-  
ter do od-  
go swego i  
ce obok s-  
stat. Zima  
rodzoną  
goletnię  
pożreba  
polska i  
podnosi

razu mwałł się do swego, aby przez dzień nadcażący  
nikomu krzywdy nie zrobił. Sprawiliśmy mu grób

murowany i nagrobek wspólnym składkowym kosztem. Niebawem po nim, bo w jakie pół roku później umarła jego żona i pochowano ją w jednym grobie z mężem. Gdy odwrócono płyty, okazało się, że mурowany grób Czerwinskiego napetniony jest wodą, która także wdarła się do trumny. Cementarz kotonujski, choć na wzgórek położony, miał to fatalne, że, że cały tonął w wodzie pod ziemią. Stęgo właśnie niemiło było umierać w tem miejscu. Pytatem Nowodworskiego, czy Czerwinski okazał mu się kiedy po śmierci. Odpowiedź była stale przecząca. W obecnej chwili, gdy to wzruszenie o Czerwinskiem upięknia i wspomnienia kotonujskie, przebiega stale w Grudziądzu, gdzie to właśnie piszę, u mojej ciotki majorowej Gąsiorowskiej siostra po Czerwinskiich Anna, lat około 19 licząca, kaleka na obie nogi, czuła się abstrakcyjnie. O to gdy była jeszcze dzieckiem w Kotonui, wymięła ją piersieńka po Rapińki nadwór, która oiał nogi dziecka i stąd powstał na całe życie niedowład. Ale ten niedowładny ojciec tem się nagryzał, ile porad zasięgał, ile środków stosował — wszystko nadaremnie.

Kadca Werbowy, rusin, starszy człowiek, dość utyły, twarz owalna ze siwym grubym wąsem, miał dom własny przy ul. Bańkowskiego. Był żonaty, miał jedną córkę, ta jednak, licząc lat około 14 umarła na dyfterję. Jaki Werbowy twierdził z powodu tego leczenia przez lekarzy. Odtąd życie tych ludzi było ciętane, posępne, bez treści. Jedyńm spacerem

dla nich była droga na raski cmentarz na Sadowniański przedmieście, do włocheńskiego grobu, który namknął na niewielkie ich szereg.

Radca Ferał Luanik, polak, właściciel dwóch domów przy ul. Bańkowskiej, syn miępczego lekarza. Był zionety, miał jedną córkę, którą bardzo kochał. W sędzię prowadził dzień Karny, znane były jego rozprawy jako zbyt przesadne, stał się to miał zamiar przy rozprawach prowadzonych przez Ferała, mawiał: mam dziś dzień feralny. Był miłym gadatą, gościnnym w domu, towarzyskim w gronie sędziów.

Radca Nireliński, rusin, bardzo racna dusza, czuły charakter, przyjacielski, serdeczny. Był zionety, bezdzietny, miał dom niedaleko mostu na Prucie, a veranda jego pomieszkania rozciągała się piękny widok na Łarpatom. Umiął tkuć piękne dywany smyrniewskie. Z nim to jeździłem do Jabłonowa, odwiedzić na szlaku tamtych jego sędzi Sienkiewicza, dawnego kolegi z czasów sadowniańskich. Przeszedł w r. 1911. na emeryturę, później niebawem zmarł.

Radca Janieniecki, rusin, zionety, bezdzietny, niezmiernie cichy, spokojny, pobożny. Był sędzią śledczym dla rozmięszonych spraw. Wreszcie przeszedł na emeryturę i zamieszkał w Lwowie.

Radca Roman Zdan'ki, polak, człowiek o dużej kulturze, pięknie prowadził rozprawy karne, szlachetny, przyzwoity, ludzki, wesołego nastroju. Żoną jego była



Bogdanowiczówna, córka właściciela ziemskiego z Ostrow-  
czyka koło Horodenki. Godziła osiągnąć w zgodzie i  
zasadytne wyisze stanowisko niestety zbyt wczesnie  
umart na ~~gła~~ gruźlicę gardła.

Radca Lebschang, spolszczony Niemiec, bardzo  
zdolny prawnik, niestety przebiegł swego życia opowiadac  
całymi dniami, bo jako student gimnazjalny, po jakiejś  
awanturze szkolnej uknął do Ameryki, przechodził  
ciężkie Roleje życia, był sto razy na wojnie i pod wojen,  
powrócił do Kreja, pokonczył studia, był sędzią w Ko-  
tach, potem radcą w Kłotyni, wreszcie sędzią apelacyj-  
nym we Lwowie, gdzie też przedwczesnie zakończył życie  
również na gruźlicę gardła.

Radca Jan Ozeruariński, radykalny rusin,  
ukrainiec, zapalczywy, namiętny, dzikacz. Rad-  
ca Plahner, tarnopolanin, wyznania mojżeszowego,  
był szczerze i doskonale sędzią śledczym, bystry,  
zdolny, niezalezny. Radca Henner, również wyznania  
mojżeszowego, pracowity, ambitny, pochodził ze znanej  
w Kreju rodziny fotografów, przemysłowca. Miał w Ko-  
łotyni dom własny obok Koszar piechoty (nieopodal  
parku). Wreszcie jako sędziowie śledczy fungowali Zyg-  
munt Rybicki, sędzia średnich zdolności, zapracowany,  
przysiężony troskliwym nadzorem, nie cieszył się  
wzglądamy prezydenta Deredowskiego, stąd nie mógł po-  
stać na radcę. dopiero po jego ustąpieniu został radcą  
w Brzeżanach, gdzie też niebawem umart. Młodszy lewy

bardzo dzielny sędzia Yllawaty, prowadził trudne śledztwa  
wzorowo, zmarł niestety przedwcześnie, zostawiając czworo dzieci.

Sąd powiatowy miał za swoich czasów jako na-  
czelników Wileckiego, Kozaczka i Nowodworskiego, nadto  
cały szereg młodszych sędziów. Byli nie w tym sądzie: choro-  
wity, ale dłużej lata sędziący Nechay, szaryny leśnik mierz-  
sławy Felstyński, który od lat kilkanaście miał spawali-  
zowaną żonę, sam się zajmował gospodarstwem, choć tro-  
skliwie pielegnował, nawet sam ją czesał. Sędzią sędzią Lityn-  
ski Bolesław, szlachcic polski, sądził ukraińców. Michał  
Grochomirecki, mój serdeczny przyjaciel jeszcze za czasów,  
jął się w Lwowie na prawach nieszkodliwego rękaw przy ul. Ko-  
chanowskiego nr. 4. W Kotonui był najpierw zastępcą proku-  
ratora, potem jednak przeniósł się na sędzię do sądu po-  
wiatowego, gdzie też niebawem został radcą. Otworzył o zna-  
komych zdolnościach, bystrym umyśle, doskonałym praw-  
nik, niezmordowany pracownik, rykło się wbił na czoło  
w szereg sędziów. Był żonaty, miał czworo artystycznych  
dzieci, bo wszystkie były zawołanymi muzykami. Podczas  
wojny świątecznej internowany był przez Moskali na Sybirze  
skąd powrócił dopiero po powstaniu Polski. Niebawem został  
sędzią apelacyjnym w Lwowie, gdzie prani napie zmarł  
w r. 1928 na zapalenie płuc. Dziwnym zrzędzeniem losu,  
trzej byli sędziowie kotonuijczy, a to Litynski, Kankowski  
i Grochomirecki, jeden po drugim w niedługich następach  
czasu pomarli w latach 1926-1928 w jednym i tym samym  
domu przy ul. Kochanowskiego nr. 8 w Lwowie (własność Pow.

torę Łęcy Oszechduwici). Salszymi sędziami byli powołany  
lecz stateczny Marcinkiewicz, zagadkowy celnik Garlicki,  
sympatyzujący z rusinami polak Bartwicz, dalej drzej  
moż Ruledy z gimnazjum stamiatanowskiego, a to polak  
sobrueki i rusin Tracz. Jako innymi sędziów pamiętam  
jiszcz Kopytjański, Ziębski, Kozioła, Lepkiew, aresztę  
personal sędziowski ależ ciągłym zmianom.

Głównym wchodzie był najstarszy sekretarz  
Szczeciakowski. Schodził już na emeryturę, to lato  
swoje wytworzył. Miał domek własny przy ul. Bańkowskiej.  
go, a niedomagając na stare lata na ciętach podejrze-  
wał, że to jest zamach żydów na jego życie. Wypunktował  
w talmudzie cytaty, że należy chrześcijanę tępić, wypu-  
sywał je starannie z jakiegoś tłumaczenia i cierpiąc na  
tym punkcie istne zbrojenie u myślowe, pisywał coraz  
nowe doniesienia do prokuratora, że go żydzi trują.  
Mniejszych doniesienia te tak wyglądały: Donoszę już  
nieraz, że mię żydzi chcą otruci, jako gorliwego Katoli-  
ka. Jego podstępnych zamachach dopuszczają się na mnie  
tak, że sypią truciznę do mleka i do pieczywa. Widząc  
ze wszęch stron wzmożoną zbrodniarzą ależ, zaprzesta-  
łem wogóle pić mleko, po kulki zaś wyprawiam się i inne  
części miasta, sądząc, że mię tam nikt nie zna. Me  
żydowskie oko jest czujne, wszakże pisze talmud i Kni-  
dze 68, niżej 53 "miej ~~z~~ otwarte drzwi na twójgo  
wroga w dzień i w noc i ścigaj go, aż nędzne życie  
odda." Wszędzie mię poznają i podsuwają pieczywo za-



trute, znana tylko żydom truciźną. Wzrostaj pożywnym  
niecnozem o zmroku, by nie być poznaczonym poszedłem  
do Kramów miejskich, kram w. 3i., Kapitem dnie butki  
i dwa rogalki, spożyłem je u domu, lecz wnet poczułem  
bole u żóładku, kolki u prawym boku, skrzywienie w  
trochę i kurcze u mięśniach szyi. To są nierównie  
znaki otrucia, to jest obrodnia kamieńna, podstępna,  
to jest zamach na ludzkie życie, proszę bezwzględnie  
wkroczyć, zhadac' rzecz całą i rzekę obwodniarzy stanąć  
przed sądem, aby im wymierzyć zasłużoną a odstraszającą  
karę. Takich piśm tego maniaka był cały stos. Aż na  
nie nie reagował. Po dziesięć, Jędrzej Korotki wypełniał  
swoje obowiązki urzędowe gorliwie i bez błędów, cierpiał  
tylko na ostrą manję prześladowczą a kierował swym  
wzmocnionym u siebie trucią.

W kancelarii prezydenta sądu był słynny  
sekretnarz Trzeciński. Człowiek ten wspominał o własnej  
osobie, wspominał o żonie, o domu, o rodzinie, nie  
dziął u siebie od rana do wieczora i pracował do  
upadłego. Podziwiałem tę jego niezwykłą wytrzymałość, co  
istotnie osiągnął rekord pomysłów nie tylko dającej wy-  
trzymałości.

Masz jeszcze jeszcze o jednej osobie urzędowej  
Sądu Kotońskiego wspomnieć. Zaraz na początku  
meego urzędowania, gdyś niedział przy rozprawach, za-  
wieszat przewodniczący wóznego Marynicza, by wywołał  
przetętał rozprawę. Od drzwi sali rozprawy wysunął się

człowiek starszy, siwiejący, z dwiema okularami, porohy  
z rękach. Z oblicza jego mierzana inteligencja z odci-  
niem smutku. Przejrzalem mu się kilka razy, baczenie i  
przypomnień z moich lat dziecińczych. Samwan Mary-  
nicz był ze młodych lat okolo r. 1879 człowiekiem strasz-  
liwym z Boryst-Rowach nad Złoczem, gdzie moi ro-  
dzice nawrozes mieszkali. Jako dziecko chodzilem po-  
nad Złocz, przygladając się żołnierzom rosyjskim. Nie-  
raz po austryjskiej stronie widziałem Marynicza, młodego,  
zawsze ciwego, wrogo, znato go na miejscu niemel Rasi-  
de dziecko, był bowiem popularny i lubiany. W kilka lat  
poźniej został Marynicz w noc napadnięty z Germanow-  
ce i tam pobity, że mala była nadzieja utrzymania go  
przy życiu. Twierdził, że go przymytnie pobili ze to,  
że tepit kontrabandę, ale opinja z Germanowce głosiła,  
że przystojny a młody Marynicz zawet bliźni, znajo-  
mości z jakas Tadeusza germanowce, niedziwaczka i  
mierzał z nią schadzki po nocach. Nie zapomniat o ras-  
kiej piosnce:

Oj ne chody Hrycin — na wyexerncyi,

Bo na wyexerncyi — sami czarivnyci!

Była i ta nadobna bogdanke moze nie tyle czarownica,  
ale zaradliwa i gorza od czarownicy. Zdradzila przed  
mężem zalecani Marynicza, mazi zasiadł się na miejscu  
schadzki, przywał kilka szbojów do pomocy i gdy Mary-  
nicz z bijącym sercem wyzuliwał przytycia bogdanke,

wypadli ryzale, pobili Marynicza do nieprzytomności i uciekli. Nazajutrz ciężko rannego ludzie odnalezli i raniech do szpitala. Sprawy zostały rzekomo niewykręci. Po odbyciu karecji szpitalnej, Marynca wyszedł ze Stamanem zdrowym, ze zmniejszoną zdolnością do pracy, życie nie miał z czego i ledwie wyteret się o posadę ~~na~~ wóznego. Uził się, miał jedno dziecko. Przemyślałem go na przetrwanie u siebie w sprawach do siebie i Karatem nazajutrz przyjechał do mnie do biura. Zdziwił się, skłonił cicho i odszedł — jak spostrzeżłem — zaniepokojony. Nazajutrz wsunął się do mego biura skromnie, czekaliście, co go ma spotkać, sądził bowiem, że ktoś umiósł na niego doniesienie. Gdyż mi przypominał jego młode lata, jego pobyt w Boryszkowcach, jego wesołe młodzieńcze usposobienie, Maryniczowi stanęły też w oczach, myśl nleciała w przetrwanie młodych lat, z uroczem jaskrawą tęsknotą portretował co chwila: tak, tak, to jestem ja, ten sam Marynca, dawniej wesoły, ramię, śpiący, dziś stamany i zepchnięty na wóznego! Jakże mi pan radość sprawił, że miś poznał, że się do mnie odezwał, że mi przypominał lepsze, szczególniejsze czasy! Odtąd Marynca miał ~~se znowu~~ ze mną pośrednika, kilka razy przychodził o różne porady, pomiędzy innemi starał się o policzenie do starych poprzednich lat spędzonych przy Strazie skarbowej, ~~or~~ a przerwanym owym niefortunnym wypadkiem w Germanowie. Napisał mi do Ministerstwa podanie, na które Kamienich się porażył. Ale wszystko było darma.



Jaśko w r. 1910 lub 1911, gdy wrócił do Koto myi z letnie-  
go urlopu, ujrzał na murach pościółki, widniejące jesz-  
cze tu i ówdzie na murach runty plakiet pęcherzowy. Sa-  
mian Marynka smart.

\*

W budynku sądowym pomieszczony był także urząd,  
w którym pełnił służbę publiczną, przez lat sześć. Był to  
Prokuratorja Państwa. Na czele jej stał wówczas prokura-  
tor Karol Kowalski, lat około 58 liczący. Pochodził  
z Brześcia i tam skończył gimnazjum jako celujący i  
pierwszy mianem z klasy. Następnie na Uniwersytecie lwowskim  
zapisał się na prawo, ale chodził także na wydział filozoficz-  
ny, bo wówczas to było dopuszczalne. Studiował więc pra-  
wo i matematykę, a z amatorską muzyką. Po ukończeniu  
przepisanymi lat służył wygorem matematyczne, miał  
jeszcze służyć filozoficzne, a stał się doktorem filozofii.  
Ale tymczasem podczas wakacji spensjonował się dawny  
profesor, który wykładał filozofię, a zastąpił nowy pro-  
fesor Czernkowski, z inną konstrukcją naukową. Potrze-  
bały chyba było zapisać się na nowo na jego wykłady,  
gdy jednak tymczasem bardziej nagliły egzaminu prawni-  
cze, by dojść do samodzielniejszego bytu, poszedł wygorem  
filozoficzne raz na zaxsze i odwrócił. Kowalski był  
sędzią w Czortkowie (tam na cmentarzu jest wspólny na-  
grobiek jego ojca i jego dziecka), poczem został zastępcą  
prokuratora w Koto myi, podczas kiedy prokuratorem

był wtedy Marjan Rybczyński. Po śmierci Rybczyńskiego został Kowalski prokuratorem, ale do końca życia tego ciatorwał. Żona miś do tego namówiła, mawiała, że i tak bardzo, że się podawał, że iś moi naxmionie nysze odemnie zajmują stanowiska, a ja ciągle jestem prokuratorem w Kotonuji. Kowalski był ogromnie niepokazany. Młodego wzrostu, szatyn gęsto siwiejący, włosy w nietadzie, twarz okrągła, golona, wazy rudawie naprzód naxjżone, strój zamiedbany i mało wytworny, kapelusz prosty — to była zewnętrzna postać mojego szefa. Jako prawnik Kowalski, doskonały, człowiek mądry, bystry, zwinny. Jego formy towarzyskie względem osób ~~angledan~~ ~~osób~~ powiadanych mn w urzędzie były wcale niesatowore i graniczyły z sprykiem. cię, stąd jego zastępcy często się zwiniali, nie mogąc z nim ~~nie~~ dojść do harmonji. Za młoda był zabawny i towarzyski, pod starsze lata nieco za wiele wyczał Kminłórki, która rujnowała mn wielce jego zdrowie. W roku 1910 dwa razy doznał zaxodu awanżowego, pierwszy raz odczuł to przykro, chodził posępny, mało mowny, ale ostatecznie niepowodzenie przeboleł. Drugi raz jeszcze ciężiej go to dotknęło, męczyła go bezsenność, wstawał w nocy, chodził po pokoju, chętnie się wyprostował z doznaniem niepowodzenia, wyzakiwał przyczyuny i konstruował je dzinacznie. Przychodził do biura zmęczony i zwinęcony, mziadał się, że podupadł na zdrowiu, stał się mało mownym i widac było, że trawił w sobie żal i doznany cawid. Byłem wtedy najstarszym zastępcą i widząc prokuratora przygniecionego i ztananego, starałem się być mu jak naj-

bardziej pomocnym. Gdy raz w listopadzie 1910 przyszedł  
 do niego rano do biura, Kowalski siedział przy biur-  
 ku i coś pisał, lecz zobaczywszy mnie, odłożył pióro i rzekł:  
 dobrze, że pan nadszedł, nie mogę więcej pracować, jestem  
 chory i to coraz gorzej, nie mogę już referatu dokończyć.  
 Poradziłem go, by poszedł do domu wypocząć kilka dni, Ko-  
 walski powtórzył z Rzeźbą,abrał fatro, baranków, cranke,  
 silnie zacisnął na głowę i na nos, a opierając się ciężko  
 na ostrze okutej łasce, odszedł do domu, aby już więcej nie  
 wrócić do urzędowania. Rozwinęła się u niego najpierw choro-  
 ba reumatyczna, potem popadł w zadumę a wreszcie w chorobę  
 i myślową. W kilka tygodni później, gdyśmy pożנו nicco-  
 rem u urzędzie pracowali, posłyszeliśmy u sąsiednim biurze  
 głos Kobiecy i męski naprzemiennie. ~~Wnet~~ Wszedł do mnie  
 kolega Gruber i oznajmił, że właśnie prokurator przyszedł.  
 Zaznaczył mi to bardzo, wyszedłem do niego i poprosiłem  
 do biura. Wnet wyjaśnił mi o co idzie. Oto Kowalski  
 przy zamkniętej śniadowności naparł na dom, że musi  
 iść do biura i podjąć z powrotem urzędowanie i wyzna-  
 cał rodzinie, że go niepotrzebnie u domu trzyma, że mu  
 nie daje pracować itp. Począł się wiercić i zrzędzic, co ni-  
 dząc żona, nie mogła paścić samego człowieka chorego,  
 poszła więc z nim razem aż do urzędu. Tu usiadł przy  
 swoim biurku, wsiadł do reki ant, stoisz ja właśnie mia-  
 łem u opracowaniu, zapytał mnie, o co to chodzi, a po mo-  
 jem wyjaśnieniu, stoisz go ze czerwotą i schował do kieszeni  
 surduta. Mówił już człowiek obłąkany, wreszcie wrócił,



człowiek ręką szeroki gości i całkiem zdrowy: „I teraz proszę panów na herbatkę”. Ledwie wyprosiłem, że on akt z kieszeni wyjął i minie oddał. Wnet ze złością odszedł do domu — na wieki. Brani rok potem, gdy choroba czyniła coraz głośniejsze postępy, oddano do Zakładu obłąkanych u Kulparkowie, gdzie też umarł. Jego własny dom był na rogu ulic Kraszewskiego i Bańkowskiego (róg od strony Jezuitorów).

Gdy przybyłem do Kolanu (rok 1906) prokurator miał dwóch zastępców, potem utworzono nową trzecią posadę. Był wtedy zastępcą Adam Strawiński, pochodzący z Miłoborza koło Kopyczyniec. Braniek, tyry, nieco pochylony nie trzymający, pracowity do upadłego, ścisły rygorysta, bezwzględny. Był żonaty z Rozwadowską, miał jednego syna, któregoochał nad życie, jednak dziecko było bardzo wątłe, cieniem życia bardzo się martwił i wstąpił, czy udało się utrzymać je przy życiu. Koleżanki i przyjaciele, szczerzy polak z odzieniem konserwatywnym. Niebawem odszedł na sędzię do Żółkwi, później był nadzorcą sądu w Lutnowie, potem w Belatynie, następnie wiceprezesa sądu okręgowego w Żłoczowie, prezesem sądu okręgowego w Owrartowie (1924), w końcu prezesem sądu apelacyjnego w Krakowie (1928).

Drugim zastępcą byłem ja.

Był nadto przydzielony do prokuratury młody sędzia Jan Kępcowski. Blondynek, miły, ostry, wybitnie zdolny, szybki, bystry pracownik, Kochany Kolega, zagorzały polak pracujący niezmiernie gorliwie u Towarzystwie Bractwa Ludowego, będącej podówczas dzwignią idei narodowej i kultury pol-

skiej wśród najszerszych warstw. Był żonaty, bezdzietny.  
Z Kotołymi odszedł na inne stanowisko, potem był  
zastępcą prokuratora w Tarnopolu, gdzie jednak zmarł  
około r. 1912.

Po odejściu Strawińskiego i Kapaściewskiego  
otrzymaliśmy równocześnie dwóch nowych zastępców pro-  
kuratora: Karola Bielińskiego i Władysława Sentera.  
Bieliński pochodził ze Samborszczyzny, pracownik szyb-  
ki ale nerwowy, nawet popędliwy, stąd przegłoszenie  
jego obfitowało od czasu do czasu w pełne czasy  
czy to ze sądem, czy z prokuratorem. Był żonaty i nato-  
wa bezdzietny. Po powstaniu Polski został nadzwyczajnym  
sędzią w Hejherowie na Pomorzu a po przejściu na emeryta-  
urę prowadził tamże adwokaturę wspólnie z adwokatem Kami-  
sałym, orunińcem z Kotołymi. Senter pochodził ze  
zachodniej Galicji. Studiował dzięki szlachetnej  
pomocy znanego filantropa ks. kanonika krakowskiego  
Spisa, który niezmuszony akademików w całości lub czę-  
ściowo utrzymywał, aby im dać możliwość dokonania stu-  
dów. Senter rześce to z wdzięcznością wspominał. Po  
ukończeniu Uniwersytetu Krakowskiego przeniósł się do Ga-  
licji wschodniej, był sędzią w Ottynie, ożenił się z or-  
unią, Bohoniewiczówną i miał liczną rodzinę. Był  
pracownikiem cichym i spokojnym. Z Ottyny powrócił  
go do Sekretariatu Najwyższego Sądu w Niedzinie, a stamtąd  
z kwalifikacją celującą został zastępcą prokuratora w Ko-  
tołymi. Pracował i tu cicho a gorliwie, zresztą był domatorem,

oddanym całkowicie rodzinie. Bilin'ski i Senter żyli w przy-  
jaźni, niemal codziennie odwiedzali, a gdy Senter zachorow-  
ał na zapalenie płuc, Bilin'ski opierał się jego najtro-  
śliwszym opiekunem. Z prokuratorem Kowalskim nie łączył  
ich jednak najlepszy stosunek. Wśród znanych sobie kom-  
prowalisony i prokuratorji w tym czasie około dwa lata.  
Było wówczas zarządzenie, że corocznie w maju szef urzędu  
pisał na otworzeniu i liczne rubryki, blankiecie Kwalifikacji  
podstawnym urzędnikom, i odsyłał to do wyższej władzy. Na-  
turalnie Kwalifikacje takie były tajne. W jakiś dzień ma-  
jowy r. 1909 poszedł Senter do Rancelarji Prokuratorji i  
czekał tam referaty prokuratora Kowalskiego o Kwalifikac-  
jach, zeglądał w nie i zdumiał się. Powrócił do naszych  
biur i podniecony zawał: czy wy wiecie, jakie my z Bi-  
lin'skim mamy Kwalifikacje? Ohaj „dobrze”, (co oznaczało  
w praktyce nie wystarczająca do awansu). Spojrzał ohaj  
na siebie z dumą, bo tak mierną ocenę nie spodziewał  
się, dlatego Senter, po poprzedniej celującej. Senter usiadł  
na krześle koło swego biurka, robota go nie jui nie brala,  
zamyślił się długo, bo to o czeń się dowiedział było niemal  
kleska, wreszcie wstał i wyszedł z biura mówiąc, że musi  
szukać wyjścia z tej sytuacji. Udał się sprowt do adwokata  
Kaczkowskiego i umówił się z nim o warunki wstąpienia  
do jego Rancelarji i charakterze Kandydata adwokackiego,  
gdzie tam wtedy taka posada była wolna. Bilin'ski niemal  
równocześnie przemówił się do prokuratorji w Samborze. Ohaj  
nie odeszli, a u ich miejsce przyszedł drugi nowi zastępcy,



a to Postępski i Gruber, z którymi pracował razem  
382

## Kto wygrał na przewrocie majowym?

za kulis Sądownictwa wojskowego i Intendenty.  
Jak już donosiliśmy, jednym z pierwszych pociągnięć  
owego ministra spraw wojskowych po przewrocie ma-  
jowym, było usunięcie dotychczasowego przewodniczą-  
cego Najwyższego Sądu Wojskowego gen. Pika i mia-  
nowanie na jego miejsce żyda generała Krzemińskiego  
z domu Friedman. Powiadają, że gen. Krzemiński nale-  
żał do najwyższej komórki spisku, przygotowującego  
zamach majowy. Z tem zaś, że spisek w wojsku istniał,  
rokosz majowy nie był „odruchem wojska“ oburzo-  
nego na skłamaną „napad na Sulejówkę“ — oficerowie  
wojskowi dziś już wcale się nie kryją, ogłaszając o  
tym publicznie.

A spisek miał szczególne powody do odwdziżenia  
Żydzi, którzy nie byli tak ochotnymi wykonawcami, jak w Żydach. Ży-  
dzi niemal uprzedzali intencje wodzów rokoszu. Oto np.  
żołnierze z sądownictwa wojskowego.

Gdy po wybuchu rokoszu szef dep. IV. i naczelny  
prokurator gen. Gruber zjawił się w biurze, został na-  
ręcznie aresztowany przez swoich podwładnych płk.  
Lebkind-Lubodzieckiego i płk. Menkes-Mecnarowskie-  
go, którzy kazali naczelnego prokuratora odwieźć do  
więzienia na ulicę Dziką — do płk. Wiesenberga-Orskie-  
go. Aresztowano też podówczas kpt. Heydukowskiego,  
którego do więzienia odwoził niejaki Majblum.

W rezultacie na miejsce gen. Grubera mianowano  
naczelny prokuratorem gen. Dańca. Żydzi, którzy are-  
stowali swego przełożonego, pozostali na swych sta-  
nowiskach...

Niemniej ochotnie poparli rokosz majowy Żydzi z in-  
tendenty. Apropozycja wojsk rokoszowych zajęli się:  
płk. Jerzy Zapolski z domu Landau, ppłk. Goldwasser,  
mjr. Hochstimm i por. Goldman.

Obecnie ppłk. Zapolski-Landau jest szefem war-  
szawskiej intendenty rejonowej. Pod jego rządami in-  
tendtura ma obecnie w niedzielę całodzienne urzędo-  
wanie. Cóż Landaua mogą obchodzić święta katolickie!  
Wprawdzie zaś światło na gospodarke pana szefa rzucić mo-  
żemy fakt, że zakupuje on siano u dostawcy Bronsztatna  
(żyd) w cenie 14.85 zł. za centnar, gdy ce-  
na rynkowa wynosi 8 zł. Ale ppłk. Zapolski-Landau  
przystąpił do wysokiego poparcia gen. Krzemińskiego,  
Friedmana. Jest nietykany.

Płk. Goldwasser, (ten nawet tyle sobie trudu nie  
wziął by się wychrzącić) — w uznaniu zasług majowych  
stał szefem biura badań Dep. VII, zaś mjr. Hochstimm  
jest kierownikiem biura badań w D. O. K. I.

Więc...

Kto wygrał na przewrocie majowym?

(„Poranna Gazeta Warszawska“).

382  
... polak, lwowianin,  
... szorsty, blon-  
... niemieli, zna-  
... między mto.  
... bibliotekarz a po-  
... chwalców prawa. "Uczyn-  
... roś szlachetny, bar-  
... y, był Rochanym Kó-  
... przed do Kotoługi  
... ojm odejściu z Koto-  
... jednak u r. 1912 prze-  
... uila sądu powiatowego  
... Kraim'niej u r. 1918/19  
... winców i niegodzini  
... nabanit się choroty  
... niołdego życia tego  
... i. Był chlaba, narzecz

Ra x Borodów, był po-  
tąd go do nas miaz  
postaci, wybitnych  
przejmował się swoje-  
pomocy i współpra-  
Postępski i Gruber  
nit podłotać ciężkim

oddanym całonocie rodzinie. Bilinowski i Jentel byli w przy-  
 jazni, niemal ca-  
 wet na zapalenie 382 b  
 liwszym opiekunem  
 ich jednak najleps-  
 pracownikiem i  
 Było wówczas nar-  
 piast na stojonym  
 podstawnym urzę-  
 turalnie kwalifik-  
 jony r. 1909 posz-  
 zastat tam refere-  
 cjach, zeglądnał  
 bier i podniecony  
 liniskim manny R-  
 i praktyce nie u-  
 na siebie zdanie  
 nę, artystyczna Sent  
 na Przede Koło sreg-  
 zamyslił się atego  
 kleskę, wreszcie w-  
 szukać wyjścia z t-  
 Głaczewskiego i  
 do jego kancelarii i  
 gdzie tam wtedy ta  
 rozmowa się prze-  
 nie odeszli, a i ich

### Zgon nastąpił w Zakopanem. — Smutne wrażenie. — Cała prasa warszawska

Zakopane, 2. 8. (Tel. wł.) Wczoraj późnym  
 wieczorem rozeszła się po Zakopanem żałobna w-  
 iż wielkie serce najwybitniejszego poety polskiego  
 przestało, że Jan Kasprówicz zamknął swe powieki

Śród licznej rzeszy przebywającej na wywczasach  
 publiczności ze wszystkich ziem Polski, wywołano  
 wieść ta głębokie wrażenie, budząc żal powszechny



### Sprzecznne info

Warszawa, 2. 7. (AW.) Pogłoski, podane pr-  
 „Gazetę Warszawską Poranną“ o zamiarze ustąpienia  
 marszałka Piłsudskiego z stanowiska ministra spi-

### Program

Warszawa, 2. 7. Obecna sesja sejmowa zost-  
 zakończona w ciągu dni najbliższych.

Sejm zbierze się ponownie już w połowie w-

### Każdej chwili

może nastąpić — tak mówi m-

London (AW) 4. 8. Wschód Niemców



a to Postępski i Gruber, z którymi pracowatem razem aż do końca mego pobytu w Koto myi (1911).

Dr Mieczysław Postępski, polak, lwowianin, syn urzędnika skarbowego, niewielkiego wzrostu, blondyn, włosy do góry porosane, wąsik pusty, niewielki, znany był z swym ciętym ze Lwowa powszechnie między młodzią akademicką jako dwadzieściu letni bibliotekarz a potem prezes towarzystwa „Biblioteki słuchawców prawa”. Wesoły, serdeczny, przyjaścieli, nawałt szlachetny, bardzo zdolny a przytem skromny i cichy, był Kochanym kolegą i znakomitą nitą urzędnika. Przeprowadził do Koto myi ze Lwowa, gdzie był sędzią, po moim odejściu z Koto myi objął kierownictwo prokuratury, jednak w r. 1912 prze-miowił się na stanowisko radcy i niepełnił sądu powiatowego w Koszowie. ~~Podczas~~ Podczas ruchów ukraińskich w r. 1918/19 unierżony został mianowicie przez ukraińców i niegodziwie traktowany (zamuśnięto go w piwnicy), nabrał się choroby nerkowej, która przecięła pasmo młodego życia tego człowieka bez skazy. Zmarł w Koszowie. Był chłabą, naszego sądownictwa.

Edward Gruber, syn urzędnika z Brodów, był poprzednio sędzią w Buczaczu i stamtąd go do nas mianowano. Wysockiego wzrostu, okazałej postaci, wybitnych zdolności, w pracy niezmordowany, przyjmował się swymi obowiązkami do głębi. Tylko przy pomocy i współpracy tak doskonałych pracowników jak Postępski i Gruber można było przy tak skąpej liczbie nit podołać ciężkim



obowiązkom, jakie spoczywały na prokuratorji kotłomyskiej. Gruber potem przeniósł się do Lwowa a po wskrzeszeniu Polni w latach 1918/20 jako organizator sądów wojennych oddał znakomite usługi, został więc w r. 1923 generałem i naczelnym prokuratorem polskiej nity krajowej. Po przewrocie majowym w r. 1926 przeszedł na emeryturę i wykonywał adwokaturę w Warszawie, opramiewając swoje agendy do spraw karnych.

Pośród tych urzędników prawniczych ~~pr~~ miła prokuratorja także urzędników rezytów. Głównym z nich był starszy oficer Gludovits, z pochodzenia Chorwat, spolszczony zupełnie, poważny, miły człowiek. Drugim był oficer Przetalski, cichy, skromny pracownik (pochodził z Katalana), dalej pracował u nas pomocnik Kancelaryjny Pompaj (stryj owego „szlachowca węgierskiego” wspomnianego w rozdziale o Łotwinie), starzec szorstki, małego wzrostu, nie mający ani jednego zęba, zawsze pędzący i wytrwały w pracy, wreszcie młody pracownik Wróblewski, pracowity i sumienny, ale pismo miał bardzo niewyraźne, stąd przeważnie czynny był przy maszynie do pisania.

To była cała prokuratorja kotłomyska, z której pracował lat sześć, a do której jeszcze w ciągu tego opowiadania powrócę.

W ścisłej łączności ze sądownictwem pozostawali notariusze i adwokatura. Notariuszów miała Kolomyja za moich czasów dwóch. Starszy z nich Kapko, młodszy Teliszewski, obaj rusini, pierwszy był nieco szorstki w obecnym, stał liczniejszą klientelę miał drugi.

Adwokatów był długi szereg, a ciągle się zmieniało, starzy umierali, nowi przybywali, corok było zmianę raz większą, drugi raz mniejszą. W adwokatów prawników trzy sędziowie emerytowani, a ponieważ niekiedy byli to najstarsi adwokaci, dlatego o nich najpierw wspomnę. Najbardziej wielkim był Władysław Kawecki, lat około 80 liczący, miał dom własny z dużym ogrodem przy ul. Franciszka Józefa. Za młodszych lat był sędzią w Turce, Nowolu i Jarosławu, potem naczelnikiem sądu w Czortkowie, radcą w Stanisławowie, a gdy Kreowano nowy Sąd obwodowy w Kolomyi (około r. 1876) został Kawecki tu przeniesiony i tu do swej śmierci pozostał. Bardzo miły staruszek, okadzający o dawnych czasach, szlachetna dusza. Był powszechnie znanym i szanowanym, dla każdego z nas miał znaleźć jakieś miłe słowo. Kiedyś przy jednej ulicy, często stykał się z nim, zawsze mu mówił, że jest zupełnie pewnym kandydatem do setki lat życia. Ale los inaczej urządził i to w sposób wcale nieoczekiwany. Było to w niedzielę dnia 1. maja 1910. W tym dniu ukochany syn Kaweckiego awansował na Kapłana. Idąc przedpołudniem tegoż dnia do biura, spotkałem

spotkaniem Karcieckiego na rogu ul. Jagiellońskiej i gratulacjom. Władusi starszy nadziedził z przeciwnej strony, bo powracając z Rosciana jezuitckiego, był wielce uradowany, usmiechnięty i szczęśliwy. „Nie mnie się należy gratulacja, nie mnie, ale synowi – mówił Karciecki – ale od życzliwych osób przyjmuję dobre słowa i serdeczne życzenia”. Po kilku następnych grzesznościach zdawał się, przepełniony się i rozszalał. Tego dnia ja ze żoną pojechałem do Łaniora do jej rodziny. U Karcieckiego tymczasem przebiegał się ~~szczęśliwy~~ grono jego przyjaciół i dzieci z nim radość z powodu rozróżnego odzyskania. Karciecki wszystkim bardzo był rad i gościł ich serdecznie. Znane i kołomy były wyroby jego znakomitych wina p. gron porzeczkowych. Często je znającym darował i radośnawo był, gdy ktoś wyprawił mu swoje wznawienie. Toteż i tego dnia, chcąc swoich przyjaciół pogodzić, poszedł do piwnicy po wina porzeczkowe. Zebrał tam dość sporo, a gdy zbyt długo nie powracał, ktoś z rodziny poszedł zobaczyć przyczynę. Niestety, znalazł na starzaka bez życia. Yda, padł u ostatnim pokroju pomieszkania matki a tylko u Rieszni mordanta zkrnąca głaska z porzeczkami. Świadczą o tym, że to się stało u drzwi powrotnej. Na głowie miał długi śnieg w uderzenia o Kant Kufra. Nie wiadomo, czy zmarł wskutek apopleksji czy wskutek potknięcia się i uderzenia głową o Kufra.

Grzegorz emerytem, prowadzącym adwokaturę był spolszczony rusin Wołoszyn'ski, starzec o małej jąd



śnieg głone, zmerł nagle podczas nabożeństwa w Kościele  
jezuickim. Trzecim był nadradca Mieczysław Morawski,  
człowiek barczysty, rosty, silny, zdolności bardzo dobrych,  
miły w życiu towarzyskiem. Miał dom własny przy ul. Kras-  
nowskiego. Sotad, mimo późnego wieku pełnił adwokata i  
z pewnością przeżył wiek cały.

Z całego szeregu adwokatów pozostało mi kilka  
w pamięci. Stanisław Klaczewski miał najznaczniejszą  
kancelaryę w Kłotnuyi, był na szerokiej stopie, trzymał  
konie, miał dom własny przy ul. Kościuszki, był długo-  
letnim prezesem Gokota i radnym miasta. Obrótowy, mor-  
ny, dowcipny, miał przyjaciół ale miał i antagonistów.  
Adwokat Krasnowski mieszkał naprzeciw Klaczewskiego,  
również ze własnym domem. Zdolny prawnik, silnie bro-  
nił swojej strony procesowej, mówił przekonująco, nieco  
jaskry w płacelnym tonie. Około siedzi pomarł okolo  
r. 1924 niemal równocześnie. Remert Niktor przybył  
z Jerostania i po dłu latach przeniósł się z Kłotnuyi do  
Gniatyna. Karja Gurskiewicz, młody adwokat wyróżnił się  
nieprzebiegiem wśród reszty innych. Adwokat Szchicki, starzec  
o wyglądzie lorda angielskiego, sama jego postać po-  
pierata sprawy, jaskry broił. Był to rasin, zrobił  
duży majątek na prowadzeniu spraw polskich i ormiań-  
skich szlachetów, kupił sobie wieś Betelnajz. Długim  
człowiekiem, choć po rusku niemal nie umiał, był zapra-  
sany ukraińcem i toż był długi sumy na cele narodowe  
ukraińskie. Umarł podczas wojny świątecznej (około 1917r.)

O adwokatach Sudykiewicza i Trylskiego już napisałem po-  
przednio. Sudykiewicz jako adwokat raczej sobie płacił same  
wynagrodzenie, Trylski materialnie stał źle. Adwokat  
Jurzeński, starorab, najpierw szedł wspólnie z Sudykiewi-  
czem w sprawach narodowych i organizacyjnych, następnie  
jednak wskazał absolutnego charakteru Sudykiewicza, od-  
sunął się od niego i pranie rąk nie miał udziału w życiu  
politycznym. Sudykiewicz w pierwszych porządkach wojny  
światowej niecił prawdziwy tryumf (choć lepiej spodzi-  
wał się nagrody za swoje pryncypia dla Rosji). Odtaczony  
wycinał z „Sławnika Kijowskiego” z 16. września 1914  
(a. st. 29. września) zamiar trzech młodych Sudykiewicza na  
wziąć Rosji i czerpać.

Nadto byli liczni żydzi adwokatami. Trachten-  
berg, były burmistrz miasta Kotonugi i były poseł, któ-  
ry na tych rozszczętach cały swój majątek stracił. Zipser  
przez wiele obrotów Karay, młynk i zawołany ogrodnik.  
Cały wolniejszy czas od zajęć adwokackich spędzał w ogro-  
dzie, pielęgnując kwiaty i drzewa owocowe, a miał własny  
dom i ogrodek owocowy przy ul. Franciszka Józefa. Hilgerson,  
starszy człowiek, miał klientów drobnych żydów i zarę-  
dzał gminę żydowską miał głośno mówić. Adwokaci Hukles,  
Landau, Allerkand, Rittigstein, Waller, Schalbarm,  
Jehorr (kilka Kotonugi Landauet na posta z partii socjalistycz-  
nej, byli pracownikami morskimi, samodzielnymi, dbeja-  
cymi o własny interes zawodu. Osobno wspomnę o adw.  
Racie i Marmarosen, znanej na terenie Kotonugijskim.



pierwszy metropolita Halicki i pierwszy me-

# Ze Swowa.

## Najwyższa Depesza do General-Gubernatora Galicyi z Carskiego Siola.

Proszę zakomunikować deputacyom ruskich organizacyi galicyjskich, które będąc u Pana, złożyli wyrazy miłości i oddania, Moje serdeczne podziękowanie i Moje pozdrowie nie wiele cierpiącemu ruskiemu narodowi. Wraz ze mną cała Rosya cieszy się z odbywającego się połączenia drogiej każdemu Rosyan. nowi dawnej Rusi Czerwonej. Panu osobiście życzę zupełnego powodzenia.

**MIKOŁAJ.**

Powyzsza depesza została otrzymana w odpowiedzi na Najpoddaną depeszę, wysłaną przez General Gubernatora Galicyi dn. 9 września treści następującej:

**Carskie Siolo.**

Jestem szczęśliwy donieść Waszej Cesarskiej Mości, że dziś była u mnie deputacya 19 kulturalnych oświatowych i ekonomicznych ruskich organizacyi Galicyi i prosiła mnie w imieniu galicyjskiego ruskiego narodu złożyć u Cesarskich stóp uczucia miłości, oddania, synowskiej miłości i wdzięczności dla ich rodzimego Białego Ruskiego Cara, który Czerwoną Ruś wyzwolił z pod lilkowiskowej niewoli i zjednoczył ją z Matką Rosyą.

**Hr. Bobryńskij.**

We wtorek dn. (9) 22 września przedstawiła się JE. General Gubernatorowi Galicyi Hr. Bobryńskiemu deputacya 19 kulturalnych, oświatowych i ekonomicznych ruskich organizacyi Galicyi. W jej imieniu przemówił or. Włodzimierz Dudykiewicz w te słowa:

Jaśnie Wielmożny i Wielce Czcigodny Hrabio Jerzy Aleksandrowicz!

Nieubłagany jest bieg historii. Dokonywa się wielkie dzieło zbierania ruskiej ziemi na łono Błogosławie Włodzimiego. Kładła swoje talce, oświecała ziemi, tańce i wyrażała ból Rusi Czerwonej, Sw. Piotr,

Wreszcie prosimy Cię, Jaśnie Wielmożny Panie przedłożyć do stóp Jego Imperialnego austriackie sądy aresztowały i poddawały nieludzkim znęcaniom się, rzucały i tysiącami wywoziły do austriackich więzień ruskich ich ojców i matki, braci i siostry, którzy nic nie zawinili, a prześladowano ich tylko za to, że są ruskimi, że za ruskich się uznawali, czuli i otwarcie podawali. Chcemy mieć nadzieję, że jest to ostatnia ofiara męczeńskiej naszej ojczyzny Czerwonej Rusi, że to ofiara wybawienia i że życie naszych rodzin, łączących w austriackich więzieniach ruskich niewinnych więźniów będzie zachowane.

„I prosimy Cię, Jaśnie Wielmożny Panie, w imieniu narodu starego ruskiego Halicza przedłożyć do stóp Jego Imperatorskiej Mości, Cesarza całej zjednoczonej przez Niego Rusi, nasze i naszego narodu uczucia niewypowiedzianej radości i bezmierniej wdzięczności za oswobodzenie naszej ojczyzny i złączenie jej z wolną Rusią państwową, nasze, naszej oswobodzonej ojczyzny i naszego wolnego ruskiego narodu wiernopoddanicze uczucia, uczucia płomiennej miłości do swego przyrodzonego Ruskiego Białego Cara, Cesarza Zjednoczyciela, i bezgranicznej wierności Jego Panującemu Cesarskiemu Rodowi, i zapewnienie o naszej gotowości honorem i sumieniem, wiarą i prawdą nie tylko dalej służyć naszej ściślejszej ojczyźnie, lecz i całej naszej ruskiej ojczyźnie i o szczerem i namiętnem pragnieniu Czerwonej Rusi włączyć swobodnego udziału w kulturalnej pracy całego zjednoczenia ruskiego świata.

„Ciebie zaś, Wielce Czcigodny Panie, Hrabio Jerzy Aleksandrowiczu, którego imię rodowe jest znane, bliskie i drogie całej Czerwonej Rusi, witamy całym sercem i gratulujemy Ci wysokiego mianowania na trudny i odpowiedzialny, lecz i wzięczny posterunek organizatora oswobodzonej i zjednoczonej ruskiej ziemi i z głębi duszy życzymy Ci zupełnego powodzenia w orczywistwieniu włożonego na Ciebie świętego zadania rychłego, zupełnego i nie bolesnego połączenia Czerwonej Rusi i stykających się z nią ruskich ziem z państwem Rusią. Niech najjaśniejszy cesarz, nasz pan i wielki sędzia, abyś się stał wyjątkowo wielkim Cesarza Zjednoczyciela!



*O adwokatach i sędziach i Traktat o granicach państwa i o popie-*

Mukdenem, naturalnie na daleko większą skalę niż pierwowzór prowadzonej. Jak podówczas generał Nogi na lewym skrzydle japońskim oskrzydlał na czele III armii, armię generała Kaulbarsa między Chun-che i Lao-che, tak obecnie feldmarszałek French usiłuje otoczyć żelaznym pierścieniem drugą armię niemiecką, pod komendą generała Klucka czy też jego następcy (bo jak donoszą nadchodzące z Londynu informacje, ma być generał Kluck z zajmowanego stanowiska usunięty). Sytuacja w centrum wojsk walczących również przypomina swą względna nieruchomością sytuację na polach Mandżuryi w roku 1905, wreszcie sam zewnętrzny obraz obecnej bitwy ogromnie przypomina Mukden. Wówczas walka trwała 19 dni (od 6-go do 25-go lutego) w tej liczbie 14 dni na całym froncie, obecnie trwa ona dwunasty dzień (zaczęła się bitwa na prawym brzegu Aisne — 4-go września st. st.) i koniec jej jeszcze nie jest tak bliski prawdopodobnie, jak się tego z poszczególnych szczęśliwych dla sprzymierzeńców momentów spodziewać można było.

Z nadchodzących z pola walki na zachodnim froncie informacji wnioskować można, że Niemcy dokładają wszelkich starań, by ostatecznemu rozbiciu swego prawego skrzydła zapobiedz. Wzmocniony ruch wojsk w rejonie Mons—Valenciennes—Cambrai—St. Quentin, a także informacja o przeniesieniu sztabu szóstej armii niemieckiej do St. Quentin uzasadniają przypuszczenie, że Niemcy, kosztem osłabienia swych szeregów na alzacko-lotaryńskim froncie, większość wojsk swych z frontu tego do północo-wschodniej Francji przerzucili. W takim razie rejon pomiędzy Orseą a Sonimą będzie widownią jeszcze bardziej zażartych walk niż te, które się na nim w ciągu ostatnich dni toczyły.

W innych częściach frontu zmian zasadniczych nie dostrzegamy. Symptomatyczną i potwierdzającą informację o przerzuceniu szóstej armii niemieckiej do północo-wschodniej Francji jest wiadomość o zmniejszeniu liczby wojsk niemieckich w Lotaryngii i Wogezach. W istocie przed rozstrzygnięciem walnej bitwy na prawym brzegu

stu isticie niemieckim ciężkim bluffem. Oto co pisze podporucznik francuski.

„Niemcy zasypują nas ogromnymi pociskami ważącymi 40 kilogramów z olbrzymich dział. Wczoraj np. pomiędzy 2 a 4-gą wystrzelili 180 pocisków, co razem z wystrzelonymi z rana 50 pociskami stanowi 230. I te 230 pocisków zabiły ogółem 4 żołnierzy i 28 koni z baterii naszej, która się jeszcze okopać nie zdążyła. Rannych zaś mieliśmy zaledwie 12 szeregowców piechoty.

Bardzo ciekawe są zresztą te pociski niemieckie. Strach bierze gdy się słyszy ich polot i widzi jak padają, zresztą wybuchają przy zetknięciu się z ziemią w której robią dziurę głęboką lecz w niewielkim bardzo obwodzie. Po za stożkiem działania są one najzupełniej nie szkodliwe. Sam widziałem zresztą jak pocisk, który spadł o 1 metr za ledwie od szeregowca przewrócił go pędem powietrza lecz nie zabił.

Mają prócz tego działa niemieckie jeszcze jedną bardzo dobrą dla nas stronę. Oto pociski lecą tak wolno, że od usłyszenia detonacji do upadnięcia pocisku upływa tyle czasu, iż możnaby było pobiedz do Paryża na mały aperitif i jeszcze w porę powrócić na pozycję. Cóż dopiero mówić, o wybraniu bezpiecznego miejsca i spokojnem ukryciu się. Wierz mi, iż to co opowiadają o niszczeniu działami artylerii niemieckiej jest, wogóle rzecz biorąc wierutną bajką.

— Richepin o wojnie. W „Petit Journal“ znajdujemy artykuł sławnego poety Jana Richepin o wojnie:

„Jesteśmy potomkami zwycięzców pod Jeną, którzy wówczas umieli prześladować zwyciężoną bestię, umieli zmienić jej odwrot w ucieczkę, a ucieczkę w pogrom. Pragniemy dziś uczynić to, co oni. Pragniemy wespół z naszymi dzielnymi małymi pious, którzy w ciągu sześciu tygodni awansowali na starych wojaków, wespół z rezerwistami i pospolitem ruszeniem, wespół ze sprzymierzeńcami naszymi: wzniosłymi belgami, chłodnymi, wytrwałymi i dumnymi anglikami, wespół z rosyjanami, nieprzepraczeni zdążającymi na Berlin i Wiedeń, wespół ze szlachetnym królem Albertem i ze wspaniałym tomyślnym Cesarzem Rosyjskim. wespół z o-

pierwszy metropolita Halicki i pierwszy metropolita moskiewski i wszech Rusi.

„Dzieło Św. Piotra, metropolity Halickiego i Moskiewskiego, oraz Moskiewskiego Hosudara, Iwana Kality, dzieło zbierania ruskiej ziemi, prowadzili dalej Rurykowicze i Romanowowie. Zjednoczona została Wielka i Mała Ruś przez Cara Aleksieja Michajłowicza, wróciła ruskiemu tronowi część oderwanych ruskich ziem Imperatorowa Katarzyna II. Imperator Aleksander Aleksandrowicz, Twórca Pokoju, radośnie witany w pogranicznej Poczajowskiej Świątyni przez halickich i bukowińskich włościan, przyjął ich łaskawie i dodał nadziei słowami, że zna ich i kocha, że pamięta i nie zapomni o nich.

„Lecz ojczyzna Św. Piotra pozostawała poza państwową Rusią, św. Piotr urodził się w Haliczczyźnie w Russko-rawskim powiecie nad rzeką Rata, Ojczyzna Św. Piotra—ojczyzna nasza, kolebka ruskiego narodu!

„I oto i nad nią zaszłała słońce swobody. Toczy się ono ze wschodu na zachód, opróżniając swym blaskiem co raz większe i większe przestrzenie ziemi podkarpackich.

„Po ciągłych, długich, krwawych walkach mężna armia austriacka ustępuje przed nieodpartym naciskiem zwycięskiego wojska rosyjskiego, które na życzenie swego Cesarza niepowstrzymanie dążąc naprzód, morzem swej szlachetnej krwi zmywa piętno niewoli z kolebki ruskiego narodu. I dopiero dziś panującemu Cesarzowi, Mikołajowi Aleksandrowiczowi, pozwolił Bóg zakończyć wielkie dzieło jego przodków, święte dzieło zbierania ruskiej ziemi. Jednocześnie z Rusią państwową ojcowiznę św. Włodzimierza Wielkiego, Czerwieńskie grody, Ruś Jarostawa, Osmomyśla, Romana, Daniła i Lwa. Oni ostatecznie łączą i jednoczą ruską ziemię.

„I zjawili się, Jaśnie Wielmożny Panie, w naszej ojczyźnie, w tym słodczym, miłym, miasteczku ruskiem mieście Lwowie, jako przedstawiciel Jego Majestatu, jako poseł Ruskiego Wielkiego Cara w Czerwonej Rusi My, jej synowie, jej słudzy i pracownicy, obdarzeni zaufaniem naszego narodu, wolna jej wola postawieni na czele jej narodowych, kulturalno-oświatowych i ekonomicznych instytucji i dlatego prawowici przedstawiciele

„Wreszcie prosimy Cię, Jaśnie Wielmożny Panie, przedłożyć do stóp Jego Imperatorskiej Mości naszą najpokorniejszą prośbę, aby Jego Cesarska Mość najmiłośniej pozwolić raczył Czerwonej Rusi wysłać do swego, przez Boga jej danego, Ruskiego Cesarza swych przedstawicieli w celu złożenia Mu uciech oswobodzonej przez Niego odwiecznie ruskiej ziemi, od dziś i na wieki nieodłącznej części jednej i nierozdzielnej Świętej Rusi”.

J. Eksc. p. General-Gubernator odpowiedział w następujące słowa:

„Panowie! Ja naturalnie pośpieszę najpoddanej donieść Jego Cesarskiej Mości o wyrażonych przez was wiernopoddanych uczuciach halicko-ruskiego narodu do jego rodzimego Ruskiego Cara.

„Od siebie powiem wam niewiele — przecież my jesteśmy wszyscy dzieci jednej Matki Rusi i rozumiemy się wzajemnie bez słów. I wy i ja wiemy i czujemy, że dokonało się wielkie historyczne dzieło — dzieło zbierania w jedno ruskiej ziemi, jak to proklamował już 5 sierpnia Zwierzchni Wódz Naczelny—niema już ujarzmionej Rusi.

„Nasze wojsko uwalnia Czerwoną Ruś od jej odwiecznych ciemnyców, a nam przy waszym współdziałaniu dziś należy dokończyć wszystkich starań do duchowego i materialnego zjednoczenia Halickiej Rusi z pozostałą Rosją. W dniach prześladowań i ciężkich prób pozostajcie wierni ruskiej idei, zachowajcie ruskie poczucie, ruską wiarę, dziś zaś w dniach narodowej ruskiej swobody będziecie pracować nad odtworzeniem Czerwonej Rusi w jej dawnej krainie i sławie.

„Lecz proszę was pamiętać tylko o jednym, że wielkie to dzieło powinno być prowadzone nie tylko z zapałem i energią, lecz stopniowo z cierpliwością, rozumem i państwowym zmysłem; żadnego łamania dokonywać nie należy, strzeż się zupełnie naturalnego uczucia zemsty, i co najważniejsze, nie dopuszczajcie nawet myśli o religijnym sporze.

„Jestem pewien, że będziemy z wami szli ręką w rękę i że „szczęśliwa” od dziś Ruś Halicka zawsze będzie cieszyć naszego wspólnego Ojca, który teraz stał się rzeczywiście Carem Wszech Rosyi”.



iz męztwo swoje dawne uwieńczyło przyzwol-  
tem postępowaniem w pokoju; wszystkie na-  
rody, przez których kraie przechodziło, tę  
sprawiedliwość iemu oddaia. Szczycę się tem  
woyskiem, chcę go mieć mocnem i wielkiem  
tak iak Polskę szczęśliwą.—Brat mój wkrót-  
ce przybędzie i nie zapomni o tych, którzy  
tak dobrze się zasłużyli. 322d

Kommendanci brygad i pułków zechcą  
przygotować wszystko, czego będzie potrzeba  
do świetnego wystąpienia. Tych dni kilku  
użyją do musztry, ażeby Wielki Xiążę ze  
wszech względów mógł być kontent z  
woyska.

(podpisano) *Krasinski.*

TEODOR SOŁŁOHUB.

## STANCE DLA POLSKI.

W „Birżewych Wiedomościach”  
z dnia 17 b. m. zamieszczono pie-  
kny, gorący wiersz: „Stance dla  
Polski”, pióra znakomitego rosyj-  
skiego poety Teodora Sołłohuba.  
Wiersz ten w przekładzie polskim  
podajemy poniżej za „Tygodnikiem  
Ilustrowanym”.

O, nie! Tyś nigdy nie umarła!  
I w pętach siejąc życia kwiat,  
Tyś znamię grobu z siebie zdarła,  
Królowa wśród więzieńnych krat!

Napróżno kładli cię w mogile,  
Patrzyłaś dumnie w czarną dal,  
Przeciwstawiając groźnej sile  
Nadzieje, pieśni, czynów stali!

Poetów twoich, dobra macierz,  
Umiałaś zawsze wiernie czcić,  
Ich pieśń proroczą, gdyby pacierz,  
Kaząc kościołom serc swych bić!

Dla ciebie synów twoich blizny,  
Dla ciebie ich natchnienia cud,  
Každy ich trud był dla Ojczyzny  
Nad Wisłą, czy u Newy wód.

I ninie w dobie wielkiej bitwy,  
Ja nie przeklinam krwawych dni,

Z twoimi złączę swe modlitwy

głębokiem walnej bitwy — na prawym przegubie

zala się jedynie proby ofensywy i uderze-  
niami na innych frontach za sobą nie po-  
ciągnęła. Forsowanie Niemna w tak wąskiej  
części — jak na linii Druskieniki Sopoćkinie  
zaledwie około 35 kilometrów wynoszącej  
— nadniczą operację strategiczną przy  
konfiguracji na tak olbrzymią skalę jak  
obecna nad brzegami Niemna, Biebrzy  
i Narwi — żadną miarą uważana być nie  
może. W istocie nowy, późno w nocy otrzy-  
many komunikat Agencji Petrogradzkiej do-  
nosi, że nie tylko wojska, które na linii So-  
poćkinie Druskieniki operowały, ale i cały  
front niemiecki w gubernii suwalskiej, a wię-  
c na linii Szaki—Wytkowyszki—Suwałki — cofa  
się wstecz. Nie wiemy, czy ten ruch wojsk  
cesarza Wilhelma zwiastuje zmianę zasad-  
niczą w planie kampanii w tej części teatru  
wojny, czy niemcy, dając za wygraną zamiar  
rom zaczepnym, zamierzają przytrzymać  
się tu nadal wyłącznie defensywy, czy też  
jest to manewr taktyczny, mający na celu  
przygotowanie się do akcji generalnej. Ale  
względy ogólnikowe: geograficzna niedogod-  
ność forsowania obronnej linii Niemna, z po-  
zostawieniem niezdobytymi linii na Biebrzy  
i Narwi — czynią to pierwsze przypuszczenie  
prawdopodobniejszym. Jak sądzimy nie-  
miecka linia na wschodnio-pruskim froncie  
nosi na sobie raczej cechy osłony przed na-  
wym pochodem rosyjan w głąb prowincji  
wschodnich. Z nadchodzących do nas bar-  
dzo skąpych i lakonicznych informacji o  
ruchach wojen niemieckich na pograniczu  
niemieckim, można wnioskować, że znacz-  
ne ożywienie panuje głównie na linii wytwor-  
zonej przez łuk Wisły; pomiędzy Krakowem  
na południu a Toruniem na północy. Trwa-  
jąca dotychczas okupacja Kalisza i Czę-  
stochowy da się wytłumaczyć ściśle strategicz-  
nym zamiarem wyrównania frontu: Kalisz—  
Wieluń—Częstochowa—Kraków, tembardziej  
iż w rejonach bezpośrednio za tą linią poło-  
żonych a więc pomiędzy Inowrocławiem,  
Ostrowem i Opolem dały się zauważyć ru-  
chy wojsk niemieckich. Przytem, ten fakt,  
iż austriacy bez próbowania dalszej walki  
Galicję Zachodnią, a wraz z nią i tak do-  
godny dla bitwy place d'armes pomiędzy  
Wisłoką a Sanem rosyjanom oddają, cofając  
się ku Krakowowi — potwierdza przypuszcze-  
nie, że sztab austriacki rezuuuie z samo-



oryginalnej osobistości. Był on wyznania mojżeszowego, mógł liczyć lat około 36. Bezcienny, cała twarz goła, na, podłazina, siniejący brunet, ruchliwy jak żywe srebro rozlane, gdzie się pojawił, usuniechały się do niego ~~twarz~~ oblicza. Karmerosz był hermafrodytą, mówił cieniotko, jak kobieta, i usposobienie miał kobiece, co odbijało się przedewszystkiem na jego stroju. Znany był powszechnie pod nazwą „Kozio”. Nieraz na przetrzebie

chcemy. Wobec powagi chwili, która nadchodzi, jest rzeczą niesłychanej wagi, ażebyśmy się umieli powstrzymać od indywidualnych, nieskoordynowanych, poczuciem odpowiedzialności zbiorowej nie przejętych enuncjacji i decyzji, które w odpowiedniej chwili mogą być jako argumenty użyte i zastosowane.

Z tej racji mapę Polski etnograficznej Cz. Jankowskiego, bez względu na to, czy odpowiada ona lub nie czynnikom decydującym, uznać musimy za utwór conajmniej przedwczesny.

J. B.

nałcko-ruskiego narodu stajemy przed Iona Jaśnie Wielmożny Panie, aby oświadczyć Ci że Czerwona Ruś zawsze nazywała się częścią ruskiej ziemi, zamieszkująca ją rdzenna ludność czuła się zawsze ruskim narodem, że Czerwona Ruś, znalazłszy się pod panowaniem Habsburgów, najsumienniejsze spełniając swoje tradycyjne obowiązki w stosunku do austriackiej monarchii i jej dynastji, nigdy nie przestawała bronić swego ruskiego oblicza, walczyć o kulturalną i narodową jedność ruskiego narodu i cierpieć za niego. W szeregach austriackiej armji wiele setek tysięcy ruskich mieszkańców kraju spełnia swój obowiązek, przelewając swą krew. Lecz w tym czasie, kiedy ruscy synowie bez oporu udawali się do szeregów austriackiej armji, austriacka administracya, austriaccy

...iż męstwo swoje dawne uwieńczyło przywo-  
tem postępowaniem w pokoju; wszystkie na-  
rody, przez których kraje przechodziło, te  
sprawiedliwość temu oddają. Szczęć się ten  
wojskiem, chce go mieć mocnym i wielkim  
tak jak Polskę szczęśliwą. — Brat mój wkrót-  
ce przybędzie i nie zapomni o tych, którzy  
tak dobrze się zasłużyli.

Kommandanci brygad i pułków zechcą  
przygotować wszystko, czego będzie potrzeba  
do świetnego wystąpienia. Tych dni kilka  
użyją do musztry, ażeby Wielki Xiążę ze  
wszech względów mógł być kontent  
wojska.

(podpisano) *Krasinski.*

...nia się jedynie przed ofensywą i uderze-  
niami na innych frontach za sobą nie po-  
ciągają. Forsowanie Niemna w tak wąskiej  
ześci — jak na linii Druskieniki Sopoćkinie  
zaledwie około 50 kilometrów wynoszące  
o zasadniczą operację strategiczną pr-  
konfiguracji na tak olbrzymią skalę jak  
obecna nad brzegami Niemna, Biebrzy  
Narwi — żadną miarą uważana być na-  
może. W istocie nowy, późno w nocy otrzy-  
many komunikat Agencji Petrogradzkiej do-  
nosi, że nie tylko wojska, które na linii S-  
oćkinie Druskieniki operowały, ale i cały  
front niemiecki w gubernii suwalskiej, a wie-  
c na linii Szaki—Wyłkowyszki—Suwałki — co-  
nie wstecz. Nie wiemy, czy ten ruch wojsk

...dzielnej roli i zamierza ze swem wojskiem  
utworzyć prawe skrzydło zastępów cesarza  
Wilhelma. Wszystko to jeszcze baczniejsza  
każe nam zwrócić uwagę na przebieg wy-  
padków na pograniczu Królestwa z Poznań-  
skiem i Szląskiem. Sytuacja na rosyjsko-  
niemieckim teatrze wojny wyjaśni się zapew-  
ne w ciągu dni kilka. Będziemy wówczas  
dokładnie wiedzieli skąd głównego napadu  
niemców na Królestwo spodziewać się  
mamy.

#### Wojna francusko-angielsko-niemiecka.

Sytuacja na francuskim teatrze wojny  
wciąż pozostaje nierozstrzygnięta. Akcja,  
prowadzona na ogromnym froncie, napiera-  
cach przeciągłej, uporczywej walki, pod wie-  
loma względami przypomina te bitye, w

...zu, musiały być robione na maszynę, ni-  
może być przeto kładzione na karb zerwi-  
rządzenia poszczególnych bardziej krwioże-  
czych jednostek. Bagnęły tego rodzaju zn-  
leżli francuzi na pobojuwisku pod wioską V-  
vredes w pobliżu Meaux, przy zabitych sz-  
regowcach 47 pułku piechoty niemieckiej.

— **Niemieckie działa ciężkie.** W „D-  
peche de Toulouse” znajdujemy list podp-  
rucznika 49 pułku artylerii francuskiej, pi-  
ny z placu boju do jednego z mieszkańców  
Tuluzy. W liście tym znajdujemy bardzo ci-  
kawe szczegóły o niemieckiej artylerii cięż-  
kiej, o której krąży tyle fantastycznych op-  
wiadań. Jak się okazuje opinia o stras-  
wym działaniu tych potworów wyrobu Krup-  
bynajmniej nie jest uzasadnioną i cała de-  
ka artylerii niemieckiej jest zdane się

oryginalnej osobistości. Był on wyznania mojżeszowego, mój liczył lat około 36. Bezcienny, cała twarz gło-  
na, podłużna, siniejący brunet, ruchliwy jak żywe sre-  
bro rozlane, gdzie się pojawił, usmiechał się do niego  
~~twarz~~ oblicza. Karmerosz był hermafrodytą, mówił  
ciężko, jak kobieta i usposobienie miał kobiece, co  
odbiło się przedewszystkiem na jego stroju. Znaną był  
przez siebie pod nazwą „Kozio”. Nieraz na przemie w sa-  
li sądowej, gdy sędziowie udali się na naradę a na sali  
został prokurator i obrońca, Kozio przystępował do mnie  
a gadając niepokornie, mniójniejąc tak mi zagady-  
wał: Co pan może powiedzieć o tej mojej szpilce w Kraw-  
cacie, to zauważyłem, że pan na nią bardzo spoglądał.  
(Tu wskazał na podłużną klamkę na Krawacie, najeżo-  
ną brylantami). Pan myśli, że to szpilka, panie, pan  
się myli — mówić dalej głosem — pan się myli, o —  
niech się pan bliżej przypatrzy, widzi pan, to jest miły  
szpilka, ale przerobiona z brozki, niech lepiej popa-  
trzy, pod spodem jest tańczuszek do zapinania, aby jej  
nie zagubić. Ho — ho, co to krusztuje, co krusztuje! Jan  
przed pięciu latami przyjechałem do Wiednia —  
prawił Kozio szpilka — moja ciocia Gutherzowa bar-  
dzo się mną niecierzyła (co to za bogata osoba!) dawa-  
wała mi tę brozkę i dała przy Sefanplatzu a znaw-  
cę tego, zafanego złotnika to przerobić na szpilkę  
do Krawata. Albo ten brylant w tym pierścieniu (tu  
tyrnął wspaniałym brylantem, osadzonym na grubym



złotym pierścieniem), proszę dobrze patrzeć, o - widać pan - nasada jest platynowa, tak czerse mywa przy kosztownych brylantach, a z drugiej strony, o - niech pan patrzy, widać pan, azur, a jak delikatny, taki pierścionek może nosić najbogatszy szlachecki i szlachecki! He mnie jini ze niego dawano! ale go mi sprzedam, to pamiętka po moim stryjecznym stryju, kupca Karwona z Motdangi, - a pan jadt jini Riedz Karwona? Radzę panu tylko dwie, po- dłażne kupować! Na przemiennie... niezrównane. Byłby jeszcze długo mówił Kozio, nieskonczenie szybko a gadet- line przeskakując o temata, na temat - lecz wreszcie wyszedł Frykhanat ze sobą obrat i ogłosił wyrok, skazujący Klienta Kozia na rok Kryminalu. Kozio zanotował skrzętnie Karę w swoich papierach, Klient ręce rozłożył do swego obrońcy, jakby chciał powiedzieć: aleś mnie wybroził! Kozio coś mu porwał cicho tłumaczyć, że robił co mógł, że przemawiał za nim pół godziny, że Kara nastawa jest do lat pięciu, więc i tak go o czterech lat Kryminalu uratował - a resztę trzeba pisać rozządzenie do Wiednia, poczem znikłi obaj wśród gromady ludzi, stających się do siebie na następną rozprawę. Cate zach- wanie się Kozia było dziecinne, studentkie a nawet Rouniane.

Obroncami Karnymi byli także dwaj emerytowani naczelnicy sądów z gó, a to Braun a Wadworny, starszy szlachecki, potężny i szczęśliwy w życiu domowym, nadto Ozanderne a Szelatyna, zdolny, lecz miernoty, wchodzący do śniadaniów, co wreszcie podcięło jego życie.

Lekarzy miasta Kotonuyja za moich czasów kilkunastu. W radzie starcami stale byli ostrej: Jaworski, Naresz, Lewicki i Milewski. W wolnej praktyce pracovali w mieście Kozakieniz, Hules, skaliata Łunien-ski, dentysta Ofte, a może i inni, których po upływie lat długiach nie zapamiętałem. Weterynarzem miejscowym był Mogilnicki.

\*

Oszczędności swoje składał Kotonuyjanie w doskonale rozwijającej się miejscowej Kasa oszczędności, po-mieszczonej we własnym wspaniałym gmachu przy ulicy Kłocinskiej. Na jej czele stał dyrektor Baliński, dawny urzę-dnik rachunkowy Dyrekcji skarbowej. Później wybił się na-czeto osobistość wpływowych w mieście. Baliński był estonie-kiem sprytnym, zdolnym, bystrym. Trójka przyjaciółstwa: Baliński, Hleski, Hlaozerster decydowała w Kotonuyju o losach miasta. Obok nich blisko w życiu publicznym stał radca sądowy Kozaczek, dyrektor skarbowy Neuman i przedsiębiorca Lima Kanirem Kasą Oszczędności był Biberowicz, aheny dawniej dyrektor popularnego, objazdowego teatru rozkryw. Kasa Oszczędności miała w swoim budynku dużą salę teatralną z ogromną galerią. Tu gościły przejezdne trupy teatralne, tu odbywały się amatorskie przedstawienia i bale Karnawalowe. W tym to właśnie salie aponowadnos pod koniec r. 1910 niemidziane, dotąd w Kotonuyju nioch: kino. Początkowo chodzili na występ-dane obrazy studenci, subjekci sklepowi, panny ze szwalni itp.

dopiero później zaczęła napływać lepna publiczność, a za kilka miesięcy szedł do Kina kto żył i sala była stale pełna. Pierwotnie dawano 6 do 8 obrazów jednoaktowych. Niekiedy był rzadkość. Zreguły filmy były kolorowane, a pochodziły z wytwórni Pathe Frères z Paryża. Szeregowymi ulubieńcami publiczności byli artyści filmowi Moritz i Mark Linder. Moritz padł na wojnie świątecznej w r. 1914. Mark Linder przeżył Moritza o lat 10, a już tragicznie zginął, świdoczny dotychczas obojętność.

\*

Kotomysja miała kilka drukarni. Największa była Mizienszka przy ul. Kościuszki, gdy jednak Mizienszka wyrzekał dostarczać papieru na druk na sól na całą Galicję i robił na tem doskonałe interesy, nie chciał już zajmować się zmundnem przedsiębiorstwem drukarskiem i wydzierzał drukarnię Władysławowi Aksentowiczowi, o którym obrotom wspominałem w rozdziale o Stanisławowie. Aksentowicz włożył duży kapitał w drukarnię, porządkował nowe typy i ornamenty drukarskie, wprowadził naprawy w drukarni, zjednał fachowego, biegłego drukarza Solińskiego i postawił drukarnię na odpowiedniej wysokości, sam zresztą nieustannie jej pilnował. W tej to właśnie drukarni drukowała się „Gazeta Kotomyjska”, tygodnik wydawany przez Aksentowicza. Nie było to wydawnictwo we wielkim zakresie, ale lokalna gazetka, informująca Kotomyjan o stosunkach miejscowych a pobieżnie także o głównych wydarzeniach z szerokiego świata. Aksentowicz wiele ponosił trudów, zbierając



392.0

listopada.

Jak wiadomo, Maks Lindera i jego żonę służba hotelowa znalazła w sobotę zbroczonych krwią, która tryskała z przeciętych żył. Przewieziono ich do szpitala, gdzie pani Linder wkrótce zmarła. Maks Linder walczył przez całą noc ze śmiercią. Koło godziny piątej nad ranem wydał ostatnie tchnienie. Linderowie mieszkali od miesiąca w hotelu Baltimore, położonym w najelegantszej dzielnicy Paryża. W piątek wieczorem Maks Linder surowo

zabronił służbie wchodzić do swego apartamentu.

Na stole pokoju hotelowego znaleziono sześć listów Lindera, jeden do jego rodziców, drugi do przyjacieli, trzeci do córki, czwarty do brata, piąty do matki i szósty do jednego z paryskich dziennikarzy. Z tych pozostawionych listów wynikało, że

Maks Linder działał w porozumieniu ze swoją żoną.

Naprzód dał jej sporą dawkę weronalu i gdy już była zupełnie oszołomiona, przeciął jej arterję, poczem sam popełnił samobójstwo.

oznaki depresji psychicznej. Przed dwoma laty Maks Linder, liczący lat 49, poślubił 18-letnią pannę Peters.

Skutkiem niemiłego z życia i uślawionej z jej strony podejrzliwości, niejako przetrwał żywienie wspólnej z nią śmierci. Już w ubiegłym roku Linder wraz z żoną popełnili zamach samobójczy w jednym z hoteli wiedeńskich. Usiłovali wówczas otruć się weronalem. Poraz drugi Linder targnął się na swoje życie w jednym ze swoich hotelów szwajcarskich. Linderowie bawili w Szwajcarii wraz ze swoją małą dziewczynką na wakacjach letnich.

Prawdziwe nazwisko Maks'a Lindera brzmiało Le-  
villes. Karierę swoją rozpoczął on w cyrku, poczem  
występował w Variet'e, wreszcie zaczęło mu dawać  
małe role w teatrze. Najprzód grywał w teatrach  
w Bordeaux, a następnie w różnych teatrach pań-  
skich. Po raz pierwszy zagrał w filmie w r. 1905 i osią-  
gnął odrazu pomyślne wyniki. Wkrótce zaczął jako  
światny wykonawca ról komicznych. W roku 1916  
odbył tournée po Stanach Zjednoczonych, które  
mu przyniosło ogromną sumę pieniędzy. Maks Lin-  
der znajdował się w tym czasie w Stanach majątko-  
wych, popularność jego była wielką, miał w ce-  
mniętek swój powiódzany zaradek. Na krótko przed śmie-  
cią zawarli on kilka bardzo korzystnych kontraktów.  
Podobno w przeciągu niespełna dwu miesięcy zara-  
bił milion franków. Przed śmiercią miał Maks Lin-  
der zrozumielić, że jego wielka kariera w pra-  
wydym zwodziła go do nieostrożności. Ostatecznie  
nieustępliwy jego tak silnie potęgował się, że w kon-  
cu doprowadził do katastrofy.

## Historja małżeństwa Maksa Lindera.

Jak już poprzednio wspomnieliśmy, Maks Linder, zanim istotnie zdołał odebrać sobie życie, popełnił dwa zamachy samobójcze. Zdezernowanie Maksą Lindera miało swoje źródło w **nieszczęśliwym małżeństwie**. Przed dwoma laty poślubił młodzieńca, dziewczynę, w której się namietnie zakochał. Historia tego małżeństwa była wcale nie romantyczna, ponieważ Linder narzeczona wcale takiej nadziei nie chcieli dać przyjąć, że ten młody człowiek ma być z domu rodzicielskiego uprowadził. Pani Linder była córka bogatego wydawcy dziennika, z nazwiskiem Peters. Już jako siedmioletnie dziecko poznała słynnego kocha filmowego w czasie pobytu w Szwajcarii. Po dziesięciu latach spotkała go znowu przypadkowo w Paryżu. Linder nie byłby zapewne poznał dawniej Lili Peters, gdyby mu się sama nie przedstawiła. Oświadczyła następnie, że

odbierze sobie życie, jeżeli Linder się z nią nie ożeni.

Małżeństwo to stało się prawdziwom nieszczęściem dla Maksa Lindera. Młoda małżonka urządziła inżynierię ciagle sceny zazdrości. To stało się małżeńskie wady w małżeństwie deprymującą na artystę. Linder zniechęcał się nawet do swoich kolegów w filmie i coraz bardziej okazywał skłonność do melancholji. W czwartek 14 maja w Wiedniu, o godzinie 4.30, został znowu samobójczo pomordowany małżonką i jego żona została wystrzelona do piekła z pomocą policji i sanitariuszy. Wówczas jednak zginął Linder, który nie miał ani jednego przyjaciela w Wiedniu. Jego pogrzeb w Szwajcarii ukończył dzwonek Złoty Złoty, który nie mógł być wystrzelony przez siebie, w tym celu, ponieważ nie miał czasu. — Wtedy jednak zginął. — Wtedy jednak zginął. — Wtedy jednak zginął. — Wtedy jednak zginął.

## **ŻYCIE ROSJI samotności? w bolszewickich szkołach.**

dziewano się doprowadzić do tego ideału aby nauczyciel ludowy miał 28 rubli minimalnej płacy miesięcznej. Dotychczas, bowiem płaca ta była naogół o wiele niższa, w większości wypadków obracała się koło 10 rubli miesięcznie, czyli nie wynosiła nawet trzeciej części najniższego minimum egzystencji.

### **Półowa dzieci bez nauki.**

Według danych statystyki sowieckiej, ciagle jeszcze co najmniej połowa dzieci w wieku szkolnym, liczonych na 15 milionów głów, pozostaje poza wszelką szkołą. Jeżeli zaś druga połowa szkoły przechodzi, to tylko dzięki znacznemu skróceniu w niej kursów. Przy czteroletnim kursie nauki, obecny stan szkolnictwa pozwala na nauczanie zaledwie 42 procent wszystkich dzieci. Stosunki pod tym względem są bardzo niejednostajne. Gdy moskiewski okręg przemysłowy zdolny jest pomieścić w swoich szkołach czteroletnich 70 proc. dzieci, to na Syberji liczba ta spada już do 25 proc., w Turkestanie zaś nawet tylko do 9 proc.

### **Poziom szkół niższy niż za caratu!**

Jeżeli pod względem ilościowym stan szkolnictwa powszechnego w Rosji sowieckiej przedstawia się mizernie, to już — jak wyrozumieliśmy — niedźnie pod względem jakościowym. Naogół szkoły nie mają odpowiednich budynków, środków naukowych, przede wszystkim zaś kwalifikowanych należycie pedagogów. Nauczyciel w Rosji sowieckiej przedstawia typ istoty chyba najbardziej przez los pokrzywdzonej. Władza sowiecka narzuca mu przede wszystkim przekonania komunistyczne, które musi głosić, propagować i komentować w taki sposób, aby nie narazić się na zarzut herezji kontrrewolucyjnej czy mieniszewickiej. Obok obowiązków szkolnych, ma on mnóstwo innych, zwykle jeszcze cięższych niż ściśle zawodowe — więc uczestniczenie w miejscowych sowietach, udzielanie rad w najrozmaitszych sprawach, sekretarzowanie na tysiącnych zebraniach. Zle płatni i różnymi ubocznymi obowiązkami przeciążeni nauczyciele, nie mogą oczywiście poświęcać się wyłącznie swoim głównym zadaniom. To też szkoła ludowa sowiecka, mimo wszystkich reform i wysiłków, stoi na poziomie jakościowo i ilościowo niższym, niż stała już za caratu bezpośrednio przed wojną. Główna przyczyna tego tkwi w ogromnem zubożeniu społeczeństwa.

### **Patiomkinowskie szkoły!**

Ponieważ jednak bolszewicy wychowanie następnej generacji w duchu swojej doktryny uważają za najważniejszy cel swoich dążeń, przeto wysiłki ich w celu rozwinięcia szkoły i przystosowania jej typu do swoich potrzeb, są istotnie bardzo wielkie.

## **NA MARGINESIE.**

### **Niepokojący pochód Wschodu na polski Zachód.**

Jedna kółka dzienników, podało wiadomość, że wybitny poseł obozu narodowo-demokratycznego, jedna z najjęźszych głów ekonomicznych tego stronnictwa, referent komisji budżetowej i w swoim czasie kandydat na ministra skarbu — przeszedł na prawosławie dla łatwiejszego uzyskania rozwodu ze swoją żoną i poślubienia innej kobiety.

Jest to oczywiście jego sprawa najściślej prywatna, do której mieszanie się jest nie wskazane — tembardziej, gdy się nie zna motywów czynu. Bywają w życiu człowieka sytuacje, z których wyjście może nastąpić albo na drodze złamania jakiegoś nakazu czy też konwenansu moralnego, bez zastosowania czego musiałoby się złamać jakieś jeszcze wyższe prawo moralne. I w danym wypadku oczywiście może zachodzić taki konflikt, że uregulowanie swojego życia rodzinnego mogło nastąpić tylko przez zmianę wyznania.

Mimo to wszystko, rejestrujemy ten wypadek jako zjawisko bardzo charakterystyczne i znamienne dla pewnego kierunku myśli wśród inteligencji narodowo-demokratycznej. Jest to już wypadek jeden z dziesiątków tysięcy. Chrześcijańsko-demokratyczny poseł Bitner stwierdził niedawno, że w Warszawie w ciągu jednego roku wśród inteligencji nastąpiło 27.000 rozwodów, połączonych z przejściem na prawosławie. Robi to wrażenie, jakby jakiegoś zwyczajowego pochodu schizmatyckiego, wschodniego bizantyńizmu na polski zachód.

Obecny wypadek posła Zdziechowskiego, szczególnie zwracający uwagę wskutek tego, że poseł Zdziechowski jest jednostką wyjątkowo wybitną, zrobił tembardziej przykre wrażenie w kołach katolickich i narodowo myślących Małopolski. Jeżeli nawet okoliczności nie dawały tu innego wyjścia moralnego, jak zmianę wyznania, to ze stanowiska narodowego byłoby może bardziej pożądane przejście na inne wyznanie chrześcijańskie, a nie przejście na prawosławie, nadające charakter wzmożenia tego pochodu wschodniej bizantyńskiej schizmy w Polsce, o którym mówiliśmy wyżej. Mamy bowiem Polaków wszelkich wyznań chrześcijańskich, a nawet niechrześcijańskich (mahometanie i t. d.), do których grupy dana jednostka może się przyłączyć. O Polakach jednak prawosławnych właściwie mówić trudno, gdyż prawosławie niejako integralnie złączone jest z rosyjskością i ze wschodem. Wzmaganie się tego wyznania w Polsce jest specjalnie u nas niepożądane, jako jednoczesne wzmaganie się wpływu wschodu, w swoim rodzaju nasuwanie się jeszcze głębsze na czoło narodu polskiego czapki Monomacha.

## **NADEŚLANE.**

Ze dnia ten Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzi.



lokalne wiadomości przez cały tydzień, ale też dla miesz-  
kańców Kotonuyi były to szczególnie interesujące i gazetka  
ta była miłym piśmem kresowem, bo w niej domowohi  
literaci, miejscowi poeci i Kotonuyjcy politycy głos za-  
wierali. Dlatego jest ona cennym obrazem życia Polonii  
Kotonuyjskiej z owych czasów. Od śmierci Akrentowicza  
(1912) „Gazeta Kotonuyjska” przeszła w inne ręce i odtąd  
nie miała już interesu, właściciel nie miał już nie mieszka-  
ł. Tem wtedy w Kotonuyi. Około r. 1910 powstał Korkaren-  
cynj tygodnik „Kurjer Kotonuyjski” wydawany przez  
tych, niebawem jednak spadł. Wychodziła także  
jedna gazeta zargonowa w Kotonuyi, jedna starorosska wy-  
dawana przez drukarza Biltonsa i radykalne czasopis-  
mo ukraińskie „Prapor”, dejące powody do ciągłej  
Konfiskaty. Konfiskowaliśmy także często i „Kurjera  
Kotonuyjskiego”, a pamiętam jak w samą niedzielę sobo-  
tę 1911, wieczorem pojawił się Kurjer i pomieszczył arty-  
kuł wysławiający obzęd „niecznego”, podnosząc, że chyba  
nie to potrzebne śnieżenie „porzecz”, aby się przez to  
lepiej tranito. Zamiast iść na rezurekcję, zamiast  
przeprowadzać przedświadczenie z Konfiskatą.

\*

Kotonujja miała zawsze śnieżną aurę, bo leżała  
w niewielkiej odległości od gór, nad wartką rzeką jórską  
i wśród wielu ogrodów. W środku miasta był ładny  
ogród spacerowy, otoczony z dala częścią ulubione miejsce



wytechnienia, przechadzek, schadzek i festynów. Okolice Kutomysí o podgórskim charakterze niegła także do nycie-  
 czek, toteż w niedziele i świąta było się wzdanie i miastu  
 i z miastem od mrowiska Łudzkiego. Jedni spacerowice  
 szli do Oskresimiec, inni mniej wytrwali do Korolówki,  
 gdzie obok browaru Weissa był ogród, a nim bufet po-  
 rządny a niedrogi i miejscowe piwo Korolowieckie. Wogóle  
 cały browar był pięknie położony wśród zieleni, miał  
 schludne budynki dla pracowników browarowych, nawet  
 nawet lokal na poczęcie a stacyjka Kolejowa miała pranie  
 wyłącznie ze zadaniem ułatwienia wycieczkowcom powrotu  
 do Kutomysí wieczornym pociągami. Ładownia towarowa  
 przeznaczona była do wypróby pociągami poszukiwanego piwa  
 Korolowieckiego. W dniu świątecznym był ogród browaru w Ko-  
 rolówce rzęsiście obsiadły przez gości różnych stanów,  
 muzyka grała rzeżko, ludowa krasowiczka Kotysata ama-  
 torowa tej zabawy, a na Kreszelní latały kule, walając  
 mniej lub więcej pionków, zależnie od tego, czy kresla-  
 rzon mniej lub więcej statkowata głowa po całym szeregu  
 piw Korolowieckich. W otwartym baraku Koto bufetu pan-  
 wać ścisła i natłok zupełnie podobny do tego, jaki się  
 widzi przy bufecie w teatrze podczas przerwy. Młody,  
 rosyjski a oparty czech, pracownik browarowy, a dzierżaw-  
 ca bufetu, ocierał pot kroplisty z czoła, pił jedno piwo  
 za drugim i aspirował wraz ze swoją rodziną, dzielnie  
 a wytrwale. Żelazny go zastobienie „elementar”, bo ser

395

ementalski (ementaler) a wymowie cmentaj nazwał jarkij „ele-  
mentar”, cześciora po rachunielniu gtony (co ka zgryzocie  
jego żony zdarzało się co niedzieli przy najniższym na-  
stoku gtoni). W tymto baraku stał także długi automat  
do gramia, podobny do kapłowskiego pieca. Za wrzuceniem mo-  
nety grzał wybrana, arja. Na drzewie był atrakcja, bo coraz,  
wspierając się na palcach wrzucił do otworka wyproszone,  
od ojca lub matki monety i automat grzał a grzał me-  
talicznymi dzwoneczkami skoczne melodie. Ka nieświeżo młody  
gromadzi. Kotomyjskich dzieciaków. Tróje ogrodu browar-  
nianego miasta Korolówka po przedniej stronie toru Kole-  
jowego przy stacji kolejowej lasu mienistki, lecz ciemisty.  
Przy gościńcu, a dolinie rzeczki Korolówkiej pracownik.

Niechaj szersza  
linie ujęty obra-  
zek browaru  
stabe daje wy-  
obrażenie o tem  
mieście mienist-  
kowskim  
Kotomyjan. Ogrod  
był po prawie stro-  
nie obrazu.

Browar parowy w Korolówce obok Kołomyi.  
Korolówkaer Dampfbrauerei bei Kolomea.



sezonowi dzierżawcy ogrodów Butgarzy, którzy uprawiali jarzyny a nawadniali teren dżem kotem obracaniem przez kierat kółki, wlewiąc wodę rynnami drewnianymi po całej przestrzeni warzywnego ogrodu. Była więc Korolówka miłym miejscem wypoczynkowym, tam przystępniejsza, niż dogodnie położona z Kotonujską Koleją. Także specjalną oryginalność podnieść należy, że linja Kolejowa z Korolówki do następnej stacji Matyjoniec (a może i dalej) była tak prosta, jakby sznurkiem wymierzona. Jakiś późnym wieczorem, gdy nadchodził pociąg od strony Zastawki Ku Kotonujskiej, już od Matyjoniec, na jakieś 5 do 6 kilometrów widać było ze stacji Korolówieckiej światło lokomotywy, młot, marte, jakby gniazdko na ziemi świeciło, co za to gęste, to znów się porządkowało w miarę tego, jak teren był niższy, lub wyższy od poziomu. W miarę im światło było bliższe i większe, widać było że było wyraźniej, aż gdy wreszcie od dłuższego czasu sygnalizowany migotem światła pociąg nadjechał i stanął w Korolówce, niara wypoczątku wśród wzajemnego szturmem zdobywania miejsca z przetadowany pociąg odwrócił stanny do miasta.

Prócz Korolówki był także Werbiarz miejscem wypoczynkowym, miał także ogród przy ugastym browarze, a i tu, choć na mniejszą nieco skalę, były rozrywki podobne do korolówieckich, przewozem nie tylko piwa, ale można było także dostać herbaty, mleka lub kawy. Do miasta można było wracać wóz stanny lok. Kolej Korolówieckiej, która jednak bardzo nieregularnie kursowała.



Kołomyja  
Most na Prucie.



Udatny obrazek mostu na Prucie pod Kołomyją. Część jego od strony lewej była silnie podstępnowana i wzmacniona, gdyż tą stronę biegła linja kolei lokalnej. Za mostem widać pierwsze budynki malowniczego Wierbiaza i korony drzew starego ogrodu brzozerwieczonego.

Takto była Kołomyja za dni moich. Wieczorem 12 lipca 1906 zapełnieniem do niej pierwszy raz w życiu i na razie zamieszkałem w namiocie do mu rynku i ulicy Jagiellońskiej, tj. w hotelu Belle Vue. Lecz nie utrzymałem w pokoju hotelowym,

zwaraz wyszedłem popatrzeć, jemu wygląda mają niedziela nowa. Obrzedłem tylko rynek, bo wskazywał później przy mi mostem się zapuszczać dalej. Cześć od Kramów miejskich nie robiła budzącego wrażenia, lecz cześć przednia (od Roscota do ratusza i od ratusza do ul. Włocławskiej) miło mi przedstawiała, dużo publicznie wygrało wieczornej przechadzki, wnieśliatem się u tłum obserwując go bacznie, polska mora panowała wszechstronnie, publicznie recharakterystyka, uprzejmość, kultura.

Nasajutro odwiedziłem u sądzie mojego przyjaciela sądziego Michała Brohomireckiego i poinformowałem się o stomunkach miejscowych. O pomieszkaniach było wogóle trudno, wynalezieniem ~~znowa~~ zajęł mi faktory cydowia. Zwróciłem bezskutecznie Kilkanaście dni, tak iż powrotem go nawet po. dejrzałem o zmianę z hotelarzem.

W dwa dni po przybyciu otrzymałem się do urzędu i przedstawilem się u sądzie. Był zadowolony, iż się to odbyło we gracie, ożem naturalnie mariałem się poddac. Wtór tak wystrojony udałem się przedwyższaniem po prokuratorji, aby poznać prokuratora i współpracowników i objąć urzędowanie. Gdyż wszedłem do Rancelarji prokuratorji, znalazłem tam dwóch meżczyzn. Jeden był młodszy, okazały, o twarzy miłej, inteligentnej, drugi niższego wzrostu, u Kramarskim szarem ubraniu, o dżwięc sięmającej czuprynie, wickrowato na głowie poburzonej a rudaży wark wystrzelał naprzód. Nie wiedziatem, Kim są, i z Kim mam najpierw mówić. Zwróciłem się odruchowo do pierwszego okazałego pana i zapytałem,

czy mójś z panem prokuratorem, bo jego to u pierwszej  
chwil miotem za prokuratorem. On jednak wstąpił na owe-  
go drogiego meczepnę jako na prokuratora. Przedsta-  
witem ma się, wszelkiemu do jego biura, lecz krótko tam  
byłem, bo prokurator Kozłowski należał do ludzi mało  
młotniących, a nie poznałem moich Kolegów prawosłuch i in-  
nych urzędników, worem liczących sędziów a na drugę  
dziuż jui przy nowem naszym młodestem Kozłowskim  
i inni przybyli do prowadzenia rzemiosła urzędniczego.  
Oraztem pierwszą troszę, bo występ na publicznej arenie  
przy palpici prokuratorów był ożemś nowem u naszym  
życiu. Wziętem się do przeglądania aktów, Kozłowskim biurowi  
Strasimirovi i Kłapalskim strażni mi swoją radę i doświad-  
czemien i jakoś niekiedy stanąłem jakoby na nogach. Tym-  
czasem znalazłem pomieszkanię. Tu napociek jeźniowski  
Kozłowski był dom parterowy w domu po geometrze Fran-  
czakowej. U niej najalem dwa pokoje i tam zamieszkałem.  
O ile jednak moja gospodyni była bardzo dobrą kobietą  
i dbała o swę lokatora, o tyle pomieszkanię było nie-  
zadowole, bo nieznośny grzyb tworzył się fatalnie (dom ten jest  
wzniesiony na skraju na str. 357)

Nie mogłem jednak odrazu wrosnąć u stosunki Kó-  
tomyskie. Żał mi było za Haliżem, za moimi przyjaci-  
ciwłami, za ich graniem, oddaniem, iżakwoscą i sercem.  
Chodziłem po Kutomu, jakbym był na jarkiej wyjeździe-  
ce - myśli moje i dawa pozostały u Haliżem. Pisywałem



wieć stać kartki do Halicza, jakbym chciał u ten opór  
 mieć dalej z ludźmi, z którymi się żyłem, zespółtem,  
 jakbym ten chciał nadal z Kotonymi, z ich życiem kochaniem.  
 Na odpowiedź czekałem z upragnieniem. Najmilsze były od  
 Stefani Zębowiczówny. Niebawem poznałem jej rodzinę  
 i Zabłotów, tam bowiem mieszkała jej matka, siostra Marii  
 zamężna ze szlacheckim Praxmajerem i brat Roman Zębowicz,  
 literat. Wszyscy razem tworzyli zespół miły, zgodliwy,  
 ożywiony atmosferą miłości rodzinnej. Zabłotów był bliski  
 Kotonym, naedni trzecia stacja Kolejowa na Czerniowcach,  
 można było po godzinach urzędowych pojechać do Za-  
 błotowa a następnie powrotem wieczornym powrócić do  
 Kotonym. Toteż odniedzałem ich często, wstaszczając się  
 i Stefanią powrócić z Halicza do rodziny. Niebawem  
 żyłem z nimi coraz i myślałem, moja samotność  
 w Kotonym ciężka mi się stała, chciałem potrzebę  
 stworzenia koło siebie ~~z~~ ogniska domowego, toteż  
 obratem do Stefani Zębowiczówny, za moją do-  
 zgoną, towarzysząc, życia i ślub nasz odbył się dnia  
 30. października 1906 w Kościele Zabłotowskim. Na tę  
 uroczystość przybyli z Halicza moi przyjaciele ks. Laurecki,  
 szlachecki Herdyński i Niemcewicz i inżynier Wöhl-  
 feld z rodziny. Sprowadziłem także z Halicza do  
 istny oddanego mi Józefa Synowicza. Od tam mi był ten  
 sam na świecie, z żoną zespółili się nasze dusze, nasze  
 dążenia i praca wspólna. W niej znalazłem urojenie

u znojach syciorzek i pomoc u zmaganiach u łosiem.

Zamierzalem u nowem pomieszkaniu u domu  
tego słynnego bogacza kotomyszniego Rammlera przy  
ulicy Sobieniego, niebozem jednak córka Rammlera  
wychodziła zamar, marzeniem więc z tego pomieszka-  
nia odstąpić i przenieść na inne, mniej dobre przy-  
ulicy Rudolfa nr. 23. (biegła ona z rynek, obok podwórka  
Kłopotowce). Tamto dnia 24 września 1907 nad-  
ranem przyszedł na śniad nasz syn Franciszek i  
z chrysta, jak zakochało u naszem dziecku dotąd  
mieszkanu dzieciątko, zaczęła się nowa epoka  
u naszem życiu. Hejto myśli cięło mi się do głowy,  
gdym wstąpił, że przyszedł na śniad syn! Od tego dnia  
cały wspólny wyntek mój i żony skierowany był na za-  
pełnienie rozżądla naszem dziecku. Pragnęłam za-  
pomnieć i w kłopotach wstąpił, nie pragnęłam  
mózgu dla siebie, ale pragnęłam rozżądla dla dziecka.  
Ktoż przechodzi te nieskończone wyntki i trudy obry-  
nię, to nocie nieprzespane, te trzy radości i troski, jakie  
matka podnosi swemu dziecku. Trudno u języku ludz-  
kim znaleźć wyraz na określenie tego tytanicznego po-  
życzenia, zaparcia się samego siebie, przekreślenie  
własnego jęstertwa, na jakie wzięła się matka. I  
własne myśli żona z całą ofiarnością poświęciła cał-  
kowicie dziełu i całą młodość temu dziecku, pragnie-  
nie nie istniał odtąd dla niej śniad, bo śniadem dla niej

było to dziecko, nie istniało mercedes i inne, jak szesściu  
dziecka.

Wiecej teprze pominiękanie znaleźliśmy przy ul.  
Bańkorskiego nr. 13. i domu malarza Kocielnego Arze-  
chowskiego a w Roden od r. 19<sup>10</sup> całkiem dobre przy  
ul. Franciszka Józefa nr. 37 (niedaleko parku), gdzie  
mieszkałisiny de Ronca naszym pobytu w Kolonii.

\*

Wróćmy teraz do ~~Stuttgartu~~ prokuratury, aby  
opowiedzieć, jak mi się żyło w tym to zastawie  
mojej pracy. Zastępca prokuratora pracował bądź  
w swoim biurze w urzędzie, bądź uczestniczył przy  
rozprawach. W biurze była praca spordojniejsza,  
mniej miło było siedzenie przy rozprawach a naj-  
mniej ponętne było siedzenie przy rozprawach przed  
sędem przysięgłych. W Kolonii były estery senaty  
karne ciągle mieszające (trzy orzekające i jeden odwołan-  
czy), mało to estery razy do roku odbywały się w takich  
sędach przysięgłych.

Gdybym chciał pisać o przeróżnej treści moich  
spraw przed przysięgłymi, musiałbym napisać osobną książ-  
kę. Płynęły one jedne za drugimi jak woda w Pranie  
i płynęły dotąd tak samo. Bywały one takie i owarke, a  
zarazem widać ich był niepokony, bo psychika przysięgłych  
była nieobliczalna. Wygrzywałem sprawy, i których sądziłem,  
że są beznadziejne i przegrzywałem sprawy najoczyszczej



perne. Raz u sprawie o jakiś kradzież, popełnioną na odchośne ze stwiby przez stęga, i której oskarżona przynęta się do kradzieży i nie miała zgota miłego na swoje niesprawiedliwe podać, to zamknięciu wzprany nadei się przynęty na naradę, a gdy przywódcy ogłosił wydykt uznawający. Powstała konsternacja na sali, rada Zdan'och, między najbliższymi przynętych zastat najbliższego przynęty, czy może mylnie odczytano wyrok, wszakże oskarżona sama mówi, że ukradła a wydykt brzmi, że nie ukradła. Na to odpowiedział ów zastat przynęty: nie panie radco, my ją uwolnili, to obawiamy się, aby za wielkiej Rary nie dostała.

Innym razem u sprawie o podpalenie, wszystkie dowody wypadły na niekorzyść oskarżonej, ona sama nie była się opierała, zapadł jednak wydykt uniewinniający. Gdy przewodniczący prezydent Jeredon'och ogłosił wyrok uznawający, oskarżona wzruszała to za jakiś akt podstępny, ukradła dalej na tamę oskarżonych i nie chciała wierzyć, że ma iść do domu, sądząc, że ją biorą na jakiś Karat.

Stwierdzić u kilku sprawach niektórzy radcy sympatyzowali z oskarżonymi. Raz radca Lityn'och poważnie wzprany przeciw jakiejś chłopczie także o podpalenie, gdzie wszystkie dowody przeważnie świadczyły tak ściśle przeciw niej, że co do winy nie można było mieć wątpliwości. Ale przeszłość Lityn'ochowska dla oskarżonej była i dziwna i bezgraniczna. Wiem, że jednym z do-

wodów był jest odgrzaniem się oskarżonej powstrzymanem  
 m. i. taki sposób, iż to ukazywało na jej uplanowany  
 zamiar podpalenia. Nie pamiętam dziś słów, ale mniej  
 więcej brzmiały one: czekaj, czekaj, ty jeszcze nie odleś  
 stąd i jednej Kozan! Przerodmierzaj przeszedł nad  
 tym szczegółem szybko i pobieżnie, nie po przestudiowaniu  
 odwołanego śniadka zapytanego go, jak wzniósł te słowa  
 groźby, i do czego one odnosić się miały. Na to prze-  
 rodmierzaj nie dopuszcza do odpowiedzi śniadka, lecz  
 sam wymachując rękami mówi: ale - ale, ~~pernie~~ pernie  
 sobie pomysłować: pierś, którą dano szczerka, nigdy nie  
 upaść. Usuniechnął się śniadek i rzekł: ta, pernie,  
 śniadek sądzi, pernie, że i tak być może. W tymto  
 tonie brzmiała cała rozprawa, zapadła naturalnie  
 wyrok uwalniający a Łotyński tak się wzorował nad  
 oskarżoną, że po rozprawie szedł już do siebie do do-  
 mu i razat jej i Kuchm dać obiad. Takie to ogromne  
 było obrażające i porażające i naruszające poczucie  
 sprawne. Najoczniwsza podpalaczka nie tylko, że uszła  
 bezkarnie, jeszcze ją sędzia Razat usłuchać.

Podobny Razat urządził drugi raz dla Czerniawki.  
 Była sprawa o rabunkowe morderstwo, i który przerodmierzaj  
 ten raz przed przyniesieniem. Rzec miała się także. Idzie  
 na poprawianiu pomiotów rektorem i peremieninowskiego,  
 i pernej wroce odbywał się ten. przyniósł (tj. odpust). Takie  
 mejsztniejszy, co, radę mi się dyktat udać się do tej wsi

i gościł u znajomych. Oskarżony, ruszył, chłop podpa-  
 trzył go, zaczął na polach i kiedy już miał powrócić  
 przez pola do domu, napadł go, łuszczył ramię, obra-  
 bował, trupa za nogi ciągnął przez łąkę i zepchnął  
 z urwistej oboczy do bagna, a rzeczy zabrane ukrył  
 częścią w brzoze u siano, częścią na roli wśród roz-  
 rytej przy erce ziemi i poszedł spać. Nad ranem lu-  
 dzie idący z prądnika ustępów stękanie od strony  
 bagna, po śladach startej rosy na trawie poszli  
 ku bagnet, zobaczyli nieczesną ofiarę nieprzytom-  
 ną, pogrochotaną, ławie go zaczęli przewozić na in-  
 ne miejsce, rycie przestało. Żandarmerja austriacka wnet  
 sprawę wykryła, znalazła nawet koczale obój pokrwawio-  
 ną, on sam wtedy wskazał kryjómkę obrabianych rzeczy  
 i przyznał się do winy. Obój stanął przed sądem przy-  
 sądnym, wyrok zapadł uznający go winnym. Trybunał  
 udał się na naradę, rozstrzygnął się długo a po powrocie do  
 sali rozpraw ogłosił uchwałę, jakoby szkodliwie przypięk-  
 sił pomyłki, przekazał więc sprawę następnym ka-  
 dencji. Porzuciła Konstytucja u sali, Rady i głos za-  
 chodził, co stać się miało i na ozem i tawie mia-  
 ła polegać ta pomyłka, ale takie było dzienne prze-  
 konanie niektórych sędziów.

Najbardziej interesująca rozprawa przed są-  
 dem przysięgłym jakże miatem, była sprawa o murder-  
 stwo u rodzinie Sokolowskich ze Łabiesz. Wogóle, co  
 kadencja rozgrywała się przed przysięgłym rozprawą



o różnie obrodzić z gór, które mogły stanowić znakowną  
 tę powieść. Tę w nich było intrygi, tragizmu, prachier-  
 głości, sprytu, planu, fantazji! Jorotomicki wadzi na nie,  
 leżała do najzłamowitszych z Żabin. Kilku braci, ludzi  
 młodych, gospodarstwo na spadkuem gospodarstwie. Bracia  
 nienawidzili jednego z nich, garbatego, bezżennego  
 Smutka, bo ich odrażał w sprawie ekscenów nieczystych,  
 a nadto za długo im był. choć innym braciom spierało  
 się po nim po nim spadek. Udał się więc o poradę do  
 znanego radcy i gwintora Harrygo, również  
 z Żabin ramienistego i ukazał cały plan. Zabija  
 Smutka, majątkiem się podzieli, a kto nie, czy także  
 Harrygo nie pozabije się zony i zaślubi młody  
 siostrę Jorotomicką Annę. Zbrodnię więc suto miała  
 się opłacić. Najeto dwóch ludzi do obrodu, jednego grajka  
 strzykowskiego a drugiego jakiegoś zabijarkę, ciższym  
 ramieniem udał się do domu Smutka, zastał go samego  
 w chacie, przedronił po chrześcijaństwie, umieł na tanie,  
 pogadał, a gdy się Smutko odwrócił do strzyka, jeden  
 ze zbójów ngodził go obuchem sierkier w tył głowy i  
 życia pozbawił, potem obaj sprawy uszli w góry. Żen-  
 darmierja po dazym wysiłku i nadzwyczajnej pracy,  
 idąc śladem drobnych szeregów, wpadła na trop  
 sprawców, przygotowała ogromny materiał, aresztowała  
 winnych i oddała w ręce sprawiedliwości. Radca Plah-  
 ner domniemane przeprowadził śledztwo, grajka przetrwał

się do winy i wydał innych współwinnych zbrodni. Rozpisano rozprawę na dzień 6 dni, bo z tą sprawą o morderstwo były związane liczne inne przewinienia innych oskarżonych, gdy jednak przyszło do rozprawy, grzejadł adwokat nie beznamia, klamując, jakoby były wymuszone. Cały zmasowany aparat dowodowy wykasat jednak winę oskarżonych, których oskarżono na dwu jednaki tapanie parę. Kiedy przeszedł się przez salę rozpraw ogromna ilość osób, rzekłbym półtora Żabiego. Co za typy, co za mada, co za swoboda głowska u tych ludzi. Patrząc na to wszystko jakby na jakiś dramat na scenie, odegrany przez ludzi niemal pierwotnych.

Jana, cnotę sprawę wielką, niezmiernie niecierpliwą. Zbankrutował dydaktyk bank w Zabłotnie. Czterech, czy pięciu kierowników banku zanadto na łanie oskarżonych. Zwołana była specjalna Kadencja przynęstył do sążenię tej jednej sprawy. Przewodniczył jej wybornie radca drohomyrecki. Rozprawa trwała sześć tygodni a przynęstym postanowio około 380 pytań. Skończyła się rozstrzaśnięciem. Użyty srenta obczytł to mnogich spraw a narazem mnogich prac, jakie się przerobiło prądziwie u pocie czoła. Pracowniśny - dostadnie mowiąc - od rana do nocy, ciemnie, niegłęboko a wytrwale.

\*

Późną jesienią 1910 zachorował prokurator

Kowalski. Miał wiedząc, że to choroba poważniejsza, nie donosił o tem nikomu, z natury rzeczy bowiem, jako najstarszy ze zastępców był pod nieobecność prokuratora ~~jego~~ ~~zast.~~ Kierownikiem prokuratury. Sprawy które pozostawały w okręgu kotłomyskim, ja podpisywałem, co jednak miało iść do władz prawniczych do Lwowa lub Wiednia, przysyłałem do Kowalskiego do domu i on to podpisywał. Gdy jednakże jednego razu zamiast podpisu na akcie, Kowalski umieścił szereg liczb i naciągnął jakieś krocie, które mu się rzekomo należały od skarbu Państwa, poznaliśmy, że człowiek ten nie włada już rozumem, doniosłem o chorobie do Nadprokuratury i odtąd poczęła się sprawa o jego spensjonowanie.

Wśród tych stosunków nadeszło lato 1911. Na ferie pojechałem do rodziców na Podole do Germanówki nad Zbruczem. Rozkoszowałem się swobodą i pięknym krajobrazem Podola, niemal codziennie chodziłem na rybnik, odmierzanywał rzekę „kolem Trajana“, po całonocnej pracy odpoczywałem w prądzinie uroczych gajach podolskich i ani się spodziewałem, jak mi mój kolega zarządcy Podprok. o Kotłomys doniósł, iż niebawem stać na Podolu zamieszkać, bo baniący w rodzinę w Kotłomys prezydent sądu lwowskiego Czerniński przeniósł tam władzów, iż jestem zaproponowany na prokuratora do Czortkova. Ucieszyło mnie to podwójnie, raz że zostanę samodzielnym prokuratorem, a po to że



że powrócę do swoich stron wjezystych. Wszak cała nasza rodzina pochodziła z tych stron i tu przeżycie namien-  
 kała. Wnet została nominacja ogłoszona i dzień mi-  
 urzędowym. Pojechałem zwiżać gospodarstwo u Kłotomys,  
 aby wracać na wschód, z którego wyszedłem. Pojechałem  
 na jeden dzień do Czortkova względnie się za miesz-  
 kaniem i najłem je obok sądu u budowniczego  
 Jana Korzeniowskiego. Wtedy poraz pierwszy przy-  
 glądałem się sprawie temy podolordiemu miastu.  
 Skromne było, ale miłe. Na noc wyjechałem z powro-  
 tem do Kłotomys i przybyłem tu nad ranem. Kłoto-  
 mysz obok Czortkova była pięknym, dużym miastem  
 o wygodnych chodnikach, gdy na to wszystko spogląda-  
 łem, zła zora gdy przechodziłem przez park miejski  
 o świąt, rzekę, atmosferze, żał mi było Kłoto-  
 mysz opuszczać. Ale mi było daleko zram do roz-  
 myślenia, potrzeba mi było zbierać i iść u świąt.  
 Wszak takie były Rolej życia urzędniczego.

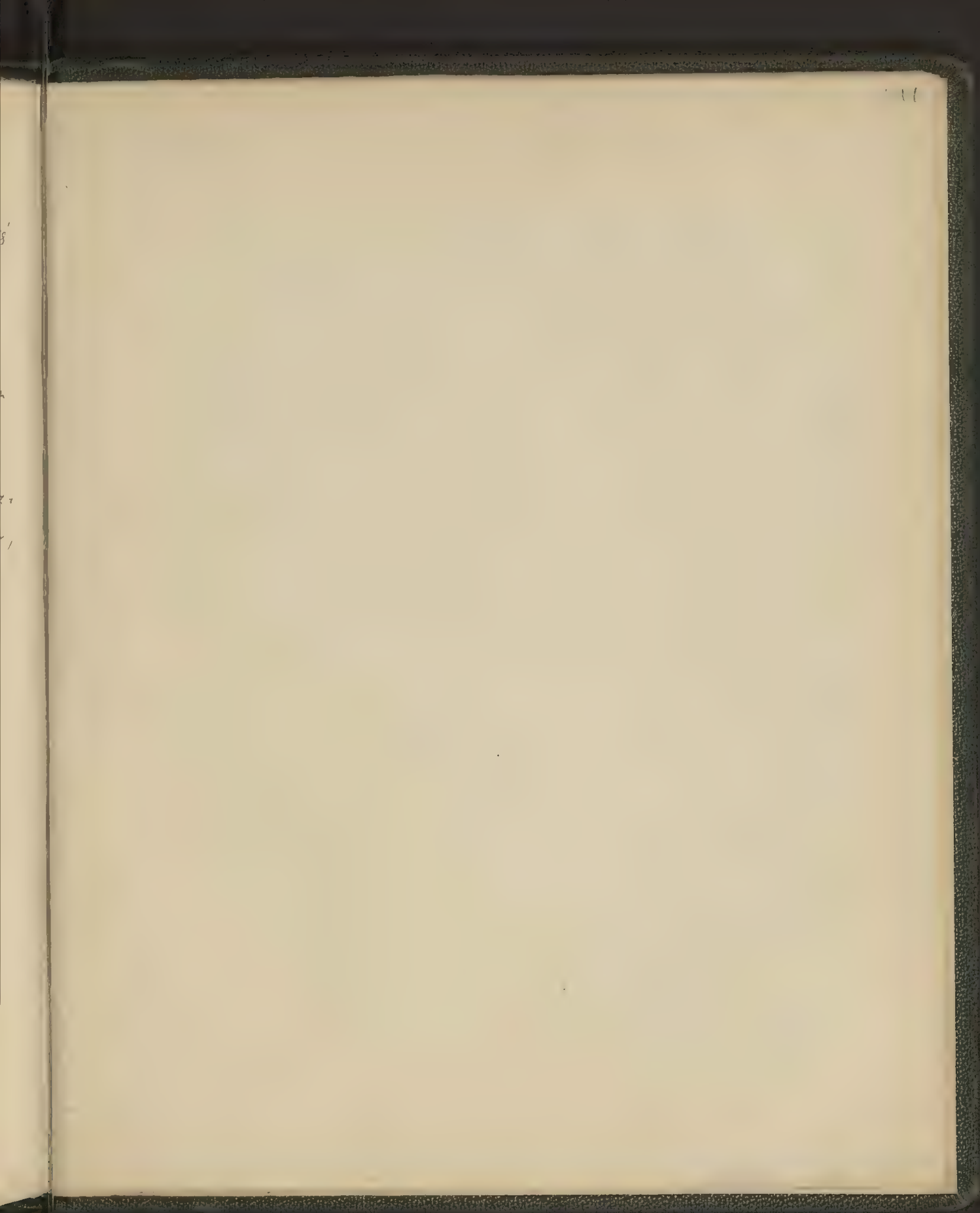
Ochodziliśmy nas wtedy z Kłotomys do Czort-  
 kova trzech, a to: wiceprezydent sądu Ignacy Dze-  
 rowicz, radca Jan Sosenko i ja. Jedziwnie i advo-  
 kaci urzędniczy nam wspólne pożegnawie w sali  
 restauracji Fritza przy ul. Jagielskiej. Były mury  
 białe, jak zwykle przy takich spotkaniach, zwró-  
 cił się do mnie racyni Postepu i zebrał mi serdecznie,

zegnaniem i ja wszystkich, po nieczasy rozeszliśmy się  
a wielu, wielu biernadników poegnaniem na wieki; bo  
z tem życiem jini nie, nigdy nie zobaczymy.

Przybył przed moją pomieszkanią duży wóz  
meblowy, zabrali nasze rzeczy i odjechali, zaś ja dnia  
23 października 1911 z żoną i czterolatnim synkiem  
wsiedliśmy na kolej i przez Stanisławów, Buczacz  
ndaliśmy się do Czortkowa.

Łudna, handlowa, miła stolica Huculszczyzny,  
miła, wiekowa, nad Prutem rozsiadła Kołomyja,  
pozostała za nami daleko, daleko.

---







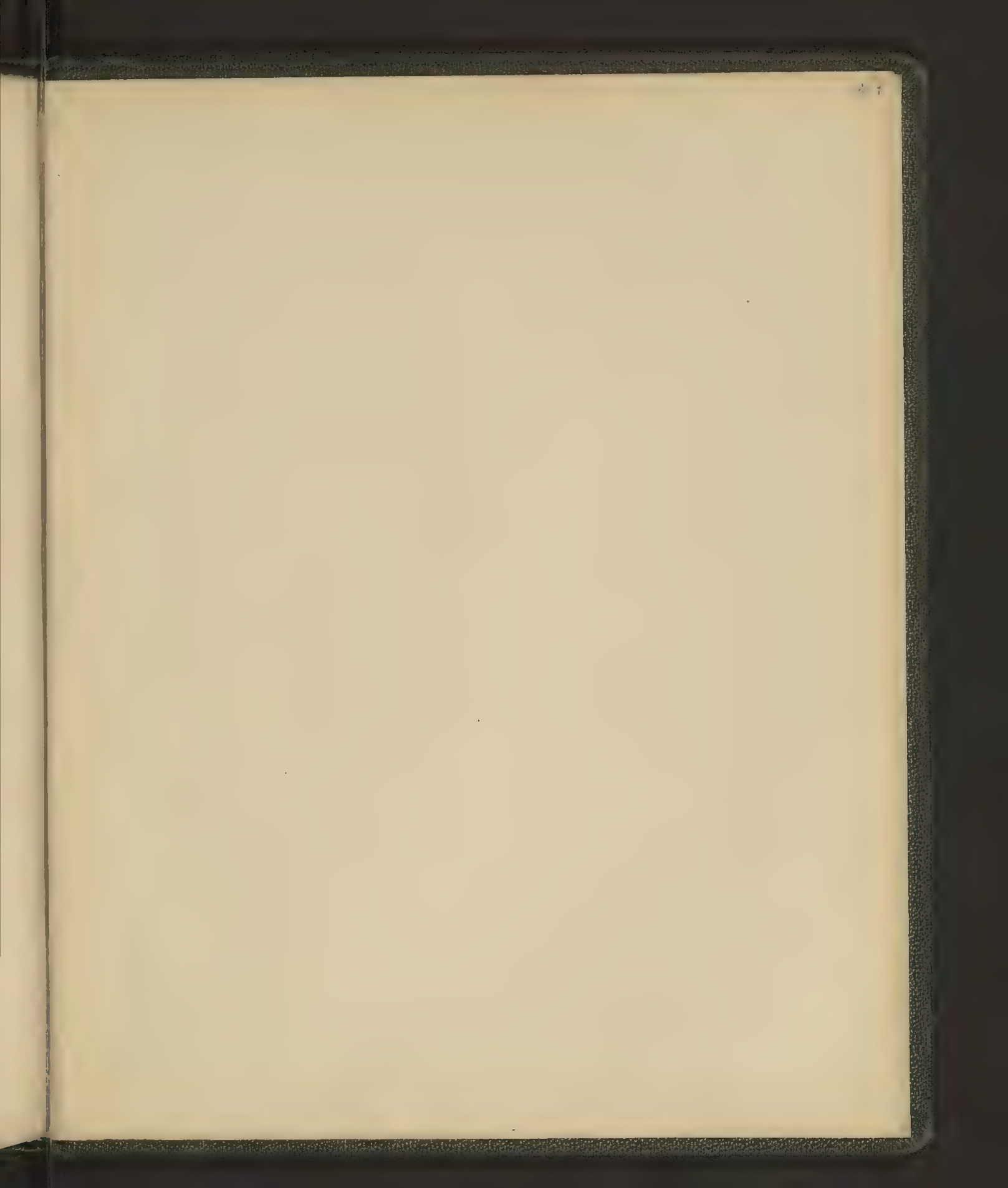
















- do s.282 Sokół w Haliczu.
- " s.289 Świątynia Karaitów w Haliczu z 1830 r
- " " 290 Nagrobki " " "
- " " 292 Dniestr w Haliczu.
- " " 294 - i 295 Zachodnia część Rynku w Haliczu przed 1906.
- " " <sup>321</sup> 319 Kościół w Bursztynie - 1911
- " " 326 Kołomyja - pomnik Karpińskiego.
- " " 347 Cerkiew Ruska w Kołomyji.
- " " 355 Gimnazjum i Bursa w Kołomyji.
- " " 357 Zakład Urszulanek w Kołomyji.
- " " 359 Starostwo w Kołomyji.
- " " 367/8 List z 7.XII.1911 od Stanisława Nowodworskiego z Kołomyji i innych pracowników Prokuraturii i sądu :  
podpisani: Michał Felsztynski, Mieczysław Postępski, Edward Gruber, G.Żarski, Michał Drohoworecki, Karol Schweiner i inni.
- " " 397 Kołomyja most na Prucie.



Listy i ilustracje do rkp B.J. 77/51 t.II -

Marian Ostrowski : Na przełomie wieków t.II.

- < do s.15 List Osw.Balzera .Lwów 31.3.1925
- " " 27 Ogólny widok Lwowa.
- " " 68 żywy obraz na wieczorku Mickiewiczowskim w Samborze 22. maja 1898
- " " 71 Rynek w Samborze /fotogr./.
- " " 117 Grupa sędziów i urzędników sądu w Sołotwinie 1899 /fot./
- " " 119 Wacław Paklowski-sędzia w Sołotwinie 1900-3
- " " 203 Marian Ostrowski " " " 1899-902 /fot.
- " " 218 Plan śródmieścia miasta Sołotwiny - z pamięci,
- " " 224 " " " Halicza według stanu z 1906.
- " " 227 Mosty w Haliczu
- " " 229 Nowy most na Dniestrze w Haliczu /1925/
- < " " 243 List Stanisława Łuczakowskiego 9.5.1929
- " " 243 Fotografia sędziów halickich z 1906 /Hordyński, Szulakiewicz, Niementowski, Ostrowski, Monciebowicz/.
- " " 249 Pawilon na zamku w Haliczu,
- " " 267 Ruiny zamku w Haliczu w r.1904.
- " " 269 " " "
- " " 278 Ratusz w Haliczu fot.1905
- " " 279 " i rynek "
- " " 281 Sokół w Haliczu.



winie

000-3

/fot.

pami

006.

5/

29

or-

ski,



